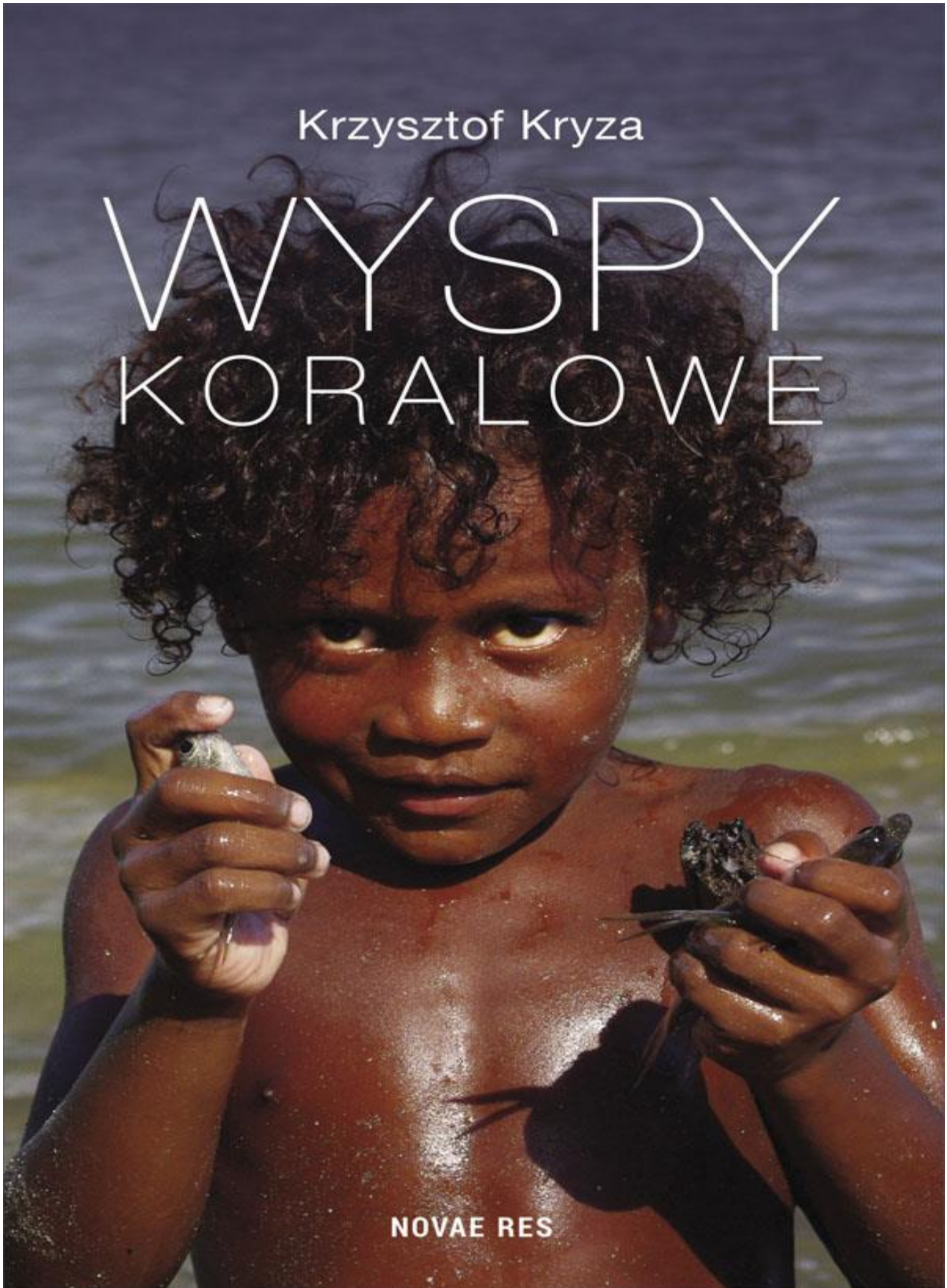


Krzysztof Kryza

# WYSPY KORALOWE

NOVAE RES



Krzysztof Kryza

# WYSPY KORALOWE

Podróż po wyspach Pacyfiku



**NOVAE RES**

# CZEŚĆ I

## Warszawa–Tel Awiw–Hongkong

Zieleń jeszcze delikatna, wiosenny poranek, a moje myśli, miast bujać na antypodach, krążą wokół rodziny. Czy wszystko zapiałem na ostatni guzik i czy w domu dadzą sobie radę podczas kilku długich miesięcy rozłąki? Wszyscy, którzy podróżują, zgodzą się ze mną, że to najtrudniejszy moment w całej podróży – wyjście z domu. Odprawa na lotnisku i wreszcie uczucie, że skończył się etap przygotowań: zbieranie informacji, wizy, bilety i ciulanie pieniędzy – maszyna poszła w ruch, już się nie zatrzyma. Samolot EL AL Israel ponad chmurami kieruje się do Tel Awiwu. Po krótkim postoju długi nocny lot do Hongkongu. To będzie mój czwarty pobyt w tym mieście, mam do niego jakiś sentyment, chociaż nie znoszę dużych miast. Zaplanowałem podróż tak, by się tu zatrzymać.

W hoteliku, na szesnastym piętrze wielkiego kosmopolitycznego Chungking Mansions, przywitała mnie ta sama kobiecina z Filipin. Dziesięć lat temu przyjechała z Mindanao za pracą na rok, dwa, i tak już została. Chce wrócić na rodzinną wyspę, ale kiedy? Stara znajomość ma wpływ na cenę. Po locie na wschód zawsze jest się skołowanym i zmęczonym, więc muszę się położyć przynajmniej na dwie godziny. Po południu idę na promenadę filmowych gwiazd, to najbardziej popularne miejsce na Koloun. Tu młodzi turyści, najczęściej z pobliskiej zagranicy, lubią się fotografować na tle cieśniny z drapaczami chmur na wyspie. Dodatkową atrakcją deptaku są odciski dłoni słynnych aktorów. O dziewiętnastej jeszcze raz idę na nabrzeże, by sfilmować pokaz światła i dźwięku. Potężne laserowe reflektory omiatają w takt muzyki wieżowce po obu stronach cieśniny. Przyjemna, lekka chińska melodia i niesamowite efekty zawsze przyciągają widzów.

## Hongkong

Wstałem o dziewiętej. Całkiem niezłe – to druga w nocy w Polsce. Dzisiaj jeszcze bardziej pochmurno. Hongkong, mimo że od wielu już lat chiński, dalej jest dość niezależnym obszarem na specjalnych prawach. Ze swoją walutą i swoim zarządzaniem pełni dziś funkcję jednego z głównych w świecie rynków wymiany towarowej i finansowej. Nie wszyscy wiedzą, że nazwa Hongkong w dialekcie kantońskim znaczy Wonny Port. Pochodzi z okresu, gdy do wyspy przybijały statki z przyprawami korzennymi i pachnidłami, głównie z Indii. Przeciętny obywatel Chin nie tak łatwo może się tu dostać...

Samolot Air Pacific do Nadi na Fidzi mam dopiero o 16.30, czyli zostało mi sporo czasu. Dobre bułki, o które trudno w świecie, którym rządzą Angliki, można kupić w sklepie na skrzyżowaniu Nathan Road i Jordan Road. Tam właśnie ruszam wcześniej rano. Zostało mi jeszcze trochę kiełbasy z domu i chcę ją zjeść z normalnym pieczywem, a nie jakimś słodkim tostem. Po południu jeszcze szybko przez Internet wysyłam pocztę, potem idę na krótki spacer do pobliskiego parku. Hongkong ma perfekcyjnie zorganizowany transport publiczny. Tylko bardzo bogatych stać na wysoko opodatkowane samochody prywatne, i dobrze, bo zapchaliby się samochodami...

Autobusem A21 jadę na lotnisko, to spory kawał drogi, podróż trwa prawie godzinę. Podoba mi się sposób opłaty za przejazd. Są różne bilety, ale jak nie masz żadnego, to przy kierowcy wrzucasz do metalowej skarby odliczoną kasę. Pamiętaj, że reszty nie wydają. Lotnisko w Hongkongu jest imponujące, ogromne. Bez problemu zdaję plecak i zaraz kolejką z jedną przesiadką jadę do terminalu. Na podświetlonych tablicach egzotyczne nazwy miast, do których lata się z Hongkongu. Odczuwam przyjemny dreszczyk emocji na widok egzotycznej nazwy Nadi na Fidzi. Nieczęsto lata się w rejon koralowych wysp Pacyfiku. Dla mnie dopiero teraz zaczęła się podróż, ale tak po prawdzie, to już w podstawówce podróżowałem z bohaterami książek po „koralowych morzach” z nosem w mapach i marzyłem... Były koralowe wyspy, byli odkrywcy, szczęśliwi ludzie żyjący w harmonii z naturą. Nieokielznana przyroda, rafy koralowe, niezmierny ocean i egzotyczna kultura. A wszystko

w promieniach palącego słońca. Tego już nie ma, to mrzonki. ale jestem optymistą i liczę na to, że przy moim sposobie zwiedzania świata jeszcze trochę prawdziwej egzotyki spotkam.

## Fidži, czyli Viti Levu z lotu ptaka

Gdy się patrzy na mapę, zatrzymując wzrok na Fidži, na tych małych okruchach ziemi pośrodku ogromnej przestrzeni Oceanu Spokojnego, to wyspy te znajdują się dokładnie po drugiej stronie globusa. Byłem w wielu miejscach na ziemi, są jednak takie rejony świata, gdzie człowiek dociera z uczuciem zachwyty i w pierwszej chwili ma ochotę się uszczypnąć. To ja tu jestem ciałem i duchem, nie śpię i nie ulegam sennym złudzeniom? Czy to wszystko, na co patrzę, istnieje naprawdę?

Nocny, jedenastogodzinny lot był równy, lekko kołyszący, ponad chmurami. Dopiero na godzinę przed lądowaniem nad oceanem nastał świt i krótko po tym w okienku ujrzałem Fidži. Nie całkiem wypełniony pasażerami potężny boeing fidżyjskich linii Air Pacific podchodzi do lądowania. Piękna pogoda zapewnia fantastyczny widok. Widać całą wyspę Viti Levu, największą z całego archipelagu. Wynurza się zza linii horyzontu poszarpanymi wierzchołkami gór. Od strony zachodniej jest otoczona spienioną barierą fal rozbijających się na rafach. Zieleń wyspy ładnie kontrastuje z turkusowym kolorem wody na płycznach. W miarę zbliżania się do brzegu górzysta wyspa jakby łagodnieje. Niczym widok z pocztówki ukazuje się panorama Nadi. Samolot bez kołowania delikatnie ląduje na pasie blisko oceanu.

Międzynarodowe lotnisko w Nadi położone jest na północno-zachodnim wybrzeżu Viti Levu. Już na lotnisku odczuwa się pierwszy aromat Oceanii. Nawet odór benzyny nie dławi zapachu oceanu. Po pobycie w klimatyzowanym samolocie gorące i wilgotne, wręcz duszne, powietrze uderza jak obuchem... Jeszcze z góry widziałem, że Nadi to niezbyt rozległe miasto o niskiej zabudowie. Coś jakby nasze ogródki działkowe w większej skali.

## Spódniczki, śpiew i konserwy

Faceci w spódniczkach wyglądają według mnie dziwnie. W krajach, gdzie się tak ubierają, zawsze panuje wielkie rzeczy pomieszanie. Osobliwa, ciekawa kultura i zwyczaje. Zaraz kogoś spytałem, jak się na to mówi. Fidżyjska spódniczka męska to sulu, coś jak w Indonezji sarong. Od razu po wejściu do niedużego budynku lotniska, co może dziwić, bo port obsługuje sporo międzykontynentalnych przewoźników, gości wita zespół grający i śpiewający miłe dla ucha polinezyjskie piosenki. Dodatkowo mężczyźni z zespołu, ubrani w tradycyjne kolorowe sulu, wręczają kwiatki niektórym kobietom. Takie przywitanie każdego nastraja bardzo optymistycznie do pobytu w tym rajskim zakątku. Mój optymizm lekko tłamsi myśl o moim małym budżecie. Jak sobie dać radę, mając do dyspozycji tylko dwadzieścia dolarów amerykańskich dziennie?

Wszystko było w porządku do czasu, kiedy mój bagaż dostał się pod kamerę prześwietlającą. Ta dokładnie pokazała na dnie plecaka trzy puszki dobrej mięsnej konserwy. Dwie grube pracownice kazały mi rozpakować całą zawartość plecaka. Zakazany towar był na samym spodzie, więc powstał mały ambaras. W tym czasie jedna z pań zaczęła już spisywać protokół. Pomyślałem, że nie dość, że straciłem jedzenie, to jeszcze mogę dostać karę pieniężną, tak jak w Nowej Zelandii. Najgorsze, że to spotkało tylko mnie, inni spokojnie przeszli. Wyjęte konserwy puszysta pani wrzuciła do normalnego kosza i kazała podpisać protokół. Potem, jakby się nic nie stało, powiedziała z uśmiechem, że jestem wolny. Byłem wściekły, straciłem jedzenie na całe dziesięć dni. Musiałem spakować wybebeszony plecak. Z trudem przyszło mi się z tym pogodzić, bo wiele czasu kosztowało mnie jego staranne spakowanie. Na dokładkę jeszcze koszmarny kurs dolara fidżyjskiego do amerykańskiego, jak zresztą wszędzie na lotniskach. Wymieniam tylko tyle, aby starczyło na bilet do Singatoki.

Moim celem jest stolica Suva na południowym brzegu wyspy. Jednak po drodze chcę się zatrzymać w ponoć ciekawej Singatoce, słynącej z wysokich piaszczystych wydm – Sand Dunes. Viti Levu można objechać bez pośpiechu w dwa dni, ale są tacy, co robią to w jeden. Od wielu lat, prawie dookoła całej wyspy, biegnie solidna asfaltowa droga. Ma ona dwie nazwy – Kings Road i Queens Road. Z Nadi do Singatoki, a potem dalej, do Suvy, pojedą niemal nad samym brzegiem, Queens Road. To

przepiękna trasa wzdłuż Koralewego Wybrzeża.

## Garść informacji o wyspach

Czterdzieści pięć dni – tyle czasu daję sobie na wędrówki i zwiedzanie wysp, potem mam samolot na wyspy Vanuatu. Tuż przy wyjściu z terminalu wsiadam do autobusu jadącego do Singatoki. W oknach nie ma szyb, a gdy pada, spuszcza się brezentowe rolety. Fidzi to archipelag 322 wysp o powierzchni 18 tysięcy 272 kilometrów kwadratowych. Tylko 110 wysp jest stale zamieszkanym. Trzy są duże: Viti Levu, długa na 150, a szeroka na 105 kilometrów, druga to Vanua Levu i trzecia Taveuni. W odległych epokach geologicznych był tu podobno kontynent, który zapadł się w głębiny oceanu. Wierzchołki gór zatopionego kontynentu to właśnie wyspy Fidzi. Dzisiejszy ich krajobraz jest zaś efektem erupcji wulkanów i wypiętrzenia się raf koralowych. Długotrwała działalność natury zrodziła tu wielką różnorodność wybrzeży, złożonych z niezliczonych zatok, cieśnin, plaż i malowniczych zakątków, pokrytych bujną tropikalną roślinnością. Prawie wszystkie wyspy są góryste. Na wschód od Viti Levu leżą setki malutkich wyseppek koralowych archipelagu Lau. Na północny zachód od Viti Levu rozciągają się wysepki archipelagu Yasawa, niezwykle popularne turystyczne eldorado.

Do Singatoki jest około pięćdziesięciu kilometrów. Autobus, którym jadę, to przerobiona ciężarówka, co słycać po pracy silnika. Jest tak głośno, że trudno wytrzymać. Dobrze, że to tylko godzina jazdy. Szosa w wielu miejscach dochodzi prawie do lazurowych wód oceanu. W różnej odległościach od brzegu, tuż pod powierzchnią wody, rafy koralowe powodują rozbijanie się fal. Takie przyboje z białą pianą kapitalnie wyglądają na tle ciemnego granatu wody. Wzdłuż Queens Road jest najwięcej piaszczystych plaż, poznać to po gęstości zabudowy. Co kawałek mijamy jakieś ośrodki turystyczne zwane tu resortami. Jeśli chodzi o Viti Levu, to najbardziej popularny turystycznie brzeg wyspy, ma on swoją nazwę – Koralewe Wybrzeże. Tak już jest w tym rejonie Pacyfiku, że w ciągu dnia woda odpływa, a po południu powraca. Jest to widokowo niezbyt atrakcyjne, bo odsłania mało urodzive dno. Na drodze mały ruch, jak gdyby nie było sezonu turystycznego. Podają, że średnia roczna temperatura na wyspie wynosi dwadzieścia siedem stopni Celsjusza. Chciałbym, żeby teraz, w marcu, też była taka. Niestety z nieba leje się żar i jest grubo powyżej trzydzieści stopni. Przyjechałem do Singatoki, chcę zatrzymać się tu przez dwa dni. Pierwsza rzecz to znalezienie taniego hoteliku, co nie jest tutaj takie łatwe. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jaki jestem niski w porównaniu z miejscowymi mężczyznami. Niby wiedziałem o tym wcześniej, ale co innego przekonać się naocznie. To wielkie i tęgie chłopy. Na szczęście są i drobniejsi ode mnie. To tutejsi Hindusi. Chwilami czuję się jak w Indiach, a jestem przecież na środku Pacyfiku...

Fidzi to najbardziej na wschód położone wyspy, które zalicza się do Melanezji. Zamieszkują je dwie społeczności: rdzenni mieszkańcy Melanezyjczycy i sprowadzeni tu Hindusi. Krajowców wysp Pacyfiku dzieli się na trzy grupy: Polinezyjczyków, Mikronezyjczyków i Melanezyjczyków. Pogląd specjalistów z antropologii jest zgodny, że Melanezyjczycy rozprzestrzeleni się na Pacyfik z Nowej Gwinei i przyległych archipelagów w kierunku południowo-wschodnim, po łuku obejmującym Wyspy Salomona, Vanuatu i Fidzi. Taka jest też trasa mojej dalszej podróży, tylko w przeciwnym kierunku. Rdzenni mieszkańcy Fidzi to ludzie wysocy i dobrze zbudowani, przesadnie dbający o swoje brzuchy. Sporo jest otyłych, bez względu na płeć i wiek. O kolorze skóry nie warto się rozpisywać, bo jest różny, brązowy lub trochę jaśniejszy. Ja mówię o takiej skórze, że jest dobrze opalona, wielu białych mogłoby jej pozazdrościć. Duże wrażenia na przybyszach robią bujne czupryny miejscowych. Pierwszy raz typową fryzurę fidżyjską ujrzałem w samolocie, którym przyleciałem. Pasażerów Air Pacyfic obsługiwały dwie stewardesy w charakterystycznych melanezyjskich fryzurach. We włosy miały wpięte białe kwiatki frangepani, bardzo popularne na całym Pacyfiku. Od razu pomyślałem, że z takimi włosami nasi fryzjerzy mieliby spory problem, choć można odnieść wrażenie, że włosy same tak się układają. Ale to pozory. Jak się później dowiedziałem, ułożenie takiej fryzury wymaga dużych umiejętności i doświadczenia. Tak dzisiaj, jak i przed wiekami, na Fidzi dobrze ułożona fryzura jest ważną ozdobą. Znana jest historia ostatniego króla Thakombau. Kiedy król płynął w odwiedziny do królowej Tahiti, przed spotkaniem przez wiele godzin układał swoje włosy, żeby godnie zaprezentować swą dostojność.

Popularne, wielkie i czarne czupryny kręconych włosów, niczym spiętrzona wełnista kula, a do tego uśmiechnięta gęba z pozdrowieniem „bula, bula”, to powszechny widok niemal wszędzie na Fidżi.

## Słodki skrawek Azji na Pacyfiku

Skąd na Fidżi Hindusi? W populacji osiemset pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców około czterysta tysięcy to Hindusi! Czyż to nie skrawek Indii na bezmiarze Pacyfiku? Pierwsza grupa pięciuset mieszkańców Indii przybyła tu w roku 1878 na statku Leonidas – to data, od której rozpoczęło się zasiedlanie wysp przez Hindusów. Około 1800 roku wyspami zaczęli się bardzo interesować Europejczycy. Nie zważając na wewnętrzne sprawy mieszkańców, wojny plemienne i powszechny tu kanibalizm, postanowili działać znanymi, wypróbowanymi gdzie indziej metodami... Nowych przybyszy interesuje jak zwykle eksploatacja, wykorzystanie, sianie zamętu, a w ostateczności zawładnięcie wszystkim. Z powodu rabunkowej wycinki odkrytego tu cennego drzewa sandałowego kończą się łatwe dochody. Nie przejmują się tym jednak. Panują tu świetne warunki klimatyczne do uprawy trzciny cukrowej, więc od razu zakładają, gdzie tylko się da, duże plantacje. Trzcina cukrowa jest trawą, więc rośnie bujnie i szybko, dochodząc do trzech, a nawet pięciu metrów wysokości. Raz zasiana, bez dodatkowych pracochłonnych zabiegów pielęgnacyjnych, może plonować dziesiątki lat. Nowi kolonizatorzy równolegle zakładają dochodowe plantacje palmy kokosowej. Uprawy trzciny cukrowej i palmy kokosowej przynoszą spore dochody, więc koloniści powiększają plantacje do granic możliwości. Wykorzystuje się nawet strome stoki wzgórz, niszcząc pierwotne lasy. Plantacje przynoszą duże zyski, biali plantatorzy opływają w dostatki, rosną fortuny pośredników w Anglii. Nadchodzi rok 1870 i nagle okazuje się, że brakuje siły roboczej. Fidżyjczycy, mimo swoich warunków fizycznych, nigdy nie byli chętni do pracy na polach, lubowali się raczej w wojaczce. W ich mentalności nie mieściło się to, co wyprawiali biali. Wyspami rządził król, a wioskami wodzowie. Była to władza bezwzględna i okrutna. Jeszcze przed przybyciem białych stale toczyli wojny z sąsiadami z Tonga i między sobą. Nie na długo kolonizatorzy nacieszyli się pracą rdzennych wyspiarzy. Przed przybyciem białych było ich ponad dwieście tysięcy. Wystarczyło zaledwie kilkanaście lat, by nowe porządki, judzenie jednych przeciw drugim i zawleczone choroby spowodowały tragiczny spadek populacji. W 1920 roku jest już ledwie 85 tysięcy krajowców. Z królem nikt się nie liczy, wodzowie wioski to figuranci bez autorytetu. Ludność jest zdegenerowana z powodu zawleczonych chorób, miejscowa władza rozbita. Stare, wypróbowane metody dały efekt. Teraz trzeba tylko uzależnić dochodowe wyspy od Korony Brytyjskiej. Fidżi musi stać się oficjalnie kolonią. Daleko, po drugiej stronie globu, w zaciszu gabinetów zapadają ostateczne decyzje. Jeszcze tylko mała formalność dla dobrego wizerunku politycznego. Przyparty do muru, niemający nic do powiedzenia i bez wyjścia król Fidżi Thakombau w 1874 roku rzeka się władzy królewskiej na rzecz brytyjskiej królowej Wiktorii. Formalnie od tej chwili Fidżi staje się kolonią brytyjską. Wszystko jest, jak zaplanowano. Jest nowa władza, są wielkie plantacje, ale nie ma ludzi do roboty. Z wioski nie da się już wybrać ludzi do pracy. A słodka trawa rośnie – nawet gdy się o nią zbytnio nie troszczy, daje sto ton słodkiej masy z hektara. Kto nie chodził po polu trzcinowym, temu trudno będzie zrozumieć, ile to jest. No i nie ma kto jej zebrać. Na sąsiednich Wyspach Salomona i Nowych Hebrydach katastrofalna pustka. Mający się za chrześcijan łowcy niewolników, bezwzględni bandyci, wyłapali wszystkich nadających się do pracy na plantacjach wyspiarzy. Tak bliskie źródło taniej siły roboczej wyszło. Jednak „zaradni” Anglicy pomyśleli o swoich Hindusach. Przecież mają ich miliony, tam ich nie ubędzie, a tutaj przydadzą się bardziej. Przyplłynął pierwszy statek, przypomnę, jest 1878 rok. To ważna data w historii Fidżi, początek wielkich zmian etnicznych. Podekscytowana, wystraszona grupa prawie samych mężczyzn z ulgą opuszcza ledwie utrzymujący się na wodzie statek Leonidas. Po długiej i uciążliwej, kilkutygodniowej podróży zachwycają się klimatem i bujną przyrodą. Jest prawie jak w ich ojczyźnie, Tamilnadu na południu Indii. Na razie są pełni optymizmu, naiwnie wierzą w obiecany im dobrobyt. Agenci obiecują sprowadzenie im wkrótce rodzin, przede wszystkim kobiet. Od początku głównym problemem imigrantów był brak kobiet. Ale najpierw do roboty! Pierwszej grupy robotników nie można było zrazić, mieli oni podpisany kontrakt na dziesięć lat. Tamilowie dobrze pracują, więc żądni zysków koloniści sprowadzają z Indii kolejne ich transporty. Na to wszystko z boku

patrzą tubylcy. Na razie z przymrużeniem oka, bo nie zdają sobie sprawy, co z tego wyniknie w przyszłości. Marionetkowy król i malowani wodzowie nie mają już nic do powiedzenia. Lawina zmian ruszyła. Ale to jeszcze nie koniec tej słodkiej historii.

## Singatoka – ucieczka z wydmy

Sporo czasu zajęło mi znalezienie miejsca do spania. Nie było nic taniego, poniżej czterdziestu dolarów fidżyjskich. Poczuję się zdruzgotany, jak tak będzie dalej, to po Fidżi wracam prosto do domu... W miasteczku, które leży w połowie drogi biegnącej wzdłuż słynnych plaż Koralowego Wybrzeża, jest sporo resortów. Tu, w miasteczku z hotelikami, jest gorzej, więc poradzono mi, bym poszukał w ośrodkach poza miasteczkiem. Próbuje dalej. W końcu znajduję podobno tanie miejsce, dziesięć dolarów fidżyjskich za nocleg, jednak nie mogę doczekać się właściciela. Zniecierpliwiony, odchodzę z myślą, że wrócę później, bo taka cena mi odpowiadała.

Idę nad rzekę, tam poczekam. Miasteczko jest pięknie położone przy końcu szerokiej doliny, którą płynie rzeka Singatoka, niedaleko stąd uchodząca do oceanu. Dzisiaj niedziela, na ławkach w cieniu drzew przesiadują spacerowicze. Mimo bliskości oceanu jest bardzo gorąco. Południowo-zachodnia strona Viti Levu jest wyjątkowo suchą częścią wyspy, tylko tu, w dolinie przy ujściu Singatoki, jest niesamowicie zielono. Przez rzekę można się przeprawić jednym mostem, to droga do Suvy, stolicy Fidżi. Drugi most do połowy zniszczył cyklon dwa lata temu, podobno nie będzie odbudowany. Prowadził nim tor kolejki wąskotorowej, używanej do przewożenia trzciny cukrowej. Miałem zamiar przejść się na drugą stronę rzeki, ale zrezygnowałem, gdyż wyglądało tam niezbyt ciekawie.

Miasteczko ma około 10 tysięcy mieszkańców i jest największym między Nadi a stolicą Suvą. Żywna dolina Singatoki to jeden z największych rejonów rolniczych wyspy. Zdecydowana większość okolicznej ludności utrzymuje się z rolnictwa i handlu. Pozostali zajmują się obsługą ruchu turystycznego na Koralowym Wybrzeżu. Wracam do centrum. W krajobrazie miasteczka przeważa niska i prosta zabudowa, na tle zielonego wzgórza z kolorową świątynią Hare Kriszna. Całe miasto to kilkanaście krzyżujących się uliczek. Są tu trzy hoteliki, sporo sklepików, market handlowy, kilka banków i kościółek. I to już wszystko.

Cały czas dźwigam plecak, jest strasznie gorąco. Znaleziony wcześniej hotelik jest dalej zamknięty, ktoś mi w końcu powiedział, że podobno rodzina wyjechała. Straciłem nadzieję na tani nocleg. Dlaczego nie zabrałem namiotu?! Przypadkowy przechodzień poradził, by spróbować jeszcze wejść na wzgórze. Podobno jest tam jakiś hotelik, to moja ostatnia szansa... Jeśli i tam nie znajdę miejsca do spania, będę musiał jechać dalej. Łatwo powiedzieć, gorzej wdrapać się na wzgórze, na które prowadzi długa droga z zakosami. A przecież dźwigam plecak w tym nieznośnym upale. Złany potem i wykończony w końcu dochodzę do Top End, bo tak się nazywa hotel. Nie mam już siły negocjować ceny, uzgadniam dwa noclegi po dwadzieścia miejscowych dolarów. Strasznie drogo jak na moją kieszeń! Pokój nędzny, kilka łóżek, to tak zwany dorm, na szczęście jestem sam, nie tylko w pokoju, ale i w całym hotelu.

Z góry roztacza się rewelacyjny widok na miasteczko z przepływającą rzeką, wszystko w otoczeniu bujnej zieleni. Na horyzoncie widać wysokie nadbrzeżne wydmy, skutecznie zasłaniające ocean. Top End to najlepszy punkt widokowy w Sigatoce. Obsługą gości zajmuje się wysoki, ciemnolity, trochę śmieszny Joj pochodzący z Kadavu. To jego rodzinna wyspa. Zaproponował, że za tydzień możemy tam wspólnie popłynąć. Według jego słów jest ponoć bardzo piękna. Wiem o niej tylko tyle, że to czwarta co do wielkości wyspa archipelagu Fidżi.

Krótko potem zszedłem do miasteczka. Wcześniej dowiedziałem się, że jest tam możliwość skorzystania z płatnego Internetu. Niestety z nadania poczty nic nie wyszło, bo było zamknięte. Zaszedłem jeszcze do małego katolickiego kościółka, ale było już po Mszy Świętej. Zamieniłem kilka zdań z wychodzącymi kobietami. Dowiedziałem się, że tu, w Sigatoce, jest tylko około stu katolików, a proboszczem jest ksiądz Mateo.

Szwendam się trochę po uliczkach, idę znów nad rzekę. Dookoła bardzo dużo zieleni, różne



drzewa, palmy i krzewy kwiatowe. Przy ulicach sporo kolorowych kwietników i dobrze utrzymane trawniki. Środek miasteczka przecina wąskotorowa linia kolejowa, która kończy się w połowie zniszczonego mostu. Wykorzystując popołudniowe słońce, trochę filmuję i robię zdjęcia. Widoki są doprawdy urocze.

O dziewiętnastej wracam do hotelu, rozmawiam jeszcze z Jojem, a po kolacji idę spać. Jest problem z komarami, ale na nie są sposoby. Mam moskitierę, którą rozwieszam nad łóżkiem, rezygnując ze śmierdzącej spirali przeciw owadom. Jest poniedziałek, o czwartej już nie mogę spać. To skutek dwunastogodzinnej różnicy czasu między Polską a Fidżi. Dobrze, że zatrzymałem się w Hongkongu, to złagodziło objawy związane ze zmianą czasu. Kto podróżuje daleko, ten wie, o co chodzi. Dzisiaj mam w planie udać się na wielkie wydmy. Wczoraj Joj powiedział, że to pięć kilometrów drogi i może ze mną pójdzie.

Okolo dziewiętej wyszliśmy, Joj ma dzisiaj wolny dzień i chętnie ze mną idzie. Po drodze musiałem kupić czapkę, bo zapomniałem zabrać swojej z domu, a bez nakrycia głowy nie sposób wytrzymać na słońcu. Przy okazji kupiłem adapter do gniazdka, bo nasze wtyczki tutaj nie pasują. Już od rana nieznośnie gorąco, całą drogę idziemy poboczem Queens Road. Mijamy pojedyncze zabudowania i uprawne pole. Ruch jest znikomy, więc idzie się przyjemnie. Skręcamy z drogi i dochodzimy do małego budynku biura Sigatoka Sand Dunes National Park. Tu w kasie sprzedają bilety wstępu na obszar wydm. Przy okazji w gablotach można obejrzeć sporo eksponatów z wykopalisk archeologicznych, obok jakieś tabele i opisy. Wydmy są jednym z unikatowych cudów natury Fidżi. Leżą na zachód od ujścia rzeki. Na obszarze sześćset pięćdziesiąt hektarów jest kilka parabolicznych wydm o wysokości od dwudziestu do sześćdziesięciu metrów. Rozciągają się na przestrzeni kilku kilometrów wzdłuż wybrzeża. Archeolodzy wykopali tu szkielety ludzkie sprzed 2600 lat, ceramikę i narzędzia kamienne dawnych mieszkańców.

Idziemy ścieżką na najbliższą wydmy. Mijamy jakieś zabudowania z uprawami warzyw oraz kilkanaście palm kokosowych. Ścieżka nagle się kończy i od razu stromo zaczyna się zbocze wydmy. Wchodzimy w pośpiechu, piasek osuwa się spod nóg, podejście jest bardzo trudne. Chcę wejść na szczyt wysoki na około trzydziestu metrów i zobaczyć ocean. Ciemny piasek pali stopy tak, że nie sposób wytrzymać. Uparcie idę w górę, choć gorący jak żar piasek przesypuje się między stopami a podeszwą sandałów. Już tylko pięć metrów do szczytu i myślę, że dam radę, ale nic z tego! W pośpiechu zbiegam, cud, że nie poparzyłem nóg. Głupotą było to wchodzenie na wydmy w południe. Najlepsza pora to wczesny ranek, ale o tym jakoś nie pomyślałem.

Idziemy z powrotem, jeszcze zatrzymuję się na bazarze. Stragany są zadaszone, tęgie kobiety sprzedają owoce swojej pracy. Tu po raz pierwszy widzę miejscowe płody rolne. Zawsze lubię kręcić się po kolorowych bazarach z egzotycznymi owocami i warzywami. Spędzam tam sporo czasu. Tu można potargować się, kupić coś taniej i spróbować jakiegoś nowego owocu. Na bazarach i targowiskach są najbardziej otwarci ludzie. Zawsze można pogadać i pożartować, dowiedzieć się czegoś nowego. Tak jest na całym świecie. W zgiełku bazaru łatwiej zrobić ciekawe zdjęcie i nakręcić trochę filmu, same korzyści. Przechodzę pomiędzy stoiskami, na stołach leżą wyłożone owoce, część z nich dobrze znam, ale niektóre widzę po raz pierwszy. Są tu orzechy kokosowe, banany w kilku odmianach – małe żółte i duże zielone. Dalej leżą papaje, pomidory, pomelo i mandarynki. Z warzyw są taro, kasawa, jam i bataty. A z przypraw widzę tylko imbir. Być może jest już zbyt późna pora, wcześniej rano jest zawsze większy ruch i dużo więcej towaru. Bazar w Singatoce nie zrobił na mnie większego wrażenia, ale cieszę się, że go odwiedziłem. Tak już w życiu bywa, jeśli wcześniej widzisz ogromne, wprost nie do ogarnięcia, bogate w owoce i warzywa bazy, to potem wszystkie inne wydają się malutkie i ubogie.

Dla przykładu podam inne porównanie z moich podróży. Zwiedzałem kiedyś przez dwa dni wodospady Iguacu w Ameryce Południowej – boski cud natury, coś nieprawdopodobnego, nie do opisanego pod każdym względem! Potęga i ogrom przelewającej się wody są wprost oszałamiające. Potem byłem w Afryce nad potężnymi Wodospadami Wiktorii. I co? Wydały mi się niewielkie, a przecież też są ogromne! Stąd wniosek: zaczynaj zawsze od małego do coraz większego, a będziesz zawsze podziwiał, a nie grymasił.

Z bazaru udałem się do miejscowej kawiarenki internetowej. To zwykle małe pomieszczenie

z kilkoma starymi komputerami, przy których siedziało paru głośno grających chłopaków. Hałas bardzo mi przeszkadzał, ale najważniejsze, że udało mi się wysłać z Fidżi pierwszą pocztę. Na koniec wymieniłem w banku sto dolarów amerykańskich na sto siedemdziesiąt trzy fidżyjskie. Stwierdziłem, że przy niekorzystnym kursie i panującej drożyznie kiepsko widzę mój długi pobyt na Fidżi.

## Wzdłuż Koralowego Wybrzeża do Suvy

Dzisiaj jadę do Suvy. Pożegnałem się z Jojem i o siódmej trzydzieści zszedłem do miasteczka na miejscowy PKS. Trochę się zdziwiłem, kiedy zobaczyłem rubasznego, wielkiego księdza Mateo, który siedział na ławce przy supermarkecie. Chyba na kogoś czekał lub zwyczajnie nie miał nic do roboty i tak spędzał czas. Autobus jeszcze nie podjechał, więc zacząłem od księdza grzecznie wyciągać informacje na temat transportu na wyspę Taveuni. Ucieszyłem się, gdyż był dobrze zorientowany i wszystko wiedział! Jakby tego było mało, podeszły do nas jeszcze znajome mi panie, z którymi rozmawiałem dwa dni temu przed kościołem. Dziwne spotkanie... Najważniejsze, że z Suvy na Taveuni mam dzisiaj statek Sofi. Płynie tylko raz w tygodniu, i to właśnie dzisiaj. Na wyspę kursuje jeszcze drugi, Suilven, ale podobno jest w remoncie. Za chwilę już siedziałem w autobusie. Nie spodziewałem się, że przez trzy godziny będę jechał tak głośnym gratem.

Tak samo jak poprzednio w autobusie nie ma szyb, co w tym klimacie zrozumiałe. Twarde siedzenia mogą jakoś ścierpieć, ale ten hałas mnie dobija. W moich podróżach nigdy nie rozstają się ze stoperami do uszu, które w takich sytuacjach ratują zdrowie. Jedziemy widokową Queens Road. Południowy brzeg jest bardzo urozmaicony. Liczne zatoki, więc droga stale zakręca, ciągle podjazdy i zjazdy niemal do brzegu. Co chwilę inny widok. Na trasie nie ma przystanków, oczekujący pasażerowie zatrzymują autobus, kiwając ręką.

Ciekawiej wygląda tu wysiadanie. Przez cały autobus przeciągnięty jest sznurek, przy kierowcy zakończony zwykłym dzwonkiem. Wystarczy pociągnąć, a szofer już wie, gdzie się zatrzymać. Zdziwiło mnie, że gdy sąsiedzi z tej samej wioski kończą podróż, to nigdy nie wysiadają razem, nawet jeśli mieszkają bardzo blisko siebie. Wyrozumiały kierowca ze stoickim spokojem zatrzymuje autobus wszędzie tam, gdzie tylko pasażer sobie zażyczy. A każdy tutaj chce podjechać pod próg swojej chatki. I to dosłownie. Nic dziwnego, że podróż trwa i trwa... I jeszcze coś. Zadziwiła mnie niezwykła cierpliwość i spokój tych ludzi. Niby nic takiego, ale dla mnie było to niesamowite doświadczenie. Ale to nie wszystko na temat wychodzenia z autobusu.

Już na pierwszy rzut oka widać, jak bardzo różnią się nasze społeczeństwa. U nas, niestety, zestresowany naród nie umie opanować nerwów. Wszyscy wiemy, jak wygląda u nas wysiadanie z autobusu czy tramwaju... Na długo przed przystankiem ludzie wstają z miejsc. Nerwowo, tłukąc się o siedzenia i trącąc współpasażerów, pchają się do wyjścia i blokują je skutecznie. Wsiadający i wysiadający deptają sobie po nogach, nikt nie chce ustąpić. Często wulgarnie się do siebie odnoszą i klną na czym świat stoi! Na Fidżi natomiast, nawet jeśli ktoś siedzi na ostatnim siedzeniu i będzie nieznośny tłok, to wychodzący wstaje dopiero wtedy, gdy autobus się całkowicie zatrzyma. Wsiadający sprawiają wrażenie zdziwionych, że to już koniec podróży! Wolno zbierają swoje manatki i nieśpiesznie idą do wyjścia. To mnie trochę denerwuje, gdyż przedłuża czas podróży. Do Suvy jest 120 kilometrów, więc ponad trzygodzinne telepanie może wkurzyć. Tu jednak wyjątkowo nie narzekam. Specjalnie mi nieśpieszno, gdyż trasa jest przepiękna.

Co pewien czas ukazują się ocean, piaszczyste plaże, rzadziej skalisty brzeg. Autobus wspina się z trudem drogą biegnącą przez półwyspy oddzielające urokliwe zatoczki. W połowie drogi mijamy kilkanaście malowniczych wysepek otoczonych płytkimi wodami turkusowych lagun. Od czasu do czasu urzekające widoki zasłaniają zielony busz i kępy strzelistych pióropuszy palm kokosowych. Z trasy wyraźnie widać wianuszki białych jak śnieg przybojów. To rafa koralowa, tak zwana obrzeżająca, na której rozbryzgują się oceaniczne fale. Ta naturalna bariera niczym mur chroni brzeg przed groźnym oceanem. Z brzegu widać jednocześnie dwa kolory wody. Od plaży do rafy płycizna ma jasnoturkusowy kolor, a za rafą ciemnognatowy. To barwa bezmiaru wód oceanu. Tu, na Koralowym Wybrzeżu, ten wianuszek podwodnych raf otacza wyspę w odległości od 200 do 700 metrów. W tak sprzyjających

warunkach powstało wiele ośrodków turystycznych nastawionych na obsługę miłośników podwodnego świata. Dzisiaj to dochodowy biznes, szkoły nurkowania są wręcz oblegane.

Mijamy sporo małych wiosek, więc autobus często się zatrzymuje. Ludzie mieszkają tu w bardzo skromnych domkach, podobnych do naszych altanek działkowych. Bus ma szybę tylko z przodu, dzięki naturalnej klimatyzacji jazda jest przyjemna. Przebywając w pobliżu świata podwodnych raf koralowych, powinniśmy zastanowić się nad fenomenem ich powstawania. Dokładne opracowania i opisy tego procesu można znaleźć w bogatej literaturze przedmiotu.

W kilku zdaniach postaram się w przystępny sposób to opisać. To najbardziej zadziwiający twór bujnego życia morskiego. Tym pracowitym budowniczym jest polip koralowy, stworek niewiele większy od główki szpilki. To zwierzę morskie o niskim stopniu rozwoju jest rodzajem ukwiału spokrewnionego z meduzą. W odróżnieniu od meduz polip zazwyczaj nie przemieszcza się. Żyje koloniami, czepiając się martwych, zbieleńszych trylionów szkieletów tego samego gatunku. Nie posiada narządów ruchu, nie widzi ani nie słyszy, nie ma serca, żył, płuc, skrzel ani mózgu. Można powiedzieć, że to po prostu zwykły worek z jednego końca otwarty, a drugim końcem uczepiony do wapiennych szkieletów swoich przodków. Wokół jego otworu gębowego faluje pasmo malutkich czułek, chwytających wszystkie stworzonka, którym, na ich nieszczęście, zdarzyło się przydryfować w pobliże tych macek. Owe czułki chwytają pożywienie, które dalej wędruje do jamy trawiennej, spełniającej rolę wszystkich narządów. Niestrawione resztki pokarmu są wydalane przez ten sam otwór. Polip rozmnaża się w ten sposób, że każda urwana cząstka gdzieś się uczepia i może rozpocząć odtwarzanie swojego organizmu. Wapń powstały po śmierci polipa jest budulcem raf koralowych. Polip żyje tuż pod powierzchnią wody. Zabójcza jest dla niego zarówno głębia, jak i powierzchnia. Nie jesteśmy w stanie opisać przepięknej różnorodności form życia raf koralowych. W otoczeniu raf kwitnie bujne piękno podwodnego życia. Tego nie da się opisać, to trzeba zobaczyć.

## Suva

Suva to największe miasto na Fidżi, ma około 100 tysięcy mieszkańców i jest najbardziej kosmopolitycznym miejscem całego archipelagu. Położone jest na mocno pagórkowatym półwyspie, nad zatoką z naturalnym, dogodnym portem. W tłumie na ulicy spotkamy rdzennych Fidżyjczyków, fidżyjskich Hindusów (nazywanych tu Indofidżyjczykami) i Chińczyków. Na miejscowych uczelniach studiuje również młodzież z małych wyspiarskich kraików, od Papui aż po Kiribati. Mieszkają tu też nieliczni biali, a w sezonie wyspy odwiedza sporo turystów. Kilka wyższych budynków trudno nazwać wieżowcami. W panoramie stołecznej Suvy przeważają małe, skromne domki przy wąskich uliczkach wtopionych w tropikalną zielen. Centrum jest dość ruchliwe i zatłoczone, ale przyjemne. Przy głównej ulicy dziesiątki różnych sklepików, których właścicielami są najczęściej Hindusi i Chińczycy. W bardziej reprezentacyjnych budynkach mają swoje siedziby liczne biura turystyczne i hoteliki oraz kilka banków. Blżej nabrzeża jest bazar, na którym miejscowi rybacy sprzedają owoce morza.

Wszystko tutaj robi na mnie dobre wrażenie. Dreszczyku emocji dodaje mi świadomość, że jestem na małym skrawku lądu, gdzieś w bezkresach Pacyfiku. Staram się o tym stale pamiętać, a nie jest to takie łatwe. Już po paru dniach czuję się jak w domu. Dla stałych mieszkańców Fidżi takim prawdziwym rajem nie jest, choć tak to z zewnątrz wygląda. Mają problemy, których na ulicy nie widać. Wcześniej pisałem, że Fidżyjczykom wcale nie wyszły na zdrowie kontakty z Europejczykami, podobnie jak innym mieszkańcom wysp Oceanii.

Gdy zaczęto sprowadzać Hindusów, populacja rdzennych Fidżyjczyków była już katastrofalnie niska. Przed przybyciem białych w 1801 roku było ponad 200 tysięcy wyspiarzy. W 1878 roku zaś, gdy zaczęto sprowadzać do pracy Hindusów, rdzennych mieszkańców zostało ledwie połowa. Ich populacja zaczęła wzrastać dopiero w XX wieku. Dzisiaj jest około pół miliona i jakieś 350 tysięcy Indofidżyjczyków, czyli osób, których przodkowie przybyli z Indii. Po ostatnim przewrocie wojskowym w 2000 roku jest w zasadzie spokojnie, ale problemy nie zostały rozwiązane do końca. Napiszę o tym jeszcze, gdy więcej się dowiem.

Spacer z plecakiem to spory wysiłek. Jest bardzo gorąco i duszno, upał nie do wytrzymania!

Jestem zlany potem, południowe słońce pali bezlitośnie. Na ulicach jest mało cienia, nie ma gdzie się schować. Do biura firmy promowej trafiłem bez problemu. Za pięćdziesiąt dolarów fidżyjskich kupiłem bilet do Somosomo na wyspie Taveuni. Statek odpływa dopiero o siedemnastej trzydzieści, mam sporo czasu. Idę coś zjeść do chińskiej restauracji. Właściwie bardziej to przypomina bar, ale niech tam... Łykam jakąś kanapkę, pijam herbatę, wszystko drogie, a brzuch pusty.

Odwiedzam kawiarenkę internetową, by wysłać informacje do najbliższych. Zostało jeszcze trochę czasu, więc idę na pobliski bazar. Wielkie bogactwo różnorodnych, kolorowych ryb zawsze mnie ciekawi. Mogę je podziwiać godzinami, ale aż tyle czasu nie mam. Bazarowym handlem zajmują się najczęściej fidżyjskie kobiety. Oprócz ryb oferują owoce i warzywa. Wyłożony towar wyglądał bardzo skromnie i biedniutko, rano pewnie wyglądało to inaczej, a może słońce tak przypiekło? Potem, by zorientować się w cenach, wszedłem do supermarketu. Przy okazji na drogę kupiłem dwuipółlitrową butelkę coca-coli. Tutejsze ceny zwalają z nóg, są ponaddwukrotnie wyższe niż u nas.

Na dzisiaj dość wrażeń, idę do portu. Droga przez miasto jest bezpieczna, ale w samym porcie trzeba bardzo uważać, aby nie wpaść pod koła. Przed promem Sofi ustawiała się długa kolejka różnych samochodów. To spory prom towarowo-pasażerski, cały kadłub jest czerwony, a nadbudówka biała. Widać od razu, że to stara i wysłużona jednostka. Pasażerowie czekają na pirsie. Na pokład na razie nikogo nie wpuszczają, pierwszeństwo mają samochody. Dla pasażerów nie ma osobnego wejścia, dopiero po załadunku samochodów można będzie wejść, przedzierając się pomiędzy pojazdami. Potem po metalowych schodkach wchodzi się na pokład pasażerski. Trwa to w nieskończoność. Samochody załadowane, a my czekamy jeszcze w upale prawie godzinę. Obok naszego promu stoi kilkanaście mniejszych jednostek. Już na pierwszy rzut oka widać, że wszystkie są kiepskim stanie, odrapane, pordzewiałe. Po zamalowanych krzaczkowatych literach poznać, że to zużyte chińskie albo koreańskie stateczki. Przyszło im zakończyć swój długi i pracowity żywot pod banderą Fidżi, tu, daleko na południowym Pacyfiku. W końcu wpuszczają nas na prom, można spokojnie odstawić plecak i swobodnie się porozglądać. Z górnego pokładu jest dobry widok na miasto i port.

Słońce już nisko nad horyzontem. Niebo zaczyna przebarwiać się w bajecznie piękne, żółto-pomarańczowo-czerwone kolory. Z pokładu można dokładnie przyjrzeć się otaczającemu zatokę wzgórz. To na nim rozłożyło się miasto. W oddali na zatoce kotwiczy wiele jachtów i łodzi. Przy nabrzeżu zacumowanych jest sporo dożywających swoich dni stateczków i holowników. Z daleka wszystkie wyglądają bajecznie kolorowo, gdyż nie widać wszechobecnej rdzy. Na pokładzie zacumowanego promu nie ma nic z sielanki mórza południowych. Głośno pracuje maszynownia. Powietrze wypełnia nieznośny smród spalin zmieszany z wonią ryb leżących na słońcu.

## Rejs na Taveuni

Sofi powoli odpływa od nabrzeża, ocierając się niemal o burty przycumowanych z prawej i lewej strony mniejszych jednostek. Opuszczamy spokojne wody zatoki, mijamy zakotwiczone jachty. Suva leży w odległości dogodnej na zrobienie przerwy w długich, oceanicznych rejsach, między obiema Amerykami i Australią. To bardzo ważny port dla samotnych żeglarzy, którzy zatrzymują się tu, by odpocząć i uzupełnić zapasy. To także dogodne miejsce na usunięcie awarii i przeprowadzenie poważniejszych remontów.

Nad Pacyfikiem powoli zapada zmierzch. Przez szczeliny w nisko zawieszonych nad horyzontem chmurach prześwitują ostatnie promienie słońca, tworząc krótkie, ale bajeczne widowisko. W całej gamie delikatnych odcieni czerwieni powstaje fantastyczny twór, coś na kształt wyrastających z oceanicznej toni gór... Za chwilę zrobi się ciemno i będzie kolejny spektakl, tym razem nieogarnięty ludzkim umysłem wszechświat z milionami gwiazd. To naprawdę świetne miejsce i odpowiedni czas na zadumę nad nicością człowieczego bytu. Wcześniej spędziłem sporo dni i nocy w rejsach po ciepłych wodach Indonezji. Mogę powiedzieć, że dzień na morzu, gdy dookoła tylko woda, to nudny, stracony czas. Inaczej jest nocą, gdy nad bezmiarem wód świeci księżyc z milionami gwiazd.

Płynęliśmy po połyskującym i migoczącym, pełnym życia i jakiejś dziwnej magii, szumiącym morzu. Taka tajemnicza noc jest o wiele ciekawsza niż najpiękniejszy nawet dzień. Nie zapomnę nigdy

nocnego rejsu z Balikpapan na Borneo do Mamaju na Sulawesi. Całą noc, aż do cudownego wschodu słońca, spędziłem przy burcie... Nie mogę spać, gdyż na promie nie ma łóżek, można jedynie przesiadzieć podróż w sali telewizyjnej. Są tam wygodne i miękkie fotele lotnicze. Niestety jest tam tak duszno i gorąco, że nie sposób wytrzymać. Do tego przez całą noc z telewizora leci jakaś nieznośna muzyka, tak zwana disco papua. Hałas jest nie do zniesienia, więc nie ma mowy, bym tam został. A na dokładkę zwalający z nóg smród z pobliskiej ubikacji. Całe szczęście, że na zadaszonym pokładzie są drewniane ławki, takie jak u nas w parkach. Jedną z nich zająłem. Starsi pasażerowie wolą świeże powietrze, więc ławki cieszą się powodzeniem. Młodych tu mało, większość wybrała salę telewizyjną. Na pokładzie jest przewiewnie, a nad ranem wręcz zmarzłem. Niby tropiki, a zimno jak w psiarni! Za twardo, żeby zasnąć, ale można wyciągnąć nogi. Bezsenna noc ma swoje zalety. Można podziwiać gwiazdziste niebo z dominującym Krzyżem Południa. Jest czas na kontemplację i rozmyślanie o dziwnych sprawach współczesnego świata.

Przed podróżą czytałem trochę o państewkach mikrusach na Pacyfiku. Jest to temat na tyle ciekawy, że napiszę o tym parę zdań. Czy zdajemy sobie sprawę, że pacyficzne państwa mikrusy, które mają powierzchnię lądu kilku lub kilkunastu kilometrów kwadratowych, zgodnie z międzynarodowym prawem, to prawdziwi giganci? Wiele lat temu państwa morskie zastosowały zasadę wyłączności w obszarze 200 mil morskich od brzegu. Dla przykładu taki wyspiarski kraj Nauru ma dwadzieścia jeden kilometrów kwadratowych. A to prawdziwy gigant, bo wraz z akwenem morskim otaczającym wysepkę ma 308 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli tyle, ile powierzchnia Polski... Pięć atolików Tuwalu to tylko 26 kilometrów kwadratowych lądu, a jest gigantem o powierzchni 900 tysięcy kilometrów kwadratowych! Fidżi – 18 272 kilometry kwadratowe powierzchni, a wraz z otaczającą wodą aż 1 290 000 kilometrów kwadratowych. A na deser jeszcze jeden przypadek. Maleńkie, lecz bardzo rozrzucone po Pacyfiku wysepki Kiribati, których obszar to 811 kilometrów kwadratowych – czyli 1/4 Luksemburga – ze swoimi 200 milowymi strefami dysponuje obszarem trzech i pół miliona kilometrów kwadratowych! W tym wszystkim jest ogromny paradoks. We współczesnym świecie bezwzględnej ekonomii, w poszukiwaniu źródeł energii i złóż mineralnych, ta zasada wyłączności podnosi wartość drobnych, izolowanych wysepek. Szokuje nas, gdy dowiadujemy się, że sporo owych wyspiarskich kraików musi kupować rybę! Tradycyjne połowy w lagunach przynoszą z reguły słabe wyniki, a brak floty i sprzętu uniemożliwia połowy na otwartym oceanie. Stąd wniosek, że samo dysponowanie rozległym, 200-milowym obszarem wyłączności to nie wszystko...

O drugiej w nocy dopływamy do Koro – to mała wysepka w połowie drogi do Savusavu na Vanua Levu. Tu właśnie miałem przyjechać z Jojem, tym z hotelu w Singatoce, który bardzo ją zachwalał. Wyszło inaczej. Pogodny ranek przywitało wschodzące z głębi oceanu słońce. Już na długo przed wschodem, w miejscu gdzie będzie się wylaniać, powstaje piękna poświata w ciepłych kolorach czerwieni. Od chwili, gdy tylko na horyzoncie błysnie skrawek ognistej kuli, zaczyna się jej szybki bieg ku zachodowi. U nas przebieg słońca wydaje się dużo wolniejszy. Na tych szerokościach geograficznych długość dnia i nocy jest bardzo podobna.

Vanua Levu jest już blisko przed nami, a przynajmniej tak się wydaje. Jednak będziemy płynąć tam jeszcze kilka godzin. To druga co do wielkości wyspa archipelagu, górzysta, o powierzchni sześciu i pół tysiąca kilometrów kwadratowych. Ma podłużny kształt, leży dziewięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Viti Levu. Około dziewiątej rano cumujemy przy nabrzeżu portu w Savusavu. Wielką zatokę o tej samej nazwie i całe miasto otaczają wysokie wzgórza. Prawdziwą ich ozdobą są setki pierzastych palm kokosowych. Miasteczko ma około 10 tysięcy mieszkańców. W czasie dwugodzinnego postoju większość pasażerów wychodzi na ląd i robi zakupy na pobliskim bazarze lub w okolicznych sklepikach. Następnym portem będzie już Wairiki na wyspie Taveuni, to jeszcze kilka godzin rejsu.

Po wyjściu z zatoki Savusavu prom kieruje się prosto na południowy wschód. Płyniemy w niewielkiej odległości od bariery rafowej, wzdłuż południowego brzegu wyspy. Świat rafy koralowej w tym miejscu jest niezwykle bogaty, lecz groźny dla wszystkiego, co pływa po wodzie. Przepływamy w pobliżu popularnego na Fidżi kurortu Jacquesa Cousteau. Z pokładu wyraźnie widać bungalowy, stylizowane na dawne fidżyjskie chaty. Słynny oceanograf i filmowiec, znawca mórz i oceanów całego świata, właśnie tu wybrał sobie miejsce na wybudowanie ośrodka do uprawiania nurkarstwa. Obecnie

właścicielem jest jego syn.

Przed nami wyraźnie widać górzystą, zieloną wyspę Taveuni, powszechnie nazywaną ogrodem Fidzi. Pod względem wielkości zajmuje trzecie miejsce w archipelagu. Od Vanua Levu dzieli ją szeroka na siedem kilometrów cieśnina Somosomo. Ta nieduża wyspa ma kształt cygara o długości czterdziestu dwóch kilometrów i szerokości dziesięciu. Na 435 kilometrach kwadratowych mieszka około 10 tysięcy ludzi, w większość to rdzenni Fidżyjczycy. Taveuni jest górzysta, typowo wulkaniczna. Zadziwia fakt, że na wyspie doliczono się aż sześćdziesięciu małych kraterów. Wszystkie są od niepamiętnych czasów nieczynne. Ważną ciekawostką jest jednak ostatni wybuch wulkanu na archipelagu Fidzi – w XVI wieku. Właśnie tu miał on miejsce. Dzisiaj krater tego wulkanu wypełnia jezioro i jest to najwyższy punkt wyspy. Ma 800 metrów wysokości, stanowi atrakcję turystyczną. Niełatwo tam wejść, ale podobno warto.

Od początku planowałem dłuższy pobyt tutaj. Wyspa jest ulubionym miejscem wypoczynku Fidżyjczyków, to świadczy o jej wyjątkowej urodzie. Porównując turystyczne walory różnych wysp archipelagu Fidzi, Taveuni wydała mi się najatrakcyjniejsza. Dzisiaj w komputerze można łatwo odbyć wirtualną wędrówkę. Z kilkudziesięciu metrów można dokładnie prześledzić swoją podróż w dowolnym miejscu świata. Jednakże to wszystkiego nie zastąpi i trzeba trochę korzystać z dostępnej literatury. Wcześniej wiedziałem, że wyspa ma najbujniejszą przyrodę z całego archipelagu. Występuje tutaj największa różnorodność roślin. Można powiedzieć, że na tej małej przestrzeni żyją gatunki reprezentujące cały obszar wielkiego Pacyfiku, żadna inna wyspa jej pod tym względem nie dorównuje. Drugim atutem jest zabudowa. Nie spotkamy tu wielkich hoteli, najwyżej małe kurorty schowane w tropikalnej roślinności. Całe górzyste śródek wyspy porasta nieprzebyty busz. Do tego dodam całkowity brak zakładów produkcyjnych i bardzo małe zaludnienie. Te atuty zadecydowały, że właśnie tutaj chcę zatrzymać się na dłużej. Po dwudziestu godzinach rejsu z ulgą zejść na ląd. Mój zapał do zwiedzania tych wszystkich cudów studzi skromny budżet. Przy dwudziestu dolarach amerykańskich na dzień trudno myśleć o szaleństwie. Nie będzie raczej nurkowania i rejsów po lagunach. Wszystkie przewodniki i odwiedzający wcześniej wyspę turyści informują, że koszt dziennego pobytu jest parokrotnie wyższy. Dlatego chętnie nawiązuję nowe znajomości i zbieram informacje, gdzie tylko mogę. Najrzetelniejsze zdobywam w trakcie podróży.

Pod koniec rejsu nawiązałem owocną znajomość z powracającymi do domu sympatycznymi starszymi ludźmi. Żyją tu od wielu lat i są prawdziwą kopalnią tak niezbędnej mi wiedzy. W moich wielomiesięcznych podróżach po świecie spotykam wszędzie dobrych i uczynnych ludzi, którzy chętnie i bezinteresownie mi pomagają. Chociaż podróżuję sam, nigdy nie czuję się samotny. Łatwo nawiązuję kontakt z miejscowymi i rozmawiam z nimi o wszystkim. I nieważne, jak daleko jestem od domu, czuję się jak wśród swoich. Liczę, że nowi znajomi pomogą mi podczas długiego pobytu na wyspie.

## Holendrzy pierwsi na Fidzi

Z 510 milionów kilometrów kwadratowych powierzchni globu ziemskiego Pacyfik zajmuje 165 milionów! Dla porównania łącznie wszystkie kontynenty to 149 milionów kilometrów kwadratowych. Ta liczba pokazuje, jak wielki jest Pacyfik i jak ogromne przestrzenie należało pokonywać w poszukiwaniu nieznanymi lądów. Zazwyczaj ignoruje się informacje o tym, że w czasach, kiedy Europejczycy ograniczali się jedynie do żeglugi przybrzeżnej, mieszkańcy Pacyfiku podejmowali na swoich łupinkach wielkie oceaniczne wyprawy.

Dla Europejczyków czas wielkich odkryć na Pacyfiku rozpoczął Ferdynand Magellan w 1520 roku. W krótkim czasie, w poszukiwaniu cennych przypraw korzennych, europejskie mocarstwa morskie opanowały dzisiejszą Indonezję. Przyprawy korzenne całkowicie zmieniły kuchnię europejską, wprowadzając nowe smaki i zapachy. Do tego czasu stosowano jedynie sól i miejscowe zioła, jedzenie było mdłe i mało urozmaicone. Przyprawy były trudno dostępne i niebotycznie drogie. Handlem zajmowali się jedynie kupcy ze Wschodu, trzymając w tajemnicy miejsca ich pochodzenia. Po wyprawie Magellana apetyt Europejczyków na przyprawy wzrósł. Na Wyspy Korzenne (Moluki) pływało w ścisłej tajemnicy wiele portugalskich statków. Ten biedny kraj na końcu Europy w krótkim czasie stał się potęgą

morską i kolonialną. Portugalczycy zajęli całe wschodnie wybrzeże Afryki oraz opanowali wyspy malajskie. Dziesiątki portugalskich statków kursowało między Molukami a Europą, dostarczając egzotyczne korzenie i nieznanne owoce. Chciwość i zachłanność tego małego, jeszcze do niedawna najbiedniejszego kraju Europy nie miała granic. Usadowili się na Jawie i Molukach, z niemal całego wschodniego wybrzeża Afryki wyparli arabskich sułtanów i kupców. Rozpoczęli handel niewolnikami. Ten nieludzki i okrutny proceder zaczął przynosić znacznie większe zyski niż handel korzeniami.

Rozprowadzaniem po Europie przypraw sprowadzanych z Indii Wschodnich zajmowali się holenderscy kupcy. Robiąc biznes na pośrednictwie, pomyśleli, że można zarobić znacznie więcej, więc dlaczego nie sięgnąć do źródeł? W 1596 roku pojawił się na Jawie pierwszy holenderski statek. W tym czasie Portugalczyków wyczerpywała długa morska droga przez Ocean Indyjski. Administracja na tych zamorskich terytoriach pochłaniała krocie, podobnie jak ich obrona przed zakusami Holendrów i Anglików. Bliżej była opanowana rozbojem Afryka. Zajęli się czymś innym – intratnym handlem niewolnikami... Wkrótce Holendrzy wyparli Portugalczyków z handlu przyprawami. Znaleźli, a raczej przechwycili, prawdziwą kopalnię złota. Niebawem przejęli całe Indie Wschodnie. Założyli niebywale dochodowe przedsiębiorstwo kolonialne, nazwane Kompanią Wschodnioindyjską. Z wielką korzyścią dla udziałowców przetrwała ona ponad trzysta lat! Długie holenderskie panowanie przyczyniło się do poszerzenia wiedzy o tym rejonie świata i odkryć geograficznych. Rosły wielkie fortuny i apetyty na pomnożenie bogactw. Do gubernatora Batawii, największego miasta i portu na Malajach, dochodzą niepokojące informacje. Szpiedzy donoszą, że z Peru Álvaro de Mendaña zdołał dopłynąć od wschodu do Wysp Salomona. Podobno gdzieś na południu jest tajemniczy wielki ląd. Dlaczego nie być tam przed innymi? Kilka wypraw, które wysłano na południe w poszukiwaniu intrygującego lądu, powróciło z niczym. Nie odkryto nawet Cieśniny Torresa, choć była tak blisko, niemal o rzut kamieniem! Skoro nie udawało się dotrzeć tam drogą na południe, gubernator Indii Wschodnich wysłał kolejną ekspedycję.

Dwa statki – Heemskerck i Zeelhan – ze stu trzydziestoma ludźmi pod dowództwem Abla Tasmana, wypływają 14 sierpnia 1642 roku z Batawii, dzisiejszej Dżakarty. Wyprawa nie kieruje się wprost na południe, ale płynie na Mauritius. Wyspa należała wtedy do Holandii. Tu zaopatrują się na dalszą drogę i opuszczają przyjazny port. Po kilkunastu dniach statki wpływają w strefę zimnych zachodnich wiatrów na dalekim południu, to tak zwane ryczące czterdziestki. Przywykłe do tropików załogi cierpią od straszego zimna. Sztormy i burze są teraz ich codziennością. By ratować statki z opresji, Tasman zdecydował się zmienić kurs o kilka stopni na północ. Po przepłynięciu czterech tysięcy mil 24 listopada osiągnął ląd nazwany później Tasmanią. Kapitan nie zdaje sobie sprawy, że w niewielkiej odległości opływa od południa kontynent australijski! Po przeczekaniu kilku sztormów wyprawa pożeglowała dalej w kierunku północnym. Dnia 13 grudnia 1642 roku dopłynęła do brzegu północnej wyspy Nowa Zelandia. Odkrytemu lądowi Tasman nadaje nazwę Kraj Stanów. Tu, podczas napadu Maorysów na łódź, ginie czterech marynarzy. Statki opuszczają nieprzyjazną wyspę. Wyprawa kieruje się na północ i wkrótce odkrywa wyspę Eua z archipelagu Tonga. Wiele lat później zawita tu kapitan Cook i z powodu gościnności wyspiarzy nada archipelagowi nazwę Wyspy Przyjacielskie.

Okręty Tasmana wzięły kurs na północny zachód. Po kilku dniach znalazły się wśród daleko wysuniętych na południe raf koralowych wysp Fidzi, obecnie to grupa wysp Lau. Jest kiepska pogoda i słaba widoczność, z tej odległości dowódca wyprawy widzi dwa szczyty. Sądzi, że to dwie osobne wyspy, w dzienniku robi krótki opis. Jak się potem okazało, była to Taveuni z dwoma sąsiadującymi wierzchołkami. Płyną na pełnych żaglach, nagle statki wpadają na przyboje. Nad rafami kłębi się piana wodna. Tasman natychmiast poleca wyostrzyć kurs prawym halsiem na wiatr, by oddalić się w kierunku północnym. Po kilku minutach z masztu rozlega się przerażający okrzyk: „Przybój przed dziobem!”. Kapitan osobiście wchodzi na maszt. Łamiące się fale przyboju otaczają okręty z trzech stron, tylko za rufą jest spokojna toń, ale w tym kierunku nie można było zawrócić. Okręty dostały się między rafy. W tej krytycznej sytuacji pozostało tylko jedno – wybrać wśród raf miejsce o najslabszym przyboju, gdzie można by przeskoczyć nad groźnymi rafami. Tak właśnie zrobiono. Szorując po rafach, okręty cudem uniknęły katastrofy. Wszędzie dookoła morze aż kipiało pasmami białych przybojów. Jak okiem sięgnąć było podobnie. Żadnych szans na bezpieczną żeglugę. Gdy tylko udało im się opuścić ten groźny akwen, pod pełnymi żaglami popłynęli prosto na północ. Ta niebezpieczna przygoda pozostawiła

w świadomości Abła Tasmana trwały uraz. Na poszukania nowych wysp i lądów nikt nie miał już ochoty. Wyprawa pośpiesznie pożeglowała dalej w kierunku zachodnim dookoła Nowej Irlandii. Po dziesięciu miesiącach, 15 marca 1643 roku, dotarła do Batawii. W taki to niemal tragiczny sposób odkryto archipelagi Tonga i Fidzi. Tak się złożyło, że za chwilę postawię stopę na Taveuni, wyspie naniesionej po raz pierwszy na mapę przez Tasmana.

## Taveuni, czyli w ogrodzie Fidzi

Nagle koniec przyjemnego wiatorku, jaki wiał na pokładzie Sofi. Prom podpływa do betonowego moła, zaraz za nim, na zboczu, wszechogarniająca zieleń. Uderza gorące i duszne powietrze. Na pokładzie ścisk, wszyscy jak na komendę ustawiają się do wyjścia. Z ładowni dochodzi warkot samochodów i smród spalin. Prom przy pływa do Somosomo raz w tygodniu. Dla mieszkańców wyspy jest to ważne wydarzenie. Można też dolecieć tu małym samolotem, ale to drogo i nie każdego stać. Na betonowym moła stoi grupka ludzi oraz kilka samochodów osobowych i ciężarówek załadowanych miejscowymi warzywami, głównie taro. Nawiązana na promie znajomość opłaciła się. Starszy pan Luis zaproponował mi noclegi u swojego kuzyna Epeli. Podobno prowadzi on w Matei tani pensjonat tuż przy plaży. Z mapki wynika, że jest to gdzieś na północnym skraju wyspy. Obecnie jest okres poza sezonem turystycznym, więc powinno być wolne miejsce do spania. Mój dobroczyńca, pan Luis, odebrał ze szpitala w Suvie swoją żonę i teraz razem wrócili do domu. Mieszkają w Welagi, siedem kilometrów przed Matei. Zaproponował, bym zabrał się razem z nimi taksówką. Bardzo mi to pasowało, stamtąd będę miał już blisko.

Prawie wszystkie wioski położone są przy drodze biegnącej wzdłuż brzegu. Tylko jedna droga przecina wyspę w poprzek, jednakże nie przez środek, raczej w pobliżu południowego brzegu. Na południowo-wschodnim brzegu nie ma żadnej drogi. Można tam tylko dojść pieszo lub dopłynąć łodzią. Publiczny transport na Taveuni jest bardzo ograniczony, więc każdy organizuje sobie na własną rękę powrót do domu. Jedziemy asfaltową szosą tuż nad wodami zatoki. Po prawej stronie ciągną się wzgórza dochodzące do drogi. Brzeg z tej strony opada stromo do morza. W wielu miejscach jest tak wąsko, że nie da się postawić domku. Tam, gdzie jest trochę szerzej, widać kilka skromnych posesji.

Jestem pod wielkim wrażeniem wszechobecnej bujnej roślinności, jakiej dawno nie widziałem. Około 200 metrów od przystani mijamy granitowy słupek. Wyznacza on dokładnie miejsce przebiegu 180 stopnia południka geograficznego.

Dokładnie po drugiej stronie globu ziemskiego jest Greenwich pod Londynem, ze swoim południkiem zerowym, tu zaś maleńka Wairiki, tak samo ważna, ale nikomu w świecie nieznana. Znak tylko mignął przed oczyma, jeszcze to miejsce odwiedzę. Jedziemy widokową szosą wzdłuż cieśniny Somosomo, która oddziela Taveuni od wyspy Vanua Levu.

Jest ładna pogoda, więc widok na tę górzystą, zieloną wyspę mam wprost doskonały, nawet stąd, z odległości ośmiu kilometrów. Droga nie jest prosta, okrążamy kilka niezwykle malowniczych małych zatok. Na zakrętach są dość strome podjazdy. Z tych miejsc zawsze roztacza się pocztówkowy widok. Łańcuszek białych pian przyboju oddziela turkusowe wody płytczynny od granatu głębi cieśniny. Dodajmy do tego wtopione w krajobraz kępy pochylonych palm kokosowych i mamy obraz jak z bajki. A na deser jeszcze widoczne na horyzoncie liczne zielone wysepki. Czuję się podekscytowany, dopiero teraz tak naprawdę dociera do mnie, że jestem na końcu świata. Bo czyż nie jest nim okruszek lądu zagubiony gdzieś na bezmiarze Oceanu Spokojnego? Mijamy jedną ze ślicznych zatoczek, nasz samochód po chwili zjeżdża w prawo w gruntową dróżkę. Stara, wyeksploatowana toyota ledwie daje sobie radę, szorując podwoziem po kamienistych koleinach i błocie. Jeszcze 200 metrów i zatrzymujemy się w Welagi, małej fidżyjskiej wiosce. Już w samochodzie dowiaduję się, że wszyscy mieszkańcy są bardzo religijni. To członkowie Kościoła ewangelicko-metodystycznego, wyczuwam, jakie to dla nich ważne. Kilkanaście skromnych domków z blaszanymi dachami i kościółek na uboczu to już wszystko. Przed posesjami wystrzyżone trawniki oraz kępy krotonów i nieznanych mi innych ozdobnych krzewów o kolorowych, plamistych liściach. Z drzew najliczniejsze są wysokie palmy kokosowe, a poza tym rosną tam bananowce. Tworzą ogromne kępy, wysokie na kilka metrów. Przez zwisające suche liście,



których nie chce się nikomu obrywać, wyglądają trochę szpetnie. Nie przeszkadza im to jednak rodzić dorodnych i smacznych owoców.

Do Matei zostało siedem kilometrów, za opłatą właściciel toyoty proponuje mnie tam zawieść. Jest upał, nikt się nie śpieszy. Jeszcze na chwilę siadamy, by napić się chłodnej wody. Pan Luis chce mi pomóc załatwić noclegi. Ku mojemu zadowoleniu postanawia jechać razem ze mną, a przy okazji odwiedzić kuzyna.

Dobrą szosą do Matei jedziemy tylko kilkanaście minut. Po drodze z prawej strony całe wzgórze to plantacja strzelistych palm kokosowych. Pod koniec drogi samochód pokonuje wzniesienie, z którego jeszcze ładniej prezentuje się poszarpany zatokami wschodni brzeg Vanua Levu. Słońce zniża się do horyzontu. Chmury zaczynają przybierać fantastyczne kształty i kolory w ciepłych deseniach czerwieni. Dojechaliśmy do Matei. Na wprost, w odległości około dwudziestu kilometrów, ukazały się górzysta Raba i kilka skalistych wysepek. Jeszcze kilka zakrętów i po chwili zajeżdżamy pod niski drewniany domek. Jestem na północnym przylądku wyspy. Prawdopodobnie to właśnie miejsce dostrzegł w styczniu 1642 roku Abel Tasman, ratując swoje statki przed rozbiciem o rafy koralowe. Oznaczył ten punkt na mapie i odnotował w dzienniku.

Posesję od szosy oddziela niski żywopłot z krzewów o różnokolorowych liściach. Nie ma tu bramy, na wprost wjazdu stoi prosty drewniany domek. Przed frontem ma dobudowaną obszerną werandę bez ścian. Przed budynkiem zadbany „trawniczek”, ale nie z trawy jak u nas, tylko z drobnych listków jakiejś roślinki. Są też rabaty z wielobarwnymi kwiatami, lecz największą ozdobę stanowią krzewy o fantastycznych, różnobarwnych liściach – krotony. Z tyłu, za posesją, jest ogród, widzę też wysokie palmy kokosowe i inne egzotyczne drzewa.

Przywitał nas czterdziestosiedmioletni kuzyn Luisa, Epeli, wraz z żoną Mary. Gospodarz to potężne chłopisko, jakby rodem z Polinezji. Przystojny, od razu poznać, że nie jest Melanezyjczykiem. Krótkie czarne włosy, śniada gładka skóra bez widocznego zarostu. Facet dość konkretny, znacznie mniej wylewny od żony. Mary to typowa Fidżyjka. Jak większość miejscowych kobiet tęgawa, z kulą czarnych włosów i uśmiechem na sympatycznej buzi. Pożegnałem uczynnego Luisa i obiecałem go odwiedzić, gdy będę w pobliżu. Z ustaleniem warunków mojego pobytu nie było problemów. Mile zaskoczyła mnie zaproponowana cena, niższa od spodziewanej. To znacznie polepszyło mi humor. Epeli miał ochotę jeszcze trochę pogadać, ale widząc moje zmęczenie, zaprowadził mnie na kwaterę.

Kilka metrów na lewo od domku właścicieli stoi mały drewniany budynek z dachem pokrytym blachą. Sympatyczna rodzina dorabia sobie prowadzeniem niewielkiego pensjonatu. Jest tu pięć skromnych pokoi z prostym zapleczem kuchenne-sanitarnym. Pensjonat służy raczej miejscowym. Zagraniczni turyści tych kilka dni w rajku wolą spędzić w lepszych warunkach. By wejść do środka, trzeba przejść przez gąszcz egzotycznych roślin ozdobnych. Widać, że gospodarze kochają kwiaty, szczególnie storczyki, których w ogrodzie jest zatrzęsienie. A przecież dookoła same sobie bujnie rosną. Dopełniając opisu mojego miejsca noclegu, dodam coś jeszcze: do oceanu mam tylko trzydzieści kroków! Wystarczy przejść przez drogę... Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że od samego początku pobytu na Taveuni będę miał takie cudowne lokum.

Napiszę jeszcze o tym, czego dowiedziałem się po drodze. Właścicielem posesji jest Mary, która dziedziczy ją po przodkach. Na Fidżi do obrotu gruntami rolnymi dopuszczeni są tylko rdzenni Fidżyjczycy. Jednak wiadomo, że na wielu wyspach atrakcyjne turystycznie miejsca mimo to trafiają w obce ręce.

Oprócz mnie w hoteliku mieszka czterech Indofidżyjczyków. To budowlańcy z sąsiedniej wyspy, pracują na posesji obok. Młodzi chłopcy w wieku dwadziestu-dwu dwadziestu siedmiu lat. Jak przystało na Hindusów, są drobni i szczupli, z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami. Z natury pogodni i weseli, trochę śmieszni w zachowaniu. Już od pierwszej chwili nawiązałem z nimi znajomość. Świetnie mówią po angielsku, jednak między sobą i w domu rozmawiają w języku hindustani.

Na Fidżi wszyscy znają pozostawiony po Brytyjczykach angielski, którego uczą się w szkołach. Rdzenni Fidżyjczycy powszechnie używają między sobą fidżyjskiego. Te trzy języki w komunikowaniu się na całym archipelagu są równoprawne. W pensjonacie można również coś zjeść. Mary dobrze gotuje, więc moi młodzi sąsiedzi korzystają z wyżywienia.

Chłopcy zaprosili mnie na wspólne wieczorne picie kawy. Bardzo byłem ciekawy tego miejscowego, egzotycznego napoju, o którym tyle słyszałem. Podziękowałem i powiedziałem, że może jutro, bo dzisiaj jestem zbyt zmęczony i muszę odpocząć. Poszedłem się rozpakować. W małym pokoiku są tylko dwa łóżka i taboret. Za taką cenę to aż nadto! Jedno łóżko będzie szafą i siedzeniem, a taborecik stolikiem.

Bardzo zadowolony z dzisiejszego dnia postanowiłem udać się do sklepu, bo nie mam jedzenia. Rażno ruszyłem w drogę, nie zdając sobie sprawy, że to tak daleko. Ale długi spacer nie był na darmo. Kupiłem, co trzeba, a w połowie drogi powrotnej nieoczekiwanie spotkała mnie niespodzianka. Zatrzymał się koło mnie samochód, w którym, ku mojemu zaskoczeniu, siedział Rudi, rubaszny facet poznany na promie. Bez ceregieli zaproponował mi na jutro wspólną wycieczkę samochodową po wyspie – jak mógłbym odmówić?! Umówiliśmy się na jedenastą rano. Z werwą wracałem do hoteliku, myśląc o jutrzejszej darmowej wycieczce. Jednak ciężkie chmury na wieczornym niebie nie wróżą nic dobrego. Tylko kwestią czasu jest nadejście deszczu. Nowy problem... Oby nie lało jutro, niech wypada się w nocy...

## Upały i deszcze, czyli życie pod równikiem

Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem pod moskitierą, słuchałem, jak po blaszanym dachu dudni deszcz. Barak niski, bez jakiegokolwiek poddasza, więc nad głową perkusja. Dobrze, że nie dołączyły do tej orkiestry komary, bo byłaby symfonia. W pokoiku są dwa okna. Zamiast całych szyb mają ruchome, sprzężone jedną dźwignią paski szybek. W zależności od potrzeby można ustawić mniejszy lub większy dostęp powietrza. Tu, na Fidzi, wszystkie domy mają takie okna, w tym klimacie to wspaniałe rozwiązanie. Każdy tropikalny deszcz, a raczej krótka potężna ulewa, orzeźwia na pewien czas powietrze.

Dzisiejszej nocy nie skorzystałem z tego dobrodziejstwa, gdyż deszcz walił prosto w okna nad łóżkiem. Musiałem je szczelnie zamknąć, by nie zalało posłania. Nie jestem śpiochem, wręcz lubię wcześniej wstawać. Moim budzikiem jest nowy dzień. Choćbym zasnął późno, to i tak budzę się o świcie, tak mam już od dziecka. Nie mogę zrozumieć ludzi, którzy wylegają się nieraz do południa.

Opiszę krótko, jak wygląda dzień pod równikiem. Brak tu naszych długo się ciągnących świtów i zachodów. Około godziny szóstej zza horyzontu wyskakuje wielka czerwona kula. Przez moment można ją podziwiać gołym okiem, ale już za chwilę będzie to niemożliwe. Temperatura jest wtedy najniższa. Kto chce pracować lub spacerować, powinien to zrobić najpóźniej do godziny dziesiątej. W porze suchej już około południa upał staje się nie do zniesienia. Tymczasem w porze deszczowej w tych samych godzinach pojawiają się chmury i leje jak z cebra, chociaż nie zawsze. Zazwyczaj pada krótko, od kilkunastu minut do godziny lub dłużej. W tym czasie spada temperatura, a po deszczu powietrze staje się nieznośnie duszne. Nie wiem, ile razy w nocy lało.

Rano, gdy wyszedłem z domku, niebo nie wróżyło dobrej pogody, ale temperatura była super. Stwierdziłem, że poczekam i zobaczę, co będzie dalej. Chłopaki z budowy pracują przez siedem dni w tygodniu, więc jeszcze smacznie chrapią w sąsiednich pokojach. Już bliżej oceanu nie można mieszkać, z mojego pokoju dobrze go widać i słyszeć. Po parnej i gorącej nocy nie mogę dłużej już wytrzymać w dusznym pokoju. Uchylenie szybek w oknach nic nie dało.

Nie zważając na ponurą pogodę, po raz pierwszy wychodzę na moją plażę. Przechodzę przez asfaltową drogę i już jestem na piaszczystym brzegu uroczej zatoczki. Z bliska zauważam jednak, że piasek jest wymieszany z dużą ilością wygładzonych szczątków koralu, więc lepiej nie chodzić tu boso. Tu, na północnym wybrzeżu Taveuni, to lava wulkaniczna uformowała brzeg. Stygnąca w zimnej wodzie gorąca lava stworzyła różne formy skalne. Takich plaż unika większość turystów. Mnie się poszczęściło, moja mała piaszczysta plaża jest tu wyjątkiem. Za to południowa część wybrzeża, w okolicy Loveny, obfituje w piękne lagunowe plaże. Kto oglądał film *Błękitna laguna*, niech wie, że to ta plaża urzekła widza swoim pięknem.

Jeszcze jedno, jeśli chodzi o wulkany. W prehistorycznych czasach, gdy z oceanu wyłaniały się skrawki lądu, dziś nazywane Fidzi, towarzyszyły temu nieustanne wybuchy i erupcje. Trudno określić

dokładnie, kiedy to było, ale na pewno na długo przed przybyciem na Viti Levu i Vanua Levu pierwszych ludzi. Inaczej jest tu, na Taveuni, trzeciej największej wyspie archipelagu, nazwanej ogrodem Fidži. Jeśli coś nazywamy ogrodem, to oprócz sprzyjającego klimatu musi być również dobra gleba. Taka właśnie tu jest – urodzajna, wulkaniczna. Niemal całe wnętrze wyspy to porośnięty dżunglą bazaltowy masyw wulkaniczny. Bardzo trudno dostępny, niezamieszkały obszar wyspy. Wulkanolodzy naliczyli tu aż 167 większych i mniejszych wygasłych stożków i kraterów. Najwyższy ma aż 1241 metrów wysokości. Ostatnia jego erupcja była stosunkowo niedawno, bo w 1658 r.

## Wędrówki po podzielonym już ogrodzie

Kiedy planowałem wyjazd na Fidži, w ogóle nie brałem pod uwagę klimatu, jaki tam panuje. Zawsze twierdzę, że każda pora jest dobra, ma swoje zalety i wady. Dla mnie ważniejszy jest koszt biletu i dlatego sezon klimatyczny nie ma specjalnego znaczenia. W tropikach nigdy nie można być pewnym oczekiwanej pogody. Na Fidži właśnie tak jest. Lato trwa od listopada do lutego, to okres bardzo zmiennej pogody. To czas upałów nie do zniesienia, ale i wielu dni pochmurnych i deszczowych. Nie ma jednak reguły, gdyż przez wiele dni może być ładna pogoda. Od grudnia do marca o archipelag czasami zaczepi cyklon, niekiedy potężny. Niszczy nie tylko palmy kokosowe, domy, ale i wyrwa z ziemi rośliny okopowe, takie jak taro, kasava, jam. Razem z cyklonem najczęściej idzie ogromna ulewa i zalewa jak potop wszystko dookoła. Zima trwa od kwietnia do września, jest mało deszczu, a temperatura spada tylko nieznacznie. W tym okresie nie ma cyklonów. To szczyt tutejszego sezonu turystycznego, więc trudno znaleźć tanie noclegi.

Jak obiecał wczoraj, punktualnie o 11.00 przyjechał Rubi. To rodowity Fidżyczyk z Suvy. Starszy, tęgawy jegomość o wesołym usposobieniu, z buzią, która nigdy się nie zamyka. Stale coś mówi, nawet do siebie. Strasznie sepleni, więc prawie go nie rozumiem. Udaję jednak, że jest inaczej. Z potoku słów zrozumiałem tylko, że przy okazji kilkudniowego wypoczynku załatwia sprawy biznesowe, handluje działkami. Odwiedza Taveuni nawet kilka razy do roku. Wyspa ostatnio to prawdziwy kąsek dla ludzi bogatych, którzy mają zamiar wydać pieniądze na zakup działki lub domu. W nocy lało, rano nie zapowiadał dobrej pogody. Teraz zaś siąpi tylko co pewien czas.

Ruszyliśmy w kierunku miejscowości po przeciwnej, czyli zachodniej stronie wyspy. Jedziemy przez Neqarę, Somosomo, Waievo, Wairiki. Potem skręcamy w lewo i wjeżdżamy coraz wyżej pod górę. Przy drodze stoją ładne parterowe domy z dobrze utrzymanymi ogrodami, w których rośnie pełno egzotycznych drzew i krzewów – krotonów o kolorowych liściach – i kwiatów, jak bugenwille czy hibiskusy. Mijamy sporo domków w budowie. Na pierwszy rzut oka widzę, że teren jest już rozparcelowany i to tylko kwestia czasu, kiedy całe wzgórze będzie zasiedlone. Na szczęście zrobiła się pogoda, wiatr przepędził przygnębiające chmury. Przed nami pejzaż jak z pocztówki. Z góry doskonale widać prawie całe północne wybrzeże wyspy z wioseczkami rozłożonymi wzdłuż brzegu. Widoczną w dole szosą niedawno jechaliśmy. Turkus płytkich przybrzeżnych wód przechodzi dalej w ciemny granat głębi cieśniny Somosomo. Stąd jak na dłoni widać wyspę Vanua Levu. Wyszliśmy rozprostować kości, przy okazji zrobię parę zdjęć. Jesteśmy na skraju rzadkiego lasu, trudno go nazwać tropikalnym. Bardziej przypomina zaniedbaną starą plantację. Rozróżniam palmy kokosowe, drzewa chlebowe i bananowce. Jedziemy z powrotem, gdyż Rubi zaprosił mnie na obiad. Z drogi widać fachową robotę ogrodników, trawa zadbaną, wszędzie porządek. Wszystkie prace prowadzone są z rozmysłem, tak by zachować piękne otoczenie z widokiem na morze. Rubi co chwilę wyskakuje z samochodu ze swoją wysłużoną skórzaną teczką, pełną map i planów geodezyjnych. Śmiesznie wygląda w niedopasowanych spodniach, gdy biega małymi kroczkami po mokrej trawie. Coś mruczy pod nosem i gada sam do siebie, orientując mapki w terenie. Ja w tym czasie mogę zrobić kilka zdjęć i nakręcić trochę filmu.

Ziemia na Fidži to zapalny i skomplikowany problem w stosunkach pomiędzy dwoma społecznościami. Już na początku rządów Brytyjczyków wprowadzono prawo chroniące krajowców przed pochopną i lekkomyślną sprzedażą gruntów. Gdyby tego nie było, obrotni i przedsiębiorczy Hindusi mieliby w swych rękach prawie całą ziemię na Fidži. Już szósta generacja napływowej ludności z Indii boryka się z ostatecznym rozwiązaniem wielu problemów, określeniem swojego statusu, ale

zawsze coś stoi na przeszkodzie. Na Fidżi żyją społeczności różniące się wyznawaną wiarą, językiem, kulturą, a nawet kuchnią. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Fidżi było sceną kilku przewrotów wojskowych. Wszystkie miały związek z tarciami pomiędzy rdzenną wyspiarską ludnością a przybyłymi w XIX wieku Hindusami.

W południe upał i duchota stały się nie do zniesienia. Na razie mam dosyć wrażeń, trzeba odpocząć w cieniu. Po chwili znów jesteśmy w pobliżu brzegu na głównej drodze. Rubi zaprasza mnie na dobrą kawę, podobno najlepsza jest na tarasie baru Garden Hotel w Wairiki. Na wyspie jest wiele drogich, małych pensjonatów, w których można odpoczywać, zażywając wszystkiego, co oferują wyspa i otaczające ją wody. Garden Hotel to największy tutaj typowy hotel konferencyjny tuż przy drodze. Nie jest tu tanio, osobiście unikam takich miejsc z wiadomej przyczyny. Inna sprawa, gdy jestem zaproszony. Za budynkiem, przy tarasie, duży błękitny basen kąpielowy.

Usiedliśmy przy stoliku w pobliżu basenu. Zbawczy cień tarasu chronił od zabójczego, południowego słońca, a od morza przyjemnie wiało. Zamówioną kawę do stolika przyniosła w dzbanku piękna dziewczyna z baru. Piję i z ciekawością przyglądam się nietoperzom. Nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie hałas, jaki robią. Tuż za basenem rośnie kilka wysokich drzew. To na ich gałęziach wiszą setki tych dużych latających ssaków. Gdyby na wyspie były jaskinie, to te nocne zwierzęta miałyby gdzie spędzić gorący dzień. Tutaj upalne dni mogą przetrwać tylko na drzewach, w cieniu liści. Z ciekawością patrzę na te mało sympatyczne zwierzątka. Owe myszopodobne stworki dla wielu są odrażające. Przepychają się i piszcząc, kłócą się o miejsce, by uciec od żaru słonecznego. Na świecie są miejsca, z których o zmroku na żer wylatują jednocześnie setki tysięcy tych dziwnych, jedynych latających ssaków. U nas w Polsce nie mamy problemów z nietoperzami, gdyż są owadożerne i przez to pożyteczne. W tropikach zdecydowanie gustują w dojrzałych owocach i są prawdziwą udręką rolników. W Indonezji, na wyspie Flores, osobiście widziałem zniszczone przez nie uprawy papai. Tam jedynym pożytkiem z tych szkodników jest delikatna pieczeń, tak na otarcie łez...

## Żywa plaża

Na wyspie Taveuni nie ma elektrowni. Kto chce mieć wieczorem światło, musi kupić paliwo i uruchomić agregat. Dla nas, przyzwyczajonych do długiego przesiadywania wieczorami, to problem.

Mam założoną czołówkę, ale ile czasu można spędzić z takim oświetleniem? Po osiemnastej wszędzie już ciemno, i tak do szóstej rano. W moim pokoju prąd miał być od osiemnastej do dwudziestej drugiej, ale nie było. Nie wiem dlaczego, może z oszczędności? Paliwo jest tu bardzo drogie. Dostałem lampę naftową, bardzo fajnie, ale czym ładować akumulatorki?

Po kilku dniach cała rodzinka wyjechała na jakiś czas. Zostałem sam na gospodarstwie. W długie wieczory nie ma tu co robić. Z atrakcji jest tylko brzeg oceanu, ale ile można siedzieć nad wodą, gapiąc się w dal? W pobliżu jest kilka pensjonatów, które oferują rozrywkę dla turystów, ale to nie na moją kieszeń. Pięć minut drogi od domu, na końcu mojej koralowej plaży, jest urocze widokowe miejsce. Bar, który nazywa się Tramonto. Na klifie pobudowano drewniany budynek z zadaszonym tarasem. Stoi tam kilkanaście stolików, przy których późnym popołudniem robi się tłoczno. Po upalnym dniu szukający ochłody i spragnieni turyści mają tu raj. Skoro to bar, nie wypada siedzieć o suchym pysku. Stoliki zastawione są piwem, drinkami i pizzą. Do późnej nocy jest wesoło i gwarno. Na szczęście na widokowy taras można wejść prosto z drogi, zawsze i o każdej porze. To niezwykle miejsce, nie tylko z racji cudownego widoku, ale też chłodnego powiewu wiatorku znad oceanu, nawet w najgorętsze dni. Często chodzę tam czytać w czasie upałów. W dzień można tu zastać rodzinę kotów właściciela. Co robię wieczorami? Nie więcej jak dwie godziny czytam lub robię notatki, potem idę pod moskitierę. W tej duchocie trudno zasnąć. Uchylone szybki w oknach i otwarte drzwi na niewiele się zdają, gdyż na zewnątrz jest tak samo. Leżeć w łóżku i przewracać się z boku na bok to istny koszmar. W końcu jakoś zasypiam.

Budzę się wcześniej, a po zimnym prysznicu jestem już na chodzie. Ranek jest zawsze przyjemnie chłodny, dlatego idę przejść się wzdłuż brzegu. O tej porze fale dochodzą prawie pod drzewa. Trochę ciężko iść, bo jest bardzo wąsko. Ten pasek plaży, którym idę, w każdej chwili może zalać nadbiegająca

fala. Myślałem, że wszystkie fale są równe, ale tylko do czasu, kiedy zostałem zalany do pasa. Teraz już wiem, że co któraś fala jest niebezpiecznie wysoka. Każdego dnia około dziesiątej rano woda zaczyna odpływać, ocean cofa się, a po południu, około szesnastej, powraca. To powszechne zjawisko nazywa się pływami morskimi. Problem zmian poziomu morza powinien dotyczyć marynarzy i rybaków, a nie turystów. Jednak mnie interesuje z tej przyczyny, że nie podoba mi się odkryty skalisty brzeg. Jest brzydki, a w dodatku cuchnie, gdy przypiecze słońce. Brzeg jest wtedy nefotogeniczny. Byłem na pięknej plaży w Vidawie. Cudowna pogoda, a wody nie ma. Jest cofnięta gdzieś daleko i rozbryzguje się na rafach koralowych. I jak tu zrobić ładne zdjęcie? Te ciągle zmiany spowodowane są przez siły grawitacyjne Księżyca i Słońca. Woda na Ziemi od strony Księżyca ulega jego przyciąganiu, czyli się wybrzusza. Jeżeli w jednym miejscu jest jej więcej, to w innym musi być mniej. Te wypiętrzenia posuwają się naprzód w miarę ruchu Ziemi i Księżyca. Konfiguracje Słońca i Księżyca stale się zmieniają względem siebie i przez to wysokości pływów ulegają zmianom.

Plaża, przy której mieszkam, z obu stron przechodzi w skaliste, bazaltowe wybrzeże, niebezpieczne dla bosych stóp. Tu, gdzie dookoła występują rafy, na plaży zawsze jest sporo odłamków koralu wymieszanych z piaskiem. Dlatego, dla własnego dobra, lepiej nie zdejmować sandałów. Kto pierwszy raz będzie na tropikalnych plażach, zwróci uwagę na mnogość krabów, są ich miliony. To zwierzęta bezszkieletowe, zamiast szkieletu mają na powierzchni skorupę lub twardą skórę, do której przytwierdzone są mięśnie. U kraba nie zobaczysz też krwi, bo jest bezbarwna. Występują w bardzo wielu gatunkach i odmianach. Jedne pełzają wolno, z ochronną muszlą na grzbiecie, jak gdyby z domkiem. W miarę wzrostu krabik szuka większej muszki, zdobywa ją przez zabicie i pożarcie ślimaka lub znajduje muszlę opuszczoną. Krabiki, które nie noszą ochronnego domku, przebywają w pobliżu wykopanych nerek. Tam błyskawicznie umykają w chwili zagrożenia. Duże kraby dobrze ukrywają się w głębokich norach. Są miejscowym przysmakiem, ale trudno się do nich dostać. Kraby to zwierzęta pogranicza lądu i morza. Mają niesamowicie dobry wzrok, nie dają się nawet przydepnąć, gdyż błyskawicznie uciekają do nerek.

Wzdłuż plaży brzeg porasta bujny gąszcz krzaków i drzew namorzynowych. Poza linią pływów zaczyna się bujna roślinność, rosną tu palmy kokosowe, ogromne drzewa – fikusy i wiele innych mi nieznanych. Wśród namorzyn można zobaczyć mnóstwo zwierzątek. Tu, wśród śmierdzącego i oślizłego środowiska, widać małe pełzające, ruchliwe stworzonka. Wyglądają jak kilkucentymetrowe rybki lub kijanki z wypukłymi, ruchliwymi oczkami. Mają silnie rozwinięte płetwy piersiowe i ogonki, którymi posługują się jak kończynami. Są jednym z nielicznych na ziemi reliktyw epoki, gdy pewne formy życia opuszczały wody i przystosowywały się do atmosfery. Oddychają równie swobodnie przez skrzela, jak przez płuca, co umożliwia im życie w wodzie i na ziemi. Poruszają się niezwykle szybko po kamieniach i piasku. Czasem wspinają się na nisko zawieszony gałęzi zarośli namorzynowych i z pluskiem zeskakują do wody w razie zagrożenia.

Moim ulubionym miejscem rannych obserwacji jest potężny pień drzewa z odsłoniętymi korzeniami. W pobliżu rośnie kilkanaście pochylonych palm kokosowych. Przy leciutkim wietrze szelest pierzastych liści słychać już z daleka. Wszędzie, gdzie rosną te piękne i pożyteczne drzewa, należy bezwzględnie przestrzegać przykazania – nigdy nie siadaj pod owocującą palmą! Obserwuję, jak z każdą falą morze troszeczkę się cofa. Na mokrym piasku przesuwają się muszki i wodorosty. W miarę opadania wody można zobaczyć małe kolorowe, tęczkowe rybki i węzowidła oraz niebieskie rozgwiazdy. Te szkodniki młodych raf koralowych są nieraz niesamowicie piękne. Nocne morze lubi niekiedy sprawiać niespodzianki. Kto rano wstaje, temu morze daje... Rankiem czasami można znaleźć kawałek ułamanego koralu. Te małe kikuciki koralowych ogrodów są kruche i bajecznie barwne. Między skałami na płytkiej wodzie spotkać można brunatne strzykwy. Ten wstrętny dla wielu ludzi workowaty stwór jest jednym z przysmaków chińskiej kuchni. Co ciekawe, są tu nawet specjalne hodowle tego paskudztwa.

## Domowe zajęcia w tropiku

Po śniadaniu młody szef ekipy remontowej, Bridge, zaprosił mnie na wieczorne picie kawy. W najbliższych dniach kończą roboty na sąsiedniej posesji przy układaniu glazury. Praca z dała od rodzin

trwała kilka tygodni i są szczęśliwi, że wkrótce wrócą na swoje wyspy. Jest więc okazja do małej wspólnej imprezy. Zapowiedzieli własnej roboty indyjskie jedzenie i fidżyjską kawę. Potem oni poszli do roboty, a ja zabrałem się do prania swoich przepoconych rzeczy. Od dwóch dni jest piękna pogoda, czyli tak gorąco, że nie ma gdzie się schować przed upałem. Rozwieszane na sznurku lub rozłożone na krzakach pranie schnie w mig. Prawie każdego dnia duże pranie ręczne, a raczej nożne, robi również Mary. W ogrodzie za domem dwa długie sznury są zawsze pełne prania. Pralki nie ma, ale Mary ma swoje sposoby. W dużej, ocynkowanej, okrągłej wannie słońce gratisowo nagrzewa wodę. Po włożeniu rzeczy i wsypaniu proszku lub mydła Mary podkasuje spódnicę i wchodzi do wanny. Długo miętoli brudy, drecząc w kółko. Wygląda to dość paradnie, podobnie jak u nas dawniej kisenie kapusty w becze. Potem wszystko płucze i rozwiesza. Po tej żmudnej robocie w słońcu jest tak zgrzana, że idzie się ochłodzić długą kąpielą pod zimnym prysznicem do pobliskiej komórki.

Około południa z pola wrócili Epeli z synami Kenem i Jonem. To bliźniaki, dzieci Mary z jej pierwszego małżeństwa. Potężne, tęgawe chłopaki w wieku około dwudziestu lat. Mają jeszcze siostrę Helen, która pracuje w szpitalu w miejscowości Waievo. Rodzina Epeli to farmerzy. Głównym źródłem utrzymania jest spora plantacja taro, palmy kokosowej, papai i bananów. Do plantacji jest około ośmiu kilometrów, leży na wzgórzach za wioszczką Welagi. Rolnictwo w tym gorącym klimacie to ciężki kawałek chleba. Mimo że wszystko dobrze rośnie, wymaga dużo pracy. Każdego ranka, bez względu na pogodę, jadą pikapem do pracy. Mały pensjonat, w którym mieszkam, jest tylko dodatkowym źródłem dochodu.

Kilka metrów za domem w ogrodzie znajduje się kuchnia. Jest to prosta wiata o wymiarach dwa na trzy metry. Cztery słupy podtrzymują blaszany dach. Całe wyposażenie to stół z paleniskiem. Dla rodziny fidżyjskiej kuchnia jest bardzo ważnym miejscem. Znając ich zamiłowanie do dobrego jedzenia, rozumiem to doskonale. Lubią pichcić i nie szcędzą czasu na przyrządzenie dobrego posiłku. Żaden żonaty mężczyzna na Fidży nie dotknie się prania, ale przyrządzanie jedzenia to zupełnie inna sprawa. Nie wstydzą się tego i chętnie w kuchni pomagają. Dzisiaj z ogrodu przywieźli świeże taro, orzechy kokosowe i papaje.

Wszyscy zabrali się do gotowania. W moich podróżach zawsze szczególnie interesuje mnie kuchnia, lubię przyglądać się, jak przyrządzane jest jedzenie. Ciekawi mnie, co się jada, a przy okazji zaglądam w kocioł – może coś z niego skapnie? Gotowanie, jak i przygotowanie produktów, odbywa się tu w ogrodzie, pod wielkim drzewem awokado. W domu nie ma kuchni, zawsze wszystko robi się na zewnątrz, w ogrodzie. Mary kroci tasakiem na desce dużego kurczaka, będzie przyrządzony w sosie z dodatkiem kokosa i curry. Epeli obiera bulwy taro. Jeden z bliźniaków zajmuje się kokosem – trzeba go obrać z grubej włóknistej łupiny i zetrzeć na wiórki. Drugi rozpala ogień i pomaga obierać taro, nazywane tu dalo.

Tak jak my lubimy ziemniaki i bez nich wielu nie potrafi zrobić obiadu, tak taro ważne jest w obiedzie Fidżyczyka. To duża roślina korzeniowa, najprościej porównać ją można do selera. Jadalna część to korzeń ważący od pół do dwóch kilogramów. Rozeta liściowa już nic wspólnego z selerem nie ma. Z korzenia wyrastają na długich pędach ogromne jak słoniowe uszy liście. Na świecie, w strefach gorących, jest wiele gatunków taro. Na zbiór trzeba czekać długo, chcąc mieć duży korzeń, nawet dziewięć miesięcy. Taro w uprawie nie jest łatwe, gdyż istnieje dużo szkodników korzenia i chorób liści. Korzeń na surowo jest niejadalny, bo zawiera szczawiany. Dlatego stosuje się moczenie, gotowanie, pieczenie i prażenie. Taro jest bardzo smaczne, odżywcze i łatwo przyswajalne. Wyspa Taveuni to prawdziwy potentat w uprawie taro. Prawie osiemdziesiąt procent fidżyjskiej produkcji pochodzi z tej małej wyspy. Jest tak dlatego, że wyspa jest wolna od groźnego szkodnika – taro beetle – i choroby – zarazy liści taro. Takie warunki uzyskano tu przez ścisłe przestrzeganie kwarantanny. Raz w tygodniu z przystani w Somosomo prom Sofi zabiera kilkadziesiąt ton tego warzywa. Na taro jest bardzo duże zapotrzebowanie, zarówno na Fidży, jak i za granicą. Sporo eksportuje się na Nową Zelandię, gdzie jest bardzo popularne.

Wypadałoby trochę napisać o tym warzywie, gdyż można je tu spotkać wszędzie. Korzenie obiera się tak samo jak ziemniaki. Epeli pokazuje mi, co się robi dalej. Chętnie mi opowiada wszystko do kamery. Mówi, że dobrze jest dodać do płukania trochę sody i odczekać chwilę. Taro kroci się na połówki

i wkłada do dużego garnka. Najlepiej smakuje, gdy garnek wyłoży się liściem banana. Z wierzchu również, zamiast pokrywki, obkłada się grubo liśćmi i stawia na wolnym ogniu. Gotuje się przez czterdzieści minut bez dodawania soli. Jedna ugotowana bulwa spokojnie starcza na posiłek dla jednej osoby.

W tym samym czasie Mary gotuje w małej ilości wody pociętego kurczaka, przyprawiając go pieprzem, solą i dużą ilością curry. Potem zawartość kociołka zalewa mlekiem kokosowym, sporządzonym ze zwiórkowanej kopry i soku z orzecha kokosa. Na koniec wszystko zagęszcza mąką pszenną rozbełtaną w wodzie. Dodatkowo do posiłku są ugotowane młode liście papai. Zamiast kompotu na deser jest obrany kawał dojrzałej papai. Fidżyjska kuchnia w nie tak odległej jeszcze przeszłości słynęła z popularnych na wyspach ziemnych pieców lovo. Zastępnęły one niechlubnie tym, że pieczono w nich tak zwane długie świnie, ale o tym innym razem...

Wieczorem będzie zapowiedziana impreza, chętnie spróbuję tradycyjnej kawy i hinduskich specjałów. Ciekaw jestem, jak chłopaki to zorganizują. W moim pensjonacie jest kuchnia z bieżącą wodą i piecykiem gazowym oraz miejscem na przygotowanie jedzenia. Aby obniżyć koszty pobytu, każdego dnia sam przyrządzam proste posiłki. W Matei są dwa sklepy i tam robię prawie codziennie jakieś zakupy. Kiedy jestem w Neqara lub Somosomo, to tam załatwiam sprawunki. Tamtejsze sklepy są lepiej zaopatrzone i tańsze.

Kawę potrzebną na dzisiejszą imprezę trzeba kupić w sklepie, jeśli się jej nie uprawia w ogrodzie. Niejeden z czytelników pomyśli o naszej małej czarnej. Jednak tu, na wyspach południowo-zachodniego Pacyfiku, nie o nią chodzi. Od niepamiętnych czasów mieszkańcy tego rejonu przygotowują napój kava z korzeni rośliny o nazwie yaqona, która jest krewnym popularnego pieprzu. Jest to sporych rozmiarów, rosnący wolno krzew. Kava to nazwa napoju, ale także potoczne określenie korzenia krzewu pieprzowego służącego do jej sporządzania. Najlepsze właściwości ma korzeń pięcio-, dziesięcioletni. Jednak mało kto ma tyle cierpliwości, dlatego wykopuje się korzenie trzy-, czteroletnie. Im starszy krzew, tym napój jest mocniejszy. Na Fidżi przyrządza się kawę z suszonego korzenia, na Vanuatu zaś wyłącznie ze świeżego. Po wysuszeniu korzeń rozdrabnia się w żeliwnych moździerzach, tłukąc żelazną pałą. Powstały jasnobrązowy proszek wsypuje się do specjalnej okrągłej miski zwanej tanoa i zalewa wodą. Teraz przystępuje się do dokładnego miętolenia ręką, na koniec wszystko precedza się przez szmatę i kava jest gotowa do picia. Cała procedura wygląda niezbyt apetycznie, a i sam napój pozostawia wiele do życzenia. To moje subiektywne, europejskie odczucie. Gotowa kava to mętna breja o kolorze kawy z mlekiem, jest gorzkawa i cierpka, jakby z dodatkiem pieprzu. Jednym słowem paskudztwo, ale łatwo można się do niej przyzwyczaić, a przez to nawet uzależnić. Kto pije, twierdzi, że kava relaksuje, daje jasność umysłu i odstresowuje. Wprowadza pijącego w euforię, podobno jest doskonała na bezsenność. Z drugiej strony wiadomo, że to napój na pograniczu narkotyku. W tej części świata jest to niezwykle popularna alternatywa dla alkoholu i papierosów. O ubocznych skutkach nikt głośno nie mówi, choć są. Powoduje nudności, szkodzi wątrobie, niszczy skórę i działa jak alkohol. Dlatego przed jazdą samochodem picie jej jest niewskazane, a nawet zabronione. Jeszcze do niedawna na Fidżi i Vanuatu eksportowały do Europy sproszkowane korzenie kawy na dużą skalę. Przynosiło to spore dochody. Specyfik ten można było kupić w aptekach w postaci proszku lub tabletek. Obecnie prawo całkowicie zabrania handlu kawą na obszarze Unii Europejskiej.

Pod wieczór moi hinduscy sąsiedzi zaczęli przygotowywać imprezę. Przy świetle lampy naftowej Bridge pichcił na piecyku hinduskie jadło. Kawę trzeba kupić, więc do sklepu Bula Bajo w Matei poszedł Salesh. Z ciekawością przyglądałem się gotowaniu. Przy okazji od Bridge'a dowiedziałem, że kawy nie wolno pić przed jedzeniem, bo można mieć nudności i wymioty. Tak się złożyło, że Epeli z synami również mieli ochotę na kawę. Szykowali ją w ogrodzie. Do naszej kuchni zajrzał Epeli, przyniósł kilka papai i zaproponował, byśmy imprezowali razem. I tak ostatecznie zostało.

Podczas picia pod drzewem chlebowym wszyscy siedzieliśmy na trawie. Było już całkiem ciemno, Epeli włączył agregat. Zaświeciły się żarówki i wtedy do światła zaczęło zlatywać się nocne, fruujące robactwo. Nie chciałem nic mówić, ale lepiej byłoby siedzieć w baraku. Tam przynajmniej nic nie lata, bo wszędzie są siatki, nawet w drzwiach. To bzyżące towarzystwo nie wadziło mi jednak tak jak ryczący i dymiący agregat prądowórczy. Stał niedaleko nas przy wiacie, w której Epeli stawia swój

samochód. Jak kaže tradycja, usiedliśmy po turecku dookoła dużej tanoy, ale tak, by stopy nie były zwrócone w jej stronę. Łatwo powiedzieć, ale trudno mi to wykonać, dla miejscowych to normalne, jeśli od urodzenia podwijają nogi. Gdybym był kobietą, mógłbym siedzieć „na syrenę”. Jednym słowem, jest to dla mnie prawdziwa udręka. Do tego kawa okrutnie wstrętna i cierpka. Czuję się podobnie jak po zastrzyku u dentysty, język staje mi kołkiem i drętwieje, gada się z trudnością.

Picie kawy to rytuał, więc należy przestrzegać zasad. Z tanoy czerpie się ją miseczką nazywaną bila. Ceremonię zawsze rozpoczyna gospodarz. Dawniej bila była zwykłą połówką orzecha kokosowego. Gdy Epeli już wypił, sam napełnił czerpak i po kolei częstował gości. Naczynie trzyma się oburącz i opróżnia bez odrywania ust. Wtedy należy krzyknąć: „Bula, bula” lub hinduskie „Matha”, co znaczy na zdrowie! Każdemu toastowi głośno wtórują wszyscy biesiadnicy, klaszcząc radośnie w dłonie. Nie mogłem być biernym widzem, pomimo heroicznej obrony musiałem wlać w siebie kilka miseczek tego paskudztwa.

Na szczęście po kilku kolejkach w jakiś sposób się wymknąłem i poszedłem spać. To chyba mit z tym dobrym snem po wypiciu kawy. Nie miałem ochoty na żadne jedzenie, nawet na indyjski dal bhat, przy którym Bridge tak się wcześniej napracował. Z tym halucynogennym działaniem to jakaś przesada, nie miałem. A może za mało wypilem? Nie mogłem się jednak przemóc, by kontynuować imprezę, mój organizm stawiał zdecydowany opór tej lurze... Zamiast dal bhatu zjadłem kawał papai i wsunąłem się pod moskitierę.

## Trochę historii i koniec słodkiego maleństwa Korony Brytyjskiej

Wiemy, jak tragiczny był dla ludów Oceanii najazd białego człowieka. Jak jedno po drugim ujarzmione zostały wyspiarskie państewka. Taki los spotkał też Fidżi. Około 1850 roku najpotężniejszym miejscowym wodzem był Ratu Thakombau, postrach archipelagu, a nawet sąsiednich wysp Tonga. W tych czasach na wyspach powszechnie uprawiano kanibalizm, makabrycznym ucztom nie było końca, piece lovo nie gasły. Ciekawa rzecz, że działają tu już misjonarze, ale tak jakby nie chcieli zbyt ingerować w miejscowe zwyczaje i okrutne praktyki. Chociaż kilku z nich daje szczegółowe opisy tamtych makabrycznych wydarzeń. Świat nie stoi w miejscu, więc rychło musi nadejść kres tego okrucieństwa.

Nadmierne wtrącanie się w sprawy tubylców było ryzykowne. Wódz rozsądnie myślał: „Gdyby im się coś stało, będzie odwet. Przyplyną okręty i skończy się moja władza”. Miał już kłopoty z białymi mętami, zesłańcami i cwaniakami, którzy wcześniej usadowili się na wyspach. Pewnego dnia w 1852 roku postanawia przyjąć chrzest i wprowadzić chrześcijaństwo na Fidżi. Zaraz też poleca zburzyć posągi bożków, zakazuje ludożerstwa, poligamii i duszenia wdów. Przy pomocy misjonarzy stawia pierwszy kościół. Chcąc podkreślić całkowite zerwanie z pogańską przeszłością, chrzcielnicę wykuto z symbolicznego kamienia. Jeszcze niedawno służył on jako stół, na którym dokonywano egzekucji i rozbioru ofiar przeznaczonych do zjedzenia. Taki nagły zwrot i zerwanie z tradycją wielu się nie spodobały. Trzeba było siłą nawracać tych, co Chrystusa nie uważali za Pana. Teraz Thakombau, jak rycerz krzyżowy, mieczem i maczugą podporządkowuje sobie niemal całe wyspy.

Tymczasem rośnie zagrożenie najazdami z wysp Tonga. Wcześniejsze łupieżcze wyprawy Fidżyjczyków siejących popłoch wśród sąsiadów już się skończyły. By zneutralizować wrogie desanty i wewnętrzną opozycję, Thakombau podporządkowuje się Brytyjczykom. W 1871 roku ogłasza się królem Fidżi. W jego otoczeniu natychmiast pojawiają się biali kryminaliści i szumowiny, chcący się dorobić. Fidżi staje się eldoradem dla bandytów i oszustów, zwłaszcza z pobliskiej Australii. Niezdrowa sytuacja rodzi nieuchronne konflikty.

W takiej to atmosferze, po trzech latach względnie niezależnej władzy, w roku 1874 zmęczony król poprosił Koronę Brytyjską o objęcie jego włości protektoratem. Królowa Wiktoria, ponoć z wahaniem, na to przystała. Kolonialne rządy Brytyjczyków trwały dziewięćdziesiąt sześć lat. Dopiero w 1970 roku Fidżi uzyskało niepodległość. Spokoju jednak nie było. Co pewien czas demokratyczne rządy były przerywane rozróbami. Główną przyczyną problemów była obawa przed dominacją społeczności hinduskiej nad rdzennymi Fidżyjczykami. W 1997 roku nowa konstytucja w końcu



uregulowała te sprawy. Ostatecznie ugruntowana została pozycja rdzennych mieszkańców, głównie w zakresie własności ziemi. Co zrozumiałe, nie spodobało się to wielu Hindusom. Spowodowało sporą emigrację i czasowe załamanie gospodarcze. Tam, gdzie muszą ze sobą współistnieć całkowicie odmienne narody, w dodatku na małej powierzchni, niełatwo jest zbudować jednolite społeczeństwo. Nigdy nie jest to możliwe do końca.

Tak się złożyło, że jestem na Fidżi w roku dużych zmian politycznych. Chociaż tego nie widać, to jednak czuć w powietrzu nadchodzące nowe. Słyszę, że od 2013 roku urodziny królowej brytyjskiej przestały być dniem wolnym od pracy. Data oficjalnych uroczystości utraciła status święta państwowego. Wizerunek królowej Elżbiety II nie zdobi już fidżyjskiej waluty. Jego miejsce zajmuje miejscowa flora i fauna. Wyraźnie widać, jak Fidżi wyłamało się ze Wspólnoty Narodów (Commonwealth).

## Na Mszy Świętej w Wairiki

W Wairiki stoi stary murowany kościół, związany z prawdziwą historią zdarzeń na Taveuni.

Wszystko zaczęło się w roku 1863, kiedy to miał miejsce największy najazd Tongijczyków. Historia tego miejsca jest bardzo ciekawa. W okolicy kościoła, w pobliżu brzegu cieśniny Somosomo, rozegrała się decydująca bitwa między miejscowymi wojownikami a najeźdźcami z wysp Tonga. Od niepamiętnych czasów wojownicy tych sąsiednich, wrogich sobie wysp stale na siebie napadali. Piece lovo ciągle dymiły, jeńców pieczono, a ludożerczym orgiom nie było końca.

Na to wszystko bezradnie musiał patrzeć nowo przybyły francuski misjonarz Marist. Z narażeniem życia próbował bezskutecznie założyć tu pierwszą Misję Katolicką. Pewnego dnia wyspę najechała niespodziewanie wielka armia wojowników z Tonga. Były ich tysiące, kilkakrotnie więcej niż wojowników z Taveuni, więc obrońcy nie mieli żadnych szans. Tongijczycy byli tak pewni wygranej, że zaraz po wyjściu z łodzi przystąpili do budowy ziemnych pieców lovo. By nie tracić czasu, przywieźli ze sobą owoce drzewa chlebowego i przyprawy do pieczenia. Ze starych przekazów wiemy, że w ostatniej chwili tragiczną sytuację uratował dzielny misjonarz. Miejscowy wódz za jego radą zarządził nietypowy manewr, którym całkowicie zaskoczył przeciwnika.

Nie znamy szczegółów, ale nowatorska taktyka pozwoliła pobić przeważające siły wroga. Do dzisiaj mówi się o cudzie. Jak się później okazało, misjonarz Marist studiował wcześniej historię wojskowości. Z wdzięczności za pokierowanie zwycięską bitwą wódz podarował mu w tym miejscu ziemię pod budowę Misji. Przydzielił też robotników, więc prace przy wznoszeniu drewnianego kościółka, pierwszego na Taveuni, postępowały bardzo szybko.

Po wielu latach, gdy Fidżi przyjęło naukę Chrystusa, postanowiono w miejscu rozegranej bitwy wymurować piękny kościół. Było to wotum za zwycięską bitwę oraz dowód na całkowite zerwanie ze starymi zwyczajami i okrutnymi praktykami.

Jest niedziela. Od samego rana zapowiada się nieznośnie gorący dzień. Zaplanowałem dzisiaj uczestniczyć we Mszy Świętej, a że kościół jest w Wairiki, muszę się tam jakoś dostać. W niedzielę rano podobno jest autobus, ale pewności nie mam. W dni powszednie łatwiej o transport, czasem można zabrać się autobusem szkolnym. Mieszkańcy wiosek na wybrzeżu jeżdżą swoimi samochodami i nie muszą liczyć na słaby transport publiczny. Obliczyłem, że jeśli do kościoła jest siedemnaście kilometrów, to starczy mi dwie i pół godziny na dojazd. Mam nadzieję, że może ktoś się jednak zatrzyma. Wszystko mi jedno, czy zabierze mnie z ciekawości, dobrej woli czy litości. Nie ma tu zwyczaju spacerować pieszo asfaltową drogą, więc widok białego turysty powinien zadziałać jak hamulec. Jak się dowiedziałem, w każdą niedzielę są tylko dwie msze, o dziewiątej i jedenastej. Nie licząc na autobus, żwawo ruszyłem pieszo.

Kto będzie na Taveuni, zdziwi się, jak dużo żab leży rozjechanych na drogach. Muszę je stale omijać, nie mogę przyzwyczaić się do tego paskudnego widoku. Są ich tysiące albo więcej... Każdego dnia, gdy nastaje zmierzch, a trawa zaczyna pokrywać się rosą, nagle zaczynają wszędzie wyłazić z ukrycia. W dzień nie można ich nigdzie dojrzeć, jakby gdzieś poznikały. Spacerując wieczorem po trawie, co chwilę natykamy się na te duże, żółto-brązowe płazy. Należy bardzo uważać, by nie nadeprnąć na owe ospale pełzające stwory. Są pozbawione instynktu samozachowawczego, nie zważają na nic,

idą w sobie tylko wiadomym kierunku. Przed ludźmi w ogóle nie umykają. Podnoszą się, jakby siadały, i z ciekawością patrzą na świat. Wydaje mi się, że mają jakąś trującą wydzielinę skóry, gdyż niczego się nie boją. Nawet zgłodniałe psy omijają je z daleka. Z rozjechanych nocą żab po południu zostają tylko wyschnięte skórki.

Droga biegnie blisko brzegu cieśniny Somosomo. W oddali, za lekką mgiełką, majaczy wyspa Vanua Levu. Jest wcześniej, cicho i bezwietrznie. Aż dziwnym się wydaje, że to wody potężnego oceanu. Po horyzont żadnej fali. W takiej chwili łatwiej zrozumieć, dlaczego Magellan nazwał te wody Oceanem Spokojnym. W czasach okrętów żaglowych przy takiej flaucie żagle były bezużyteczne. Liczyły się prądy morskie, dobrze, gdy były zgodne z kursem. Zaraz przy drodze w górę pnie się ściana zieleni. Strome pobocze przechodzi w niemożliwy do przebycia gąszcz kłębiących się roślin. Wyżej nad tym wszystkim górują wierzchołki palm kokosowych. Wiele palm jest obrośniętych dzikimi pnączami, tak że nie widać wcale pnia. W krajach gdzie byłem wcześniej, nie widziałem aż tak agresywnej i zachłannej roślinności. Dziwne, bo przecież to plantacja, być może na pniu prowadzi się jakąś roślinę użytkową, może jam? Wiem, że bulwiasty jam musi mieć podpory, ale to chyba nie to, bo on tak wysoko nie rośnie.

Drogą prawie nic nie przejeżdża, a jeśli coś jedzie, to ja z zasady nie zatrzymuję. Na wyspie jest przyjęte, że jeśli zatrzymasz okazję, to za kurs należy zapłacić. Na przykład z Matei do Wairiki dwa do trzech dolarów amerykańskich. Dla mnie to sporo, jak za taki dystans.

Przeszedłem może sześć czy siedem kilometrów i dochodziłem już do Welagi, gdy wyprzedziła mnie wolno jadąca ciężarówka. Zatrzymała się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Z kabiny po prawej stronie, bo na Fidżi jest lewostronny ruch pojazdów, wyjrzał młody kierowca i machnął do mnie ręką. Zrozumiałem, że zaprasza mnie do szoferki.

Samochód po dach był załadowany taro. To bardzo delikatne warzywo, które szybko traci jędrność. Wymaga szybkiego i dobrze skoordynowanego przewozu, by w dobrym stanie trafiło do odbiorcy. Dlatego do transportu zostawia się pędy, obcina się tylko ogromne liście. Potem rośliny wiąże się w pęczki po kilkanaście sztuk. Stąd w zapchanym po dach samochodzie jadalnej części taro jest najwyżej 1/3 z ogólnej masy. Młody kierowca był zdziwiony, że odważyłem się w taki upał iść pieszo. Zabral mnie z ciekawości, miał wolne miejsce, więc nic go to nie kosztowało. Przy nudnej trasie pogawędka z nieznanym urozmaiciła mi jazdę. Jechał z Boumy leżącej po przeciwległej stronie wyspy do przystani w Waiyewa. Przed Somosomo droga biegnie tuż nad brzegiem, widzę kilka małych domków, a po kilku minutach przejeżdżamy przez wioskę. Mijamy mały, dość charakterystyczny, biały kościółek metodystów.

Za Waiyevo niestety musimy się pożegnać, kierowca kończy tu trasę. Dalej muszę iść pieszo, i tak zaoszczędziłem dużo czasu i drogi. Rozglądam się za betonowym słupkiem południka 180. stopnia długości geograficznej. Powinien być około 200 metrów przed przystanią promową. Po chwili dochodzę, jest tuż przy drodze. Biegnie dokładnie w tym miejscu. Niby nic szczególnego, jednak dla obliczania czasu i wyznaczania pozycji geograficznych na mapach to ważny punkt. Nasza Ziemia w tym miejscu została podzielona na dwie półkule – wschodnią i zachodnią. Po obu stronach tego słupka daty różnią się o dobę. Dokładnie po drugiej stronie globu jest Londyn i dzielnica Greenwich z południkiem zerowym.

Fileas Fogg, bohater powieści Juliusza Verne'a *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*, założył się, że objedzie kulę ziemską. Wyruszył z Londynu w kierunku wschodnim, przez Europę, Azję, Ocean Spokojny, Amerykę Północną i Atlantyk w osiemdziesiąt dni. Niestety pod koniec ostatniego dnia trafił na przeszkodę nie do przebycia i dotarł do Londynu pięć minut po czasie, czyli przegrał zakład. Pograżył się w rozpacz. Tymczasem, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu i jeszcze większej radości, wygrał zakład! Okazało się, że podróż trwała siedemdziesiąt dziewięć dni. Mimo że dokonywał dokładnych i skrupulatnych pomiarów czasu, nie uwzględnił zmiany daty. Po prostu o tym zapomniał! Wiemy, że jadąc na wschód, zyskujemy jeden dzień, a tracimy go, jadąc na zachód. Sprawa wygląda zupełnie inaczej na biegunach. Gdyby taki słupek stał na biegunie, to pieszo w kilka kroków bez trudu dokonamy przekroczenia linii 180. południka i każdorazowo po obejściu musielibyśmy znaczyć w kalendarzu kolejny dzień... Nie zastanawiamy się nad tym, ale tak to właśnie wygląda.

Do kościoła zostało około trzech kilometrów, więc muszę się śpieszyć, by zdążyć na Mszę Świętą. Zaraz za słupkiem południka przechodzę obok przystani. Już od rana na betonowym moło kilka

samochodów czeka na prom Sofi, który dzisiaj ma przyplłynąć. Do kościoła zmierzają grupki wiernych, wszyscy idą pieszo, wesoło rozmawiając. Mężczyźni i chłopcy zamiast spodni noszą tradycyjne spódnice sulu w granatowym kolorze. Kobiety ubrane są w luźne, bardzo kolorowe sukienki, prowadzą za rękę małe dzieci. Uroczo wyglądają dziewczynki ubrane w kolorowe sukieneczki. Mają one bufiaste rękawki i zawsze są mocno przydługie.

Wairiki to małe centrum handlowe. Jest tu kilka sklepików prowadzonych przez hinduskie rodziny. Za ostatnimi domami, na lewo od drogi, odchodzi pod górę szeroki chodnik. Po prawej stronie mijam duży plac sportowy z zadbanym trawnikiem. Na wzgórzu dominuje murowany z kamienia kościół z piękną wieżą. Na Fidżi nie ma w zasadzie zabytkowych budowli. Jednym z nielicznych zabytków jest ten piękny kościółek w neobarokowym stylu. Został wybudowany w 1907 roku, jako wotum dla Pana Boga. Kilkadziesiąt lat wcześniej w tym właśnie miejscu rozegrała się pamiętna bitwa. Budowla pięknie prezentuje się z daleka, widziałem ją ze statku, wiele kilometrów od brzegu wyspy. Jeszcze wcześniej dostrzec można stojący na wzgórzu ponad kościołem wielki biały Krzyż Chrystusa.

W pobliżu Misji Katolickiej Świętego Krzyża znajduje się szkoła, właśnie przechodzę obok. Kilkanaście metrów przed kościołem stoi mała wiata z tam-tamem, zwanym tu lali. Jest to duży wydrążony pień, w który wali się drewnianymi pałami. Przez odpowiedni rytm uderzeń dawniej przekazywano konkretne informacje. Obecnie służy jedynie do zwoływania wiernych na nabożeństwa.

Przed wejściem do kościoła wszyscy zdejmują obuwie. Na zewnątrz jest bardzo gorąco, na szczęście w środku przyjemny chłodek. Nie ma tu ławek, wszyscy siadają po turecku na rozłożonych, plecionych z pandanusa matach. W prezbiterium jest ładny, choć skromny ołtarz. Szczególną ozdobą bocznych ścian są piękne witraże w okrągłych oknach. Sprowadzono je aż z Francji. Katolicka Msza Święta celebrowana jest w języku fidżyjskim, więc nic nie rozumiem. Na szczęście dobrze znam porządek naszej Mszy Świętej. Wszyscy wierni bardzo aktywnie uczestniczą w nabożeństwie. Zaskoczyło mnie zachowanie wiernych. Przez cały czas wszyscy siedzą. Nikt nie kłęką ani nie wstaje, nawet na podniesienie. Byłem pod wrażeniem głośnego śpiewu, tubylcy mają niebywałe poczucie rytmu. Słuchający mają wrażenie, że słuchają koncertu profesjonalnego chóru. Widać, że ludzie ci są bardzo wierzący i wiedzą dobrze, jak czcić Boga. Robią to po swojemu, ale wcale nie gorzej niż my. Nie wyobrażam sobie naszego nabożeństwa w klimacie tropikalnych mórz.

Do Matei całą drogę wracałem pieszo w strasznym upale. Pod koniec zaczęło się chmurzyć, ale na szczęście zdążyłem dojść przed deszczem. Byłem tak padnięty, że już nic na dziś nie planowałem.

## Niechlubna przeszłość Fidżi

Na Fidżi temat ten trudno poruszać. Ale rzeczą nieprzyzwoitą byłoby nie przyznać się, że moja wyobraźnię atakowała natrętna myśl, że oto mam do czynienia z potomkami wczorajszych ludożerców.

W czasie, gdy u nas trwało powstanie styczniowe, tu, na wyspach, szeroko praktykowano jeszcze kanibalizm. Przez długi czas nazywano Fidżi wyspami ludożerców. Dzisiaj w muzeum w Suvie jest bogata kolekcja przedmiotów z tym związanych. Są wśród nich magiczne kamienie, pały i kamienie do zabijania ludzi, drewniane widelce i duże, zaokrąglone noże o wymyślnych kształtach. Doskonale sprawdzały się w krojeniu ludzkiego mięsa. Nie trzeba nawet zachodzić do muzeum, bo i na lotnisku w Nadi można obejrzeć sporą kolekcję tych makabrycznych pamiątek. Jest duży wybór różnego rodzaju pałek, noży i widelców. Turyści o mocnych nerwach mogą w nich przebierać, ceny są przystępne. To z pewnością jedne z najoryginalniejszych pamiątek z podróży po archipelagu. Najchętniej kupowany jest czterozębny drewniany widelec kanibala. Oferują go na każdym kroku.

Ostatni ludożerca zmarł na Fidżi w 1858 roku. Rozmawiał z nim amerykański dziennikarz Luis Marden. Sanaila, dziewięćdziesięciosześcioletni wówczas był kanibal, doskonale pamiętał czasy swojej młodości. Rodziców stracił w czasie plemiennych walk. Jego, wtedy młodego chłopca, w charakterze zdobyczy wojennej zabrano na wyspę Mbau. Tutaj, zamiast powędrować do piekarnika, został adoptowany przez jednego z naczelników. Kilka lat później sam doszedł do tytułu naczelnika i uczestniczył w ucztach. Wspomina: „Kiedy jeszcze byłem chłopcem, często jadłem mięso, ale myślałem, że to wieprzowina. Jak zmądrzałem, nauczyłem się poznawać mięso po zapachu z kotła czy

pieca”. Długie świnie, bo tak nazywano ciało człowieka przeznaczonego do konsumpcji, gotowano lub pieczono w ziemnych piekarnikach. Potem dzielono na porcje i rozdawano do wszystkich gospodarstw we wsi. Ten stary, święty obyczaj wspólnego, braterskiego dzielenia się ludzkim mięsem nazywano kerekere. Mięsa nie wolno było jeść palcami, żeby nie stało się gorzkie lub trujące. Używano specjalnych wielkich widelców z twardego drewna. Były to jedyne sztuczki znane na Pacyfiku przed przybyciem Europejczyków. Jako dodatki do mięsa służyły warzywa i przyprawy, małe, bardzo pikantne papryczki oraz wiele miejscowych ziół i liści. Kanibalizm uprawiano, aby pokonanego wroga ostatecznie poniżyć i wchłonąć jego siłę. Po części jest to prawda, jednak wiadomo, że nie tylko o to chodziło. Gdy przez wiele pokoleń zasmakowało się w ludzkim mięsie, trudno było się z tego wyzwolić.

Dzisiaj Fidżi znane jest jako jedno z najpiękniejszych miejsc na Ziemi. Krystalicznie czyste błękitne wody, bogactwo raf koralowych i niemające sobie równych atrakcje turystyczne. I takie diabelskie zwyczaje! Trudno sobie wyobrazić tę ciemną kartę historii, którą wypełniał praktykowany powszechnie kanibalizm. Skąd się tu dostał i kiedy? Dla mieszkańców wszystkich wysp na wschód od Fidżi był to obrzydliwy zwyczaj. Budził powszechną odrazę, nawet rozmowa o tym była tabu.

Nie wiadomo, kiedy pierwsi mieszkańcy przybyli na Fidżi. Badania archeologiczne pokazują, że pierwsze grupy ludzi przybyły tu pomiędzy 1600-1200 r. p.n.e. Przypuszcza się, że podczas długich morskich podróży na małych łodziach wielu ludzi musiało umierać z głodu lub innych przyczyn. Śmierć na bezkresie oceanu była powolna i straszna. Ludzie stojący w obliczu takiej sytuacji mogli podjąć decyzję o zjedaniu swych zmarłych towarzyszy. Każdy chciał przecież przeżyć i dopłynąć do lądu. Dodatkowa porcja mięsa była wręcz bezcenna, mogła decydować o życiu i śmierci. Kanibalizm pierwotnie uprawiany był jako sposób przetrwania żeglarzy, szybko jednak stał się regułą, nawet po osiągnięciu brzegu jakiejś wyspy. Istnieje sporo doniesień z lat 1800-1900 właśnie z Fidżi, że smak ludzkiego mięsa podobny jest do smaku wieprzowiny. Są opisy o przypadkach wykopywania ciał z grobów nocą zaraz po pochówku i ich zjedaniu.

Istnieje sporo raportów z 1850 roku opisujących makabryczne orgie. Na przykład odcinano kończyny ofiary i na jej oczach pieczono je i pożerano... Na wyspach w tym czasie prawie nie było miejsca, gdzie by nie było konfliktu. Tubylcy dostali do ręki broń palną, a polowania na ludzi stały się niemal sportem. To najbardziej ponury czas w całej historii Fidżi, a brali w nim udział biali kryminaliści i szumowiny. W tym czasie gwałtownie zmniejszyła się populacja. Sytuacja diametralnie zmieniła się po wprowadzeniu chrześcijaństwa i objęciu wysp brytyjskim protektoratem. Wiązało się to z napływem kolonistów, którzy mieli również pozytywny wpływ na zmianę tutejszych obyczajów. Na Fidżi ostatecznie kanibalizm wypleniono dopiero w 1890 roku! Kilkadziesiąt lat później jeszcze gorsze okrucieństwa zgotował, na przemysłową wręcz skalę, milionom ludzi nasz „cywilizowany” świat.

## Opowieści z mojej plaży

Przytłacza mnie ogrom otaczającego wyspę oceanu. W obliczu jego potęgi jestem niczym. W górach można czuć się chociaż pyłkiem, bo widać gdzieś kres szczytów, a tu – bezkres nieba i wody.

Każdego dnia przechodzę przez szosę i jestem na plaży. Zaraz za drogą, na wprost domku, w którym mieszkam, rośnie ogromne drzewo. Zasadził je podobno pradziad Mary. Gdy jest przypływ, to woda zatrzymuje się dziesięć metrów przed korzeniami. Drzewo ma przynajmniej dwieście lat, jest naprawdę olbrzymie. Trzech mężczyzn nie byłoby w stanie objąć pnia. Można je zobaczyć nawet w Internecie, na mapie Google Earth. Jestem tu kilka dni i wciąż nie mogę przyzwyczaić się do upałów. Wychodzę na zewnątrz, by schronić się w cieniu. Najlepszym miejscem jest wystający na plaży z piasku korzeń tego drzewa. To naturalne siedzisko jest jakby stworzone do odpoczynku. Wygodnie siedząc, można obserwować ocean i wystawiać twarz na rozkoszne podmuchy chłodnego wiatru. A kiedy trzeba wyjechać, jest to najlepszy przystanek autobusowy. Często tu siadam i rozmyślam. Zastanawia mnie czasem, jak żyli i czym zajmowali się przodkowie Mary. Przybyli w to miejsce ponoć czterysta lat temu.

To było ogromne drzewo mangrowe z wystającymi z piasku potężnymi korzeniami, do których prawie dochodziły fale. Siadałem często w jego cieniu.

W ogrodzie za domem, pod owocowymi drzewami, jest kilka starych nagrobków. To płaskie

betonowe płyty, ułożone w dziwnej dla mnie konfiguracji. Zaintrygował mnie sposób pochówku. Zmarłych członków rodziny można chować na własnej ziemi. Jest tu bardzo ciekawy zwyczaj. Kobieta i mężczyzna jako małżeństwo spoczywają w ten sposób, że nogi kobiety są przy głowie mężczyzny i odwrotnie. Nikt nie wyjaśnił mi dlaczego, choć pytałem. Stare groby przodków są w sąsiedztwie, ale jakby zapomniane. Teraz rośnie na nich bujny ogród.

Mery opowiadała, że jej przodkowie zajmowali się uprawą ziemi i byli dzielnymi wojownikami. Jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu był to rejon najbardziej nękany przez wrogich sąsiadów z wysp Tonga. Tylko z tej strony można było spodziewać się najazdu okrutnych wojowników. Do Tonga jest blisko, jak na odległości oceaniczne, bo tylko około trzysta mil. Pierwsze uderzenia Tongijczyków były skierowane na to wybrzeże, lądowali prawdopodobnie na mojej plaży! Może i pod tym drzewem dymił piec lovo? Ale o tym już nikt nie chce wspominać i nietaktem byłoby poruszanie tego tematu. Fidżyjczycy są tak mili i sympatyczni, że nie sposób nakłaniać ich do rozmowy na takie tematy.

W cieniu drzewa można obserwować biegające stale kraby, jest też ogromna ilość różnych owadów, szczególnie chrząszczy. Pod wieczór pojawiają się komary, ale z nimi jeszcze można wytrzymać. Nie znoszą morskiej wody i lekkiego nawet wiatru. Kiedy jestem na miejscu i temperatura przekracza 35 stopni, nie wiadomo, gdzie się schować. Zabieram wtedy książkę i idę na taras baru Tramonto. W taki skwar to najlepsze miejsce do relaksu. Moje plany zawsze zakładają, by jak najwięcej zwiedzać. Jednak w tak upalne dni wcale nie chce mi się ruszać z Matei. Duch ochoczy, ale ciało mdłe... Po prostu nie mam siły, najchętniej siedziałbym cały czas pod zimnym prysznicem.

Na mój ulubiony taras idę tylko pięć minut spacerkiem. O każdej porze jest tu piękny widok z góry na zatokę i plażę, przy której mieszkam. W dzień to miejsce jest wyjątkowo spokojne. W oddali na wprost widać Vanua Levu. Na prawo od niej na horyzoncie majaczy nieduża wyspa Raba i kilka innych skalistych wysepek. Prawie każdego dnia przychodzę podziwiać spektakularne zachody słońca. To prawdziwe spektakle niebios w całej gamie czerwieni. Na tych szerokościach trwa to zaledwie chwilę.

Raz albo dwa razy w miesiącu pół kilometra od brzegu na kilka godzin kotwicy turystyczny statek. Pewnego dnia przyłynął na kilkanaście godzin ogromny wycieczkowiec Captain Cook. Ten pasażerski kolos obwozi zamożnych turystów po wyspach południowego Pacyfiku. Na Taveuni, a nawet w Suvie, nie ma przystani odpowiedniej dla tak wielkiego statku, dlatego na brzeg turyści muszą być przewożeni dużymi motorówkami. Następnie organizuje się dla nich zwiedzanie wyspy. Tego dnia, niemal spod mojego pensjonatu, kilka podstawionych autobusów odbierało wycieczkowiczów i dalej jechali na plażę w Lovenie. Tak zorganizowana wycieczka zabiera ze sobą całe wyposażenie biwakowe, z posiłkami i napojami włącznie. Aby turyści jak najprzyjemniej spędzili na wyspie czas, ich obsługą zajmuje się cała armia załogi hotelowej statku. Wieczorem oświetlony jak pochodnia morski hotelowiec odpływa na kolejną wyspę, być może w archipelagu Vanuatu?

Pewnego razu przez dwa dni stał na kotwicy piękny dwumasztowy żaglowiec. Na pokładzie miał aktywnych turystów, takich co lubią nurkować i nie boją się wody ani rekinów. Siedząc na tarasie, obserwowałem, jak na małych łódkach i deskach odpływają daleko od statku. Pływali i nurkowali w okolicy bariery rafowej otaczającej moją plażę. Strefy przybrzeżne Fidzi są rajem dla miłośników nurkowania, to niesamowicie piękny, kolorowy świat podwodnych raf koralowych. Z tarasu widać dokładnie otoczenie plaży. Brzeg zdobią tropikalne drzewa z wyróżniającymi się pióropuszcami kilkunastu pochylonych ku wodzie palm kokosowych. Nie wszyscy wiedzą, że palmy rosnące blisko brzegu zawsze są pochylone w stronę morza. Trudno sobie nawet wyobrazić, jak ubogo wyglądałby brzeg tropikalnych wysp bez ich charakterystycznych sylwetek. Są jakby stworzone do tego rajskiego pejzażu.

Droga oddziela plażę od wąskiego, płaskiego terenu, na którym stoją otoczone ogrodami trzy posesje. W jednej z nich mieszkam. Kawałek dalej, za ogrodami, teren gwałtownie podnosi się o kilkadziesiąt metrów i przechodzi w łagodne wzgórze. Strome zbocze porasta bujna tropikalna roślinność. Miejscowi starają się maksymalnie wykorzystać każdy skrawek tej urodzajnej ziemi. Jeśli jakiegoś miejsca nie da się zagospodarować pod uprawy, teren natychmiast opanowuje nieprzebrany busz.

Wzgórze nad Mateją to jedna wielka plantacja. Rosną tam palmy kokosowe, bananowce, papaje

i drzewa chlebowe. Widać, że właściciele są dobrymi farmerami. Często widziałem pracujących tam ludzi. Pielęgnują drzewa, wycinają i wywożą uschnięte ogromne liście bananowców i palm.

Naprzeciw baru Tramonto wydrążono we wzgórzu sztuczny kanion. Prowadzono w nim stromo wąską drogę do położonego przepięknie, wysoko na wzgórzu, kurortu Makaira. Z góry roztacza się bajkowy widok na zatokę. Dosłownie zapiera dech w piersiach! Ten ekskluzywny kurort dysponuje komfortowymi bungalowami dla gości o różnej grubości portfela. Oprócz tego oferuje wiele dodatkowych atrakcji. Cały kurort otacza pięknie utrzymany ogród z mnóstwem barwnych krzewów i kwiatów. Można tu zobaczyć najpiękniejsze rośliny ozdobne występujące na Taveuni. Gdy poszukiwałem dostępu do Internetu, trafiłem i tutaj.

Wkrótce zaprzyjaźniłem się z Rebeką, właścicielką kurortu, i byłem tam częstym gościem. Rebeka jest Amerykanką z Hawajów i wraz z mężem, emerytowanym kapitanem fidżyjskiej marynarki, prowadzi Makairę. Ona prowadzi sprawy hotelowe, a on organizuje dla gości wędkarskie safari. Czasami wypływają daleko na wody Pacyfiku. Zamożni goście bardzo to lubią, dla nich cena nie gra roli. Pragną złowić ogromną rybę. Oprócz kilkudziesięciokilogramowych tuńczyków zdarzają się ponoć półtonowe marliny! Tak przynajmniej utrzymywał sam kapitan, gdy pytałem go o największą złowioną rybę. Mimo szczerych chęci nie udało mi się wypłynąć. Promocji nie było, a mój portfel był za cienki.

## Refleksje w pustym domu

Dzisiaj rano, gdy smażyłem jajka, przyszedł Epeli wygasić lampę naftową. Przy okazji przyniósł dwie żółtozielone papaje i kilka dojrzałych małych bananów. Wiem, że zawsze jest ciekawy, co robię w kuchni i co będę jadł na śniadanie. Przy rozmowie oznajmił mi, że najbliższym promem całą rodziną wyjeżdżają do Suvy na Viti Levu. Będę musiał zostać przez kilka dni sam. Powodem nagłego wyjazdu jest wesele w rodzinie. Trochę mnie zdziwiło, że nikt nie zostaje w domu i nie będzie pilnować lokatora, czyli mnie. Okazało się, że kiedy zaraz po przyjeździe uzgadniałem kwaterunek, gospodarz całkowicie zapomniał o planowanym wyjeździe. Ponieważ za pobyt zapłaciłem z góry, nie wypadało mu dokonywać już żadnych zmian.

Tak się złożyło, że wczoraj zaczęli wyjeżdżać również chłopcy z ekipy budowlanej. Bridge i jego kolega wracali na Vanua Levu. To niedaleko stąd, wystarczy przepłynąć siedmiokilometrową cieśninę Somosomo. Z Taveuni do portu Natuvu na Vanua Levu każdego dnia coś płynie, więc to żaden problem. Trochę mi smutno, gdyż polubiłem tych śniadych młodzieńców. Na pocieszenie Bridge zaprosił mnie do siebie w Savusavu. Dostałem adres i obiecałem, że jeśli będzie mi po drodze, to na pewno wpadnę.

Przed wyjazdem Epeli przyszedł mnie poinstruować, jak mam gospodarować w czasie ich nieobecności. Obiecał, że nie będę długo sam, bo oni wrócą najdalej za tydzień. Powiedział, że mam się niczym nie przejmować i nie obarcza mnie żadnymi obowiązkami.

Od rana na podwórku panuje wielki ruch. Epeli z synami i Mary ładują do samochodu taro, papaje, kasawę i banany. Wygląda to tak, jak gdyby mieli jechać na bazar. Ale nie, to prezenty dla rodziny z miasta. U Fidżyjczyków nie do pomyślenia jest, by hojnie nie obdarować tego, do kogo jedziemy w gościnę. To stary zwyczaj i nikt z miejscowych nie przeciwstawia się tradycji. Tym bardziej że świeże i dorodne warzywa ze swojego pola są najlepszym prezentem dla mieszkańców. To samo z owocami zrywanych prosto z drzewa.

Prom Sofi do Suvy na Viti Levu odpływa dzisiaj po południu, więc niedługo się pożegnamy. Cudzoziemcy przybywający na Fidżi dziwią się, jak dużo bagażu można przewozić środkami transportu publicznego. W autobusach upycha się, gdzie tylko się da, wory, kosze oraz torby pełne warzyw i owoców. Na przystankach wraz z pasażerami na transport oczekują prawdziwe góry towarów. To głównie płody rolne przewożone ze wsi do miast. Na Fidżi prywatnych aut jest jak na lekarstwo, więc ludzie radzą sobie, jak tylko mogą. To tutaj normalne, kierowcy nie kwestionują prawa pasażerów do przewożenia sporych ładunków. Wszystko jakoś się mieści, choć autobusy nie są z gumy. Pożegnałem również resztę ekipy budowlanej. Tym samym promem, którym płynie rodzina Epeli, zabierają się także oni. Dali mi swoje adresy i obiecałem im, że gdy będę czekał w Nadi na lot na wyspy Vanuatu, to postaram się ich odwiedzić.

Zrobiło się jakoś pusto i smutno. Żeby poprawić sobie trochę nastrój, wybrałem się do sklepu Bhula Bhai (czyta się: bula bajo). Muszę tam iść dwadzieścia minut poboczem asfaltowej drogi. To dobre dwa kilometry prawie stale pod górę. Za zakrętem szosy, w pobliżu sklepu, jest niewielkie lądowisko, z którego kilka razy w tygodniu odlatują do Nadi i Suvy małe samolociki. To dla tych, którzy nie mają czasu na długi rejs promem Sofi, odpływającym na dodatek tylko raz w tygodniu. Asfaltowa droga kończy się tuż za pasem startowym. Dalej, przez wszystkie wioski południowego wybrzeża Taveuni, aż do Loveny, biegnie zwykły szutrowy trakt. Gdyby nie słynna plaża Błękitna Laguna w Lovenie, mało kto by tam zaglądał. To miejsce akcji kultowego filmu, więc filmowi fani, gdy odwiedzą Taveuni, na własne oczy chcą przekonać się o pięknie tego miejsca. Ja też chcę się tam wybrać, ale ciągle czekam na jeszcze ładniejszą pogodę.

Większość sklepów na Fidżi prowadzona jest przez Hindusów, którzy mają wrodzoną smykałkę do handlu. Pracują z dużym zaangażowaniem. Nie patrzą na zegarek, od rana do wieczora siedzą w sklepie, nawet w wolne dni. Najważniejsze, by ich klienci byli w pełni zadowoleni. Lubię tu zachodzić, jestem prawie każdego dnia. Kupuję białe pieczywo, które w smaku przypomina nasze bułki. Nie jest rozdmuchane spulchniaczami i nawet po trzech dniach zachowuje świeżość. Lubię dżemy, jednak tutejsze nie umywają się do naszych. Kupuję też jajka, olej, cebulę i różne konserwy, a czasem niezbyt zdrowe chińskie zupki. Mają dwa atuty: niską cenę i łatwość przyrządzenia. Muszę przyznać, że zaopatrzenie tutejszych sklepów jest bardzo dobre. Jednak zdecydowana większość towarów jest importowana, przez co ceny są wysokie.

Nad brzegiem oceanu jest kilka kurortów. To bardzo drogie i ekskluzywne hotele. Kiedyś na plaży spotkałem starszego pana. Pogadaliśmy. Był profesorem jakiejś uczelni w Stanach Zjednoczonych. Powiedział mi, że na Taveuni przylatuje kilka razy w roku na trzy, cztery dni i mieszka w pobliskim ośrodku turystycznym. Za dobę w apartamencie płaci 1 500 dolarów USA! Do dyspozycji ma samochód z kierowcą, w cenę wliczone są wszystkie atrakcje morskie i lądowe, jednym słowem luksus. Moje codzienne wydatki rzadko przekraczają dwadzieścia dolarów, więc za wysoko nie podskoczę...

Z siatką sprawunków późnym popołudniem wróciłem do domu. Przywitała mnie cisza i pustka. Zrobiło mi się smutno. Na co dzień panuje tu gwar, wszędzie suszą się ubrania, wciąż ktoś się kręci w pobliżu. Czasem marzyłem, żeby побыć sam ze swoimi myślami. Teraz wszystko ucichło i czegoś mi brakuje. Nie ma z kim pogadać i przy okazji podszlifować angielskiego. Zostałem sam na włościach... Myślę, że mój porządek dnia nie powinien się wiele zmienić, chociaż może zabraknie mi porannych wizyt gospodarza.

Rodzina Epeli każdego dnia wstaje bardzo wcześnie. Jeszcze panują ciemności, a w okienkach domku już widać, jak migocze blask zapalanej lampy naftowej. Taka sama lampa pali się przez całą noc w korytarzu mojego baraku. To jedyne oświetlenie całego budynku, bo obiecane prądu z agregatu nie było i pewnie już go nie doczekam. Każdego wieczoru przychodził Epeli i ją zapalał, a gasił, kiedy tylko się rozwidniało. W tym czasie byłem już na nogach, orzeźwiony lodowatym prysznicem.

Dzień zaczynam zawsze od parzenia herbaty. Idę do ogrodu narwać liści z drzewa limonkowego. Na początku mojego pobytu Epeli powiedział mi, że mogę sporządzać herbatę z limonki. Gotuję jej bardzo dużo, bo aż cztery litry. Ta ilość wystarcza mi na cały dzień. Nie wiem, czy ten napój można nazwać herbatą. Nie jest chińska ani cejlońska, tylko miejscowa, fidżyjska. Tak ją nazywam. Z drzewa limonkowego, które rośnie w ogrodzie, mogę też zrywać małe limonki. Nie korzystam jednak z tego przywileju, bo gdy tylko na nie spojrzę, to czuję, jak drętwieją mi szczęki. Dobrze wiem, że to doskonały owoc na wszelkie infekcje, nie tylko przeziębieniowe, ale póki jestem zdrowy, nie wezmę ich do ust. W Amazonii i Afryce ratowały mnie z wielu opresji, ale to była wyższa konieczność. Najlepsza herbata powstaje z młodych, miękkich, jasnozielonych listków. Do wrzącej wody wrzucam ich dwadzieścia i natychmiast odstawiam garnek do schłodzenia. W tym nieznośnie gorącym klimacie nie ma nic lepszego do picia. Napar ma piękny żółtozłocisty kolor. W smaku jest fantastyczny i na długo gasi pragnienie. Nie dodaję cukru.

Przy okazji garść informacji dla miłośników tropikalnych mórz, by wiedzieli, jak tu jest. Po każdej podróży pytają mnie, ile to kosztowało. Patrząc z kilkumiesięcznej perspektywy, uważam, że nie było tak drogo, jak się obawiałem. Nawet zdążyłem już oddać zaciągnięte długi. Wszystkie przewodniki

straszyły horrendalnymi kosztami pobytu, ale ja, stary wróbel, nie dałem się wziąć na plewy. W opcji, którą wybrałem, nie ma miejsca na szastanie kasą. Po prostu jej nie mam, więc nikt mnie nie oskubie. Zwiedzałem Fidżi przez czterdzieści pięć dni. Na wyspach można bez problemu zamieszkać w swoim namiocie, wystarczy tylko poprosić właściciela terenu o zgodę. Czasem nawet sam gospodarz zaproponuje nocleg u siebie w domu. Ludzie są bardzo życzliwi i otwarci, lubią pogadać z nieznanym. Ja mam podobną naturę i łatwo nawiązuję kontakty. Nigdy nie spotkałem się z odmową pomocy w zakwaterowaniu.

Nocleg dla podróżującego samotnie to zawsze duży wydatek, gdyż nie ma z kim podzielić się kosztami. W zasadzie płaci się za pokój, a nie za łóżko. Wyjątki od tej reguły są rzadkością. Sporą część kosztów stanowi jedzenie, szczególnie gdy korzysta się z gotowych posiłków. Czasem jest to nieuniknione. Żywność kupowana w tutejszych sklepach jest droższa niż u nas i nie tak smaczna.

Fidżi jest największym i najbardziej rozwiniętym gospodarczo krajem wyspiarskim na Pacyfiku. Przynajmniej według oficjalnych danych. Bogaty turysta, korzystający ze słono opłaconych pakietów pobytowych, może w to uwierzyć, ale nie ja. Odwiedziłem kilka wiosek, niejedną raz miałem okazję posiedzieć na macie w wiejskim domku przy kubku herbaty. Dwa dni mieszkałem w domu rodziny fidżyjskiej, a nawet przez pewien czas u tutejszych Hindusów. Dużo mi to dało, mogłem wyrobić sobie własne zdanie o miejscowym życiu. Miałem dość czasu, by dokładnie przyjrzeć się domostwom i zajrzeć do kuchni. Poznałem smak miejscowych potraw i warunki, w jakich ci ludzie mieszkają.

W fidżyjskich wioskach żyje ponad siedemdziesiąt procent populacji kraju. Ta zdecydowana większość w pocie czoła uprawia swoje poletka i małe ogrody. Produkują wyłącznie na własne potrzeby, a niewielkie nadwyżki warzyw i owoców sprzedają na lokalnym rynku. W takich warunkach ludzie praktycznie nic nie mogą zmienić w swoim życiu. Z ziemi bez inwestycji nie da się już więcej wycisnąć, więc dzieci muszą szukać dla siebie przyszłości poza domem. Oczywiście, że mieszkańcy różnią się stanem posiadania, jednak przeciętny poziom życia jest bardzo skromny. Fidżi ma duży potencjał gospodarczy, jednak nie w pełni go wykorzystuje. Nie chcę się w to zagłębiać, ale dam przykłady. Fidżyjczycy dysponują wielkim obszarem oceanu, a jednak ich połowy nie w pełni pokrywają zapotrzebowanie! W sklepach jest pełno przetworów i konserw rybnych, ale fidżyjskich nigdzie nie spotkałem. Widocznie importowane wyroby są tańsze i niewidzialna ręka rynku dusi słabszą miejscową gospodarke.

Weźmy cukier trzcinowy, niegdyś prawdziwą żyłę złota. Dawniej przynosił plantatorom olbrzymie dochody, a dzisiaj zyski ledwie pokrywają koszt produkcji. Nieustanne spory między producentami trzciny a właścicielami cukrowni nie wpływają korzystnie na rozwój tej ważnej dla Fidżi branży. Większość produkcji przeznaczona jest na eksport, a na miejscowy rynek sprowadza się tańszy, biały cukier z buraków. Przez cały mój pobyt na wyspach ani razu nie widziałem, aby ktoś korzystał z brązowego trzcinowego cukru, zawsze spotykałem się z białym!

## Brak zatrudnienia wielką bolączką Fidżi

Turystyka przynosi spore dochody, ale wbrew pozorom nie aż takie, by rozwiązać problemy miejscowego rynku pracy. Młodzi muszą szukać jej daleko za morzami. Wyjeżdżają do Australii, Nowej Zelandii i Ameryki. Odłożone pieniądze przysyłają rodzinom, poprawiając warunki ich życia. Nieoficjalnie mówi się, że te transfery są dla gospodarki większym źródłem dochodów od miejscowej branży turystycznej. Podobno wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Ale gdy już tam jesteśmy, szydło wychodzi z worka. Nawet rajskie wyspy nie wyglądają tak różowo...

## Głodne świny w rajskim ogrodzie

Kto by uwierzył, że musiałem opiekować się trzódką świnek przez cały tydzień? Wybierając się w daleką podróż na antypody, nie przypuszczałem, że będę świiniarkiem. W życiu człowieka nie ma nic z przypadku.

Tak się złożyło, że świnkami zajęła się osoba kompetentna... Lubię zwierzęta hodowlane



bardziej niż te wypielęgnowane, mieszkające „na salonach”. Wiele lat temu skończyłem technikum hodowlane, mieszkałem na wsi i wiem, jakie ciężkie życie tam mają. Nie umiemy się bez nich obejść, ale nie potrafimy traktować ich po ludzku. Bardzo lubię zwierzęta, szczególnie mądre świnie. Ale po kolei.

W środę wszyscy wyjechali, zostałem sam. Wcześniej pisałem, że mieszkam w pięknym ogrodzie. Ścieżka do mojego budynku przechodzi przez tunel pięknych krzewów. Ozdobą jednych są barwne liście, innych – pachnące kwiaty. Na pieńkach drzew wkopanych w ziemię rosną storczyki. Ich bogactwo i różnorodność przyprawiają o zawrót głowy. Tu, gdzie mieszkam, kocha się kwiaty, to rzuca się w oczy na każdym miejscu. Gospodarze, jak tylko potrafią, upiększają otoczenie swoich domków. Gdy budzę się o świcie, lubię pospacerować po ogrodzie. Nie przeszkadza mi mokra trawa ani chłodny oddech bliskiego oceanu. Chłonę zapach bujnej roślinności, kwiatów, owoców i gnijących liści. Wszystko to, wraz z jednostajnym szumem fal, tworzy niezwykłą atmosferę. Nie potrafię tego opisać, trzeba tu być... Te rześkie poranki są krótkie. Za chwilę słońce zrobi swoje. Gorącymi promieniami wymiecie poranny chłodek. Sielankowy nastrój prysnie jak bańka mydlana i nastanie kolejny upalny dzień. Idę do ogrodu za domem. Dzisiaj nikt nie grabi opadłych liści, nie ma z kim pogadać.

Ogród za domem dochodzi do stromych skał i tam się kończy. Na tej niewielkiej przestrzeni zmieściło się wiele drzew owocowych. Najwyższe są palmy kokosowe, rośnie ich kilka. Pnie aż pod pióropusz opanowały jakieś rośliny. Wcześniej myślałem, że po pniach pną się jakieś rośliny użytkowe, ale nie, te pnąca to zwykłe chwasty. Palmy kokosowe mają stale pod koroną kilkanaście orzechów, które sukcesywnie dojrzewają. Nikt tu nie wspina się, by je zerwać, same spadają.

Po sąsiedzku rośnie młode drzewo chlebowe. Jest kilka odmian chlebowców, każdy owocuje w innym terminie, więc dojrzałe owoce można mieć przez kilka miesięcy. Teraz na gałęziach owoce są jeszcze małe, nie większe od jabłek. Upłynie parę miesięcy, zanim dojrzeją i urosną wielkie jak piłka do kopania. Tuż przy ogrodowej kuchni rośnie mangowiec. Nie jadłem tu jeszcze jego owoców, chociaż są już dobre.

W trawie leży kilka nadgniłych mango. To drzewo jeszcze nie jest duże, wcześniej widywałem wręcz ogromne. Zbiór owoców zawsze przysparza wielu problemów. Będąc w Afryce, przyglądałem się, jak dzieciaki strącają mango. Rzucają kijami, wałą w owoce, nie zważają wcale, czy są już dojrzałe. Przez to dużo się marnuje. Gdy dzieci dostrzegą pierwszy dojrzały owoc, reagują żywiołowo i w żaden sposób nie można ich powstrzymać. Przeraziło mnie to bezmyślne marnotrawstwo, bo w ten sposób nigdy nie wyjdą z biedy.

Spacerując po ogrodzie, nie dostrzegam określonego porządku, wygląda on trochę chaotycznie, drzewa były sadzone przez wiele lat. Od razu widać, że te same gatunki rosną w różnych miejscach.

Podszedłem do najbliższego bananowca i spróbowałem go objąć, ale nic z tego. Do opasania tej wielkiej kępy potężnych liści potrzebne by były ze trzy osoby. Kto wie, że bananowiec to roślina długowieczna? Podobnie jak drzewo mango, które może owocować, mając nawet 200 i więcej lat, także bananowiec może rodzić dorodne kiście smacznych bananów, dawno przekroczywszy setkę. Przez stałe skracanie starych pędów można go odmładzać prawie w nieskończoność. Po zabiegach błyskawicznie odbija i zawsze za opiekę odwdzięcza się wysokim plonem. Są rejony świata, gdzie podstawą żywienia milionów biedaków są właśnie banany.

Rosną tu dwa nieduże drzewka limonkowe, które codziennie rano odwiedzam. Mają jasne pnie i gałęzie, korony są niezbyt gęste, jakby przerzedzone. Wśród liści wisi sporo małych limonek. Są zielone, niby całkiem dojrzałe, ale kwaśne jak nieszczęście! Na końcach gałązek rozwijają się młode listki, które doskonale nadają się na herbatę. Stąd moje codzienne poranne wizyty w ogrodzie. Może opiszę jeszcze jedno drzewko, które nazywają tu cherry. Z wiśnią nie ma nic wspólnego, chociaż owoce są trochę podobne. Nieco większe od wiśni, w połowie czerwone i zielone. Mimo apetycznego wyglądu nie dają się zjeść, są za kwaśne. Mary robi z nich konfitury. W kuchennej szafce stoi wielki słoć pełen tego specjału. Epeli zachwalał i powiedział, że mogę jeść do woli. Spróbowałem, ale nie smakowały mi zbyt. Były mocno przypalone. Widocznie kiedy Mery je smażyła, za słabo mieszała w garze i stąd ten feler. Również moi hinduscy sąsiedzi kręcili na nie nosem...

Cały ogród za domem wygląda trochę dziko. Najdziwniejsze są rośliny żyjące na drzewach. Są

to mchy, jakieś storczyki, przyczepione do kory. Pędzą swój żywot bez kontaktu z ziemią. W ogrodzie można spotkać nawet sukulenty! Nie znoszą nadmiaru wody i też żyją na gałęziach. Tam uczone mają względnie sucho, w ziemi pewnie by zgniły. Mają grube pędy z kolcami, nie sądziłem, że w tak wilgotnym klimacie spotkam rośliny stref suchych. Nad różnymi kolorowymi kwiatami latają chmary drobnych, dziennych motylków i muszek. Za domem nie trzeba dbać tak o estetykę, nie kosi się trawy i rzadziej grabi zwiędłe liście. Gleba jest żyzna i przy takim sprzyjającym, szklarniowym wręcz, klimacie wystarczy w nią wetknąć patyk, by niedługo wypuścił liście. Przed domem jest inaczej, każdego dnia rano sporo czasu zajmuje wygrabianie opadłych liści.

Nie wszyscy wiedzą, że w tropikach liście też opadają, i to przez okrągły rok. W naszym klimacie jest inaczej, gdy przyjdzie jesień, wszystkie jednocześnie opadają. Zgrabi się i jest spokój do następnej jesieni. W tropikach liście są stale na drzewach i krzewach, jednak i one sukcesywnie opadają, a na ich miejsce wyrastają nowe. I tak jest non stop. Tutaj wystarczy przez kilka dni nie grabić, a cały ogród utonie pod brunatnym kobiercem zwiędłych liści. Dlatego każdego ranka lub pod wieczór ktoś z domowników przynajmniej godzinę tańczy z grabiami po mokrej trawie. Wieczorem jest zbyt duszno na takie prace, każdy woli posiedzieć na werandzie. To czas na pogawędki i towarzyskie spotkania.

W drugi czy trzeci dzień od wyjazdu rodziny poszedłem za dom do ogrodu, by na sznurku rozwiesić swoje pranie. Nie było z kim pogadać, więc postanowiłem odwiedzić świnki. Ogrodzony mały wybieg z zadaszaniem znajduje się na końcu ogrodu, w cieniu jakiegoś nieowocowego drzewa. Fidżyjczycy uwielbiają mięso, co nie dziwi, bo mają odwieczne tradycje w jego spożywaniu. Kto tylko może, chowa parę świń. Epeli również ma małe stadko. Jego maciora i trzy prosiaki nie są specjalnie wielkie, ale normalne. W tych warunkach klimatycznych trzoda nie osiąga takiej wagi jak u nas, tym bardziej że nie stosuje się żadnych pasz treściwych. Trudno, by miejscowa świnia doszła do 100 kilogramów. To typowa ekstensywna hodowla, przeciwieństwo naszego tuczu przemysłowego. Nasze tuczniaki ubojową wagę osiągają już po trzech miesiącach! By tutaj utuczyć świnie do takiej wagi, potrzeba przynajmniej półtora roku. Za to zaletą naturalnego żywienia jest wspaniałe w smaku mięso. Kiedy zająłem do świnek, zauważyłem, że nie mają nic do picia ani do żarcia. Zaciekało mnie, kto przychodzi opiekować się zwierzętami, gdyż od dwóch dni nikogo na posesji nie widziałem. Aluminiowy gara był pusty, więc przyniosłem i nalałem wody. Zwierzętom chciało się pić, dlatego pędem rzuciły się do gara. W pobliżu leżała sterta orzechów kokosowych, które stanowią tu podstawową paszę dla zwierząt. Są bardzo kaloryczne i lubiane przez świnię, jednak mają mało białka. Sycą, ale nie powodują szybkiego przybierania na wadze. Dodatkowo mogą czasem dostać gorsze lub nadgniłe owoce. Często do koryta wrzuca się banany i papaje nadgryzione przez nietoperze. Jeśli coś zostanie w kuchni, również trafia do koryta. Nic się tu nie zmarnuje, czego świnia nie zeżre, to mrówka dokończy.

Następnego dnia z ciekawości poszedłem pod ogrodzenie sprawdzić sytuację. Zdziwiłem się, ale od wczoraj nic się tu nie zmieniło! Po prostu nikt tu nie był i od kilku dni nie zajmuje się zwierzętami! Dopiero teraz pomyślałem, że coś jest nie tak... Należy poważnie zająć się głodnymi stworami. Owszem, trzeba, tylko jak? Cały zapas orzechów leży na kupie w pobliżu, ale nie mogę nigdzie znaleźć siekiery. W końcu odszukałem stary złamany szpadel i jakoś z trudem rozłupałem kilka kokosów. Wrzuciłem zgłodniałym świniom, nalałem do gara wody i poszedłem do siebie. Musiałem zająć się ręką, którą skaleczyłem przy rąbaniu twardych skorup. Po południu poszedłem do sąsiadów pożyczyć siekiere. Przydała się, gdyż jeszcze przez kilka dni zajmowałem się osieroconym stadkiem...

To bardzo uczynni ludzie, nie pierwszy raz skorzystałem z ich uprzejmości. W moich podróżach ważną sprawą jest fotografowanie i filmowanie. Aby kamery pracowały, muszę co pewien czas ładować akumulatorki. Od początku nie mogę tego zrobić u mnie w pokoju, bo nie ma obiecanej prądu.

Dowiedziałem się, że po sąsiedzku za płotem każdego dnia na kilka godzin uruchamiają agregat prądotwórczy. Dzięki życzliwości sąsiadów ten problem zniknął. A dalej moja przygoda ze świnkami wyglądała tak: przez kolejnych kilka dni nikt nie przychodził opiekować się trzódką w ogrodzie. Nie wiem, co by się stało, gdyby mnie tu nie było.

Na siódmy dzień od wyjazdu gospodarzy przed domem zatrzymał się samochód. Wszedł z niego mężczyzna i od razu udał się do ogrodu. Poszedłem za nim do świnek. Był bardzo zdziwiony, że trzódce niczego nie brakuje. Powiedział mi, że jest znajomym rodziny. Okazało się, że dopiero wczoraj

wieczorem, po tygodniu nieobecności, dzwonił do niego Epeli i prosił o zaopiekowanie się świnkami. Niesamowite, że dopiero po siedmiu dniach wszystkim przypomniało się, że w domu zostawili bez opieki głodne zwierzęta. Widać wesele, na którym się bawili, było bardzo udane. Pewnie nie żalowali sobie kawy i zdrowo się nią zaprawili...

## Historia pewnego drzewa

Z książek, filmów i opowieści znana jest historia marynarzy ze statku Bounty, którzy, niezadowoleni z surowości kapitana Williama Bligha, podnieśli bunt. Kapitana, wraz z osiemnastoma wiernymi mu członkami załogi, spuścili w szalupie na morze i odплыnęli. Nikt ze zbuntowanej załogi nie dawał im szans na przeżycie. Dziewiętnastu ludzi znalazło się niemal bez zapasów w wątej łodzi na otwartym oceanie. Kapitan Bligh skierował małą, sześciopółmetrową szalupę w kierunku Holenderskich Indii (obecnie Indonezja), mając nadzieję tam dopłynąć. Ratując życie, załoga szalupy przepływała pomiędzy wyspami archipelagu Fidżi, prawdopodobnie nawet w pobliżu brzegu Taveuni. Dlatego nie powinienem pominąć tej fascynującej historii.

W dzienniku pokładowym, który na szczęście pozwolono mu zatrzymać, kapitan Bligh dokonuje bardzo szczegółowych wpisów. Jako bardzo skrupulatny oficer, mimo tragicznego położenia, na bieżąco prowadzi dziennik. On to pierwszy szczegółowo opisał wyspy Fidżi, między którymi przepływał. Było to w kwietniu 1789 roku. Jednak pierwszeństwo odkrycia wysp przypadło holenderskiemu żeglarzowi Ablowi Tasmanowi, chociaż tak naprawdę w swoim odkrywczym rejsie w 1643 roku dojrzał je tylko z dużej odległości. Ani myślał o lądowaniu czy ich opisie, gdyż jego statki znalazły się w śmiertelnej opresji, umykając przed groźnymi rafami północno-wschodniego krańca archipelagu.

Zastanawia też stale wymieniana w historii odkryć Fidżi postać Jamesa Cooka, który w drugiej podróży po Pacyfiku w 1774 roku przepływał też tylko w pobliżu. W swoim dzienniku nie mógł zostawić żadnego opisu wysp, ponieważ jego wyprawa ledwo co zahaczyła o wysepkę Vatoa. A to już odległe południowe peryferie tego rozległego archipelagu. Jednak to jego sława, jako największego odkrywcy wysp Pacyfiku, jest wykorzystywana na Fidżi. To świetny chwyt marketingowy, choć z prawdą ma niewiele, a tak naprawdę nic, wspólnego. Dlatego pierwszeństwo powinno się przyznać kapitanowi Blighowi, a przy okazji wspomnieć o tej nieprawdopodobnej morskiej odysei.

Gdy przepływali w pobliżu Tofua, dzisiaj jednej z wysp Królestwa Tonga, postanowili uzupełnić zapasy żywności i wody. Nic z tego nie wyszło, gdyż natrafili na wrogo nastawionych wyspiarzy. Mieli dużo szczęścia, że uszli z życiem, bo mogli skończyć w kotle kanibali. Ale o tym sza! Historia kapitana Williama Bligha i jego statku Bounty jest niezwykle ciekawa. Tym bardziej że jego osoba wiąże się z kapitanem Cookiem, o czym mało kto wie. W trzeciej i ostatniej wyprawie Cooka Bligh był jego pojętnym oficerem, nawigatorem statku Resolution. Później bardziej znany będzie jako kapitan słynnej wyprawy po drzewo chlebowe na wyspę Tahiti. Ten rejs, bunt załogi i dzieje buntowników do dziś fascynują wielu ludzi na całym świecie.

A wszystko zaczęło się na przełomie XVII i XVIII wieku. Wtedy rozeszły się po świecie wieści o drzewie chlebowym, które potrafi zapewnić człowiekowi pokarm, nie zmuszając go do zbytniego wysiłku. Opinie te oparte były głównie na relacji podróżnika i pirata Williama Dampiera. Po pacyficznej podróży w 1697 roku dał opis możliwości wykorzystania jego pożywnych owoców. W sprawozdaniu relacjonuje sposób przyrządzenia i spożywania tego wszechstronnego owocu w stanie surowym, gotowanym i pieczonym. Według jego opisu dla tubylców z wysp Pacyfiku, oprócz owoców drzewa chlebowego, nie ma ważniejszego i częściej spożywanego pokarmu. Porównał go do naszego powszedniego chleba. Sporządzony z tego owocu posiłek z powodzeniem może zastąpić pieczywo.

Cook również był zachwycony smakowitością podanej przez wyspiarzy potrawy. Ciekawostką jest, że tak mu smakowała, iż polecił kucharzowi zabrać do kambuza kilka owoców i przyrządzić potrawę według miejscowego przepisu. Niestety był bardzo rozczarowany. Mimo starań okrętowego kuka jedzenie było niesmaczne. W swoim dzienniku Cook pisał: „Trzy drzewa chlebowe potrafią nakarmić jednego człowieka, a kto zasadził w swoim życiu dziesięć drzew chlebowych, ten w pełni wykonał obowiązek wobec swego i następnych pokoleń”[1]. Jeszcze bardziej entuzjastyczne opinie na temat

owoców tego drzewa przywiózł do Europy francuski żeglarz Louis Antoine de Bougainville. Te pozytywne opinie spowodowały poruszenie wśród plantatorów w brytyjskich posiadłościach w Indiach Zachodnich. Nie chodziło im bynajmniej o wypełnienie obowiązku wobec przyszłych pokoleń, mieli konkretne plany. W tym czasie na wyspach karaibskich bardzo rozrosły się plantacje trzciny cukrowej i innych roślin. O darmową siłę roboczą nie było trudno, stanowili ją przywożeni z Afryki niewolnicy. Nie trzeba było ich opłacać ani prawie odziewać, należało tylko karmić. Plantatorzy zapragnęli pozbyć się i tego wydatku. Wystarczy przecież posadzić wokół plantacji i osad drzewa chlebowe. Według zaleceń Cooka i uczonych botaników przynajmniej trzy na jednego niewolnika, a po pewnym czasie odpadnie potrzeba ich żywienia i bawienia się w uprawę jamu, kasawy, taro i batatów na małych poletkach. Zaczęto eksperymentować, lecz próby z nasionami nie dawały dobrych rezultatów. Jedyną szansą były zatem sadzonki, ale uzyskanie ich nie było łatwe.

Drzewo chlebowe pochodzi z Azji Południowo-Wschodniej, skąd na początku naszej ery rozprzestrzeniło się na całą Oceanię. Chlebowiec właściwy występuje w wielu odmianach, to piękne, długoletnie i duże drzewo. Jest wiecznie zielone i dorasta do dwudziestu metrów. Już w wieku ośmiu lat daje 700 do 800 owoców, o wadze od półtora do dwóch kilogramów. Miąższ owocu jest żółtawy, soczysty i mączny[2]. I właśnie to drzewo rośnie w ogrodzie koło mojego hoteliku. Sadzonki takiego samego chcieli sprowadzić do siebie zachłanni plantatorzy z Indii Zachodnich. Gdy byłem na Borneo i Jawie, na bazarach spotykałem często ogromne owoce chlebowca. Nie jest to jednak ten sam gatunek. Tam poznałem smak owocu z drzewa bochenkowego. Z angielska nazywa się jackfruit lub indyjskie drzewo chlebowe. Owoce tego drzewa to istne olbrzymy! Osiągają do dziewięćdziesięciu centymetrow długości i od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu centymetrów średnicy. Przeciętny ciężar owocu wynosi od dziesięciu do piętnastu kilo, ale można spotkać okazy o wadze nawet czterdziestu kilogramów! Tak duże owoce oczywiście nie mogą zwisać z gałązek, owoconośne pędy wyrastają wprost z pnia lub grubych konarów. Miąższ jest w odcieniach od jasnożółtego do brązowego i zawiera od 50 do 100 dużych pestek jajowatego kształtu. Jest smaczny, słodki i pożywny, ale ma jedną wadę – bardzo nieprzyjemny zapach. Ale nie o bochenkowe drzewo chodziło plantatorom.

Niezależnie od Anglików korzyściami z eksploatacji drzewa chlebowego interesowali się Francuzi. Udało im się przewieźć sadzonki do swojej posiadłości Mauritius, gdzie się z powodzeniem przyjęły. Nie chwalili się tym sukcesem, więc Anglicy nie mieli o tym zielonego pojęcia. Plantatorzy z Karaibów na gwałt zapragnęli mieć te cenne drzewa u siebie. Jednak zdawali sobie sprawę, że nie stać ich na tak trudne przedsięwzięcie, jak przewiezienie delikatnych sadzonek na ogromną odległość przez burze i huragany. Dlatego zwrócili się z petycją do króla Jerzego III. Monarcha przesłał pismo do Królewskiego Towarzystwa Przyrodniczego w celu zaopiniowania. Nie można było lepiej trafić! Prezydentem tej naukowej instytucji był w tym czasie sir Joseph Banks, przyrodnik, uczestnik pierwszej wyprawy Cooka po Pacyfiku. Z entuzjazmem poparł inicjatywę plantatorów i uzyskał zgodę na przydzielenie specjalnego statku na ten cel. Rozpoczęto przygotowania do wyprawy na Tahiti.

## Podróż z przygodami i bunt załogi

Statkiem, który sir Banks uzyskał dla przyszłej wyprawy, była trójmasztowa fregata HMS Bounty, jednostka w miarę pojemna i szybka. Na statek przydzielono dwóch doświadczonych ogrodników ze słynnego londyńskiego ogrodu botanicznego Kew Gardens. Banks opracował specjalną instrukcję, w myśl której marynarzom zabroniono posiadania kotów, małpek, papug i psów. Pojawiające się na okręcie szczury i karaluchy miały być natychmiast wytrute. Najlepsze kajuty na Bounty przeznaczono na przyszłe sadzonki.

Kapitanem statku został uczestnik trzeciej wyprawy Cooka, porucznik marynarki królewskiej, William Bligh. Pod jego dowództwem Bounty w listopadzie 1787 roku wziął kurs na południowy Atlantyk. Początkowe plany przewidywały, że opłynie przylądek Horn i przez południowy Pacyfik dotrze do wyspy Tahiti. To właśnie tam zamierzano zaopatrzyć się w sadzonki drzewa chlebowego. Jednakże bezskuteczne, czterotygodniowe forsowanie przylądka Horn nie zakończyło się powodzeniem z powodu przeciwnych wiatrów i prądów. W tej sytuacji Bligh zmienił kurs i skierował statek na

wschód. W maju 1788 roku dobił do portu w Kapsztadzie. Postój trwał czterdzieści dni. W tym czasie dokonano napraw i uzupełniono zapasy. Kapitan Blight postanowił zabrać w dalszy rejs wiele gatunków nasion i sadzonek różnych roślin. Posłużą one do późniejszej wymiany z tubylcami na Tahiti.

Ekspansja Europejczyków oznaczała również rozprzestrzenianie się po świecie znanych im roślin uprawnych i zwierząt gospodarskich. Kolonizacja była zawsze przemyślana! Na nowo odkrytych wyspach i ładach uczono tubylców europejskich sposobów gospodarowania, by w przyszłości czerpać z tego korzyści. Nic nie było robione bezinteresownie. Miało się to przydać później do wymiany z tubylcami na wyspach. Dalsza podróż przez południowy Ocean Indyjski i Pacyfik przebiegała bez przeszkód. W październiku 1788 roku, w niespełna rok po opuszczeniu Anglii, Bounty przybył na Tahiti. Było to zaledwie dziewiętnaście lat od odkrycia wyspy przez kapitana Samuela Wallisa. Natychmiast po przybyciu kapitan Blight wszedł w kontakt z miejscowymi wodzami. Przekazał im przywiezione dary oraz wiele sadzonek i nasion, między innymi dyni, sałaty i ogórka. W zamian za przywiezione dary wodzowie tahitańscy zobowiązali się umożliwić zebranie potrzebnych sadzonek, a także zaopatrzyć załogę statku we wszystko, co potrzebne do życia.

Postój Bounty na Tahiti trwał pięć miesięcy. Przez ten czas ogrodnicy z pomocnikami w pocie czoła wyszukiwali najlepsze sadzonki drzewa chlebowego i innych interesujących roślin. Kierowali też wyrobem donic i skrzynek do transportu sadzonek. W tym czasie załoga wiodła próżniaczy żywot, ciesząc się powodzeniem wśród kochliwych Tahitanek. Nadszedł w końcu czas opuszczenia rajskiej wyspy. W dniu 4 kwietnia 1789 roku na Bounty podniesiono żagle. Ładownie i część kajut zapełniono sadzonkami. W 774 donicach, 39 beczułkach i 24 skrzyniach wieziono 1015 sadzonek drzewa chlebowego oraz około 100 sadzonek innych roślin. Z tym delikatnym ładunkiem należało obchodzić się jak najbardziej ostrożnie.

Rozpoczął się długi i trudny rejs, marynarze wiedzieli, że czekają ich niewygody. Z sadzonkami bowiem trzeba było dzielić się nie tylko miejscem, ale i wodą, której na statku jest zawsze za mało. Po próżniaczych i wesołych miesiącach na Tahiti rozpoczął się rejs przynoszący tylko trudności i kłopoty. Ciężko było załodze znów przywyknąć do twardej dyscypliny, tym bardziej że kapitan Blight był wyjątkowym służbistą. Od razu wziął załogę do galopu, a za najdrobniejsze przewinienia karał z całą surowością, na jaką pozwalał regulamin królewskiej marynarki.

Przez trzy tygodnie wzmagało się wrzenie wśród załogi, aż wreszcie przyjęło formę otwartego buntu. Przywódcą zbuntowanych był młody oficer Christian Fletcher. W pobliżu Tofua, wysepki archipelagu Tonga, zbuntowana część załogi przejęła okręt. Buntownicy spuścili szalupę z kapitanem Blightem i osiemnastoma ludźmi, którzy dochowali mu wierności. Wkrótce za burtą wylądował też cały cenny ładunek, który został zgromadzony z tak wielkim trudem. Statek ze zbuntowanymi marynarzami odpłynął z powrotem na Tahiti. Rozpoczął się kolejny etap historii załogi Bounty. Dzieje tego buntu stały się tematem wielu powieści i filmów. Do dziś na całym świecie wielu ludzi pasjonuje się tą niezwykłą historią. Z tysięcy morskich buntów ten był najsłynniejszy, jego legenda wciąż żyje...

## Niezwykła podróż szalupą przez ocean

Od wieków znane są niezwykle podróże i przypadki ratowania się na morzu. Jedną z najbardziej zdumiewających pozostaje do dzisiaj podróż w szalupie z Bounty. Tą niezwykłą odyseją dowodził kapitan William Blight, późniejszy wiceadmirał Royal Navy. Przeplłynął z okolic wysepki Tofua archipelagu Tonga do Kupang na Timorze. Po drodze mijali: Fidzi, Nowe Hebrydy (dzisiejsze Vanuatu), Morze Koralowe, Cieśninę Torresa i Morze Arafura. W małej szalupie pokonali około czterech tysięcy mil, przez najbardziej niebezpieczne morskie wody. Różnie oceniano kapitana Blighta. Pomimo wszelkich możliwych wad, jakie mu przypisywano, był przede wszystkim znakomitym marynarzem i nieustraszoną przywódcą. Zarzucano mu, że był wyniosłym tyranem, nieumiejącym uszanować uczuć ludzi bardziej od niego wrażliwych. W sprawozdaniach pomijał wpisy z wymierzanych załodze kar oraz istotne fakty z przebiegu rebelii.

Kiedy szalupa odbiła od burty, Bounty wyostrzył na wiatr i skierował się z powrotem na wschód, w kierunku Tahiti. Przebieg buntu i odpłynięcie Bounty są dokładnie opisane, podobnie jak rejs

pozostawionej na łasce losu szalupy. Odtworzono je na podstawie skrupulatnych wpisów w dzienniku okrętowym oraz późniejszych zeznań sądowych marynarzy. W łodzi znajdowało się dziewiętnastu ludzi. Buntownicy zaopatrzyli ich w 150 funtów sucharów, 32 funty suszonego mięsa, 6 kwart rumu i 28 galonów wody. Na szczęście wyposażono ich w sekstans.

Blight wziął kurs na pobliską Tofuę, by zaopatrzyć się w dodatkowo wodę i żywność. Krajowcy dziwili się, po co zbliża się do nich pełna białych łódź, skoro widzieli odpływający statek. Wyspiarze sami byli żeglarzami i widzieli, że łódź jest przeładowana, coś im nie pasowało. Blight kazał podpłynąć do brzegu. Naiwne sądził, że wszyscy wyspiarze są przyjaźnie nastawieni. Opinię taką wyrobił sobie podczas dotychczasowych kontaktów z mieszkańcami wysp Mórz Południowych, szczególnie po pobycie na Tahiti. Nie spodziewał się agresji, a na naiwne tłumaczenie o tym, że są rozbitkami ze statku, tubylcy nagle przyjęli postawę agresywną i rzucili się do ataku. Posypały się grad kamieni i kilka oszczepów. Marynarze z szalupy, nie mając broni palnej, byli w beznadziejnej sytuacji. Blight natychmiast zarządził odwrót, ale nie było to takie łatwe. Łódź stała na mieliźnie, więc zanim ją zepchnięto, minęło sporo czasu. Odpychającego z poświęceniem szalupę sternika Nortona zatłuczono na śmierć w strefie przyboju, a wszyscy w łodzi odnieśli rany od ciskanych kamieni i oszczepów. Ludzie Blighta mogli bronić się, jedynie ciskając rzuconymi do nich kamieniami, ale tubylcy górowali nad nimi w posługiwaniu się tą prymitywną bronią. Blight jak najspieszniej wycofał szalupę, a po tym wypadku bał się już lądować na innych wyspach. Stan zapasów żywności i wody był bardzo skromny jak na przewidywaną dwumiesięczną podróż do Indii Holenderskich (obecna Indonezja)..

„Uchodząc z opresji – pisał Blight – pożeglowaliśmy przez morze nieznanie pod względem nawigacyjnym na niewielkiej łodzi, której długość od dziobu do rufy wynosiła dwadzieścia trzy stopy, przeładowanej osiemnastoma ludźmi. Cieszyłem się jednak z tego, że wszyscy zdawali się bardziej zadowoleni z naszego położenia niż ja sam. Kiedy odpłynęliśmy z wiatrem pod zarefowanym żaglem lugrowym, było około ósmej wieczór 2 maja. Po podzieleniu ludzi na wachty i uporządkowaniu z grubsza łodzi podziękowaliśmy Bogu za nasze cudowne ocalenie. Pełen ufności w miłosierną pomoc boską poczułem się raźniej na duchu niż przedtem”[3].

Następny ranek wstał ognistoczerwony, maj był bowiem porą cyklonów. W ciągu dnia wiatr wzmagał się, podnosząc coraz większą falę, tak że żagiel tracił zupełnie wiatr, gdy łódź wpadała w doliny między wierzchołkami fal. Nie odważono się go jednak zwinąć. Trzeba było koniecznie utrzymać kurs z wiatrem, gdyż inaczej szalupa mogłaby lec burtą do fali i wywrócić się. Blight oczekiwał rychłego jej zatonięcia. Tylko dzięki znakomitemu sterowaniu i manewrowaniu udało się ją wyprowadzić z tej krytycznej sytuacji.

Następnego dnia panowały takie same warunki i żeglarze przeszli przez prawdziwy morski czyściec. Przez cały ten czas Blight nie wypuszczał rumpla z ręki i ani na chwilę nie upadł na duchu. Po trzech dniach burza całkowicie ustała, a szalupa wpłynęła w rejon raf wysepek Fidzi. Blight i jego załoga nie zdawali sobie sprawy, że już na Tonga cudem uniknęli śmierci w kotle ludożerców, a teraz wpłynęli z deszczu pod rynnę w archipelag zdradzieckich kanibali. Tylko dzięki nauczce, jaka spotkała ich na Tofua, zachowali ostrożność. Dzielnego kapitan, mimo trudnej sytuacji, w jakiej się znajdowali, nie przestawał prowadzić dziennika. Szkicował mapy, robił pomiary sekstansem i sprawdzał prędkość łodzi. Sporządzał dokładny opis nawigacyjno-topograficzny mijanych wysepek. Nikt z Europejczyków nie był dotąd w tej części archipelagu Fidzi.

Ze szkiców brzegów wysp wynika, że łódź przepływała między Vanua Levu a Taveuni. Gdybym cofnął się w czasie, z mojej plaży mógłbym pomachać dzielnej załodze. Dalej łódź przepłynęła przez cieśninę między Viti Levu a Vanua Levu. Gdy byli w rejonie wysepek Yasawa, od jednego z atoli odbiły dwie duże łodzie żaglowe i rozpoczęły zaciekły pościg. Ich wielkie żagle z powiewającymi chorągiewkami były wydęte przez wiatr. Blight i załoga, pod pełnym żaglem i z pomocą wiosła, gnali, by oddalić się z niebezpiecznego miejsca. Uciekali, póki nie stwierdzili z zadowoleniem, że łodzie tubylców zrobiły zwrot i z powrotem skierowały się do atolu. Prawdopodobnie tu zakończyłaby się historia i kariera kapitana Blighta. Może to byli przodkowie moich sympatycznych gospodarzy z Taveuni? Gorące dni i wilgotne noce dotkliwie dawały się we znaki ludziom stłoczonym na podskakującej łodzi. Odporność żeglarzy słabła. Po przepłynięciu pięciuset mil w kierunku zachodnim

dojrżeli zielone brzegi wysp archipelagu Nowe Hebrydy. Przepłynęli obok Malekuli, ale i tu nie odważyli się przybić do brzegu. Obawa przed groźnymi ludożercami była silniejsza niż doskwierające im głód i pragnienie. Płynęli jeszcze tak tysiąc, półtora tysiąca, dwa tysiące mil. Wręgi łodzi wyblakły, a ludzie do tego stopnia pocierali sobie o ławy pośladki, że siedzenie było prawdziwą męką. Z braku miejsca nie mogli wstać, a tym bardziej się położyć. Przez ten cały czas Blight podtrzymywał ludzi na duchu, starając się, by ich umysły i ciała były stale czymś zajęte. Był mistrzem w zaprowadzaniu porządku i ustalaniu zajęć. Potrzebnych czy nie, lecz takich, które trzeba było systematycznie wykonywać każdej godziny, każdej wachty czy każdego dnia. W ten sposób dostarczał swej załodze jakiegoś zatrudnienia i kierował myśli prostych ludzi na z góry ustalone tory. By urozmaicić i uzupełnić nędzne menu, marynarze łowili ryby sporządzonymi przez siebie prymitywnymi wędkami.

Oceaniczne ryby w dzień przebywają głęboko w toni, dopiero wieczorem podpływają pod powierzchnię. By przeżyć na morzu bez prowiantu, trzeba o tym wiedzieć. Wielu rozbitków nie przeżyło morskiej tułaczki, gdyż nie znało tych reguł. Co godzinę prostym logiem mierzono prędkość, a Blight skrupulatnie ją zapisywał. Wachty pełniono sumiennie, a zmian dokonywano punktualnie. Znając w przybliżeniu prędkość i zmierzoną sekstansem szerokość geograficzną, Blight wyznaczał pozycję. Łódź utrzymywano w czystości, na ile pozwalały okoliczności. Dzień mijał za dniem, a mała szalupa płynęła pod pasatem ciągle na zachód. Płynęli przez niespokojne wody, w ulewnym deszczu, a słońce bryzgi zalewały oczy żeglarzy. Stale było mokro, wewnątrz łodzi przemakało od spadającej z fal piany. Przy silnym wietrze unosząca się w powietrzu sól niemal oślepiła ludzi. Tworzyła czerwone obwódki wokół oczu i wbijała się w twarze. W skołtunionych brodach gromadziła się całymi grudkami.

Blight notował w dzienniku: „Dwudziestego pierwszego maja przez całe popołudnie byliśmy tak zalewani deszczem i słonymi bryzgami, że zaledwie widzieliśmy cokolwiek. Dokuczało nam dotkliwie zimno, wszyscy bali się nadchodzącej nocy. Sen, choć tak bardzo potrzebny, nie przynosił ulgi, sam nie sypiałem prawie wcale. Dwudziestego drugiego maja sytuacja stała się niemal katastrofalna. Musieliśmy płynąć z wiatrem i wysoką falą, bacznie uważając, gdyż najmniejszy błąd sterowania oznaczał zgubę. Przez cały dzień dał sztorm, spienione bryzgi lały się na rufę. Tej nocy przeszliśmy jeszcze więcej niż poprzedniej. Fale waliły na nas z ogromną siłą, napawając nas ustawicznie przerażeniem i trwogą. O świcie wszyscy znajdowali się w stanie krańcowego wyczerpania i zacząłem żywić obawy, że następna taka noc będzie kosztować życie kilku towarzyszy...”[4]. Szalejący bez wytchnienia sztorm miał przynajmniej tę dobrą stronę, że pędził ich z niezwykłą prędkością na zachód.

Dnia 28 maja żeglarze dostrzegli fale łamiące się na Wielkiej Rafie Koralowej. Blight musiał znaleźć przejścia w formacjach koralowych, a jego ludzie musieli zebrać siły do obsłużenia łodzi. Jak daleko sięgał wzrok, woda gwałtownie załamywała się na rafach. Ciągnęły się w obie strony, aż po horyzont. Znaleźli się w pułapce. Otaczał ich istny labirynt śmiertelnie niebezpiecznych raf. Wiatr i fale nieubłaganie pędziły ku nim łódź. Nie można było zawrócić i halsować przeciw pasatowi. Żeglarze zaś nie mieli już siły wiosłować. Blight z trwogą wypatrywał bezpiecznego przejścia. Za kipiącym żywiołem widzieli spokojną wodę laguny. W końcu znaleźli szeroką na ćwierć mili przerwę w rafie. Przepływająca przez kipiela szalupa omal się nie przewróciła, ale na szczęście już po chwili byli na spokojnej wodzie. W porównaniu z trudnościami, jakie przeżywali w czasie poprzednich trzech tygodni, byli w raj. Blight skierował się ku maleńkiej wysepce, mieli za sobą ponad dwa tysiące mil. Pozostało jeszcze niespełna tysiąc pięćset... Łódź wylądowała na spokojnej zawiętrznej stronie wyspy, którą Blight nazwał Wyspą Przywrócenia, gdyż tam ludzie zostali przywrócenii do życia i zmysłów.

W łodzi Blighta byli też ludzie, którzy znaleźli się tam przymusu, gdyż przywódca zbuntowanej załogi, Christian Fletcher, nie chciał ich zostawić na Bounty. Byli to cieśla okrętowy i nawigator, wieczni malkontenci, którzy często buntowali się przeciwko Blightowi. I tu jawnie wystąpili przeciwko dowódcy, tak że musiał postraszyć ich pojedyńkiem na noże. Obaj tchórze odmówili walki, ale Blight wiedział, że trzeba ich bardzo pilnować. Dał ludziom kilka dni na odzyskanie sił, uzupełnienie zapasu wody, zebranie ostryg i owoców. Potem pozęglowali na północ wzdłuż Queenslandu, po wewnętrznej stronie Wielkiej Rafy Koralowej. Przez tydzień panowały dobre warunki. Z cieśłą nadal nie było spokoju, ciągle jeszcze coś knuł, a nawigator, któremu zagrożono śmiercią w razie buntu, siedział na ławce, spoglądając spode łba. Po okrążeniu przylądka York na najbardziej na północ wysuniętym krańcu

Australii udało się znaleźć przejście w rafach. Do dzisiaj kanał ten zwany jest Wejściem Bligha. Kapitan nadal sumiennie prowadził dziennik. Notował pozycje łodzi, zarówno dla własnych potrzeb nawigacyjnych, jak i ku pożytkowi przyszłych pokoleń żeglarzy. Kiedy już minęli przylądek York, mieli przed sobą wolną od raf koralowych drogę. Znajdowali się poza obszarem cyklonów, pogoda dopisywała. Członkowie załogi wyglądali jak szkielety z monstrualnie grubymi nogami. Na twarzach i w oczach widać było odbicie śmierci. Przedstawiali obraz nędzy i rozpacz. Dnia 11 czerwca na horyzoncie ukazała się wyspa Timor. Byli uratowani. W niedzielę 14 czerwca 1789 roku łódź wpłynęła do zatoki Kupang. Od przymusowego wyokrętowania z Bounty upłynęło sześć tygodni i dwa dni. Według obliczeń Bligha przebyto 3 618 mil morskich. Oprócz sternika Nortona nie zmarł ani jeden człowiek.

Jeśli ktoś zapyta, dlaczego w moich wspomnieniach opisuję przygody dawnych żeglarzy, odpowiem krótko: bo to ciekawe! Żeby dobrze poznać jakiś rejon świata i jego kulturę, nie można ograniczać się tylko do dnia dzisiejszego. Bez poznania historii nie zrozumiemy w pełni współczesności. I ostatnia sprawa – wiele miejsc, które dane mi było odwiedzić, związanych jest z pasjonującymi dziejami żeglugi w niezwykłych czasach wielkich odkryć geograficznych. Siedziałem też na plaży w Kupangu, rozmyślając o tym niezwykłym rejsie. Dlatego nie mogłem tej fascynującej historii pominąć milczeniem. Ale to jeszcze nie koniec...

## Wyprawa na plażę Waitabu

Minęło kilka dni, od kiedy zostałem sam w gospodarstwie właścicieli mojego pensjonatu. Nikt nie grabi przerośniętego trawnika, zniknął pod kobiercem zeschniętych liści. Dodatkowo jeszcze nawiało ich sporo z drzew z bliskiej plaży. O zmierzchu trzeba uważać na rozszuchwalone żaby, których teraz wcale nie można dostrzec. Moja zabawa ze świnkami już się skończyła, od wczoraj już trzódką zajął się znajomy gospodarz. Trochę dziwnie się czuję. Pewnie niewielu podróżników miało okazję samotnie opiekować się powierzonym dobytkiem i cieszyło się takim zaufaniem gospodarzy.

Ranek to najlepsza pora do pracy. W tym czasie wszyscy wykazują największą aktywność. Już od świtu za płotem jeździ głośny traktor z dwukołową przyczepą. Z pobliskiej plantacji bananów zwozi suche, ogromne liście. Nie można tam rozniecać ognia, więc wszystkie składa się na sąsiedniej posesji i pali. Za godzinę, około siódmej, w odstępach dziesięciu minut, z głośnym rykiem silników przejadą dwa autobusy szkolne. Zawsze punktualnie zabierają uczniów na zajęcia. Jeden autobus wiezie dzieci starsze, drugi młodsze. Na Fidżi uczniowie chodzą do szkoły w mundurkach. Po ich kolorze można poznać, z której są klasy i do jakiej szkoły uczęszczają. Chłopcy, bez względu na to, czy to pierwszoklasista, czy maturzysta, noszą zamiast spodni spódnice sulu.

Dzisiaj z Suvy przypląwa prom Sofi, którym ma wrócić z wesela Epeli z rodziną. To już tydzień, od kiedy jestem tu sam. Nawet się nie spostrzegłem, jak szybko minął. Nie wiem, co na to powiedzą gospodarze, ale od czterech dni pod drzwiami wejściowymi do baraku „dyżuruje” pies przybłąda. Ładne, mądre psisko, nie miałem sumienia go przepędzić. Stałe za mną łązi, pewnie źle zrobiłem, że podrzuciłem mu z litości kawałek chleba.

Wczoraj wybrałem się pieszo do Somosomo. Pies szedł za mną całe osiem kilometrów, nie mogłem się go pozbyć, nawet strasząc kamieniami. Przy drodze były zabudowania, do jednego zaszedłem i spytałem właściciela, czy nie potrzebuje psa. Nie sądziłem, że się zgodzi, ale o dziwo od razu przystał na propozycję. Bez problemu przywołałem psisko i uwiązaliśmy je sznurkiem do drzewa. Gdy pies zorientował się, że ma tu zostać, zaczął głośno wyć. Zrobiło mi się go żal, trudno opisać, jak żalowałem swojego nieroztropnego czynu.

A dzisiaj – jakież było moje zdziwienie, gdy rano zastałem przed drzwiami psinę. Nawet się ucieszyłem tym widokiem, pies spokojnie merdał sobie ogonem, jak gdyby nic się nie stało.

Wczoraj byłem świadkiem ciekawej scenki. Nigdy wcześniej nie widziałem, w jaki sposób psy zażywają kąpieli w oceanie. Pies sam nie wchodzi do wody, bo się boi, więc zbiera kolegów. Najpierw krążą przy brzegu dwa lub trzy psy i tylko przednie łapy moczy im fala, dalej nie wążą. Potem odchodzą szukać więcej kumpli do kąpieli. Po jakimś czasie na plażę przybiegnie ich kilka z całej okolicy i wtedy



jak na komendę wszystkie razem bez ceregieli włączają do wody i zaczynają pływać. Byłem zaskoczony, bo pływały długo i w sporej odległości od brzegu. Po kąpieli w słonej wodzie biegną wytarzać się w okolicznych kałużach. Po nocnych deszczach jest ich niemało. Każdy sposób jest dobry na pozbycie się pcheł i zmycie soli, nawet ta brudna lura... Trudno wprost uwierzyć, że w psich mózgach jest miejsce na takie kombinacje.

Prom szczęśliwie przyplął zgodnie z planem. Wrócili wszyscy oprócz Epeli, który ma przypląć następnym promem za tydzień. Jak przewidziałem w czarnym scenariuszu, pies przybędą pierwszy podbiegł przywitać rodzinę. I nie spodziewałbym się tego, że na dzień dobry zarobi od syna Mary solidnego kopniaka! Biedne psisko z podwiniętym ogonem i głośnym skowytem opuściło posesję raz na zawsze. Jeszcze wiele razy potem widziałem tego psa z innymi, jak kręcił się w okolicy sklepu Bhula Bhai.

Dzień po powrocie gospodarzy postanowiłem udać się na plażę Waitabu. By znaleźć się w tym bajkowym miejscu, trzeba dostać się do wioski Vidawa, a dalej jeszcze maszerować dwa kilometry brzegiem morza. O tej turystycznej atrakcji dowiedziałem się kilka dni temu w Naqarze. Pojechałem tam wybrać pieniądze z jedyne go na wyspie bankomatu. Przy banku spotkałem Abby z USA, która już od dziesięciu miesięcy mieszka w wiosce przy plaży Witabu. Z rozmowy dowiedziałem się, że jest studentką antropologii. Studiuje i pisze tu pracę naukową o mieszkańcach wioski i ich dawnych mitach. W okolicy krążą jeszcze ciekawe historie związane z tym miejscem, więc zgłębia ten temat od wielu miesięcy. Wkrótce, jak mówi, jeśli się tego nie uchwyci, wszystko pójdzie w zapomnienie. A przecież jeszcze tak niedawno każda wyspa czy archipelag Oceanii miały swój panteon bogów i duchów. Niektóre z bóstw występowały pod tym samym lub podobnym imieniem na wielu wyspach, będąc śladem wspólnego źródła oceanicznych kultur. Ale ja jestem podróżnikiem, nie antropologiem, więc nie będę się w to zagłębiał.

Planując pobyt na Wyspach Trobrianda, przeczytałem dwie książki profesora antropologii Bronisława Malinowskiego. Nie ukrywam, że to trudne dzieła i nie wszystko mnie w nich interesowało. Jednak nikt dokładniej od niego nie opracował naukowo życia mieszkańców tych wysp. Gdy w rozmowie zesłaliśmy na temat mojej dalszej podróży po Melanezji, wspomniałem Trobriandy. Abby od razu wymieniła nazwisko Malinowskiego. Powiedziała, że jego praca to biblia antropologii, bez której przestudiowania nikt w Stanach nie przejdzie egzaminów wstępnych na ten kierunek studiów.

Na plażę Waitabu wyruszyłem pieszo wcześniej rano. Na Taveuni nie ma innych dróg poza tą jedyłą, nadmorską, która nie okrąża nawet całej wyspy. Południowo-zachodni brzeg jest niedostępny, można dojechać tylko do Loveny. Jedynie kilka ścieżek przecina wyspę w poprzek, ale trzeba się przedzierać przez dzikie tropikalne zarośla, w dodatku pod górę. W czasie opadów przejście utrudniają wezbrane strumienie i potoki. Jednym słowem, lepiej nie zapuszczać się tam bez miejscowego przewodnika. Kilometr za sklepem Bhula Bhai, gdzie często robię zakupy, kończy się asfaltowa droga, dalej muszę iść zwykłą szutrówką. Już od rana nieznośny upał, na chwilę zatrzymałem się przy wąskiej rzeczce przed Neselesele. Z gęstych zarośli wypływa tu rzeczka, w tym miejscu sztucznie poszerzona i pogłębiona. W utworzonym małym stawku miejscowi kąpią się i piorą rzeczy. Właśnie dwie kobiety z michami pełnymi prania stoją po pas w wodzie i zabierają się do pracy. Za wioską droga wchodzi w gęsty tropikalny las, w którym potrafię ze stuprocentową pewnością rozpoznać tylko kilka drzew. Są to palmy kokosowe, drzewa sagowe, ogromne fikusy ze skórzastymi, owalnymi liśćmi i jeszcze bulabol, czyli drzewa mangrowe. Gąszcz tłumi szum fal, słychać tylko brzęczenie owadów, ale i one za chwilę ukryją się gdzieś przed upałem.

Po kilku kilometrach las się przerzedza. Przez drogę przebiegają duże kraby. Dla zabawy zawracam je kijem w przeciwną stronę, ale zawsze kierują się prawidłowo w stronę wody, widocznie instynktownie czują ocean. Po kilkuset metrach droga ponownie ginie w nadbrzeżnym gąszczu. Zaczął się odpływ, coraz więcej bazaltowych skał wystaje z wody. Ich wygładzona czerń lśni w słonecznych promieniach. Nie ma tu szerokich i długich plaż, ich namiastkę tworzą małe łachy jasnego piasku na styku wody i ładu. Brzeg, jak wszędzie na tropikalnych wyspach, opanowany jest przez zarośla mangrowe. Ich korzenie czepiają się każdego skrawka ziemi, a nawet skał, nie da się tu przejść. Skłębione korzenie i widoczne po odpływie pnie oraz gałęzie są ciemne i oślizłe. Każdego odrzuca

wstrętna woń gnijących resztek organicznych. Wystarczy kilka godzin słonecznego żaru, a wszystko wysycha. Nadchodzący przypływ zalewa je znowu, i tak przez wieczność. Wszystkie te rośliny potrafią żyć w słonej wodzie, to ich naturalne środowisko.

Palma kokosowa również bez problemu może mieć swoje skołtunione korzenie zanurzone w słonej wodzie i wcale jej to nie przeszkadza, by owocować. Rośnie tu ich sporo, ale tylko nieliczne same się rozmnożyły. Nagrodą za męczącą wędrówkę są niezapomniane widoki. Kamera i aparat fotograficzny nie mają chwili wytchnienia.

Około kilometra od brzegu leży urokliwa wysepka Viubani. Pogoda fantastyczna do fotografowania, lazurowe niebo i kłębiaste cumulusy oraz turkusowy, nieskazitelnie czysty ocean. Postępujący odpływ ledwo co pokrywa wynurzającą się miejscami rafę koralową. Na jej powierzchni tworzy się biała kipiela z roztrzaskujących się fal. Blisko brzegu wysmukłe, zawsze pochylone ku wodzie palmy kokosowe. Głośny szelest ich potężnych liści konkuruje z szumem fal oceanu, na szczęście tu wytłumionym przez barierę raf. Po prawej stronie teren podnosi się dość stromo. Całe wzgórze porasta tropikalna dżungla. Widok na wysepkę iście pocztówkowy, jak z folderów ekskluzywnych biur turystycznych. Nie jest taka mała, z mapy wiem, że ma około kilometra długości. Wyspa jest ponoć prywatną własnością jednej rodziny. Po wschodniej stronie wyspy Taveuni wody oceanu, jak daleko sięgam wzrokiem, przybrały piękny, turkusowy kolor. Daleko od brzegu ledwie widoczna bariera rafowa z białym paskiem piany. Mijam kilka przydrożnych zabudowań. Za prostym drewnianym płotem pasie się stado krów. Niektóre z nich chronią się przed spływającym z nieba żarem w cieniu kilku dużych drzew.

Długo idę wzdłuż tej bardzo rozległej farmy. Droga niemal dotyka plaży, fale zanikły, jest odpływ. Dwa lata temu tym rejonem Taveuni wstrząsnął silny cyklon, jeszcze dzisiaj na brzegu leżą pnie powalonych wtedy drzew. Zawsze największą szkodę ponoszą palmy kokosowe. Przygnębiające wrażenie robią sterczące gołe pnie, bez pióropuszy dużych, postrzępionych liści. Strome zbocza przechodzą miejscami w łagodne pagórki obsadzone palmami kokosowymi. Ten widok towarzyszy mi przez kilka kilometrów. Nie widać tu jakiegoś porządku w rzędach i odległościach między drzewami. Prawdopodobnie to stara plantacja z dużymi ubytkami drzew.

Palmy najlepiej rosną i owocują w pasie od sześciu do ośmiu kilometrów od brzegu, takie plantacje dają największe plony, do sześćdziesięciu orzechów w ciągu roku z drzewa. W zależności od nachylenia terenu na jeden hektar sadi się od 120 do 300 drzew. Te przydrożne plantacje bardzo mi się podobają, są takie naturalne. Niepodobne zupełnie do upraw przemysłowych, gdzie wszystko rośnie pod sznurek, w rzędki i porządku.

Przeszedłem taki szmat drogi, a dotąd nie spotkałem człowieka! Chętnie napiłbym się chłodnego soku z orzecha, a nawet wody, byle zimnej. Tej tu nie ma, a orzechów sam nie mogę przecież brać. Zresztą najsmaczniejszy jest tylko orzech świeżo zerwany, powinien być jeszcze zielony. Te, które spadną same i trochę poleżą, mają już sfermentowany sok i nadają się tylko na koprę. Z nieba leje się żar nie do wytrzymania, do tego ani śladu wiatru. Z pragnienia odechciewa się wszystkiego, nic już nie cieszy. Nogi jak z waty, człowiek stale jest mokry, temperatura to przynajmniej trzydzieści pięć stopni w cieniu! Na szczęście dochodzę do wioski Qeleni.

Zatrzymuję się na solidnym mostku nad sporą rzeczką. Tak szerokiej na wyspie dotychczas nie spotkałem. W odległości 200 metrów znajduje się jej malownicze ujście do oceanu. Z góry widać, że woda jest krystalicznie czysta, na dnie dostrzegam wyraźnie każdy kamyk. W cieniu mostka kilka kobiet brodzących po pas w wodzie robi pranie. To miejscowa pralnia i kąpielisko. Parę innych kobiet w kolorowych sukienkach zażywa przyjemnej kąpeli w chłodnym nurcie. Dookoła pluszcze się gromadka rozwrzeszczanych dzieciaków. Nie będę ukrywał, jak bardzo im zazdrościłem!

Przechodzę koło zabudowań. Domy na wsi dawniej budowano z materiałów naturalnych dostępnych dookoła. Były tak wkomponowane w krajobraz, że nie zakłócały harmonii otaczającej je przyrody. Dzisiaj cywilizacja wszystko przewróciła do góry nogami. Dawne chatki zniknęły bezpowrotnie. Może nie były tak trwałe jak te dzisiejsze, sklecone z dykty, desek, cegły i różnokolorowej falistej blachy, ale miały swoje zalety. Starzy potwierdzają, że w tradycyjnych chatkach lepiej się mieszkało. Miały swój niepowtarzalny klimat, a właściwościami termicznymi przewyższały

współczesne. W czasie ulewy można było spać spokojnie, a po palmowych liściach cicho spływały tony wody. Dzisiaj, podczas ulewy, dach z blachy falistej staje się brzęącym nieznośnie bębniem, w słoneczne zaś dni w blaszaku człowiek czuje się jak kurczak w piekarniku.

Wchodzę do wioseczki, to kilkanaście prostych domków, każdy inny, nikt tu nie dba o wygląd i estetykę. Tak doskonale położona na wzgórzu wioska niegdyś musiała wyglądać idyllicznie. Otaczające ją palmy i piękny widok na ocean nie zmieniły się, tak samo jak błękitno-szafirowe niebo. Ale dzisiejsza wiejska architektura jest doprawdy koszmarna! Niestety wszędzie na Fidżi jest podobnie... Turysta, który tak jak ja naczytał się książek o urodzie Mórzu Południowym, będzie mocno zawiedziony. Te czasy bezpowrotnie minęły. Na szczęście jest jeszcze piękna przyroda, która ostatkiem sił walczy z człowiekiem o przetrwanie. Na zadbanych trawnikach przed niektórymi domkami leżą rozłożone paski z liści pandanusa. Suszą się w słońcu, później kobiety będą plotły z nich tradycyjne maty. W kilku miejscach na arkuszach z blachy falistej schną korzenie pieprzowca. To z nich sporządza się napój kava. Jej picie to męska tradycja, więc zawsze kręcą się koło tego mężczyźni. Gdy przechodziłem przez osadę, zostałem zaproszony do małego domku z pustaków. Ludzie są tu bardzo otwarci i życzliwi. Kilku miejscowych proponowało mi pogawędkę, ale nie miałem tyle czasu, by się na dłużej zatrzymać. Nie mogłem jednak odmówić sympatycznemu Sydneyowi, tym bardziej że akurat zasiadał do herbaty z dwiema sympatycznymi sąsiadkami. Około czterdziestoletni mężczyzna jest bardzo gościnnie. Chciało mi się pić, więc nie dałem się długo prosić i wszedłem do środka. Spragniony byłem jednak bardziej orzeźwiającej wody niż słodkiej herbaty. Zanim usiedliśmy, poprosiłem o wodę i wypilem cały litr.

Siadamy po turecku na pleconej z pandanusa macie rozpostartej na niebieskim gumoleum. Z tego, co widziałem, pewnie wszystkie podłogi na Fidżi wyłożone są tym plastycznym tworzywem. Taka wykładzina jest i u mnie w pokoju, taką samą widziałem w kościele. Widocznie to właściwy kolor w tym gorącym klimacie. Podobno nie znoszą go owady, a człowiekowi wydaje się, że jest chłodniej. W głównym pomieszczeniu prawie nie ma mebli. Dziwię się, widząc stojącą przy ścianie dużą lodówkę. Jednak nie wypada pytać o prąd i jej przeznaczenie, widocznie jest potrzebna... Z mebli jest tylko duża drewniana komoda, obok której leży kilka zrolowanych mat do spania i siedzenia, to wszystko. Ten mały domek ma jeszcze dwa pomieszczenia, do których można wejść przez drzwi przesłonięte kotarami.

Krótko jesteśmy sami, po chwili nadchodzą starszy brat gospodarza i dwie sąsiadki. Nie dziwię się, bo każdy jest ciekawy nawet krótkiej rozmowy z nieznanym, a tym bardziej z tak daleka. O Polsce coś tam słyszeli. Wiedzą, że leży w Europie, lecz gdzie dokładnie, to już trzeba podpowiedzieć.

Niemal wszyscy w wiosce utrzymują się z uprawy taro, kopry i kawy. Płonów z poletek i ogrodów starcza jedynie do kuchni na własne potrzeby, więc dodatkowo pracują na pobliskich plantacjach. Tylko nieliczni mają większe pola i mogą utrzymać z tego swoje rodziny. Kobiety dorabiają w domach, wyplatając popularne maty, które można sprzedać. To bardzo pracochłonne zajęcie nie daje dużych zysków, bo konkurencja jest spora.

Dzieci na lekcje dowozi szkolny autobus. Kogo stać na opłacenie studiów, może wysłać córkę czy syna na uczelnię do Suwy. Do poziomu gimnazjalnego nauka jest darmowa, a zdolni studenci mogą liczyć na rządowe stypendia.

W zasadzie nikt nie narzeka na swój los, nie widać, by ludzie byli bardzo przepracowani, wszystko jakoś się kręci. Wieczorami dla rozrywki zawsze znajdzie się czas na towarzyskie wypicie kawy. W niedziele prawie wszyscy spotykają się w kościółku. Skrupulatność w wypełnianiu obowiązków religijnych oraz zachowanie i ścisłe przestrzeganie zasad moralnych to duchowe wartości Kościoła ewangelicko-metodystycznego.

Dochodzi południe, patrzę na zegarek i zastanawiam się, czy dam radę dojść na plażę Waitabu. Miły gospodarz odradza mi wędrowkę w najgorszym upale, to jeszcze spory kawał drogi. A na przypadkową okazję nie mam co liczyć. Faktycznie jest już za późno na zrealizowanie dzisiejszego planu. Sydney podpowiedział, że za dwie godziny jest autobus do Matei. Ta istotna informacja przeważała – nigdzie dalej nie idę. Tak naprawdę to się już dziś nałaziłem. Siedemnaście kilometrów w upale to nie w kij dmuchał. Te dwie godziny spędzę tu, w wiosce, a jutro rano autobusem pojedę do Waitabu. Dzięki temu będę miał sporo czasu na spacer po plaży, a do Matei będę mógł wrócić tym samym kursem co dzisiaj. I ostatecznie na tym stanęło.

## Zakończenie wyprawy po drzewo chlebowe

Odyseja tych żeglarzy, którzy mieli jedną szansę na milion, że dotrą do cywilizacji, przeszła do historii wypraw morskich. Mieli przeciw sobie ocean, wrogich wyspiarzy, głodowe przydziały żywności i wody. A jednak łupina ta dotarła do holenderskich posiadłości na wyspę Timor, która w owym czasie była przyczółkiem białego człowieka w tym rejonie świata. Tam kilku rozbitków zmarło z wycieńczenia, zabrała ich śmierć z opóźnionym zapłonem. Blight i inni, którzy przeżyli trudy żeglugi, statkiem dotarli do Anglii. W tych czasach prawo dla buntowników z okrętów Królewskiej Admiralicji było bezwzględne.

Nie licząc się z kosztami dalekiej zamorskiej wyprawy, Admiralicja wysłała na koniec świata okręt wojenny Pandora, którego jedynym zadaniem było ich ujęcie. Na dowódcę tej dużej fregaty został wyznaczony komandor Edward Edwardson, mający w marynarce brytyjskiej opinię bezwzględnego rygorysty. Dotarłszy na Tahiti, znalazł tam część załogi Bounty. Nie wszyscy jednak byli buntownikami. Siedmiometrowa szalupa Blighta nie mogła bowiem pomieścić wszystkich lojalnych załogantów, którzy nie przyłączyli się do buntu. Nadgorliwy i bezwzględny dowódca kazał mimo to zakuć w kajdany wszystkich i uwięzić w smrodliwej budzie skleconej na rufie Pandory. Dali się złapać tylko ci, którzy naiwnie ufali w swoją bezkarność. Będąc przeświadczeni, że nikt ich tu ścigać nie będzie, osiedlili się na Tahiti. W takich nieludzkich warunkach, skutych w kajdany i osadzonych w ciasnej klatce, Pandora wiozła ich do Anglii.

Wkrótce okręt wpadł na Wielką Rafę Koralową i poszedł na dno, a wraz z nim niektórzy więźniowie. Ci, którzy przeżyli i tę przygodę, stanęli przed sądem w swojej ojczyźnie. Kilku z nich zawisło na szubienicy. Historycy są zdania, że ówczesny głośny proces przyczynił się do poprawy warunków bytowania marynarzy w królewskiej flocie.

Jak już pisałem, po buncie i odpłynięciu szalupy Blighta w okolicy wysepki Tofua archipelagu Tonga, buntownicy powrócili na „wyspę z marzeń i snów”, czyli Tahiti. Tutaj podzielili się na dwie grupy. Szesnastu z nich, spośród których kilku pożeniło się z Tahitankami, zdecydowało się pozostać na wyspie. Pozostałych dziewięciu pod dowództwem Christiana Fletchera, obawiając się angielskiej ekspedycji karnej, postanowiło ukryć się na którejś z tysięcy ustronnych wysepki rozsianych na bezkresnych przestrzeniach Oceanu Spokojnego. Byli pewni, że tam, gdzieś daleko na południu, nie dosięgnie ich długie ramię Admiralicji. Po krótkim pobycie na rajskiej Tahiti we wrześniu 1789 roku wyruszyli na morze. Na pokład zabrali dwanaście kobiet i sześciu mężczyzn. Trafili na Pitcairn, maleńką kropkę na mapie oceanu. Spaliwszy Bounty, ostatecznie zerwali kontakt ze światem i założyli maleńką społeczność. Odtąd wszelki słuch po nich zaginął, a miejsce ich pobytu odkryto wiele lat później.

Minęły lata, świat zapomniał o głośnym buncie. Dopiero w 1808 roku przypadek sprawił, że potomków brytyjskich marynarzy i ich tahitańskich połowic odnalazł kapitan Folger z amerykańskiego statku wielorybniczego. Płynąc dwa tysiące kilometrów na południowy wschód od Tahiti, odkrył ich schronienie – maleńką Pitcairn. Ta skalista wysepka pochodzenia wulkanicznego nie jest większa od śródmieścia Warszawy. Ma ona wymiary 3,2 na 1,6 kilometra, co daje nie więcej niż pięć kilometrów kwadratowych powierzchni. W ciągu dziewiętnastu lat wiele się na wyspie zdarzyło. Świat dowiedział się, że wysepka była widownią krwawych rozgrywek między Brytyjczykami, a zabranymi z Tahiti wyspiarzami, którzy mieli być niewolnikami białych. W krwawych jatkach o kobiety wyginęli wszyscy Tahitańczycy i Brytyjczycy, z wyjątkiem jednego buntownika.

Kapitan Folger zastał przy życiu jedynie marynarza Adamsa, dziewięć kobiet i dwadzieścioro pięcioro dzieci pochodzących ze związków sześciu marynarzy z miejscowymi kobietami. Tahitańczycy nie pozostawili po sobie żadnego potomstwa. Taki był początek kolonii, która istnieje do dziś. Od tej małej grupki pochodzi cała ludność wyspy, licząca po pięćdziesięciu latach około 200 osób.

Obawiając się przeludnienia, rząd brytyjski przesiedlił w 1856 roku mieszkańców na nieco większą wyspę Norfolk, położoną pięć tysięcy kilometrów na zachód. Po zlikwidowaniu tam kolonii karnej Norfolk stała się ponownie wyspą bezludną. Jednak część przeniesionych, gnana tęsknotą za swoją ukochaną wysepką, powróciła na Pitcairn.

Dociekliwi dziennikarze stale czegoś szukają, stąd wiemy, że na wyspie nie obyło się w późniejszych czasach bez skandali. Zamknięta i niezwykle tajemnicza, zaledwie sześćdziesięcioosobowa społeczność Pitcairn przez dziesięciolecia skrywała niejedną ponurą tajemnicę. Nie wszystko jeszcze wiemy, ale co rusz wychodzą na jaw jakieś wstydlive sekrety. Pasjonujących się dziejami buntu raczej interesuje historia, która znana jest z ekranizacji filmowych i licznych książek.

Mimo, że od spalenia Bounty minęło ponad 227 lat, ta opowieść wciąż trwa... Wspólnota zamieszkująca na wyspie Pitcairn formalnie pozostaje pod panowaniem królowej brytyjskiej i korzysta z państwowych subwencji. Pitcairn to dla nas nadal tajemnicza wyspa, której mieszkańcy mają historyczne korzenie w społeczności zapoczątkowanej przez zbuntowanych marynarzy. A jaki los spotkał kapitana Williama Bligha? Sąd Admiralicji ostatecznie oczyścił go z wszelkich zarzutów, w tym z największego – o utratę Bounty. Jednak nie powierzono mu już nigdy dowództwa na żadnym z okrętów. Na otarcie łez został mianowany gubernatorem nowej „perły w koronie brytyjskiej”, a mianowicie pierwszej posiadłości na terenie obecnej Australii.

## Tapu Mana

Tapu – tym słowem w Oceani i Melanezji określano jakiś zakaz czy ograniczenie. Nawet na oddalonych o tysiące kilometrów od siebie wyspach miało ono takie samo lub podobne znaczenie. Na Fidżi mówiło się: tabu. Najczęściej termin ten można tłumaczyć jako odseparowanie, wyłączenie ze społeczności i moralne ograniczenie. Waitabu – wioseczka, do której się udaję – w swojej nazwie ma dwa człony: wai, oznaczające wodę, i tabu, czyli zakaz. Mam nadzieję, że na miejscu dowiem się czegoś więcej. Nie pomyślałem wcześniej, że w nazwie wioski kryje się ważna informacja, że nie jest ona przypadkowa.

Wczoraj nie udało mi się dotrzeć pieszo do Waitabu, więc dzisiaj wybieram się tam jedynym porannym autobusem. Trasa dalej biegnie do filmowej, pięknej plaży w Lovenie, tam również chcę pojechać, ale w późniejszym czasie. Teraz muszę tylko przypilnować, gdzie wysiąść, by mieć jak najbliżej do plaży w Waitabu. Powinienem to zrobić w Vidawie i potem dalej pieszo iść brzegiem. Przy drodze nie ma żadnych znaków. Najprostszy sposób to poprosić kierowcę, by zatrzymał się we właściwym miejscu. Tylko nieliczni, niezależni turyści wybierają się tam publicznym transportem. Zdecydowana większość wynajmuje samochody lub dociera tam z wycieczką w zorganizowanych grupach. Podróżujący po Taveuni łatwo mogą zatrzymać autobus. Bez względu na to, gdzie stoisz, machniesz ręką i kierowca zatrzymuje pojazd. Tylko szkolne autobusy jeżdżą punktualnie, te jednak zawsze są pełne i szofer z reguły nie zabiera przypadkowych podróżnych, chyba że ma wyjątkowo wolne miejsca. Ja też parę razy skorzystałem z takiej okazji. Płacisz wtedy jak za normalny bilet. Zwykle autobusy jeżdżą bardzo rzadko i niepunktualnie. Nawet godzinne opóźnienie jest tolerowane, nikt się nie oburza i wszyscy czekają cierpliwie. Dzisiaj, po półgodzinnym opóźnieniu, ruszyłem pieszo, licząc, że zatrzymam przejeżdżający autobus gdzieś po drodze.

Jest piękna pogoda, rześkie poranne powietrze po nocnym deszczu napawa optymizmem. Wczoraj w Queleni autobus miał aż półtorej godziny opóźnienia, naczekałem się przy szutrówie jak pacan... Wkurzonego człowieka nie bawi już widok pobliskiej pięknej plaży. Do Matei wróciłem prawie o zmierzchu.

Ledwie ruszyłem z buta, usłyszałem za sobą znany warkot silnika. Autobusy jeżdżą tu z bardzo małą prędkością, jak przystało na zwykle ciężarówki, bo też je się na autobusy przerabia. Dlatego są takie głośne i niewygodne, a pasażerowie podskakują na każdej dziurze. Wcale nie trzeba ich wypatrywać, bo głośny ryk słychać już z kilometra. Powolna jazda jest doskonałą okazją do podziwiania widoków za oknem. Aby zatrzymać autobus, trzeba krzyknąć lub pociągnąć za dyndający wzdłuż niego sznurek. Uruchamiany tym dzwonek oznajmia, że chce się wysiąść. W zasadzie kierowca wie, gdzie się zatrzymać, gdyż wszyscy się tu znają. Na Fidżi obowiązuje lewostronny ruch pojazdów. O ile po szosie asfaltowej jeździ się wymaganą stroną jezdni, to na gruntowej czy szutrówie nikt tego już nie respektuje.

Mijamy miejsca, które wczoraj z zachwytem fotografowałem. Wyczerpująca piesza wędrówka w upale bardzo mnie osłabiła, ale nagrodą za te trudy są piękne zdjęcia i film. A teraz, po pół godzinie

jazdy, jestem już na miejscu. Wszedłem z autobusu za Pagi przed wioską Vidawa, tak ponoć nazywa się ta osada. Znaku żadnego nie ma, ale tak powiedział kierowca. Było jeszcze wcześniej i postanowiłem, że dalej pójdę pieszo. Oprócz małej torby z aparatem fotograficznym niczego ze sobą nie zabrałem. Bez obciążenia łatwiej będę mógł sobie skracać drogę w kierunku osady Waitabu.

Zabudowania wiosek na Taveuni są w zasadzie zawsze skupione w miejscu, poza nimi tylko z rzadka można spotkać jakiś pojedynczy domek. W miejscu gdzie wysiadłem, skończył się las i droga dochodzi niemal do oceanu. Mam stąd kapitalny widok na zatokę. Wzgórze z drugiej jej strony porastają kokosowe gaje. Ślicznie wyglądają wkomponowane w otoczenie, chociaż to plantacje. Na szczęście z daleka tego nie widać. Tu w pobliżu rośnie sporo palm kokosowych, a między nimi przysadziste bananowce.

Wyspa jest górzysta, więc płaskich poletek prawie się nie spotyka. Najwięcej uprawia się taro. Jak już wcześniej pisałem, Taveuni z tego słynie. To roślina o liściach dochodzących do metra średnicy i dorastająca na taką wysokość. Przez te ogromne liście plantacje taro są szczególnie narażone na zniszczenie podczas częstych tu cyklonów. Huraganowe wiatry potrafią ogołocić dosłownie co do sztuki całe pola.

Cyklony nawiedzają ten rejon Pacyfiku cyklicznie, co kilka lat. Sezon tych kataklizmów trwa od listopada do marca, kiedy większość gruntowych roślin uprawnych dojrzewa do zbioru. Straty bywają olbrzymie, a rady na to żadnej nie ma. Kiedy to piszę, z Vanuatu dochodzą hiobowe wieści. Cyklon Pam z prędkością ponad 300 kilometrów na godzinę straszliwie spustoszył wyspy archipelagu. Było wiele ofiar śmiertelnych, a wyspy przedstawiają obraz nędzy i rozpacz.

Bardzo pospolita i ulubiona przez wszystkich papaja rośnie w grupach po kilkanaście sztuk w wielu miejscach. Każdy stara się mieć w pobliżu domu kilka drzew rodzących te deserowe owoce. My, ze strefy umiarkowanej, nawet sobie nie potrafimy wyobrazić, ileż to różnych owoców dają ludziom drzewa tropikalne. Taka bardzo rozpowszechniona w tropikach papaja rośnie niby na drzewie, ale to nie jest typowe drzewo. Pień jest kruchy, miękki i nietrwały. Owoce wyglądają jak dynie zwisające z gałęzi. Po dojrzeniu zielona skórka owoców żółknie, miąższ przypomina melon, jest niesamowicie smaczny i odżywczy. Niestety oprócz ludzi ma sporo dzikich amatorów, jak ptaki i latające lisy.

Okolica robi wrażenie opustoszałej, mimo że dookoła są zagony taro, kasawy itp. Od dłuższego czasu nikogo nie spotkałem. Znad oceanu powiewa przyjemny wiaterek, który działa chłodząco na rozpalone powietrze. Odpływ nie zabrał jeszcze całej wody, słychać jednostajny szum fal. Daleko od brzegu, na podwodnej barierze rafowej, rozbijają się kilkumetrowe fale. Tam woda pieni się i dudni, ale tego już tu nie słychać. Idę szutrową drogą wzdłuż zatoki.

By skrócić sobie wędrówkę, po przejściu mostka nad strumykiem skręciłem prosto ku plaży. Właściwie powinienem iść dalej drogą aż do wioski Vidawa, ale zaryzykowałem przedzieranie się przez chaszczę. Wszedłem w jakieś dzikie zarośla zaniedbanej plantacji. Pot zalewa mi oczy, potykam się o leżące pod liśćmi gałęzie. Teren jest bardzo nierówny, nie ma tu żadnej ścieżki. Pocieszam się, że na wyspie nie spotyka się groźnych węży lub innego paskudztwa. Żałuję podjęcia pochopnej decyzji. Jestem podrapany, do koszuli i spodni naczepiało się pełno różnego świństwa. Szlak przez gąszcz robi się coraz trudniejszy, muszę przeskakiwać doły i jakieś rowy. W końcu docieram zmachany do brzegu, pomstując na swoją głupotę. Niby doskonale wiem, że często ten, kto idzie na skróty, dwa razy nakłada drogi.

Na brzegu spotkałem dwóch chłopców ganiających z kółkiem na kij. Tutejsze dzieci często robią własnoręcznie zabawki, ale za to ostre maczety mają prawdziwe. Dziwiłem się, że rodzice pozwalają dzieciom bawić się tak groźnym narzędziem. Widziałem małe dzieci bez palców, później dowiedziałem się, że to skutki zabawy maczetą. Doszedłem na brzeg zatoki przed wioską Vidawa. Jednak do samej wsi już nie zachodziłem, by nie tracić czasu. Moim dzisiejszym celem jest plaża Waitabu, do której muszę teraz dojść brzegiem morza. Tam powinienem spotkać Amerykankę Abby. Kilka dni temu w Naqarze zapowiedziałem się, że któregoś dnia odwiedzę tę zareklamowaną przez nią plażę.

Znad oceanu czuć świeży powiew wiatorku. W powietrzu unosi się charakterystyczna woń rozpoczynającego się odpływu. Długa na trzy kilometry plaża ciągnie się wzdłuż łukowatego brzegu, jest niezwykle malownicza. Płytką w tej chwili woda przybrała turkusowy kolor, sięga do bariery raf. Na

oko to jakieś trzysta czy czterysta metrów. Tam napierające fale zatrzymują się na rafach i gwałtownie rozbijają. Ta potężna siła fal oceanu powoduje, że powstaje wysoka na kilka metrów mgiełka iskrząca w promieniach słońca. Coś niesamowitego! Gdy mamy nieco więcej czasu na obserwacje fal, możemy zauważyć, że nie wszystkie są takie ogromne, a tylko co któraś. Mimo sporej odległości słychać huk gniewnego żywiołu. Przy takiej pogodzie jak dziś niebo przybiera szafirową barwę, a oczy cieszy piękno otaczającej natury. Wśród tak pięknej przyrody intensywnie pracuje wyobraźnia. Nieskrępowana myśl w mgnieniu oka przebiega tysiące mil i zatrzymuje się gdzieś na poszarpanych skałach amerykańskiego wybrzeża. Będąc na peruwiańskim brzegu, też patrzyłem w dal i dumałem o bezmiarze wód dzielących mnie od Australii.

Z łatwością trafiłem do Abby. Z rozmowy dowiedziałem się, że jest tu jeden z najpiękniejszych podmorskich parków na Fidżi – Waitabu Marine Park. W krystalicznie czystej wodzie żyje przebogata w gatunki podwodna fauna i flora. Ma to niewątpliwie związek z tabu. Całe to miejsce od niepamiętnych czasów objęte było zakazem eksploatacji, czyli było tabu. Nie wolno tu było łowić ryb, zbierać owoców morza i się kąpać. Taką idealną sytuacją należało wykorzystać. Wystarczało w tym miejscu utworzyć park narodowy. I tak też uczyniono kilkanaście lat temu.

Osada Waitabu leży na końcu plaży, mieszka tu około dwudziestu pięciu rodzin. Zaraz na skraju wioseczki do oceanu z dzikiego gąszczu wpływa spory strumień. To głównie z nim związana jest miejscowa legenda. Opowiada ona o szamanie, który bardzo dawno temu nałożył tabu na okoliczne wody. Nie chcę zgłębiać się w historię związaną z czyjąś gwałtowną śmiercią, wolę podziwiać przyrodę i zgłębiać jej tajemnice. Najważniejsze, że woda ze strumienia jest najlepsza w całej okolicy i ma ponoć właściwości lecznicze.

Bardziej zainteresowałem się wydarzeniem sprzed dwóch lat, kiedy to potężny cyklon zmasakrował wioskę i okoliczne drzewa. Domki naprawiono i życie jakoś toczy się dalej. Najważniejsze, że nikt nie zginął. W pobliżu brzegu leży jeszcze kilka przewróconych wtedy drzew, wybielałych od słońca. Robię im kilka zdjęć, gdyż tworzą z otoczeniem ciekawą kompozycję. Muszę już wracać, szybko minęły chwile w tym urokliwym miejscu. Nieco dalej od brzegu z gąszczu zarośli wystaje pień całej palmy kokosowej. Zaciekawilo mnie, jaka też była wysoka. Krokami mierzę jej długość, robię trzydzieści cztery kroki. To spokojnie ponad trzydzieści metrów!

Powoli nadchodzi przypływ, stąпам w sandałach po pokruszonym na drobno koralu wymieszanym z żółtym piaskiem. Każda następna fala przyboju coraz bardziej przybliżyła się do brzegu. Spod nóg umykają krabiki, ociężałe taszcząc swoje muszelnikowe domki. Pośpiesznie starają się uciec do brzegu przed wzbierającą wodą. Wkrótce fale podejną niemal pod drzewa. Muszę się śpieszyć, gdyż nie chcę znowu przedzierać się przez zarośla. Chciałbym koniecznie zdążyć na autobus do Matei.

## Podróż na Vanua Levu

Od kilku dni na wyspie są takie upały, że nie wiadomo, co począć. Nieznośna temperatura doskwiera nawet miejscowym. Kto ma możliwość, siedzi pod zimnym prysznicem, choć to tylko chwila chłodnego relaksu. Też z tego korzystam. Najtrudniejszy jest moment, kiedy wchodzę pod lodowatą strugę, to bardzo stresujące, ale da się przeżyć. Mieszkam sam w budynku, więc często otwieram drzwi od pokoju i drzwi wejściowe od domku. Próbuje spowodować przeciąg, ale to nie zawsze pomaga. Jedynie rano jest czasem wytchnienia. Od kilku dni nie padał deszcz, przez to w dzień jest ponad 35 stopni Celsjusza w cieniu. Gdy jestem na miejscu w czasie południowych upałów, idę na taras baru Tramonto. Tam, na wysokim klifie, jest trochę chłodu i lekki powiew wiatorku znad oceanu, a do tego są widoki gratis. Tutaj w spokoju mogę poczytać przewodnik po miejscach dalszej mojej wyspiarskiej podróży. Przy okazji obserwuję dziwne zachowanie zabawnych kotów, którymi opiekuje się właściciel.

Muszę coś napisać, chociaż już to dawno wyjaśniono w naturze zwierząt. Tak naprawdę prawie cały dzień siedzą na tarasie i pilnują baru, są śmiałe i łase na głaskanie. Może nie warto byłoby o nich wspominać, gdyby nie numery, jakie wyprawia duży kocur ze swoją matką. Ta mała, biedna i wychudzona kotka ma trzy kociątka, które niedawno dopiero zaczęły chodzić. I co się dzieje u kotów

na tarasie? Starszy brat, nienasycony egoista, wręcz siłą odpędza młodsze rodzeństwo od matki i, jak gdyby nigdy nic, dobiera się do sutków. Kotka, trochę niechętnie, ale przyzwala na takie zachowanie starego syna.

Pewnie nie wszyscy wiedzą, że w naturze zwierząt żyjących w stadach takie zachowanie matek jest normalne. Gdyby to była córka, nigdy by nie została dopuszczona. Łatwo takie sytuacje zaobserwować na przykład u kóz. Kiedy po kolejnym wykocie przebywają jeszcze z matką starsze dzieci – koziołek i kózka – syn ma prawo podkraść mleko. Matka dopuszcza go do siebie, nigdy zaś nie pozwoli zbliżyć się do swojego wymienia córce. Zwierzęca natura instynktownie dba o przedłużenie gatunku. Matka zawsze będzie wyróżniać syna, gdyż w świecie zwierząt ważny jest silny samiec. Feministki mogą się z tym nie zgadzać, ale od natury żaden człowiek nie jest mądrzejszy. Jestem zły na kocura i żal mi małych kotków, ale nic na to nie poradzę. Zrobiłem kilka zdjęć i nakręciłem ciekawy kawałek filmu dla dzieci. Minał kolejny tydzień, mąż Mary, Epeli, dzisiaj też nie przyплыnął z Suvy. Podobno ma jeszcze jakieś sprawy do załatwienia i przyplynie następnym promem za tydzień.

W hoteliku zaś, ku mojemu zaskoczeniu, spotkałem Bridge'a z Vanua Levu. Ucieszyłem się niespodziewanym spotkaniem z sympatycznym Hindusem. Tłumaczył mi, że przybył tylko na dwa dni, by poprawić jakieś usterki na budowie. Lubiłem go najbardziej z całej ekipy, gdyż był odpowiedzialny i dbał o porządek w kuchni, kiedy wszyscy tu razem przebywali. Nie chcąc tracić czasu, zaraz też z tobołka wyjął narzędzia i poszedł do pracy na sąsiednią posesję.

Ja tymczasem udałem się do pensjonatu Makaira, naprzeciwko baru Tramonto. Tuż za drogą brzeg gwałtownie wznosi się o kilkadziesiąt metrów, a na samej górze tworzy płaskowyż. Chcąc się tam dostać, należy pokonać bardzo stromą i wąską drogę w kanionie o urwistych ścianach. Ze wzgórza roztacza się najpiękniejszy widok na okolicę. W czysto i starannie utrzymanym ogrodzie stoi kilka bungalowów. Otaczający je ogród jest niezwykle piękny, pełen kolorowych krzewów i różnobarwnych, kwiecistych klombów. A wszystko wśród palm kokosowych i ozdobnych drzew.

Często przychodzę tu o różnych porach dnia, by zrobić piękne zdjęcia. Przy okazji wypada zajść do właścicielki pensjonatu na kawę. Siedzimy przy stoliku w cieniu ozdobnych roślin. Tu, na drewnianym tarasie domku, jest zawsze chłodniej i przyjemniej. Miło spędza się czas przy kawie i pogawędce. Rebeka wraz z mężem już od trzydziestu lat mieszka na Taveuni, wcześniej mieszkała na Hawajach, to wyspy porównywalne pod względem warunków klimatycznych, ale tutaj jest zupełnie inaczej. Nie ma amerykańskiego pośpiechu, żyje się z dala od natrętnej polityki. Przy okazji mogę skorzystać z Internetu i nadać pocztę.

Zawieranie znajomości i przebywanie wśród ludzi to też ważna sprawa w długiej podróży. Szczególnie gdy jest tak bardzo długa jak moja – siedmiomiesięczna! Zawsze trzeba mieć jakiś kontakt z drugim człowiekiem, nawet przebywając wśród obcych, gdzieś daleko w świecie. To sprawia, że nie czuję się samotny, chociaż jestem sam, daleko od rodziny. Dzisiaj przyszedłem tu specjalnie, by z góry zrobić zdjęcie trzymasztowego żaglowca, który rzucił kotwicę w naszej zatoce. Od rana stoi za rafą, około trzysta metrów od brzegu. Widok jak z czasów wypraw kapitana Cooka. Nie sądziłem, że można tu ujrzeć jeszcze taki romantyczny widoczek. Pięknie wkomponowany w wody zatoki żaglowiec, na brzegu pochylone palmy, a w oddali wyspy Vanua Levu i Raba. Trudno już w dzisiejszym skomercjalizowanym świecie o taki zjawiskowy widok.

Wieczorem rozmawiałem z Bridge'em. Kiedy się dowiedział, że chcę popłynąć na kilka dni na Vanua Levu, od razu zaprosił mnie do siebie do Savusavu. Zaproponował mi gościnnie swój dom na okres pobytu na wyspie. Byłem trochę zaskoczony bezinteresowną gościnnością. Propozycję przyjąłem z wielkim zadowoleniem, a poza tym nie wypadało odmówić. Stało się na tym, że pojutrze popłyniemy razem z Taveuni do Natuvu. To mała przystań na Vanua Levu, stamtąd pojedziemy dalej autobusem do Savusavu.

Nieoczekiwane zaproszenie przyspieszyło moją podróż na Vanua Levu, na którą i tak w najbliższym czasie planowałem się dostać. Dowiadywałem się już o możliwości dotarcia na tę wyspę i podróżowania po niej. Vanua Levu oddalona jest zaledwie o dziesięć kilometrów od Taveuni, wystarczy tylko przepłynąć cieśninę Somosomo. Samo przepłynięcie zatoki to nie wszystko, muszę jeszcze z przystani Natuvu jakoś się wydostać, więc trzeba znaleźć jakiś transport i później



zakwaterowanie odpowiednie dla mojej kieszeni. W każdej podróży zawsze najważniejsza jest wiedza o miejscach, gdzie będzie się przebywało.

W moich wielomiesięcznych wożach przez kontynenty, kiedy przemierzam tysiące kilometrów przez kilka krajów, mogę tylko w przybliżeniu zaplanować trasę. Nie mogę ze sobą wozic w plecaku całej biblioteki, więc z dostępnych przewodników wybieram te najniezbędniejsze. Czasami wystarczy dobra mapa, bez której zawsze trudno mi się obyć. Ten, kto potrafi dobrze czytać mapę, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, ile cennych informacji zawiera. To aż nieprawdopodobne!

Do każdej wyprawy przygotowuję się długo, nieraz kilka lat. Podróże rodzą się z marzeń... Sporo czytam o ciekawych miejscach, bo być może kiedyś tam będę. Przeglądam strony w Internecie i zbieram wszelkie dostępne informacje. Ludzie często pomijają historię, dla mnie jest ona podstawą, od niej zaczynam. Ten, kto zna historię odwiedzanego miejsca, całkiem inaczej rozumie zachowanie mieszkańców, ich problemy i mentalność.

Wybierając się na Pacyfik, najwięcej czasu poświęciłem na poznanie przeszłości. Romantyzm związany z dawnymi odkryciami geograficznymi na Morzach Południowych wywołał u mnie pragnienie dotknięcia chociaż namiastki tego, o czym czytałem. W podróży zawsze jest tak, że im więcej wiesz, tym łatwiej podróżujesz i mniej wydajesz pieniędzy. Niewiedza słono kosztuje.

Na kilkudniową podróż na Vanua Levu spakowałem do małego podręcznego plecaka tylko niezbędne przedmioty. Pozostałe rzeczy zamknąłem w pokoju i poszedłem do Mary oddać klucz. Powiedziałem jej, że za cztery lub pięć dni wrócę. Na śniadanie usmażyłem wszystkie jajka, bo nie chciałem ich zostawiać w ciepłym. Na posiłek zaprosiłem Bridge'a i po wypiciu herbatki z limonki wyszliśmy na drogę. Do przystani, z której odpływają małe stateczki na Vanua Levu, jest dwanaście kilometrów. Dojechalśmy szybko, gdyż odwiózł nas życzliwy gospodarz remontowanego domu. Bridge taszczył dużą torbę z narzędziami, ja tylko mały plecak.

Przy betonowym pomoście zawsze stoi kilka małych kutrów, takie właśnie często kursują pomiędzy pobliskimi wyspami. Dzisiaj na rejs do Natuvu czeka kilkanaście osób. Człowiek cały czas dowiaduje się czegoś nowego, dobrze, jeśli na czas. O możliwości zakupu tańszego biletu Bridge poinformował mnie dopiero teraz. Nie wiedziałem wcześniej, że kupując łączony bilet na statek i autobus na trasie Taveuni–Savusavu, zapłacę dużo mniej. Z przystani w Natuvu do Savusavu mamy jeszcze dwie i pół godziny jazdy autobusem. Dzisiaj jest piękna pogoda, błękitne niebo z białymi cumulusami. Turkusowa woda cieśniny i zieleń górzystych wysp tworzą niezwykłą kompozycję. Czego jeszcze potrzeba, by poczuć się jak w raj? Ja wiem czego – trochę chłodu.

Stateczek głośno ruszył, zostawiając za rufą kłębowisko białej piany. Do przystani na Vanua Levu jest około dwadzieścia pięć kilometrów. Drewniane moło w Natuvu leży w spokojnej zatoce za wysepką Kioa. Oddalając się od Taveuni, podziwiam tę piękną wyspę. Gdy przypląnałem tu trzy tygodnie temu, wyższe partie gór były zakryte chmurami, dzisiaj są widoczne w pełnej krasie. Robię sporo zdjęć, kręcę trochę filmu. Trasa piękna, fantastyczna, dopiero tu zaczyna się myśleć o bezmiarze otaczającego oceanu. Po tylu dniach pobytu na wyspie taka zmiana była mi już potrzebna.

Opuszczający wyspę miejscowi zawsze obładowani są dorodnym taro powiązonym w wielkie pęki. Powszechnie nazywane tu dalo, jest najlepszą wizytówką wyspy i konkretnym prezentem. Nigdzie na innych wyspach Fidżi tak pięknego i taniego taro nie dostaniesz. Problem w tym, że warzywo to jest kłopotliwe w transporcie. Korzeń musi być zawsze z dużymi zielonymi łodygami, na szczęście można obciąć ogromne liście. Podziwiam ludzi za pomysłowość i umiejętność zapakowania tych swoich wszystkich tobołów, pak i worów do zapchanych autobusów. Po drogach Fidżi jeździ bardzo mało samochodów prywatnych. Mieszkańcy masowo korzystają z transportu publicznego, dlatego zawsze jeździ się tu w strasznym ścisku.

Płyniemy po spokojnej wodzie, prawie nie ma wiatru. Po prawej stronie mijamy niewielką, mocno pagórkowatą wysepkę Kioa. Z mapy wynika, że ma około trzy kilometry szerokości i dziewięć kilometrów długości. Brzeg jest bardzo urozmaicony, z mnóstwem romantycznych zatoczek. Na plażach ciągną się szeregi pochylonych ku wodzie palm kokosowych. Cały obszar wysepki wypełnia tropikalna zieleń, chciałoby się żyć tu jak Robinson Crusoe, to marzenia każdego dzieciaka. Nie widać, by na brzegu była jakaś wioska, są tylko pojedyncze domki, w sporych odległościach od siebie.

Kioa ma swoją historię. Na Pacyfiku jest wiele wysp, które posiadały ogromne zasoby fosforytów, były wręcz fosforytowe. Fosfor to niezbędny składnik nawozów w rolnictwie na całym świecie, bez niego nie uzyska się wysokich plonów. Niektóre wyspy niemal w całości tuż pod powierzchnią ziemi zawierały złoża fosforytów. Na początku XX wieku powstało kilka korporacji fosforytowych, głównie niemieckich, australijskich i brytyjskich, które zaczęły łupieżczo eksploatować te zasoby na wielu wyspach Pacyfiku. Obecnie zostało ich niewiele i dalsza eksploatacja stała się nieopłacalna. Środowiska naturalne zostały zrujnowane przez ludzką chciwość.

Nic już nie pozostało z uroku wyeksploatowanych wysepek, nie ma już pięknego rajy z palmami i turkusową laguną. Pozostały martwe wyrobiska, zdegradowana ziemia i tysiące ton złomu z zardzewiałych dźwigów, maszyn i taśmociągów. Na brzegach straszą rozwalające się betonowe pirsy. Wysepki zbudowane z delikatnego koralowca, eksploatowane w taki sposób, zaczęły się zapadać. Nieodwracalnie zachwiała się równowaga ekologiczna. Takim przykładem zrujnowanego środowiska jest najbliższa wyspa Nauru. Nikt się nie przejmował mieszkańcami, najważniejszy był zysk. Chętnych na fosforyty zawsze było więcej, niż dało się wydobyć.

Fosforyty były doskonałym naturalnym nawozem, gotowym do wysiewu wprost na pola. Wystarczyło tylko workować i sprzedawać. Kolonialny wyzysk przynosił duże dochody, gdyż firmy rejestrowały się w bananowych, wyspiarskich republikach i unikały w ten sposób płacenia podatków. W latach czterdziestych brytyjskie kopalnie tak zrujnowały Wyspy Gilberta, obecnie leżące w państwie Kiribati, że chatki mieszkańców zaczęły się zapadać i nie dało się już żyć. W tym czasie Wyspy Gilberta i Ellice, jak wiele innych archipelagów na Pacyfiku, z Fidżi włącznie, były koloniami brytyjskimi. Sytuacja stała się tak dramatyczna, że brytyjskie władze kolonialne musiały zacząć pilnie poszukiwać na innych wyspach odpowiedniego miejsca do życia dla wysiedlonych mieszkańców. W archipelagach Gilberta i Ellice znajdowało się sporo wysepek leżących na rozległej przestrzeni, jednak były zbyt małe, by utrzymać dodatkowych mieszkańców. W tym czasie do tych wszystkich wyspiarskich problemów doszedł jeszcze koszmar zażartych walk japońsko-amerykańskich na Pacyfiku. Szczególnie ucierpiała Banaba, największa wyspa archipelagu Gilberta. Gdyby nie zaciekle boje tam toczony, może by jeszcze dało się jakoś biednych mieszkańców poupychać na niektóre wyspy, niestety nic z tego nie wyszło. Na zrujnowanych wyspach nie dało się już żyć, ludzi trzeba było natychmiast przenosić.

Poszukiwano takiego miejsca i ostatecznie znaleziono je na Fidżi, gdzie przesiedleńcy mogliby zamieszkać. Problem w tym, że nie można zasiedlić komuś gruntu, i to obcokrajowcami. Każdy skrawek ziemi na Fidżi ma swojego właściciela, ale i z tym władze kolonialne się uporały. Jak powszechnie wiadomo, za pieniądze można prawie wszystko kupić. Fundusze zdobyto przez wymuszenie od fosforytowych firm tantiem za eksploatowane wcześniej złoża. Uzyskano 25 tysięcy funtów, za które kupiono wysepki Rabi i Kioa. Rabi jest większa, wcześniej o niej wspominałem, gdyż dobrze ją widać z plaży w Matei. Kioa to ta, obok której teraz przeplływamy. W grudniu 1945 roku na Fidżi przewieziono ponad 700 osób. Przesiedleńców zakwaterowano, niby tymczasowo, w namiotach zamiast w obiecanych wcześniej domkach! Władze obiecały, że za dwa miesiące otrzymają dalszą pomoc. Najgorsze, że jest to okres największych huraganów i dużych deszczów. Z tego powodu pierwsze doświadczenia przesiedleńców na nowych wyspach okazały się koszmarnie i tragiczne, czterdziestu ludzi nie przeżyło. Odległe o 2 500 kilometrów na północ Wyspy Gilberta, które musieli opuścić pod przymusem, teraz wydawały im się utraconym rajem. Obiecana pomoc nigdy do nich nie trafiła. Większość oszukanych wyspiarzy chciała powrócić w rodzinne strony. Niestety nie było to możliwe. Wśród przesiedleńców pragnących powrotu było ponad trzysta dzieci i wielu ludzi uwolnionych z japońskich obozów internowania z różnych wysp. W tym wypadku też dano sobie radę, rozpowszechniając wśród nich nieprawdziwe informacje o tym, że Japończycy całkowicie zrujnowali ich wyspy. Pomimo problemów pierwszych przesiedleńców później nastąpiły jeszcze dwie kolejne fale deportacji.

To nieprawdopodobne, ale dopiero w 2005 roku mieszkańcom Rabi i Kioa przyznano obywatelstwo Fidżi! Po Hindusach potomkowie przesiedleńców z Wysp Gilberta stali się kolejną społecznością Fidżi przywiezioną przez Brytyjczyków. Nie jest ich wielu, mają sporą autonomię, paszporty Kiribati i prawa własności na opuszczonych przez dziadków wyspach. To już trzecie i czwarte pokolenie, a jego członkowie dobrze znają należne im prawa. Jak to we współczesnym świecie bywa,

bezsukutecznie domagają się rekompensat i odszkodowań. Przepływając w pobliżu, nie mogłem nie wspomnieć o tych trudnych wydarzeniach z historii wysp Mórż Południowych.

Po ponad dwóch godzinach rejsu rozklekotanym kutrem wpływamy do zacisznej zatoki. Stateczek z wolna przybliża się do ruchomego drewnianego pomostu. Taka pływająca konstrukcja ułatwia bezpieczne zejście na brzeg, co jest ważne przy stale zmieniającym się tu poziomie wody. Trudno opisać to piękne miejsce, którego brzeg przechodzi w zalesione wzgórza. Uroku dodają liczne mocno pochylone palmy, rosnące tak blisko błękitnej wody, że pewnie w niej moczą kępy swoich skołtunionych korzeni.

Ludzie znieśli na brzeg liczne paki, wory i powiązane w pęki taro. Na dalszą jazdę nie musimy długo oczekiwać, już po chwili widać, jak drogą biegnącą nad brzegiem zatoki zbliża się autobus. Do Savusavu jest około siedemdziesięciu kilometrów. Z niecierpliwością czekam na przejazd ponoć ciekawą Hibiscus Road.

## Na Vanua Levu, czyli koniec ukrytego raju

Autobus ruszył powoli szutrową drogą w kierunku Savusavu, pod względem liczby mieszkańców drugiego po Labasie miasta na wyspie. Savusavu, mimo drugiej pozycji, jest zdecydowanie ważniejszym ośrodkiem administracyjnym na Vanua Levu. Jadę do ukrytego raju Fidżi, większość odwiedzających ten rejon właśnie tak go nazywa. Gdy płynąłem promem Sofi z Suvy na Taveuni, kilka godzin staliśmy w uroczej zatoce Savusavu. Wyspa Vanua Levu, z populacją 150 tysięcy mieszkańców, jest pod względem powierzchni drugą po Viti Levu. Mając 5 838 kilometrów kwadratowych, jest nieco mniejsza niż połowa Viti Levu. Wyspa mierzy 130 kilometrów długości i średnio 33 kilometry szerokości. Jej linia brzegowa jest niesamowicie poszarpana, co objawia się niezliczoną ilością rozmaitych zatok, cieśnin i skalistych wysepek. Całe wybrzeże otaczają rozległe rafy koralowe z niezliczoną ilością płytkich, niesamowicie pięknych turkusowych lagun. Dogodne warunki klimatyczne i terenowe umożliwiają na znacznych obszarach wybrzeża zachodniego i północnego uprawę trzciny cukrowej i palmy kokosową. Większość mieszkańców wyspy zatrudnionych jest w rolnictwie i przy produkcji cukru. Z kopry uzyskiwanej z orzechów palmy kokosowej wytłacza się na miejscu doskonały olej palmowy. Wyspa nie jest jeszcze tak skalana turystyką masową, jak oddalona o sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód Viti Levu. Mieszkańcy wioski stanowią siedemdziesiąt pięć procent populacji, dlatego w wielu miejscowościach kultywowane są mocno zakorzenione lokalne zwyczaje i tradycje. Nie na darmo używa się określenia „ukryty raj”, tylko jak długo jeszcze? Według ostatnich danych Vanua Levu kawałek po kawałku wykupują bogaci Amerykanie, Australijczycy i Niemcy. Najczęściej starają się o to emeryci, pragnący mieć na własność kawałek rajskiej ziemi, daleko od swoich domów, hałasu ulic i polityki.

W naszym autobusie jest bardzo gorąco, jednak nie można powiedzieć, że duszno. Doskonale sprawdzają się okna bez szyb, za to wdychamy wszędobylski kurz, a głowa pęka od ryku silnika. Zapchany autobus głośno pokonuje wyboistą, pagórkowatą drogę. Jedziemy przez zielone tropikalne gaje plantacji palmy kokosowej. Mijamy skupiska zabudowań, często ukryte wśród bananowców i papai. Widać, że mieszka tu dużo ludzi. Domki są skromne, zazwyczaj prostokątne i dość niskie. Mają sporo różnych przybudówek i komórek, dachy zaś bez wyjątku pokryte są szpetną blachą falistą. Kolor niebieski jest tu chyba ulubionym, gdyż dominuje w kolorystyce zewnętrznych ścian domostw. Nas, ludzi niecierpliwych, którzy nie mogą żyć bez zegarków i zawsze gdzieś się śpieszą, może szokować częste zatrzymywanie się autobusu.

W zwyczaju podróżowania mieszkańców Fidżi jest tak, że pasażerowi należy się podwiezienie pod sam dom. Bywa, że kierowca zatrzymuje się na odcinku stu metrów nawet ze trzy razy! Jeśli ktoś ma wielkie bagaże, można to zrozumieć, ale tak nie jest, bo i z pustymi rękoma pasażerowie życzą sobie podwiezienia pod próg. Co chwilę jakiś zakręt, jedziemy w poprzek największego półwyspu.

Potem wyjeżdżamy z gąszczu lasów i plantacji nad sam brzeg morza Koro. Teraz droga biegnie całkiem blisko brzegu, jest odpływ, więc w zasięgu wzroku tylko płycizna. Daleko na horyzoncie, w odległości około kilometra, pieni się woda na koralowej rafie. Ochrania ona przebogaty podwodny

świat. W błękitnym mikrokosmosie laguny, na małej głębokości, jak w podwodnym ogrodzie, tętni życie bogatej fauny i flory. Bujnie rosną koralowce, ich drobne polipy przypominają misterne kwiaty czy kolorowe kapusty. W toni pływają ryby papugi i kłębi się mrowie wszelkiego morskiego dziwactwa. Od czasu do czasu zdarza się też tragedia, gdy nagle, w nieprzewidzianym czasie i miejscu, pojawi się rekin. Na dnie leżą morskie ogórki – trepangi, raje, ośmiornice i tylko Bóg wie, ile jest tego wszystkiego rodzajów i gatunków. Gdy się patrzy z naszej perspektywy na to sielankowe podwodne życie, mało kto zastanawia się, co tam się dzieje. Jak zażarta i bezustanna walka o przetrwanie toczy się w tych błękitnych przestworzach. By trwać, natura tworzy niekończący się łańcuch pokarmowy.

Zaczęła się porządna utwardzona droga. We wszystkich przewodnikach nazywana jest Hibiscus Road. Rozglądam się na prawo i lewo za hibiskusami, które rozślawiły tę trasę, lecz jakoś nie mogę dojrzeć znanych mi pięknych kwiatów. Pytam siedzącego obok mnie Bridge'a: „Gdzie są hibiskusy?”. Jeśli mianem pięknego kwiatu nazwano tę drogę, to coś tu nie gra! Bridge jednym zdaniem zaspokaja moją ciekawość – po prostu krowy zżarły wszystkie smaczne, kolorowe kwiaty! Zamiast wśród hibiskusów, jedziemy w przepięknej scenerii gajów palmowych, które są coraz rzadsze.

Dowiaduję się, że dla miejscowych większym problemem od braku hibiskusowych kwiatów jest nagminny wykup posesji przez obcych. W ostatnich latach na atrakcyjne tereny wzdłuż tej dwudziestokilometrowej nadmorskiej trasy rzuciły się hordy bogaczy. Jak grzyby po deszczu rosną tu piękne, wręcz cukierkowe, wille z dostępem do laguny. Co rozsądniejsi okoliczni plantatorzy z niepokojem patrzą, jak wycina się całe hektary plantacji palmy kokosowej, która tu doskonale owocowała przez tyle lat.

Na ogołoconej ziemi wytycza się następnie działki pod zabudowę. Bridge żartobliwie mówi, że wyspa staje się „little America”. Osobiście jest z tego bardzo zadowolony, bo jako budowlaniec ma stale pracę i dobry zarobek. Wkrótce przejeżdżamy obok posesji, na której właśnie pracuje. Wskazuje ją ręką i dodaje, że już jutro rano ma się tu stawić do pracy.

Po kilku kilometrach autobus skręca w prawo i jedziemy wzdłuż krótkiego pasa startowego lotniska w Savusavu. Tuż za lotniskiem, dosłownie w polu, kończymy naszą ponaddwugodzinną podróż. Do domu Bridge'a zostało 300 metrów ścieżki przez pastwisko w pobliżu ogrodzenia pasa startowego. Pomagam mu nieść za jedno ucho ciężką torbę z narzędziami. Zawsze poważny Bridge uśmiecha się i pokazuje mi stadko pasących się kóz, jego kóz. Idę w milczeniu i zastanawiam się, czy jeszcze na świecie można znaleźć ukryty raj...

## Pobyty u hindusko-fidżyjskiej rodziny

Dzięki niezwyklej uprzejmości gospodarza miałem możliwość spędzić kilka dni u hinduskiej rodziny. My, Europejczycy, powinniśmy się zastanowić, czy bylibyśmy w stanie obcego człowieka gościć przez kilka dni u siebie w domu. Przejechałem kawał świata i powiem jedno: najbardziej otwarci i szczerzy są ludzie, którzy żyją ubogo. U nich zawsze znajdzie się jakiś wolny kąt w ciasnym domku i kawałek chleba. Potrafią podzielić się tym, co posiadają, i rzadko wołają o pieniądze. Gdybym nie doświadczył tego osobiście, nie wypowiadałbym się. W czasie jednej z moich kilkumiesięcznych podróży nocowałem ze sto razy u różnych rodzin. Najczęściej nie żądano zapłaty, ale sam poczuwałem się do tego. Takie bezinteresowne postępowanie powinno dać nam do myślenia. Wielu ludzi na Fidżi żyje skromnie. Bridge z żoną Divani i dwiema córkami mieszka w wynajmowanym małym, niskim domku, podobnym do naszych działkowych altanek. Domostwo jest ładnie położone, dwa kilometry od centrum Savusavu, tuż za lotniskiem. Można powiedzieć, że mieszkają na wsi. Szczęście w tym, że samolociki lądują tu nie za często.

Gdy przyszedliśmy, w domu czekała już na nas cała rodzina. Byłem zaskoczony faktem, że Bridge ma żonę Fidżyjkę, wcześniej o tym nie wspominał. Na Fidżi mieszane małżeństwa spotyka się bardzo rzadko. W takich związkach problemem jest przede wszystkim religia. Nie zdarza się raczej, by Hindus poprzez związek małżeński przeszedł na chrześcijaństwo, to żona przyjmuje religię męża. Trudno jest pogodzić religię i kulturę hinduską z chrześcijańską mentalnością. Mój przyjazd narobił trochę zamieszania w rodzinie. Tak wyszło, że na czas mojego pobytu swój mały pokój musiały opuścić dwie

dziewczynki, ośmioletnia Katie i pięcioletnia Stefanie. Miałem ze sobą swój dmuchany materac i nawet prosiłem, by mi pozwolono spać w korytarzu, ale oboje nie chcieli o tym słyszeć... Nie miałem wyjścia, musiałem się zgodzić, by nie urazić tych niezwykle gościnnych ludzi.

Uciążliwa, prawie całodzienna podróż stateczkiem, a potem autobusem, szutrową drogą, w kurzu i upale, dała nam w kość... Trudno obyć się bez kąpieli, więc zaraz po kolei idziemy do drewnianej szopki w ogrodzie, aby się odświeżyć w zimnej wodzie. Tymczasem Divani w kuchni zajęła się przygotowaniem posiłku. Gdy wróciliśmy do pokoju, na podłodze stało już gotowe jedzenie. Może zbyt krótko jestem na Fidzi, ale jak na razie jeszcze nie spotkałem się z tym, by w domach jadano posiłki przy stole. Dla mnie, nawykłem do innej pozycji, takie siedzenie jest dosyć kłopotliwe. Trudno mi złożyć kości moich starych nóg po turecku. Jest mi bardzo niewygodnie, dlatego kręcę się, a potem siadam na syrenę. Wszystkie posiłki jada się tu w zasadzie wspólnie na rozłożonych matach. Jako stołu używa się mat przeznaczonych wyłącznie do tego celu. Śpi się na innych, chociaż dla mnie były trudne do odróżnienia.

W XIX wieku na Fidzi do pracy na plantacjach zostali sprowadzeni Hindusi. Oprócz całkowicie odmiennej kultury i wierzeń przywieźli ze sobą tradycje kulinarne i specjały hinduskiej kuchni. Swoją tożsamość zachowali dzięki religii i specyficznej pikantnej kuchni. Wiele tradycyjnych potraw hinduskich dzisiaj możemy zjeść w restauracjach, jak i w domach fidżyjskich. Na powitalny lunch gospodyni postawiła miskę z dhalem. To taki gęsty krem z soczewicy zaprawiony curry, podobny do gęstej grochówki. Przez dodatek dużej ilości curry, bez którego Hindusi nie mogą się obyć, potrawa jest intensywnie żółta. Posiłek uzupełniają miska gorącego ryżu i jakieś miejscowe chipsy. Jedzenie kończymy deserem z kawałka soczystej papai.

Zauważyłem, że Bridge stara się córkom od małego wpajać hinduskie obyczaje. Jego pragnieniem jest, by dziewczynki przejęły hinduskie wartości i tożsamość oraz zawsze pamiętały o przodkach ojca. Mam wątpliwości, czy to się uda. Trudno będzie zmusić dziewczynki wychowywane w fidżyjskim otoczeniu, by zechciały zostać choć w połowie Hinduskami. Obserwowałem, jak niechętnie i pod przymusem uczyły się języka hindustani. Dziewczynki nie mają lekko. W szkole przerabiają program jak wszystkie dzieci, a w domu, pod presją ojca, mają jeszcze dodatkowe zajęcia. Córeczki z urody to jakby dwie małe Hinduski, włosy krótko ostrzyżone, proste i czarne jak atrament. Wydaje się aż nieprawdopodobne, że ich matką jest Fidżyjka o urodzie typowej dla miejscowych kobiet, czyli przy kości i o bujnych kręconych włosach.

Bridge pochodzi z Lambasy, miasta położonego na północnym brzegu Vanua Levu. Zamieszkują je głównie Hindusi. Tam też siedemdziesiąt lat temu osiedlili się jego dziadkowie. Przybyli, jak wielu, za chlebem z Tamilnadu w południowych Indiach. Kilka lat temu zmarli jego rodzice, był jedynakiem i nie ma tu żadnych krewnych. W Lambasie pozostał pusty dom. Tu, w Savusavu, kilka lat temu poznał przyszłą żonę i po pewnym czasie pobrał się. Po zamążpójściu Divani zmieniła religię katolicką na hinduizm. Mogliby przenieść się do swojego własnego domu w Lambasie, ale Divani nie zgadza się na opuszczenie swojej rodziny, tu też ma dobrą pracę w pobliskim kurorcie Cousteau.

Późnym popołudniem wszyscy razem udaliśmy się pieszo do Nukubalavu. Zostaliśmy zaproszeni do rodziców Divani na picie kawy, ale przypuszczam raczej, że powodem był mój przyjazd. Zapraszając dzieci do domu, przy okazji chcieli zobaczyć, kogo przygarnął zięć pod swój skromny dach. Z domu do wioski Nukubalavu mamy ponad trzy kilometry. Idziemy szutrową, polną drogą, mijając pojedyncze zabudowania. Dookoła rzadkie gaje palmowe, ogrody i pastwiska. Na nich pasą się stadka pstrokatych kóz.

Blisko za lotniskiem skończyła się nam wygodna droga. Dalej już nie jest tak łatwo, bo musimy wspinać się pod górę. Myślę sobie: „Jak będziemy wracać późnym wieczorem do domu?”. Po godzinie niezbyt łatwego spaceru dochodzimy do pierwszych domów Nukubalavu. Wszędzie dookoła rosną palmy kokosowe, zawsze je podziwiam, jak w Polsce nasze brzozy. Na temat palm kokosowych utarło się powiedzenie, że uprawa ich w głębi lądu udaje się tak daleko, jak sięga oddech morza. Zaraz za mostkiem na strumyku stoi dość duży dom rodzinny Divani.

Pod zabudowę wioski wybrano malownicze miejsce, przez rzadko rosnące palmy prześwituje plaża, teraz już w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Fascynująca, czerwona, jak zawsze

w tropikach, duża słoneczna kula szybko zbliża się do horyzontu, by nagle w ciągu dwóch minut zniknąć w wodzie. Przywitałem się z gospodarzem prosto i serdecznie. Zostałem przyjęty tak, jakbym był krewnym rodziny.

Na Fidżi relacje między najbliższymi i dalszą rodziną są bardzo ważne. Wszyscy krewni zawsze mają czas na wspólne spotkania, opowieści i dyskusje. Nawet najbłaższy temat jest dobrym pretekstem do wspólnych rozmów. W naszym życiu czas zagospodarował komputer i telewizor, przez co nie ma już często miejsca na inne sprawy. Zamiast odpoczywać po nużącej pracy, faszerowani jesteśmy polityką i bzdurami, tracimy bezpowrotnie czas i niepotrzebnie się denerwujemy. Przez przyzwoitość i kulturę gospodarz nawet nie zadaje mi pytań. To, czego chciał wiedzieć, pewnie wcześniej usłyszał od Bridge'a.

Gościnnie pan domu to pięćdziesięcioletni miły człowiek ze sporym brzuchem. Jest rybakiem i z tego, co złowi, utrzymuje się rodzina. Dodatkowo małe dochody przynosi sklepik, którym zajmuje się siostra Divani. Dom jest duży, więc jeden pokój przeznaczono na mały sklepik, podstawowe towary można kupić praktycznie o każdej porze, to takie miejscowe dwudziestoczerogodzinne delikatesy.

Przed zachodem słońca poszedłem jeszcze na pobliski brzeg morza. O tej porze jest czas przyływu, wtedy plaża jest zawsze bardzo wąska. Z tej strony wyspę Vanua Levu otacza morze Koro. Wytłumione na odległych o dwa kilometry stąd rafach oceaniczne fale już z niewielką energią dochodzą do brzegu. W porze przyływu trudno tu iść brzegiem, gdyż woda dochodzi tak blisko do rosnących drzew, że nie ma już miejsca na spacer wzdłuż plaży. Jak okiem sięgnąć, stoją mocno pochylone palmy kokosowe. Podmyte kępiaste korzenie palm są całkowicie na wierzchu, co powoduje, że ich pnie z wiekiem często się przewracają. Zastanawiam się, dlaczego ktoś zasadził je aż tak blisko wody. Jeśli mają około czterdziestu lat, to w tym okresie prawdopodobnie podniósł się poziom wody w oceanie i mógł być sprawcą tej zadziwiającej bliskości. Najstarsi w wiosce pewnie mogliby dać na to pytanie odpowiedź.

Wracam ścieżką przez gaj palmowy. Ludzie w domach zapalają już lampy. W tropikach po zachodzie słońca wystarczy ledwie kilka chwil i już dookoła zapada noc. Nie wahając się długo, zaplanowałem swój jutrzejszy pobyt w tej uroczej okolicy. Skoro świt przyjdę tu jeszcze raz na brzeg i postaram się obejść w ciągu całego dnia półwysp. Idąc plażą z tego miejsca, dojdę do miasteczka Savusavu. Według mapy nie powinno to być więcej niż szesnaście kilometrów.

Gdy wróciłem do domu, zastałem gospodarza w trakcie przygotowania kawy. Jeszcze nie skosztowałem, a już na samą myśl poczułem niechęć do picia tego cierpkiego i niesmacznego napoju. Nie ma rady, za chwilę będę musiał się przysiąść na macie do towarzystwa. Przyszli jeszcze jacyś goście. Na środku pokoju przed oryginalną tanoą siedzi gospodarz i przyrządza napój. Wsypane do naczynia suche, sproszkowane korzenie pieprzowca zalewa się zimną wodą. Otrzymaną pulpę teraz dokładnie miesza się i miętoli rękoma, a potem rozcieńcza wodą. Po wymieszaniu roztwór trzeba precedzić przez gęstą szmatę. Nasz gospodarz używa do tego zwykłej skarpety, sądzę, że nienoszoną. Skarpetka jest bardzo praktyczna, gdyż można ją dobrze wykręcić z zawartością.

Coraz więcej dowiaduję się o tym królewskim... napoju. Wszyscy, którzy często piją kawę, chwalą jej dobroczynne działanie. I tak, siedząc w towarzystwie rodziny Bridge'a, dowiaduję się tylko o plusach tego cierpkiego napoju. Picie kawy uspokaja, to się zgadza, bo im więcej się jej wypije, tym bardziej drętwieje język i pijący zachowuje się spokojniej. Kawa jest także doskonałym środkiem przeciwbakteryjnym i przeciwgrzybicznym, rozluźnia mięśnie, a przede wszystkim uśmierza głód. Te wszystkie „za” jakoś mi nie pasują. To dlaczego w Unii Europejskiej kilka lat temu zabroniono w aptekach sprzedaży kawy pod każdą postacią? Co prawda wielbiciele trunku z Europy pokątnie dalej jej używają, załatwiając dostawy przez Internet.

Gdy kawa była już gotowa do picia, wszyscy mężczyźni, a było nas pięciu, usiedli dookoła tanoy. Teraz gospodarz czerpał małą miseczką mętny, bury napój i po kolei częstował gości. Każdy wypijał swoją porcję, głośno mlaszcząc, po czym, oddając pustą czarkę, klaskał w dłonie i radośnie krzychał: „Bula, bula!”. Po pierwszej kolejce podziękowałem, bo napój ten wydaje mi się okropny, nie wspominając o następstwach. Gdy wyjeżdżaliśmy taksówką do Savusavu, było bardzo późno, śpiącą

małą Katie trzeba było już zostawić u babci na noc. Jutro ktoś ją odprowadzi do domu.

## Niedziela Palmowa

Dzisiaj jest Niedziela Palmowa. Wczoraj, w czasie odwiedzin u rodziny żony Bridge'a, umówiłem się z jego teściem, że chciałbym uczestniczyć w tej uroczystej Mszy Świętej. Ustaliliśmy, że rano przyjdę tu na autobus, który wierni z wioski zamówili specjalnie na dojazd do kościoła. Centralne uroczystości mają być w wiosce położonej w głębi wyspy i można będzie dojechać tam tylko zamówionym pojazdem.

Po śniadaniu wychodzę więc w umówione miejsce przy drodze, gdzie mam czekać. Dzisiaj zapowiada się nieznośnie gorący dzień. Na błękitnym niebie nie ma ani chmurki, już teraz czuję zbliżający się upał. Stoję w pobliżu lądowiska dla małych samolotów, za nim z jednej strony teren wznosi się stromo w górę. Gdzie tylko się dało, zbrocza obsadzono palmami. Na łąkach w pobliżu drogi pasą się stadka kóz, najczęściej jedna jest przywiązana, a wtedy inne przebywają w pobliżu i nie wchodzą w szkodę sąsiadom. Trochę mnie zastanawia, że nie widzę krów, chociaż i dla nich byłoby tu dosyć paszy.

Oprócz nieszczęść, jakie biali przytargali mieszkańcom wysp Pacyfiku, przywieźli też ze sobą różne zwierzęta domowe i rośliny. Jedne pożyteczne, a inne zabójcze dla całych miejscowych ekosystemów. Największym propagatorem uszczęśliwiania tubylców nowymi gatunkami roślin użytkowych i zwierząt w praktyce był kapitan Cook. To skutkowało wielkim niezadowoleniem załóg, bo rośliny ograniczały im miejsce na niewielkich przestrzeniach okrętów i śmierdziały nawozem. W ładowniach jego okrętów zawsze płynęły nowe sadzonki i nasiona roślin tu nieznanych, a w boksach kozy, owce, świny i króliki. Wiele innych statków po kapitanie Cooku przywlekało tu koty, myszy, nie mówiąc już o szczurach. To wszystko nie po to, żeby uszczęśliwić tubylców, ale by w przyszłości mieć świeże mięso dla siebie.

Tu, w tropikach, hodowlane zwierzęta nie osiągają takich rozmiarów jak u nas. Zresztą z czego? Ich dieta to jedynie zielenina bez paszy treściwej, co najwyżej świnia dostaje jednego kokosa na dzień lub jakieś obierki.

Te rozmyślenia przerwał nadjeżdżający autobus. Nie sądziłem, że to będzie tak daleko, problem w tym, że jedziemy w strasznym ścisku. Nie ma nawet jak stać, a tu upał nie do wytrzymania! Koszula przyklejona do grzbietu, cierpią wszyscy, nie tylko ja. Po pół godzinie telepania się, zduszeni jak śledzie w beczce, wreszcie dojeżdżamy na miejsce procesji. Nie jesteśmy pierwsi, stoi tu kilkanaście takich samych autobusów. Odświętnie ubrani ludzie gromadzą się w swoje grupy, wierni z poszczególnych parafii stoją oddzielnie. Dojechały też autobusy szkolne z uczniami. Wszystkie dzieci mają podobne mundurki, ale każda szkoła wyróżnia się kolorem.

Młodzież szkolna ustawia się w kolumny, każdy w dłoni trzyma liściastą gałązkę, ja też taką dostałem. Ludzie szukają miejsca, gdzie tylko można znaleźć nieco cienia i schronić się przed żarem słonecznym. Jest tu trochę drzew, ale to za mało, żeby wszyscy mogli się pod nimi zmieścić. Dzisiaj gałązki przydały się do wachlowania. Dla mnie jest to najbardziej upalny dzień, mam dosyć tych temperatur. Teraz wszyscy czekają na księdza, który, jak widać, wcale się nie śpieszy. Nie ma go, choć godzina rozpoczęcia procesji już dawno minęła. W końcu łaskawie przyjechał w małej asyście pomocników i rozpoczęła się uroczystość.

Po krótkiej liturgii słowa czytanej z mszału wszyscy ruszyli w procesji do miejsca celebracji. Idziemy wolno dość zwartym pochodem, zgodnie z ustalonym porządkiem. Najpierw odświętnie ubrani uczniowie. Chłopcy oczywiście wszyscy w zwyczajowych, dopasowanych spódnicach sulu, dziewczęta zaś w luźnych spódnicach. Każdy w rękę ma większą lub mniejszą palmową gałązkę. W taki upał ta gałązka to pożyteczna rzecz, wszyscy machają nią blisko twarzy, wymuszając nikły ruch powietrza. Tłum w procesji powoli idzie polną drogą. Dziwię się, że właśnie tu, gdzieś poza wioską, zorganizowano tak duże i ważne obchody Niedzieli Palmowej. To święto upamiętnia triumfalny, celebrowany radośnie przez tłumy wjazd Chrystusa na osiołku do Jerozolimy. Za tydzień Wielkanoc, a zaraz po niej moja dalsza podróż na wyspy Vanuatu. Procesja wiernych z zielonymi gałązkami prawdziwych palm w rękach

głośno i pięknie śpiewa po fidżyjsku pieśni wielkopostne. Rytm i melodia całkowicie inne niż u nas. Jak się słyszy charakterystyczną muzykę z wysp Pacyfiku, to ma ona bardzo podobne, przyjemne brzmienie. Mimo że to poważne wielkopostne pieśni, zadziwiająco pasują do klimatu tego wyspiarskiego kraju.

Rozglądałam się za wieżą kościoła, gdzie ma być sprawowana Eucharystia, jednak nic takiego nie widzę. Pomyślałam, że kościół jest pewnie jeszcze gdzieś dalej. Po pół godzinie nie dochodzimy do kościoła, ale do bardzo dużej wiaty bez ścian, z betonową posadzką. Obiekt pewnie służy do różnych imprez i zgromadzeń, dzisiaj zaś będzie tu sprawowana Msza Święta. Na tę uroczystość całe otoczenie odświętnie przybrano wielobarwnymi kwiatami. Udekorowany ołtarz ustawiono na nieco podwyższonej scenie. Nie dla wszystkich starczyło miejsca pod zadaszeniem głównej wiaty. Ludzie tam mogli usiąść na rozłożonych wcześniej matach, zajmując miejsca całymi rodzinami. Dla pozostałych wiernych na zewnątrz budynku były ustawione krzesła. Usiadłem na krześle obok teścia Bridge'a.

Dochodziło południe, gdy po skończonej uroczystości ruszyliśmy z powrotem do wioski. Autobus przejeżdżał blisko domu Bridge'a, więc tu wysiadłem. Akurat trafiłem na przygotowany obiad. W ten sposób mogłem uroczystie przeżywać okres wielkanocny, choć byłem tak daleko od swojej rodziny, po drugiej stronie globu. Ci obcy, serdeczni i bezinteresowni ludzie sprawili, że poczułem się jak u siebie w domu. Bardzo im jestem za to wdzięczny.

## Dzień nad zatoką Savusavu

Wczesnie z rana przyjeżdża samochód firmy budowlanej, którym mój sympatyczny gospodarz musi udać się do pracy na budowę. Później wychodzi Divani, która pracuje w kuchni kurortu sławnego Cousteau. Jej zmiana rozpoczyna się po południu, o czternastej, więc do południa jest w domu. Za chwilę matka Divani ma przyprowadzić małą Katie. Jak każda babcia, pomaga i pilnuje dzieci, kiedy rodziców nie ma w domu. Tak wygląda zwykły dzień moich gospodarzy.

Po skromniutkim śniadaniu, gdyż wczesnie rano jada się tu bardzo mało, wyruszyłem w plener z kamerą i aparatem fotograficznym. Moim celem jest przejście brzegiem morza do zatoki Savusavu i potem, południowym jej brzegiem, dojście do miasteczka o tej samej nazwie. Bridge doradził mi, bym do miejsca, z którego chcę iść pieszo, podjechał kursującym tam autobusem. Faktycznie, to dobra rada, zaoszczędzę sporo czasu i wysiłku.

Było dość wczesnie, przez okna autobusu wpadało chłodne i wilgotne powietrze poranka. Usiadłem na jednym z przednich siedzeń, tu trochę mniej wiało. Jak się wielokrotnie na własnej skórze przekonałem, pod równikiem też można szczękać zębami z zimna. Po obu stronach drogi panuje niepodzielnie soczysta zieleń spowita delikatną, poranną mgiełką, która za pół godziny zniknie. Zapowiada się kolejny upalny dzień. Od czasu do czasu mijamy wędrujących wzdłuż drogi piechurów. Wczoraj tą samą drogą szliśmy do wioski. Z sąsiednich ławek dobiegają wesołe głosy kobiet, które jadą na pierwszą zmianę do pracy w kurorcie Cousteau. Ten znany ośrodek położony jest na samym cyplu. Idąc plażą, około południa powinienem tamtędy przechodzić. Ciekawi mnie, jak to miejsce wygląda.

Z autobusu wysiadłem przed wioską i zaraz skręciłem w lewo. Teraz, na skrót, wśród ogrodów i kilku willi, kierowałem się w stronę brzegu i po kilkunastu minutach doszedłem do plaży. Nie sądziłem, że nad wodę będę musiał schodzić z wysokiej skarpy. Planując dzisiejszy spacer, spodziewałem się tego, że rano jest przypyływ i będę musiał iść bardzo wąskim paskiem plaży. Wiedziałem, że na trasie mogą być miejsca trudne do przejścia brzegiem i będę zmuszony przedzierać przez nadbrzeżne zarośla. Okazuje się, że moje obawy były niepotrzebne. Nie spodziewałem się, że o poranku będę spacerował tak piękną plażą!

Przysiadam na butwiejącym pniu zwalonej przez wichry palmy. Dziękuję Panu Bogu za tak piękny świat, który dla nas stworzył, i za to, że tu jestem. Wczesnie rano jeszcze nie ma spiekoty, morze spokojne, rześkie powietrze niesie woń bezkresnego oceanu.

Nie potrafię tego opisać słowami, ale jest w tym jakaś magia i niewypowiedziany czar... Dobrze, że przysiadłem, bo piękno lazuruwej laguny dosłownie zwala z nóg! Mam czas i mogę napawać się grą światła. Turkusowy kolor wody stale zmienia swój odcień, w zależności od pozycji słońca na szafirowym niebie. Do tego jeszcze te pochylone palmy z kilkumetrowymi pióropuszcami postrzępionych liści, które



prawie muskają wodę. Tak naprawdę to może oznaczać bliski kres ich życia. Nie wiadomo, jak długo jeszcze wielki, skołtuniony korzeń utrzyma pień. Może dołączone do tekstu zdjęcia mojego autorstwa lepiej niż słowa przedstawią urok tego niezwykłego miejsca. Po godzinie spaceru widzę w oddali kilka małych, różnokolorowych łodzi wyciągniętych na brzeg aż pod same drzewa. Widać dochodzę do wioski. Ku mojemu zadowoleniu nie spotkałem dziś jeszcze nikogo na plaży. Na bezludnym brzegu słychać jednostajny szum fal i głośniejszy od nich szelest wielkich palmowych liści przy najlżejszym nawet podmuchu.

W pobliżu wioski przechodzę obok prostych drewnianych konstrukcji podobnych do stołów. Stoją kilka metrów od brzegu w płytkiej wodzie, czekam na odpływ, który wkrótce nastąpi.

Z każdą falą plaża staje się coraz szersza, za dwie, trzy godziny będę mógł na kilometr wejść w grząską lagunę. Te drewniane konstrukcje wykorzystuje się do suszenia morskich roślin. Są to algi, często nazywane też agarem. To jedno z wielu miejsc, w których się je pozyskuje, a raczej uprawia. W wielu krajach użytkowanie glonów odbywa się na wielką skalę. Na Molukach w Indonezji widziałem, jak bardzo popularny jest ten morski przysmak w codziennej diecie. W wielu miejscach na plażach masowo uprawia się różnokolorowy agar, najczęściej na rozciągniętych w wodzie sieciach. Po wybraniu z sieci algi zawsze są suszone w słońcu, rozłożone na stołach. Widziałem też suszenie na słabym ogniu w blaszanych beczkach po paliwie. Na świecie wyławia się, a czasami i uprawia w celach konsumpcyjnych, różnorodne gatunki glonów. Ludzie użytkują zaledwie kilkadziesiąt gatunków, a jest ich we wszystkich wodach około 25 tysięcy!

W krajach Dalekiego Wschodu i Azji Południowo-Wschodniej rośliny morskie są szeroko wykorzystywane w kuchni. Są bardzo popularne, chętnie i w dużych ilościach spożywane. Często służą jako dodatek warzywny do posiłku. Sami się o tym przekonamy, ile różnych tanich sałat możemy nałożyć na talerz, gdy wejdziemy do samoobsługowej restauracji chińskiej lub malajskiej. Mnie glony zawsze w smaku przypominają szpinak. Zasoby tych roślin w morzach są ogromne, ważne tylko, aby wody były czyste, tak jak tu, daleko na oceanicznej prowincji. U nas w kraju algi morskie nie są znane, mimo prób ich propagowania wolimy bigos i flaczki czy grochową. Japończycy i Chińczycy potrafią przetworzyć morskie rośliny na różne produkty spożywcze. Dopiero po składzie na etykiecie dowiemy się, że jemy jakieś krasnorosty czy morskizyny. Nazwy niektórych glonów świadczą o ich wartościach pokarmowych. Na przykład popularne listownice nazywa się kapustą morską, a niektóre zielenice – sałatą morską. Z glonów produkuje się masę różnych wyrobów cukierniczych, takich jak marmolady czy syropy, a nawet kosmetyki i leki. Już od wielu lat w laboratoriach na całym świecie stosuje się agar jako doskonałą pożywkę dla mikrobów. W hodowli zwierząt wodorosty wykorzystuje się na paszę, a w uprawach rolniczych jako tani nawóz organiczny. Eksploatacja morskich glonów jest niewątpliwie przyszłościowa, to dziedzina coraz poważniej brana pod uwagę w wyżywieniu ludzkości.

Powoli dochodzę do końca półwyspu. W tym miejscu laguna jest największa. Do bariery rafowej, na której zatrzymują się i roztrzaskują fale morza Koro, są dwa do trzech kilometrów. To jedna z najpiękniejszych lagun na Fidżi, z przebogatym życiem podwodnym. Kilkaset metrów od brzegu, na płytkiej i spokojnej turkusowej lagunie, leżą małe wysepki. Idę aż do miejsca, gdzie kończy się półwysep.

Na samym cyplu, nad brzegiem laguny, zaczynają się pierwsze bungalowy Jean-Michel Cousteau Resort, o którym już wspominałem i który teraz będę miał okazję podziwiać. Już sama nazwa reklamuje ten kurort nazwiskiem znanego na świecie Jacquesa Cousteau. Był to słynny badacz tajemnic morskich głębin, podróżnik i pisarz, wielki orędownik ochrony środowiska mórz i oceanów. Jego prace i filmy umożliwiły milionom ludzi poznanie życia „niebieskiego kontynentu”, jak określa się ocean. W 1950 roku zakupił od wojska z demobilu stary, czterystutonowy poławiacz min, który po przeróbkach według własnego projektu nazwał Calypso. Stateczek stał się pływającym laboratorium i studium filmowym słynnym na świecie. Mało jest miejsc, gdzie ten niezmordowany badacz i odkrywca nie pływał czy nurkował. Badał i filmował nawet rzeki. Jacques Cousteau zmarł w 1997 roku w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat. Mimo wielu posiadłości i domów we Francji i nie tylko przebywał stale na swoim Calypso. Był to jego prawdziwy dom, najważniejszy do końca życia. Jego pasja i popularność szły w parze z biznesem, miał dobre rozeznanie, gdzie i w jaki sposób można zarobić spore pieniądze. Tu, na Fidżi,

zbudował kurort i nie pomylił się, zawsze ma on klientelę. Po śmierci ojca jego prowadzeniem zajął się syn – Jean-Michel.

Do ośrodka przyjeżdżają ludzie, którzy pragną dobrze wypocząć i przy okazji zobaczyć podwodny świat raf koralowych. Profesjonalna załoga i obsługa tego morskiego kurortu w pełni zaspokoili oczekiwania nawet najwybredniejszych gości. Domki zbudowane w tradycyjnym fidżyjskim stylu mają wysoki standard i tak samo wysokie ceny. Ośrodek otoczony jest wzorowo utrzymanym parkiem z różnymi drzewami i krzewami tropikalnymi.

Podoba mi się to, że na Fidżi obowiązuje powszechne prawo dostępu do plaży i wody. Nie wolno tak grodzić posesji, żeby nie można było brzegiem przejść dookoła wyspy. Dlaczego tak nie jest u nas? Na Mazurach, i nie tylko, prawie żadnego jeziora nie można obejść brzegiem, bo wszędzie jakaś własność prywatna, płoty i zasieki wchodzą aż w wodę. Tu mnie nikt nie zaczepia, kiedy spaceruję pomiędzy budynkami, fotografuję czy robię film. Mogę swobodnie usiąść na ławeczce i odpocząć w cieniu drzewa. Potem spaceruję po długim pomoście, przyglądam się ludziom, jak na motorówki ładują sprzęt nurkowy i wypływają na podwodne safari po błękitnej lagunie. W kuchni tego kurortu pracuje jako kucharka Divani. Mówi, że pracę mają dobrze zorganizowaną i jakie takie zarobki. Właściciel, Jean-Michel Cousteau, dwa razy do roku przylatuje ze Stanów Zjednoczonych doglądać biznesu na wyspie.

Jest bardzo gorąco. Za kurortem zaczyna się wąska szutrowa droga, do Savusavu jest około sześciu kilometrów. Przed upałem nie chroni nawet cień drzew nad głową, dosłownie zalewa mnie pot. Gdy szedłem brzegiem morza, czuć było lekki powiew wiatorku, a tu nic. Teraz mam po lewej ręce piękną zatokę Savusavu – to największa zatoka na Pacyfiku. Prawie dookoła otoczona jest lądem, tylko wąski, siedmiokilometrowy przesmyk od południa ma styczność z oceanem. Wysokie wzgórza prawie dookoła wyspy doskonale chronią przed sztormami i cyklonami. Większość jachtów, które pokonują południowy Ocean Spokojny, zatrzymuje się właśnie na tych spokojnych wodach przed dalszym rejssem. W tym cichym, spokojnym i pięknym miejscu można dokonać naprawy, uzupełnić zapasy, odpocząć. Zatoka i jej otoczenie oraz tropikalna roślinność tworzą jedno z najpiękniejszych miejsc w Oceanii.

W bitwie o Pacyfik w czasie drugiej wojny światowej dużo nie brakowało, by ta zatoka stała się bazą amerykańskiej floty wojennej. Droga trawersuje dość wysoko nad brzegiem, przez co stale mam ładne widoki. Mijam wybudowane na stromej skarpie wzdłuż brzegu domy i piękne wille. Od razu poznać, że pobudowali się tu bardzo bogaci ludzie, a nie miejscowi. Potwierdza to krótka rozmowa z młodym mężczyzną, który opiekuje się kilkoma ogrodami w okolicy. Wiele z tych pięknie położonych posesji jest zamieszkała tylko przez kilka tygodni w roku.

Do Savusavu jeszcze kawał drogi, rozglądam się, gdzie by tu dostać choć łyk zimnej wody. Gdy chce się pić i nie można zaspokoić pragnienia, kończy się przyjemność i nawet najwspanialsze atrakcje są wtedy bez znaczenia. Przy jednym z niskich domów na podwórku pracuje młoda Chinka, więc podchodzę i proszę o szklankę wody. Dziewczyna musiała aż trzy razy napełniać w kuchni szklankę, nim ugasiłem pragnienie.

Na Fidżi mieszka kilka tysięcy Chińczyków, którzy wykonują różne prace. Najczęściej zajmują się handlem. Prawie wszystkie interesy diaspory chińskiej są powiązane z macierzą, dzięki czemu biznes jest niezwykle dochodowy. Handlują głównie ze swoim wielkim krajem, więc słowem biznes kwitnie i wszystko zostaje „w rodzinie”. Chińczycy mają do tego wrodzoną smykałkę, są pracowici i nie znają słowa „urlop”. W swoich zapchanych po sufit towarami sklepikach pracują od rana do nocy. Inna rzecz, o czym nie będę się rozpisywać, to jakość i ceny sprowadzanego towaru, często to zwykłe badziewie... Właśnie tu, przed Savusavu, znalazłem się przypadkowo przed domem chińskiej rodziny i mogłem dowiedzieć się o jednym z rodzajów działalności, którą zajmują się na Fidżi.

Gdy dziewczyna poszła po wodę, zaciekały mnie suszone owoce morza. Na rozłożonej folii w pełnym słońcu suszyły się rozłożone równiutko mięczaki, które zbiera się na brzegu pobliskiej zatoki. Na świecie jest wiele gatunków różnych bezkręgowców, które są lokalnymi przysmakami. Tu suszą się strzykwy, których fachowa nazwa zoologiczna brzmi szkarłupnie. Niektórzy mówią na te dziwne zwierzęta „ogórki morskie”, a najczęściej serwowanym w azjatyckich restauracjach mięczakiem jest trepang. W naszym kraju jest prawie nieznan, z wyjątkiem może restauracji chińskich, i to tych

dobrych. Zresztą widząc tego morskiego stworka, mało kto z chęcią zamówiłby takie danie. Trepangi są rarytasem w kuchni chińskiej. Zaliczane są do tak zwanych niebiańskich przysmaków, dawniej zastrzeżonych jedynie do konsumpcji na dworze cesarskim. Gdy patrzy się na te wydłużone mięsiste worki, odechciewa się jeść. Całe ich ciało pokryte jest rzędami maleńkich nóżek podobnych do brodawek. Ich otwory gębowe otoczone są wieńcem czułków. Doprawdy trudno pomyśleć bez wstrętu o takim mało apetycznym daniu... W Indonezji widziałem na płytkiej wodzie po odpływie, jak te nieprzyjemnie wyglądające stworki pełzały po dnie, kurcząc się i rozciągając.

Strzykwy osiągają trzydzieści pięć centymetrów długości i osiem centymetrów średnicy, ważą do dwóch kilogramów. W tym gospodarstwie trepangi leżą jeden przy drugim na rozłożonej folii i trawie, aby dobrze się wysuszyły. Ich korpusy rozcięte są wzdłuż i rozparte patykami. Po wysuszeniu mięczak jest leciutki i bardzo zmniejszony, teraz nadaje się do przechowywania i transportu. Młoda Chinka powiedziała mi, że całe połowy kupują chińskie restauracje. Narzeka, że mało zarabiają na handlu, a pracy sporo. Wszędzie za dużo pośredników, których nie można pominąć. W restauracjach danie z trepanga jest bardzo drogie. Kucharze potrafią je tak przyrządzić, używając znanych tylko sobie sposobów, że zadowolają najbardziej wybredne podniebienia. Podobno są pyszne – ja nie jadłem. Na chińskim stole wykorzystuje się około pięćdziesięciu gatunków strzykw. Zbiera się je na dnie, schodząc pod wodę.

Na Fidzi występuje jeszcze jeden ciekawy wieloszczet – jeżowiec, zwierzę o kulistym ciele zwane palolo. Ciało ma pokryte ruchomymi kolcami, poławiane jest ze względu na wspaniały smak... narządów rozrodczych.

Ten długi i cienki robak morski żyje w pobliżu brzegu wysp w rafach koralowych. Jego cykl życiowy jest uzależniony od faz księżyca. Na wyspach fidżyjskich pojawia się w październiku i listopadzie, dokładnie wtedy, gdy księżyc jest w ostatniej kwadrze, i noc przedtem. W tym czasie tylne odcinki gonadowe robaków, o długości dwudziestu – trzydziestu centymetrów, nabrzmiewają, wypełniają się gametami i oddzielają się od głowy, która stale bytuje w szparach raf. Po oderwaniu podobne do robaków gonady unoszą się przez krótką chwilę na powierzchni morza. Niekiedy bywa ich tak dużo, że tworzą gęsty kożuch na falach. W tym momencie rozpoczyna się masowy ich połów, który trwa tylko kilka godzin. Pływające po wodzie gonady bardzo szybko rozpadają się na małe kawałki, uwalniając jaja i plemniki, a potem stopniowo zanikają. Fidżyjczycy potrafią dokładnie określić dzień, godzinę i miejsce ich pojawienia się. Twierdzą, że palolo jest rokrocznie coraz mniej. Październik i listopad to fidżyjska wiosna. Wtedy upał staje się nie do zniesienia, a wilgotne powietrze oblepia całe ciało potem. Niezrażeni tym wyspiarze tłumnie wędrują na palolowe gody. Idą często spory kawał, niosąc na ramionach małe łódki, które służą do połowu na lagunie. Nie widziałem i nie jadłem tego uchodzącego za wyrefinowany przysmak robaka, wolę schaboszczaka. Z tego, co wiem, w smaku przypomina kawior rozcieńczony wodą morską. Jada się go na surowo, rzadziej upieczony.

Idąc plażą po odpływie, często widzi się połowy kalmarów. Polujący na nie rybak ma założoną na twarzy maskę z rurką. Jest ona niezbędna, gdyż stale trzeba zanurzać się pod wodę i przeglądać koralowe szczeliny, w których ukrywają się kalmary. Łapie się je w prosty sposób: gdy rafy odsłaniają się w czasie odpływu, długim kijem dźga się w ich szczeliny, wypłaszając głowonogi. Uciekające z kryjówek zwierzę sprawnie chwyta się rękoma i natychmiast zabija ugryzieniem między oczy. Martwą kałamarnicę nadziewa się na przytroczony do pasa długi sznurek i dalej prowadzi się łowy. To bardzo cenny owoc morza, więc polowanie trwa nieraz bardzo długo. Nigdy nie miałem cierpliwości czekać na rybaka, aż wyjdzie z wody. Chciałem zrobić zdjęcia z bliska, ale nie zdołałem doczekać końca połowu. Szukanie kalmarów na bardzo płytkiej wodzie jest domeną kobiet, które brodzą w niej pochylone i tak samo długimi kijami wyszukują ukryte zwierzęta, a przy okazji zbierają różne inne morskie przysmaki.

Rafy koralowe kryją w sobie wiele niebezpieczeństw. Nawet niewinne z pozoru zadrapanie może spowodować zakażenie, które powoduje gorączkę koralową. Dawniej była to poważna sprawa. Obecnie, w erze antybiotyków, rana i jej wyleczenie kończy się powodzeniem. Są też inne niebezpieczne rafowe zwierzęta, ale nie mam wiedzy na ten temat.

Po południu doszedłem do Savusavu, pięknego miasteczka nad malowniczą zatoką. Jestem zmęczony piekielnym upałem, ale zadowolony z dzisiejszego długiego spaceru po tropikalnej plaży.

## Synowie największego oceanu

Wędrując brzegiem ślicznej zatoki Savusavu podziwiam najpiękniejsze, jak dotychczas, widoki w czasie tej podróży. Z domu Bridge'a są tylko trzy kilometry do miasta. Idzie się łatwo, gdyż droga biegnie stale w dół. W pewnym miejscu widok jest tak urzekający, że schodzę na bok w pobliżu jednej z posesji, by z jej obszernego podwórka podziwiać krajobraz błękitnej zatoki. Nawet sami mieszkańcy tego domu wskazują miejsce, gdzie jest najlepszy widok.

Powoli wchodzę do miasteczka. Każdy by pomyślał, że w tak obszernej i spokojnej zatoce na środku oceanu powinien być wielki morski port. Na szczęście nic z tego. Żadne dźwigi, hangary i pirsy nie zakłócają widoku na piękną zatokę, jak w wielu miejscach na świecie. Zamiast tego brzegi przyozdabiają pochylone ku wodzie smukłe palmy kokosowe ze swoimi wielkimi pióropuszcami szumiących liści.

Zaraz za przystanią kończy się asfalt i zaczyna szutrowa droga, którą wczoraj przeszedłem z przeciwnego kierunku. Nie ma tu portu, jest zwykły betonowy solidny pomost. Mogę z bliska przyjrzeć się błękitnemu kadłubowi Sulivana, który właśnie jest w remoncie. To drugi obok Sofi statek pływający od wielu lat pomiędzy wyspami. Miejskowi mówią, że jego remont ciągnie się w nieskończoność. W odległości 200-300 m od brzegu jest nieduża urokliwa wyspa. Jej widok sprawia, że nie czujemy się przytłoczeni ogromem zatoki, jest wręcz przytulnie. W takich miejscach powinno być nabrzeże dla jachtów, gdzie można by zacumować do betonowego pomostu, tu o dziwo nic takiego nie ma. Wszystkie jachty oceaniczne muszą kotwiczyć na wodzie między brzegiem i wyspą.

Doszedłem do końca drewnianego pomostu jacht klubu. Tu jest granica wyspiarskiego państwa dla przypluwających z całego świata jachtów. Ich załogi do tego miejsca podpływają na łódkach i pontonach, by wyjść na ląd. Gdy otrzymają zezwolenie na pobyt, mogą zatankować wodę i dokonać zaopatrzenia. Przeszedłem wzdłuż brzegu sporo kilometrów. Teraz, na końcu pomostu, w tym pięknym spokojnym miejscu trochę odpocznę i coś zjem. Usiadłem na ławce pod daszkiem, spocone ciało owiewa lekki wiaterek, czego więcej potrzeba do szczęścia? Lubię się przyglądać, jak na spokojnej wodzie kołyszą się jachty. Savusavu to popularny port, zawsze kotwicz tu kilkanaście różnych łodzi, często z odległych krajów. Były tu i polskie bandery, zatrzymał się Leonid Teliga na Opty w samotnym rejsie dookoła świata.

Aby tu dopłynąć, trzeba pokonać ogromne przestrzenie Pacyfiku. Nie ma znaczenia wielkość jednostki, wszystko jest pyłkiem bez znaczenia, nawet największe kontenerowce mogą zniknąć bez śladu. Tylko pokora wobec Natury i umiejętność sztuki żeglowania załogi może zagwarantować powodzenie rejsu. Potrzeba jeszcze szczęścia do pogody. To wszystko pozwoli dotrzeć do portu przeznaczenia.

Od najdawniejszych czasów panujący na wyspach Pacyfiku polinezyjscy królowie i wodzowie mieli swoich nawigatorów. Pływanie flotylli łodzi pomiędzy odległymi archipelagami wymagało ogromnej wiedzy nawigacyjnej. Rody nawigatorów wchodziły w skład lokalnej arystokracji. Władcy wysp podejmowali wyprawy na odległe archipelagi nie tylko w celach wojennych, ale także przyjaznych. Na przykład po to, by poddać się różnym obrządkom religijnym. W rejonie archipelagów Fidzi popularne były wyprawy na wyspy Samoa, odwiedzane przez wyspiarską arystokrację. Zawijano tam, by uczestniczyć w świętym obrządku tatuażu, z których te wyspy słynęły.

Aby pokonać tak wielkie przestrzenie pomiędzy archipelagami, konstruowano duże statki nazywane ndura. Takie jednostki budowane były oczywiście bez użycia gwoździ, gdyż nie znano tu metali. Statek z archipelagu Fidzi był długi na dwadzieścia cztery metry, przy dobrym wietrze na żaglu rozwijał prędkość piętnastu mil na godzinę i mógł zabrać do 200 ludzi. Najlepszych nawigatorów nazywano Fifakitahi – „ci, którzy wyczuwają morze”. W czasach, kiedy fenicyjczycy i greccy żeglarze przez całe pokolenia bali się oddalać od brzegu, a na długo przed pierwszą podróżą atlantycką wikingów wyspiarze z Pacyfiku podejmowali dalekie ekspedycje morskie. Na podobne wyprawy Europejczycy zdecydowali się dopiero w epoce Wielkich Odkryć. Żeglarze Pacyfiku pływali tysiące kilometrów bez kompasu, przyrządu nieodzownego w nawigacji. Nie były to podróże przypadkowe. Z przekazów wiemy

o licznych zamierzonych wyprawach na ustalonych trasach żeglugowych. Na takich szlakach pływały, nie błędząc, całe pokolenia. O tych podróżach mówi tubylcza ustna tradycja. Przekazuje ona szczegółowo czyny wybitnych władców, którzy zakładali nowe państwa wyspiarskie. Już sama technika skutnicza i umiejętności żeglowania pozornie kruchymi stateczkami budziły podziw Europejczyków.

Dużo wiadomości o sztuce żeglowania przekazuje Bronisław Malinowski w książce *Argonauci zachodniego Pacyfiku*. Mieszkaniec Oceanii wiedział, że jego świat nie może kończyć się na linii brzegowej ojczystej wysepki czy rodzinnego atolu. Żył z lądu, ale i z morza. Morze było dla niego przedłużeniem lądu, od najwcześniejszych lat uczył się je poznawać i walczyć z czyhającymi na nim niebezpieczeństwami. Bezkresny ocean nigdy nie był dla wyspiarza tylko falującą monotonią i pustynią wodną.

Nieznający kompasu ani sekstansu żeglarze Pacyfiku mieli jednak prymitywne mapy morskie. Były to kratownice z cienkich patyków drewnianych, krzyżujących się przemyślnie ze sobą, na których umocowane muszelki oznaczały poszczególne wyspy. Ważna była przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie wiedza astronomiczna, kiedy jakie gwiazdy świecą wprost nad konkretnymi archipelagami ukrytymi za horyzontem. Już w momencie opuszczania rodzinnego portu tubylczy nawigator dbał, by statek obrał właściwy kierunek. Nie wystarczała znajomość położenia gwiazd, trzeba było jeszcze uwzględnić siłę prądów powodujących dryfowanie. Nawigator nie spoczywał, pilnie obserwował chmury. Gdy na horyzoncie wyłaniał się nieruchomy olbrzymi cumulus, dowodziło to bliskości wyspy porośniętej tropikalną roślinnością, która parując, tworzyła lokalny mikroklimat. Płaska, podłużna chmura unosząca się nad oceanem, która dolną warstwę ma zielonkawą, sygnalizowała pobliską rafę koralową. Dryfujące kawałki drewna i traw oraz loty ptaków tak samo dawały informację. Te wszystkie sygnały wskazywały właściwy kurs prowadzący prosto do celu.

Słynny francuski żeglarz Bougainville w swojej podróży dookoła świata był oczarowany widokiem mnóstwa łodzi, które zwinnie poruszały się na wodach między wyspami Samoa. I nadał im nazwę Archipelag Żeglarzy. Oprócz zwinnych dłubanek z bocznym pływakiem widział wielkie podwójne łodzie połączone pomostem. W takich łodziach można było opuścić bezpieczne laguny i ochronny wał raf koralowych. Wypływali na otwarty ocean, ufając znanym prądom i wiatrom oraz własnemu sprytowi. Czasem gwałtowny sztorm znosił ich daleko od lądu i porzucał zagubionych bez przyrządów nawigacyjnych i nadziei pomocy. Zdani tylko na siebie, próbowali odnaleźć drogę powrotu sposobami znanymi Polinezyjczykom od stuleci. I często znajdowali.

Kapitan Cook, wielki odkrywca wysp na Pacyfiku, w swoich dziennikach wielokrotnie z podziwem pisał o wiedzy żeglarskiej ich mieszkańców. Kiedy dotarł po raz pierwszy do Wysp Przyjacielskich (dzisiejsze Tonga) pewien tubylec, zwany Tupea, wykazał tak rozległą znajomość wysp środkowego Pacyfiku, że Cook zaokrętował go w charakterze pomocniczego nawigatora. Tupea znał dokładnie wyspy Tuamotu, Markizy, dzisiejsze Wyspy Cooka, wyspy Samoa i Fidżi. Tak wielki zasób wiedzy zadziwił kapitana. Wielu innych europejskich nawigatorów pozostawiło również zapisy, z których przebija ich zdziwienie z powodu wiedzy i umiejętności żeglarskich po Pacyfiku.

Dzisiaj, w dobie GPS-u, łączności satelitarnej i niemal kosmicznej techniki budowy jachtów oraz satelitarnych prognoz pogody na każdą godzinę, nawet trudno myśleć o sztuce żeglarskiej i odwadze, jaką mieli dawni żeglarze Pacyfiku.

Spaceruję po uliczkach nieznośnie gorącego miasteczka. Savusavu to praktycznie jedna główna ulica wzdłuż brzegu, od której stromo pod górę odchodzi kilka wąskich uliczek. Z leżącego niżej centrum miasteczka dobrze widzę, jak wysokie wzgórza je otaczają. Tylko tu zabudowa jest ściśnięta, a tworzą ją niskie proste domy, niektóre z podcieniami. Kilkanaście sklepików, trzy, cztery duże markety, w których można kupić wszystko. Do tego kilka niepozornych banków. Jest też duża hala targowa, na której zawsze panuje największy ruch i jest niezwykle kolorowo. Na straganach leżą warzywa i owoce: taro, owoce drzewa chlebowego, kasawa, orzechy kokosowe, pomidory, papryka, banany i arbuzy. Nie brak też oczywiście skręconych w pęki korzeni kawy. Są do kupienia różne ryby, często bardzo piękne i kolorowe, oraz powiązane duże kraby. Między straganami, obok wysokich i korpulentnych fidżyjskich kobiet, kręcą się szczupłe Hinduski i dzieci.

Mimo że Savusavu jest trzykrotnie mniejszym miasteczkiem niż oddalona o kilkadziesiąt

kilometrów trzydziestotysięczna Lambasa, to właśnie tu mieszczą się instytucje administracji publicznej całej wyspy. Kto ma coś do załatwienia w urzędzie, musi tu przyjechać.

Wracam do domu. Aby się tam dostać, będę teraz musiał podejść jakieś 200 metrów pod górę główną drogą. I tak dobrze, bo okoliczne wzniesienia mają po dwa razy tyle wysokości. Mógłbym podjechać autobusem, ale straciłbym niepowtarzalną okazję do zrobienia zdjęć z fantastycznego widoku z góry na zatokę o innej porze dnia. Teraz słońce jest o wiele niżej nad horyzontem, co tworzy niesamowite efekty. Wspinam się powoli poboczem asfaltowej drogi. Za mną piękny widok na zatokę. By jeszcze lepiej ogarnąć wzrokiem pocztówkowy widok, schodzę na prawo ścieżką prowadzącą do zabudowań, gdzie byłem już rano.

Mili ludzie od razu wiedzieli, o co mi chodzi, i zaprowadzili mnie w miejsce, z którego robi się zdjęcia. Nie będę się rozpisywał, proszę popatrzeć na zdjęcie. Musiałem jeszcze porozmawiać z mieszkańcami tego pięknego miejsca, nie tak łatwo odejść, gdy zapraszają do siebie na podwórko. Skromny domek, niezwykle otoczenie i mili ludzie. Czegóż więcej można jeszcze oczekiwać od podróży po Pacyfiku...

Na koniec zrobiłem zdjęcia i sfilmowałem pocztówkową panoramę zatoki. Jutro rano wracam na Taveuni. Nawet nie wiem kiedy, zrobiło się późne popołudnie. Nie zostało dużo czasu, a jeszcze chcę na koniec porozmawiać z moimi sympatycznymi gospodarzami.

## Najsłynniejsza plaża Fidżi

Po kilku dniach pobytu na Vanua Levu znowu jestem w Matei, w moim małym przytulnym pokoiku na północno-wschodnim cypelku Taveuni. Ostatnie dni postanowiłem przeznaczyć na deser, nie taki do jedzenia, ale „do patrzenia”. Na południowym wschodzie wyspy, w wiosce Lovena, znajduje się plaża słynąca z tego, że jej piękno wzbudziło zainteresowanie filmowców Columbia Pictures. W jej plenerach nakręcili film *Błękitna laguna*.

Film opowiada historię młodych ludzi, którzy trafiają na bezludną wyspę. Na morzu w wyniku pożaru tonie angielski żaglowiec. Stary kucharz zabiera do łodzi ratunkowej dwoje dzieci. Docierają do malowniczej bezludnej wyspy, która staje się ich schronieniem. Gdy przemija radość z ocalenia, okazuje się, że ten raj kryje w sobie również niebezpieczeństwa. Kiedy kucharz umiera, chłopiec i dziewczyna sami muszą walczyć o przetrwanie. Młodzi dorastają w otoczeniu bujnej egzotycznej przyrody. Łącząca ich dziecięca fascynacja przeradza się w głębokie uczucie. Film okazał się przebojem i sukcesem kasowym w latach osiemdziesiątych.

Na plażę jadę autobusem, w kieszeni mam list polecający. Kilka dni temu, w czasie przypadkowej rozmowy z nieznanym, nadmieniłem, że mam zamiar odwiedzić Lovenę. Krótka rozmowa zakończyła się tym, że ów sympatyczny człowiek polecił mnie swojemu krewniakowi. Pisał, by mnie przyjął pod swój dach jako bliską osobę, o ile tam przyjadę. Wszystko to napisał na małej kartce, którą mi wręczył. Podziękowałem miłemu panu i karteczkę schowałem do kieszeni. Nawet nie pomyślałem, że z propozycji w przyszłości skorzystam. Jadąc do Loveny, na wszelki wypadek włożyłem do plecaka mały namiot, trochę jedzenia i najpotrzebniejsze rzeczy. Przypomniałem sobie o liściku polecającym i też schowałem go do kieszeni. Wyjazd zaplanowałem na dwa, trzy dni.

Rankiem stanąłem przy drodze, by poczekać na autobus do Loveny. Tylko raz dziennie można tak dojechać do tej wioski. Po prawie godzinie telepania się szutrówką wzdłuż brzegu dotarłem do celu. Znaczoną część tej trasy dobrze znałem z moich pieszych wędrówek, ale w Lovena Beach wcześniej nie byłem. Tak naprawdę zawsze czekałem na najlepszą pogodę, no i w końcu się doczekałem. Tu już ostatecznie kończy się droga wzdłuż brzegu, dalej nie ma żadnego przejazdu. Można tylko przedzierać się pieszo przez dziki i gęsty busz lub płynąć morzem wzdłuż brzegu. Autobus zatrzymał się przed wjazdem do wioski i zaraz odjechał z powrotem.

Lovena jest dość dużą wioską położoną nisko nad poziomem oceanu, nie ma tu żadnej wysokiej skarpy czy skalistego brzegu. Biała piaszczysta plaża robi dobre wrażenie, nie tak jak większość nieprzyjaznych, skalistych i czarnych plaż, które dominują na Taveuni. Wyjąłem zapisaną kartkę zaadresowaną do pana Matea i pomyślałem, że spróbuję chociaż spotkać się z adresatem. Zaraz też

udałem się do wskazanego mi w pobliżu małego domku. Wszystkie posesje otaczają krótko przystrzyżone trawniki w rzadkim gaju palm kokosowych. Można stwierdzić, że prawie cała zabudowa Loveny skupiona jest wokół katolickiego kościoła pod wezwaniem Świętego Michała Archaniola. Wszystkie domki są parterowe, większość jest bardzo skromna. W pobliżu plaży znajduje się małe biuro turystyczne oferujące kilka miejscowych atrakcji. Jest też mały hostel, gdzie można skromnie przenoćować i zjeść.

Stałem u progu wskazanej chatki. Wyszedł pan Mateo i nieco zdziwiony zaczął czytać podany mu liścik. Z ponurą miną spogląda raz na mnie, raz na kartkę i mierzy mnie wzrokiem. Nie wygląda na zadowolonego, a ja próbuję powoli wycofywać się z głupiej sytuacji. Ludzie są różni, nie wszyscy muszą być spontanicznie zadowoleni ze spotkania. Tym bardziej zaskoczeni wizytą i wręcz niemal wymuszonym przyjęciem pod dach obcokrajowca. Są różne powody i sytuacje. Czasem wstydzą się ubóstwa albo nie mają miejsca na nocleg, nie ma czego dochodzić. Polecający list jest jednak tak ważny, że nie może być mowy o niespełnieniu prośby krewnego z Somosomo.

Gospodarz prowadzi mnie do pokoju syna. Tak się złożyło, że w tym czasie stoi pusty, syn ma przyjechać na Święta Wielkanocne dopiero za kilka dni, czyli znowu mam szczęście. Pokój jest mały, jedna ściana to regał z półkami, na których zobaczyć można różności młodego chłopaka. Na ścianie nad łóżkiem są przyklejone kolorowe zdjęcia oraz plakaty zespołów muzycznych i klubów piłkarskich. Z boku, przy wejściu, mała szafka, a zasłonka zastępuje tu drzwi. Do pokoiku wchodzi się z największego pomieszczenia, tu pewnie przyjmuje się gości, pije kawę i rozmawia. Ten pokój jest dość obszerny, ale oprócz metalowego łóżka jest w nim pusto. W tej chwili na środku rozłożone są maty w trakcie wyplatania. Żona Matea siedzi na podłodze i z cierpliwością godną podziwu pracuje nad jedną z nich. Można stąd przejść do małej zagraconej kuchni. Nigdzie nie ma drzwi, są tylko zasłonki, a w oknach żaluzje z ruchomych szybek.

Być może czytającego zdziwi moje bezpośrednie zachowanie w kontaktach z przygodnymi ludźmi. W długich podróżach takie bliskie relacje pomagają poznać ich zwykłe rodzinne życie. Ja przez to nie czuję się samotny, a podróż jest dużo ciekawsza.

Na początek zaniósłem mój plecak do pokoiku, potem wyjąłem z niego kilka konserw i słoik dżemu, by wręczyć gospodyni. Zaproponowała poczęstunek, podziękowałem i powiedziałem, że jak wrócę z plaży, to chętnie coś zjem, a teraz nie chcę przeszkadzać w pracy. Nie ma jeszcze południa, więc zostało mi sporo czasu na spacer kilkukilometrową plażą. Do brzegu jest dosłownie rzut kamieniem. Cieszę się bezchmurną aurą, wyraźnie widać, że deszcze z dnia na dzień są coraz rzadsze, a niebo klarowne. Dowiedziałem się, że w biurze z informacją turystyczną są nawet przewodnicy, którzy mogą być pomocni dla zwiedzających miejscowe atrakcje. W okolicy jest kilka szlaków w głąb górzystego ładu – do rezerwatu i nad podobno piękny wodospad. Bez przewodnika lepiej się nie zapuszczać w busz, bo można zabłądzić. Wynajęcie przewodnika jednak sporo kosztuje. Zostaję tylko przy plaży, gdzie poradzę sobie sam. Jestem zadowolony, udało się ze spaniem. Pogoda jak marzenie, jest przyryw i lekki wiaterek, ale fale są nadspodziewanie duże.

Idę na plażę, o której tyle słyszałem. Na Taveuni nie ma ani jednego wielkiego hotelu, jakiegokolwiek budynku wyższego ponad parter, chociaż jest jeden jednopiętrowy w Naqarze. Znajduje się tam mały bank ze słabym połączeniem internetowym, gdzie miałem problemy z pobraniem pieniędzy z bankomatu. Takich wysp jak Taveuni dzisiaj na świecie jest już mało. Ludzie zagospodarowali już prawie wszystkie atrakcyjne turystycznie miejsca na ziemi, z których można czerpać zyski. Tutaj jest jeszcze naprawdę dziko. Kończę pobyt na wyspie, ale cieszę się, że trafiłem w dziesiątkę, wybierając ją.

W Lovenie jest największa piaszczysta plaża, chociaż co kawałek wystają skaliste przeszkody powstałe po erupcji dawnych wulkanów. W piasku jest też sporo pokruszonego koralu, ale daje się ostrożnie spacerować na bosaka. Cyple wysp są zawsze skaliste, w tych miejscach brzeg zmienia kierunek i trzeba go obejść, przedzierając się wąską ścieżką przez tropikalny busz. Plaża jest na tyle popularna, że poprowadzono szlak specjalnie tak, by wędrowiec mógł zachwycać się widokami. Przybywając tu, byłem przekonany, że nie będę sam, a tu totalna pustka! Sadzę, że nie wszyscy mają odwagę chodzić samotnie wzdłuż całej plaży. Przykładem będzie spotkany na szlaku turysta

z przewodnikiem wracający już ze swojej wycieczki.

W połowie drogi za cyplem z wody wyrastają czarne skalne ostańce. Dolna część tych skał została przez miliardy uderzeń fal tak zniszczona, że czarne bazaltowe skały wyglądają jak potężne grzyby. Widok jest tak niezwykły, że trudno się tu nie zatrzymać na dłuższą chwilę, by pomyśleć o potędze wody i minionym czasie, w którym ten proces postępował. To z pewnością najczęściej fotografowany kawałek plaży Loveny. Po godzinie spaceru ścieżką wzdłuż nadbrzeżnych zarośli przechodzę wiszącym nad rzeczką mostem linowym. Nie spodziewałem się w tym miejscu takiej przeprawy. Woda miała około dziesięciu metrów szerokości, a wysoko zawieszony nad nią most łączący nadrzeczne skarpy miał chyba z sześćdziesiąt metrów! Zawieszony wysoko nad wodą, jest doskonałym miejscem widokowym. Bystry nurt rzeczki rozbija się o czarne wulkaniczne kamienie koryta i z impetem płynie do oceanu. Idę jeszcze kilkaset metrów krętą ścieżką wśród zarośli i dochodzę do ujścia mijanej rzeczki, które jest nadspodziewanie szerokie. Już z daleka dochodzą do mnie głośne śmiechy i wrzaski dorosłych i dzieci. Nie spodziewałem się tutaj takiej dzikiej hordy. Podchodzę i mam przed sobą polanę przy ujściu rzeki do oceanu.

Kilka miejscowych rodzin urządziło sobie w tym uroczysku połów ryb. Radosne głosy i śmiechy już z daleka świadczyły o dobrej zabawie. Trafiłem akurat w momencie, gdy grupa mężczyzn i kobiet rozstawiała sieci w poprzek nurtu. Wszyscy mieli przy tym wielką frajdę, radośnie się śmiali, krzyczeli i żartowali. Dawno nie widziałem tak szczęśliwych ludzi! W tym czasie na płytkiej wodzie baraszkowały dzieciaki. Szalały na skleconej z bambusu tratwie, również świetnie się bawiąc. Ta wspólna rozrywka wypiarzy jest doskonałym relaksem. Wielce się zdziwiłem, jak wiele ryb przy okazji tych wodnych wygłupów wyrzucają z wody na brzeg. Niektórzy z zadziwiającą zręcznością gołymi rękoma łapia ogłupiałe w rozgardiaszu ryby. Inni wyplątują te zamotane z sieci. Są też tacy, którzy pod wodą lub z brzegu ciskają w ryby zaostrome ościenie. Skuteczność tej prastarej metody jest zadziwiająca! Część złapanych ryb trafia od razu na ucztę. Bez wielkich ceregieli taka ryba ogłuszona kamieniem trafia wprost na rozgrzane kamienie i to bez zabiegów czyszczenia, czy to z zewnątrz, czy ze środka. Nikt się tym nie przejmuje. Ponoć nieusunięte wnętrzości to najlepsza naturalna przyprawa. Jeśli ktoś z niedowierzaniem kręci nosem, to niech przypomni sobie nasze wędzone szprotki, których się nie czyści. Niektórzy z biwakujących wyglądają, jakby kilka dni nic nie jedli, bo świeżo złapane ryby obgryzają na surowo... Szok!

Niektóre rybki to okazy kolorowych morskich cudów. Trafiła mi się nie lada gratka, dopisało podróżnicze szczęście. Przez przypadek mogłem poznać tyle nowych, niezwykle ciekawych zwyczajów i sposobów spędzania czasu wolnego przez miejscowych, że rezygnuję z dalszej wędrówki. Zresztą piękna piaszczysta plaża i skalne grzyby już za mną. Dalej czekałoby mnie już tylko przedzieranie się ścieżką przez busz w pobliżu brzegu. Postanowiłem pozostać wśród tych radosnych ludzi i z nimi późnym popołudniem wrócić do wioski. Mieszkańcy Taveuni mają nadzwyczaj dobry stosunek do turystów. Moją kamerą i aparatem fotograficznym mogę filmować czy fotografować bez ograniczeń, nikomu to nie przeszkadza. Usiadłem w pobliżu ogniska, na którym piecze się kilka rybek prosto z wody. Łuska się stopi, gruba skóra stanie się chrupka, ale cały środek jakoś nie za bardzo by mi smakował, więc dziękuję za poczęstunek. Za to wyśmienicie smakują mi podłużne orzeszki butu z poczęstunku.

Przyglądając się różnym wyłowionym rybom, zdziwiłem się, że w rzece, oprócz pospolitych słodkowodnych, żyją także kolorowe rafowe. Ale rzecz wyjaśniła się bardzo szybko. Siła przyływu jest tak wielka, że słona morska woda może wpływać na kilkaset metrów, a nawet na kilka kilometrów w głąb lądu. Z taką falą przyływu woda niesie morskie ryby, które akurat były w pobliżu ujścia rzeki. Po pewnym czasie przychodzi odpływ. Właśnie na taki czas, kiedy rzeka z powrotem niesie wody do oceanu, czekają miejscowi amatorzy połowów. Teraz z nurtem wody z powrotem zaczną wpływać do oceanu ryby, które wcześniej zostały wtłoczone siłą przyływu. Natura jest zadziwiająca. Trudno to pojąć, ale czy zdajemy sobie sprawę z tego, że ryby rzeczne w słonej morskiej wodzie giną? Tak samo ryby morskie długo nie wytrzymują w słodkiej rzecznej wodzie. Zastanawiam się, jak wielkie ilości smacznych ryb przez to się marnują na całym świecie. Z ludzkiego, konsumpcyjnego punktu widzenia to dobro stracone, ale natura sama wie, jak postępować. W oceanach nic się nie zmarnuje. Ryby dwuśrodowiskowe są nieliczne, ja znam tylko łososia i węgorza.



Późnym popołudniem z grupką mieszkańców z Loveny wracam do gościnnego domu pana Matea. To był naprawdę dzień pełen wrażeń...

## Na Viti Levu

Wkrótce opuszczam te piękne wyspy, już coraz częściej myślę o Vanuatu. Do końca podróży jeszcze prawie pół roku, więc jak na początek – był to długi odpoczynek na plażach Fidzi. Za kilka dni mam samolot na wyspy Vanuatu, pozostały czas postanowiłem spędzić na Viti Levu. Jest Wielki Tydzień i chciałbym w te dni pobyć w jakimś spokojnym miejscu. Teraz muszę wydostać się z Taveuni, najtaniej będzie promem Sofi.

Do przystani w miejscowości Waiyewo jadę taksówką. Prom do Suvy odpływa około siedemnastej. Dzisiaj jest bardzo pochmurnie. To jeszcze ostatnie poddmuchy monsunu z masą ciężkich deszczowych chmur. Co pewien czas kropi lekki deszcz. Tym razem podczas rejsu nie będzie pięknych widoków nocnego nieba, świecących gwiazd z charakterystycznym Krzyżem Południa. Nie będzie błyszczących odbić księżyca na falach. Takich widoków się nie zapomina, można całą noc stać przy burcie i podziwiać tropikalne morze. Jednak cieszę się, że mój czterdziestopięciodniowy pobyt na wyspach był słoneczny i upalny, dopisało mi szczęście. Przeżyłem tu gorące dni, jakich nigdzie wcześniej nie miałem. Dziś czeka mnie cała noc na pokładzie promu.

Jest nieprzyjemnie, wiatr zacina deszczem. Na pokładzie spuszczone brezentowe plandeki, by można było spacerować. Przy takiej paskudnej pogodzie mało kto tu przebywa, jest zimno i mokro, całe szczęście, że nie kołysze. Ludzie wolą siedzieć w dusznej i głośnej sali. Dzisiaj nie ma tłoku, pasażerowie porozkładali się na fotelach, by jakoś przekimać do rana. Nie mogłem ani wysiedzieć dłużej w dusznej sali, ani spacerować na wietrznym pokładzie. Dlatego przez całą noc nie zmrużyłem oka i rano czułem się paskudnie.

Późnym wieczorem opływamy lagunę przed wejściem do zatoki Savusavu. Na brzegu błyskają światelka kurortu Cousteau. Jeszcze kilka dni temu spacerowałem tam piaszczystym brzegiem. Myśli wybiegają do przyjaciół, u których byłem przez kilka dni. Robi mi się trochę smutno, że się już raczej nie spotkamy. Nocą dobijamy na krótko do przystani w Savusavu i zaraz płyniemy dalej, by jeszcze po drodze zawinąć na wysepkę Koro. Około szóstej trzydzieści robi się jasno, na wyspach wstaje nowy dzień. Dziś jednak słońce nie wypłynęło w pięknym stylu z wód oceanu, wszystko zasłoniły ciężkie chmury, dlatego na pokładzie pustki.

Ludzie na całym świecie uwielbiają podziwiać wschód słońca, wtedy zawsze przy burtach jest tłoczno. Już wyraźnie zarysowuje się brzeg Viti Levu, ale dobrze wiem, że dystanse na morzu są złudnie i mylne. Odległość do lądu wydaje mała, wygląda na to, że brzeg jest tuż-tuż, a to jeszcze kilka godzin bujania na fali.

Do portu w Suvie dobijamy dopiero w południe. Wolno wpływamy na redę, kołyszą się tu zakotwiczone różne jachty, umęczone tysiącami przebytych mil Oceanu Spokojnego. Nasz statek jest tu największy, chociaż i tak jest mikrusem oceanicznej floty. Załoga bardzo długo manewruje pomiędzy obdartymi z farby małymi stateczkami. Wydaje mi się, że to zakotwiczone wraki. Sporo z nich z pewnością już nigdy nie będzie pływać, tu kończy się ich pracowity żywot. Wszyscy z niecierpliwością czekają już na pokładzie, w ładowni kierowcy uruchamiają silniki samochodów. Od smrodu spalin robi mi się niedobrze. Musimy długo czekać, aż zrobią miejsce na zatłoczonym nabrzeżu. W końcu, po mistrzowsku, dosłownie na centymetry między burtami przycumowanych do pirsu kutrów, dobijamy do betonowego molo.

To tu 4 czerwca 1968 roku do Suvy dopływa w samotnej podróży dookoła świata Leonid Teliga. Jacht Opty wymaga solidnego remontu. Żeglarz zabiera się do naprawy ożaglowania, maluje kadłub i zabezpiecza w ten sposób mahoń przed świdrakiem. Zajęty pracami, z nadzieją czeka na otrzymanie wizy do Australii. Tak mijają dwa miesiące, niestety wizy nie dostaje. Jest śmiertelnie chory, wie o tym. Mimo to ładuje zapasy żywności i wody na pół roku i 29 lipca wyrusza w dalszą drogę. Płynie aż do Dakaru w Senegal, nie zawijając po drodze do żadnego portu. Dopiero 9 stycznia następnego roku po przebyciu 13 260 mil rzuca kotwicę – to najdłuższy etap jego podróży. W owym czasie był to najdłużej

trwający rejs bez zawijania do portów. Przy dzisiejszej technice to również imponujący dystans samotnego żeglowania. Musiałem wspomnieć o tym niezwykłym żeglarzu. Gdy w styczniu 1967 roku Leonid Teliga wypływał na Opty w swój wielki rejs, prawdopodobnie czuł ból.

Pierwszy Polak, który samotnie opłynął świat, najpewniej przez cały rejs wiedział, że powinien się śpieszyć. Walczył z morzem i rakiem. W owym czasie wyprawę Teligi opisywano w kategorii sukcesu ludowej ojczyzny, choć ta w ogóle się do tego nie przyłożyła. W miarę rozgłosu powoli stawało się jasne, że polska bandera na samotnym jachcie to nie tylko przygoda upartej jednostki, lecz także sprawa prestiżowa dobrego imienia Polski na morzu. Z tamtych czasów dzisiaj można się śmiać – w jaki to sposób ludowa władza przechwytywała sukces. Jacht na morzu spisywał się dzielnie, choć nie był jednostką nowoczesną, jak rozpisywała się prasa. O tym, że był prywatnym jachtem, z wielkim trudem latami przez Teligę budowanym, nie pisano nigdzie. Żeglarz zakończył rejs w Casablance 30 kwietnia 1969 roku. W ten sposób ten niezwykły człowiek i odważny żeglarz zamknął pętlę wokół globu.

Śmiertelna choroba nie pozwoliła doprowadzić Opty do macierzystego portu w Gdyni. Do kraju wrócił samolotem. W Warszawie na Leonida Teligę czekała na płycie lotniska karetka pogotowia. Rok później żeglarz zmarł. Bardzo dawno temu był taki okres w moim życiu, że czytałem wszystkie dostępne w bibliotece książki o samotnych wyprawach przez oceany. Przeczytałem również *Samotny rejs „Opty”*, tak głośny w tamtym czasie. Postarałem się i nawet zdobyłem patent żeglarski, ale z pływania po morzach nic nie wyszło. Mimo to cieszę się z tego, że mogę na drugiej półkuli, na Fidżi, pomyśleć o tym dzielnym i nieprzeciętnym człowieku.

## W wiosce największego ludożercy

Z portu idę do centrum, skąd odjeżdżają autobusy kursujące do bliższych i dalszych miejscowości. Dzisiejsza podróż to, jak na wielkość wyspy, trasa dość daleka. Będę jechał Kings Road, tak dostojnie nazywa się droga z Suvy do Nadi. Przebiega wzdłuż wschodniego wybrzeża, ale tak naprawdę wcale nie biegnie tak bardzo blisko brzegu. Droga przecina górzyste obszary interioru. Kilka tygodni temu jechałem z Nadi do Suvy po drugiej stronie Viti Levu jej zachodnim wybrzeżem. Tam Queens Road rzeczywiście cały czas biegnie tuż przy oceanie. Dzisiaj zobaczę górską część wyspy.

Jest bezchmurnie i gorąco, a do tego parno i duszno. Na ulicach tłumy spacerujących ludzi. Sprawiają wrażenie, jakby nigdzie się nie śpieszyli, są uśmiechnięci i tak na oko zadowoleni z życia. Te wyspiarskie narody mają inną życiową filozofię, ludzie są pogodzeni ze swoim losem i często niełatwą sytuacją. Po czterdziestopięciodniowym wypoczynku na spokojnych, niemal bezludnych plażach kończy się mój sielankowy pobyt na Fidżi.

Mam szczęście, mój autobus wkrótce odjeżdża. Nie było zbyt wiele czasu, by rozejrzeć się po mieście, ale w takim upale traci się ochotę na spacer, zwłaszcza z plecakiem na grzbiecie. Dobrze się składa, bo jeszcze za dnia dojadę do Rakiraki. Bilet kupuję w autobusie, to długa, aż czterogodzinna podróż, chociaż droga ma tylko 157 kilometrów. Mój autobus jedzie do Nadi, to najdłuższa trasa na Fidżi, więc wyjątkowo w oknach są szyby. Celem mojej podróży jest wioska Rakiraki, muszę uważać, by czasem nie przeoczyć właściwego przystanku. Po drodze jak zwykle mijamy wolnostojące, niskie i proste domki. Taka zabudowa zaczyna się zaraz za centrum. Nie uświadczysz tu kominów fabryk czy wielkich zakładów. Na wschód od Suvy do oceanu wpływa największa rzeka wyspy – Rewa, mająca tu szerokość 250 metrów. Autobus przejeżdża przez solidny most. Teraz droga pnie się stale w górę. Jedziemy przez urodzajny i dobrze zagospodarowany rolniczy obszar, dookoła pola uprawne i plantacje ryżu oraz taro. Przez wiele kilometrów trasa prowadzi tuż nad Rewą, która zasila plantacje ryżu. Co pewien czas na skarpie rzecznej widać stacje pomp. Przetłaczają one wodę do kanałów nawadniających pola ryżowe. Ponoć zbiory tu, na Viti Levu, dają dwa razy na rok rekordowe plony sięgające ponad dziesięć ton z hektara. Gdzieś tam widać szukające cienia stadka pasących się krów i owiec. Przy drodze rozsiadły się pojedyncze domostwa otoczone zielenią. Często kryją się za potężnymi bananowcami i innymi drzewami owocowymi.

Fidżyjczycy lubią malować swoje domy dość jaskrawymi kolorami. Często wygląda to kiczowato, jednak w otoczeniu bujnej zieleni liściastych krzewów ozdobnych i wszędobylskich kwiatów

aż tak nie razi. W tym rajku, gdzie dookoła tyle naturalnej zieleni, tubylcom jeszcze jej mało i jak tylko mogą, dodatkowo dekorują swoje obejścia ozdobną roślinnością. Na sporym odcinku trasy trwają niekończące się roboty drogowe, stąd podróż wlecze się niemiłosiernie.

W przewodniku po Fidżi ostrzegano, żeby pilnować biletu i mieć go stale pod ręką. Trudno w to uwierzyć, ale w trakcie jednej podróży ten sam konduktor sprawdza pasażerom bilety kilkakrotnie. Za każdym razem sprawiał wrażenie, jakby mnie pierwszy raz widział na oczy. Nie dowiedziałem się, czy to były urzędowe procedury, czy nadgorliwość nudzącego się konduktora.

W odległości około pięćdziesięciu kilometrów za Suwą żyzne tereny kończą się wraz z nizinną częścią koryta Rewy. Znikają pola ryżowe i farmy hodowlane, zaczyna się zupełnie inny krajobraz. Zieleni nie jest już tak bujna, robi się coraz bardziej dziko. Mijamy małe wioseczki przycupnięte w pobliżu drogi. W innych miejscach tylko stada owiec świadczą, że tu ktoś gospodarzy na tym terenie. To wzorce zaczerpnięte z Nowej Zelandii, gdzie podobne, bogate w paszę, ale trudne do zagospodarowania tereny wykorzystuje się do hodowli. Jedziemy przez górzyste i dziki interior. Na sporym odcinku drogi autobus musi zwolnić, gdyż wysłużony asfalt przechodzi miejscami w szuter. Wtedy za pojazdem ciągną się tumany kurzu czerwonej barwy. Dobrze, że w oknach autobusu są szyby. Roboty drogowe sprawiają wrażenie, jakby budowano nową nitkę Kings Road. Może to remont kapitalny tej słynnej starej drogi, ale tego nie jestem pewny. W pobliżu Naserelagi droga wiedzie blisko brzegu. Po prawej stronie otwiera się szeroka panorama malowniczych zatok, których brzegi zdobi mnóstwo pochylonych palm kokosowych. Widok jest nieprzeciętny, bo teraz droga biegnie wysoko nad brzegiem. Od czasu do czasu na zielonych wzgórzach po lewej stronie nagle pojawiają się samotne skalne ostańce o fantazyjnych kształtach. Są wielkie, ich jasna barwa mocno kontrastuje z morzem otaczającej zieleni. Na horyzoncie, kilkanaście kilometrów dalej, rysują się dzikie, niezamieszkałe tereny górskie. Może wysokość 700-800 metrów nie zwala z nóg, ale nie chciałbym się tamtędy przedzierać. Góry na Viti Levu nie mają łagodnych stoków, są bardzo poszarpane. Tylko to, że niemal całe są pokryte nieprzebytym buszem, daje złudzenie łagodności.

Kierowcy na Fidżi jeżdżą powoli i spokojnie, bez nerwowości i pośpiechu, jaki widać u naszych użytkowników dróg. Trzeba przyznać, że ten zawód cieszy się tu dużym szacunkiem. Poza miastami samochodów prywatnych nie jest wiele i każda pomoc w podwiezieniu jest cenna, ale nie gratisowa. Co pewien czas piękne widoki krajobrazu są oszpecone słupami energetycznymi. To linie przesyłowe od kilku małych elektrowni wodnych funkcjonujących w okolicy. W ten sposób na Viti Levu rozwiązano problemy energetyczne. Przed wioską Rakiraki zaczynają się obszary pól uprawnych i coraz gęściej zamieszkały teren północnej Viti Levu. Stąd do Nadi rozciąga się urodzajna część wyspy.

Po kilku godzinach męczącej jazdy późnym popołudniem jestem na miejscu. Jak planowałem, z autobusu wysiadłem na przystanku w Rakiraki. By znaleźć jakiś nocleg, trzeba dojść do pobliskiego miasteczka Vaileka. To mała, spokojna miejscina licząca około 5 tysięcy mieszkańców. Muszę tam dojść, to jakieś trzy kilometry na południe od Kings Road. Wąską asfaltową drogą idę wśród plantacji wysokiej trzciny cukrowej. Wszędzie bujna zieleni, w pobliżu wśród gęstych zarośli meandruje dość szeroka rzeczka. Tylko z rzadka coś przejeżdża, ludzi też nie widać, można więc spokojnie rozglądać się po urokliwej pagórkowatej okolicy. Do oceanu zaledwie dwa kilometry, więc czuć powiew morskiego powietrza, które pod koniec każdego upalnego dnia orzeźwia i sprawia ulgę. Solidnie zmachany, w końcu dochodzę do miasteczka. W pobliżu centrum znalazłem tanie spanie w motelu Bula. Postanowiłem zatrzymać się w nim na trzy dni i tu spędzić Wielkanoc. Zaraz po świętach mam z Nadi samolot do Port Vila na wyspach Vanuatu. Jutro Wielki Piątek, ludzie zaczynają świętować, więc poradzono mi zrobić zakupy jeszcze dzisiaj, gdyż jutro może być problem.

Muszę wyjaśnić, dlaczego znalazłem się właśnie tu, w pobliżu miejscowości o dziwnie brzmiącej nazwie Rakiraki.

O ludożerstwie na wyspach Pacyfiku już wcześniej pisałem. Po drodze do Nadi tu planowałem zrobić postój, gdyż Rakiraki intrygowała mnie od dawna. Historia tej okolicy związana jest z miejscem pochówku największego kanibala wszech czasów, jakim był Udre Udre. Tutaj w pobliżu jest okazały grobowiec tego osobliwego smakosza... Chciałem poczuć klimat miejsca, gdzie spoczywają jego doczesne szczątki. Trudno z przerażeniem nie myśleć o zdarzeniach, jakie miały tu miejsce. Ludzkie

tragedie właśnie w tej okolicy przybrały niespotykany wymiar. To miejsce jest szczególne, bo naznaczone niechlubnym, niezwykłym grobowcem, jedynym takim na świecie.

Następnego dnia wybrałem się w kierunku głównej drogi, gdzie znajduje się grób Udre Udre. Już samo jego dziwne imię brzmi złowrogo i upiornie, a do tego niezwykła nazwa wioski Rakiraki, jak gdyby wszystkiemu dodawały jakiejś tajemniczości. Co więcej, miejscowi do dziś omijają to miejsce szerokim łukiem i nie warto o tym z nimi rozmawiać. Widać, że czują się niekomfortowo.

W połowie XIX wieku Udre Udre był wodzem okolicznych wiosek. Przez swoje okrucieństwo w jakiś niewyjaśniony sposób doszedł do władzy i tu w okolicy zamieszkał. Konkretnie w Vulinavayu, co w miejscowym języku znaczy „kamienne głowy”. Wioska leży kilka kilometrów za Rakiraki przy drodze do Nadi. Miejsce to jest dobrze widoczne z okien autobusu, a ta dziwna nazwa prawdopodobnie pochodzi od dominujących nad okolicą wysokich na około 200 metrów skalnych ostańców.

Właśnie gdzieś tam, wśród tych ponurych skał, miał swoją siedzibę ów słynny kanibal. Udre Udre zmarł około 1860 roku. Według danych Wikipedii zjadł 872 ludzi, co stanowi niekwestionowany makabryczny rekord świata!

Najdziwniejsze jest to, że w tym czasie ludność Fidżi była już od pewnego czasu eksploatowana przez państwa kolonialne, działali już pierwsi misjonarze. Jednak nikt nie wtrącał się w miejscowe zatargi, a walki i morderstwa były na porządku dziennym. Mało kogo obchodziły sprawy wyspiarzy, o ile nie wtrącali się w sprawy białych i nie przeszkadzali w ich interesach. Dookoła rozgrywały się makabryczne orgie. Ważne było tylko to, że miejscowi nie przeszkadzali w biznesie na trzcinie cukrowej i koprze. Nie chcieli pracować na plantacjach? To nic, zastępowano ich Hindusami. Szalonego kanibala bali się wszyscy, nawet w odległych wioskach. Ofiary zdobywane były przeważnie w walkach plemiennych między sąsiadami z pobliskich wysp, a gdy zachodziła potrzeba, niejednokrotnie prowokowano bliskich sąsiadów. Każdy sposób był dobry, by zdobyć ludzkie mięso. Udre Udre budził strach nawet u swoich poddanych.

Z przekazów wiadomo, że gdy w wiosce słychać było bicie w drewniany bęben lali, znaczyło to, że Udre Udre szukał kogoś do zjedzenia. Kanibal osobiście zajmował się dzieleniem zdobyczy. Z każdej ofiary dostarczonej przez swoich wojowników zawsze wykrawał dla siebie najlepsze kęski. Reszta upieczonego mięsa była sprawiedliwie dzielona między wszystkich mieszkańców wioski.

Dzisiaj jego pomalowany na biało prosty grobowiec stoi kilka metrów od Kings Road. Wokół rośnie starannie przycięty żywopłot. Makabryczny grobowiec otaczają osiemset siedemdziesiąt dwa kamienie, co ma oznaczać liczbę skonsumowanych ludzi. To informacja z pierwszej ręki. Krótko po wystawieniu grobowca miejsce to odwiedził ówczesny dziennikarz. Spytał syna kanibala, co oznacza ta fura kamieni dookoła grobu. Ten ze spokojem oznajmił, że każdy kamień oznacza człowieka, z którego jego ojciec zjadł kawałek mięsa. Święta zastały mnie w miasteczku Vaileka-Rakiraki. W pierwszy dzień Wielkanocy chciałem uczestniczyć w nabożeństwie, ale nowy kościół był dopiero w budowie, a stary nieczynny.

Na Fidżi jest bardzo mało obiektów historycznych. W Europie większość zabytków to chrześcijańskie budowle sakralne, niekiedy bardzo stare. A jak to wygląda na wyspach Pacyfiku? Walki plemienne i eksploatacja kolonialna to codzienność ówczesnego terenu działań misjonarzy. Choć w Malenezji pierwsze misje pojawiły się bardzo wcześnie, to trudno sobie wyobrazić, jak niewdzięczne miały tu pole do działania. Najwcześniejsze relacje pisane przez misjonarzy angielskich i francuskich pochodzą z około 1810 roku. Wynika z nich, że natrafili na duży opór miejscowych kapłanów i czarowników, a był on tak silny, że większość misjonarzy musiała ratować swoje życie ucieczką. Kilkunastu zabito, jednak niektórzy skończyli w kotle.

Pierwszym zadaniem misji było przygotowanie miejscowych do katechizacji i wyszkolenie nauczycieli do głoszenia Ewangelii. Drugim celem zaś wybudowanie kościoła i zaplecza gospodarczego misji. Misjonarzy zawsze było za mało. Pierwsze misje zakładano z wielkim trudem i często kończyło się to niepowodzeniem. Stanowiły one zawsze przyczółek europejskich wpływów i władzy, a misjonarze byli pierwszymi lekarzami i nauczycielami. Oprócz oporu wyspiarzy największymi wrogami często bywali ich biali ziomkowie. Ci, pragnąc wszelkimi środkami zbić szybko fortunę, nie troszczyli się o wpajanie tubylcom poglądu, że i oni mają duszę. Stale siali zamęt i prowokowali konflikty. W tych

warunkach jakże trudno było misjonarzom przekonać miejscowych, że życie Europejczyka jest wznioślejsze. Księża musieli wręcz chronić tubylców przed zbiegłymi marynarzami oraz wszelkiej maści łotrami i cwaniakami, którzy pod względem duchowym stali niżej niż tubylcy poganie. Pomimo tych niepowodzeń misje wytrwały.

Jednym z bardzo niewielu zabytków jest kościół, będący chlubą wyspy. To największy pomnik kultury i sztuki sakralnej na całym archipelagu Fidżi. Ta właśnie świątynia znajduje się tylko czterdzieści kilometrów na południowy wschód od Rakiraki, w miejscowości Naserelagi. Jest to solidnie wymurowany z kamienia obiekt, przepięknie położony na wzgórzu z cudownym widokiem na ocean. Ten katolicki kościół pod wezwaniem Świętego Franciszka Ksawerego zbudowany został w 1912 roku. Świątynia słynie z oryginalnego głównego ołtarza, jest nim obraz przedstawiający ukrzyżowanego Czarnego Chrystusa. Namalował go w 1962 roku słynny francuski malarz Jean Charlot. Właśnie do tego kościoła jadę na Mszę Świętą, a przy okazji będę mógł zobaczyć to niezwykle malowidło, o którym piszą wszystkie przewodniki po Fidżi.

Jadę autobusem malowniczą drogą, jedną z piękniejszych na Fidżi. Trasa bardzo urozmaicona, po lewej stronie widok na ocean, droga prowadzi dość wysoko nad brzegiem, więc roztacza się szeroki, wspaniały widok. Po prawej stronie wzgórze ze skalnymi ostańcami wybijającymi się z bujnej zieleni. Pogoda dopisuje, słońce, białe cumulusy i lekki wiaterek od morza. Mijamy pojedyncze zabudowania, w pobliżu których rosną palmy i bananowce. Nie ma tu pół trzciny cukrowej, a na zielonych łąkach pasą się stadka krów i owiec. Tak mi się tu podoba, że wysiadam z autobusu wcześniej i chcę ostatnie kilometry przejść pieszo. Mam przy tym nadzieję, że zdążę na Mszę Świętą. Przechodząc obok jednego z domów, nie mogłem oprzeć się pokusie i kupiłem od farmera kiść dojrzałych bananów na spóźnione śniadanie. Dochodzę do tablicy informacyjnej – tu muszę skręcić w boczną dróżkę prowadzącą w stronę kościoła. Z tego miejsca zbyt wiele nie widać, nawet celu mojej wędrówki. Dalej wspinam się dość stromo kiepską ścieżką. Jest gorąco jak w piecu i nawet powiew wiatorku znad pobliskiego oceanu nie daje wytchnienia. Zmachany i mokry dochodzę do sporego placu na wzgórzu. Jest duży jak boisko sportowe, a na jego końcu stoi kościół. Przy wejściu na plac jest drewniana wiata. Właśnie w tej chwili podszedł do niej ubrany w sulu człowiek z pałami w rękach i zaczął walić z zapalem w wielki, wydrążony z pnia bęben lali. W taki to sposób zwołuje się wiernych. Bardzo charakterystyczny, melodyjny rytm uderzeń w tam-tam lali niesie się daleko po okolicy, wzywając na świąteczną celebrę.

Zielony pusty plac powoli zapełnia się wiernymi. Odświętnie ubrani wyglądają radośnie i kolorowo. Starsi rozmawiają, a rozbrykane dzieci biegają z wrzaskiem po trawie. Wchodzę do pustego jeszcze kościoła, mam czas dokładnie obejrzeć cały wystrój z obrazem Chrystusa Ukrzyżowanego. Świątynia jest zbudowana z kamienia, co nadaje jej surowy wygląd. Wyposażenie jest bardziej niż skromne, nie ma nawet ławek. Zamiast sufitu goła drewniana więźba dachowa. W prezbiterium na głównym ołtarzu wisi ten niepospolity obraz, o którym już wspominałem. Jezus Chrystus przedstawiony jest jako ciemnoskóry człowiek. Jego biodra osłania narodowa szata fidżyjska, sulu. Z prawej i lewej strony pod krzyżem stoją postacie przedstawiające społeczność Fidżi. Po prawej widzimy grupę Fidżyjczyków z darami, przynieśli maty i tanuę do kawy. W tle za tanuą liście i owoce chlebowca symbolizujące tu ołtarz i Eucharystię. Z drugiej strony Krzyża stoją Hindusi ze swoimi darami, kobieta przyniosła girlandę kwiatów, a rolnik przyprowadził parę wołów. Jest tu też najważniejszy święty Oceanii – święty Piotr Chanel, patron wysp Pacyfiku. To dziewiętnastowieczny francuski misjonarz, zabity i zjedzony na pobliskich wyspach Wallis i Futuna. Towarzyszy mu wielki misjonarz Azji i Pacyfiku, święty Ksawery.

Ten, kto posiada dość wiedzy o regionie, może wyłowić z obrazu wiele innych elementów, o których nie sposób w kilku zdaniach opowiedzieć. Nie na darmo wspomina się o sławie malarza. Tło obrazu to jakby bujna dżungla wzbogacona o niesamowite desenie. W obrazie można doszukać się nieprawdopodobnie wielu symboli religijnych i motywów fidżyjskich.

Do Bula Motel wracam okazją na pace samochodu, jeszcze raz napawając się na koniec podróży po Fidżi pięknymi widokami i powietrzem przepełnionym zapachem bezmiar oceanu. Mój samolot odlatuje za kilkanaście godzin. Mam trochę czasu i rozmyślam o swojej wędrówce. Jak zawsze przy pożegnaniach żal mi opuszczać tak uroczy kraj i jego mieszkańców. Chciałbym jeszcze kiedyś odwiedzić

ten i ciekawy, i niezwykły archipelag.

[1] Cyt. za: A. Borówka, *Kapitan Blight wypełnił obowiązek*, „Poznaj Świat” 1968/III/13.

[2] Tamże.

[3] Cyt. za: A. Villiers, *Morze Koralowe*, Gdańsk 1970, s. 173.

[4] Tamże, s. 175.

## CZEŚĆ II

# VANUATU

## Kilka faktów o Vanuatu

Z Nadi na Fidżi do Port Vila, stolicy Vanuatu, jest tylko półtorej godziny lotu nad oceanem. Fascynujący i zadziwiający to kraj, w którym ludzie posługują się stu dziesięcioma językami. Czy ktoś o nim słyszał i wie, gdzie się znajduje?

Przez machinacje białych stanowi fascynującą mozaikę ludzi, obyczajów i kultury. Jako pierwszy do tych wysp dotarł hiszpański żeglarz Pedro Fernández de Quirós. Nie zadając sobie trudu dalszych poszukiwań tajemniczego południowego kontynentu, nazwał odkryty ląd Australis del Espíritu Santo. W niecałe dwa wieki po nim dla francuskiego odkrywcy Bougainville'a, który tu przepływał, były to Wielkie Cykady. Wkrótce po nim wyspy opłynął słynny kapitan Cook i też nadał im, nie wiadomo dlaczego, nową nazwę – Nowe Hebrydy.

Gdy jeszcze w szkole podstawowej marzyłem o podróżach, siedząc nad kolorowymi stronami atlasu z lądami, morzami i wyspami, zapamiętałem nazwę Nowe Hebrydy – tak się wtedy nazywały. Wiele lat później nagle na Pacyfiku powstało jakieś Vanuatu, nowe państwo o dziwnej nazwie.

Był rok 1980, wtedy to 30 lipca proklamowano niepodległość Nowych Hebrydów. Widoczne przez okienko samolotu fascynujące wysepki coraz bardziej wyłaniały się z bezmiaru oceanu i szybko się przybliżały. Nawet w marzeniach nie przypuszczałem, że kiedyś tu dotrę. To tak bardzo daleko od domu, chociaż blisko Australii, bo tylko 1 800 kilometrów. Jak na pacyficzne dystanse to rzut beretem. O tych okruchach lądu na oceanie rzadko się słyszy, więc nie dziwię się, że nie wszyscy znają taki kraj. Cieszyłbym się, gdyby czytelnicy po przeczytaniu kilku krótkich rozdziałów tej książki dowiedzieli się czegoś o Vanuatu. Ja swojej podróży po tych wysepkach nigdy nie zapomnę, bo jakże można zapomnieć cudowne krajobrazy i najbardziej gościnnych ludzi na świecie?

Samolot zatacza kręgi, zbliżając się powoli do lotniska. Pod nami roztacza się urzekający pejzaż stolicy. Położone na wschodnim wybrzeżu wyspy Efate miasto Port Vila ma niezwykle piękne, wręcz spektakularne położenie. Niezbyt stłoczona niska zabudowa ze skromnymi domkami wypełnia łagodnie zbocza dookoła zatoki. Nie ma tu wieżowców, a w centrum stoi zaledwie kilkanaście okazalszych budynków. Wszystkie ważniejsze instytucje skupiły się blisko nabrzeża i tworzą centrum stolicy. Przy lądowaniu można podziwiać doskonale widoczną zatokę z nabrzeżem i girlandami cumujących tu małych jednostek, kutrów rybackich i motorówek. Na spokojnej wodzie zatoki dostojnie kołysze się sporo jachtów. Z góry miasto prezentuje się dość okazale, chociaż nie jest duże. Wkrótce będę mógł osobiście się o tym przekonać.

Samolot fidżyjskich linii Air Pacyfik delikatnie ląduje na niedużym lotnisku Bauerfield International Airport. Ciekawa historia lotniska wiąże się z jego pośpieszną desperacką budową. Powodem jego postania były długie i bardzo ciężkie walki na południowym Pacyfiku. Zostało zbudowane przez US Marine w ekspresowym czasie trzech miesięcy wiosną 1942 roku, na potrzeby operacji przepędzenia Japończyków z pobliskiego Guadalcanal na Wyspach Salomona. Już latem tego samego roku było intensywnie wykorzystywane w działaniach bojowych US Marine.

Z lotniska do centrum oddalonego o trzy kilometry idę pieszo, przydrożny chodnik stale prowadzi w dół. W stolicy Vanuatu mieszka około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, więc myślę, że się nie zgubię. Od razu czuję różnicę temperatur i klimatu. W porównaniu z żarem na Fidżi tutaj jest chłodniej, a w powietrzu czuć więcej wilgoci. Przyjemnie idzie się w cieniu szpaleru drzew. Przy drodze biegnącej w kierunku centrum przechodzę wzdłuż niskiej, luźnej zabudowy przedmieścia. Są tu małe sklepiki, hurtownie, jakieś warsztaty i parterowe domy. Dookoła sporo zieleni, jest spokojnie, a do tego znikomy ruch na ulicy. Bez trudu znalazłem miejsce na nocleg, hotelik nazywa się Paray Lodge. Wkrótce po przybyciu zdążyłem się dowiedzieć, że już jutro mam rejs na Malekulę. Jestem z tego bardzo zadowolony, gdyż nie będę musiał długo nudzić się w mieście.



Na wyspę Malekula pływa prom Big Sista, który tylko raz w tygodniu rejsem po stałej trasie opływa północne wyspy archipelagu Vanuatu. Jest to niezbyt duży katamaran pasażerski, jednak przy okazji może zabrać drobne towary, o ograniczonej wadze i gabarytach. Zapoznałem się z jego trasą, gdyż może mi się to w najbliższym czasie bardzo przydać. Podczas rejsu zatacza on trwającą trzy do czterech dni pętlę. Pływie na Espiritu Santo, największą wyspę Vanuatu. Po drodze zawija na malutką Paamę, potem Malekulę i na koniec dopływa do Luganville na Espiritu Santo. Stamtąd wraca tą samą trasą, dodatkowo zahaczając o wyspę Épi i kończy tu, na wyspie Efate w Port Vila. Taką rundę robi raz w tygodniu, oczywiście gdy jest spokojne morze. Dwa pozostałe promy – Efate Queen i Santo Queen – płyną na innych trasach, gdyż do obsługi jest kilkanaście wysp.

Z osiemdziesięciu trzech wysp całego archipelagu na stałą obsługę promową może liczyć nie więcej jak jedna czwarta z nich. Na liczne odległe wysepki zazwyczaj tylko raz w miesiącu dopływają małe kutry z zaopatrzeniem, zwane tu copra boats. Planując swoją pięcioletnią podróż po wyspach, musiałem tak ułożyć trasę, by zdążyć powrócić na czas do Port Vila. Ogranicza mnie termin wylotu na Wyspy Salomona, mam bilet na konkretny samolot. Przez bardziej niż skromny budżet z latania na odległe wysepki musiałem z żalem zrezygnować. Mając do dyspozycji określony limit czasu i gotówki, zdecydowałem się na Malekulę. Jeszcze przed podróżą zbierałem o niej informacje. Wydała mi się jedną z najciekawszych wysp archipelagu. Wkrótce będę mógł sprawdzić, czy to dobry wybór. Vanuatu jest drogim krajem do podróżowania. Trzeba rozsądnie dysponować pieniędzmi, by jak najwięcej zwiedzić i poznać nowe klimaty. Loty samolotami Air Vanuatu są bardzo drogie, dlatego interesują mnie tylko promy. Są znacznie tańsze, ale nie aż tak, jak się spodziewałem. Za bilet na Malekulę muszę zapłacić sześćdziesiąt pięć dolarów amerykańskich, a to tylko 100 mil. Promy kursujące między wyspami nigdy nie są pewnym transportem. Gdy jest zła pogoda, rejsy są odwoływane. Na dłuższe podróżowanie małymi kutrami, czyli copra boats, nie należy liczyć, gdyż pływanie nimi może być niebezpieczne. Można zaryzykować rejs na wyspy, które są w zasięgu wzroku, nie dalej. Te małe, przeciekające łajby obsługują trasy między rozszanymi na morzu zapomnianymi wysepkami. Pływają tylko wtedy, gdy jest jakiś fracht, a ludzie mogą się zabrać tylko wtedy, kiedy szyper ma dobry humor...

W moich podróżach jestem przeciwnikiem „zaliczania” ciekawych miejsc w pośpiechu. Z góry założyłem, że nie będę się śpieszył, wolę dobrze poznać jedno miejsce niż kilka przelotnie. Muszę mieć czas na zwiedzanie, fotografowanie i filmowanie. W związku z tym kupiłem bilet i płynę na Malekulę. Zamierzam pieszo przejść wzdłuż wschodniego brzegu, zaczynając od południa w wiosce Lamap i kończąc na północnym krańcu wyspy. W prostej linii to około czterdziestu kilometrów. A jak mi to wyjdzie w praktyce, to się wkrótce okaże. Na całą eskapadę mam ponad trzy tygodnie. Po cichu jeszcze liczę, że coś skubnę z tego czasu i zrobię wypad na wyspę Pentecost. Znalazłem się w zakątku Pacyfiku, który dłużej niż reszta oceanu pozostawał w odosobnieniu. Jeszcze dzisiaj te wyspy nie są tak popularne jak pobliskie Fidżi. Turyści z niezbyt odległych Australii i Nowej Zelandii wolą odpoczywać daleko od domu. Ignorują miejsca leżące u ich progu, chociaż są równie interesujące jak Wyspy Cooka, Hawaje czy Fidżi. Dla obywateli z Europy podróż tu jest zbyt daleka i męcząca. Do tego jeszcze na miejscu czekają spore wydatki i niespodzianki. Aby dostać się do ciekawego miejsca lub odległej wyspy, trzeba sporo czasu lub pieniędzy. Kto ma bardzo gruby portfel, może wynająć awionetkę, wtedy oszczędza swój cenny czas. Kto ma sporo czasu, może skorzystać z copra boats, wtedy oszczędza swoje cenne oszczędności.

Patrząc na mapę, widzimy, że wyspy Vanuatu ciągną się w dwóch łańcuchach podobnych do litery V, na południe od Wysp Salomona. To 1 800 kilometrów na wschód od Australii. Archipelag składa się z osiemdziesięciu trzech wysp, w większości pochodzenia wulkanicznego, oraz niezliczonych raf. Wśród wysp Vanuatu należałoby wymienić jeszcze dwie nieco odrębne grupy wysepek na północy – Wyspy Banksa i wyspy w Cieśninie Torresa. Cały obszar kraju to 12 190 kilometrów kwadratowych, który zamieszkuje około 280 tysięcy mieszkańców. Tylko większe wyspy są zaludnione.

Językami urzędowymi są angielski i francuski oraz bislama – język utworzony wspólnie, wspólny na obszarze całego kraju. Niezależnie od tego ludność miejscowa posługuje się ponad 110 (!) różnymi dialektami języka mówionego, każda grupa plemienna posiada własną tożsamość, własne obyczaje i sztukę. Językami biznesu są angielski i francuski. Państwowa edukacja również się na nich

opiera, ale dodatkowo dochodzi jeszcze powszechnie używany język bislama. W niektórych szkołach na obszarach wiejskich zaczęto ostatnio wprowadzać języki macierzyste. Ze względu na powiązania gospodarcze coraz bardziej popularne stają się języki chiński i japoński.

Klimat na Vanuatu jest tropikalny, morski. Jest tu bardzo wilgotno przez cały rok, jednak najbardziej obfite deszcze występują od grudnia do kwietnia. W tym czasie przez wyspy mogą przejść niszczące wszystko cyklony. Vanuatu, Fidżi i wyspy Tonga leżą w strefie tak zwanej ścieżki cyklonów. Południowe wyspy archipelagu są bardziej suche. Wyspy charakteryzują się górzystym, urozmaiconym krajobrazem. Cały archipelag leży w strefie silnego zagrożenia ruchami sejsmicznymi, stąd wyspy stale nawiedzają trzęsienia ziemi i tsunami. Na obszarze Vanuatu wznoszą się trzy czynne wulkany. Najwyższy szczyt kraju, Mt Santo, ma 1887 metrów nad poziomem morza. Wyspy leżące na południu wznoszą się przeciętnie do 500-600 metrów. Liczne są tu gejzery i wyziewy gazów.

Większość obszaru kraju porastają bujne lasy tropikalne, szczególnie małe archipelagi: Banksa, Torresa i wyspę Malekula. Wyspy w południowej części są porośnięte suchymi lasami oraz trawami. Rosną tam między innymi sosny i araukarie. Liczne są też drzewa tekowe i sandałowe, ale te tylko na plantacjach. Wszędzie rosną palmy kokosowe.

Fauna lądowa reprezentowana jest przez gatunki małych zwierząt: nietoperze, szczury i inne drobne gryzonie. Z większych ssaków są tylko dzikie świnie. W lasach żyją liczne ptaki i gady. Ogólnie fauna lądowa jest bardzo uboga, za to owady występują w wielkiej różnorodności. Ogromnym bogactwem cechuje się świat zwierząt morskich. W wodach okalających wyspy żyje bezlik ryb tropikalnych oraz wiele innych gatunków zwierząt morskich.

Tą niezbędną garścią podstawowych informacji z geografii krótko przybliżyłem czytelnikowi ów mało znany rejon Pacyfiku. Teraz biorę kurs na Malekulę, by je sprawdzić i dokładniej o tym opowiedzieć.

## Czarne wyspy Melanezji

„Czarne wyspy” albo „czarny archipelag”. Uśmiełem się porządnie, kiedy w telewizji spiker zapowiadał mój krótki film z Vanuatu, przenosząc miejsce akcji do Afryki. Nie wiem, kto pierwszy tak nazwał te wyspy, ale jak widać, i współcześni nie odróżniają po kolorze skóry Melanezyjczyka od czarnoskórego mieszkańca kontynentu afrykańskiego. Nazwa wysp wzięła się zapewne stąd, że ludność tu zamieszkująca ma ciemną skórę, niekiedy wręcz czarną. Chociaż gdzie Afryka, a gdzie Melanezja? Ludzie o podobnych rysach twarzy i kolorze skóry zamieszkują również oddaloną dużą wyspę Nową Gwineę, chociaż, jak twierdzą znawcy, nie są typu melanezyjskiego.

Gdy spojrzymy na mapę Morza Koralowego i łańcuszki archipelagów, to łatwo się domyślić, że przedostając się z Papui-Nowej Gwinei na południowy wschód od wyspy do wyspy, można po kolei zasiedlić wszystkie archipelagi. I właśnie tak według uczonych antropologów główna migracja się odbywała. Oprócz tej głównej fali zasiedlania wysp prawdopodobnie miała miejsce jakaś mniejsza migracja z przeciwnej strony Pacyfiku. Wskazuje na to wiele faktów nie do zaprzeczenia. Jednym z nich jest spotykana czasami polinezyjska uroda mieszkańców Melanezji. Nie bez znaczenia jest to, że kilka pokoleń żeglarzy trwale zaznaczyło swą obecność na wyspach, zostawiając tam swoje geny... Możemy więc spotkać krajowców, którzy mogliby doskonale uchodzić za Semitów. Czystej rasy Melanezyjczyka, o ile takiego się znajdzie, opisuje się zazwyczaj jako przedstawiciela typu negroidalnego o skórze ciemnobrunatnej do czarnej, wzrostu niskiego, krępej budowy ciała i płaskiej twarzy, z wełnastymi czarnymi włosami. Ten krótki opis wzięłem z prasy.

Tylko niektóre wyspiarskie, spójne kulturowo ludy w bezmiarze Pacyfiku przekazywały swoje dzieje z pokolenia na pokolenie. Mają więc zachowane w pamięci dzieje swego narodu, ale tylko w ustnych przekazach, bo pisma tu nie znano. Dla nas historia wysp zaczyna się od sytuacji zastanej przez ówczesnych odkrywców, żeglarzy i wiemy tylko to, co nam przekazali. Tylko nieliczni z nich zadawali sobie trud opisywania szczegółów swoich odkryć. Większość żeglarzy ograniczała się raczej do szczegółów technicznych rejsu. Najważniejsze były zapisy w locji – głębokości, wiatry, prądy, mapy i wszystkie inne przydatne w żegludze informacje. Dzisiaj wiedzę uzupełniają antropolodzy i inni

uczeni.

Aby lepiej poznać wyspy, trzeba znać historię ich odkryć. Są to tak fascynujące relacje, że trudno się od nich oderwać. Zapiski z dzienników czyta się jak stronicę powieści przygodowych. Dużo informacji o Vanuatu z czasu Wielkich Odkryć Geograficznych dostarczył sławny francuski żeglarz Bougainville w relacji ze swojej ponaddwuletniej podróży dookoła świata w latach 1766-1769. Pod koniec maja 1768 roku wyprawa na okrętach La Boudeuse i L'Étoile przepływała między Malekulą a Espiritu Santo, na krótko zatrzymując się na wysepce Aoba. Bougainville niezbyt pochlebnie opisał spotkanie z tubylcami, ale nie ma co się dziwić. Rajską Tahiti, pełną jedzenia i przyjemności, trzeba było w końcu opuścić i płynąć dalej. Po miesiącu żeglugi kończy się prowiant, załoga prawie głoduje. Wyprawa dopływa do Wysp Żeglarzy, dzisiejszego Samoa. Tu zawód – u wrogo nastawionych wyspiarzy nie udało się zdobyć nic do jedzenia, trzeba było wręcz uciekać. Okręty płyną kolejny miesiąc bez zaopatrzenia na zachód. Załogi przymierają głodem, prawie wszyscy cierpią na szkorbut. W końcu na horyzoncie ukazują się wyspy – Wielkie Cyklady. Louis Antoine de Bougainville bierze je w posiadanie w imieniu króla Francji, chociaż wie, że dokładnie 162 lata wcześniej, w 1606 roku, był tu hiszpański żeglarz Fernández de Quirós.

W dzienniku Bougainville pisze: „O świcie 22 maja 1768 r., gdy szliśmy kursem na zachód, ukazał się przed nami długi i wysoki pas łądu. Po wschodzie słońca rozpoznaliśmy dwie wyspy. Widok brzegu, do którego dostęp wydał mi się łatwym, zachęcił mnie do lądowania. Musieliśmy zdobyć zapasy bardzo nam potrzebnego drewna, a przede wszystkim zdobyć trochę żywności dla naszych chorych. Większa część załogi i prawie wszyscy oficerowie mieli chore dziąsła i zapalny stan jamy ustnej. Widzieliśmy tam ognie, kilka szałasów krytych sitowiem stojących wśród palm kokosowych oraz około trzydziestu ludzi biegnących po wybrzeżu. Wysłałem tam trzy uzbrojone szalupy pod wodzą porucznika Kerue, przy czym byliśmy gotowi przyjść im z pomocą, a w razie potrzeby dodać ducha przy pomocy dział okrętowych... Relacjonując, dowodzący oddziałem oficer opowiedział mi, że w chwili, gdy zbliżali się do brzegu, wyszła na ich spotkanie na plaży wielka gromada wyspiarzy uzbrojonych w łuki i strzały, dając znaki, by nie lądowali; lecz gdy mimo ich pogroźek dał rozkaz zejścia na brzeg, cofnęli się o kilka kroków i w miarę jak nasi posuwali się naprzód, ciągle się cofali, nie dając zbliżyć się do siebie, postawa ich wskazywała, że w każdej chwili gotowi są do ataku”[1].

Nie można pominąć ciekawostki, a mianowicie postaci księcia Henryka Mikołaja de Nassau-Siegen, pasażera wyprawy. Ten słynny poszukiwacz przygód nie był naukowcem, ale uchodził za człowieka światłego, o niezwykłej odwadze i zimnej krwi. Przybył do Polski w roku 1774, po nader urozmaiconym życiu, i osiedlił się w naszym kraju na stałe. Ożenił się z Polką i po dziesięcioletnim pobycie otrzymał obywatelstwo, był przyjacielem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

W dzienniku Bougainville pisze dalej: „Księżę Nassau wyraził chęć udania się do nich. Zaprzestali cofać się, widząc, że tylko jeden człowiek podchodzi do nich; rozdane kawałki czerwonej tkaniny wpłynęły na zmianę ich postawy. Wtedy porucznik Kerue zajął stanowiska na skraju lasu i kazał ścinać drzewa pod ochroną żołnierzy, a część ludzi wysłał na poszukiwanie owoców. Wyspiarze nie przyjęli oferowanych gwoździ i żelaza, nie zgadzali się również wymienić na towary swoich łuków i maczug; odstąpili tylko kilka strzał i trochę owoców. Stale otaczali naszych ludzi i, choć byli w przeważającej liczbie, nie wypuszczali broni z ręki; nawet ci, którzy nie mieli broni, trzymali w pogotowiu kamienie. Dali nam do zrozumienia, że byli w stanie wojny z sąsiadami. I rzeczywiście, od zachodniej strony wyspy w szyku bojowym ukazał się oddział posuwający się w szyku zbrojnym, lecz ostatecznie nie doszło do utarczki. Pośpiesznie załadowaliśmy drewno i owoce. Kazałem zakopać pod jednym z drzew dębową deskę z wrytym na niej aktem objęcia tych wysp w posiadanie, po czym powróciliśmy na fregatę. Nasz rychły odjazd pokrzyżował prawdopodobnie plany wyspiarzy, niegotowych jeszcze do zaatakowania nas. Tak przypuszczaliśmy, widząc, jak zbliżyli się do samego brzegu morza i zaczęli obrzucać nas gradem strzał i kamieni. Kilka oddanych w powietrze strzałów nie wystarczyło do pozbycia się ich. Niektórzy weszli nawet do wody, aby zyskać lepszy cel z bliższej odległości, lecz salwa ze wszystkich muszkietów natychmiast ostudziła ich zapał; uciekli do lasu z wielkim krzykiem. Jeden z naszych majtków został lekko ranny kamieniem”[2].

Tu następuje opis wyspiarzy: „Pod względem koloru skóry wyspiarze ci dzielą się na czarnych

i Mulatów. Ich wargi są grube, włosy kędzierzawe, owłosienie niektórych jest nawet koloru żółtego. Są niskiego wzrostu, brzydzy, źle zbudowani i po większej części zżarci trędem. Kobiet widzieliśmy mało, były nie mniej brzydkie niż mężczyźni. Szerokie pasy służą im do noszenia dzieci na plecach. Przebijają sobie nozdrza, by wieszać tam różne ozdoby. Na ramionach noszą bransolety wyrabiane z kłów babirusy (dzika świnia o zakrzywionych kłach). Bronią ich są łuki i strzały oraz maczugi z żelaznego drzewa i kamienie rzucane bez procy. Strzały zrobione z trzciny i zakończone długim ostrzem z kości”[3]. Dowódca wyprawy nadał nazwę miejscu lądowania – Wyspa Trędownatych, dzisiaj wiemy, że to była Aoba. Drugim wybranym miejscem lądowania miała być Malekula, ale nie doszło do tego, bo: „Murzyni wyli donośnie po lasach, dokąd się wycofali, i słyszeliśmy dudnienie ich bębnow”[4]. Po niespełna sześciu dniach niezadowolone załogi odpłynęły.

Po opuszczeniu niebezpiecznych wysp załogi okrętów Bougainville’a jeszcze przez kilkanaście dni kontynuowały głodowy rejs na zachód, a później skręciły na północ w rejon niebezpiecznych raf i wysp Luizjad. Szkorbut na okrętach dalej męczył załogi. W dzienniku czytamy: „Na nieszczęście opuściły nas wtedy wiatry południowo-wschodnie, a gdy znów się zerwały, wtedy wpędziły nas w tak trudną sytuację, w jakiej jeszcze nigdy dotychczas się nie znajdowaliśmy”. Trudno zdobyć jedzenie i wodę w urodzajnym kraju, gdy przez niedostępność wybrzeża, złą pogodę czy wrogich wyspiarzy nie można odnowić zapasów. Jak wynika z opisu podróży, w tym czasie okręty przepływały pomiędzy zielonymi i bogatymi w płody urodzajnymi wyspami. Niestety nie można było zdobyć niczego do jedzenia: „Rozkoszny zapach oznajmił bliskość ziemi, która tworzyła wielką zatokę otwartą na południowy zachód. Rzadko spotykałem równie piękny kraj jak ten. Oplakany stan, w jakim znajdowaliśmy się, nie pozwolił nam na stratę czasu i zwiedzenie tego wspaniałego, jak wszystko wskazywało, bogatego i urodzajnego kraju. Na nasze nieszczęście na pokładach pojawił się najokrutniejszy nasz wróg – głód... Trzeba też było pilnować, by nie zjadano skóry na rejach ani innych przedmiotów ze starej skóry, ponieważ tego rodzaju pożywienie mogło spowodować fatalną w skutkach niestrawność. Pozostawała nam jedna koza, wiernie towarzysząca od chwili opuszczenia Wysp Falklandzkich, skąd ją zabraliśmy; co dzień dawała nam trochę mleka. Lecz w chwili złego humoru głodne żołądki skazały ją na śmierć. Wkrótce potem jej los podzielił młody piesek schwyty w Cieśninie Magellana”[5]. Dalej wyprawa popłynęła w kierunku północno-wschodnim, w pobliżu brzegów dziewiczych Wysp Salomona, ale o przebiegu dalszej części podróży okrętów opowiem, jak będę opisywał wędrówkę po Wyspach Salomona.

## Rejs na Malekulę

W świetle poranka wprost przed dziobem promu Big Sista zarysowały się postrzępione światłem, pokryte bujną roślinnością górskie grzbiety wyspy Ambrym. Poranna mgła przysłoniła wulkan. Na naszym kursie leży mała wyspa Paama, zaledwie o rozmiarze dziesięć na cztery kilometry.

Żegluga na wodach Vanuatu nie należy do łatwych ani bezpiecznych, zewsząd czyhają rafy i płycizny oraz ledwie pokryte wodą głazy i podobne przeszkody. Wszystko to na domiar złego zmienia się często wskutek trzęsień ziemi i sił wulkanicznych. Takie warunki zmuszają nawigatorów do zachowania ciągłej uwagi. Płynęliśmy nocą, co nie bardzo mi odpowiadało. Wolałbym płynąć za dnia i oglądać wszystko wokoło.

Przenocowałem na pryczy w ogólnej sali w towarzystwie kilkudziesięciu pasażerów. Nas, białych, było dwóch, oprócz mnie promem płynął młody Feliks z Anglii, zamierzał zejść na wyspie Épi. Ciekawy człowiek, który fascynuje się wyspami Pacyfiku. Mimo młodego wieku w ciągu kilku lat zwiedził prawie wszystkie archipelagi. Byłem jego osiągnięciami zdumiony, o ile mówił szczerze. Rozmawialiśmy do późna, potem zasnąłem i nawet się nie pożegnaliśmy, bo wcześniej zszedł na brzeg, wydaje mi się, że w Valesdir na Épi.

Teraz, o poranku, przed nami malutka Paama w cieniu budzącej lęk wulkanicznej wyspy Ambrym. Nie wiedziałem, że tu zawiniemy, widocznie prom zmienia trasę w zależności od potrzeb. Oprócz ludzi przewozi też różne towary, którymi wypełniony jest każdy jego zakamarek. Zauważyłem tu przemyślny sposób na wyładunek wszelkich towarów. Ten prosty pomysł wyklucza jakąkolwiek

pomyłkę i bardzo usprawnienia wyładunek. Cała operacja musi przebiegać szybko i sprawnie, gdyż odbywa się na wodzie.

Na wyspach nie ma prawdziwych przystani, port mogący przyjąć większe jednostki jest tylko w Luganville na Espíritu Santo. Przy brzegu, tam gdzie nie ma przystani, podpływa pod burłę promu motorówka. Wtedy załoga promu szybko wyładowuje towar i pasażerów. Łódź wraca na brzeg, a prom płynie dalej swoim kursem. Do rozładunku cięższego towaru służy prosty wysięgnikowy dźwig. Pomyłki podczas wyładunku są wykluczone, gdyż przy załadunku pak, worów, skrzyń i beczek z paliwem czy klatek ze świniami maluje się wszystko kolorowym sprayem, dla każdej wyspy stosując inny kolor.

Gdy tylko się obudziłem, wyszedłem na zewnątrz i już do końca rejsu przebywałem na pokładzie. Mogłem się przyglądać, jak podpływamy do brzegu malutkiej Paamy z piaszczystą plażą, czarną od pyłu z erupcji i wyziewów pobliskich wulkanów Lopevi i Marum, znajdujących się na sąsiadujących wyspach. Groźny wulkan Marum na Ambrym widać z wielu kilometrów. Dużo mniejszy Lopevi jest nie mniej dokuczliwy. O ile nie ma mgły, znad potężnego krateru Marumu widać stale ognistą lunę, w nocy nawet z ponad pięćdziesięciu kilometrów. To największy wulkan na południowym Pacyfiku i najbardziej aktywny ze wszystkich, z ogromną, dwunastokilometrową bazaltową kalderą. W dzień widać z daleka tylko unoszącą się chmurę dymu. Wczoraj całkowicie zapomniałem o wulkanie, przegadaliśmy z Feliksem cały nocny spektakl ziejącego ogniem wulkanu. Pocięszam się, że będąc na Malekuli, jeszcze nie raz nocą zobaczę to fascynujące widowisko, to tylko czterdzieści kilometrów od wulkanu na Ambrym.

Wiele lat temu oglądałem film *Inside the Volcano* Petera Carstena z National Geographic – facet o niezwyklej odwadze prawie wlaź do jego piekielnej czeluści, właśnie tu, na Ambrym.

Dobijamy do brzegu. Na ląd schodzi kilka osób ze swoimi tobołami, kanistrami z paliwem i innymi rzeczami, które można kupić tylko w stolicy. Łódź nie dobija całkiem do plaży, więc schodzący muszą brodzić w fali przyboju, nawet po pas w wodzie. Po niespełna piętnastu minutach Big Sista kieruje dziób na zachód i pośpiesznie oddala się od brzegu w kierunku Malekuli.

Z prawej burty widać wyspę Ambrym, wyraźnie zdominowaną przez wysoki na 1 334 metry wulkan. Płyniemy równolegle do brzegu. Tak jak inne wyspy, jest pokryta bujną zielenią. Z tego miejsca nie zobaczymy jej wnętrza. Jednak wiem, że 100 kilometrów kwadratowych dookoła wulkanu to przygnębiający, wręcz księżycowy, krajobraz skał i zastygłej lawy. Znad kalderki wulkanu wiatr powoli przesuwa chmurę dymu.

Po mglistym poranku ładnie się roz pogodziło i kucharz pokładowy zarzucił za rufą długą na osiemdziesiąt metrów linkę z hakiem na dużą rybę. Każda okazja złapania ryby jest dobra. Ciągnięty hak z błyszczką nikomu nie przeszkadza, nawet nie trzeba tego pilnować, więc kucharz wraca do swoich zajęć. Gdy słońce przygrzeje, na pokładzie przy burcie zawsze ktoś się kręci, więc jak coś się zahaczy na sztuczną przynętę, to powiadomi załogę. Do miejscowości Lamap, a właściwie do Portu Sandwich, jeszcze trzy – cztery godziny rejsu.

Chociaż Malekulę widać jak na dłoni, każdy, kto pływał, wie, że odległości na morzu są bardzo złudne dla oczu i rejs potrwa jeszcze sporo czasu. Malekula to druga co do wielkości wyspa Vanuatu, długa na dziewięćdziesiąt kilometrów i w najszerszym miejscu szeroka na czterdzieści. Wyspa ma niesamowity kształt, gdy spojrzymy na mapę, zauważymy, że do złudzenia przypomina siedzącego psa. Z niezwyklej precyzją można doszukać się w jej kształtach szczegółów jego anatomii. Na przykład Port Sandwich, dokąd płynę, leży na zadartym ogonku, a północna część wyspy to głowa.

Big Sista jest krótkim statkiem, więc zaczęło niezłe kołysać, mimo niewielkiej fali, która dopiero teraz, w cieśninie między Ambrym a Malekulą, nieco się wzmogła. Nagle zaczęło się coś dziać. Na pokładzie wszczął się jakiś rwetes, ludzie zebrali się na rufie.

Ktoś pierwszy zauważył na końcu liny z hakiem skaczącą rybę. Zanurzała się, to znowu wyskakiwała na powierzchnię wody. Widowisko niezwykle, bo ryba bardzo duża. Kiedy pokazuje się na powierzchni, błyszczy zielonym, opalizującym kolorem. To piękny okaz dorady. Po chwili przybiegł kucharz i natychmiast zabrał się do wybierania linki ze zdobyczą. Każda walka, w tym przypadku z metrową rybą na linie, jest podniecająca, ale po wprawnych i szybkich ruchach mocnych ramion kucharza wielka ryba ląduje na pokładzie. Skacze jak oszalała, chcąc uciec przed śmiercią. Jest doprawdy

piękna, ma wielką głowę z rzędami ostrych ząbków. Dopiero dwa silne rzuty w metalowy pokład kończą widowisko, teraz wędruje do kuchni.

Przed nami urzekający widok górzystej Malekuli. W marzeniach wyobraża się romantyczne rejsy po tropikalnych wyspach Pacyfiku, tu się to widzi naprawdę. Bujna zieleń eksploduje dosłownie wszędzie, nie ma kawałka wzgórza wolnego od buszu. Nie widać tu pięknych plaż, mangrowe zarośla od razu przechodzą w tropikalny wilgotny las. Dopiero gdy zacznie zmierzchać, plaża trochę się odsłoni i poszerzy. W wielu miejscach nie powędrujemy tak łatwo po odsłoniętym brzegu, bo cały będzie pokryty brzydkimi ciemnymi skałami koralowymi, do tego niebezpiecznie ostrymi. Często wchodzące daleko w wodę zarośla mangrowe nie pozwalają spacerować wzdłuż brzegu. Po nocy przypływ znowu zbliży fale do drzew. Riwiery tu nie ma, linia brzegowa jest raczej odmienna od tej, o jakiej marzą turyści. Taka jest właśnie dziewicza Malekula, dla mnie zachwycająca. Jestem podekscytowany tym, że będę przemierzał ją na piechotę, zawsze o tym marzyłem. Jest słonecznie i ciepło, ale nie gorąco.

Wilgotne i duszne powietrze jest przesycone trudnym do opisanie zapachem morskiej wody, buszu i delikatnym dymem suszonej na plantacjach kopry. Dopływamy do południowego cypla wyspy, który otwiera szeroką na trzy kilometry zatokę Sandwich, tuż na końcówce „ogonka siedzącego psa”.

Zaraz za cyplem nasz prom skręca na południe i wpływa na spokojne wody obszernej Sandwich Bay. Trudno sobie wymarzyć dogodniejsze miejsce do utworzenia przystani. Zatokę Sandwich otaczają nadbrzeżne gaje palm kokosowych uprawianych przez mieszkańców tej urodzivej krainy na końcu świata. Choć te plantacje są ludzką ingerencją w świat natury, to wcale nie psują jej ogólnego piękna i harmonii. Pióropusze pochylonych palm doskonale wkomponowują się w krajobraz i niemal nie widać działalności człowieka, która tak łatwo psuje wygląd otoczenia, gdziekolwiek się on znajdzie.

Nie powinno się zwiedzać Malekuli bez chociażby skromnej wiedzy o jej przeszłości i pierwszych kontaktach tubylców z białymi. W czasach odkrywania wysp na Pacyfiku dla ówczesnych eksploratorów były to obszary trudne do wyobrażenia, ogromne i odległe od domu. Czytając dzisiaj relacje z ich dzienników, uważamy je za fascynujące i romantyczne morskie opowieści, ale czy rzeczywiście tak było?

W maju 1768 roku okręty Bougainville'a pośpiesznie opuściły okoliczne wody w obawie przed dzikimi wyspiarzami, o czym możemy przeczytać w dzienniku z wyprawy. Minęło sześć lat, gdy w lipcu 1774 roku na wody zatoki Sandwich wpłynęły okręty Resolution i Adventure, dowodzone przez wielkiego odkrywcę Pacyfiku Jamesa Cooka. Był pierwszym w dziejach Europejczykiem, który wyszedł na brzeg Malekuli.

Tak pisał w dzienniku: „Okolo godziny dziesiątej umieściliśmy się w dwóch łodziach i wylądowaliśmy w obliczu czterystu lub pięciuset ludzi zgromadzonych na brzegu. Chociaż wszyscy byli uzbrojeni w łuki i strzały, maczugi i drągi, nie stawiali żadnego oporu. Odwrotnie, widząc mnie zbliżającego się samotnie, bez niczego, tylko z zieloną gałązką w ręce – jeden z nich, który wyglądał na naczelnika, oddając swój łuk i strzały innemu, spotkał mnie w wodzie, trzymając także zieloną gałązkę, którą wymienił na trzymaną przeze mnie. Następnie wziął mnie za rękę i poprowadził w tłum. Tam natychmiast rozdałem prezenty dla nich, a w tym czasie marynarze wyciągnęli szalupę na brzeg. Wtedy dałem znaki (gdyż nie znaleźliśmy żadnego słowa z ich języka), że potrzebujemy drewna, a oni dali znaki, żebyśmy ścięli ich drzewa. Wtedy przyniesiono na dół małego prosiaka i podarowano go mnie. Dałem temu, co przyniósł, kawałek materiału, z czego wydawał się być zadowolony. To dało nam nadzieję, że wkrótce będziemy mieć więcej świń. Omyliliśmy się. Prosię nie było przyniesione na wymianę tego, co mieliśmy, ale z innego powodu; prawdopodobnie jako oferta pokoju. Wszystko, do czego zdołaliśmy ich skłonić, to było przyniesienie około pół tuzina orzechów kokosowych i małej ilości świeżej wody. Nie cenili sobie gwoździ oraz żelaznych narzędzi ani właściwie niczego, co posiadaliśmy. Chcieli natomiast wymienić strzały na kawałki materiału, ale bardzo rzadko pozbywali się w tej wymianie łuków. Niechętnie zgodzili się, żebyśmy poszli wzdłuż plaży, i bardzo pragnęli, abyśmy wrócili na pokład. W końcu, około południa, po wysłaniu na pokład ściętego przez nas drzewa, wróciliśmy na statek, a oni wszyscy odeszli jedni w jedną stronę, inni w inną”[6].

Podsumowując spotkanie w dzienniku, Cook pisze: „Gdybyśmy zatrzymali się dłużej, moglibyśmy mieć wkrótce całkiem dobre stosunki z tym podobnym do małych narodem. Ogólnie biorąc,

są oni najbardziej szpetnym, nieproporcjonalnie zbudowanym ludem, jaki kiedykolwiek widziałem, i pod każdym względem różnym od każdego, z jakim spotkaliśmy się na tych morzach. Oni są bardzo ciemnej barwy i raczej drobnej rasy; z długimi głowami, płaskimi i małpimi fizjonomiami. Ich włosy, przeważnie czarne lub brązowe, są krótkie i skręcone; ale nie tak miękko i wełniście, jak u Murzynów. Ich brody są bardzo kędzierzawe i krzaczaste, ogólnie krzaczaste i krótkie. Najbardziej do oszpecenia ich przyczynia się opaska czy powróż, który noszą wokół pasa i wiążą tak mocno nad brzuchem, że kształt ich ciał jest podobny do przerośniętej mrówki. Mężczyźni chodzą całkiem nagi, z wyjątkiem kawałka materiału lub liścia służącego jako okrywka. Widzieliśmy wiele kobiet, i nie są one mniej brzydkie niż mężczyźni; ich głowy, twarze i ramiona pomalowane są na czerwono; noszą rodzaj spódnic; i niektóre z nich mają na swoich barkach coś podobnego do worka, w którym noszą swoje dzieci, w ogóle trzymają się z daleka, kiedy jesteśmy na brzegu. Ich ozdoby stanowią kolczyki wykonane z szylkretu i bransoletki. Mężczyźni wokół prawego przegubu noszą okrągłe kły wieprza i kółka wykonane z muszli, a wokół lewego – z drewna, który, osądziliśmy, służy do ochrony przed cięciwą łuku. Przegroda w nosie jest przedziurawiona, noszą w niej kawałek kamienia, około półtora cala długiego. Jako znak przyjaźni prezentują zielną gałąź, pokrapiając nią głowę. Ich broń stanowią: maczugi, dzidy, łuki i strzały. Dwie pierwsze wykonane są z mocnego albo żelaznego drzewa. Ich łuki są około czterech stóp długie; trzcinowe strzały są czasem zakończone długim ostrzem, wykonanym z mocnego drzewa, a czasem zrobionym z kości. Wszystkie ostrza są pokryte substancją, którą uznaliśmy za trującą. Istotnie, sami krajowcy potwierdzili nasze przypuszczenia, dając nam znaki, żebyśmy nie dotykali ostrza, bo jeśli zostaniemy ukłuci, umrzemy. Oni sami są bardzo ostrożni i trzymają je zawsze w kolczanie. Niektóre z tych strzał są wyposażone w podwójne lub potrójne ostrza z małymi kolcami na krawędziach, żeby uniemożliwić wyciągnięcie z rany. Ludzie z Mallicollo wydają się całkiem różnym narodem od każdego, z którymśmy się spotykali, i mówią odmiennym językiem”[7].

Kapitan James Cook po swoich podróżach zostawił nie tylko precyzyjnie sporządzane mapy, które i dzisiaj budzą podziw. Nadał setki nazw odkrytym przez siebie miejscom na Pacyfiku i, jak czytamy, potrafił dość dokładnie scharakteryzować i opisać miejsca i ludzi, chociaż był żeglarzem, a nie literatem. Przez sześć tygodni okręty przebywały na wodach archipelagu, w tym czasie kapitan Cook sporządził dokładne mapy większości wysp.

My, Polacy, powinniśmy wiedzieć przy okazji, że w odkryciu tak odległych wysp brali udział Polacy Jan Rajnold (ojciec) i syn Jerzy – Forsterowie. Byli z pochodzenia Szkotami. Rajnold urodził się w Tczewie, a syn Jerzy w Mokrym Dworze koło Pruszcza Gdańskiego. Obaj, jako ówczesni wybitni naukowcy przyrodnicy, brali udział w drugiej wyprawie Cooka po Pacyfiku. Z pewnością byli uczestnikami opisywanego przez Cooka zejścia na brzeg Malekuli. Po powrocie z wyprawy Jerzy Forster, publikując książkę *Podróż naokoło świata*, stał się pionierem nowoczesnej literatury podróżniczej, a książka przyniosła mu uznanie w świecie naukowym.

Big Sista wolno pod pływa pod betonowe krótkie moło z kompletnie zniszczonymi, poprzecznie ułożonymi deskami. Port Sandwich to właściwie tylko ten rozwalony pomost i oddalony kilkadziesiąt metrów od brzegu duży blaszak. Zastanawiam się, czy dam radę dojść do brzegu z plecakiem po wąskim, trzydziestocentymetrowym betonowym murku.

Nie śpieszę się, czekam, aż wszystko się trochę uspokoi. Kilku pasażerów schodzi z tobołami na brzeg. Ktoś inny wnosi jakieś kartony na prom z paki stojącego na plaży furgonu. Załoga przygotowuje windę na wysięgniku, by załadować klatkę z kwiczącą dużą świnią. Wszystkiemu przygląda się grupka dzieciaków i nudzących się mężczyzn. Jakoś udało mi się zejść, ktoś podał mi dłoń i pomógł dojść szczęśliwie do brzegu po wąskim murku. Za chwilę prom odpłynie do Luganville na wyspie Espiritu Santo, po drodze jeszcze zatrzyma się w Litzlitz, w północnej części Malekuli.

## Dzień Patrona, czyli przygotowania do odpustu

Nazwy Sandwich Bay i Port Sandwich brzmią dostojnie, tak nazwał je kapitan Cook. Lord Sandwich był bardzo wpływową postacią w Królewskiej Admiralicji. W tym czasie praktycznie decydował o każdym ruchu okrętów wielkiej floty angielskiej po wszystkich morzach i oceanach. James

Cook odkrytym miejscom nierzadko nadawał nazwy związane z nazwiskami, w ten sposób uwieczniał znane postaci na mapach. Jako odkrywca miał do tego prawo. Jednak czasami go nadużywał, bo na przykład nie wiemy, dlaczego zmienił nazwę wysp Wielkich Cyklad, nadaną przez Bougainville'a kilka lat wcześniej, na Nowe Hebrydy, których nazwa przetrwała 200 lat.

A tak przy okazji – z lordem Sandwichem kojarzy się angielska kanapka. Okoliczności pochodzenia nazwy są przedmiotem dyskusji, ale jest pewne, że lord John Montagu Sandwich namiętnie grał w karty. Podczas tych długich godzin gry kazał służącym donosić na stół smakowite kanapki, i tak przyjęła się nazwa. Lord był sławną postacią i dlatego nazwa przylgnęła do niego i została do dzisiaj. Nie wszyscy o tym zapewne słyszeli, zjadając smakowite kanapki, więc teraz wszystko jasne.

Z przystani idę do wioski Lamap, to tylko trzy kilometry, więc niedaleko. Na tak odległych od cywilizacji wyspach biały turysta bywa wyjątkowo rzadko, dlatego spotykani po drodze miejscowi z ciekawością wodzą za mną wzrokiem i uśmiechają się z sympatią. Nawet nie pytam o hotelik, bo wiem, że tu nie ma turystycznych noclegów. W razie potrzeby zawsze mogę postawić namiot, chociaż ostatnio bardzo rzadko korzystałem z takiej możliwości. Ludzie są tak gościnni, że nie pozwalają, by koło ich domu rozstawić namiot. Często ze szczerego serca zapraszają na noc do swoich domów, a że będzie ciasno, to już mało ważne. Mam cichą nadzieję, że i tu będzie tak samo.

Wąską drogą wolno maszeruję przez plantację pomiędzy wysokimi palmami kokosowymi. Po lewej ręce mam piaszczysty, bardzo wąski brzeg zatoki. Drogę przede mną przebiegają stadka świń. Małe śmieszne świnki rezolutnie biegają koło maciory, są całkiem niepodobne do naszych domowych, przypominają raczej dzikie. Pomiędzy palmami biega sporo kur, czasami jakaś krowa przetnie mi drogę. Nie brak tu psich watah. Biegają, jakby bezpieczeństwa, stale żrąc się ze sobą o przewodzenie stadem. Tych się boją, one od razu wyczuwają, że jestem obcy, i z groźnym warczeniem szczerzą na mnie kły. Mijam drewniane wiaty w otoczeniu palm. To proste konstrukcje zbudowane do suszenia kopry, czyli mięszu orzechów palmy kokosowej. Nad daszkami unosi się mglisty dym. Z żaru pod rusztami bije ciepło, tam suszy się rozłożoną koprę. Zawsze ktoś się przy tej pracy kręci. Trzeba pilnować, by stale podsycać ogień kawałkami suchej łupiny kokosa i co jakiś czas przemieszać ręką rozłożoną na ruszcie koprę. Praca ta trwa przez cały rok, tu nie ma sezonowości. Stąd tam, gdzie rośnie dużo palm kokosowych, zawsze wyczuwa się w powietrzu specyficzny zapach suszonej kopry z domieszką spalenizny z włóknistych łupin orzechów. Takich prostych suszarni jest tu wiele, więc dookoła czuć dym.

Lamap to wioska francuskojęzyczna, teraz mogę się o tym przekonać osobiście. Ten lingwistyczny dziwoląg to spuścizna po kondominium – tworze brytyjsko-francuskiej biurokracji zarządzającej wyspami. Co prawda kondominium skończyło się z uzyskaniem niepodległości w 1985 roku, jednak jego skutki pozostały do dziś. To odrębny, ciekawy i dłuższy temat na potem.

Na razie mam trochę kłopotu, by się jakoś dogadać z moją nędzną znajomością kilku słów francuskich. Zawsze mam jakieś rozmówki w plecaku, jednak prawie nigdy z nich nie korzystam. Brakiem znajomości języka, oprócz podstawowego angielskiego, nie trzeba się specjalnie przejmować. Najważniejsza jest szczerść i otwartość w kontaktach z innymi ludźmi. Każdego trzeba traktować indywidualnie i poświęcić mu trochę czasu. Z tym nie ma problemu. Wtedy wystarczy kilka słów i zawsze się jakoś zrozumiemy, bez względu na to, gdzie się znajdziemy.

Niestety niczego się nie dowiedziałem od spotkanej na drodze kobiety, która niosła rozkosznego dzieciaczka w zawoju na plecach. Wskazała tylko mężczyznę pracującego w pobliżu przy suszeniu kopry. Nie mogłem oderwać wzroku od dziecka, a i ono z zaciekawieniem patrzyło na mnie swoimi ślicznymi czarnymi oczkami. Podszedłem do czuwającego przy ogniu mężczyzny i powitałem go jedynym znanym mi francuskim słowem – bonjour! Na szczęście nie zawiodłem się, wymiana kilka słów i już wiem, że tu w pobliżu, jeszcze przed wioską, znajduje się sklep firmy Levi's i tam jest jakiś pokój gościnny, gdzie można niedrogo zanoć. Uzyskana informacja ucieszyła mnie, przynajmniej na początek mam tę sprawę z głowy. Trudno mi coś więcej powiedzieć, ale ta pozostałość po kondominium teraz im się przydaje. Dzisiaj dzięki temu sporo młodych ludzi na Vanuatu zna chociaż parę najważniejszych słów w bratnim języku.

Już wspominałem, że na całym archipelagu rozmawia się prawie stu dziesięcioma językami! To kraj o największym zagęszczeniu języków na świecie. W stosunku do liczby mieszkańców na jeden



język przypada dwa tysiące ludzi. I, co najważniejsze, języki te wcale nie są zagrożone i skazane na wyginięcie. Chociaż specjaliści są zdania, że złą, krecią robotę robi bislama, taki sztuczny twór, wymyślony po to, żeby można było się dogadać w tej wyspiarskiej wieży Babel.

A teraz uwaga! Na Malekuli wyodrębniono, co wydaje się nieprawdopodobne, aż dwadzieścia sześć różnych języków! Niektórzy naliczyli ich podobno ponad trzydzieści! Do tego dochodzą trzy urzędowe: bislama (miejscowe „esperanto”) oraz angielski i francuski, które obowiązują w szkołach. A teraz niech mi ktoś podpowie, jak zwiedzać taką wieżę Babel na Malekuli? Jeszcze jedna rzecz – na wyspach Vanuatu wioski są zawsze urzędowo albo francuskojęzyczne, albo angielskojęzyczne. Niezależnie od innych języków bislama jest używany powszechnie wszędzie. Po okresie kondominium – podwójnym zarządzaniu kolonialnym – nie nastąpiło ujednoczenie języka.

Znalazłem się w wiosce Lamap, która rozrosła się wokół prężnej francuskiej Misji Katolickiej. Niezwykle korzystne miejscowe warunki klimatyczne i przyrodnicze do uprawy palmy kokosowej od razu wykorzystali Francuzi. Gdziekolwiek tylko się dało, dookoła zatoki, na obszernych i łagodnych wzgórzach, zasadzono dziesiątki tysięcy palm kokosowych.

Na Nowych Hebrydach od początku eksploracji bardzo intensywnie wprowadzono chrześcijaństwo. W okresie kondominium, w latach 1906-1980, powstało wiele chrześcijańskich ośrodków misyjnych. Można wprost powiedzieć o wyścigu w zdobywaniu dusz, ale i rozkręcaniu interesów świeckich – kolonialnych. Powstały różne kościoły protestanckie i francuski katolicki. Tu, na terenie wioski, do dzisiaj palmowa plantacja jest własnością Misji Katolickiej. Urzędujący przy kościele ksiądz jest jednocześnie gospodarzem tej okazałej plantacji.

Doszedłem do wskazanego sklepu Levi'sa. To największy biznes we wsi. Inaczej wyobrażamy sobie dobrze prosperującą dużą firmę. Tu wszystkie jej zabudowania są mniej niż skromne. Kilka małych budynków przy drodze, nawet nie w samej wiosce, ale kilometr przed nią. Na tablicy przy jednym z domków przeczytamy: Levi's Store. W sklepie będącym sercem interesu załatwiam lokum na jeden nocleg. Sympatyczna pani zza lady prowadzi mnie do skromnego budynku kilkadziesiąt metrów od sklepu, tuż nad brzegiem zatoki. Cieszę się, że tu jestem i mam zapewniony pierwszy nocleg na wyspie. Nawet nie przypuszczałem, że tak łatwo pójdzie.

W małym pokoiku są tylko dwa metalowe łóżka i nic więcej, tak tu ciemno, że nie mogę nawet sfilmować pomieszczenia. Drewniany wychodek jest na zewnątrz, a obok, pod drzewami, skromne miejsce do mycia. Czyż mogę wymagać więcej za kilka dolarów? Od wczoraj zgłodniałem, prawie nic nie jadłem. Tylko w barze u kucharza na promie kupiłem niezbyt tanie dwie kanapki, do tego kubek kawy z mlekiem i to wszystko. Gdy załatwiałem nocleg, zauważyłem na ladzie jakieś pieczywo, teraz idę je kupić. Restauracji na wyspie nie ma, to, co tu kupię, musi mi wystarczyć. Ku mojemu zaskoczeniu ten mały sklepik jest nad podziw dobrze zaopatrzony, chyba we wszystko, co można dostać również w Port Vila. Kupiłem chleb, od dawna nie jadłem tak pysznego i dobrze wypieczonego. Podobny do bułki, wypieczony na ogniu, a nie na elektrycznych rusztach, oczywiście bez polepszaczy. Kosztował 120 vatu – to równowartość około czterech dolarów. Do tego kupiłem jeszcze pięć smakowitych racuchów z bananowym nadzieniem w środku, po 20 vatu za jeden, palce lizać... Poza tym w sklepiku można dostać inne produkty, niestety, wszystko bardzo, bardzo drogie!

Levi's Store, oprócz jedzenia, handluje różnymi narzędziami rolniczymi, materiałami budowlanymi, paliwem i wszystkim, co najpotrzebniejsze. Przed sklepem na kupie leżą, przemyślnie powiązane w stożek, niczym chochoły, korzenie pieprzowca. Służą do sporządzenia tradycyjnej, odurzającej kawy. Jest też powiązane w duże pęki smaczne taro. To wszystko z warzyw, innych ogrodowych płodów nie widzę. Levi's Store to również lokalny bank w małym biurze obok sklepu. Do tego dochodzi jeszcze monopol na miejscowy transport. Można tu więc wszystko załatwić w jednym miejscu. Wymyśliłem hasło: Z Levi's Store nie zginiesz, jeśli masz dużo forsy! Zawsze kręci się tu kilka osób, każdy chce coś załatwić, najczęściej kupić, przecież to sklep. Budynek stoi przy samej drodze, jedynej wzdłuż brzegu, więc duży ruch jest od rana do wieczora. O każdej porze można tu się zatrzymać, pogadać i przekazać lub usłyszeć ciekawostki.

W wiosce jedynie nieliczni mają dostęp do prądu z agregatu, innego tu nie ma. Dlatego tylko zamożniejsi mogą pozwolić sobie na TV z satelity lub oglądać na DVD jakieś stare filmy z Hongkongu.

Uwielbiają produkcje z Bruce'em Lee i inne na temat sztuk walki.

Na ławce siedzą młode matki. Przychodzą ze swoimi maleństwami, które potulnie tkwią w zawojach na plecach. Są niespotykanie grzeczne. Kiedy upomną się o jedzenie, natychmiast dostają to, czego pragną. Młoda mama bez skrępowania podaje mu dorodną pierś.

Nie musiałem czekać długo, aby przywitał się ze mną Eribert, nauczyciel z tutejszej szkoły, i od razu zaproponował wspólny spacer do wsi. Dobrze się złożyło, bo wioski jeszcze nie zdążyłem odwiedzić, ledwo co załatwiłem najważniejsze sprawy po zameldowaniu. Teraz mam już czas. Eribert, chociaż uczy w języku francuskim, swobodnie włada angielskim. Miałem szczęście, bo trudno tu znaleźć wielu znających ten język. Wziąłem aparat fotograficzny i kamerę, zaraz potem ruszyliśmy drogą przez plantację palmową do wsi. Zamieniliśmy parę słów na swój temat, by się bliżej poznać, jak to bywa zawsze przy pierwszym spotkaniu. Mój nowy znajomy okazał się przesympatycznym człowiekiem.

Po pół godzinie, gdy tylko doszliśmy do jego domu, zaproponował, by wrócić do Levi'sa, zabrać plecak i przeprowadzić się do niego. Nieważne, czy na jeden, czy więcej dni, bez zobowiązań z mojej strony. U Levi'sa miałem już opłacony nocleg i nie mogłem tego odkręcić, ale obiecałem, że jutro rano się przeniosę.

Eribert z żoną Jeanette i dwiema córeczkami mieszkają w pobliżu szkoły w małym trzyizbowym domku. Blisko niego, wśród drzew, stoi sklecona szopa-wiata, która służy za pomieszczenie gospodarcze, a czasem kuchnię. W pobliżu nikt nie mieszka, dookoła dużo przestrzeni. Rodzina żyje bardzo skromnie. Jak zrozumiałem, Eribert jest kierownikiem szkoły.

Zabudowa wioski jest nieregularna i porozrzucana wśród gęstwiny różnych gatunków drzew. Dominują tu drzewa owocowe, najwięcej jest palmy kokosowej. W tym parkowym otoczeniu wałęsają się stadka jakby bezpańskich świń, pojedyncze krowy i sporo kur. Można powiedzieć, że domki stoją bez ładu i składu, rozrzucone na dużej przestrzeni. Przeważają proste chatki zbudowane z bambusowych klepek, cegły i innych materiałów, jednym słowem z czego się da. Najważniejsze, by na dachu była blacha falista. Głośna, kiedy leje, ale za to bardzo skuteczna jako zabezpieczenie przed wodą. Wiele rodzin mieszka w chatkach zbudowanych całkowicie z materiałów naturalnych pozyskanych za darmo w buszu. Mają dachy z liści drzew pandanusowych, a ściany plecione jak koszyki z jakiegoś mocnego łyka. Takich chatek w centrum jest mniej, co nie dziwi, bo to przecież duża wioska z Misją Katolicką i szkołą, a nie osada w buszu.

Miejscowość założono na cyplu pagórkowatego półwyspu, średnio wznoszącego się na czterdzieści metrów nad poziomem morza. Gdy jest ładna pogoda, roztacza się stąd rozległy widok na odległe wyspy. Teren jest odkryty i kiedy wieje wiatr, już tak pięknie nie jest. Widać to po kikutach pni w rzędach palm kokosowych. Przetaczające się nad wyspami co pewien czas cyklony zbierają tu obfite żniwa.

Najważniejszymi miejscami w wiosce są kościół i szkoła. Obie te placówki znajdują się obok siebie na dużym, czterohektarowym placu na południowym skraju wioski. Między kościołem a szkołą jest wielki jak boisko trawiasty plac. Cały obszerny teren otacza stara plantacja dostojnych palm kokosowych rosnących równiutko w rzędach. Jak wspominałem, właścicielem całości jest Misja Katolicka, która przykładowo współpracuje tu z urzędami świeckimi.

Dzisiaj Eribert z grubsza oprowadził mnie po wiosce, na zwiedzanie okolicy przyjdzie jeszcze czas. Co ważne, zapoznał mnie z miejscowym policjantem, postawnym jegomościem w gaciach i podkoszulku. Kto by pomyślał, że spotykany na ścieżce mężczyzna jest przedstawicielem ważnego urzędu. Wraz z kolegą po fachu pilnuje porządku tutaj i jeszcze w pięciu osadach w buszu. Przy okazji zapytałem, czy mogę mieć jakieś problemy w samotnej wędrowce wzdłuż brzegu na północ wyspy. Jego odpowiedź całkowicie mnie uspokoiła. Tu przy okazji jedna ważna rzecz – nie należę do strachliwych, jednak jestem przekonany, że mało by się znalazło odważnych, którzy podjęliby się samotnej wędrowki po tej dzikiej wyspie. Czuję ogromną sympatię do ludzi z Vanuatu.

Wspominałem już o rozkosznych, niemal anielskich buźkach miejscowych dzieciaczków. Ich twarzyczki są nad wyraz urocze, w przeciwieństwie do rodziców. W pewnej mierze potwierdzam spostrzeżenia kapitana Cooka, ich niepiękny wygląd przy pierwszym spotkaniu może wzbudzać pewne obawy. Nic nie można na to poradzić, Stwórca dał im taką specyficzną urodę, ale za to wyposażył ich

w złote serca!

Pochodziliśmy po wsi, Eribert przedstawił mnie jeszcze kilku swoim znajomym, jednak po angielsku już nie dało się porozmawiać. Tak dobiegł końca mój pierwszy dzień na Malekuli. Wieczorem, zmęczony, ale pełen wrażeń, wróciłem do mojego pokoiku u Levi'sa. Na drugi dzień przeniosłem swoje rzeczy do miłej i gościnnej rodziny. Na czas pobytu dostałem pokoił dziewczynek, które musiały się przenieść. Tylko w niektórych domach wioski można spotkać łóżka i inne meble.

Moi gospodarze żyją skromnie, jednak ich domek jest wyposażony we wszystkie najpotrzebniejsze sprzęty. W końcu Eribert jest kierownikiem szkoły, a jego żona nauczycielką. Oprócz pensji pewien dochód przynosi im ogród w buszu i stadko biegających samopas świń. W ten sposób łatwiej żyć. Ale tylko nieliczni mają płatne posady i taki układ.

Podstawowym źródłem dochodów prawie wszystkich mieszkańców jest kawałek ogrodu w buszu. Jedni mają większą działkę, drudzy mniejszą. Ziemia jest dziedziczona i przekazywana w rodzinie od pokoleń. Mieszkańcy wioski uprawiają palmy kokosowe, maniok, taro, bataty, banany, papaje, kakao, kawę i wiele innych warzyw i owoców. Prawie każda rodzina ma stadko świń i kur, a niektórzy krowy lub kozy. Wody wokół wyspy obfitują w ryby i inne owoce morza. Kto potrafi je złapać, ma z tego dodatkowy zysk. Jak wszędzie na świecie, część ludzi utrzymuje się z pracy najemnej. W tej okolicy zatrudnienie znajdują głównie na plantacjach palmy kokosowej, kakaowca i warzyw. Żadnych fabryk i zakładów tu nie uświadczysz. Żyjąc bardzo skromnie i nie przepracowując się, wystarczy przeznaczyć tylko kilkanaście godzin pracy tygodniowo na uprawę i pielęgnację swojego ogrodu. Zawsze można dobrze sprzedać wyhodowaną świnię, korzenie kawy czy złapane ryby i tak z dnia na dzień żyć...

Za dwa dni w wiosce będzie wielka uroczystość, Dzień Patrona Misji Katolickiej. Eribert koniecznie chciał, bym z tej okazji został we wsi dłużej. Do obchodów święta już od kilku dni przygotowuje się cała parafia, czyli Lamap i pięć małych pobliskich osad należących do parafii.

Patronem miejscowego kościoła jest męczennik święty Piotr Chanel. Był on francuskim misjonarzem, który ewangelizował krajowców w Melanezji, zwalczał kanibalizm i przeciwstawiał się bratobójczym walkom plemiennym. Zginął męczeńską śmiercią 28 kwietnia 1841 roku na pobliskich wyspach Wallis i Futuna. Święty Piotr Chanel został uznany za głównego patrona Oceanii. Na wielu archipelagach Pacyfiku dzień 28 kwietnia jest świętem kościelnym i dniem ustawowo wolnym od pracy. Obchody tego dnia to taka uroczystość jak u nas tradycyjny parafialny odpust.

Po uroczystej Mszy Świętej na placu między kościołem a szkołą ma się odbyć wielki festyn. Już od wielu dni trwają przygotowania. Wszystkie osady, które należą do parafii, przygotowują po cichu i w wielkiej tajemnicy swoje występy artystyczne. Najlepsze przedstawienie ma zostać wyróżnione nagrodą. Ta doroczna uroczystość nie może się odbyć bez uczty. Z tego względu istotne są udział i zaangażowanie całej parafialnej społeczności. Każda rodzina, na ile ją stać, przynosi swoje wiktuały na wielką, wspólną zabawę. Ma być bardzo dużo dobrego jedzenia, nikt nie może być głodny. Dla tych uczestników, których nie stać na lepsze jedzenie, zostanie przygotowana dodatkowa uczta na koszt władz wioski i parafii. Oprócz przygotowanych występów będzie głośna muzyka i tradycyjne tańce. Eribert ma zadanie uruchomić szkolny agregat prądowórczy oraz zorganizować nagłośnienie imprezy. Wszyscy w miarę swoich możliwości angażują się, by impreza jak najlepiej się udała. Zachęcony takimi szumnymi zapowiedziami, postanowiłem zostać i dopiero po święcie wyruszyć dalej.

## Kokosowe interesy

Każda rodzina stara się zaimponować sąsiadom, by nie narazić się na ich kąśliwe uwagi. Dlatego moi gospodarze przygotowują na festyn bardzo smaczne i obfite jedzenie. Chodzi tu przecież o prestiż, do tego jeszcze moja obecność jest też niecodziennym wydarzeniem. Eribert zamierza upiec w ziemnym piecu dwie świnki, a Jeanette ma przyrządzić tradycyjną malekulską abunię. Nie wiem, co to jest abunia i jak się ją przygotowuje, ale jest pewne, że do tej potrawy potrzeba dużo różnych świeżych warzyw. Dzisiaj po południu cała rodzina wybiera się właśnie po nie i owoce na swoją plantację w buszu. Do ogrodu są dobre trzy kilometry.

Wyszliśmy po obiedzie, zabraliśmy puste worki, maczety i ruszyliśmy z domu. Idziemy kiepską ścieżką przez plantację palmy kokosowej. Pomyślałem, że mogę się przydać do transportu warzyw, które do domu można przynieść tylko na plecach. Jest nas trójka dorosłych, dziewczynki są jeszcze za małe na takie ciężary. Jeśli chodzi o ogród, Eribert z góry oznajmił mi, że on ani Jeanette nie mają czasu na zajmowanie się i pielęgnację swojej plantacji i przez to uprawy nie wyglądają najlepiej. Jak mówi, ogród nie jest w tej chwili źródłem ich dochodów. Rośnie tu wszystko bardzo dobrze, mimo niepowyrywanych chwastów. Wulkaniczna ziemia jest tu tak urodzajna, że plony z wysianych czy posadzonych warzyw spokojnie wystarczają na potrzeby rodziny. Najwięcej problemów jest z palmami kokosowymi, których mają kilkadziesiąt. Nie mają czasu się nimi zajmować, gdyż wymagają one całorocznej pracy. Dlatego, by nie zarosły buszem, wydzierzawia je sąsiadowi. Korzysta z nich tylko tyle, ile potrzebuje do kuchni i dla świń.

Cały teren dookoła wioski to plantacja kilku tysięcy palm kokosowych, ale nie tylko. Są tu drzewa chlebowe, kakaowce, pomelo, nazywane tu paplemusami, mandarynki i inne, których nie znam. Idziemy szeroką przesieką prowadzącą przez plantacje, bo jakoś trzeba te tony kopry transportować. Potem odbijamy ścieżką w bok. Teren jest bardzo mocno pofałdowany, z wysokimi pagórami. Przysparza to naturalności uprawie, tak jak gdyby był to park. Dlatego widok rosnących tu palm nie kojarzy się z kolumnami stojącymi w równych rzędach w katedrze jak na innych plantacjach. Idąc, robię zdjęcia, gdyż widoki z pagórków gwarantują udane pocztówkowe ujęcia.

– To stare drzewa – mówi Eribert. – Większość ma ponad sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Jeszcze kilkanaście i plantacja się skończy. Tam, gdzie drzewo wypadło, wolne miejsce zaraz zarasta chaszczami. Dzisiaj, przy tak niskich cenach orzechów kokosowych, odnawianie plantacji nie wchodzi w grę. Paliwo oraz środki do pielęgnacji i uprawy są coraz droższe. Porządkowanie terenu wokół drzew, gdy wszystko zarasta na potęgę chaszczami, wymaga ogromnych nakładów pracy. Do tego potrzeba dużo ludzi, a skąd ich brać? Chętnych do najemnej pracy w okolicy brakuje, miejscowi pilnują raczej swoich skromnych upraw. Delikatnie mówiąc, nie są za bardzo pracowici, ani na swoim, ani na cudzym, a tam to już tym bardziej. Plantacje mniejsze, takie jak ta, upadają, tylko większe, gdzie jest kilkadziesiąt tysięcy drzew, mają przyszłość.

Idziemy ścieżką, tak oddaloną od pni, że nie ryzykujemy rozbicia głowy przez spadający owoc. Ciężki kokos może być śmiertelnym pociskiem, co jakiś czas zdarzają takie wypadki. Między palmami pojedynczo pasą się krowy. Im bardziej oddalamy się od zabudowań, tym mniej spotykamy stadek – małych pstrokatych świnek, zawsze śmiesznie biegnących za maciorą. To pożyteczne, od dawna hodowane tu zwierzęta. Rzadko trzymane są w zagrodach, najczęściej chodzą samopas po okolicy. Dla odmiany z dzikimi świniami stale są kłopoty. Te całkowicie opanowały busz górzystego wnętrza wyspy. Problem w tym, że jest ich dużo i często wyrządzają szkody w ogrodach.

Kto chce darmowego mięsa dzika, może je zdobyć. Takie polowania to pożyteczne zabawy z maczetą. Do tego sportu potrzebna jest świetna kondycja, dlatego zajmują się tym tylko młodzi chłopcy. Można powiedzieć, że to taki miejscowy sport ekstremalny. Kiedy przyjdzie im ochota na takie polowanie, wtedy umawia się kilku młodzieńców z maczetami – ich jedyną bronią. Do łowów niezbędne są psy, więc zawsze do nagonki zabiera się szczekającą sforę. Zdziwiające jest to, że zanim jeszcze myśliwi ustalą termin polowania, one już swoje wiedzą. W jakiś niewyjaśniony sposób czują, że będzie zabawa... Są podniecone zbliżającą się walką. Na łowy wychodzi się nad ranem w górzysty, trudny do przebycia busz, tam poszukuje się dzików i osacza je przy pomocy psów. Teraz można zrozumieć, dlaczego po wiosce tyle ich biega. Te pałętające się niby bezpańskie watahy, których naprawdę się boją, mają w wiosce status nietykalnych. Na polowaniach niezwykle bohatersko poświęcają życie. Dzikie tu to nieduże zwierzęta, ale w obronie swojego życia są bardzo niebezpieczne i agresywne. Nie ma polowania bez straty psów i pokieraszowania tych, co przeżyją. Dlatego mieszkańcy wioski przychylnym okiem patrzą na ich harce. Nieraz sprawiają kłopoty, kiedy zasmakują w mięsie hodowanych stworów, chociaż są na tyle mądre, że to się zdarza wyjątkowo rzadko. Niemniej trzeba dobrze pilnować przed tymi złodziejami każdego jedzenia. Szczególnie lubują się w jajkach, które, jeszcze ciepłe, wykradają spod kur. Mały z nich pożytek, bo kury niosą się gdzie popadnie, a nie wszystkim chce się je tropić, gdy po wszystkim gdaczą triumfalnie.

Idziemy dalej przez las palm kokosowych, więc temat jeszcze palmowy. O tym drzewie życia można by pisać ciekawie całe rozdziały. Jest ono wprost niewyobrażalnie użyteczne dla ludzi. Przy pełnym zagospodarowaniu nic nie ma prawa się zmarnować, każda część może być wykorzystana. Rejon Pacyfiku, a szczególnie Melanezja, jest głównym, i największym na świecie, obszarem uprawy palmy kokosowej. Nigdzie indziej nie ma tak korzystnych warunkach dla tego drzewa. Doskonale rośnie na tropikalnych wybrzeżach, ale raczej wysp niż kontynentów. Optymalne warunki jej wzrostu to duża i stała wilgotność powietrza oraz temperatury powyżej 20 stopni Celsjusza. Utarło się powiedzenie, że uprawa jej w głębi lądu udaje się tak daleko, jak sięga „oddech morza”. Czyli tylko kilkanaście kilometrów, dalej owocowanie coraz bardziej zanika. Głównym obszarem uprawy palmy kokosowej są pasy przybrzeżne o szerokości od sześciu do ośmiu kilometrów. Palma jest rośliną bardzo ciekawą dla ekologów. Może być krótkotrwale zalewana słoną wodą, więc potrafi rosnąć w zasolonej ziemi. Tak samo dobrze rośnie i w ziemi pozbawionej soli. Nie można bardziej malowniczo wyobrazić sobie widoku wysp Pacyfiku. Gdy przybliżamy się do brzegu, już z daleka jesteśmy witani przez wyniosłe palmy. Ozdobione są wspaniałymi pióropuszcami, zawsze lekko nachylone w stronę oceanu, by lepiej chłonać wilgotne morskie powietrze nasycone solą. Wysokość pnia tego okazałego drzewa dochodzi do dwudziestu pięciu metrów.

Na plaży wyspy Taveuni na Fidżi metrowymi krokami zmierzyłem powaloną palmę – miała trzydzieści dwa metry! Na wierzchołku palmy naliczymy dwa tuziny potężnych, pierzastych liści dochodzących do sześciu metrów. Na rdzeniu listki są lancetowate i zastrzone, mają do dziewięćdziesiąt centymetrów długości. Liście żyją dwa–trzy lata, potem obumierają, pozostawiając po sobie na pniu charakterystyczne liścioślady. Zdumienie budzi też trwałość pnia palmy, który mimo smukłości znakomicie przetrzymuje najsroźsze wichry i cyklony.

Jednak nie uroda i trwałość przyniosły palmie miano „drzewa życia”. Zasłużyła ona na nie dzięki niezliczonym wręcz pożytkom, jakie można z niej czerpać. A więc pień – doskonałe drewno na łodzie, wiosła i deski, do budowy domów palowych, których ściany i poszycia dachowe wyplata się z liści. Drewno ma piękny kolor, jest mocne i twarde, dlatego powstają z niego doskonałe meble i inne sprzęty. Kora dostarcza garbnika i aromatycznej gumy. Z korzeni mieszkańcy Oceanii wyrabiają domowe lekarstwa itd. Z niektórych odmian uzyskiwanego z pnia soku wytwarza się wino. Z bardzo młodych liści przygotowuje się jarzynę znaną pod nazwą kapusty palmowej. To bardzo droga sałatka, gdyż po odcięciu listków młoda palemka ginie. Z liści wyplata się maty, koszyki i podobne wyroby. Wysuszone łupiny to świetny opał.

Najważniejszą są jednak orzechy palmy kokosowej. Długość użytkowania palmy można przyrównać do długości życia człowieka. Drzewo zaczyna owocować po siedmiu latach i przeciętnie trwa to do sześćdziesięciu pięciu lat. Potem następuje powolny, lecz stały spadek owocowania. Po 100-120 latach palma kończy wegetację. Rocznie na drzewie wyrasta 70-80 orzechów, a owocuje przez okrągły rok. Przekrojony owoc ukazuje kilka warstw. Zewnętrzną część tworzy cienka zielona skórka pokryta woskiem, która w okresie dojrzewania owocu przybiera kolor żółtobrązowy. Skórka ta ochrania grubą na kilka centymetrów, silnie włóknistą otulinę (doskonały materiał na materace, liny, sznury – odporne na wodę morską), która otacza twardą skorupę. U nasady skorupy znajdują się trzy zasklepione otwory. Przez jeden z nich przebija się korzeń w czasie kiełkowania. Ta twarda skorupa chroni właściwy owoc – nasienie. Przestrzeń wewnątrz wypełnia przezroczysty płyn. Jest chłodny, orzeźwiający, najsmaczniejszy w jeszcze zielonym kokosie. W miarę dojrzewania płyn staje się tłustawy i mało smaczny. Wytworzone z niego bielmo to najważniejsza część pozyskiwana z owocu. Po wysuszeniu i oddzieleniu od skorupy śnieżnobiałe bielmo, grube do dwóch centymetrów, przybiera kolor kości słoniowej i rogową konsystencję. Jest to słynna kopra, na której kiedyś bezwzględni spekulanci robili wyjątkowo korzystne „kokosowe interesy”.

W początkowym okresie nie znano metody zabezpieczenia pozyskanego bielma do transportu i przechowywania, dlatego często psuło się i fermentowało. Dopiero suszenie na gorąco zabezpieczało plony przed zmarnowaniem. Po wysuszeniu, a nie wcześniej, produkt powinno się nazywać kopra. Kopra zawiera do pięciu procent wody i 70 procent tłuszczu. Produkuje się z niej olej kokosowy, jest to produkt tak gęsty, że nazywa się go masłem kokosowym. Krzepnie już przy 19 stopniach Celsjusza. To

podstawowy składnik wykorzystywany przy produkcji tłuszczów spożywczych. Olej kokosowy jest dobry do smażenia i nie wydziela dymów. W kosmetyce – mydło produkowane z tego oleju ma tę zaletę, że pieni się w słonej morskiej wodzie. Płatkowany kokos jest używany w cukiernictwie. Gdy natniemy kwiatostan, wypływa słodki sok, z którego wyrabia się zagęszczony syrop nazywany miodem kokosowym. Z niego wytwarza się napoje, wina, wódki. Nie można sobie wyobrazić kuchni azjatyckiej czy kuchni Oceanii bez użycia kokosa. Poza tym jest podstawową paszą dla zwierząt. To niepełna lista pożytków z tego drzewa, można by je jeszcze długo wymieniać.

Palmy kokosowe są tu wszechobecne i dobrze jest coś o nich wiedzieć. Wtedy ma się większy szacunek do tego tak pospolitego pięknego drzewa. Można bez żadnej przesady powiedzieć, że jest źródłem utrzymania dla milionów ludzi w tropikach. Chociaż dobrze jest też wiedzieć, że te miliony zwykłych ludzi, którzy utrzymują się z pracy przy koprze, wcale „kokosów nie zbijają”, tylko ciężko pracują przez cały rok.

Dorodne kokosy, jakie wiszą nad moją głową i pięknie wyglądają, pozyskuje się na dwa sposoby: albo zbiera przejrzałe, opadłe na ziemię, albo zrywa się z drzew, gdy dopiero co dojrzały. Te ostatnie są znacznie wyżej cenione. Zrywanie owoców jest uciążliwe i niełatwe. Zrywający wdrapuje się do góry po pniu i z kilkunastu orzechów musi odróżnić dojrzałe od niedojrzałych. Słyszałem, że w niektórych krajach do tej niebezpiecznej pracy wykorzystuje się małpy, doskonale wytresowane w odróżnianiu dojrzałości orzecha. Bardziej pracochłonne i uciążliwe jest zbieranie z naciętych kwiatostanów soku palmowego, które trzeba przeprowadzać dwa razy na dobę. Robi się to, gdyż jest to produkt drogi, na który istnieje duży popyt, a poza tym taka operacja nie wpływa ujemnie na plony.

A teraz – ile potrzeba orzechów na tonę wysuszonej kopry? Dużo – siedem do ośmiu tysięcy! Przy pomyślnych warunkach palma dostarcza ponad sześćdziesięciu orzechów na rok. W zależności od ukształtowania terenu na hektar wysadza się od 150 do 300 palm kokosowych.

Pierwszego dnia pobytu w wiosce, kiedy spacerowałem z Eribertem, podeszliśmy pod suszarnię kopry jednego z mieszkańców. Właśnie suszył swój zbiór, co zajmuje trzy dni. Przy okazji spytałem, ile kosztuje tona. Powiedział, że „cena na plaży” to około 550 dolarów USA za tonę.

Jeśli już jestem przy końcu palmowego tematu, to dodam jeszcze parę zdań z historii pozyskiwania kopry na wyspach Melanezji, gdyż to ciekawy i mało znany temat. Odległe wyspy były najlepszym miejscem do zsyłania różnych przestępców z Europy, co pozwalało skutecznie ich izolować i wyzbyć się problemów z utrzymaniem więźnia w kraju. Wyspy nie miały właściwie żadnego prawa, a o ile coś z tym czyniono, to mało skutecznie tego potem przestrzegano. Na wyspach mogły więc osiedlać się wszelkiej kategorii łotry i łachudry większego lub mniejszego kalibru. Wtedy nie było tam jeszcze plantacji, więc kombinowano, jak z palm kokosowych i tubylców czerpać zyski. Problem w tym, że były to miejsca bardzo dla białych niebezpieczne. Nie było łatwo znaleźć chętnych do zamieszkania wśród gustujących w ludzkiej połówicy kanibali. Najlepszym więc sposobem było przymusowe wysadzenie na brzegu takiej czy innej wyspy człowieka – będącego na bakier z prawem skazańca. Tu miał możliwość odpokutować za popełnione przestępstwa. Mogła to być rehabilitacja, a nawet obietnica łatwego wzbogacenia się. Po wysadzeniu takiemu delikwentowi budowano prosty bambusowy szałas lub chatkę z magazynem, do tego jeszcze małą wiatę do suszenia kopry. Tak pozostawiony był zdany tylko na samego siebie i łaskę wyspiarzy. Miał oczywiście broń, ale skuteczniejszy był magazyn wyposażony w różnego rodzaju tandetne towary, bardzo pożądane przez tubylców. Skarbami do wymiany były zapalki, tytoń, materiały na odzienie, narzędzia ogrodnicze, maczety i siekiery. Można było też u niego dostać alkohol, chociaż oficjalnie wszelkie władze zabraniały dostarczania go tubylcom. Za odpowiednią liczbę kokosów pozyskiwali oni nawet broń i amunicję. W taki to sposób z dnia na dzień skazaniec stawał się agentem, przygotowującym na określony dzień koprę do transportu. W zależności od miejscowych warunków i zdolności interes kwitł lepiej lub gorzej. Naturalnie taki agent niczego sam nie robił – kilku bardziej rozzgarniętych wyspiarzy łupało i suszyło orzechy. Wydawałoby się, że to łatwe i przyjemne zajęcie, przynoszące pewny zysk. Ale czy tak było?

Żyjąc wśród tubylców, tacy samotnicy byli od początku narażeni na ryzyko. Pomijając malarię i różne choroby tropikalne, największą dolegliwością była samotność i konieczność zachowania nieprzerwanej czujności. Obawa przed napadem była udręką nie do zniesienia. W owych czasach

śmiertelność wśród owych samotników była bardzo wysoka. Ludzie ci ginęli z rąk tubylców z różnych przyczyn. Czasem powodem ich było naruszenie jakiegoś lokalnego tabu, o którym nie wiedzieli, czyli śmierć jakby zawiniona. Niekiedy chodziło o kobiety, ale najczęściej ginęli na wskutek zawiści i chciwości wyspiarzy, którzy pałali żądzą zagarnięcia ich mienia. Faktem jest, że w owym czasie na Nowych Hebrydach czy Wyspach Salomona niewiniątek w prowadzeniu interesów nie było. Dlatego wiele łoż po nich nie wylewano, gdy tracili życie. Na ich miejsce posyłano innych. Łupienie krajowców i tak było lukratywnym interesem, nie na darmo powstało określenie „zbijać kokosy” czy „kokosowy interes”. Takie były historyczne początki zdobywania poszukiwanej na rynkach kopry. Nastął czas kokosowego interesu, biznes przynosił dochody. Coraz większy popyt i wiedza na temat uprawy poskutkowały powstaniem pierwszych plantacji. Chciwość agentów, kupców, handlarzy i kapitanów statków nie miała granic. Łatwy zysk przyciągnął tu również różnych bandziorów i łajdaków – specjalistów od wyzysku tubylców. Powstawały plantacje palmy kokosowej, bawełny, trzciny cukrowej i kakao. Klimat i warunki sprzyjały, wszystko doskonale rosło. Potrzeba było coraz więcej rąk do pracy, nie tylko tu, na Nowych Hebrydach czy Wyspach Salomona, ale i w Australii, a nawet w odległej Ameryce Południowej. Kto zamieszkiwał wyspy – czyżby nie czarne dzikusy? I się zaczęło! W krótkim czasie niemal cały teren stał się rejonem polowań i uprowadzeń mieszkańców do przymusowej pracy. W czasie gdy „cywilizowany świat” spokojnie żył w dobrobycie, tu tysiące niewinnych ludzi przechodziły gehennę. Kto w Europie czy Ameryce przejmował się tragedią mieszkańców odległych wysepek? Zajadając kokosowe ciastko i popijając słodkie kakao, mało kto myślał o tym, co się tu działo. To przecież tak daleko, po drugiej stronie globu. O tym niewolnictwie i ludobójstwie będzie przy następnej okazji...

## Ogrody, kilka ciekawostek i sposób na kawę

Nie tak wyobrażałem sobie ogród Eriberta w buszu. Gdybym przechodził tamtędy sam, wcale nie zauważyłbym, że między tymi chaszczami można doszukać się różnych warzyw, nawet takich, które spotykamy w naszych ogrodach. Wszystkie rosną między drzewami, w poszyciu z traw i wśród różnych dzikich roślin. Najwyższe drzewa w ogrodzie to palmy kokosowe, jest też kilka dorodnych drzew chlebowych.

Stoję pod jednym z nich i podziwiam duże liście palczastego kształtu. Chlebowiec jest najbardziej wyspiarskim drzewem na świecie. Od niepamiętnych czasów stanowi podstawę pożywienia ludności Oceanii. Mówi się, że to drzewo święte i nietykalne. Pochodzi prosto z nieba, a ludzie otrzymali je w darze od istot niebiańskich. Może pospolitsze są na Polinezji, ale tu też je spotykamy. Okrągłe owoce z zewnątrz są twarde, zielone i pokryte jakby drobną, lekko chropowatą łuską. Nie mają więcej jak siedemnastu centymetrów średnicy. Mięsz zawiera więcej skrobi niż ziemniaki. Piecze się je około godziny w ziemnym piecu. Obłożone gorącymi kamieniami nabierają niepowtarzalnego smaku. Jadłem je kilkakrotnie, jak dla mnie są zbyt suche i mączaste. Aby były smaczne, wymagają dużo dobrego sosu jako dodatku. Mam na myśli taki z wieprzowinki, a nie z kokosa, który dla mnie jest za mdły. Nie zabierzemy dzisiaj tych owoców, bo muszą jeszcze trochę powiszieć na drzewie.

Właśnie owocuje drzewo pomelo. Ma bardzo duże owoce, zielone jak grejpfrut, tutaj mówią na nie paplemus. Jadam je codziennie, są pyszne. To takie ogromne grejpfruty.

W pobliżu rośnie drzewo sporych rozmiarów, mające smaczne, eliptycznego kształtu orzechy, ale nie wiem, jak się tu nazywa. Na Fidżi na te orzechy mówią butu, są lubiane przez dzieciaki, dlatego drzewo jest przez nie oblegane.

Z warzyw rośnie tu kasawa, najczęściej nazywana maniokiem. Ma długie, w tej chwili bezlistne, pędy. Świeże liście są smaczne i wcześniej zostały zerwane na sałatkę. Eribert zabrał się do wykopywania podłużnych korzeni. Maniok to najbardziej pospolita roślina warzywna w tropikach.

Teraz kolej na jedno z najsmaczniejszych warzyw – jam. To warzywo pnie się po gałęziach czy innych podporach niczym powojnik. Najlepsze jest, kiedy zaschną jego pędy. Okres wegetacji trwa aż dziewięć miesięcy, dlatego to taki cenny przysmak. Eribert delikatnie rozgarnia wulkaniczną glebę, starając się nie uszkodzić pęku owalnych bulw. W związku ze zbiorami jamu na wyspach Melanezji

odbywają się tradycyjne uroczystości. Właśnie teraz jest pora zbiorów tego królewskiego warzywa. Kilkadziesiąt mil dalej na wschód, na wyspie Pentecost, pewnie rozpoczęły się rytualne skoki na lianach z rachitycznych wież budowanych z grubych gałęzi. Czas skoków to świętowanie zbioru jamu. Widać też wielkie liście taro, które przerastają największe chwasty. Kilka tych podobnych do selera korzeni łąduje w worku, będą potrzebne do abuni – pysznej wielowarzywnej potrawy, w której specjalizuje się gospodyni. Korzenie nie są tak okazałe jak te, które widziałem na Taveuni – tutaj nie stosuje się tak dużo chemii jak na Fidzi. To moje ulubione warzywo na równi z jamem. Po obraniu trzeba je starannie wygotować, aby bulwa straciła piekący smak, a miąższ przestał być włóknisty. Trzeba też pamiętać, o czym już wspominałem, że na surowo taro zawiera trujące szczawiany. Sądzę, że ten wielki smaczny ziemniak jest przyczyną otyłości ludzi na Pacyfiku. Wszyscy uwielbiają to warzywo i potrafią zjeść go niemałe ilości, co zaobserwowałem na Fidzi. Warzywo sadi się przez cały rok, a po pół roku jest już wyrosnięte. Co innego jam, na który trzeba czekać aż dziewięć miesięcy, a na dodatek sadić ściśle według kalendarza. Jest też roślina, która rośnie na długiej na prawie półtora metra łodydze. Jej liście są podobne do liści naszego ogórka. Mówią, że to cabbage, czyli kapusta, chociaż ja wcale nie widzę podobieństwa. Podobno jest tu jeszcze więcej warzyw używanych w kuchni, ale nie mogę odróżnić ich od zielska czy krzaków. Nie wiem, jak duża jest cała plantacja, żadnego płotu tu nie widziałem. Kiedy przechodziliśmy obok innych ogrodów lub przez ogrody sąsiadów, też ich nie było.

Gdy przyszlismy na miejsce, dzieci nazbierały co bardziej suchych liści i rozpały ognisko. Z przykrytego mokrymi liśćmi ognia zaczęło mocno dymić. Tak się często robi, kiedy się pracuje w buszu, to najlepszy i chyba jedyny sposób na wredne komary. Jak się jest w ciągłym ruchu, to można jakoś wytrzymać, ale jak tylko się stanie, zaraz chmara tego paskudztwa zaczyna atakować. W wiosce za dnia nie dokuczają, zwłaszcza gdy trochę wieje. Kiedy zaczyna zmierzchać, jest już gorzej. Gdyby nie moskitiera, którą wszędzie wożę, miałbym duży problem w nocy. Do spania rozwieszam ją nad materacem, ochrania nawet przed szczurami, by nie łążyły obok lub po mnie. Obecnie prawie w każdym domu ludzie śpią na plecionych matach pod rozwieszonymi moskitierami i tak chronią się chociaż trochę przed malarią.

Trudno sobie wyobrazić czasy, kiedy nie używano moskitier. Czytałem o tym, że kobiety z Malekuli dawniej miały zakaz kąpeli. Było to tabu, więc surowo musiały tych zasad przestrzegać. Na pewno była to jakaś forma ochrony, gdyż moskity podobno lubią czystą skórę... Za dnia nikt moskitami się nie przejmuję. Wszędzie widzi się paradujących po wsi czy pracujących w buszu ludzi z odkrytymi nogami i gołym torsem. Nie zwracają bynajmniej uwagi na owady, ignorują także i to, co leży na ścieżce, a może być to jakiś niebezpieczny stawonóg. Chodzi się tu na bosaka, a już szczególnie dzieciaki.

Podziwiam zawsze bosonogich, którzy chodzą bez obawy i pracując w buszu, nawet nie zakładają kłapek na nogi. Czuję nieodparty wstręt do barwnych wijów i krocionogów, które przemykają na ścieżkach, nie wspominając o trawie, gdzie w gęstwinie ich nie widać. Taki błyszczący, granatowy lub czerwony krocionóg wygląda jak malutki wąż z mnóstwem nóżek. Gdy nękamy go patykiem, to wypuszcza całym sobą opalizującą ciecz, podobno bardzo piekąca. Ja chodzę zawsze w sandałach, więc się nie boję. Któż by się tu przejmował robactwem?

Niektóre duże pająki to żywa zabawka małych dzieci. Sam widziałem, jak maluch siedział na ziemi i bawił się zielonym pająkiem, dużym jak połowa jego rączki. O zagrożeniu węzami na wyspie nic nie słyszałem. Nierzadko można spotkać jaszczurki, i to sporych rozmiarów, długie nawet na metr. Małe kolorowe jaszczurki służą często do zabawy dzieciom, które nazywają je gekonami. Są niegroźne i pięknie ubarwione. Powszechnie żyją tu gryzonie, w tym myszy i szczury, które są uciążliwymi szkodnikami. Bogaty jest też świat bardzo pięknych ptaków. Niestety prawie nigdy nie mogę ich dojrzeć wśród gęstwiny buszu, słyszę jedynie ich śpiew, a czasem jakiś mignie w locie.

O zmierzchu ponad drzewami niebo opanowane jest przez latające lisy, kilka razy większe od naszych nietoperzy. Tak się w skrócie przedstawia świat zwierząt lądowych na wyspach, czyli jest bardzo ubogo, oprócz wielkiej ilości i różnorodności owadów. Większych ssaków oprócz dzikich świń tutaj nie ma.

Eribert zabrał się do pracy, wykopał i oczyścił z brunatnej ziemi kilkanaście dorodnych korzeni kasawy, a Jeanette zerwała z drzewa kilka owoców pomelo i kiść bananów, do tego jakieś liście



przyprawowe, sobie tylko znane. Wszystkie te plony trafiły do worków. Kończąc pobyt na ogrodzie, podeszliśmy jeszcze do kupy zerwanych dojrzałych orzechów kokosowych, które leżały pod palmą, zabraliśmy kilka i ruszyliśmy z powrotem do domu.

Zrobiło się ponuro, słońce już przestało przeblyskiwać pomiędzy liśćmi drzew, kończył się dzień. Gdy doszliśmy do domu, było ciemno. Na tych szerokościach geograficznych dzień błyskawicznie przechodzi w noc. Jeśli jest pogoda, niebo błyszczący milionami gwiazd, które świecą o wiele jaśniej jak u nas. W zwyczaju mieszkańców wiosek na Vanuatu nie ma przesiadywania do późna w nocy. Odkąd się ściemni, kobiety zajmują się zwykle domem, kolacją i dziećmi. Inaczej ten czas spędzają mężczyźni.

Świat się generalnie zmienił, jednak tu, na wyspach Vanuatu, dalej kultywuje się zwyczaj patriarchalny. Zgodnie ze starą tradycją dalej rządzą tu mężczyźni. Nie jest już tak jak dawniej, kiedy mężczyzna miał parę żon. Mieszkały wówczas w jednej zagrodzie, ale każda zajmowała ze swoimi dziećmi oddzielną chatkę. Mąż spędzał noce kolejno z każdą z nich. Stałym rytuałem prawie każdego dnia od niepamiętnych czasów są towarzyskie spotkania na wspólnym picu kawy z korzenia pieprzowca.

Na pewno zaciekawi nas, jak to wyglądało dawniej. Jeszcze 50-60 lat temu w każdej wiosce były specjalne chaty, nazwijmy je klubowymi. Każdy mężczyzna starał się mieć taką chatę w pobliżu swojego obejścia. Ta okazałych rozmiarów budowla zawsze była o wiele większa niż nędzne chatki żon. Dla mężczyzn takie odizolowane miejsce było azylem przed „złośliwym” światem kobiet, dla których teren takiego domu był nietykalny – tabu pod karą śmierci! W takich pomieszczeniach mężczyźni zbierali się, by odprawiać specjalne rytuały i modły do duchów przodków. W wyspiarskiej tradycji duchy były w różnym stopniu złośliwe lub przychylne. Te cowieczorne spotkania i prowadzone w nieskończoność dyskusje zawsze kończyły się picciem kawy. Dzisiaj nie spotkamy już takich domów klubowych. Obecnie nastąpiły zmiany w formie tego towarzyskiego spotkania, także sposób przyrządzania kawy jest inny.

Dawniej było tak: uczestnicy spotkania klęczeli dookoła dużej miski, sporządzonej z pnia palmy. Następnie wkładali do ust pocięte, wymyte korzenie pieprzowca i gorliwie przeżuwali, nie połykając soku. Dobrze przeżutą zębami miazgę wraz ze śliną wypluwali do stojącej na środku miski. Przeżywanie było najtrudniejsze, korzenie pieprzowca są bardzo pikantne i samego soku nie można połknąć, by nie zaszkodził. Potem do przeżutej miazgi dolewano z bambusowej rury odpowiednią ilość czystej wody. W tym momencie jeden z biesiadników zanurzał w tej mętnej, beżowej brei dłoń i przez pewien czas mieszał i miętolił zawartość. Na koniec jeszcze pozostało precedzić breję i kawa była gotowa. Wreszcie następowała ceremonia picia. Pili po kolei, poczynając od wodza, a kończąc na najmłodszych. Wszyscy pili w postawie klęczącej bezpośrednio... z miski, zanurzając w niej usta. Dobre maniere wymagały przy tym, aby pijący robili to z werwą i głośno. Im więcej hałasu, tym lepiej.

A jak to wygląda dzisiaj? Podobnie jak na Fidżi, ale o tym już pisałem, więc tylko krótko wspomnę, że obecnie do tego poważnie traktowanego kiedyś rytuału przywiązuje się mniejsze znaczenie. W zasadzie chodzi głównie o wspólne wypicie i odczucie działania napoju. Wielu mężczyzn jednak i dzisiaj stara się nadać odpowiednią oprawę picia kawy. Kawa musi być świeża, dlatego zawsze jest przygotowywana z wykopanych dopiero co korzeni i do końca wypita, gotowej nikt nie przechowuje. Ważne, by wspólnie przygotować napój od początku do końca. Obecnie nikt już nie przeżuwa korzeni, a w różny sposób je rozdrabnia. Najczęściej robi się to młotkiem wykonanym z rury zakopanej w ziemi i pałą, którą się uderza w znajdujące się w rurze pocięte korzenie. Gotową miazgę miesza się z wodą i dwukrotnie precedza przez szmatę, by lepiej wypłukać składniki. Samo picie jest już ze wspólnej miski i po kolei z jednego czerpaka, którym jest zwykle połówka skorupy orzecha palmy kokosowej. Nie wolno przerywać picia, należy wypić wszystko za jednym razem. Jednak w niektórych wioskach lub miasteczkach można już kupić gotową kawę i wypić na ławce przy sklepie. Widać, że i tu idzie się z duchem czasu. Nie wszyscy mają ochotę preparować żmudnie ten odurzający i mdły napój o wyglądzie pomyj.

Jak dowiedziono, jest niezdrowy i wręcz szkodliwy dla układu pokarmowego. Ma właściwości halucynogene, ponadto sprawia, że trudno po picu rozmawiać, a język „kołkiem stoi”. Przed jej wypiciem w żadnym wypadku nie wolno jeść, bo potem jedzenie może zaszkodzić. Kawa na wyspach Vanuatu jest sporządzana ze świeżych korzeni, toteż jest mocna, nie jak na Fidżi. Tam jest mniej popularna i w zasadzie sporządzana ze sproszkowanych suszonych korzeni. Ale nie wypada krytykować,

każdy może postępować, jak chce, a picie kawy nie jest zabronione.

## Abunia i sposób na pieczoną świnie, czyli przygotowania do święta

Zapewne każdy bez wyjątku czekał na ten uroczysty Dzień Patrona. Z samego rana czym prędzej poszedłem z Eribertem do szkoły. W związku ze świętem kościelnym dzisiaj w szkole nie będzie lekcji, będzie za to festyn. Eribert, jako kierownik szkoły, jest odpowiedzialny za jego przebieg. Musi sprawdzić działanie agregatu prądowórczego i podłączenia głośników. Nie było problemu, więc szybko się z tym uporał i mogliśmy wracać do domu.

Kiedy przechodziliśmy, po drugiej stronie placu, przy kościele, kilka kobiet i dziewczynek zajętych było upiększeniem otoczenia na uroczystość. Niebawem ma się odbyć uroczysta Msza Święta ku czci patrona wioski, świętego Piotra Chanela. Miejscowy kościół z zewnątrz prezentuje się dość skromnie. Jest niski, nie ma wieży, ale jest bardzo obszerny. Zajrzeliśmy do środka. Na całej długości między ławkami kobiety rozwinęły matę i teraz dziewczynki rozsypują na nią różnokolorowe płatki kwiatów.

Eribert ponagla do powrotu. Czas szybko ucieka, a świnie przeznaczone na ruszt jeszcze biegają, zamiast się piec. Wracamy pośpiesznie między domami sąsiadów, na szczęście nie jest daleko. Prawie wszędzie już coś się dzieje, w obejściach krzątają się ludzie, przygotowania do festynu idą pełną parą. W kilku miejscach dym unosi się nad rusztami lub leniwie snuje się nad piecami ziemnymi. Na dzisiejszą uroczystość nie wystarczy sam tradycyjny laplap czy abunia, koniecznie musi być mięso, i to tyle, by wszyscy najedli się do syta. Ludzie wykorzystują każdą okazję, by objeść się pieczonym mięsiwem, a dzisiejszy dzień to sprzyjająca okoliczność.

W zwykłe dni rzadko jada się świnie, najczęściej spożywa się ryby lub drób, wieprzowina to rarytas. Tu na ogół świnie przeznacza się na sprzedaż. Trzyma się je długo, gdyż biegają luzem pod palmami, przez co rosną bardzo wolno. Musi minąć rok albo półtora, by można je było sprzedać i trochę na nich zarobić. Przyjęto, że świniobiciem i pieczeniem zajmują się mężczyźni, gotowaniem warzyw zaś wyłącznie kobiety. Z przygotowaniem świńskiej pieczeni zwykle jest sporo roboty, jednak zawsze ktoś się nawinie i chętnie pomaga, najczęściej jakiś krewny. Taka pomoc przyda się zwłaszcza przy piecu ziemnym.

W rodzinie postanowiono przyrządzić na festyn trzy małe świnki. Z trzódki Eribert wybrał warchlaki biegające przy maciorze, wagi nie więcej niż dziesięć kilogramów każdy. Dwie mają być pieczone w ziemnym piecu, a jedna na tradycyjnym ruszcie, nad ogniem. Warchlaki z maciorą żyją w zasadzie na wolności, chociaż sporadycznie są zamykane na noc. By przybierały na wadze, niezbędne jest ich dokarmianie. Właśnie przez stałe karmienie stwory wiedzą, kto jest ich opiekunem. Nauczone nawyków świnie każdego ranka z kwikiem niecierpliwie oczekują na swoje śniadanie. Uwielbiają orzechy kokosowe, do których wnętrza same nie mogą się dostać. Więc czekają, aż ktoś je siekierą rozłupie. Maciora nie jest groźną dziką świnia, ale gdy dzieje się krzywda jej małym, potrafi z pasją bronić swoich dzieci i atakować wroga.

Właśnie przyszła pora na zabranie jej połowy warchlaków z trzódki. Żeby spokojnie podebrać świnki maciorze, Eribert przyniósł wiadro wody i postawił je kilka metrów od miejsca, gdzie zwykle je karmi. Potem, jak co dzień, siekierą rozłupał kilka dojrzałych orzechów. Na rozpołowione kokosy natychmiast z impetem rzuciły się zawsze głodne świnie, robiąc przy tym sporo pisku i kwiku przy wydzieraniu sobie kasków. W czasie tej wrzawy maciora, zajęta swoim orzechem, wcale nie zwraca uwagi, jak ręce Eriberta zabierają jej ze stadka warchlaki. W tym harmidrze nie słychać pisku świniaka wzywającego na pomoc matkę, gdyż gospodarz natychmiast zanurza jego łeb w wodzie i po prostu go topi. W ten sposób maciora nawet nie spostrzegła, że jej stadko, zamiast sześciu maluchów, liczy już tylko trzy. Nie widać, by była świadoma, że pomniejszono jej trzódkę. Po wyżarciu kokosów zadowolone świnie odeszły, merdając ogonkami.

Po zabiciu warchlaki niezwłocznie parzy się przez polewanie wrzącą wodą, a potem dokładnie zeskrobuje szczecinę nożem. Następnie, dla usprawnienia pracy, Eribert zawiesza tusze na gałęzi drzewa i po wypatroszeniu naciera świeżą papają. Nie wiem, w jakim celu, może dla lepszego smaku?

Tymczasem, gdy Eribert zajmował się świnkami, jego krewny rozpałił duże ognisko, po czym włożył do niego sporo ciemnych i gładkich kamieni. Nie są to zwykłe kamienie, a specjalne, z wulkanu. Zwykłe kamienie nie nadają się, bo pękają, a te potrafią rozgrzać się jak lawa do czerwoności i nic. Takie kamienie, bez których piec ziemny na wyspach nie mógłby funkcjonować, trzeba specjalnie wyszukać i wiedzieć, gdzie je można znaleźć, podobno nie jest to łatwe zadanie. Są tacy, co robią na tym niezły interes. Aby dobrze spełniły swoje zadanie, muszą być mocno rozgrzane, rzecz jasna nie do czerwoności. W tym celu ognisko podsycy się kawałkami drewna, ale najczęściej suchymi skorupami po orzechach kokosowych.

W czasie kiedy kamienie się rozgrzewały, Eribert preparował leżące na liściach bananowca tuszki. Do ich wnętrza wkładał świeżo zerwane duże liście z pobliskiego drzewa. Mają one od wewnątrz ochronić mięso przed przypaleniem. Skoro tylko kamienie były wystarczająco rozgrzane, kto tylko był w pobliżu, pomagał wkładać je do środka. Gorące kamienie z ogniska ostrożnie wybiera się szczypcami wykonanymi z bambusa. Cała akcja przebiega szybko, ażeby kamienie nie ostygły. Następnie tak nadziane tuszki układa się na wygaszonym ognisku i dokładnie obkłada zewnątrz takimi samymi gorącymi kamieniami, by świnek nie było widać.

Jeanette przygotowywała tradycyjną abunię. Przy tej pracy pomagały jej córki, to taka praktyczna szkoła gotowania, która przyda się im już w niedalekiej przyszłości, kiedy wyjdą za mąż. Abunia jest potrawą wyłącznie warzywną, która jest tak samo pieczona, a może bardziej duszona, w piecu ziemnym. W tym przypadku będzie dodatkiem warzywnym do wieprzowinki.

Można tu kupić dobry chleb, jednak nikt by nie jadł mięsa z chlebem. Może być ryż, laplap lub abunia, ale nie chleb, który nie jest tak ceniony jak potrawy tradycyjne, a poza tym jest bardzo drogi. U nas bez garnka nie da się prawie niczego upichcić, tutaj odwrotnie. Garnek używany jest tylko w idących z duchem czasu gospodarstwach domowych.

Kobietom w wioskach na Malekuli garnki zastępują duże zielone liście bananowca. Sporządzić z liścia garnek to niezbędną tu umiejętność. Taki duży liść na początek należy koniecznie odpowiednio złożyć, by potem po nałożeniu warzyw w ustalonej kolejności zawartość szczelnie zakryć i zawiązać tykiem. Tak przygotowany złożony liść smaruje się cienko olejem palmowym.

– My dzisiaj będziemy jedli wystawną abunię z mięsem – mówi Jeanette – czyli taką, która składa się z kilku najlepszych warzyw.

Przy sporządzaniu prawie wszystkich potraw na wyspach Pacyfiku zawsze pierwszą czynnością jest przygotowanie mleka kokosowego. Ludzie często dokładnie nie wiedzą, co to jest mleko kokosowe, lub myślą je z płynem wypełniającym środek orzecha kokosowego. Płyn, który wypełnia orzech, staje się mlekiem kokosowym dopiero wtedy, gdy zetrze się na tarce świeżą kopre i wymiesza z sokiem orzecha. Wyciśnięty z tego płyn to właśnie mleko kokosowe.

Takim białym mleczeniem na początek Jeanette polewa posmarowany olejem kokosowym liść. Następnie układa oczyszczone i wypłukane korzenie jamu, obrane z zielonej skóry banany, kasawę i taro. Potem wszystkie warzywa przyprawia gałką muszkatołową, papryką i curry, a na koniec polewa obficie mlekiem kokosowym. Zdziwiony jestem, jak mało używa się tu soli, prawie wcale. Tak ułożone i przyprawione warzywo jest dokładnie zawijane i związane w pakiet z liścia.

Obok ułożonych świnek Jeanette kładzie przygotowaną abunię, którą także obkłada się gorącymi kamieniami. Teraz wszystko pośpiesznie zakrywa się kilkoma warstwami dużych liści bananowca. Na to jeszcze kładzie się jakieś stare worki i na koniec wszystko obrzuca warstwą ziemi. W taki sposób, w tradycyjnym piecu ziemnym, będziemy mieli przygotowane jedzenie na dzisiejszy piknik.

## Parafialny festyn w Lamapie

Od strony kościoła słychać wyraźnie bicie gongu, zostało pół godziny do rozpoczęcia odpustowej Mszy Świętej.

Miejscowe kobiety ubierają się wyjątkowo kolorowo. Noszą proste i długie, luźne suknie z bufiastymi rękawami. W zasadzie wszystkie szyte są według tego samego wzoru. Mało kobiet ubranych jest w spódniczki i bluzki, a już u żadnej pani, młodszej czy starszej, nie widziałem spodni.

Wszystkie sukienki wyglądają bardzo kolorowo, trudno opisać tę mozaikę kwiatów będących częstym ich motywem. Takie barwne stroje wyjątkowo pasują do ciemnej karnacji twarzy, ale to moje prywatne zdanie. Słodko i przeuroczo wyglądają małe dziewczynki prowadzone za rączki przez mamusie, ich sukieneczki to miniaturki sukienek matek. Mamy zawsze chcą upodobnić do siebie swoje córeczki. Z zaciekawieniem przyglądam się śpieszącym na Mszę Świętą ludziom. Dzisiaj od święta i mężczyźni zamienili codziennie noszone krótkie spodnie na długie spodnie i luźne kolorowe koszule.

Do parafii należy pięć osad, z których każda ma swój odrębny język. W 1888 roku do wsi Lamap przybyli pierwsi misjonarze z Francji. Założyli Misję Katolicką, była ona jedyną placówką katolicką w południowej części wyspy. W północnej jej części swoje wspólnoty w tym czasie zakładali anglikańscy prezbiterianie. Trzeba dodać, że był to trudny teren do nawracania, wyspiarze w tym czasie uprawiali kanibalizm. Jest pewne, że tubylcy z Malekuli, wyspy o tak różnorodnych językach i zwyczajach, na początku nie wiedzieli, o co chodzi z tą religią białych. Upłynęło jeszcze wiele czasu, nim cokolwiek dotarło do ich świadomości w zakresie religii. Tym bardziej że wkrótce założono jeszcze inne protestanckie Kościoły, o których mam nadzieję napisać, gdy w mojej wędrówce zetknę się z nimi w wioskach.

A dzisiaj tu Święto Patrona, męczennika, najważniejszego świętego Oceanii, francuskiego misjonarza Piotra Chanela. Jak już wspomniałem, taka uroczystość przypomina nasze odpusty. Od samego wejścia widać stojącą z prawej strony ołtarza dużą rzeźbę z białego marmuru. Przedstawia świętego Piotra Chanela przybranego girlandami kwiatów. Kościół już wypełnił się wiernymi. Za chwilę wysypanym płatkami kwiatów gankiem między ławkami wejdzie uroczyście ksiądz w otoczeniu kilku członków parafii.

Usiadłem w ostatniej ławce w pobliżu przejścia, by lepiej wszystko widzieć i móc łatwiej filmować. Ludzie zaczęli śpiewać pieśni, w tym czasie w małej asyście wszedł ksiądz i rozpoczęła się oczekiwana uroczystość. Msza Święta odbywa się w języku francuskim w obrządku katolickim. Śpiewy wiernych wspomaga donośnie na dwa głosy chór.

Po zakończeniu uroczystości w kościele na krótko idziemy do domu, ażeby rozgarnąć ziemny piec i wyciągnąć przygotowane smakołyki. Nie tylko ja jestem ciekawy wyglądu i smaku pieczeni, dla mnie bardzo egzotycznej. Nie ma wątpliwości, każdy czuje już głód. Przygotowania i Msza tak nas pochłonęły, że nie spostrzeżliśmy, jak zrobiło się południe, a nikt z nas jeszcze dzisiaj nic nie jadł. Prawie wszyscy przygotowali na festyn coś smacznego. Zaznaczam, że prawie, gdyż nie wszystkie rodziny mogą się publicznie zaprezentować ze smacznym jedzeniem. Jak wszędzie na świecie, i tu są ludzie biedni. W ten świąteczny dzień w czasie festynu wszyscy parafianie mają być zadowoleni. Nikt nie powinien być pokrzywdzony i głodny, dlatego parafia i władze wioski dołożyły się do solidnego wiejskiego kotła z jedzeniem. Pośpiesznie wracamy do domu. Nasz piec ziemny wspaniale się sprawdził, wszyscy z zaciekawieniem uczestniczymy w jego opróżnieniu.

Gdy zdjęto ostatnie kamienie, ujrzałem dwie świnki o złocistobrazowej przypieczonej skórcie. W żadnym miejscu nie było przypalenia. Teraz Eribert wyjął ze środka tuszek kamienie i to było wszystko. Wyjątkowy nastrój i podniecenie w wiosce zwały się w pobliże ogniska kilka psów, które wesoło merdając ogonami, cicho i bez zwady czekają na swój kąsek. Dobrze wiedzą, że na koniec i one coś dostaną, są dziś jakieś potulne, nawet na mnie nie srożą kłów.

Stoję gdzieś z boku i zamiast coś pomóc przy imprezie, zajęty jestem na zmianę kamerą i aparatem fotograficznym. Filmuję i robię zdjęcia, pamięć jest ulotna i kiedyś z przyjemnością przypomną mi tę chwilę. Upieczone świnki i uduszoną w pakiecie abunię zabieramy i idziemy do szkoły na festyn, każdy z nas coś niesie. Najsmutniejsze jest to, że nad wieś nadciągnęły granatowe chmury. Wygląda na to, że bez deszczu święto się nie odbędzie. Tylko czekać chwili, kiedy zacznie padać, a może nawet lać.

Na plac między kościołem a szkołą z różnych kierunków ścieżkami schodzą się parafianie. Idą gęsiego i każdy coś niesie. Nikt chyba nie przejmuje się pogodą oprócz mnie. Jak się robi film czy zdjęcia, lepiej mieć dobrą pogodę. Ledwie doszliśmy do szkoły, no i lunęło! Na szczęście wzdłuż całej długości budynków szkoły jest zadaszony betonowy ganek, który stał się miejscem ucieczki przed ulewą. Kto chciał, mógł skorzystać z otwartych szkolnych klas, ale ludzie zdecydowanie wybrali ganek i tam

rozłożyli na matach przyniesione ze sobą jedzenie. Głośno gra muzyka, młodzież jest radośnie podniecona. Czy deszcz może przeszkodzić w zabawie? Raczej nie, tu deszcze nikogo nie przerażają. O tej porze roku pada dość często. Zresztą taka ulewa nie trwa długo.

Każdy zajął się jedzeniem, kobiety porozwijały swoje liściowe pakunki z przygotowanymi laplap i abunią. Na rozpostartych wielkich liściach zaczęto dobierać się do upieczonych świnek, kurczaków i ryb. Rzadko spotka się nóż, służy chyba tylko po to, by z grubsza dostać się do środka. Potem już każdy korzysta ze swoich palców. Ten naturalny sposób jedzenia z oblizywaniem palców dodatkowo poprawia smakowitość potraw, tego dowiedziono już dawno. Sami możemy spróbować, czy kurczak z rożna lepiej smakuje, gdy dobieramy się do niego nożem i widelcem, czy palcami.

Nim skończono jeść, przestało padać. Mokra trawa stała się doskonałą serwetką do wytarcia tłustych rąk. Przy głośnej muzyce z głośników zaczęły się występy. Każda osada parafii przygotowała własny program. Na początek było przedstawienie dzieci ze szkoły. Co prawda przeszkadzał deszcz, bo znowu zaczęło padać, jednak dzieci nie przerywały występu. Prosty, przemawiający do wyobraźni pokaz. Grupka dzieci z imitującą żagiel flagą nad głowami przedstawia okręt, na którym patron dzisiejszego święta podróżuje pomiędzy archipelagami. Inne grupki dzieci są wyspami, na które przybywa misjonarz. Teraz okręt powoli przemieszcza się pomiędzy nimi. W ten obrazowy sposób uczniowie przedstawili istotę dzisiejszego święta, jak to Piotr Chanel przemieszcza się okrętem pomiędzy archipelagami Oceanii i nawraca wyspiarzy na chrześcijaństwo. Później, ku radości widzów, były kolejne występy, w czym nie przeszkodził nawet ulewny deszcz, a takie mokre przedstawienie było bardzo zabawne. Było tak wesoło, że głośną muzykę zagłuszały wrzaski i śmiechy widzów. Na koniec festynu, gdy na zalane wodą boisko wkroczył przebrany w tradycyjne stroje męski zespół Small Nambas, ustały wrzaski i śmiechy. Wszyscy skupili się teraz na tradycyjnym tańcu przodków z tego rejonu Malekuli. Dzisiejsza deszczowa aura chyba nikomu nie popsowała nastroju.

O zmierzchu wszyscy, zadowoleni, głośno i radośnie powracali do swoich domów. Mnie jeszcze czekało przyjęcie z okazji święta. Proboszcz zaprosił na wspólne picie kawy ważniejsze osobistości wioski. Tak się jakoś złożyło, że i ja też znalazłem się w tym towarzystwie. Oprócz mnie w wiosce nie było innego białego, więc nie dało się ukryć mojej osoby. Jestem pewny, że to była robota Eriberta i poznanego wcześniej policjanta.

Gdy przybyliśmy na miejsce, było już ciemno. Byliśmy bodajże ostatnimi, którzy przyszli na spotkanie. Do plebanii przylega duża weranda, i tam właśnie zebrali się zaproszeni na wspólne picie kawy. Już wcześniej, na Fidżi, poznałem, jak smakuje ten mętny i cierpki napój. Dlatego nie było mi śpieszno tu przyjść, ale nie wypadało odmówić księdzu. Eribert, podobnie jak ja, nie jest zwolennikiem picia tego niezdrowego napoju. Towarzystwo było już po kilku kolejkach i panowie powoli zbierali się do wyjścia, widocznie mieli już dosyć. Łatwo można było to zauważyć po wyrazie ich twarzy i mętnym wzroku. Niektórzy musieli w pośpiechu wybiegać na trawnik, by pozbyć się nadmiaru spożytej kawy.

Co prawda w dużym garnku kawa się już kończyła, to jednak nie znaczyło, że udało mi się wymigać od picia. Wszyscy dobrze wiedzieli, że tacy jak ja nie gustują w tym napoju. Dlatego byli ciekawi mojej miny po wypiciu czarki tej mętnej brei. Ni-Vanuatu, bo tak się nazywają, to najbardziej lubiący żarty naród na świecie, więc każda okazja jest dobra do uśmiania się z kogoś. Co miałem zrobić? Wypiłem dwie lub trzy czarki tej ohydy.

Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo przy okazji spotkałem tu tęgiego policjanta, z którym zapoznałem się pierwszego dnia na wyspie. Po krótkiej rozmowie, gdy powiadomiłem go, że jutro opuszczam wioskę, zaoferował mi pomoc. Powiedział, że to strata czasu, by obchodzić całą zatokę Sandwich dookoła. Na całej trasie nie ma wioski ani osady, a droga, jeśli można to tak nazwać, jest zła. Dlatego za małą opłatą jutro rano może przetransportować mnie motorówką na drugi brzeg, przez co zaoszczędzę kilka godzin marszu. Nie było co się zastanawiać, poszedłem na ten układ.

Dzisiaj nie żałuję mojego dłuższego o trzy dni pobytu w wiosce. Doświadczyłem tu niezwyklej gościnności wielu mieszkańców tej wioski i będę miło wspominał pobyt wśród nich. Problem polega na tym, że zawsze po głębszym poznaniu pełnych serdeczności ludzi żal ich opuszczać.

## Big Nambas i Small Nambas U Nalsina w Bourbar

Dzisiaj brzegiem wyspy wyruszam na północ. Niektórzy się dziwią, że chcę wędrować pieszo. Wprost mówią, że nie spotkali jeszcze takiego turysty, który chciałby się dostać na północ, i to pieszo. Byli tu już różni, ale nie zdarzyło się, by wędrowali pieszo. Doradzano mi, bym jechał, tym bardziej że po ostatnich opadach deszczu zalegające na drodze błoto może uniemożliwić przejście. Co więcej, nawet Eribert radzi wsiąść do pikapa, który każdego dnia o czwartej rano rusza drogą wzdłuż wyspy prawie na samą północ Malekuli, do wioski Vao.

Nieodwołalnie postanowiłem wyruszyć. Nie przejmuję się złą drogą, moim ciężkim plecakiem i trudem pieszej wędrowni. Chociaż pogoda nie jest całkiem dobra, ale najważniejsze, że nie pada. To ostatecznie zaważyło na mojej decyzji.

Poprosiłem Eriberta, by kupił trzy litry benzyny do motorówki, bowiem wie, gdzie i jak to załatwić. Na drogę do plecaka włożyłem tylko butelkę wody, o resztę będę się martwił w następnej wiosce. Rozstając się z gościnnym domem, podziękowałem za życzliwość, pomoc i pożegnałem się. Jak uzgodniłem wczoraj, łódź powinna być gotowa na brzegu o dziesiątej rano, a ja miałem ze sobą przynieść trzy litry benzyny jako opłatę za przewiezienie.

Z wioski na brzeg jest kawałek drogi, na skróty można przejść przez plantację palmy kokosowej i potem stromo przynajmniej dwadzieścia pięć metrów w dół, do brzegu zatoki. Tam, w dogodnym miejscu, znajduje się policyjna motorówka. W tym miejscu plaża jest bardzo wąska, piaszczysta i kiedy nadchodzi przypływ, jak w chwili obecnej, to woda prawie zalewa gęstwinę mangrowych zarośli. W tym miejscu, gdzie stoi łódź, jest wyjątkowo szeroki piaszczysty pas bez zarośli, utrzymywany w takim stanie dla wygody. Myślę, że często z tego miejsca ludzie skracają sobie drogę na drugi brzeg zatoki, z pewnością tą samą łodzią, którą popłynę ja.

Gdy doszliśmy na miejsce, policjant już na nas czekał. Po uzupełnieniu benzyną baku, z impetem ruszyliśmy na drugi brzeg zatoki. Eribert również zrobił sobie przejażdżkę, były wolne miejsca i pewnie chciał mi jeszcze kawałek asystować na drugi brzeg, by tam się pożegnać. Nawet się dobrze nie zdążyłem rozejrzeć dookoła po zatoce, jak dobiliśmy do celu. Odległość do drugiego brzegu w tym miejscu nie była taka mała, prawie dwa kilometry.

Przy okazji rozmowy o rekinach dowiedziałem się, że kilka lat temu gdzieś w tym miejscu rekin zabił siedmioletnią dziewczynkę z Nowej Zelandii, która na nieszczęście jakiś czas przebywała z rodzicami w opuszczonej przez mnie wiosce. Od tego czasu jest spokój, ale nikt z jej mieszkańców za żadne skarby nie wejdzie tu do wody. Ta bojaźń przed rekinami jest przekazywana od pokoleń.

W 1774 roku okręty Resolution i Adventure kapitana Cooka kotwiczyły aż dziesięć dni na wodach zatoki i w pobliżu. Cook bardzo precyzyjnie sporządził mapy brzegowe Malekuli i w sąsiednich wysp. W dzienniku, opisując zatokę Sandwich, wspomina o rekinach. Podobno tubylcy przestrzegali załogę przed nierozważną kąpielą. Tak przy okazji, jeśliby przypadkiem ktoś zawitał w Port Sandwich, to może zobaczyć na brzegu zatoki biały obelisk przypominający miejsce lądowania na wyspie tego słynnego odkrywcy. Zatoka Sandwich z całą pewnością jest niebezpieczna i stanowi osobliwe siedlisko rekinów.

Z innej perspektywy patrzą na to biura turystyczne, specjalizujące się w pokazywaniu przybyszom świata lagun i tropikalnych raf. Według nich nie ma w tej zatoce prawie żadnego zagrożenia przy nurkowaniu, a podwodne życie zatoki wygląda olśniewająco.

Wysiadłem z łodzi w miejscu, w którym droga wzdłuż brzegu wyspy dochodzi najbliższej wody. Łódź zatrzymała się niemal w buszu. Gęszcz mangrowy w tej chwili tylko częściowo zalewają fale. Brzeg z daleka wygląda dość bajkowo, urzekająco, natomiast jak tylko na nim staniesz, poczujesz smród zgnilizny, wilgoć, zobaczysz niezliczoną ilość robactwa. Wdepniesz w odpychający, grząski, mokry grunt i uciekające spod nóg krabiki. Tych kilka metrów ponurego brzegu i mangrowych chaszczki jest na pograniczu świata wody i lądu. Kilkanaście kroków dalej wchodzimy w osobliwy zielony świat tropiku, gdzie od razu czujemy się lepiej. Są również piękne piaszczyste, szerokie plaże, jednak tutaj,

w Melanezji, zdecydowanie w mniejszości. Jest odpływ, z każdą falą wąski pasek plaży nieznacznie staje się szerszy, następuje powolny odpływ wody, i tak aż do późnego popołudnia, wtenczas wody znowu przybywa, tak jest od wieków.

Eribert podprowadził mnie jeszcze do dróżki i tu rozstaliśmy się na dobre. Poczułem się bardzo samotny. Na szczęście zza ciężkich chmur wyszło wreszcie upragnione słońce. Jasne, błękitne niebo potrafi błyskawicznie rozwiać ponure myśli, a gdy wkrótce dojdę do wioski Bourbar, przestanę być samotny. Nikogo na drodze nie widać, nic tu nie jeździ, tylko o piątej rano przejeżdża pikap Levi'sa do Vao, ale też nie zawsze. Po ostatnich deszczach w koleinach, jak okiem sięgnąć stoi woda. Niechże nikt nie sądzi, że jest to jakaś droga szutrowa, bo są to zwykłe dwie koleiny w trawie. Z miejsca gdzie wysiadłem z łodzi, błotnista droga coraz bardziej wspina się pod górę. Z jednej strony dobrze, bo kończy się chlapanie w błocie, ale maszerować ciężko, a iść trzeba przynajmniej kilometr, zanim osiągnie się wzgórze. Nie jest to dziwne, ponieważ prawie cała wyspa jest górzysta.

Nie potrafię opisać, jak bardzo bujna otacza mnie przyroda. Po obydwu stronach drogi wprost eksploduje roślinność, niski busz, nie wyższy jak dwa–trzy metry, zajmuje pofałdowane wzgórze. Droga jest przyjemna do marszu, nic bowiem nie przesłania jasnego nieba. Mijam sporadycznie jakieś wyższe drzewa, być może kakaowce, z daleka nie mogę rozpoznać, lub grupy palm kokosowych o cudownych pióropuszcach. Od czasu do czasu przechodzę przez kilka takich miejsc, w których strzelają ponad busz. Nieznane mi dzikie cytrusy, jakieś wysokie krzaki obsypane kwiatami. Są też ogromne kępy bananowców – tu, na wyspach Vanuatu, osiągają one największe rozmiary, jak nigdzie indziej na świecie. Kiedy w Indonezji podziwiałem ogromne, wysokie na kilka metrów, kępy bananowców, usłyszałem, że to sadzonki z Vanuatu.

Z tym, co tu widzę, mogę porównać chyba tylko „ogród Fidzi”, jakim jest wyspa Taveuni. Bliżej drogi rosną rośliny o ogromnych liściach, to warzywo tamu, podobne do taro, jednak rozeta ma ponad dwa metry wysokości. Widziałem je na Samoa. Jego potężny jadalny korzeń jest długi na minimum siedemdziesiąt centymetrów i gruby jak noga człowieka. Surowy jest trujący, a po ugotowaniu to delikates.

Gubię się w tym wszystkim. Z pewnością cały czas przechodzę wzdłuż czyichś ogrodów, trudno mi się w tym rozeznac. Jest nieznośnie duszno, jak w szklarni latem. Pod plecakiem koszula lepi mi się do pleców, pot zalewa czoło, ale to nic. Bujna przyroda zachwyca, tu nie czuje się spalin, upaja natomiast zapach kwiatów, barwnych motyli i bogatej roślinności.

Dopiero kiedy jestem w najwyższym miejscu drogi, mogę w całej krasie podziwiać zatokę i drugi jej brzeg, na którym jeszcze kilka godzin temu byłem. Nie boję się bez towarzystwa iść z dala od ludzi, przecież idę z własnej, nieprzymuszonej woli. Dziś nie jest strasznie spacerować po wyspie, ale jeszcze nie tak dawno na Malekuli ten spacer nie byłby taki idylliczny z powodu kanibali.

W przewodniku wyczytałem, że ostatni zanotowany przypadek kanibalizmu na Malekuli miał miejsce w latach sześćdziesiątych, nie więcej jak sześćdziesiąt lat temu! Od 1860 roku, kiedy na Nowe Hebrydy zaczęli przybywać pierwsi osadnicy, by spróbować szczęścia w uprawach palmy, kakao, aż do dzisiaj Malekula jest znana jako najbardziej niejednolita pod względem językowym i kulturowym wyspa archipelagu. Rozpoznano tu trzydzieści dwa odrębne języki, po tylu latach współbywania, różnych losów współcześnie na wyspie rozmawia się nadal jeszcze dwudziestoma pięcioma językami, nie licząc trzech urzędowych. W ostatnich kilkudziesięciu latach ludzie opuścili wioski północnej, górzystej, trudno dostępnej części wyspy, ażeby łatwiej żyć na wybrzeżu. To przesiedlenie być może spowodowało zaniknięcie własnego i przejęcie języka sąsiadów. Liczba języków na Malekuli liczącej 25 tysięcy mieszkańców może wprawić w osłupienie. Grupy liczące od 500 do 2 000 osób mają odrębne języki, które wytrzymują próbę czasu i nie zanikają. Bezsparnie archipelag Vanuatu ustanowił rekord świata w liczbie języków w stosunku do liczby mieszkańców archipelagu.

Niezależnie od tego fenomenu na wyspie występował jeszcze jeden bardzo istotny podział: na Big Nambas i Small Nambas. I tak w północnej części wyspy wioski – Big Nambas, a na południowym krańcu i częściowo w centrum zamieszkiwali Small Nambas. Ten podział dotyczył różnic w obyczajach, zachowaniu, obrzędowości. Na wyspie nie było sielanki, wioski notorycznie były poróżnione. Big Nambas i Small Nambas prowadzili między sobą walki, często nawet w obrębie jednej frakcji panował

kanibalizm, a ludzie funkcjonowali w świecie magii i czarów. Ten niekwestionowany podział istniał dawniej, co nie znaczy, że nie występuje w naszych czasach. Dzisiaj tak naprawdę identyfikacja ta oznacza raczej deklarację co do rejonu zamieszkiwania na wyspie. Dodatkowo z całą pewnością ma ciągle znaczenie w kulcie przodków i zachowaniu tradycji.

A teraz do rzeczy – co oznacza słowo nambas? Mówiąc bez ogródek, oznacza ochraniacz penisa. Jeszcze do niedawna był to jedyny ubiór mężczyzn. Big i Small to już dodatek z języka angielskiego, dla odróżnienia, gdyż Big Nambas osłony swoich klejnotów nosili na tyle duże, że zasłaniali męskie wdzięki całkowicie pękiem ufarbowanych włókien. Piszę „zasłaniali”, bo taki ubiór można dzisiaj zobaczyć w tradycyjnych tańcach. Dzisiaj pod tę niewielką spódniczkę zakłada się często slipy. Ochraniacze sporządza się z dobrze rozmięczonych włókien pandanusa. Tradycyjnie spódniczki Big Nambas barwią na kolor purpurowy. Tak byli ubrani tancerze we wsi Lamap, kiedy oglądałem ich tańce podczas święta.

Small Nambas ochraniali tylko sam członek pomysłowo zwiniętym kawałkiem liścia banana, nie krepując się jądrami na wierzchu. Tak skonstruowana osłona była przyciągnięta do podbrzusza i – by przypadkiem się nie przesunęła – wetknięta pod pasek wokół bioder. Nowa pochewka po zrobieniu jest zielona jak świeży liść banana, a z chwilą gdy wysycha, po tygodniu, staje się brązowa, brzydka, wówczas prenter swoich wdzięków sporządza nową. Dzieci biegają na golasa.

Nambę zaczynali nosić chłopcy w wieku od dziewięciu do dwunastu lat, po przeprowadzeniu obrzezania. Obcięcie napletka jest nadal praktykowane. To kosztowna uroczystość, na którą rodzic młodzieńca musi przeznaczyć sporo jedzenia: świnie, kawa, taro... Po tym zabiegu chłopiec staje się mężczyzną. Dawniej zakładano nambę, założony zwinięty liść, po to, aby osłonić wrażliwą żołądek i ochronić miejsce po skaleczeniu, lub pomóc prędzej wyleczyć wstydlivą ranę. Ochrona przed ukradkowym, dociekliwym wzrokiem dziewcząt z wioski również jest ważna w obrzędowości Nambas, a przydybanie młodzieńca w takim stanie byłoby jego największą kompromitacją. Dzisiaj z nambą spotkamy się jeszcze u praktykujących custom na wyspie Tanna.

A jak sprawa mody wygląda u płci pięknej? Dawniej dziewczynki zaczynały przykrywać swoje wdzięki w wieku siedmiu lat, a służyła im do tego spódniczka sporządzona z włókien miejscowych roślin, nierzadko barwionych na ulubiony kolor purpurowy. Dzisiaj, gdy spacerujemy po wioskach wyspy, zobaczymy tylko maluchy, najwyżej pięcioletnie, biegające na golasa. Sprawę rozwiązały mniej lub bardziej wytarte chińskie tanie rzeczy, które są powszechnie noszone, oraz wcześniejsze wysiłki misjonarzy.

Do 1988 roku wioskę Amokh w północnej, trudno dostępnej części wyspy zamieszkiwała jeszcze grupa Big Nambas, która nie odstępowała od zwyczajów i tradycji przodków. Jednak i oni nie wytrzymali zmian niesionych przez agresywną cywilizację i przenieśli się na wybrzeże.

Egzotyka Nambas, ich zwyczaje, dalej przyciągają turystów na Malekulę. Aktualnie wygląda to tak, że co pewien czas w pobliżu Malekuli, a konkretnie wysepki o nazwie Wala, kotwiczony turystyczny statek. Owa malutka wysepka jest doskonale przygotowana na prezentację kultury i zwyczajów Nambas. W programie jest oglądanie miejscowych tańców i obrzędów, a jeśli ktoś zapłaci, może fotografować wyspiarzy przebranych w dzikich Nambas. W obecnej dobie, gdzie tak łatwo prawie wszędzie dotrzeć, są jeszcze takie miejsca jak Malekula, gdzie trudny dostęp i brak bazy turystycznej chronią wyspiarzy przed agresywnym chłamek.

Z mapki wyczytuję, że powinna tu być mała wioseczka Burbar. Teraz droga biegnie tak blisko brzegu, że widać morze, a na zamglonym horyzoncie wyspę Ambrym z chmurką dymiącego stale wulkanu. Po chwili dochodzę do osady. Po prawej stronie wyłaniają się pierwsze chatki. Stoją w małych skupiskach. Jestem w wiosce. Domostwa ułożone są po jednej i drugiej stronie drogi. Wioska robi wrażenie jakiegoś ogrodu, między domami sporo różnych drzew użytkowych, których nie znam, oraz różne palmy, na przykład kokosowe, pandanusa, a także inne, wysokie, z liśćmi niezbędnymi na pokrycia dachów. Od razu dostrzegam wcześniej niespotkany porządek wokół zabudowań. Mizerna, plecione z twardego łyka chatki upiększa sporo ozdobnych liści krzewów krotonów oraz piękne drzewa bugenwilli i franchipani. Zaskoczony jestem tym porządkiem wokół chatki, jednocześnie stwierdzam, że jest to wioska zupełnie inna niż Lamap.

Tu nie da się ukryć, toteż natychmiast wzbudzam ciekawość, szczególnie u młodych mężczyzn.



Nie zauważam też żadnej dziewczyny i dzieciaków, być może są w szkole. Kiedy chcemy zatrzymać się w wiosce czy osadzie na nocleg, koniecznie z taką intencją należy zgłosić się do szefa wioski.

Z grupki chłopaków, być może zrzędzeniem losu, podszedł do mnie jeden bardziej śmiały młodzieniec, trochę śmieszny, bo z bardzo szerokim płaskim nosem, i zapytał po angielsku, dokąd idę. Ucieszyło mnie, że w tej wiosce będę mógł się dogadać, bo mieszkańcy znają angielski. Kiedy poinformowałem, że zamierzam zatrzymać się tu na jedną noc, natychmiast przedstawił się jako Nalsin i zaproponował pobyt u siebie. Sprawę zameldowania się u szefa wioski mam zaś zostawić jemu.

Nalsin okazał się osobą, która spadła mi, jak to się mówi, z nieba. Nie dość, że zakwaterował mnie w swojej najbardziej luksusowej chatce, to okazał się później świetnym przewodnikiem. Z planowanego w tej malutkiej wiosce jednodniowego pobytu zrobiły się aż trzy dni. Nie sądzę, żeby to zgrupowanie chatek w kilku miejscach zamieszkiwało więcej jak 100 mieszkańców. Każda rodzina ma swój teren, na którym posiada od dwóch do czterech chatek. Dookoła każdego obejścia rosną ozdobne krzewy i drzewa obsypane kwiatami. Najwięcej jest tych tylko z dużymi barwnymi liśćmi. Znam je, to przeróżne krotony. Rozpoznaję popularne drzewa franchipani z białymi pachnącymi kwiatami, a w jednym miejscu widzę po raz pierwszy to samo drzewo z różowymi! Kilka rodzin mieszka dosłownie kilkanaście metrów od brzegu, przy samych zaroślach mangrowych.

Nieopodal chatek leżą wyciągnięte na brzeg, dłubane z pnia palmy kokosowej, wąskie łódki z bocznymi pływakami. Zarośla mangrowe prawie całkowicie pokrywają brzeg. Jedynie wycięte w gęszczu wąskie przesieki na wprost łodzi umożliwiają dostęp do otwartej wody.

Zadumałem się nad możliwymi skutkami tsunami i odwagą oraz pewnością siebie mieszkańców. Trzeba wiedzieć, że rejon archipelagu Vanuatu jest wybitnie niespokojnym obszarem Pacyfiku.

Część osady znajduje się po drugiej stronie drogi. W Burbar nie ma ani jednego domku murowanego, wszystkie są zbudowane tradycyjnie, z materiałów dostępnych w buszu. Chatki ustawione są wprost na ziemi, podłoga wysypana rozdrobnionym korałem. Większe rodziny mają kilka chatek ustawionych blisko siebie. Większe zawsze są podzielone na dwie części, ale najczęściej domki są małe – dwa na trzy metry z jednym pomieszczeniem. Ściany mają solidne, wplecione z preparowanych pasków liści palmy na bambusowym stelażu. Do chatki wchodzi się przez proste plecione drzwi na zawiasach. Okien nie ma, są niepotrzebne, gdyż światło wystarczająco przenika pomiędzy szparami plecionych ścian. Również dachy są dokładnie pokryte plecionymi płachtami z liści palmy. Nawet w największy deszcz taki dach nie przepuszcza wody. Nie jest to jednak trwałe pokrycie i co pewien czas musi być odnawiane. W pomieszczeniach może znajdować się prosty, drewniany stół, ławka i drewniana skrzynia, niekiedy szafa. Ludzie śpią wyłącznie na plecionych matach. W chatkach przebywa się i jada posiłki, kiedy pada deszcz. Gdy jest pogoda, rzadko kto w nich przebywa, chyba z wyjątkiem małych dzieci, które śpią na golasa wprost na matach rozłożonych na koralowej posadzce.

Kuchnie to osobne domki. W nich się gotuje, mają ziemne piece, czyli paleniska do rozgrzewania kamieni. W takim pomieszczeniu może być prosta półka albo stół z bambusa, na którym przygotowuje się laplap. Przy chatkach można spotkać zadaszenia – wiatki. Tu kobiety przygotowują posiłki, obierają warzywa, czyszczą ryby itp. Wyposażenie kuchni to kilka misek, talerzy, garnków i czajnik.

W Burbar świnie nie biegają luzem jak w wiosce Lamap, są zamknięte w małych zagrodach z dala od domków blisko brzegu. Świnie karmi się głównie orzechami kokosowymi, które zbiera się na brzegu. Każdego dnia na brzeg sporo wyrzuca ich morze. Wystarczy je zebrać, siekierą rozłupać i wrzucić do zagrody. Oprócz orzechów świniom daje się odpadki z kasawy, taro, bananów.

Tak naprawdę w wiosce mieszkają trzy klany, które łączy wyznawana religia – Church of Christ – Kościół Chrystusa. Najważniejszą cechą kultu tego Kościoła są tygodniowe obchody Wieczery Pańskiej pod przewodnictwem osoby świeckiej. W tej strukturze Kościół jest w dużej mierze niezależny i z powodzeniem funkcjonuje w tej małej społeczności. Zauważyłem duży wpływ praktykowanej religii na życie mieszkańców. Wioska nie posiada budynku kościelnego.

Kiedy Nalsin zaprowadził mnie do swojej chatki, ucieszyłem się, bo miała dwa pomieszczenia. W środku panowała idealna czystość, a najważniejsze, że posadzka była gładka, cementowa. Wraz z nami do wnętrza weszło kilku ciekawych dalszych wydarzeń kolegów Nalsina. Z braku miejsca niektórzy musieli zaglądać z zewnątrz przez otwarte drzwi. Dowiedziałem się, że jeszcze nigdy w wiosce

nie nocował biały.

Na rozłożonej macie Nalsin postawił talerz z pomelo i butelkę wody. Mimo że mogliśmy porozmawiać, jakoś rozmowa się nie kleiła. Zauważyłem, że mojemu gospodarzowi przeszkadzała nieproszona grupa kolegów, których trudno było się pozbyć, a nie wypadało tego zrobić dosłownie. Więc wszyscy siedzieliśmy w milczeniu. W końcu ja zabrałem się do przygotowywania dla siebie legowiska. Rozpakowałem plecak, nadmuchałem materac, a nad nim rozwiesiłem moskitierę. Wszyscy mi się bacznie się przyglądali.

Gdybym nie był do takich sytuacji przyzwyczajony, czułbym się skrępowany, ale to mój chleb powszedni, więc było mi to obojętne. Nalsin, chcąc pozbyć się kolegów, zaproponował mi pokazanie wioski. Ale to i tak nie pomogło, bo z braku zajęcia młodzieńcy w dalszym ciągu chodzili za nami prawie do wieczora. Nie miałem nic przeciwko temu, gdyż ścigali się w częstowaniu mnie orzechami i smacznymi, nieznanymi mi owocami strącanymi prosto z drzew. Ta sytuacja pozwoliła mi na swobodne filmowanie i robienie zdjęć.

Dziewczęta trzymały się trochę na uboczu. Nie przeszkadzało mi to jednak zrobić im wielu portretów, były bardzo miłe i sympatyczne. Wcale nie uciekały przed kamerą.

Przy pięknej pogodzie prawie do wieczora spacerowaliśmy po plaży. W czasie odpływu poziom wody nie sięga wyżej niż do kolan. Spacer koralowym brzegiem pozwala podziwiać setki malutkich kolorowych rybek, krabików, rozgwiazd wśród małych kolorowych polipów koralu. Najbardziej spektakularne są ławice kolorowych rybek, które jak na komendę uciekają lub zmieniają kierunek.

O zmierzchu wróciliśmy do domku. Na kolację dostałem talerz gotowanego ryżu i ugotowane liście, być może kasawy, podobne z wyglądu i smaku do naszego szpinaku. Nalsin, mimo że mieszka oddzielnie, jeszcze pracuje i żyje razem ze swoją rodziną. Ten skromny posiłek przygotowała jego matka. Dobrze wiedziałem, że ryż nie jest codzienną potrawą tych dobrych ludzi, po prostu mieli gościa.

Następnego dnia zamierzałem opuścić wioskę, jednak dobre warunki noclegu, sympatyczni ludzie, z którymi mogłem rozmawiać, sprawiły, że postanowiłem zatrzymać się o jeden dzień dłużej. Tym bardziej że dzisiaj pierwszy maja, w wiosce świętuje się dzień robotnika – świętego Józefa. Jak widać, nie tylko w Polsce jest to dzień świąteczny, ale tu, daleko na krańcu świata, na wyspie Malekula, ludzie też świętują.

Rano poszedłem z Nalsinem plażą w kierunku Mansur. Rozmawialiśmy o przyszłości młodych ludzi na wyspie, o nędzy, możliwościach wyjazdu i o tym, że nie mogą zbyt wiele zmienić w swoim życiu. Szczególnie trudno jest kobietom. Nie mają pieniędzy, więc sytuacja zmusza je do tego, by wieść życie takie jak rodzice. A dzisiaj młodym jest nawet trudniej niż dawniej. Ludzi jest coraz więcej, a ziemi pod ogrody nie przybywa. Pracy też nie ma, wszystko coraz droższe. Bez pieniędzy bardzo trudno cokolwiek począć. A jak przytrafi się choroba? Nawet ze zwykłym bólem zęba jest wielki problem, bo mieszkańcy muszą jakoś dostać się do lekarza, to aż trzydzieści kilometrów lub dalej. Za leczenie trzeba płacić.

Z wycieczki wróciliśmy w południe i akurat zdążyliśmy w czas, bo zaczęło mocno lać. Ulewa na szczęście była krótka, mimo to schroniliśmy się przed deszczem do jednej chatki, pewnie kogoś z najbliższej rodziny mojego gospodarza. Trafiliśmy na obiad, właśnie jedna z dziewcząt nakładała na talerze gotowane w całości warzywa. Wegetarianin nie miałaby tu problemu, gdyż mięso jest rzadkością. Gospodarz domu, dobra dusza z potężnym zarostem na twarzy, zapraszał nas na poczęstunek warzywem, jednak podziękowaliśmy za zaproszenie do stołu i po krótkiej luźnej rozmowie rozstaliśmy się.

Przez cały mój pobyt w wiosce Nalsin prawie nie rozstawał się ze mną. Nie chcąc, abyśmy stale mieli przy sobie jego kolegów, zaproponował mi wspólne odwiedzenie swoich krewnych, którzy mieszkają w głębi wyspy, w buszu. Zapewniał, że to tylko pół godziny marszu, ale jak tu można wierzyć, gdy u nich czas jest gumowy. Zgodziłem się, jakżeby inaczej, nie dyskutowałem.

Zeszliśmy z drogi na ścieżkę prowadzącą lekko pod górę. Do naszej wycieczki dołączył jeszcze kuzyn i tak w trójkę przedzieraliśmy się przez gęsty busz, a raczej ogrody uprawne mieszkańców. Jak takie ogrody wyglądają, już wcześniej pisałem. Przeciętnemu człowiekowi spoza tropików trudno rozpoznać jakieś rośliny uprawne, jak mu się ich nie pokaże palcem. A jednak ludzie z tak dziko wyglądających plantacji potrafią pozyskać duże plony. Szliśmy tak przez tę zieloną gęstwinę nawet

krócej, niż się zapowiadało, i dotarliśmy do trzech chatek na małej polance w dziko wyglądającym, wilgotnym buszu. Przemoczyłem prawie spodnie, a sandały całe miałem w błocie. Nie był to dobry pomysł – wybierać się po deszczu w gęstwinę, kiedy ścieżka nie ma więcej niż metr szerokości. Gdy podeszliśmy, w progu najsolidniej wyglądającej chatki siedziała dziewczyna, która bardzo się zdziwiła, gdy mnie zobaczyła w towarzystwie swoich kuzynów. Jestem przekonany, że szybko by uciekła, gdybym niespodziewanie sam się tu zjawił. Później wyszła starsza kobieta, jej matka. Tylko na chwilę zatrzymaliśmy się w obejściu. Kobiety pewnie zaspokoiliły swoją ciekawość krótką, niezrozumiałą dla mnie rozmową z krewniakiem.

Do wioski wróciliśmy inną ścieżką już pod koniec dnia, akurat trafiliśmy na przygotowywanie kawy. Nalsin jej nie pije, ale jego ojciec tradycyjnie nie przepuszcza okazji. Przyrządza ją w sposób podobny do tych już przeze mnie opisywanych. Nie skusiłem się na wypicie tego cierpkiego, mętnego napoju.

Jutro wyruszam dalej do następnej wioski. Nie spodziewałem się, że tak spokojnie i bez kłopotów będę przemieszczać się brzegiem tej dzikiej wyspy. Byłem mile zaskoczony tym, jak łatwo udało mi się porozumieć z tubylcami i znaleźć z nimi wspólny język. W moich podróżach po świecie nieczęsto spotykałem tak dobrodusznych ludzi, do których mogłem żywić zaufanie i sympatię.

## Łowcy niewolników

Swoją gehennę w zetknięciu z cywilizacją europejską przeżyły też ludy Melanezji i jest to niezbyt odległa od naszych czasów historia.

Idąc nadmorskim brzegiem, dobrze jest pomyśleć o losach tysięcy ludzkich tragedii spowodowanych zachłannością kilku cywilizowanych krajów świata Zachodu, dla których wolność obywatela jest dziś na pierwszym miejscu. O historii wyzysku i przemocy zniewolonej Afryki wszyscy słyszeli, chociaż było to dość dawno. O niewolnictwie i eksterminacji ludności wysepek na wschód od Australii wie niewielu. A przecież nie było to tak dawno.

Wyspy Melanezji jeszcze w XIX wieku nie miały praktycznie żadnego statusu prawnego. Dopiero stopniowo państwa europejskie zaczęły przygotowywać ten dziewiczy teren w sposób pod bezwzględna eksploatację i zaprowadzać korzystne dla siebie prawa. W tym czasie „prawem” na archipelagach na wschód od Australii były siła i przemoc.

Takimi archipelagami szczególnego okrucieństwa, przemocy stały się wyspy Nowe Hebrydy, Wyspy Salomona i archipelagi wschodniej Papui. Odkryte tam wtedy drzewo sandałowe stało się prawdziwą żyłą złota. Na wyspy przybywali ze wszystkich stron świata dezernerzy ze statków, zbiegli zesłańcy z karnych kolonii Nowej Kaledonii i Australii, kryminaliści ukrywający się przed sprawiedliwością. W pogoń za łatwym i szybkim zyskiem ruszyli również właściciele i kapitanowie szkunerów i wszelkiego rodzaju statków, którymi dało się przetransportować pachnące drewno sandałowe. Nowe źródło bogactwa można było łatwo zdobyć bez ponoszenia kosztów. Potrzebne były tylko transport i bezwzględne okrucieństwo. Aromatyczne drewno okazało się idealnym ładunkiem, był na nie olbrzymi popyt, szczególnie w Chinach. Aby statki z Australii nie pływały puste po herbatę do Azji Południowo-Wschodniej, szukano na nie ładunku. Takim właśnie towarem było drewno sandałowe.

Boom na nie zaczął się na Fidzi. W ciągu krótkiego czasu ogołocono z niego wyspy. W miarę jak zmniejszała się tam ilość tego cennego surowca, trzeba było go poszukiwać bardziej gruntownie. Wkrótce odkryto zasobne lasy na Nowych Hebrydach. Krajowcy początkowo nie zdawali sobie sprawy, jak cenne rosną u nich drzewa. Było ich w bród i na początku, w zamian za kawałki żelaza i inne bezwartościowe rzeczy, dostarczali je ochoczo na statki. Z drugiej strony kupcy handlujący tym słodko pachnącym drewnem zbijali ogromne majątki. Drogie drewno sandałowe wydzierano krajowcom pień za pniem. Już nie wystarczało żeglować od wysepki do wysepki i przyjmować tylko to, co na brzegu proponowali na sprzedaż wyspiarze. Trzeba było przeczesywać całe wyspy. Nie trwało długo, a odkryto bardzo zasobną w drewno sandałowe wyspę Erromango, a wkrótce bogate lasy sandałowca na sąsiedniej wyspie Espiritu Santo.

Ogromna pazerność i wymiana cennego surowca za śmieciowy towar w krótkim czasie wywołała

opór wyspiarzy. Nikt nie chciał niewolniczo pracować w górskim, wilgotnym buszu. Znani z wojowniczości i okrutnych międzyplemiennych walk tubylcy wkrótce wypowiedzieli nierówną wojnę cwaniakom i handlarzom. Jak długo mogły się jednak bronić te małe wyspiarskie społeczności przed coraz większym naporem białych? Ci nienasyчени handlarze jednak za nic nie odpuszczali i w dalszym ciągu „kręcili” swoje nieczne interesy. Okrucieństwo nie ma granic, jeśli chodzi o duże pieniądze. Od niepamiętnych czasów nie było idyllicznego spokoju pomiędzy mieszkańcami sąsiadujących wysp archipelagu. Zawsze lubowali się oni w wojnach i smaku pieczonego mięsa pokonanego wroga. Takie wewnętrzne układy wykorzystywali z powodzeniem do swoich celów handlarze, kapitanowie szkunerów czy innych statków. Mieszkańcy Erromango i innych wysp szybko przekonali się o manipulacjach białych. Wkrótce zaczęli się buntować i przestali dla nich pracować. Trzeba było zmuszać ich siłą. To nie starczyło, więc przymusowo ściągano wrogo nastawionych krajowców z sąsiednich wysp. Umyślnie wykorzystywano miejscowe antagonizmy, konfliktowano ich, siano zamęt, a wszystko w jednym celu – by siłą i podstępem łatwiej zmuszać ludzi do pracy. Mordy, terror i łapanki rozprzestrzeniały się z wyspy na wyspę. Krajowców porywano z brzegów lub uprowadzano z wiosek wszelkimi możliwymi sposobami. Wykorzystywano w tym procederze straszliwą pomysłowość i krwawą przedsiębiorczość.

Podam tu kilka przykładów tych łajdactw i metod podstępnego zwabiania tubylców. Łowcy przebierali się za misjonarzy, stąpali uroczyście po pokładach swoich szkunerów przystrojeni w prześcieradła imitujące komże. Udając kościelne obrzędy, z poważnymi minami rozdawali wydarte ze starych książek kartki. Śpiewali przy tym nabożne pieśni. Niektórzy, naśladując zwyczaje misjonarzy, wozili ze sobą fisharmonię. Gdy przybywali na odludną wyspę, udawało im się zgromadzić na pokładzie tłum tubylców. Wówczas załoga rzucała się na bezbronnych wyspiarzy i pałkami zapędzała ich do ładowni. Potem zamykano luki i szkuner odpływał, by powtórzyć ten scenariusz gdzie indziej. Nieludscy kapitanowie i handlarze wyrzucali bez skrupułów za burtę dzieci i starców, niemających wartości rynkowej. Jeśli nie udawało się zwabić krajowców na pokład, atakowano łodzie tubylców na morzu i wyławiano ich załogi.

Jednym z ulubionych sposobów było wożenie na statku przynęty. Był nią krajowiec, który mówił, że jest zamożnym robotnikiem z plantacji. Jego zadaniem było rozprowadzanie wszystkim chętnym słuchaczom o rozkoszach pracy i łatwej do zdobycia fortunie. Taki trik, choćby najlepiej odegrany, udawał się zazwyczaj tylko raz. Łowcy niewolników musieli niemal na każdą wyprawę wymyślać nowe sposoby. Jednak na dłuższą metę najprościej było polegać na jawnym porywaniu ludzi lub na płaceniu możnemu wodzowi za dostarczony żywy towar. By tego dopiąć, nie było niegodziwości, do której handlarze niewolników by się nie zniżyli. Jedną z takich metod polegała na pomaganiu krajowcom w łowach na ludzkie głowy.

Na Wyspach Salomona i Papui istniał taki zwyczaj, że młody mężczyzna, zanim dopuszczono go do pełnej godności wojownika i nim mógł pojąć żonę, musiał dostarczyć do swej wioski głowę zabitego przez siebie wroga. Handlarze wpadli na pomysł, by zawozić takich młodych mężczyzn na odludne wyspy, gdzie niezwyčajni takich praktyk mieszkańcy padali łatwą ofiarą. Tych nowo opierzonych wojowników odwożono z powrotem na ich własne wyspy, gdzie odpłacali się za wyświadczone usługi pewną liczbą krzepkich niewolników. Ładunek około stu ludzi przynosił ogromny zysk.

Na koniec opowiem o jeszcze jednym intratnym sposobie: opłacało się raczej ucinąć głowy potencjalnym pracownikom i nimi handlować niż transportować żywy towar. Świadczy o tym pozostawiony zapisek księdza stacjonującego na jednej z Wysp Salomona. Proceder polegał na tym, że biały kapitan zabierał na pokład łowców głów z północnej części wyspy i pomagał im zdobywać głowy mieszkańców jej południowej części, których północni sąsiedzi zawsze usiłovali sobie podporządkować. Za okazaną w tym względzie pomoc zezwalało kapitanowi zabierać w powrotnej drodze na północ niewolników lub głowy zabitych. W tamtych czasach w Sydney nie było niczym szczególnym spotkać na rynku zasuszoną głowę „dzikusa” i ją kupić. Wielu zajmowało się tym zyskownym interesem. Był XIX wiek, proceder handlu ludźmi ściągano z urzędu, ale kto by w to wnikał.

W Europie trwały wojny, więc nikt nie przejmował się tym, co działo się tutaj. Nawet nie słyszano o okrucieństwach na drugim końcu świata. Krajowcy bronili się, jak potrafili. Chęć zemsty była przyczyną wielu krwawych starć. Niejeden z bandytów, łapaczy i ich pomagierów kończył w ziemnym

piecu jako laplap. Wyspiarze nie próżnowali, mścili się, wiele statków udało im się opanować, a załogi zjeść. Najgorętszym pragnieniem krajowców było zobaczyć rozbity szkuner i urządzić sobie z jego załogi, o ile była jadalna, ludożerczą ucztę. Niektórzy smakosze kręcili nosem na pieczeń z handlarzy niewolnikami, tłumacząc to tym, że mięso ich było przesiąknięte rumem, w którym marynowali się za życia. Niejeden piękny, drewniany, mały bryg czy szkuner, doskonale trzymający się na wodach Morza Koralowego, nie zawsze sprostał warunkom panującym wśród mnóstwa podwodnych raf i kończył swój żywot pod wodą. Wtedy los załogi był przesądzony.

Do darmowej pracy dalej stale brakowało robotników. Nieskonfederowane wówczas jeszcze rządy Australii wydawały mnóstwo pieniędzy na opłacanie agentów wysyłanych do Anglii po to, by skłonić Anglików do emigrowania. Australia na gwałt wymagała zaludnienia. Pionierska gospodarka na wschodnim wybrzeżu, w Nowej Południowej Walli, stale potrzebowała robotników do karczowania buszu i pracy na plantacjach bawełny i zbóż. Do roku 1840 plantacje wschodniej Australii zasilane były tanią siłą roboczą z angielskich więzień, ale to nie starczało. Australijski tubylec – aborygen – nie nadawał się do pracy, nawet spod przymusem. Jeszcze po odpowiednim wyszkoleniu mógł zostać kowbojem, ale do szarej monotonnej pracy na roli nie był stworzony. Delikatni Polinezyjczycy ze wschodniego i środkowego Pacyfiku również nie nadawali się do długotrwałego wysiłku. Natomiast krzepcy łowcy głów i ludożercy z Melanezji, raz poskromieni, mogli stać się tu znakomitymi robotnikami. Krajowcy z Nowych Hebryd, większej części Wysp Salomona i nadbrzeżnych okolic Nowej Gwinei oraz z pobliskich wysp byli silni fizycznie i nadawali się na pierwszorzędnych pracowników.

Nastaly trudne czasy dla łapaczy niewolników, coraz trudniej było nielegalnie działać na wyspach, niewolnictwo ścigano z urzędu. Przebywający na wyspach misjonarze również zaczęli przeszkadzać i informować władze o nieludzkim procederze uprawianym przez białych na wyspach. Europa nie zapewniała wystarczającej liczby rąk do pracy, w pobliżu zaś jeszcze można było bez dużych kosztów zdobyć siłą roboczą. Przedsiębiorczy, żądni zysków cwaniacy zawsze znajdowali jakiś sposób na ominięcie prawa. Jedną z metod werbunku było kupowanie ludzi od wodzów wiosek. Polegało to na opłacaniu ich nędznymi podarkami. Wysyłanym wyspiarzom obiecano bogactwa, łatwe do zdobycia fortuny. Umawiano się, że po odświeżeniu określonego czasu zatrudnienia zostaną odwiezieni z powrotem na rodzinne wyspy. Z doświadczenia wiedzieli i uważali na to, żeby od każdego wodza przyjmować tylko ograniczoną liczbę ludzi. Każda taka mała grupka bała się innych, nie mogła się porozumiewać i spiskować przeciwko wywożącym ich załogom statków. Często krajowcy nawet nie wiedzieli, dokąd i po co płyną. Małe statki z powodzeniem krążyły między wysepkami i w ten sposób przewożono całe partie „zwerbowanych” do pracy ludzi. Już nie zwożono ich jako porwanych, a zaczęto na dużą skalę manipulować nieszczęśnikami przy pomocy fikcyjnych umów. Transporty biedaków dostarczane były w różne miejsca, nawet bardzo odległe – do Australii, na Fidżi czy na Tahiti lub nawet na drugą stronę oceanu, do Peru – gdzie traktowano ich jak niewolników. Im dalej ich wywożono, tym mniejszą mieli nadzieję na powrót. W Australii oficjalnie nie było niewolnictwa, ale warunki pracy i nędznego wynagrodzenia oszukanych ludzi okazały się tragiczne. Tylko niektórzy stali się dobrymi robotnikami, inni zaś niewiele byli warcy. Kiedy zbiegali, co zdarzało się często, nie można było ich zmusić do powrotu, bo formalnie nie byli niewolnikami. Oszukanych, wałęsających się bez pracy wyspiarzy trudno było zainteresować hodowlą owiec czy pracą w polu. Co gorsza, biali skazańcy sądzili, że mogą stanowić dla nich konkurencję na rynku pracy. Wielu byłych więźniów było zatrudnionych na wielkich farmach i to oni właśnie stosowali przemoc wobec nieszczęsnych wyspiarzy. Niektórzy z uprowadzonych na szczęście przystosowali się do nowego miejsca, znaleźli zatrudnienie w porcie Sydney jako dokerzy, marynarze czy wielorybnicy. Te oszustwa i nieludzkie praktyki i tak nie rozwiązały problemu siły roboczej w Nowej Południowej Walii. Tym, co mieli szczęście, udało się powrócić do swoich ojczyzn. Inni wywiezieni nigdy już nie zobaczyli swoich rodzin. Nie da się teraz zrekonstruować statystyki niewolnictwa. Handel ludźmi był od początku do końca procederem strasliwym i stanowił główną przyczynę wyludnienia wielu wysp Pacyfiku.

Z Nowych Hebrydów wywieziono tak wielu krajowców, że do pracy na tamtejszych plantacjach Francuzi musieli później sprowadzać Chińczyków i kulisów z Indii. Na wielu wyspach Melanezji pamięć

o strasznym losie przodków nie wygasła aż do dziś. Trudno będzie zapomnieć brutalną kolonizację Australii, pełne okrucieństwa wydarzenia, które wykrwawiły i naznaczyły rdzenne społeczności na zawsze.

## Kilka dni w Fartavo nad Banam Bay

Do wioski Fartavo z miejscowości Burbar jest tylko siedem kilometrów. Idę urokliwą trasą blisko brzegu zatoki, ale tylko raz dróżka schodzi prawie nad wodę. Dookoła nieprawdopodobna gęstwina roślin. Może nie ma tu obfitości życia zwierzęcego czy roślinnego, którą eksploduje Amazonia. Prawdziwa dżungla jednak, z jej mroczną wilgocią, nie da się porównać z urokami, które stwarza natura w tym rejonie świata, na styku morza i łądu. Wszędzie intensywna, bujna zieleń przybrana czerwonym kwieciami hibiskusa, bugenwilli, storczykami przyczepionymi do pogiętych pni drzew. Gdzie tylko znajdują oparcie, liany pną się w górę, czepiając się konarów. Epifity otulają smukłe pnie palm jak pasożyty. Ten oszałamiający widok wywołuje u mnie podziw i zamyślenie.

Dzisiaj od samego świtu jest śliczna, słoneczna pogoda. Jest też bardzo duszno, to charakterystyczna cecha centralnie położonych wysp archipelagu Vanuatu. Na przestrzeni około tysiąca kilometrów rozciągłości wysp z północy na południe klimat dość znacznie zmienia szatę roślinną, która na obu jego krańcach jest uboższa. Dziwne, ale nawet flora Archipelagu Banksa na północy, bliżej równika, nie dorównuje Malekuli. Pomimo że ranna mgła nad gęstym zielonym buszem szybko znikła, jest bardzo parno i wilgotno.

Stale myślę, czy mój sprzęt fotograficzny wytrzyma te warunki. Dawniej martwiło się bardziej o stan filmów, a teraz o zawodną często elektronikę i ograniczoną możliwość ładowania akumulatorów. Nie wszędzie w wioskach ludzie mają chociażby nawet agregaty prądotwórcze. Nie mieli w wiosce Bourbar, która została za mną.

Przechodzę przez dwa spore strumienie przecinające drogę. Jeśli nie będzie padać, w najbliższym czasie staną się zwykłymi strużkami. Teraz woda nie sięga mi nawet kolan. Ostrzegano mnie przed problemami jedynie podczas przechodzenia przez jedną rzeczkę, ale tylko wtedy, gdy będą duże opady. Podobno zaraz po deszczu jest nie do przebycia, ze strumienia powstaje tam wtedy rozlewisko szerokie na kilkaset metrów. Niewinna rzeczka nazywa się Pankomuou i wpada do oceanu za wioską Tisman. Do tego miejsca jeszcze sporo drogi, więc po co się przejmować na zapas, tym bardziej że wysoki stan wody utrzymuje się na szczęście tylko krótko po opadach.

Przy drodze nie widać zabudowań, ale w pobliżu tu i ówdzie widzę pracujących ludzi. Pewnie jestem przyczyną zainteresowania, bo przystają i bacznie mi się przyglądają. Droga po kilku kilometrach skręca w lewo i oddala się od pobliskiego brzegu. Wkrótce po lewej stronie mijam polankę i kilkanaście chat w otoczeniu smukłych palm kokosowych oraz innych, nieznanym mi drzew użytkowych. Moje niespodziewane nadejście spowodowało małe zamieszanie i wrzaski dzieciaków. Bystre maluchy zauważyły mnie i pobiegły do swoich chat z wieścią o przechodzącym białym. Nie zatrzymuję się, bo to nie może być jeszcze wioska Fartavo, do której idę.

Wędruję jeszcze dobry kilometr i wkrótce ukazują mi się brzeg zatoki oraz pierwsze chatki. Zabudowa jest tu podobna do tej w poprzedniej wiosce, ale nie jest to już malutka osada, tylko znacznie większa. Według oznaczenia na mapce może tu mieszkać około dwustu osób. Wioska leży nad piękną zatoką Banam. W drugiej wyprawie po Pacyfiku kapitan Cook nadał jej nazwę, która została do dzisiaj – Banam Bay. Z dziennika wyprawy dowiadujemy się, że przez dziesięć dni okręty wyprawy przebywały na pobliskich wodach. W tym czasie słynny odkrywca sporządził doskonałą mapę brzegu wyspy i krótko opisał jej mieszkańców. W pierwszej chwili nazwa kojarzy się ze słodkim bananem, ale z przekazów dowiadujemy się, że wcale o to nie chodzi. Kiedy łódź dopłynęła do brzegu i wysiadł z niej kapitan Cook, pierwszym usłyszonym słowem było wielokrotnie powtarzane w niezrozumianym języku, głośno wypowiedziane: „banam, banam, banam”. Po pewnym czasie wyjaśniło się, że słowo to oznacza jakiegoś ptaka, jednak do dzisiaj nie wiadomo, o co chodziło wypiarzom i czemu to słowo było tak dla nich ważne. Poprzednia odkryta zatoka na południu wyspy nazwana była nazwiskiem lorda Admiralicji, Sandwicha, a to piękne zaciszne miejsce na kotwicowisko Cook nazwał Banam Bay i tak zostało do

dzisiaj na wszystkich mapach.

Wioskę od wschodu osłania wysunięty na półtora kilometra w głąb morza gęsto zalesiony półwysp. Takie korzystne, osłonięte od wiatrów i fal oceanu położenie zabezpiecza mieszkańców przed częstymi tajfunami. Natomiast od strony zachodniej wiatry czy huragany tłumią pokryte gęstym buszem kilkusetmetrowe wzgórza. Długość na siedem kilometrów sandałowej plaży w kształcie półkola nie pokrywają pospolite na wyspie zarośla mangrowe. Chociaż plaża nie jest szeroka, to nawet w czasie przyływu da się przejść brzegiem i nie trzeba wchodzić w busz.

W oddali, około czterdzieści kilometrów na wschód widać wyraźnie wyspę Ambrym ze snującym się z krateru wulkanu szarym dymem. Gdy bardziej przypatrzymy się morzu, za Ambrym, na horyzoncie, dość dobrze widać pasek lądu podłużnej wyspy Pentecost. W linii prostej to około 70 kilometrów.

Proste, mizerne chatki w Fartavo stoją po obydwu stronach drogi, są zgrupowane prawie w jednym miejscu i zajmują tylko część rozległego brzegu zatoki. Pierwsze, co zwraca moją uwagę, to niezwykła malowniczość krajobrazu zatoki i wkomponowana w otoczenie wioseczka. Nie zobaczymy tu betonu, cegły, falistej blachy – sama natura.

Gdy ogarnąłem wzrokiem tę piękną okolicę, natychmiast postanowiłem zatrzymać się tu na nie mniej niż trzy dni. Ale najpierw muszę poprosić szefa wioski o pozwolenie. Pierwszy mieszkaniec, którego poprosiłem o zaprowadzenie do niego, powiedział, że muszę się cofnąć o ponad kilometr, właśnie tam, skąd przyszedłem. Dowiedziałem się, że szefem wioski Fartavo jest Sam. Niedawno przechodziłem tamtędy, było to tam, gdzie baraszkowały małe golaski, które narobiły tyle hałasu. Teraz więc muszę wracać, ażeby załatwić sprawę pobytu. Bez oficjalnego pozwolenia nie wypada nocować, takie zachowanie podkopałoby autorytet zarządzającego wioską.

Aby nie targać piętnastu kilogramów w straszliwym upale, rozstaję się z plecakiem, prosząc kogoś o przetrzymanie do mojego powrotu. Nawet nie pomyślałem, że mogę nie dostać zezwolenia na kilkudniowy pobyt w wiosce, więc rażno wracam. Po drodze rozmawiam z młodym mieszkańcem, który zaoferował zaprowadzić mnie do szefa. Z rozmowy dowiaduję się, że oddalona od głównej wioski osadka, składająca się z kilkunastu chatek, należy do dużej rodziny Sama.

Wódz wioski, do którego wkrótce przyszliśmy, to czterdziestokilkuletni, dobrze zbudowany mężczyzna o pogodnej i wesołej twarzy. Jest na bosaka, ma na sobie tylko szorty. Nigdy bym nie zgadł, że może mieć coś wspólnego z władzą. Wkrótce okazał się dobrym znajomym mojego przewodnika. Początkowo na mój widok obnosił się trochę majestatycznie, ale gdy krótko opowiedziałem o wcześniejszym pobycie w wioskach Lamap i Burbar, zmiękł całkowicie i na koniec zaprosił pod swoją pandanusową strzechę. Tam zostaliśmy uraczeni chłodną zawartością kokosowych orzechów.

Jak przypuszczałem, mogę zatrzymać się w wiosce. Sam zapytał tylko, jak długo chcę zostać. Poprosiłem na razie o trzy noclegi, a potem zobaczę, bo tu nigdy nie wiadomo, co z pogodą. Gdyby padało, zatrzymam się na dłużej. Ostatnie dwa dni była piękna pogoda, ale jak długo tak będzie?

Wszystko zależy od kierunku wiatru o tej porze roku, to jest w maju. Jeśli wiatry wieją z południowego wschodu, co ostatnio ma miejsce częściej, będzie padać. Jeśli wiatr nadejdzie z północnego zachodu, będzie sucho, jednak tego ostatniego na Malekuli jest znacznie mniej. Teraz przyjdzie kolej na znalezienie miejsca, gdzie mógłbym ewentualnie mieć najlepsze warunki noclegu. Nie jest to łatwa sprawa dla Sama. Poczuję się trochę nieswojo, chociaż nie pokazałem tego po sobie. Wiedziałem, że zrobiłem moim niezapowiedzianym pobycem kłopot tym sympatycznym i serdecznym ludziom. No cóż, w Fartavo nikt nie prowadzi jakiegokolwiek domu noclegowego dla białych turystów. Teraz Sam musi znaleźć kogoś, kto zechce mnie przenocować, a nawet użyczyć czegoś do zjedzenia.

Wydawałoby się, że wódz w gaciach nie ma właściwie żadnych obowiązków społecznych, ale tak nie jest. Obecnie na Vanuatu szefowie wiosek reprezentują władzę państwową. Swoje obowiązki pełnią za ustalone przez rząd wynagrodzenie. Wódz zostaje zwierzchnikiem przez dziedziczenie tego stanowiska po ojcu. Dawniej, w czasie specjalnej ceremonii, wszyscy mieszkańcy klękali przed nowym naczelnikiem i ślubowali mu posłuszeństwo. Gdy stary wódz umarł, istniał unikalny ceremoniał, którego dopełnić musiał następca. Nowy wódz musiał mianowicie kopnąć stopę zmarłego ojca i przejść pod jego uniesionym ciałem na drugą stronę. Po tym dopiero można było dokonać obrzędu pogrzebu. Na

niektórych wyspach wodzowie nie muszą być synami naczelników, lecz mogą być wybierani z rodziny zmarłego.

Na ogół szef wioski zajmuje się trzema rodzajami spraw. Pierwsza i najważniejsza to regulowanie sporów we wsi lub z sąsiadami, które niegdyś, jeśli nie zostały załatwione, prowadziły do częstych wojen, nawet w obrębie jednej grupy językowej. Drugi rodzaj to wyznaczanie kar za takie przewinienia, które może osądzić w zakresie swojej władzy. Poważne przestępstwa podlegają ściganiu z urzędu. Dawniej wódz mógł karać również śmiercią. Obecnie w kompetencji szefa mogą być kary pieniężne, w naturze, to jest w świniach, matach, płodach rolnych, czy praca na rzecz wioski. Taka też jest najczęściej wymierzana. Trzeci rodzaj jego zajęcia to funkcje reprezentacyjne, a więc celebrowanie ślubów i innych uroczystości w wiosce. Tych ostatnich jest naprawdę sporo w ciągu roku.

Najważniejszą i wymagającą najwięcej czasu częścią współczesnych obowiązków wodza są sprawy damsko-męskie. Gdy mężczyzna i kobieta zawarli związek małżeński w sposób zwyczajowy, jest on dożywotni. Ani wieś, ani wódz nie uznają rozwodów. Współcześnie te sprawy stanowią dla szefa wioski znacznie większy problem do rozwiązania niż dawniej.

Do lat pięćdziesiątych jednym z ciekawszych zwyczajów na wyspach było, bo potem powoli ten sposób postępowania zanikał, zapewnienie azylu i ochrony w domu wodza. Dom szefa wioski nazywał się farea. Służył nie tylko do zebrań starszyny wioskowej zwoływanych w ważnych sprawach, ale stanowił szczególne miejsce schronienia dla kogoś, kto zabił człowieka. Morderca lub zabójca, który sam się zgłosił pod ten dach, był tak długo bezpieczny, póki go nie opuścił. Jeszcze dzisiaj wspominają o tym najstarsi wyspiarze.

Nasze spotkanie u naczelnika skończyło się na tym, że teraz mamy wrócić do wioski i tam na niego poczekać. Nie mam się martwić, jakieś miejsce do spania postara się dla mnie zorganizować. Mój pobyt w wiosce, przynajmniej tak mi się wydaje, wzbudził zaciekawienie większe, niż się spodziewałem. Wróciliśmy, odebrałem plecak. Na razie, bym nie stał na zewnątrz w otoczeniu ciekawskich, mój tymczasowy opiekun zaprowadził mnie do malutkiej plecionej chatki, nie większej jak trzy na cztery metry. Rozgościłem się na rozłożonej na podłodze plecionej macie, podłoga to, jak zwykle tutaj, rozsypany potłuczony koral. Nieco zmęczony, wyciągnąłem się na macie, wyjąłem aparat fotograficzny i mapkę wyspy, by się czymś zająć.

Pomyślałem, że dobrze byłoby tu zostać. Taka przewiewna chatka bardzo by mi odpowiadała na czas pobytu. Dzisiejszy straszny upał i duchota w tradycyjnej chatce są całkiem do wytrzymania. Przez szpary plecionych ścian domku przenika powietrze i jest wystarczająco jasno, nawet bez okienek. Z powodzeniem da się czytać gazetę. Solidny dach z liści palmowych chroni od słońca. Zastanawiam się nad zapłatą, bo przecież na czas mojego pobytu ktoś musi opuścić swoje mieszkanie.

Odpoczynek trwał króciutko, niebawem do środka weszła kobieta. Nie wierzyłem własnym oczom, bo nie zamawiałem żadnego posiłku. Kobięcina przyniosła mi pełen talerz jedzenia i postawiła obok na macie, najbardziej pospolitym „meblu”, który służy tutaj jako stół, krzesło i łóżko. Mieszkańcy wioski znają trochę angielski, dlatego mogłem porozumieć się z sympatyczną, stale śmiejącą się Etlin, bo tak miała na imię. To ona właśnie przygotowała mi gotowane banany w kokosowym mleku, fasolkę szparagową, taką samą jak u nas, i – o zgrozo – kawałki rozdrobnionego tuńczyka z konserwy. Nie wybrzydzałem, chociaż tuńczyk popsuł smak jedzenia. Wiedziałem ponadto, że gospodyni musiała specjalnie dla mnie kupić konserwę. Poprosiłem ją, by – jeśli będzie następnym razem przygotowywała jedzenie dla mnie, – podała to samo, co je jej rodzina.

Nie siedziałem beczynnym, spacer pomiędzy chatkami a plażą oraz prosta konwersacja z sympatycznymi i dobrodusznymi wyspiarzami umiliły mi oczekiwanie na Sama. Prawie stale ktoś mnie zagadywał, zawierał ze, mną znajomość. Zdecydowanie wszystkie zadawane mi pytania były proste i podobne. Skąd przyjechałem, dokąd idę, dlaczego idę pieszo, a nie jadę samochodem, czy mam żonę, dzieci, czym się zajmuję, po co przyjechałem itp. Przy okazji dowiedziałem się, że w zeszłym roku pewna dziewczyna z Francji też zatrzymała się tu na pewien czas. Domyślałem się, że większość rozmówców darzy mnie sympatią. Sądzę, że jestem dla nich jakimś urozmaiceniem monotonnego życia.

Zdziwiłem się, gdyż szef nie przyszedł pieszo. Przyplłynął dhubanką, być może coś chce przewieźć łodzią. Tylko wtedy opłaca się przepłynąć ten kawałek, by nie dźwigać ciężaru na plecach.



Nie wiem, kiedy nastąpiły jakieś ustalenia co do mojego pobytu, bo Sam zaraz po wyjściu z łódki zaprowadził mnie do Edwina i polecił, abym zamieszkał przy jego rodzinie. Mam wszystko osobiście z nim ustalić, czyli koszty noclegu i ewentualnych posiłków. Nie wiem, czy swoim nagłym pojawieniem się nie sprawiłem tej rodzinie kłopotu. Z zachowania i twarzy Edwina nie byłem w stanie tego dociec, gdyż jego sympatyczna gęba była stale uśmiechnięta. Przyjął mnie, jak gdyby to było normalne.

Jego rodzina zajmuje pięć małych chatek, z których jedna to kuchnia z piecem ziemnym na środku. Wszystkie stoją blisko siebie, a dodatkowo w pobliżu jest jeszcze mała odkryta wiata. W cieniu jej zrobionego z liści dachu spędza się najwięcej czasu, szczególnie kobiety, które całymi dniami pichcą jedzenie. Chatki położone są dosłownie o kilkanaście metrów od brzegu zatoki. Od razu domyśliłem się, że Edwin jest kimś znacznie szerszym w Fartavo. Wkrótce już wiedziałem, że jest pastorem prezbiterian. Ten miły, trzydziestoletni, zawsze uśmiechnięty facet jest totalnym milczkiem, niezadającym żadnych pytań. Sam musiałem zaproponować, uzgodnić i prawie wymóc wynagrodzenie za mój pobyt z jednym posiłkiem dziennie. Na czas mojej obecności rodzina przekazała mi chatkę, abym mógł mieszkać oddzielnie. Domyślałem się, że sprawiłem im jakiś kłopot, ale może tych kilka dolarów, które tu zostawię, zrekompensuje im to.

Edwin z żoną mają ośmioletnią córkę i młodszego syna. Z rodziną mieszka jeszcze na stałe siostra Edwina, wciąż uśmiechnięta i wesola Etilin. To ta sama, którą już wcześniej poznałem. O tym, że jest siostrą mojego gospodarza, dowiedziałem się później. Ta młoda, sympatyczna kobieta, nie wiem, czy zamężna, czy wdowa, też ma dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę, w podobnym wieku.

Edwin zaprowadził mnie do uprzątniętej chatki, w której mam mieszkać. W mojej małej, przewiewnej chatce na podłodze leży tylko pleciana mata. Do spania mam dmuchany materac i moją rozwieszoną nad nim moskitierę, to wszystko. Nie widziałem u nich moskitier.

W Fartavo nie ma prądu. Prawie dwanaście godzin jest ciemno, ale dla miejscowych to nie problem, są do tego przyzwyczajeni. Dla mnie tyle ciemności to za długi czas, więc z powodzeniem posiłkuję się czołówką, przy której mogę swobodnie czytać.

Zawsze na początek w nowym miejscu pobytu muszę zasięgnąć informacji o tym, gdzie mogę ładować akumulatorki do sprzętu fotograficznego i czy ktoś w wiosce wypieka chleb. Na szczęście dowiedziałem się, że agregat prądotwórczy ma szef wioski, a przy okazji też u jego żony mogę kupić pieczywo, jeśli akurat upiekła. Moje baterie były na wykończeniu, więc nie mogłem zwlekać i po południu spacerkiem wąską plażą wybrałem się do Sama, by naładować baterie, a przy okazji zapytać o pieczywo.

Rozpoczyna się przypyływ, z każdą falą przybywa wody i plaża staje się coraz węższa. Idę po jeszcze niezalanym brzegu, ale pod koniec muszę już wejść w gąszcz roślin. Mimo bliskości wioski brzeg jest dziki, nieuczęszczany z uwagi na uciążliwe zarośla i krzaki. Podczas odpływu droga brzegiem jest dość wygodna. Przechodzę przez polanę z wysmukłymi palmami kokosowymi i już jestem w pobliżu kilkunastu chatek należących do klanu Sama. Mam wrażenie, jakbym znalazł się w przedszkolu. Między chatkami z wrzaskiem biega cała gromada dzieciaków. Zbliżając się, sądziłem, że to ja jestem powodem tego krzyku. Dopiero po chwili zobaczyłem prawdziwą przyczynę hałasu. Zza jakiejś chatki wybiegło z kijem w ręku liściaste straszdyło z trupią maską na twarzy. Ten liściasty duch gonił i lał kijem, kogo tylko zdołał dopaść. To biegające dziwadło robiło taki szelest liśćmi, że i dorosły by się wystraszył. W czasie tej niezrozumiałej i dziwnej zabawy widziałem dorosłe kobiety chowające się po chatkach. Nawet mnie nie pominął, podbiegł blisko z tupotem i odważył się machnąć kijem blisko mojej głowy.

Pomimo pewnej władzy osada Sama i jego dużej rodziny niczym szczególnym się nie wyróżnia. Zabudowania są takie same jak w wiosce, wcale nie solidniejsze, a w otoczeniu ponurego lasu wydają się nawet biedniejsze. Co więcej, w centrum wioski nie widziałem biegających na golasa maluchów, tu zaś prawie wszystkie hasają bez jakichkolwiek łaszków.

Sama spotkałem przed chatką, siedział na ławce z krewniakiem. Ze smakiem zajadali coś z talerzy trzymany w ręku. Z powodu późnej pory dziś już nic nie udało mi się załatwić. Uzgodniliśmy, że jutro przyjdę wcześniej i tylko zapłacę za paliwo do agregatu, by naładować akumulatorki. Ponadto będę mógł liczyć na pieczywo. Na moją prośbę żona Sama zamiesi ciasto. Pożegnałem się, bo szybko robiło się ciemno, i musiałem przyspieszyć kroku.

## Historia odkrycia Vanuatu Qeiros żeglarz – mistyk

Już od rana w wiosce wielka krzątanina. Powodem są święta. Nie jedno, ale dwa za jednym razem. Pierwsze to święto kościelne – Pięćdziesiątnica – w Polsce obchodzone jako Zesłanie Ducha Świętego, a na Vanuatu jako Pentecost. To drugie święto jest świeckie – Dzień Matki.

Dzisiaj obudziłem się wyjątkowo wcześnie, a że nie lubię leżeć bezczynnie, poszedłem na pobliski brzeg. Tak wcześnie zawsze jest najwyższy przyptyw i nie widać brzydkich ciemnych skał koralowych na płytkiej wodzie zatoki. Pomyślałem o uroczystościach w wiosce.

Zagłębiłem się w myślach. Na Pięćdziesiątnicę mówią tu Pentecost, co skojarzyło mi się z wyspą Pentecost. Tutaj, z brzegu, słabo, ale widać jej cienki długi skrawek, chociaż tylko północną część, bo pozostałą zasłania pobliska wulkaniczna wyspa Ambrym. Nie piszę o niej bez przyczyny. Tak się złożyło, że dokładnie dzisiaj, 5 maja, mija 405 lat od roku 1604, kiedy to z okrętu Pedra Fernándeza de Quirósa dostrzeżono ten ląd po raz pierwszy. W tych czasach kalendarz świąt kościelnych był wyznacznikiem, na podstawie którego nadawano nowo odkrytym miejscom nazwy związane z religią. Nie potrzeba było nic wymyślać. Właśnie wtedy przypadało Zesłanie Ducha Świętego i tak nowo odkryta wyspa nazywana jest od tego czasu.

Quirós to ostatni z odkrywców wysp Pacyfiku. Był Portugalczykiem, przez kilka lat zatrudniał go jako pilota hiszpański żeglarz – Alvaro de Mendaña. Jego okręty wypłynęły z Peru, pokonując wielkie przestrzenie oceanu, i dotarły do Wysp Salomona oraz Santa Cruz. Niestety oprócz odkrycia tych archipelagów, a wcześniej archipelagu Markizów, próba założenia kolonii na Santa Cruz skończyła się fiaskiem, druga zaś wyprawa śmiercią odkrywcy. Resztką załogi, z Quirósem na czele, po wielomiesięcznych trudach powróciła do Peru. Nie odkryto La Tierra Australis, a tym samym nie poszerzono świata chrześcijańskiego, o co tak bardzo zabiegali Hiszpanie.

Quirós, po powrocie z drugiej, bardzo tragicznej, żeglugi z Mendañą, podczas której o mało nie zginął, wcale nie zmienił zdania co do dalszych odkryć. Ze wszystkich ludzi przede wszystkim jemu południowo-zachodni Pacyfik powinien być się dać we znaki. Było odwrotnie. Quirós powrócił jako niemal fanatyczny zwolennik dokonywania dalszych odkryć na Morzu Koralowym. Jako dowódca chciał wszelkimi sposobami zorganizować kolejną wyprawę w poszukiwaniu wyspiarskiego eldorado po drugiej stronie oceanu.

Wielkim argumentem przemawiającym za organizowaniem takich wypraw było wtedy nawracanie na prawdziwą wiarę pogan zamieszkujących nowe, nieodkryte lądy. Jednak dla tej koncepcji ani w Peru, ani w Hiszpanii nie znalazł poparcia, zwłaszcza że niedawne dwie kosztowne ekspedycje były nieudane. Quirós nie rezygnował, stał się bardzo pobożny, do tego stopnia, że jego religijne uniesienie wielu irytowało. W ubogich szatach pielgrzyma wyjechał do Rzymu, by spotkać się z papieżem. Rada kosmografów i geografów zwołana przez papieża w celu rozpatrzenia teorii Quirósa była pod wielkim wrażeniem jego żarliwych argumentów, których jednak istoty nie potrafiła osądzić. Wysłuchała niezwykłych opowieści o ogromie pogańskich posiadłości na dalekim południu. Papieżowi wystarczył fakt, że miliony dusz wyczekują zbawienia.

Quirós wyjechał z Rzymu. W sakwie miał list papieski do króla Hiszpanii i kawałek drzewa z Krzyża Świętego. Z takimi argumentami bez trudności uzyskał rozkaz królewski do wicekróla Peru, polecający wyposażyć go na wyprawę w okręty i ludzi oraz udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy. W 1603 roku Quirós wyruszył z Hiszpanii do Peru. Niedaleko od celu, u wybrzeży Ameryki Południowej, statek się rozbił, jednak ocalony żeglarz się nie poddał.

Po wielu, trwających dwa lata, perypetiach i po pokonaniu wielu przeszkód wicekról dostarczył dwa niewielkie statki, z których jeden miał 150, a drugi 100 ton wyporności. Oba były niedostatecznie wyposażone. Wicekról, korzystając z okazji do pozbycia się niepożądanych ludzi, zappełnił okręty mętami, wśród których znalazło się kilku najgorszych wyrzutków społecznych z Peru. Na oba statki zaokrętowano około trzystu ludzi, w tym sześciu zakonników i kilku braci zakonnych. Zastępcą Quirósa, a zarazem kapitanem drugiego statku został wykwalifikowany pilot portugalski Luis de Torres. W dalszej części wyprawy, po rozdzieleniu się statków, to on popłynął samowolnie na zachód i jako

pierwszy przepłynął cieśninę między Australią a Papuą, zwaną dzisiaj jego imieniem.

Wyprawa wyruszyła pod koniec grudnia 1605 roku. Quirós całą podróż zdał na łaskę Opatrzności. Jednak na niewiele przydała się jego głęboka pobożność i nieustępliwość w przekonaniach religijnych. Już pierwszego dnia, kiedy wypływali z Callao, poważne zastrzeżenia do swego dowódcy mieli Torres i główny pilot Bilboa. Chodziło o przeprowadzenie uroczystej ceremonii opuszczenia portu. Quirós kazał całej załodze przywdziać stroje zakonne, aby wzbudzić w niej lepsze instynkty, a żegnającym ich tłumom pokazać, że ta ekspedycja jest przede wszystkim pielgrzymką. Na statkach powiewały sztandary ze słodkimi obliczami świętych. Zakonnicy intonowali modły i śpiewy. W takim uniesieniu w popołudniowej bryzie rozpoczęła się wyprawa. Po tylu latach starań wreszcie on stał się panem swojego przeznaczenia, płynął ku nieznanemu. Jego poświęcenie, szczerłość zamiarów i moc duchowa udzieliły się tak silnie załodze, że w owej chwili nawet Torres i kłótniwy pilot Balboa zachowali się spokojnie i przebrani w zakonne stroje śpiewali ze wszystkimi.

Wzniosła sielanka trwała krótko. Za reď Callao zimne morze rozciągało się na tysiące mil. W miarę jak morskie wiatry zacierały oblicza świętych na wyblakłych sztandarach zawieszonych na rufie, zaczęły pojawiać się kłopoty. Podjęta wkrótce decyzja o wyrzuceniu za burtę wszystkich kart i kości do gry oburzyła załogi. Quirós chciał na statkach utrzymać chrześcijańską dyscyplinę, żeby nie przeklinano i nie bluźniono, by należycie odprawiano codzienne modlitwy z udziałem całej załogi. Marynarze, przyzwyczajeni do krótszych i prostszych podróży u wybrzeży Ameryki, zaczęli odczuwać lęk przed ogromem oceanu. Dzień w dzień rozciągał się on przed nimi w nieskończoność. To jeszcze bardziej pogorszyło humory niezadowolonych, którzy mieli dużo czasu na szemranie. Jedyne, na co załogi nie narzekały, to zdrowie i jedzenie. Każdemu regulaminowo wydawano przysługującą dzienną rację żywnościową. Na wyprawę zabrano jej wystarczająco dużo i dobrej jakości. Przestrzeganie czystości i pożywienie zawierające owoce i warzywa przyczyniły się do dobrego stanu zdrowia załóg. Quirós, doświadczony śmiercią głodową wielu marynarzy z poprzedniej wyprawy, zatroszczył się, by u niego nie miało to miejsca. Trzymiesięczna podróż przez bezkresny ocean oraz jawne buntowanie marynarzy przez aroganckiego pilota Bilboę omal nie doprowadziły do spisku. Tylko przypadkowe odkrycie wyspy Tumaco w archipelagu Duff w ostatniej chwili ugasiło narastający bunt marynarzy. Lądowanie na tym skrawku ziemi zmienia niebezpieczną sytuację wyprawy i gasi zarzewie buntu. Kiedy miejscowy wódz wskazuje ręką na południe – „Tam wyspy, wiele wysp, wiele ziemi” – Quirós jest już pewny, że został wybrańcem Opatrzności. Pojmawszy na koniec czterech wyspiarzy, by wskazywali dalszą drogę, odbili od brzegu z powiewającymi sztandarami. Kiedy sternik zapytał Quirósa, jakim kursem mają płynąć dalej, otrzymał najbardziej osobliwą odpowiedź, jaką kiedykolwiek dano sternikowi. Rozkaz brzmiał: „Pozwólcie statkom płynąć, dokąd chcą, Bóg je skieruje na właściwy kurs”. To osobliwe polecenie zaprowadziło wyprawę na Nowe Hebrydy. Wkrótce je dostrzeżono. Z miejsca, w którym statki się wówczas znalazły, roztaczał się, niczym fatamorgana, wymarzony widok ogromnego ładu. Nakładające się na siebie linie brzegowe licznych wysp archipelagu stwarzały pozór wysokiego, zalesionego i gościnnie witającego ładu. Przynajmniej w oczach natchnionego dowódcy. Był on tym, czego szukał. Nareszcie Australis del Espiritu Santo! Przed Quirósem otworzyło się niebo. Pierwszą podłużną wyspę, którą mijali od strony jej północnego brzegu, nazwano Pentecost. Po kilku godzinach halsowania wyprawa wpłynęła do wielkiej zatoki, którą Quirós nazwał Zatoką Świętego Filipa i Świętego Jakuba. Łąd zaś, który nieświadomie wziął za stały, nazwał Australis del Espiritu Santo. Nazajutrz odbyło się lądowanie i w imieniu papieża oraz króla Hiszpanii uroczyste objęcie w posiadanie nowego ładu z wszystkimi jego przyległościami. Wszyscy byli przekonani, że nareszcie, za trzecią próbą, Hiszpania wyjaśniła tajemnicę Mórz Południowych.

Dzisiaj wiemy, że odkryty wtedy przez Quirósa ład jest największą wyspą w północnej części archipelagu Vanuatu, a nie poszukiwanym kontynentem. Prócz malowniczości miejsce to niewiele oferowało, ale wtedy jeszcze entuzjastycznie nastawiony Quirós, a także większość wzruszonej załogi, tego nie wiedzieli. Byli pod wrażeniem doniosłości religijnych uroczystości i otrzymanych orderów Rycerzy Świętego Ducha, które niemal wszyscy z tej okazji dostali.

Teraz przystąpiono do realizacji wielkich planów, czyli założenia jego wymarzonej Nowej Jerozolimy. Wpadającą do zatoki pobliską rzekę nazwano Jordanem. Wybrano dwudziestu trzech

urzędników miejskich powstającego miasta. Na starannie wybranym miejscu, które nadawałoby się potem pod katedrę, zaczęto budować drewniany kościół. Quirós zapewnił, że niebawem zostanie tam wzniesiona nowa świątynia. Kawalek ziemi obsiano kukurydzą, bawełną, cebulą, melonami, dyniami, grochem i fasolą. Postawiono kilkanaście prostych domków. Na komendanta Quirós wyznaczył Torresa, który na początku doskonale sobie radził.

Rozpoczęte z entuzjazmem działania wkrótce natrafiły na przeszkody.

Przyszły kłopoty. Śpiewy i procesje nie zrobiły na krajowcach większego wrażenia, chociaż radowały ich tak niezwykle zjawisko i dziwactwa białych ludzi, z którymi spotkali się pierwszy raz. Wyspiarzy zaniepokoił i oburzył samowolny wyręb drzew oraz zabór ziemi, za którą biali nie chcieli dać żadnej rekompensaty. W odpowiedzi na tak nikczemne postępowanie intruzów przestali pomagać w pracy i odmówili dostarczania żywności. Robili wszystko, by zniechęcić niepożądanych przybyszy do pozostania na wyspie. Quirós żył jak gdyby w jakiejś ekstazie. Bilboa i inni jemu podobni już po kilku dniach zaczęli dopytywać się o złoto. Domagali się pozwolenia na poszukiwanie cennych metali, twierdząc, że po to tu przyплыли. Quirós odrzekł, że celem ekspedycji jest ocalenie dusz, a nie zdobycie złota.

Dzisiaj trudno zrozumieć urojone dziwactwa natchnionego dowódcy i części jego załogi. Pozostaje tajemnicą, co się właściwie wydarzyło i jak doszło do opuszczenia wyspy. W zatoce domniemanego kontynentu statki pozostawały zaledwie kilka tygodni. Wspomina się tylko, że po spędzeniu pięciu tygodni na kotwiczowisku flotylla wyszła w morze, by zbadać do końca nowo odkryty południowy kontynent. Oba statki wyruszyły zgodnie z wcześniej ustalonym planem, lecz wkrótce rozszała się tropikalny sztorm. Torresowi udało się wyhalsować z powrotem do zatoki, ale statek Quirósa zagnało daleko na północ. Poprzednio ustalono, że w razie zagubienia miejscem spotkania będą wyspy Santa Cruz, obecnie należące do archipelagu Wysp Salomona. Quirós postanowił obrać kurs w tym kierunku. Jednak załoga nie miała zamiaru płynąć tam, gdzie kilka lat wcześniej Alvaro de Mendaña podjął zakończoną tragicznie próbę założenia kolonii. Załoga nie chciała też dalej szukać hipotetycznego kontynentu.

Z tego, co wiemy, wśród załogi prawdopodobnie wybuchł bunt i Quirósa „zdzęto” ze stanowiska kapitana. Po kilkumiesięcznej podróży statek dotarł do wybrzeży Meksyku. Oddzielony od wyprawy okręt Torresa podążył w kierunku zachodnim, opływając południowe wybrzeże Papui. Następnie, pomiędzy wyspami Indonezji, dopłynął do Manili na Filipinach. Omal nie odkrył Australii, był w pobliżu jej wybrzeża. Ale przeszkodziły mu silne wiatry i sztormy.

Niezwykłe dzieje odkrycia Vanuatu to ciekawa historia, która na pewien czas pozwoliła mi przenieść myśli o cztery wieki wstecz. Jednak muszę chociaż krótko dokończyć opowiadanie o dzisiejszych obchodach Zesłania Ducha Świętego.

Mieszkańcy odprawiają tak zwane nabożeństwo. W Fartavo jest mały prezbiteriański kościółek przy drodze. To już drugi raz, kiedy na Malekuli mogę przyglądać się uroczystościom religijnym, a nawet w nich uczestniczyć. W wiosce Lamap byłem na katolickiej Mszy Świętej, a tu będę na protestanckiej u prezbiterian. Kościółek nie jest w stanie pomieścić wszystkich chętnych, więc nabożeństwo zorganizowano w obszernej wiejskiej świetlicy. Pierwsze przyszły dzieci, aby poćwiczyć śpiewanie pieśni religijnych. Mój gospodarz Edwin, który sprawuje tutaj kilka funkcji, jako pastor będzie przewodniczyć nabożeństwu. Chyba zajmuje się wszystkim, skoro na gitarze przygrywa dzieciom do śpiewu. Obszerne świetlice wypełnia się ludźmi. Dzisiaj kobiety szczególnie zadbały o swój wygląd, mają niezwykle kolorowe sukienki. Ich wzór jest prosty, krój luźny, są dość długie i mają bufiaste rękawki. W zasadzie wszystkie są szyte na ten sam wzór. Nie ma tu ławek, dlatego niektórzy przychodzą z plecionymi matami i rozkładają je na cementowej podłodze.

Uroczystość jest prowadzona wspólnie, zaczyna się żywiołowym, głośnym śpiewaniem pieśni. Kulminacyjnym momentem jest czytanie z Biblii Słowa Bożego, teksty wspominają zbawcze wydarzenia z życia Chrystusa. Niezbyt długą ceremonię prowadzi oczywiście Edwin.

Zaraz po jej zakończeniu wszyscy udają się na placik tuż przy świetlicy. Rozpoczęto świętowanie Dnia Matki. Edwin w krótkiej przemowie przywitał bohaterki dzisiejszych obchodów i podziękował im za wszystko. Po tych ciepłych słowach do ustawionych w szeregu kobiet podchodzą

kolejno synowie i córki, składając im życzenia, niekiedy ktoś wręcza matce drobny upominek. Po tej oficjalnej części zaczyna się najważniejszy punkt programu. Tak już jest i chyba nigdy się już nie zmieni. Na swoje święto najwięcej muszą się napracować właśnie kobiety, matki. To one musiały przygotować na uroczystość najlepsze jedzenie, by nie powstydzić się przed sąsiadami. To najprzyjemniejsza część tego uroczystego dnia. Na placu, wprost na ziemi, każda rodzina rozkłada plecioną matę. Teraz na jej środku można położyć wielki, starannie zawinięty w bananowe liście laplap. Do pysznego posiłku nigdy nie brakuje chętnych, więc wielki placek jest średnicy nie mniejszej niż metr. Niektóre lepiej sytuowane rodziny stać na ryż, mięso czy konserwy, więc wystawiają garnki z tymi potrawami. Jednak to wyjątki. Pospolity, dobrze zaprawiony mięsem lub warzywami laplap jest posiłkiem bezkonkurencyjnym, najbardziej popularnym od pokoleń. Gdy już rodziny porozsiadały się wokół mat, kobiety, po rozwinięciu liści banana, zaczęły te wielkie kolorowe „pizze” kroić na kawały. Pomyślałem, że oprócz pierwszych wykonanych na Vanuatu skoków na bungee Włosi podpatrzyli tu również pizzę.

## Zwykły dzień w wiosce

Kilkudniowy pobyt w wiosce pomógł mi nieco zagłębić się w codzienne życie mieszkańców. Od rana do wieczora nie nudziłem się ani chwili. Przyglądając się z boku, mogłem poznać ludzi, którzy żyją po drugiej stronie globu. Nie trzeba dużego wysiłku, by zaznajomić się z ciekawymi szczegółami codziennego życia miejscowych. Wystarczy tylko tu być i mieć oczy szeroko otwarte. A dzieje się sporo już od rana.

Nie ma tu śpiochów. A tak przy okazji – cienka mata to nie to samo, co przyjemne ciepło naszego wygodnego łóżka, z którego ciężko się z rana wygrzebać. Mieszkańcy, a zwłaszcza kobiety, wstają wcześniej, gdyż w każdej rodzinie są dzieci, które trzeba wyszykować do szkoły. Na lekcje odbywające się w Alua muszą iść cztery kilometry. Po przebudzeniu mało kto się wyleguje, zaraz pędzi do pobliskiego brzegu, wiadomo po co. Pora wędrówek jest ustalona i ściśle przestrzegana. Pierwszeństwo mają kobiety i dziewczyny. Jest jeszcze ciemno, gdy wychodzą z chatek. Matki muszą się śpieszyć, by przygotować śniadanie. Trzeba rozpalić ogień, z tym nie jest tak źle. W chatce kuchennej, pod ciepłymi jeszcze kamieniami pieca ziemnego, jest troszkę żaru na rozpałkę. Wystarczy go zasilić drewnem lub suchymi łupinami kokosa.

Nie co dzień jada się tu laplap, przy którym jest dużo pracy. Powszednie posiłki są bardzo monotonne i proste. Jak chleb u nas, tu na śniadanie są zielone banany gotowane w mleku kokosowym. Matki bardzo często, by urozmaicić jedzenie, dodatkowo smażą na oleju racuchy lub obwarzanki z mąki pszennej – dzieciaki je uwielbiają. Zanim dzieci ubiorą się w mundurki szkolne, jedzenie jest gotowe. Nie widziałem, by któreś jadło śniadanie w domu, wszystkie zabierają je do szkoły. U nas matki pakują jedzenie do woreczków foliowych. Tu z liścia banana robi się mały pakiecik przemyślnie związany łykiem. Byłem pod wrażeniem tej ekologicznej metody. Do szkoły dzieci idą razem, w grupie. Po odprawieniu pociech na zajęcia przychodzi czas na maluchy.

Przed południem, gdy jest pogoda, w wiosce robi się pustawo. Prawie każda rodzina żyje z tego, co wyprodukuje w swoim ogrodzie czy na małej plantacji palmy kokosowej lub cenniejszej uprawie kakao.

Bezrobotna młodzież męska ma większy luz. Chłopcy często łowią ryby, a gdy przyjdzie im ochota na mięso z dzikiej świni, udają się do buszu. Zabierają ze sobą wszystkie zdrowe psy i w kilku organizują polowanie z nagonką. Do ubicia dzikiej świni i przedzierania się przez gęsty busz zabierają maczety. Jednego dnia miałem ochotę udać się z taką ekipą na łowy, jednak na szczęście zrezygnowałem. Prawdopodobnie nie dałbym rady biegać po zalesionych wzgórzach i przeszkadzałbym w nagonce. Pogoń za dziką swinia zawsze jest bardzo wyczerpująca, nawet dla młodych chłopaków.

Muszę jeszcze wspomnieć o psach, które z poświęceniem giną lub są ranione przez osaczone dziki. Nie wiadomo, w jaki sposób, ale psy już wcześniej wyczuwają, że organizuje się polowanie, i są bardzo podekscytowane.

Młodzież żeńska, o ile nie pracuje w ogrodach, to pomaga matkom w kuchni lub zajmuje się praniem. W wolnym czasie dziewczęta godzinami czeszą włosy, zaplatają sobie nawzajem wymyślne

krótkie warkoczyki lub iskają wszy u młodszego rodzeństwa.

Nie siedziałem na miejscu, byłem ciekawy, jak się suszy i przygotowuje do sprzedaży ziarno kakaowe. W tym celu udałem się do jednej z wiat suszarni w pobliżu wioski. Takich suszarni nie stawia się zbyt blisko zabudowań, gdyż z palonych w piecu łupin kokosa całymi dniami unosi się niezdolnie drażniący dym.

Vanuatu jest liczącym się w świecie producentem ziarna kakaowego. Kakaowiec dotarł tu bardzo wcześnie z Ameryki Środkowej. Miejscowe warunki klimatyczne i glebowe są idealne dla tej rośliny. Drzewo kakaowe nie wymaga szczególnej opieki, ale pozyskiwanie ziarna to ciągła, całoroczna, żmudna i ciężka praca. Zaletą tej uprawy jest nieograniczony popyt. Ziarno kakao z Vanuatu uważane jest za najlepsze na świecie. Obecnie niemal całą produkcję miejscowego kakaowca skupują Niemcy. W przeszłości na tej cennej uprawie urosła niejedna fortuna. Niestety działo się to kosztem wyzyskiwanych wyspiarzy. Dzisiaj wielkiej różnicy nie ma. Jeśli porównamy ogrom włożonej pracy i otrzymaną przez uprawiającego zapłatę z zyskami z finalnego produktu, doznamy zawrotu głowy. To prawie dziesięciokrotna przebitka, przy czym zaznaczyć trzeba, że przeróbka jest już tylko prostym procesem.

Owoce kakao rosną na niewysokich drzewach i są w różnym stadium wzrostu, więc zbiera się je okrągły rok. Najlepiej, gdy owoc sam spadnie na ziemię, wtedy jest w pełni dojrzały. Po otwarciu grubej i miękkiej łupiny wyłuskuje się kilkadziesiąt podłużnych ziaren otoczonych maziastą i bardzo smaczną słodkavo-kwaśną otoczką. Aby rozpocząć suszenie, w pierwszej kolejności trzeba pozbyć się tej smacznej mazi. W tym celu świeżo wyłuskane ziarno wsypuje się do dużych drewnianych skrzyń z otworami na dnie i bokach. Teraz przez siedem dni przebiega fermentacja, w tym czasie ziarno oczyszcza się z niepożądanego otoczki i jest już gotowe do suszenia. Rozsypane na blacie nad paleniskiem suszy się dwa dni, przy czym musi być stale mieszane. Zaletą tego sposobu jest uniezależnienie od opadów deszczu, które w czasie pory monsunowej padają niemal codziennie.

Często takim małym wioskowym biznesem, czyli suszeniem ziarna, zajmują się co bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy. Do suszenia skupują świeże owoce lub już wyłuskane ziarno i preparują do sprzedaży. Większość drobnych ciułaczy, którzy nie chcą dzielić się i tak niewielkim zyskiem, uprawia i suszy ziarno samodzielnie. Często przy chatkach w wiosce stosowany jest najprostszy sposób suszenia. Polega to na tym, że ziarno kakao rozsypuje się na czarnej folii i suszy trzy, cztery dni w ciepłe słońca. Do tego jednak musi być dobra pogoda. Tym prostym sposobem ziarno suszą ci, co mają tylko kilka drzew. Takich drobnych producentów na wyspach Vanuatu jest najwięcej, produkują po kilkanaście kilogramów ziarna kakaowego rocznie. Niestety, z tego, co wiem, obecnie na miejscu nie przerabia się tego cennego ziarna. W dalszym ciągu za granicą zbija się na tym kokosy.

Dobrze, gdybyśmy, delektując się kubkiem gorącego kakao, przez chwilę pomyśleli, ile trudu i mozolnej pracy muszą włożyć drobni, bezimienni właściciele kilku kakaowców w odległych krajach. Tym bardziej, że oni sami i ich dzieci, które pomagają przy suszeniu, prawdopodobnie nigdy nie pili tego smacznego napoju.

Po południu poszedłem na spacer za wioskę. Po drodze miałem zamiar pójść z wizytą do Sama. Odwiedziny były wcześniej zapowiedziane, jednak tu ludzie mają inną mentalność i ich zachowanie czasami jest nieprzewidywalne. Liczyłem, że naładuję akumulatorki i kupię pieczywo. Szczęśliwie zastałem gospodarza. Aby nie tracić czasu, zwróciłem się do niego z prośbą, by uruchomił mały agregat prądotwórczy. Ładowanie trwa przynajmniej dwie godziny. Zapłaciłem za nie pięć dolarów, musiałem wyłożyć na paliwo, które na Vanuatu sporo kosztuje.

Na wyspie jest bardzo mało samochodów, tu w Fartavo nie ma nawet motocykla. Roweru też nie widziałem. Z ładowaniem baterii w porządku, już agregat głośno pracuje. Niestety dzisiaj chleba nie skosztuję. Żona Sama dopiero zaczęła miesić ciasto. Podobno nie mogła wejść wcześniej do komórki po mąkę, gdyż syn zabrał ze sobą klucze i gdzieś poszedł. Dopiero przed chwilą wrócił. Dzisiaj nie będzie ciepłych bułek na kolację, muszą mi starczyć twarde suchary.

Mam czas, więc mogę zaznajomić się z wioskową piekarenką. Chociaż to tylko zwykła chatka z piecem ziemnym, wypieki przewyższają smakiem i jakością te, które my zwykle musimy jadać. W wiosce jedynie u Sama można kupić chlebek, jego żona zajmuje się pieczeniem i robi to znakomicie.

Niestety z powodu wysokiej ceny nie ma zbyt wielu chętnych na pieczywo. Mało kogo stać na ten drogi rarytas z importowanej mąki pszennej, chociaż podobno ludziom bardzo smakuje. W związku z tym jest wypiekane nie częściej niż raz w tygodniu, a czasami i rzadziej.

Pieczywo jest rewelacyjne, już się o tym przekonałem. Jest jednak kłopot z przechowywaniem – gdybyśmy tylko zostawili je bez zabezpieczenia, to w środku już po kilku chwilach mielibyśmy mrowisko. Mrówki niszczą wszelką żywność i wchodzą wszędzie. To istna zaraza, panują na całej wyspie. Zdziwiałoby tempo, w jakim zjawia się ta armia małych złodziei. Przynajmniej trzech solidnych woreczków foliowych trzeba użyć, by ochronić pieczywo.

Jak to możliwe, że w tak prymitywnych warunkach można wypieć tak smaczne wyroby? Są trwałe, pulchne, z grubą i chrupiącą skórką. Wszystko udaje się, gdyż nie przeszkadza swoimi przepisami sanepid... Czas wyrabiania ciasta zawsze wykorzystują maluchy. Dla świętego spokoju, by nie marudziły i czymś się zajęły, dostają do zabawy trochę ciasta. Bawią się nim jak plasteliną, rozwijając swoje manualne zdolności. To wyrobione małymi rączkami ciasto też się nada, choć czasem w wyniku zabawy jest trochę ciemniejsze... Niekiedy człowiek nie powinien być zbyt ciekawy, bo potem może żałować, że zbyt wniknął w niuanse produkcji.

Cały proces jest bardzo prosty. Po zamiesieniu i wyrośnięciu ciasto wkłada się do foremek, bardzo podobnych do naszych tortowych. W tym samym czasie w ognisku rozgrzewają się kamienie. Napelnione ciastem foremki ustawia się na wygaszony ogień i dokładnie obkłada bardzo gorącymi kamieniami. Po półtorej godziny pieczywo jest gotowe. Nie mogłem dłużej zostać i umówiłem się, że jutro wcześniej rano przyjdę po swój chlebek.

Każdego dnia o zmroku chodzę się kąpać, a w zasadzie umyć się i wyprać rzeczy. Trudno wyobrazić sobie, by bez tego położyć się spać. Po gorącym, dusznym dniu koniecznie trzeba zmienić koszulę i gacie, a przynajmniej co trzeci dzień wyprać spodnie. Wieczorem jest głębiej, bo jest przybój, i wystarczająco dyskretnie, by nie nie czuć się skrępowanym. W Fartavo są tylko dwa miejsca, gdzie po słonej kąpieli można splukać ciało słodką wodą i przeprać zapocone łachy.

W wiosce wodociąg jest bardzo prosty i wydajny. Ze źródła gdzieś na wzgórzu woda doprowadzona jest nad brzeg grubymi rurami z plastiku. Za wodę nikt tu nie płaci, więc non stop leci strumieniami do morza. W czasie dnia panuje tu spory ruch. Stąd czerpie się wodę do kuchni, tu się pierze i płucze. A wieczorami po słonej kąpieli można się opłukać, ale krótko, gdyż woda strasznie zimna.

Zanim się położę, lubię porozmawiać z mieszkańcami wioski. W tym celu najlepiej podejść do pnia starego drzewa leżącego tuż przy wodzie. Mężczyźni upodobali sobie to miejsce do spotkań i picia kawy. O rozmowę nie muszę specjalnie zabiegać. Mieszkańcy Vanuatu są bardzo przyjaźni i otwarci, lubią pożartować i pośmiać się.

W wiosce zawsze coś się dzieje. Dzisiaj na przykład byłem świadkiem bardzo ostrej rozmowy między szefem wioski a dwiema młodymi dziewczynami. Głośna wymiana zdań toczyła się bez zachowania żadnej dyskrecji, na oczach ludzi. Nie wiem, o co chodziło, ale ja nie chciałbym być tak obsztorcowany przy sąsiadach. Być może o tym zdarzeniu rozprawiają tu teraz przy picu kawy. Dziwię się, że kawa jest tak bardzo popularna. Każdego dnia wieczorem kilku mężczyzn spotyka się tu i degustuje ten, dla mnie ohydny w smaku, napój. Potem oddalają się i na uboczu strasznie charczą, odkrztuszając trunek, a co niektórzy nawet wymiotują.

Około ósmej wieczorem jest już cisza, można delektować się obcym niebem. Zapada tropikalna noc z milionami gwiazd i ze swoją intensywną jaskrawością, jakiej u nas nigdy nie zobaczymy. Każdego wieczora przyglądam się ognistej łunie wulkanu na wyspie Ambrym, czterdzieści kilometrów na wschód od Malekuli. Tylko po zmroku można dojrzeć stale strzelający z krateru czerwony ogień. Gęste i duszne powietrze zapowiada zmianę pogody.

Jutro rano opuszczam przyjaznych mieszkańców i idę dalej na północ, do wioski Tisman. Mam nadzieję, że nie będzie padało.

## U rybaka w Tisman

Niełatwo jest żegnać gościnnych ludzi, u których spędziłem pięć dni. Refleksyjny nastrój rozstania ożywią mi wesołe dzieciaki z wioski. Przez pewien czas będziemy szli razem w tym samym kierunku, więc ruszamy, one do szkoły w Alua, a ja dalej na północ, do wioski Tisman. Droga powinna zająć mi nie więcej jak trzy – cztery godziny marszu wzdłuż brzegu. Wczoraj zapowiadało się na deszcz, ale na szczęście dalej jest ładnie.

Idę z gromadką dzieci, do szkoły są ponad cztery kilometry. Ludzie żyją tu bardzo skromnie, więc podziwiam, że rodziców stać na to, by wszystkie dzieci miały jednakowe zielono-białe mundurki. Po pięciu dniach pobytu w wiosce urwisy mnie znają, więc jest swobodnie i wesoło. Fotografuję urzekająco piękne widoki oraz natarczywie wchodzące przed obiektyw dzieci. Rozbrykane, nie zawsze wiedzą, że nieraz nie chciałbym mieć ich na zdjęciu. Trudno im coś wytłumaczyć i macham na to ręką. Mają swoje racje, uważają, że są godniejszym obiektem do fotografowania niż jakieś tam widoki. Nie dziwię się temu, bo przecież dwa razy dziennie tędy chodzą...

Brzegi Malekuli to rajskie krajobrazy, urozmaicone licznymi zatokami. Wąska droga gruntowa prowadzi kilkadziesiąt metrów nad poziomem morza. Stąd, po lewej ręce, roztacza się przepiękny widok na półwysep okalający zatokę. Niebawem się rozstaniemy, na razie idziemy stale pod górę. Droga przedziera się przez lesisty półwysep. Po chwili za zakrętem ukazują się w dole dachy budynków szkoły w Alua. Znajdujemy się w najwyższym punkcie półwyspu. Teraz droga biegnie bardzo stromo w dół w urzekającą, rozległą i cichą dolinę z wąską rzeczką uchodzącą do zatoki. Przy tym oświetleniu przybrzeżne wody przybierają niezwykłą turkusową barwę. Tu się rozstajemy, dzieciaki wąską i stromą ścieżką zbiegają do szkoły, a ja dookoła doliny idę dalej. Za wioską znowu wspinam się pod górę na kolejny półwysep.

Zostałem sam. Moja mapka pokazuje, że po drodze będą już tylko pojedyncze domostwa i potem wioska Tisman. Kolejna niewiadoma, w głowie krążą niespokojne myśli, czuję się trochę niepewnie. Po pięciu dniach rozleniwiającej stabilizacji nie wiem, co mnie dalej czeka. Nie ma tu hoteli, zdany jestem na łaskę i niełaskę mieszkańców. Nie mam namiotu, mogę tylko liczyć na pomoc gościnnych ludzi i na dalsze szczęście. Zawsze w takiej sytuacji nie pomijam prośby do mojego patrona, świętego Krzysztofa, który jak dotąd w krytycznych sytuacjach zawsze wskazywał mi właściwe rozwiązanie.

Dojście do dzisiejszego celu zajęło mi jeszcze cztery godziny, chociaż to tylko pięć kilometrów. Kilka razy schodziłem nad sam brzeg morza, filmowałem i fotografowałem ciekawe miejsca. Trochę czasu wypadało spędzić u ludzi, którzy w małej osadce za Alua zaprosili mnie na herbatę i krótką pogawędkę. Takie spotkania są korzystne dla obu stron, miejscowi są ciekawi egzotycznego wędrowca, a ja zdobywam praktyczne informacje o okolicy. Wypiarze mieszkają w skromnych chatkach przy drodze. Nieczęsty jest tu widok wędrującego z plecakiem białego, więc zawsze są chętni i ciekawi rozmowy z nieznanym, który idzie pieszo. Uspokoilem się i kamień spadł mi z serca, kiedy usłyszałem propozycję noclegu u tych dobrych ludzi. Muszę jednak iść dalej według ustalonego planu. Serdecznie podziękowałem, zachowując zaproszenie w zanadru, na wszelki wypadek.

Zrobiło się późne popołudnie, gdy doszedłem do Mbangir. Przy ujściu rzeczki do małej uroczej zatoczki stoi kilka chat. Nie jest to jeszcze wioska Tisman, ale jest tu tak pięknie, że zapragnąłem chociaż na krótko się zatrzymać. Pomyślałem, że chwilę odpocznę na brzegu od nieznośnie dusznego powietrza, a potem pójdę dalej. Ledwie co pokazałem się w pobliżu chat, natychmiast kundły różnej maści i wielkości osaczyły mnie i wściekle ujadając, nie dały przejść. Jak dotychczas wszystkie spotykane po drodze psy nigdy nie darzyły mnie sympatią, a tym bardziej gdy wchodziłem w ich rejon. Powiem szczerze – od pewnego czasu, kiedy noszę kamienie w kieszeni, czuję się bezpieczniej. Zawsze lepiej mieć pod ręką coś skutecznego na obronę. Ze zdziwieniem odkryłem, że na psy odstrasza jąco działa też pośpiesznie wyjęta kamera lub aparat fotograficzny z większym obiektywem. Kiedy się go w nie wymierza, psy są zaniepokojone, a czasem dają dyla. Problem jest w tym, że one pojedynczo nie chodzą, a zawsze po kilka, i mogą stać się niebezpieczne.

Na psi rwetes zza chatki ukazał się starszy człowiek drobnej postury, zapewne gospodarz tej



osadki. Krzyknięciem uspokoił niechętną mi hałaśliwą sforę. Grzecznie się przywitałem i spytałem o możliwość noclegu. Po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi jeszcze bardziej mi się tu spodobało. Psy też zaczęły mnie powoli akceptować, poznałem to po wesołym merdaniu ogonami. Dookoła ład i porządek, sporo obsypanych kwieciami krzewów. Zabudowania to kilka skupionych blisko siebie chatek w pobliżu brzegu. Wśród tradycyjnych strzech wyróżnia się mały domek wymurowany z pustaków, kryty blachą falistą.

Gospodarz prowadzi mnie właśnie do tej chatki i wskazuje miejsce, gdzie na razie mam złożyć swoje rzeczy. Idziemy nad pobliski brzeg. Na środku małej plaży fale prawie podmywają korzenie potężnego starego drzewa, zaraz obok leżą wyciągnięte na brzeg trzy dębane łodzie i jedna szeroka, aluminiowa. Jak wszędzie, i tu nie brakuje drzew. Ponad chatki wysoko wybija się pióropuszcami kilka palm kokosowych, pandanusa i innych.

Na mijanym drzewie podziwiam wielkie jak piłki pomelo. To bardzo duże kuliste owoce o żółtozielonej skórce, każdy ma co najmniej dwa kilogramy i około dwudziestu centymetrów średnicy. Zachwalam je tak przekonująco, że gospodarz podchodzi do drzewa i zrywa dla mnie wielki jak bania dojrzały owoc.

Rozważyłem w myślach decyzję, czy dobrze zrobiłem, zatrzymując się przed wioską, a nie w centrum, do którego zostały mi jeszcze jakieś dwa kilometry. Tu jest spokojniej i mniej ciekawskich, a do tego mogę jeść do woli owoce i ryby, które tak bardzo lubię.

Sympatyczny mężczyzna przedstawił się jako „Dżos”, po czym zaprowadził mnie do małej wiaty tuż nad wodą. To przyjemne miejsce do odpoczynku, można coś zjeść, wypić kawę lub pogadać. Wyjąłem z kieszeni nóż, by dobrać się do soczystego poczęstunku. Po chwili podeszło dwóch zaciekawionych chłopców i starsza kobieta mocno utykająca na nogę. W ręku miała długi i gruby kostur, którym się podpierała.

– Masta! – Tym słowem mnie przywitała, z uśmiechem na swojej promieniującej dobrem twarzy.

Od razu wiedziałem, że to żona Dżosa o imieniu Anna. Przedstawiłem się i krótko opowiedziałem o mojej podróży. Przy tak sympatycznych ludziach nie można czuć się skrępowanym, więc zaraz zapytałem o warunki noclegu. Bez problemu zgodzili się na mój pobyt, mogę tu zostać nawet przez kilka dni. Nie można żerować na ludzkiej życzliwości, więc uzgodniłem, że opłacę wszystko z góry. Ja byłem spokojny, a gospodarze zadowoleni.

Dżos jest zapalonym rybakim, to była wspaniała wiadomość. Powiedziałem, że uwielbiam ryby i mogę je jeść codziennie. Anna pokuśtykała przygotować mi w chatce miejsce na materac. Dżos zaś podszedł do rozwieszonych w pobliżu sieci, by je przygotować na połów.

Wreszcie mogłem spokojnie zająć się moim owocem. Pomelo to największy na świecie cytrus, jest ogromny. Niestety pokryta woskiem skórka jest bardzo gruba, nawet na dwa do czterech centymetrów. Mimo to i tak w środku jest jeszcze sporo soczystego, żółtaworóżowego miąższu, ledwie dałem radę wszystko zjeść. Pomelo, które miejscowi nazywają paplemusem, jest w smaku bardzo podobne do grejpfrutów, ma jednak znacznie mniej goryczki. Na drzewie jest bardzo dużo owoców i mogę je zrywać, kiedy tylko zapragnę. To szalenie ważne, bo nie muszę się martwić o gaszenie pragnienia w tym upale.

Ale najbardziej ucieszyłem się z tego, że będę mógł jeść ryby prosto z sieci. Dowiedziałem się, że jest ich tu sporo i wystarczy ustawić sieci w pobliżu brzegu, a same się złowią. Jestem przekonany, że zamówionymi na dzisiaj rybami wymusiłem naprawę sieci. Gdy gospodarz skończył dziergać czółenką dziury, zarzucił sieci na plecy i poszedł do dębki, po czym powiosłował na nie więcej jak 100 metrów od brzegu. Tam sprawnie zaczepił sieć na pływakach i wrócił. Nylonowa sieć jest długa na około siedemdziesiąt centymetrów i szeroka na półtora metra. W czasie przyływu tylko z łódki można ją rozstawić. Kiedy jest odpływ, można tam dojść, bo woda nie sięga wyżej niż do brody. Przy okazji dowiedziałem się, że trzeba jak najczęściej sprawdzać, czy coś się złapało. Zaplątana ryba bardzo szybko pada ofiarą drapiezców, choć i one mogą wplątać się w sieci. W niesprawdzonej wystarczająco często sieci wiele ryb jest mocno nadgryzionych.

Gospodarstwo Dżosa składa się z pięciu chatek i nazywa się: osada Abrok. Cała rodzina liczy sześć osób. Wspólnie z rodzicami mieszka tu jeszcze dwóch synów oraz żona i dziecko jednego z nich.

W tych dniach dziadków odwiedziły również wnuki mieszkające w Norsup. To kilkanaście kilometrów stąd. Dziewczynka ma około dziesięciu lat, a chłopiec jest trochę starszy. Ma ciekawe biblijne imię: Mozes, czyli po naszymu Mojżesz. Lubilem go, bo dbał, abym zawsze miał świeżą rybę. Po zastawieniu sieci już tylko on będzie stale pilnował połowów. Co pewien czas podpływał na łódce do sieci i wybierał zaplątane ryby. W pobliżu osadki nie ma sąsiadów, a za drogą rozpościera się gęsty busz. Pomiędzy drzewami biega stadko kilku świń, a w pobliżu chatek gdaczą rozwyrzone kury. Ot i całe gospodarstwo, jeśli nie liczyć ogrodu w buszu. Sprzedana od czasu do czasu świnia to dodatkowy pieniądz dla rodziny. Nie można pominąć złowionych ryb, które też przynoszą jakieś korzyści.

Na mój nocleg dostałem malutkie pomieszczenie w murowanej chatce. Nie wiem, kto przeze mnie musiał zwolnić miejsce, ale to świadczy o wielkiej gościnności gospodarzy. Do końca dnia jeszcze kilka godzin. Jest bardzo gorąco i chcę to wykorzystać na przesuszenie moich rzeczy. Szczególnie martwię się o sprzęt fotograficzny. Wilgoć wdziera się wszędzie. Po Vanuatu mam jeszcze przed sobą kilka miesięcy dalszej podróży w tropikach, stąd moje obawy. Kilkanaście kroków od brzegu jest stół z ławą pod daszkiem z liści pandanusa. To miejsce, gdzie można posiedzieć w przyjemnym cieniu. Tu mogę rozłożyć mój fotograficzny i filmowy sprzęt, by wszystko chociaż tymczasowo przesuszyć. Jestem przerażony jego stanem, bo w wielu miejscach pojawiły się zażniedziałe plamy. Te współczesne aparaty nie są wcale takie plastikowe, jak się powszechnie uważa. Postanowiłem, że od teraz, jak tylko będzie okazja, zawsze wygrzeję mój cenny sprzęt na słońcu. Muszę tego bezwzględnie pilnować, jeśli ma być dalej sprawny.

Parę kroków stąd jest miejsce do przygotowywania jedzenia. Z zaciekawieniem podchodzę bliżej, gdyż właśnie Anna przysłała z miską wypełnioną małżami i zaczęła coś robić. Prosty podest sklecony z bambusowych tyczek to jej kuchnia. Gdy nikogo nie ma, zawsze urzędują tu wszędobylskie kury, które wydziobują resztki z garnków i misek stojących na podeście. Na twarzy gospodyni stale gości szeroki uśmiech. Sympatyczna kobieta lubi rozmawiać, buzia jej się prawie nie zamyka. Niestety rozumiem tylko piąte przez dziesiąte, gdyż bardzo sepleni z powodu braków w uzębieniu. Anna właśnie przygotowuje kolację. Zebrane po odpływie na pobliskich kamieniach mięczaki są podobne do małych ostryg i będą świetnym dodatkiem do bananowego laplapu.

Dowiedziałem się, że czeka mnie jeszcze jedna atrakcja. Jak wiadomo, tu, na Malekuli, mężczyźni nie mogą się obyć bez kawy, a tym bardziej, gdy jest gość w zagrodzie. Syn Dżosa Josef oznajmił mi, że ma na dziś bardzo grube korzenie do sporządzenia wysmienitej kawy, więc jeśli chcę, mogę uczestniczyć w jej tradycyjnym przygotowaniu. Widziałem już wcześniej, jak to się robi, ale być może zobaczę coś nowego. Tym bardziej że cały rytuał ma być przeprowadzony nie przy chatkach, na miejscu, ale spory kawał od domu – w buszu, w pobliżu rzeczki. Jest jeszcze wystarczająco jasno, by filmować i robić zdjęcia, dlatego natychmiast biorę sprzęt i ruszam za chłopakami. Idziemy we czwórkę – synowie Dżosa, Mozes i ja.

Przedzieramy się wąską ścieżynką przez gęsty busz. Sądziłem, że do miejsca, gdzie będzie sporządzana kawa, jest blisko, ale się bardzo pomyliłem. Idziemy chyba z piętnaście minut. Chłopaki niosa tanoę i zapakowane w pleciony z łyka kosz oczyszczone korzenie pieprzowca. Pytam, dlaczego tak daleko idziemy. Przecież kawę można tak samo dobrze przygotować przed swoją chatką, jak to już wcześniej widziałem. Josef twierdzi, że prawdziwa kawa wymaga, by miejsce było tabu. Postępuje podobnie jak jego przodkowie, odwieczna tradycja to dla nich rzecz święta. Nie wiem, czy to prawda, ale idę z ciekawością. Doszliśmy do małej polanki na skarpie, tuż przy zakręcie rzeczki, która przedziera się przez gęste zarośla kilka metrów niżej w stromym wąwozie. Miejsce wydało mi się bardzo ponure, może o tej porze takie jest. Na polankę ledwie co dochodzi trochę światła. Kamera jeszcze trochę popracuje w tym mroku, jednak zdjęcia da się zrobić tylko w błysku lampy. Ale najgorsze przyszło nagle! Wystarczyło się zatrzymać, by zaatakowały nas hordy komarów. Mozes próbuje ratować sytuację, rozniecając ogień. Jest przy tym sporo duszącego dymu, bo wszystko dookoła wilgotne. Ale o to właśnie chodzi, bo tylko to odstrasza te małe bestie. Wolę smród niż komary, więc stoję w dymie. Tubylcy na wyspie niewiele sobie robią z napastliwych owadów, od urodzenia z nimi obcuje. Nie zauważyłem, by kogoś swędziało i by ktoś drapał się po ukłuciacz.

Joseph ze szwagrem zaczęli w pośpiechu robić kawę. Z zakopanej w ziemi rurze na środku

polanki wybierają szmatą i rękoma zanieczyszczenia – zgniłe liście i robactwo. Potem tę zapaćkaną szmatę płuczą w pobliskim strumieniu. Za chwilę ściera potrzebna będzie do precedzania cennego napoju. Pokrojone korzenie pieprzowca na zmianę ubijają drewnianą pałą w zakopanej rurze. Jest to spory wysiłek, ich gołe torsy zalewa pot. Teraz wyjętą rozmiądzoną masę zalewa się wodą i dokładnie miętoli dłońmi zanurzonymi w misce. Nie wygląda to apetycznie, ale i tak dużo strawniej niż opisywał to mało znany polski podróżnik i etnograf Borys Małkin. Przed sześćdziesięciu laty przebywał w pobliskiej wiosce Amokh u Big Nambas i z grzeczności musiał pić kawę przeżutą przedtem w ustach przez kilku tubylców. Każdy z siedzących na klęczkach dookoła tanoy nachylał się do tej drewnianej misy i zanurzając usta, pociągał spory łyk. Borys też musiał to uczynić, by nie urazić gospodarza. Jak opisywał, tak przygotowana kawa miała słodkawy posmak. Jest to zrozumiałe, bo w ślinie jest amylaza, pierwsza substancja rozkładająca węglowodany na cukry proste. Malkin przeżył, więc i ja dam radę. Po wymiętoleniu teraz już wszyscy razem precedzają mętną ciecz przez uniwersalną szmatę. Robią to z namaszczeniem, by nie uronić ani kropli poza miskę. Tanoa stoi na specjalnym krzyżaku metr nad ziemią. Wkrótce kawa jest gotowa do picia. Joseph błyskawicznie rozłupał i wydrążył środek orzecha kokosowego, sporządzając z jego połówki miseczkę.

Ku mojemu nieszczęściu, którego nie mogłem w żaden sposób okazywać, jako gość musiałem pierwszy skosztować napoju. Nie da się tego pominąć, by nie obrazić gospodarzy. Teraz dopiero uwierzyłem, że rodzina mnie goszcząca rzeczywiście przywiązuje dużą wagę do tradycji w przygotowaniu napoju. Znając już te delikcje, na chwilę wstrzymałem oddech i wypilem ten ohydny dla mnie napój, ale tylko ja sam. Chłopaki będą celebrować picie w domu razem z Dżosem. W pośpiechu, lecz z ostrożnością, by nie wylać cennego napoju z tanoy, wracamy do domu. Gdy doszliśmy, zrobiło się ciemno. Na tych szerokościach geograficznych dzień kończy się gwałtownie. Nie piłem więcej kawy i nikt mnie do tego nie zmuszał.

Przed spoczynkiem podziwiam jeszcze łunę ognia nad jeziorem lawy wulkanu Marum na pobliskiej wyspie Ambrym. Widok napawa nadzieją na dobrą pogodę, bo niebo jest czyste, co nie zawsze się tu zdarza. Ostatnio przez kilka nocy lało jak z cebra, na szczęście w dzień nie padało. Jutro jeszcze nie planuję dalszego marszu, ale pojutrze chciałbym iść dalej. Kilka kilometrów na północ za Tisman jest rzeczka Pankoumou, którą można spokojnie przejść, gdyż woda nie sięga wyżej kolan. Jednak każdorazowo po ulewie staje się rozlewiskiem szerokim na kilkaset metrów. Wtedy jedyną możliwością przebrnięcia przez wodę jest skorzystanie z pikapa, który codziennie rano o piątej przemierza wyspę z wioski Lamap do Lokatoro. Chciałbym przejść całe wybrzeże Malekuli pieszo, nie korzystając z podwózek, ale czy to się uda? Trzeba czekać, zobaczymy, jaką pogodę przyniesie jutro.

## Łowy na rafie

W nocy lało, wczorajszy piękny wieczór okazał się złudny. W moim murowanym domku dach jest z blachy, więc miałem niezłą perkusję. Blaszany dach ma wady i zalety – jest strasznie głośny, gdy leje, i jest piekarnikiem w słońcu. Co dobre, to nie przecieka i nie trzeba go co rok lub dwa poprawiać jak na innych chatkach. Zaciekawilo mnie, skąd wziął się tu murowany domek cztery metry na cztery, gdy wszystkie pozostałe zbudowane są z materiałów pozyskanych z buszu.

Z rana tak lało, że z braku innych zajęć poszedłem do wiaty kuchennej. Spędziłem tam cały poranek. Anna obierała banany i taro do gotowania. Przy okazji zapytałem ją o mój domek. Kilka lat temu nad wyspą przeszedł wielki cyklon i solidnie ją spustoszył. W ramach pomocy najbardziej poszkodowanym przez kataklizm przydzielono skromne materiały budowlane. Rodzinie wystarczyło to akurat na tę wyróżniającą się chałupkę.

Tak siedzę i siedzę na pniaku, na zegarku dochodzi już dziesiąta. Zaciekawilo mnie, dlaczego o tej porze nie ma jeszcze mężczyzn. Po obejściu kręci się tylko Mozes. Ludzie w tropikach wstają przed świtem, gdyż wtedy jest najlepszy czas na prace ogrodowe. Z rana słońce daje jeszcze popracować. Po jedenastej ze względów zdrowotnych lepiej odpoczywać w cieniu. Może dzisiaj przez deszcz ta reguła nie obowiązuje, ale i tak jest późno, a ich nie widać. Zapytałem o to gospodynię. Powiedziała, że wczoraj zrobili zbyt dużo kawy i dziś przez to bardzo chorują. Może liczyli na to, że ja też będę pił, gdyż wcześniej

wspomniałem, że kawa nie jest mi obca. Jak sądzę, w tanoy było ze sześć litrów tej lury. To naprawdę dużo jak na trzech facetów. Młodzi wychylili się z chatek koło południa, starego gospodarza nie widziałem zaś do końca dnia. Spotkałem go dopiero następnego ranka w kuchni, gdzie pomagał żonie przy tarcu kopry do laplapu. Długo miał kawowego kaca.

Przebywanie w kuchennej wiacie jest bardzo ciekawe, gdyż można obserwować, z czego i jak sporządza się jedzenie. W tradycyjnej vanuańskiej kuchni są dwa miejsca do gotowania. Najważniejszy jest duży, o ponad metrowej średnicy piec ziemny, taki sam, jaki widziałem w domu Eriberta we wsi Lamap. Drugi piec to po prostu małe ognisko pod rusztem z metalowych prętów, na który stawia się osmolony czajnik na wodę lub garnek. Oprócz tego najważniejszym kuchennym urządzeniem jest przyrząd do wiórkowania orzechów kokosowych. Nie wiem, czy w miejscowej kuchni istnieje jakaś potrawa, do której by ich nie użyto, gdyż kokosy wykorzystywane są do wszystkiego. Konstrukcja owego przyrządu jest bardzo prosta – stołek, na którym siedzi ścierający kokosa, ma przymocowany metalowy płaskownik z rozplaszczoną końcówką z ząbkami. Takim ostrzem wyskrobuje się twardy miąższ orzecha i otrzymuje wiórki. Nie jest to łatwe zajęcie, dlatego dla stabilności trzeba na tej specjalnej „tarce” siedzieć.

Anna częstuje mnie gotowanym bananem, oczywiście nie tym słodkim i żółtym. Do gotowania lub pieczenia w piecu ziemnym oraz do przygotowania laplapu wykorzystuje się banany – plantany. Nie jest to gatunek banana, który jadamy w naszym kraju. Ten banan nie nadaje się do jedzenia na surowo, bo nie dojrzewa do słodkości i jest cierpki. Są takie gatunki, z których sok przy obieraniu działa agresywnie na skórę rąk. Przekonałem się o tym w Ameryce Południowej na rzece Mamoré, którą kilka dni płynąłem w dół, do ujścia do Madeiry, z Trynidadu do Guayaramerín. Dla zabicia czasu pomagałem żonie kapitana barki przy obieraniu takich bananów. Dziwne, ale parzyły i trzeba je było odpowiednio trzymać przy obieraniu, jednak po ugotowaniu były bardzo smaczne. Owoce są duże, zielone i twarde. Ich skóra jest gruba i nie tak łatwa do ściągnięcia jak w żółtym bananie. Ten najtańszy owoc wykorzystywany jest jako warzywo. Do popularnego laplapu rozkrojony twardy banan wyskrobuje się muszlą, tak wydrapany przypomina starte ziemniaki. Banan, który dostałem do zjedzenia, tak bardzo przypomina smakiem ziemniaka, że gdybym miał zasłonięte oczy, nie potrafiłbym odróżnić.

Z zastawionych wczoraj sieci Mozes przyniósł kilka zbliżonych wielkością do dłoni ryb, które zaraz trafiły na patelnię. Wczoraj w sklepiku w Tisman kupiłem olej, więc cieszyłem się, że rybki będą dobrze wysmażone, takie, jakie lubię. Niestety zmarnowały go złodziejskie psy, które nie wiadomo jak się do niego dostały. Olej jest tu bardzo drogi, ale co robić, musiałem kupić drugą butelkę.

Jeszcze przed południem przestało padać. Wilgotny wiatr rozpędził chmury. Zawsze po takim deszczu intensywniej czuć zapach wodorostów i kopry. Ciepło słońca na twarzy i szum morza przywracają mi od razu dobry nastrój. Myślę o moim dalszym wędrowaniu przez wyspę. Jeśli jutro rano również będzie lać, nie mam szans na przejście pobliskiego rozlewiska rzeczki. Przynajmniej dwa dni musi być sucho, by woda ustąpiła.

Do torby zapakowałem sprzęt fotograficzny i idę skrajem plaży podziwiać piękną zatokę. Nie jest wielka, ale bardzo malownicza. Od południowego wschodu ogranicza ją wysoki, skalisty i niedostępny brzeg przechodzący w busz. Ludzie z okolicznych archipelagów od pokoleń dobrze wiedzą, jak uchronić swoje skromne domostwa przed niszczycielskimi cyklonami. Ta zatoka z wysokim brzegiem, nad którą się zatrzymałem u gościnnej rodziny, jest właśnie taką naturalną barierą ochronną.

Może nie wszyscy wiedzą, że Vanuatu, Fidżi i wyspy Tonga leżą na tak zwanej „ścieżce cyklonów”. Każdego roku od października do marca na tym obszarze Pacyfiku przechodzą wilgotne monsuny z południowego wschodu. To one nierzadko sprowadzają niszczycielskie cyklony. Jeśli prędkość wiatru przekracza ponad 250 kilometrów na godzinę, to i wysoki brzeg zatoki nie ochroni. Na szczęście takie kataklizmy zdarzają się rzadko.

Kilka metrów od brzegu pod wielkim drzewem foa leżą dwie małe łodzie dżubanki, a każda ma boczny pływak. Rybacy z wysp stale używają ich do pływania w pobliżu brzegu. Łódka wydłubana z jednego pnia drzewa zapewnia doskonałą szczelność. Do budowy nie trzeba desek, wystarczy solidny pień palmy lub innego twardego drzewa. Na pierwszy rzut oka dżubanka wzmocniona równoważącym pływakiem wydaje się konstrukcją bardzo prostą. Ale jeśli uświadomimy sobie, że przedtem trzeba

zwalić drzewo, potem przeciąć je wzdłuż na pół, przetransportować z buszu w pobliże chatki, a następnie dłubać, wówczas cała ta praca wzbudza podziw i szacunek. Kadłuby wydrążonych łodzi nie są szerokie i aby przeciwdziałać wywracaniu się, do jednego boku dodaje się statecznik. To długa belka z lekkiego drewna, która spoczywa na powierzchni wody w niewielkiej odległości od kadłuba. Belkę łączy się z łodzią za pomocą dwóch żerdzi wygiętych do poziomu pływaka.

Po południu Joseph zaproponował wspólny połów ryb na lagunie w zatoce, co mnie ucieszyło. Popłyniemy tam nie małą dłubanką, a aluminiową łodzią, w której swobodnie mieszczą się cztery osoby. W płytkiej wodzie na pobliskiej lagunie chcemy polować harpunem na kolorowe ryby kryjące się w zakamarkach rafy. Ja będę polował moim aparatem fotograficznym. Pogodę mamy wymarzoną. Na błękitnym niebie majestatycznie wędrują kłębiaste białe chmury, jest słonecznie i prawie bezwietrznie. Pakujemy się we czwórkę do łódki. Josef ze szwagrem wrzucają na dno dwa wiosła i dwa harpuny, do tego kusze, płetwy i maski. Mozes przyniósł kiść żółtych bananów, mogą się przydać, bo planują być tam dosyć długo. Przy brzegu jest największa fala, więc odbijamy ostrożnie, by nie nabrać wody. Sprzęt do polowania jest bardzo prosty, to zwykła kusza gumówka, w której strzałę na lince wypuszcza naciągnięta guma. Słońce przypieka, mocno naciągam na głowę mój kapelusik. Czarnych kudłatych głów chłopaków słońce nie wzrusza. Nie zabraliśmy kotwicy, Mozes będzie pilnował i trzymał wiosłem łódkę w miejscu nurkowania. Pora, w której wypłynęliśmy, nie jest właściwa i chyba nikt z nas nie liczy na wielkie ryby.

Chłopcy skoczyli do wody. Sądziłem, że popłyniemy dalej, a zatrzymaliśmy się około 200 metrów od brzegu na granicy głębi. Na płytkiej wodzie dokładnie widać dno, to prawdziwy koralowy ogród. Nie jest tu głęboko, może dwa, trzy metry. Kilka metrów dalej granatowa czerń głębi może już szczura lądowego nieźle przerazić. Po sielankowym podziwianiu koralowego dna już samo patrzenie na głębię wzbudza niepokój. Mnie taka czeluść natychmiast kojarzy się z groźnymi rekinami, które tylko czyhają na nurka. Jakąś odwagę mam, ale do pływania tu pod wodą brak mi entuzjazmu. Znacznie lepiej czuję się w aluminiowej łodzi. Na pierwszą zdobycz nie czekaliśmy długo. Gdy zobaczyłem ją nadzianą na strzale, żal mi się zrobiło, gdyż była mała, miała zaledwie kilkanaście centymetrów długości. Pomyślałem, że nie ma sensu zabijać tak pięknych stworzeń tylko po to, by mieć z tego przyjemność polowania. Co innego dla zaspokojenia głodu, to zrozumiałe. Josef zdjął barwną rybkę z ostrza i podał Mozesowi. By był choć jakiś pożytek z tej śmierci, zrobiłem kilka zdjęć. Fotografia bardziej ukaże piękno rybki niż sto moich słów. Wkrótce, kiedy na strzale znalazła się kolejna rafowa piękność, kazałem przestać strzelać do tak małych i niewinnych stworzeń. Niestety dalsze poszukiwania wielkiej ryby nic nie dały. Na otarcie łez na dnie łodzi wylądowało kilka pięknych okazów koralu. Gdybym był miłośnikiem i znawcą tych zwapnionych kolorowych polipów, których jest tu ponoć aż 400 gatunków, mógłbym oniemiać z zachwytu. Jednak uważam, że koral powinien zostać na swoim miejscu, a nie trafić do gąbłoty jakiegoś snoba i pokrywać się kurzem. Przejażdżka po lagunie była naszą rozrywką, a nie zdobywaniem pożywienia, więc beztrząsco płyniemy do brzegu.

## Skoczki z Pentecost

Mój pobyt u tych dobrodusznych ludzi miał trwać dwa dni. Licząc, że skończą się opady, przedłużałem gościnnie dzień za dniem. Tymczasem nocne deszcze nie ustępowały, a kolejne dni mijały. Gdybym jeszcze dłużej zwlekał, to bez dwóch zdań nie dotarłbym na pobliską wysepkę Atchin. Tam ostatecznie zakończyłem moją długą wędrówkę brzegiem Malekuli, po nieudanej próbie dostania się na wyspę Pentecost.

Jak było do przewidzenia, i tak w końcu musiałem skorzystać z półciężarówki, która daje sobie radę z pokonaniem rozlewiska pobliskiej rzeczki Pankoumou. Prawie każdego dnia około czwartej rano z wioski Lamap wyrusza mocny terenowy samochód i jedzie do miejscowości Lokatoro. Gdzieś po godzinie od startu przejeżdża pobliską drogą. Musiałem wcześniej wstać, by się nim zabrać. Uczynna Anna, kuśtykając, przyszła mnie obudzić, bym nie zasnął. O tej porze jest jeszcze głęboka noc, a ta dobra kobieta specjalnie tak wcześnie wstała, by mnie pożegnać. Oczywiście w nocy znowu padało i moja decyzja, by w końcu ruszyć dalej, była dobra. Na szczęście przestało padać, bo wiem, że paka samochodu

jest bez plandeki i kierowcy wcale nie obchodzi, że pasażerowie zmkną.

W ciemnościach nocy zobaczyłem światelka zbliżającego się samochodu. Byłem wzruszony, kiedy nadszedł czas pożegnania. Tak jest zawsze, gdy na swoim szlaku spotykam dobrych ludzi i przychodzi czas rozstania. Takie już jest życie samotnego wędrowca...

W pobliskiej wiosce Tisman na pakę dosiadło się kilku ludzi i ruszyliśmy błotnistą drogą przez busz. Jeszcze było szarawo, gdy dojechaliśmy do rozlewiska. Jak było do przewidzenia, rozlana rzeka ciągnęła się na przestrzeni pół kilometra. Gdyby przechodzić w bród, to woda nie sięgałaby wyżej kolan, ale kto jest w stanie taki kawał brodzić z plecakiem? Kiedy dojeżdżaliśmy do osady Port Stanley, zrobiło się jasno. Nastął kolejny gorący, wilgotny i duszny dzień.

Wysiadłem w Litzlitz, w pobliżu przystani promowej, dwa kilometry przed Lokatoro, największej osady na Malekuli. Dowiedziałem się, że jeden z mieszkańców prowadzi tu mały motel dla podróżnych czekających na prom. Bardzo szybko odszukałem to miejsce i po krótkiej rozmowie z właścicielem moteliku zdecydowałem się w nim zatrzymać.

Moje nowe lokum znajduje się tak blisko brzegu zatoki, że jeśli jest przyływ, to woda dosięga ściany mojej plecionej bambusowej chatki. Na szczęście fundament domku stoi na koralowej skale około metr nad wodą, więc fale tu nie sięgają. Jednym słowem to mangrowy hotelik, tylko cudem niezalewany wodą jak pobliskie zarośla. Cały hotelarski biznes pana Edwina to cztery takie same chatki. Wszędzie dookoła jest czysto i schludnie, nie brakuje tu kwiatów i ładnych krzewów o pięknych i ozdobnych liściach – krotonów. Ścieżki między domkami są wysypane pokruszonym korałem i jeśli pada, a o to tutaj nietrudno, nie pobrudzimy sobie nóg. Toaletę i kącik, gdzie można się przez polewanie wodą z beczki wykapać, stanowi wspólna dla wszystkich chatka na zapleczu. Ogólnie, jak na miejscowe warunki, jest tu wygodnie i przyjemnie, a do tego tanio. Gospodarz to miły i przyjazny człowiek, cieszę się, że tu trafiłem. Gałęzie rosnących w pobliżu drzew cytrusowych uginają się od ogromnych pomelo. Mogę się nimi zajadać do woli. Goście mają do dyspozycji przewiewne chatki z pandanusa – są małe, ale wygodne. W każdej mieszczą się z trudem tylko trzy łóżka z moskitierami i nic więcej. Dla mnie najważniejsze, że wreszcie jest prąd i koniec udręki z ładowaniem baterii. Jak na razie jestem jedynym gościem moteliku.

Rozlokowałem się w mojej chatce i zaraz potem wyruszyłem na pobliską przystań, by dowiedzieć się czegoś o promie na wyspę Pentecost. Nie ma tu żadnego biura ani nawet budynku. Przy betonowym moło przycumowane są dwie łajby nazywane tu copra boats. Jak już wcześniej pisałem, są to małe, kilkumetrowej długości jednostki do przewożenia różnych towarów, które czasami zabierają kilka osób. Te tutaj są już stare i ciągle nabierają wody, więc pompa wybierająca wodę z zęzy pracuje bez przerwy. Pływają bez określonego harmonogramu między małymi wysepkami archipelagu. O wszystkim decyduje właściciel, który najczęściej jest jednocześnie kapitanem. Te stare łajby są jednak niezbędne, by utrzymać jaką taką łączność z wieloma małymi wysepkami, do których duże promy Big Sista i Efate Queen nie zawijają.

Na pomoście nie widzę nikogo, z kim mógłbym pogadać na ten temat. Tylko na pokładzie jednej z zacumowanych copra boats kręci się ktoś z załogi. Przeskoczyłem na pokład, by porozmawiać z marynarzami. Na szczęście znaję angielski, co mnie ucieszyło. Szybko nawiązałem z miłymi chłopakami kontakt. Szczególnie błyskotliwy Rudolf z pobliskiej wysepki Atchin był chętny do pomocy. Do tego okazał się niezwykle towarzyski i gościnnie, od pierwszego spojrzenia polubił mnie i zaprosił do mesy. Już po krótkiej rozmowie uzyskałem informacje, o które mi chodziło, oni tu wszystko wiedzą. Są radzi z mojego zjawienia się na pokładzie. Ich stałe zajęcie to pilnowanie niesprawnej łajby, która od kilku miesięcy czeka na naprawę. Nie mogą się doczekać przesyłki z Australii, w której jest jakaś ważna część niezbędna do uruchomienia silnika. Chłopaki nudzą się, ale wcale się im nie dziwię, gdyż mieszkają w tym chybotliwym domku już od kilku miesięcy. Gdy czas się dłuży i nie ma co robić, każdy gość jest mile widziany. Jeśli chodzi o mój rejs na wyspę Pentecost, to muszę z niego zrezygnować. Powiedzieli, że w tym tygodniu z Litzlitz nic tam nie popłynie. Być może jest szansa dostać się tam jakimś małym kursem copra boat przez wyspę Espiritu Santo, ale ja mam za mało czasu na takie niepewne rejsy. Bardzo żałuję, bo chciałem być na wyspie, gdzie narodził się niebezpieczny rytuał skoków na bungee. Ale mam też w zanadrzu alternatywny plan zagospodarowania tych kilku dni.

Popłynę na nieodległą Atchin. Pochodzący z niej Rudolf tak zachwalał swoją wyspę, że nie zastanawiałem się długo.

Niewielu ludzi wie, że to właśnie z Vanuatu, a konkretnie z wysepki Pentecost, wywodzi się bungee jumping, czyli skoki na linie z wieży. Stoję na brzegu i widzę cieniutki paseczek ładu wyłaniający się zza wyspy Ambrym. To właśnie Pentecost. Jestem zawiedziony, bo widzę tę wyspę i nie mogę się tam dostać. Stało się to przez nagłą zmianę trasy promu, oczywiście z nieznanych przyczyn. W ciągu najbliższych dni nie będzie połączenia, a ja już nie mam czasu dłużej czekać.

W opowieści o Vanuatu nie mogę pominąć chociaż krótkiej historii o rytuałach wyspiarzy, z których tak niedawno jeden został podpatrzony i zaadaptowany w celach komercyjnych przez ludzi Zachodu. Pierwszy skok poza Pentecost wykonano w 1979 roku, i tę datę uznaje się za początek bungee jumping. Wkrótce takie skoki stały się popularnym i bardzo ekstremalnym sportem na całym świecie.

Entuzjaści twierdzą, że nie ma nic bardziej ekscytującego niż spadanie w otchłań głową w dół. To tu, na tej małej wyspie na południowym Pacyfiku, narodził się bardzo niebezpieczny rytuał. W miejscowym języku ta uroczystość nazywa się Naghol. Zgodnie z tradycją świętowanie ma na celu zapewnienie obfitych zbiorów jamu. Nurkowie głową w dół błogosławią ziemię. Dzisiaj jednak Naghol to także sposób dla młodzieńców, aby wkroczyć w wiek męski. Nie bez znaczenia jest fakt, że niebezpieczny skok ma zaimponować przyglądającym się dziewczynom. Dzisiaj jest to też dochodowa impreza. W okresie, kiedy odbywają się skoki z wież, wyspę odwiedza masa zagranicznych turystów. Za fotografowanie i filmowanie trzeba ekstra zapłacić. Świadomość należnych praw i tu dotarła.

Dzisiaj mieszkańcy Pentecost walczą o uzyskanie opłat licencyjnych. Mają nadzieję, że kiedyś doczekają się zadośćuczynienia za kradzież ich zwyczajowego skoku, na którym bezprawnie na świecie zarabia się grube miliony dolarów.

Legenda o powstaniu tego zwyczaju sięga niepamiętnych czasów. Ustny przekaz z pokolenia na pokolenie opowiada, skąd wziął się ten oryginalny świąteczny rytuał. Wiele lat temu znalazła się w wiosce Bunlap niewierna żona, którą mąż postanowił ukarać. Mężczyźni z wioski z uznaniem powitali tę decyzję i patrzyli, jak małżonek, uzbrojony w tęgi kij, gonił wiarołomną żonę. Kiedy już był tuż-tuż, ścigana wdrapała się na palmę. Zdradzony mąż wgramolił się za nią i wprost zapytał, czy on jako mężczyzna jej nie odpowiada.

– Nie! Jesteś słabeusz i tchórz. Ty nawet nie masz odwagi zeskoczyć z tej palmy na ziemię.

– To niemożliwe, za wysoko – przeraził się mężczyzna.

Żona na to:

– A ja to zrobię!

Małżonek nie miał innego wyjścia i – choć przerażony – bez namysłu odpalił:

– Jeśli ty, to i ja!

I skoczyli, tyle tylko, że chytra niewiasta przywiązała końce długich liści palmy do kostek u nóg i ocalała, a zdradzony mąż oczywiście się zabił. Mężczyźni z wioski poczuli się zgnębieni tym, że ich kompan został tak okpiony przez kobietę. Zbudowali więc wieżę o wiele wyższą niż palma i zaczęli z niej ćwiczyć skoki głową w dół, aby udowodnić kobietom, że są dzielni i odważni. Wkrótce też doszli do dużej wprawy. Od tego czasu skaczą regularnie co roku o tej samej porze, a dokładnie w okresie zbiorów jamu.

Dziwić może to, że mimo rozwoju techniki bezpiecznych skoków na elastycznych linach na świecie tu, na wyspie, do amortyzacji skoku w dalszym ciągu używa się lian z drzew rosnących w buszu. Już kilkuletni chłopcy uczestniczą w tej niebezpiecznej ceremonii. Wieże budowane są z tyczek bambusa, które wiąże się lianami. Cała konstrukcja ma około trzydziestu metrów wysokości i jest zrobiona bez użycia gwoździ. Konstrukcje wyglądają na chaotyczne, są wręcz przerażające.

Do budowy przystępuje się każdego roku na przełomie marca, przed zbiorem jamu, który rozpoczyna się w kwietniu i jest głównym powodem tej imprezy. Jam to ulubione, najbardziej wartościowe i smaczne warzywo bulwiaste, które jest również najdroższe. Wspominałem już, że na zbiór pęku owalnych jasnobrązowych bulw oczekuje się aż dziewięć miesięcy. Jest to warzywo na tyle ważne dla mieszkańców wysp Melanezji, że z okazji zbiorów odbywają się prawie wszędzie święta. Na Pentecost mają one szczególny przebieg.

Budowane tu wieże od niepamiętnych czasów konstruowane są tak samo, bez żadnych zmian. Tak samo tradycyjnie przebiega cały proces przygotowania liany asekuracyjnej. Musi ona być precyzyjnie dobrana pod względem długości i dopasowana do ciężaru ciała skoczka. Bardzo ważna jest jej odpowiednia wilgotność, za sucha lub za mokra albo zbyt słaba grozi śmiercią lub poważnym kalectwem śmiałka. To nie syntetyczna guma używana w bungee jumping. Każdy skoczek osobiście na dwa dni przed imprezą udaje się do buszu i wybiera liany mające mu służyć jako liny asekuracyjne. Decyduje tu ich grubość, długość i elastyczność. Po wycięciu odpowiednich lian wiesza się je parami na wieży. Skoczek musi uwzględnić rozciągliwość roślinnej liny i własny ciężar oraz wziąć poprawkę na trampolinę, która przy wybiciu ma się mocno nachylić i złamać. Końce lian strzępi się, aby łatwiej można było je obwiązać wokół kostek. Do czasu skoku te końce zabezpiecza się przed wyschnięciem, obwiązując wilgotnymi liśćmi.

Całe przygotowania do oddania skoku są bardzo długie i skomplikowane. W Europie do obliczeń parametrów bezpiecznego skoku na syntetycznych gumach zaprzęga się wypasione komputery, tymczasem miejscowi dają sobie doskonale radę bez tego. Kiedy nadchodzi ten wielki dzień, stromy stok u stóp wieży, czyli miejsce lądowania miejscowych kamikaze, czyści się dokładnie z kamieni i korzeni. Cały teren przesiewa się dokładnie palcami. Specjalni wartownicy pilnują, aby nikt nie zbliżał się do tego terenu, który staje się w tym czasie tabu. Dzień skoków jest wielką uroczystością dla całej społeczności. Rozpoczynają się skoki. Prawie nadzy skoczkowie jeden po drugim wdrapują się na najwyższą platformę rachitycznej budowli. Następnie nad kostkami obwiązują się rozczapierzonymi końcówkami lin. Jak wiadomo, liana nie jest tak elastyczna jak gumowa lina z bungee jumping, więc skok z prędkością siedemdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę jest niemałym wstrząsem dla skoczka podczas nurkowania w piasku. Cały problem polega na tym, żeby skoczyć tak, by rękoma i głową dotknąć ziemi, nie łamiąc przy tym karku, co nierzadko się zdarza. Odważni skoczkowie z trzaskiem łamiących się platform wykonują skoki. Każdy skok jest hazardem, a stawką jest życie.

Gdzieś z dołu dochodzą rytmiczne pieśni. Skoczek stoi samotny na tle nieba, trzymając w ręku czerwone, święte liście krotonu, które tuż przed skokiem wyrzuca w powietrze. Teraz ten odważny człowiek składa ręce i po trzykroć potrząsa nimi nad głową. Potem krzyżuje je na piersi, pochyla się i leci głową w dół na czerwonawą ziemię. Kilka zaledwie stóp nad ziemią liany się naprężają i elastycznie podrzucają skoczka w kierunku podstawy wieży. Jeśli długość lian jest dobrze obliczona, ląduje on lekko na plecach na stromym wzgórku miękkiej ziemi. Tam już bracia porywają go radośnie na ręce. Jeżeli liany są za długie – człowiek łamie sobie kark, jeśli za krótkie – uderza o podstawę wieży i też najczęściej ginie. Nurkowanie do ziemi jest oczywiście całkowicie pozbawione jakichkolwiek zabezpieczeń, czyli kasków czy asekuracji, jakie mają skoczkowie z mostów na całym świecie.

Rytuał każdego roku przyciąga tłumy turystów na Pentecost. Ciekawostką jest wizyta na wyspie w 1974 roku królowej Elżbiety II. Miała wielkiego pecha i pewnie była bardzo zrażona wypadkiem, kiedy na jej oczach liana, którą był przywiązany skoczek, zerwała się i nieszczęśnik się zabił. Była to głośna sprawa, nawet dzisiaj o niej pamiętają. Mówią, że skoczek złamał tabu. Administracja kazała wykonać skok na pokaz dla królowej. Ponoć skakał nie ze swojej platformy, a miejsce było obłożone starym tabu. Inni mówią, że liany w lutym nie były jeszcze odpowiednie, nie był to czas skoków. Wszyscy mówią o dużym odszkodowaniu od dworu dla rodziny pechowca. To zrozumiałe. Nikt nie jest w stanie obojętnie patrzeć na śmierć człowieka, także królowa, zwłaszcza że całą tę imprezę zaaranżowano specjalnie dla niej.

## Na wysepce Atchin

Dokładnie za tydzień mam prom Big Sista, którym będą mógł wydostać się z Malekuli do Port Vila na wyspie Efate. Wkrótce potem lecę na kolejny archipelag o intrygującej nazwie Wyspy Salomona.

Wygodnie i spokojnie mieszka się w Litzlitz. W dobrze zaopatrzonych sklepach i na bazarze w pobliskim Lokatoro mogę zaopatrzyć się w jedzenie niemal jak w domu. Gdyby nie wszędobylska wilgoć i deszcz oraz chmary malarycznych komarów, byłaby tu kraina szczęśliwości niemal jak z marzeń. Nie szkodzi, że domki motelu stoją wśród zalewanych zarośli mangrowych.



Wędruję po jednym z najpiękniejszych zakątków Pacyfiku. Przypuszczam, że każdy tak wyobraża sobie malownicze, zapierające wręcz dech w piersiach krajobrazy wysp na Morzach Południowych, jeśli jeszcze na własne oczy tych miejsc nie widział. Właśnie tak tu jest. Nad malowniczą zatoką Port Stanley, która ograniczona jest od północy półwyspem, usadowiły się cztery wioski. Są to malutka Port Stanley, Litzlitz, większa Lokatoro oraz na północy duża wioska Norsup z siedzibą lokalnej administracji. Od pierwszej do ostatniej nie jest więcej jak dwanaście kilometrów. Spokojne wody zatoki przed groźnymi falami oceanu chroni kilka płaskich, zamieszkałych przez parę rodzin wysp. Zaraz za drogą biegnącą wzdłuż brzegu ledwie starcza miejsca na postawienie chatki. Tu teren gwałtownie wznosi się na wysokość 350-400 metrów. Z poziomu morza to pięknie wygląda. Dzika, bujna i niesamowicie różnorodna roślinność, z malowniczo usadowionymi palmami kokosowymi, tworzy tę właśnie trudną do opisanego urodę wysp Mórz Południowych.

Jednak ja, stary wyjadacz, dobrze znam takie sielankowe piękno i wiem, że to tak ładnie wygląda tylko z daleka, a najlepiej z łódki. Gdy tam staniesz, znajdziesz się zaraz w zielonym piekle. Jednak pomijam to całe roztrząsanie wszelkich za i przeciw i delektuję się tymi widokami.

W okresie Wielkich Odkryć Geograficznych na tych spokojnych wodach kotwiczyły okręty kapitana Cooka. To właśnie on nadał nazwę Port Stanley i tak już zostało do dzisiaj. Po tylu dniach mieszkania w coraz to innych chatkach u dobrych ludzi teraz, gdy mam takie wygody, znowu podejmuję wyzwanie. Postanowiłem popłynąć na małą wysepkę Atchin. Wiem, że będę musiał kolejny raz poszukać rodziny, która mnie przygarnie na kilka dni. Odczuwam lekki niepokój, jednak mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Z Edwinem załatwiłem, że za cztery albo pięć dni wracam do mojego domku wśród mangrowych zarośli. Aby mieć więcej swobody, poprosiłem go o pozostawienie w depozycie części moich rzeczy. Z Lokatoro już nie tak trudno złapać jakiś samochód do miejscowości położonych na północ od Norsup.

Stanałem w pobliżu drogi za targiem warzywnym, aby złapać jakiś samochód w tym kierunku. Okolice bazaru to najlepsze do tego miejsce, a przy tym okazja ciekawego spędzenia czasu oczekiwania na transport. Tylko jeden raz w tygodniu jest dzień targowy. Wtedy robi się tłoczno, kto chce coś sprzedać czy kupić lub wymienić, ściąga tu ze swoimi skarbami. Transport jest tu kiepski i tylko z dalszych wsi płody przywozi się na pakach samochodów. Większość ludzi z okolicy targa wszystko na plecach w tobołach i worach lub w koszykach plecionych z łyka. Podaż jest duża, więc trudno cokolwiek sprzedać, prawie każda rodzina ma własny ogród. Sytuację ratuje to, że nie wszyscy uprawiają to samo. Jedni mają do sprzedania manioki, inni uprawiają taro. Nie wszyscy łowią ryby czy specjalizują się w korzeniach kawy. Przyglądając się przybywającym na bazar, zauważymy, że najważniejszym chyba powodem odwiedzin w wiosce jest zrobienie zakupów w dobrze zaopatrzonych miejscowych sklepach. Zawsze to taniej niż w wioskowych malutkich składzikach, gdzie trzeba przepłacać. Bazar to miejsce spotkań, a przy okazji można załatwić sprawy w pobliskim urzędzie. Kto ma jakąś bolączkę, idzie do lekarza przyjmującego w szpitaliku. W budynku przy wiacie bazarowej można zjeść solidne porcje smażonej ryby z taro oraz gotowane banany z kawałkami wieprzowiny w sosie i z surówką z miejscowej kapusty.

Pod bazarową wiatą panuje duży ruch. Na stołach obok rozłożonych papai, pomarańczy, paplemusów leżą warzywa w dużym wyborze, obok przysadziste kobiety głośno zachwalają i kroją wielkie laplapy z nieznanym mi nadzieniem. Takie ogromne placki podobne do pizzy zawsze mają amatorów, bo są znacznie tańsze od wieprzowiny czy chociażby dania z ryb.

Przy okazji większych zakupów tata i mama nie odmówią lizaka czy cukierka swoim ślicznym pociechom. Dzieci są grzeczne i spokojne, naprawdę nie potrzeba dużo, by były w siódmym niebie. Dorośli, jak to dorośli, z urodą jest u nich różnie, ale dzieciaczki są naprawdę urocze i słodkie. Ciekawe czarne oczka biegają na wszystkie strony, nie mogłem od nich oderwać wzroku.

Warzyw jest tak dużo, że leżą rozłożone na betonowej posadzce. Wcześniej widziałem wielkie azjatyckie bazy – szczególnie imponujące są te w Indonezji – dlatego tutejszy może wydać się bardzo ubogi w asortyment, ale płody są świeże i bardzo dorodne. Najwięcej jest zielonych bananów, tych do gotowania, leżą w wielkich kiściach wprost na betonie. Obok sporo miejsca zajmuje nieco droższa kasawa, częściej nazywana tu maniokiem. Kolejnym popularnym towarem jest taro, zapakowane

w solidne kosze plecione z łyka, jest tu najdroższym warzywem. Można kupić złociste kolby kukurydzy oraz różowawe bulwy słodkich ziemniaków. Nie brak też oczywiście pospolitego tu orzecha kokosowego, bez którego nie można się obyć w kuchni. Wyjątkowo dużo jest ogromnych żywych krabów ze starannie powiązanymi łykiem szczypcami, ułożonych równiutko na gołym betonie.

Na wszystkich warzywach i owocach leżą kartki z zawsze wyraźnie napisaną ceną. Tu nie ma zwyczaju targowania się przy zakupie, cena jest ostateczna, czyli dobrze wcześniej przemyślana. Chcesz – kupuj, jeśli ci nie odpowiada – spróbuj gdzie indziej.

Handel warzywami na Vanuatu to domena kobiet. Cały bazar wygląda bardzo kolorowo. Kobiety ubierają się niezwykle starannie. Prawie wszystkie mają podobnego kroju długie suknie z bufiastymi rękawami. Panie gustują w jaskrawych kolorach, przez to bazar jest wesoły. Młodym handlarkom nie przeszkadza opatulony zawojem brzdąc na plecach.

Kilkanaście metrów od tego babskiego targu pod znacznie mniejszą wiatą swoje interesy prowadzą mężczyźni. Tu nie ma rozgardiaszu. Przed każdym leżą zmyślnie i starannie powiązane w mniejsze lub większe pęki niczym chochoły korzenie kawy.

Można by długo opowiadać o bazarze, dla mnie jest to miejsce, gdzie nigdy się nie nudzę. W dni targowe w Lokatoro i Norsup panuje zawsze wielki tłok. W inne dni okolica jest spokojna, jakby wyludniona.

Na furgon w kierunku wioski Atchin nie musiałem długo czekać. Za nieduże pieniądze uczynny kierowca zgodził się mnie zabrać. Kiedy nie pada i nie wzbijają się tumany kurzu, jazda na pace nie jest dla mnie udręką. Do Atchin jest około dwudziestu kilometrów drogi. Około trzech kilometrów za Lokatoro mijamy wybudowany jeszcze za czasów kondominium pas startowy dla małych samolocików. Tu jeszcze jest dobra droga szutrowa, ale za Norsup już nikt o nią nie dba. Koloniści francuscy, którzy pierwsi zawitali w ten rejon wyspy, natychmiast dostrzegli przydatność okolicy pod wielką plantację palmy kokosowej. Nie dziwi to, bo teren w tym miejscu był wyjątkowo płaski, i to na przestrzeni kilkunastu kilometrów kwadratowych. Wkrótce zakreśliła się tu cwana firma francuska. Bez wiedzy i zgody miejscowych pewnego dnia do brzegu Malekuli przybiły statki z drobnymi Wietnamczykami, którzy pod nadzorem wojska szybko oczyścili i ogrodzili cały areał, po czym obsadzili go tysiącami sadzonek palm. Zajęty teren nie był jeszcze tak wielki, więc nie rozdrażnił kilku prawowitych właścicieli. Sprytna firma nie powiedziała im wszystkiego, w zasadzie miało chodzić tylko o nasadzenia, a nie wspomniano nic o ziemi. Niektórych opornych dało się jakoś udobruchać symboliczną opłatą czy małą przydatnymi prezentami. Zaraz też ktoś wpadł na pomysł, by powstała tu stacja hodowli roślin i zwierząt prowadząca szkolenia rolnicze dla tubylców. Szczytnym celem ośrodka miało być udostępnianie im wiedzy białego człowieka w tym zakresie. Coś takiego rzeczywiście powstało, ale na krótko i działało bez żadnego powodzenia. Jak było do przewidzenia, w miarę upływających lat ogrodzenia okalające plantację przesunęły się w głąb wyspy. Oficjalnie cały obszar był tylko wydzierżawiony od właścicieli.

Takim podjazdowym sposobem w niedługim czasie powstała mająca około 2 000 hektarów dobrze prosperująca plantacja, sięgająca prawie wzgórz. Miejscowi nie mogli wiele wywalczyć, zezwolono im tylko używać starej ścieżki przez ogrodzoną plantację. Mieszkańcy Tautu żyjący na półwyspie musieli jakoś wydostawać się z wioski do głównej drogi. Ludzie w końcu przyzwyczaili się do sytuacji, niektórzy znaleźli na plantacji zatrudnienie. Palmy kokosowe plonowały, mijały lata, sporo starych drzew likwidowano i w ich miejsce sadzono nowe.

Wszystko było pod kontrolą do czasu, kiedy rząd kondominium postanowił w tym miejscu wybudować pas startowy. Uzasadnieniem był ekonomiczny rozwój tej części wyspy. Kupiono więc od francuskiej firmy kawał starej plantacji. Usunięto drzewa i za pomocą buldożerów zniwelowano teren. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie naruszono ścieżki, niesłuchanie potrzebnej mieszkańcom wioski Tautu. Pokrzywdzeni ostro zaprotestowali, a kiedy to nie pomogło, zasadzili na świeżo wyrównanym gruncie swoje orzechy kokosowe. Buldożery przejechały się po sadzonkach raz, ale pojawiły się nowe kokosy. Dawni właściciele zaczęli domagać się swoich praw, a przy okazji wyszła na jaw sprawa nieuczciwie przejętej ziemi. Okazało, że kilkadziesiąt lat wcześniej, nawet jeśli za wydzierżawione od przodków ziemi otrzymali jakieś pieniądze, strzelby czy inne prezenty, to były one tylko rekompensatą za prawo sadzenia kokosów, a nie zapłatą za ziemię. Skoro teraz kokosy białych zostały usunięte, sprawa

jest zakończona i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby w tym samym miejscu rosły kokosy mieszkańców wyspy. Logika takiego rozumowania była nie do odparcia. Niemniej biali nie ustępowali. Spór toczył się przez kilka lat.

Ostatecznie pas startowy wybudowano dzięki szeregowi „zmiękczejących” działań. Obiecano w pierwszej kolejności zatrudnić mieszkańców z oszukanej wioski, zaczęto w końcu wypłacać małą opłatę dzierżawną. Stwierdzono, że decyzja ta jest podjęta dla dobra całej społeczności wyspy, a nie mieszkańców małej wioski. To klasyczny sposób wywłaszczania wyspiarzy z własności – kiedy firma garstki cwaniaków, a później niby-praworządna władza sankcjonuje niesprawiedliwość w imię wspólnego dobra.

Furgon właśnie przejeżdża wzdłuż wąskiego pasa lotniska. Po obu stronach drogi rozciąga się plantacja palmy kokosowej. Nieczęsto samoloty lądują dosłownie w gaju palmowym jak tu. Drzewa rosną jak pod sznurek. To już kolejne pokolenia od czasu pierwszego nasadzenia w drugiej połowie XIX wieku. W tak równych rzędach można zobaczyć sporo pustych miejsc. Długość życia tego nieocenionego drzewa porównywana jest z czasem życia człowieka. Kiedyś nieznanne, a później zawleczone choroby i szkodniki z Azji niszczą te szlachetne drzewa, skracając ich życie i obniżając plony o nawet dwadzieścia procent.

Już bardzo wcześnie, około 1900 roku, na wyspach pojawił się rohatyniec nosoróg. Prawdopodobnie zaimportowano go z Cejlonu, obecnie Sri Lanki, gdzie pustoszył plantacje. Dotarł tu najprostszym sposobem, po prostu na jakimś statku. Wkrótce okazał się prawdziwą zmorą właścicieli plantacji. Samce, zgodnie z nazwą, wyglądają jak opancerzone nosorożce. Chrząszcze te odznaczają się ogromną rozrodczością i przeraźliwym apetytem. Bez litości zżerają młodziutkie listki palm, pozostawiając gołe, bezpłodne pniaki. Wojna z rohatyncem toczy się od wielu lat ze zmiennym szczęściem. Dawniej, kiedy Vanuatu było pod zarządem kolonialnym i wielkie plantacje pozostawały w rękach cudzoziemców, wyspiarze nie byli zainteresowani ochroną własności kolonizatorów. Rohatynce nie ograniczały się jedynie do zżerania palm obcych plantatorów. Rozpełzły się po całym archipelagu i nie tylko. Do dziś, mimo walki chemicznej i stosowania pułapek na pniach, trudno pozbyć się tego szkodnika.

Jak było do przewidzenia, zaraz za lotniskiem zaczynają się takie wertepy, błoto, zjazdy i podjazdy, że trudno to nazwać drogą. W przewodnikach turystycznych można wyczytać, że w okolicy są kamienne stoły, na których ćwiartowano i przygotowywano uczyty z wrogów. Dzisiaj na takie miejsca można natrafić w pobliskiej opuszczonej wiosce Sorwit i zamieszkałej Tautu. Z wielu przyczyn trudno jest dostać się w te miejsca. Niezamieszkałe wioski zarasta busz, ale także miejscowi nie są zainteresowani, by chwalić się tymi jeszcze nie tak dawnymi okrutnymi procederami.

Sam się o tym przekonałem, kiedy w tym celu udałem się do wioski Tautu, tej samej, której mieszkańcy tak zawzięcie walczyli o ścieżkę przez pas startowy. Po przyjeździe do wioski nieopatrznie okazałem zainteresowanie tym tematem. Podszedłem do grupki mężczyzn i spytałem, czy ktoś może mnie zaprowadzić w to makabryczne miejsce. Po chwili podszedł niesympatyczny szef wioski i spytał, skąd ja wiem o tym miejscu. Gdy pokazałem przewodnik Lonely Planet i wzmiankę o tej sprawie, zaczął wypytywać, kto ja jestem i po co mi to potrzebne. Na koniec powiedział, że nie mam tu czego szukać, a wszystkim zabronił udzielenia mi jakiegokolwiek pomocy. Byłem wściekły, że niepotrzebnie narobiłem zamieszania. Trzeba było podejść do kogoś indywidualnie, dać w łapę kilka watu i załatwić sprawę po cichu. A teraz, mimo gróźb i ostrzeżeń, postanowiłem sam ruszyć w ponury nadbrzeżny busz. Było jeszcze przed południem, pogoda brzydka, co chwilę popadywał deszcz, więc samopoczucie miałem bardziej niż ponure. Ze złości i przekory wcale nie przejąłem się presją szefa wioski. Nikt nawet palcem nie kiwnął, by mi pomóc. Długo chodziłem za wioską w pobliżu skalistego brzegu półwyspu. W tym miejscu z wody wystają wysokie na kilka metrów poszarpane skały zastygłej czarnej lawy, o które z impetem rozbijają się fale. Gdyby była słoneczna pogoda, wszystko wyglądałoby inaczej. Około stu metrów od brzegu zaczynają się skały z grotami. W ich pobliżu znajduje się kilka ziemnych pieców z rozrzuconymi wokół palenisk kamieniami. Grozy otoczeniu dodają namorzyny i mangrowe drzewa z korzeniami na wierzchu jak szczudła, a do tego krzaki i wszędobylska wilgoć. Spotkane przypadkowo dwie kobiety też nie chciały mi wskazać drogi do kamiennych stołów. A do tego, jak na złość, kamera

nie potrafiła złapać w tym mroku ostrości. Wszystko to zniechęciło mnie do tego miejsca. Gdyby to było blisko Litzlitz, nie widziałbym problemu, ale czekała mnie jeszcze siedmiokilometrowa droga powrotna. To wszystko było dwa dni temu, a teraz wracam do pikapa.

Wysiadłem w wiosce Atchin. Ostatni, kilkukilometrowy odcinek to koszmarne błotniste koleiny. Po drodze dosiadło się kilku mężczyźn. Na pewnych odcinkach trzeba było nawet schodzić z paki, bo toyota nie dawała sobie rady, kiedy dukt biegł pod górę. Naprzeciw wioski Atchin, kilkaset metrów od brzegu, leży wysepka o takiej samej nazwie. Właśnie ona jest moim celem, planuję zatrzymać się tam na dwa lub trzy dni. Jedyna możliwość dostania się na wysepkę to skorzystanie z łodzi. Kilku miejscowych dorabia sobie, oferując taki transport. Mają do tego parę aluminiowych łodzi. Na wyspie jest też wiele dłubanek z bocznym płwakiem, ale te nie nadają się do bezpiecznej przeprawy przez cieśninę. Dłubanki są tylko dla odważnych, bo prąd w cieśninie jest nadzwyczaj groźny. Za drobną opłatą można przedostać się na wysepkę motorówką.

Krótko czekamy na brzegu i po chwili, brodząc w wodzie, wsiadamy na łódkę. Za dwa dolary w dziesięć minut dobijamy do dużej białej, piaszczystej plaży. Jak na warunki wysp wulkanicznych, jakimi są Vanuatu, taka plaża to rzecz niezwykła. Na piasku walają się wyrzucone przez fale orzechy kokosowe, które nierzadko dryfowały z odległych wysp. Pod nogami chrzęści pokruszony, wymieszany z piaskiem koral. Pierwsze wrażenie jest niezwykle korzystne, tym bardziej że na błękitnym niebie zza białych cumulusów ukazało się słońce, którego dawno nie widziałem.

Atchin to okruch, jest najmniejsza z czterech wysepek przy północno-wschodnim brzegu Malekuli. Za ledwie półkilometrowa cieśnina oddziela ją od brzegu dużej wyspy, więc jest przytłoczona masywnym, górzystym sąsiadem. Tak samo jak Malekula tonie w zieleni. Jest naprawdę malutka, można ją obejść dookoła w za ledwie dwie godziny. Spodziewam się tu sporych trudności w porozumiewaniu się. Wysepka do końca kondominium była pod władzą francuską, więc miejscowi dalej w kontaktach z obcymi używają francuskiego. Poza tym muszę postarać się o lokum.

Z malutkim plecakiem w rękę ruszyłem śladem moich towarzyszy z furgonu w kierunku pobliskiego kościoła. Podeszliśmy do kilku mężczyźn siedzących na pniu powalonego drzewa. Wszyscy są ciekawi nowości z Norsup, Lokatoro, a często i ze stolicy, jeśli ktoś akurat stamtąd przybył. Żaden z mężczyźn pierwszy nie pobiegnie do żony i dzieci, to musi poczekać. Tak jest w miejscowej tradycji, od wieków kobietom nie wolno się wtrącać w męskie sprawy.

Mam szczęście, że w tej mieszance języków zawsze znajdzie się ktoś, z kim mogę się porozumieć. Tym kimś jest Joseph, czyli swojski Józek, około trzydziestoletni mieszkaniec pobliskiego domku. Jest żonaty i ma dwójkę małych dzieci. Jedno jeszcze jest malutkie i stale przebywa z matką, która nosi je w bardzo praktycznym zawoju. To działa tak jak moja torba fotograficzna, maluch może być w każdej chwili przesunięty na plecy lub na piersi. Joseph z żoną i dziećmi mieszka w osobnej chatce, ale gospodarują wspólnie z całą najbliższą rodziną, bo tak łatwiej. Cała familia jest duża, więc przy powitaniu nawet nie próbuję zapamiętać, kto jest kim. Najważniejsze, by nie pomylić żony z siostrą czy ojca i matki z wujostwem.

Po krótkiej rozmowie i konsultacji z ojcem Joseph proponuje mi nocleg w domku swojego brata, który wyjechał do pracy na Nową Kaledonię i teraz chatka jest pusta. Do wieczora jeszcze daleko, więc zasugerowałem, by wspólnie się przejść, a może i obejść całą wysepkę dookoła. Mój opiekun ma sporo czasu, dzisiaj w zasadzie pilnował tylko suszenia ziarna kakaowego na rozłożonych w pobliżu domu płachtach czarnej folii. Ostatnio częste deszcze utrudniały suszenie i musiał stale być przygotowany na szybkie zabezpieczenie przed zamoczeniem. Teraz jest piękna pogoda, chociaż mocno wieje, więc o ziarno jest spokojny, a w razie czego ojciec da sobie radę. Przy okazji opowiada mi o swoim biznesie.

Zajmuje się skupem surowego, świeżo wyłuskanego z owocu kakaowca ziarna. Nie wszyscy chcą się tym kłopotać, o czym już pisałem, więc niektórzy wolą sprzedać Josephowi wyłuskane surowe ziarno i mieć święty spokój, gdyż wtedy odpada również kłopotliwe targowanie się o cenę. Wspominałem też, że wyłuskane ziarno trzeba pozbawić słodkavo-kwaskowej otoczki. Robi się to w drewnianych skrzyniach, które wypełnia się ziarnem i szczelnie przykrywa workami. W tym czasie mazista otoczka fermentuje i ścieka na ziemię. Po siedmiu dniach czyste, jeszcze mokre nasiona poddaje się suszeniu na słońcu. Józef robi to prościej, fermentuje maziste ziarno w grubych jutowych workach, które leżą

w cieniu drzewa. Gdy jest pogoda, rozsypane na czarnej folii ziarno schnie kilka dni. Można wysuszyć je szybciej, bo w dwa lub trzy dni, jeśli jest wysypane na podgrzewanym niewielkim ogniem blaszanym stole w specjalnej wiacie, podobnie jak przy suszeniu kopry. W tym wypadku deszcze nie przeszkadzają. Kakao i korzenie kawy oraz świnię to najlepiej sprzedające się produkty rolne na Vanuatu. Za wysuszone i dostarczone do skupu kakao wyspiarze otrzymują prawie dziesięć razy mniej pieniędzy niż za taką samą ładnie zapakowaną porcję płaci klient w sklepie. W tej chwili za jeden kilogram można dostać 150 do 220 vatu, co w przeliczeniu na złotówki wychodzi cztery – pięć złotych.

Nie dowiedziałem się dokładnie, ilu mieszka tu ludzi, ale sporo, pewnie ponad tysiąc. Atchin to owalna wysepka o rozmiarach 1 400 na 700 metrów. Plony z tak małej powierzchni nie wystarczają, by wyżywić wszystkich mieszkańców, dlatego wiele rodzin ma swoje plantacje i ogrody na Malekuli. Na tym skrawku niemal płaskiego lądu, zajętego głównie przez plantacje palmy kokosowej, jest kilkanaście wiosek. Wioska to za dużo powiedziane, gdyż na polankach wśród gajów kokosowych zazwyczaj stoi tylko kilka chat, i to wszystko. Między tymi osadami najczęściej prowadzi jedynie wydeptana ścieżynka. Przechodzimy przez kilka takich rodzinnych sadyb. Prawie każda z nich ma oczywiście swoją nazwę, najczęściej zaczerpniętą z Ziemi Świętej. I tak – przechodzimy przez Betlejem, Nazaret i tym podobne.

Zadziwiająca jest ilość kościołów, których naliczyłem tu aż pięć. Największy jest katolicki, stojący w pobliżu mojego domku, drugi solidny kościół należy do Adwentystów Dnia Siódmego, jest jeszcze mały prezbiteriański. Pozostałe są bardzo ubogie, przypominają raczej pomieszczenia na spotkania. Na wyspie jedynie katolicy mają problem z regularnym uczestnictwem w Eucharystii, która z powodu braku księży odbywa się tylko raz w miesiącu, a czasami nawet rzadziej. W okolicy jest tylko czterech księży katolickich, trzech na Malekuli i jeden na sąsiedniej wysepce Wao. Dziwię się, że nie mają czasu i tak nieregularnie odwiedzają podległe parafie. Pozostałe protestanckie wspólnoty utrzymują swoich pastorów na miejscu, więc wierni nie mają problemów. Na wysepce są trzy szkoły elementarne, zatem nauka na poziomie podstawowym nie jest utrudniona.

Zatrzymaliśmy się w obejściu jednego z przysiółków, noszącego ciekawą nazwę Donald. Z pochylonej chatki podpartej z jednej strony belką, aby się nie przewróciła, wychodzi zdziwiony moim widokiem właściciel. Na krótko wraca do środka i po chwili przynosi dolną świńską szczękę ze spiralnie zakręconymi kłami. Proponuje mi zakup tego niezwykłego trofeum z hodowanej specjalnie dla tych kłów świni. Atchin jest wyspą bardzo rzadko odwiedzaną przez turystów, dlatego każdy biały może być potencjalnym nabywcą.

W pobliżu Malekuli takim turystycznym eldorado jest dobrze widoczna, leżąca cztery kilometry stąd na południowy wschód, nieco większa wysepka Wala. U jej brzegu co pewien czas kotwiczony wielki turystyczny statek. W tym czasie przez kilka godzin wyspę oblegają grupy turystów zafascynowanych sztucznie przygotowaną przez mieszkańców egzotyką. Mieszkańcy wyspy Wala specjalizują się w tym i stanowi to ich główne źródło utrzymania. Na szczęście takich komercyjnych miejsc na turystycznej mapie Vanuatu nie ma zbyt wielu. Na Atchin jest inaczej. To wysepka typowo rolnicza, więc dla turystów raczej mało ciekawa, dlatego obcy przybysze są tu rzadkością.

Dość groźne z wyrazu twarzy chłopisko sądzi, że kupię szczękę. Świńskie zęby w całej Melanezji uchodzą za rzecz wartościową. Na Vanuatu cena ich jest szczególnie wysoka, podobnie jak ich jakość.

Tutejsze świnię chowają się na ogół w stanie półdzikim. Niektóre jednak otacza się specjalną troską. Ze stadka wybiera się jakąś sztukę, której usuwa się górne kły. Wskutek tego zabiegu dolne zęby nie ścierają się i rosną swobodnie, pięknie zakręcając się do tyłu. Już bardzo cenne są kły tworzące pełny okrąg, a zupełnie wręcz unikalne są egzemplarze zakręcone podwójnie. Taka świnię jest chowana około siedmiu lat, a właściciel szczególnie o nią dba i dodatkowo dokarmia w zagrodzie. Na podwójnie zakręcone kły trzeba czekać kilkanaście lat. Nic dziwnego, że posiadacze kłów jeszcze rosnących u zwierzęcia, jak i tych już pozyskanych, cieszą się powszechnym uznaniem. Zabijanie świnię z wybitnymi kłami to wielka uroczystość. Trzeba wiedzieć, że wrastające w ryj świnię zęby przysparzają jej okrutnych cierpień i powodują trudności w jedzeniu. Tradycyjnie najpiękniejsze kły noszą najwyższej rangi wodzowie jako regalia władzy.

Czy Vanuatu, kraj o rzadko spotykanej różnorodności, tak w kulturze, jak tradycji, oraz wielu

języków, ma coś wspólnego, co wszystkich łączy? Tak – kły! W tym kraju bowiem wszystko obraca się wokół kłów, które są nawet na fladze państwa. Cenne świnie ze spiralnymi kłami to najlepsza rzecz do zapłaty za żonę i w innych poważnych transakcjach. Cenę za przyszłą małżonkę ustala ojciec, wszystko zależy od wykształcenia, urody dziewczyny, a nawet od tego, z której wyspy pochodzi. Może się to wydać nieprawdopodobne, ale taką formę zapłaty stosuje się do dzisiaj, a normalnym widokiem jest transportowanie promami świń trzymanyh w drewnianych klatkach. Podróżują one nawet kilka dni, aby dotrzeć na wyspę przyszłej małżonki. Z takim zdarzeniem spotkałem się na przystani w wiosce Lamap. Dowiadywałem się wcześniej o cenę zakreconych kłów. Jeden, tylko raz zakrecony, wystarczyłby mi na miesiąc podróży do Vanuatu.

Właściciel szczęki, który do nas podszedł, był dobrym znajomym Josepha. Wziąłem do ręki szczękę z wymodelowanymi kłami. Szczerze mówiąc, nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia, ale musiałem udawać, że wzbudza we mnie najwyższe zainteresowanie, przecież nie wolno obrazić właściciela, który tak długo chował świnie. Wygięte do tyłu zęby w porównaniu z całą szczęką wydawały się ogromne, chociaż nawet nie zataczały pełnego koła. Patrząc na te kości, pomyślałem sobie, że świnia z tymi wielkimi kłami miała ciężkie życie, prawdziwie świńskie... Z ciekawości zapytałem właściciela, ile sobie życzy za szczękę? Odpowiedź wprawiła mnie w zdumienie: 50 tysięcy vatu. Szybko przeliczyłem na złotówki – to ponad 1 600 złotych! To ile muszą kosztować podwójnie zakrecone? Była to cena absurdalna, niemająca nic wspólnego z prawdziwą wartością.

Wiedziałem jednak, że dla miejscowych ludzi cena jest integralną częścią przedmiotu. Nie umieją i nie chcą się targować. Nawet na bazarze, gdy na koszyku z warzywem wystawiona jest cena, nie ma już żadnego targowania, po prostu jest ona ostateczna. Można pomyśleć, że przez takie postępowanie nie dochodzi często do skutku wiele transakcji. Mentalność tego społeczeństwa jest jednak całkowicie inna od naszej. I dlatego jeśli nie kupisz oferowanego przedmiotu, wcale nie martwi to sprzedającego. Przeciwnie, jest bardzo zadowolony, że ma rzecz tak wspaniałą, rzadką i cenną, że nawet biały nie ma dość pieniędzy, aby ją nabyć.

Nie miałem zamiaru kupić kłów, powiedziałem jedynie, że to za dużo jak za takie kły i oddałem cenny przedmiot w ręce właściciela. Nie przesadzę, ale poznać było, że sprawiał wrażenie bardzo uradowanego, jakbym dołożył mu do jego kości jeszcze dwa podwójnie zakrecone świńskie kły...

Idziemy dalej ścieżynką wśród plantacji, po drodze mijamy jeszcze dwie osadki. Wszyscy dobrze się tu znają, dlatego nie da się przejść, by nie przystanąć i nie pogadać. Widać, że wzbudzam zainteresowanie, Joseph zaś przynajmniej może zaimponować sąsiadom znajomością języka angielskiego, którym posługuje się świetnie jako mój tłumacz. To niesamowicie dobrzy ludzie, zawsze coś proponują do wypicia lub zjedzenia. Chociaż sami niewiele mają, kokosa, banana czy smaczną papaję na odchodne zawsze dają człowiekowi do ręki. Tak naprawdę jestem przejeżdżony i nie mam ochoty nawet na te smaczne owoce, ale nie wypada odmówić.

W jednej zagrodzie mieli dużo dojrzałych paplemusów, pod ich ciężarem gałęzie drzewa przygięte były prawie do ziemi. Ostatnio bardzo rozsmakowałem się w tych owocach. Teraz, przechodząc, pomyślałem, że dobrze zapamiętać to miejsce, by jutro i w następane dni przychodzić tu na zakupy.

Pewnie nikt nie uwierzy, ale już prawie nie piję wody. Trzy pomelo wielkości małej piłki mają tyle soku, że starcza mi to na cały upalny dzień. Samo jedzenie tego największego cytrusa na świecie to nie lada gratka. Siadam sobie w cieniu i po obraniu z grubej, mięsistej skórki zabieram się po kolei do każdej cząstki. Trzeba delikatnie taką cząstkę obrać z cienkiej błonki międzysegmentowej, ponieważ jest tak gorzka, że nie da się z nią zjeść soczystego wnętrza.

Pomelo jest cytrusem wyhodowanym przez Chińczyków poprzez krzyżówki dzikiego pomelo i chińskiej pomarańczy. Ten podobny do grejpfruta cytrus zostawił daleko w tyle wszystkie owoce pod względem zawartości witamin i minerałów potrzebnych dla zdrowia, nawet cytrynę! W Polsce czasem można go kupić, należy jednak wybierać największe sztuki.

Wśród tak pięknej przyrody czas szybko mija. Wracamy pośpiesznie do wioski, bo Józef chce jeszcze ponurkować z maseczką i nzbierać na dnie ślimaków. Popołudniowy przypływ zawsze naniesie do cieśniny pewien gatunek mięczaków uwielbiany przez miejscowych. Jest ich mało i trudno je

wyłowić, a do tego, aby się do nich dostać, trzeba rozbić twardą jak kamień muszlę. Joseph mówi, że aby zebrać pięćdziesiąt sztuk tego morskiego rarytasu, musi przynajmniej dwie godziny spędzić pod wodą. Dlatego łatwiej jest, kiedy kobiety i dzieciaki podczas odpływu zbierają wszystko, co się rusza i nadaje do zjedzenia. Potem tym najczęściej nadziewają swoje lapolapy. Joseph zamierza dzisiaj ponurkować, by zdobyć ten smakołyk. Nie wszyscy mężczyźni przez swoje lenistwo po to sięgają, wystarczy im lapolap z tym, co znajdują w płytkiej wodzie żona i dzieci.

Prawie całą wyspę porastają plantacje palmy kokosowej. Nie mogę sobie wyobrazić, jak to możliwe, że właściciele wiedzą, które drzewa należą do nich, a które do sąsiada. Nie ma tu żadnych wyraźnie zaznaczonych granic ani płotów. Wszystko rośnie razem i tylko ścieżki dzielą te gaje. Przechodzimy obok pracujących w pobliżu kilkunastu osób, które zajmują się wybieraniem kopry z brązowych owoców. Na usypanych stosach leżą ich całe tony. Nie mamy czasu się zatrzymać, ale nie martwię się tym, bo przyjdę tu jutro. Sam, na spokojnie i bez żadnego pośpiechu powtórzę tę trasę i odwiedzę inne miejsca. Tym bardziej że mam zamiar to wszystko utrwalić na filmach przy lepszym oświetleniu.

Ostatni odcinek przed naszą wioską to szeroka na piętnaście metrów aleja, wzdłuż której co kawałek sterczą z ziemi wielkie ciosane kamienie. Tych megalitów jest tu kilkadziesiąt. Podczas świąt aleja jest placem zgromadzeń dla całej społeczności wyspy. Największe głazy mają do dwóch metrów wysokości i stoją blisko ogromnego drzewa banian.

W pobliżu nich w grupkach po kilka sterczą wkopane w ziemię ogromne drewniane bębny – to gongi. Wydłubane w środku pnie drzew. Przedstawiają budzące strach postacie duchów. Pomalowane jaskrawymi kolorami wyrzeźbione głowy sprawiają demoniczne wrażenie. Dla mnie całe to otoczenie jest bardzo ponure i tajemnicze. Tym bardziej że dookoła jest gęsty las, a nie, jak w wielu miejscach, regularne rzędy palm. Jutro koniecznie muszę tu jeszcze przyjść. Mam nadzieję, że dziś wieczorem dowiem się czegoś więcej o tym miejscu.

Dobiega końca dzień pełen wrażeń. Joseph poszedł nurkować za ślimakami, ja zaś zakrzętałem się koło swoich spraw. Trzeba się oprać, zająć sprzętem fotograficznym, coś zjeść, uzupełnić notatki i tak dalej...

Płynąc na tę wysepkę, nie sądziłem, że będę miał tak dobre warunki do spania. W pokoiku na betonowej posadce znalazł się nawet gruby piankowy materac. Gospodarze zadbali, by niczego mi nie brakowało. Już cieszę się na czekające mnie wygodne spanie. Przed chatkami kobiety krzątają się przy kolacji. Kiedy jest jedna wspólna kuchnia, zawsze muszą pichcić razem.

Najbardziej czasochłonne i wymagające sporej siły jest, o czym już wspominałem, starcie kopry na wiórki, z których potem wyciska się mleczko kokosowe. To chyba jedyne zajęcie kobiet, w którym czasami pomagają mężczyźni. Innych prac w kuchni nigdy nie wykonują.

Na wyspach kolacja jest najważniejsza. W wioskach, które odwiedziłem, zwyczajowo najczęściej przyrządza się rozmaite lapolapy. Potrawy te nadziewane są różnościami, tym, co tylko jest pod ręką. Mogą to być liście miejscowych warzyw, ryby, kalmary, zebrane na plaży mięczaki, a czasami kawałki kurczaka. By przygotować taką tradycyjną potrawę, trzeba muszlą wydrapać mięsz z kilkudziesięciu zielonych bananów, co zajmuje dużo czasu. Dlatego już krótko po obiedzie zaczyna się przygotowanie kolacji.

Obiad nie wymaga tyle zachodu. Kobiety muszą go przygotować szybciej, bo czeka na nie jeszcze codzienna fura prania, a nierzadko zachwaszczony ogród, nie wspominając już o maluchach uwieszonych na plecach. Dlatego na ten mniej wystawny posiłek podaje się najczęściej ugotowane na miękko taro, zielone banany, jam, kasawę i breadfruit, czyli owoc drzewa chlebowego. Urozmaiceniem do tego mogą być ryba, kawałki kurczaka lub kraby. Ale najczęściej widziałem tylko te warzywa polewane zagęszczonym sosem z mleka kokosowego.

Śniadaniem jakoś specjalnie się tu nie przejmują. Wystarczy ciepły czajnik słodkiej herbaty i do tego to, co ewentualnie zostało z poprzedniego dnia. Gdy do dyspozycji gospodyni jest mąka pszenna, smaży się na głębokim tłuszczu racuchy lub obwarzanki. Ważne jest, by dzieci zabrały coś na śniadanie do szkoły, bo w domu z rana nic nie jedzą. Prawie każdego dnia skoro świt, by zdążyć przed palącym słońcem, dorośli idą w busz do swoich ogrodów. Słodki banan czy jakiś inny owoc tam przekaszony

musi starczyć do obiadu.

Z wielkim zaciekawieniem przypatruję się pracującym kobietom. Niestety jest za ciemno i nie mogę już sfilmować, jak przygotowują laplap. Jestem zdumiony tym, co tu zobaczyłem. Na ciasto ze startego banana gospodynie układają jeszcze żywe małże, ślimaki i różne krabiki. Całe to kolorowe towarzystwo rusza się niemrawo w bananowym cieście, co większe stawonogi mają wyłamane grube szczypce. I one również trafiają na ciasto, chociaż nie ma tam nic do obgryzienia... Owinęte w liście banana ciasto z ruchliwą wkładką trafia na godzinę w rozgrzane kamienie. I to już cała procedura, teraz z niecierpliwością wszyscy czekają na jej efekt.

Nazbierane przez Josepha stożkowe ślimaki są podobno najsmaczniejszym nadzieniem do laplapu. Przed włożeniem do ciasta trzeba się jednak natrudzić, by porozbijać grube stożkowe muszle. Nie sądźmy, że się je wyrzuca, nie, w życiu! One również trafiają do środka... Tego mi już było za wiele i postanowiłem, że choćbym miał jeść tylko paplemusy, to tych potraw nie skosztuję! Kilka dni temu w wiosce Tisman u Anny jadłem nadziewany kawałkami kalmara laplap, ale niepotrzebnie przyglądałem się jego przyrządzaniu. Problem w tym, że widziałem, jak w cieście topią się muchy. Trzeba wiedzieć, że całymi chmarami latają tam, gdzie robi się jedzenie. Byłem przerażony, kiedy Anna wykroła mi tak od serca wielki kawał. Nie mogłem się wymigać od zjedzenia tej delicji...

## Wędrówki po wyspie Atchin

Wczoraj beztrudno ułożyłem się do snu na miękkim grubym materacu. Uspokajało mnie też to, co wydaje się aż nieprawdopodobne – na wyspie Atchin nie ma komarów! Powiedział mi to w Litzlitz Rudolf, kiedy oznajmiłem, że wybieram się na jego rodzinną wysepkę. Teraz mogłem przekonać się, że to absolutna prawda. Nękany od wielu dni tym niebezpiecznym paskudztwem, wreszcie nie musiałem rozwieszać nad posłaniem moskitiery. Tymczasem moje nadzieje na wygodne spanie prysnęły już po kilku minutach. Na szczęście jeszcze nie zasnęłam, jak poczułem, że coś zaczęło łązić po mnie, i to nie w jednym miejscu, ale po całym cieple. Było to coś takiego, co przypominało zachowaniem i natrętnością kurze pchły. Kto był w kurniku, ten wie, jak to się na sobie czuje. To małe, prawie niedostrzegalne paskudztwo nie gryzło, ale nie pozwalało ani chwili spokojnie leżeć. Zaświeciłem czołówkę, bo tu prądu nie ma, i wyskoczyłem z miękkiego legowiska. Na ile się dało, ręcznikiem obtarłem całego siebie, by pozbyć się tych mikroskopijnych insektów. Zaraz też gruby materac odstawiłem do ściany i nadmuchałem mój mały materacyk. Teraz dopiero na nowym posłaniu mogłem już spokojnie zasnąć. Jakież było zdziwienie Józefa, gdy rano zaszedł do mojego pokoju i zobaczył odstawiony na bok miękki materac, a mój rozłożony na środku. Oczywiście nie mogłem dać do zrozumienia okoliczności mojej ucieczki z miękkiego posłania. Powiedziałem tylko, że nie mogłem zasnąć na tak miękkim posłaniu.

Rankiem zawsze najciekawiej jest na plaży. Na kilkadziesiąt metrów od brzegu można spacerować po niemal odkrytych skałach wulkanicznych. Są pełne szczelin i zakamarków oraz różnego koloru twardych, zwapnionych niemal na kamień ostrych koralów. Wszystkie koralowe twory mają nieprawdopodobnie bogatą strukturę. W wielu miejscach stoi woda tworząca małe i płytkie jeziora. Spacer po płaskich, do tego śliskich, skałach pomiędzy szczelinami i ostrymi krawędziami koralowców jest niebezpieczny na bosaka, a nawet w sandałach nie można czuć się pewnie. Nietrudno tu o upadek lub skaleczenie stopy albo skręcenie nogi. Wszystko to jednak nie przeraża kobiet i dzieciaków, dla których to najlepszy czas i miejsce na zbieranie owoców morza. Trzeba się śpieszyć, bo niejedna uwięziona ryba czy kolorowy krab czasem jeszcze zdąży umknąć z labiryntu szczelin na otwartą wodę lub dobrze się schować w jakimś zakamarku. Do jakiego przysmaku takie morskie stworzenia są wykorzystane, widziałem wczoraj przed kolacją. Już rano myśli się o wieczornym posiłku, aby był urozmaicony.

Codzienny widok po odpływie stanowią pochyleni szperacze z kijami w ręku. Można śmiało powiedzieć, że ze skalnych labiryntów wyciągają wszystko, co się rusza i nie zdąży uciec. Godne podziwu jest to, jak świetny mają wzrok takie uwięzione ryby czy kraby i z jaką szybkością uykają lub ukrywają się przed zagrożeniem życia.

Jednak trzeba wiedzieć, że nie wszystko nadaje się do jedzenia, ponieważ są mięczaki bardzo



niebezpieczne. Bywają też takie, których jad zabija w kilka minut dorosłego człowieka. Na te małe potwory czasami można się i tu natknąć, na szczęście rzadko. Miejscowi zbieracze dobrze wiedzą, jak chwycić za muszelkę ślimaka, by nawet najgroźniejszy z nich nie wyrządził krzywdy. Nigdy nie widziałem, by na plażach podczas zbierania mięczaków komuś przytrafiło się coś złego. W zasadzie wszyscy doskonale wiedzą, co jest niebezpieczne lub trujące, więc do wiaderka trafia to, co znają, i nie ma sprawy.

Kiedy ktoś natknie się na coś, co widzi pierwszy raz, lub na coś, co dziwnie wygląda, robi rwetes i wszyscy z ciekawością oglądają nieznaną dziwadło, dyskutując o jego kulinarnej przydatności. Z najbardziej osobliwymi zdobyczami biegną do starszych, niosąc je ostrożnie na kij.

Często wieczorami dzieciaki straszone są historiami o różnych dziwnych i niebezpiecznych wodnych stworach. Snuje się opowieści o morskich wężach, o niosących śmierć meduzach, o trujących muszlach i innych tego rodzaju paskudztwach. Jest to znakomita szkoła życia ucząca respektu przed niezgłębionymi tajemnicami oceanu. Jednak wypadki się zdarzają.

Na przykład mały, niewinnie wyglądający ślimak o kształcie wysmukłego stożka potrafi błyskawicznie wstrzyknąć bardzo trujący jad. Kolorowa rybka złapana jednego dnia może być najsmaczniejszą zdobyczą, a taka sama złapana w innym dniu może okazać się śmiertelnie trująca. Problem z rybami rafowymi polega na tym, że niektóre ich gatunki odżywiają się wodorostami w pewnych okresach wzrostu produkującymi trujące substancje. Rośliny te z jednej strony rafy mogą tę truciznę zawierać, z drugiej zaś nie. Rybie, o dziwo, to nie szkodzi, jednak dla człowieka kończy się tragicznie albo wielkim cierpieniem. Smaczna często ryba czasami truje człowieka. Nie ma na to żadnej surowicy. Niestety takie ryby na wyspach nieświadomie co pewien czas się wyławia.

Patrząc na ruszające się bezradnie w wiaderkach kraby i nie mogę nadziwić się ich różnym kształtom i kolorom. Zawsze największe wrażenie i podniecenie wywołuje dorwany gdzieś w szczelinie mały, wijący się wąż, który rybami przez dzieciaki jest bez litości ścigany, aż do uśmiercenia. Tego paskudztwa się nie zbiera, więc ubity wraca do wody.

Ruszyłem brzegiem, chcąc obejść wysepkę. Pod nogami pałętają się nadgniłe orzechy kokosowe i targane falami morza fragmenty pierzastych liści palm oraz inne morskie śmieci. Tylko tu, przy wiosce, plaża jest szeroka i przestrzenna. Leżą wyciągnięte z wody łodzie, którymi można się wydostać z wysepki na Malekulę. Za wioską plaża zwęża się, a pochylone drzewa rosną kilka kroków od wody. W takich zacienionych miejscach można spotkać leżący pień ściętego lub wyrwconego dużego drzewa. Często służy on za wygodne siedzisko na odpoczynek, pogawędki i spotkania mieszkańców z sąsiedztwa. Nieopodal, wśród palm, stoją proste, ale starannie wykończone chatki. Przewiewne ściany zawsze są zrobione z wzorzyste plecionych pasków łyka jakiejś palmy i wzmocnione bambusowymi żerdkami.

Ludzie z Atchin nie mogą wieść życia bez łódek, dlatego spacerując plażą, co chwilę spotyka się je na brzegu. Niektóre są pomalowane – widać, że zdecydowanie gustuje się tu w kolorze czerwonym. Podchodzę do miejsca, z którego słyszę rytmiczne uderzenia narzędzia o drewno. Spocony młody chłopak łuska wióry z pniaka przyszej łodzi. Obok, w cieniu drzewa, odpoczywa starszy mężczyzna, prawdopodobnie jego ojciec. Tu wszyscy mają sporo czasu, nikt nikogo nie pogania. Siadam w pobliżu na pieńku, by przyjrzeć się pracy i być może przy okazji czegoś nowego się dowiedzieć. Do wydłubania środka pniaka służy specjalnie zagięte dłuto podobne do dziabki. Zadaję oczywiste pytanie, jak długo już tę łódkę dłubią. To zależy, taka przeciętna, jedno- lub dwuosobowa, z miękkiego drewna, może być spuszczone na wodę już po tygodniu pracy jednego człowieka.

Do wykonania łódki najczęściej wykorzystywany jest gruby pniak palmy kokosowej. Zrobiona z niego dłubanka jest lekka, lecz niezbyt trwała. Jednak niektórzy wyspiarze chcą mieć solidną łajbę, która przetrwa wiele lat. Do tego potrzebne jest bardzo twarde drzewo, którego trzeba poszukać w buszu. Można też wykorzystać uprawiane często na plantacjach, znane z trwałości drzewo tekowe. Praca przy takiej „żelaznej” dłubance może zająć i miesiąc jednemu szkutnikowi.

Nie trzeba było daleko chodzić, w pobliżu, na brzegu, leżała taka łódka, więc mogłem się jej przyjrzeć.

Pożegnałem się i ruszyłem dalej, pewnie teraz baczniej będę przyglądał się miejscowym łódkom.

Lubię takie samotne wędrówki. Nie trzeba myśleć o niczym, wystarczy być tu i teraz. Nie mając ograniczeń, można wiele doświadczyć i poznać. Tym bardziej, jeśli dodamy do tego trochę odwagi i otwartości w kontaktach ze spotkanymi na końcu świata ludźmi.

Zaraz za wioską, na ścieżce, natknąłem się na kilku podekscytowanych chłopców, którzy coś niezrozumiale mi tłumaczą i próbują mnie gdzieś zaprowadzić. Stale słyszę: „Totos, totos”. Nie mogę zrozumieć, o co im chodzi, i daję się prowadzić we wskazywane przez nich miejsce. Gdy przyszedliśmy nad brzeg i tylko spojrziałem w głąb wydrążonego w skalnej rafie małego zbiornika, zaraz wszystko się wyjaśniło. Pływało tam kilka dużych żółwi. Chłopcy przekreślali angielskie słowo turtles. Zrobiłem kilka zdjęć gadom.

Biedaki usilnie pływały dookoła ściany koralowej i próbowały bezradnie wydostać się z pułapki bez wyjścia. Widocznie dopiero co zostały złowione, gdyż dzieciarnia była nimi zachwycona. Każdy z tych trzech czy czterech okazów miał powyżej pół metra średnicy.

Żał mi się ich zrobiło, zwłaszcza gdy pomyślałem, że mogą być starsze ode mnie wiekiem. Żółwie morskie czy lądowe mogą żyć i dwieście lat, a podobno nawet i więcej! Przyglądałem się z ciekawością ich powyginanej, guzowatej skorupie, podobnej do tarczy. Jest dość płaska i wydłużona. Wcześniej, na Molukach, widziałem, jak uśmierca się je i dobiera do środka pomiędzy kostno-skórnymi skorupami. Wydaje się, że ze sporego żółwia powinno być dużo mięsa, ale tak nie jest. Spod skorup wyłuska się go tyle, co kot napłakał. Żółw, nawet obdarty ze skorup i pozbawiony wnętrza, jeszcze długo męczy się, nim zakończy życie.

Najbezpieczniej jest dla nich na pełnym morzu, po którym, niczym wiosłowe łodzie, przemierzają tysiące mil. Tam jednak nie mogą się rozmnażać, dlatego co dwa – trzy lata przybijają do lądu, by w ciepłym piasku plaży złożyć jaja. Samce i samice płyną razem lub spotykają się w określonym czasie i miejscu w pobliżu ojczystych brzegów. Po wielu dniach niezmordowanego wiosłowania i walki z morskimi prądami o utrzymanie właściwego kierunku, przed wyjściem na brzeg, mają jeszcze siły na kopulację w falach oceanu. Nie wszyscy wiedzą, że łączą się w czasie tego aktu nawet na kilka dni i tak się przy tym zapamiętują, że stają się łatwym łupem rybaków. Samica jest czujniejsza, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, usiłuje uciekać, ale samiec trzyma ją mocno przednimi odnóżami i nie puszcza, sam wcale nie bacząc na niebezpieczeństwo w tym amoku. Wtedy najłatwiej bez pośpiechu złapać samicę, bo samiec i tak nie odpłynie. Oczywiście potem przychodzi kolej na niego.

Tak oto w pobliżu brzegu lub na lądzie czyha na te godne szacunku zwierzęta zachłanny człowiek i łapie je bezbronne. Jeśli już uda się żółwicy złożyć w ciepłym piasku plaży jaja, to po wykluciu młode żółwki mają mnóstwo wrogów. Dlatego nie wiem, czy jeden na tysiąc wyklutych będzie w stanie przedłużyć swój gatunek na tej samej plaży.

Słońce dość ostro przypieka, a wiatr tak się wzmógł, że na grzbietach fal tworzą się grzywacze z białej piany. Rozwiał się gdzieś duszne powietrze i łatwiej oddychać. Przy takiej niespokojnej wodzie żaden rybak nie wypłynie w morze na dłubance. Przeszedłem plażą już połowę obwodu wysepki i teraz skręcam w las. Na początku przypomina on busz, ale po pewnym czasie wąska wydeptana ścieżka przedziera się pomiędzy palmami kokosowymi i różnymi krzakami. Po chwili wchodzę na wolny od drzew placyk, gdzie stoją dwie chatki i półotwarta wiata kuchenna, z której wydostaje się gęsty siwy dym. W obejściu suszy się najprostszym sposobem koprę – leży rozsypana na czarnej folii. Słońce w kilka dni robi swoje. Kilka kur spokojnie przechadza się pośród suszonego orzecha, wyłapując grasujące po owocach muchy. Nieopodal na stołku siedzi staruszek i pilnuje małego dzieciaka. Przy okazji z długim kijem w ręku uważa, by do kopry nie dostały się chodzące po obejściu świnie, łase na suszony orzech.

Nie mogę się porozumieć z nobliwym staruszkiem, który dobrotliwie się uśmiecha. Po chwili sięgnął ręką do plecionego koszyka i wybrał z niego najdorodniejszą, zielonkawożółtą dojrzałą papaję. Sędziwy gospodarz wiedział, co robi, taki podarunek to rarytas. Nie wypadało się zabrać i odejść z owocem. Wyjąłem nóż i rozkroiłem na pół dorodny owoc. Papaja była duża, więc podzieliłem się połówką z dziadkiem. Po wyczyszczeniu z czarnych pestek ze smakiem zjadłem soczysty miąższ.

Podziękowałem za gościnę i ruszyłem dalej ścieżką przez gaj palmowy. Po krótkim czasie znalazłem się na drugim brzegu wyspy. Plaża jest tu bardzo wąska, woda niemal muska pobliskie zarośla,

szczególnie teraz, kiedy niespokojne fale biją o koralowe skały brzegu. Od rana pogoda diametralnie się zmieniła. Natrętne opady deszczu ustały, ale zrobiło się denerwująco wietrznie. Odczułem to jak przysłowiowe wpadnięcie z deszczu pod rynną. Dobrze stąd widać odległą o kilka kilometrów na południowy wschód wysepkę o nazwie Wala. Jest ona płaska i podobna rozmiarami do Atchin. To jedna z wybranych perełek archipelagu, turystyczna wizytówka Vanuatu, której nie pomija żaden przewodnik.

Próbuję odszukać osadkę, w której wczoraj byłem z Josephem. Zależy mi na kupieniu tam dorodnych paplemusów, które mi bardzo smakowały. Palmowe plantacje przecina wiele ścieżek prowadzących do wiosek. Przechodzę obok nich bez zatrzymywania się. Nie idę sam, co pewien czas kogoś mijam lub wyprzedzam idących wolniej. Ludzie tu się nie śpieszą, na wszystko mają czas.

Już po dwóch dniach pobytu na wysepce spostrzegam, że mieszkańcy Atchin nie są tak prostoduszni i kontaktowi jak ludzie na Malekuli. Wykazują mniej zaciekawienia, dają się odczuć pewną niedostępność. Przez moją nieznajomość języka francuskiego jakoś to znoszę i specjalnie mi to nie przeszkadza. Bardziej skupiam się na obserwowaniu niż na prowadzeniu dysput.

Jak było do przypuszczenia, nie potrafiłem odnaleźć zagrody z wielkimi cytrusami. Po kilku nieudanych próbach zrezygnowałem z owoców i pewnie wkroczyłem na znaną mi ścieżkę, którą wczoraj szedłem z Josephem. Gdzieś w pobliżu powinni łupać orzechy i wybierać koprę. Rozglądam się, ale wszędzie wokół wygląda podobnie. Od morza solidnie wieje. Wielkie pióropusze palm o palczastych liściach dochodzących do sześciu metrów długości robią sporo szumu. Gdy przechodzę pod palmami, zawsze natrętnie myślę o skutkach twardego ładowania orzecha na głowie, zresztą chyba wszyscy tak mają.

Wkrótce doszedłem w pobliże prymitywnych wiat na polanie. Ścieżka zaprowadziła mnie do placu, na którym ujrzałem stos kokosów. Kilkunastu mężczyzn pracowało przy łupaniu wielkich owoców. Przystanąłem w pobliżu i patrzyłem. Jest to praca ciężka, ponieważ skorupy kokosowe są bardzo twarde. Wprawne uderzenie ostrą siekierą w orzech natychmiast ukazywało jego białą zawartość. Przy okazji mleko kokosowe lało się strumieniami wprost na ziemię. Nikt nie interesował się tym nektarem, który jest u nas trudno dostępnym i drogim rarytasem. Tak naprawdę orzech kokosowy wypełniony jest opalizującą cieczą o dość przyjemnym słodkawym smaku. Zerwany wprost z palmy nawet w najgorętszy dzień zawsze przyjemnie gasi pragnienie swoją chłodną zawartością.

Patrzę na wydobywanie twardego, białego miąższu. Wprawne ręce błyskawicznie podważają zagiętą łyżką miąższ, który wyskakuje ze skorupy. Przy tak wielkiej furze orzechów pracuje kilka osób. Każdy ma swoje zajęcie, jak na taśmie produkcyjnej w fabryce.

Nie miałem złudzeń, że zobaczę tak zwaną perłę kokosową. Bardzo rzadko zdarza się, że kokos zawiera we wnętrzu grudkę węgla wapnia wielkości dużej czereśni, która zarówno barwą, jak i połyskiem oraz twardością przypomina prawdziwą perłę. Czasami może być lekko podbarwiona na zielonkavo lub brązowo. To niezwykle cenna zdobycz. Takim roślinnym perłem przypisuje się magiczne właściwości i traktuje się je jako amulety i talizmany, które sprzedaje się i można za nie dostać grube pieniądze. Ten botaniczny klejnot zdarza się rzadziej niż raz na milion. U nasady każdy owoc kokosowy ma trzy niewielkie oczka, to jedyne miękkie punkty w twardej skorupie. Przez jeden z nich kielkująca roślina wysyła na świat swój pierwszy korzeń i liść. Jednak wyjątkowo spotkać można owoc ślepy, czyli cały zasklepiony. Z niego nigdy nie wyrośnie palma. Wtedy na taki powinno się zwrócić baczną uwagę, gdyż może w środku kryć cenną niespodziankę. Podobno w skarbcach hinduskich maharadzów znajdują się okazałe kokosowe perły, traktowane jak najwyższej klasy klejnoty oprawione w srebro i złoto. Ale kto tutaj jest w stanie dojrzeć kokosowy klejnot, jeśli w takim błyskawicznym tempie roztrzaskuje się orzechy, a potem zaraz ich połówki przerzuca dalej w kolejne ręce.

## Spacerkiem po wyspie

Nie żałuję, że zostałem trochę dłużej na wyspie, choć początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że dzień okaże się tak udany i ciekawy. To zasługa Josepha, który poświęcił mi swój czas. Zwykle nie zwracamy uwagi na mijane przedmioty i rzeczy, ale jeśli ktoś nam je wskaże i coś o nich opowie, spojrzymy na nie inaczej. Po wycieczce uświadomiłem sobie, że na tej malutkiej wysepce jest jeszcze

pełno tajemnic i zabobonów. Większość ludzi wie o żywocie, trzymając się dwóch światów – starego i nowego. Mimo docierającej tu cywilizacji XXI wieku i przyjętej religii chrześcijańskiej miejscowi nie całkiem porzucili stare zwyczaje i wierzenia. Myślą, że nie zaszkodzi zachować tego, co było ważne przez pokolenia dla przodków.

Dzisiaj Joseph sam zaproponował wspólny spacer, niby to przy okazji załatwienia jakiejś sprawy z teściem. Musimy pójść na drugą stronę wyspy. Wyczułem w tym usprawiedliwienie, po prostu nudził się pilnowaniem suszących się ziaren kakaowca. Ciekawiej będzie iść ze mną, a przy sposobności spotkać znajomego czy pogadać z kimś po drodze.

Już po dziesięciu minutach weszliśmy na obszerny, otoczony wysokimi palmami plac ze starannie przystrzyżonym trawnikiem. Nieco na uboczu zwraca uwagę trochę większy od innych budynek. Joseph objaśnił, że to miejscowy dom modlitwy, w którym na czytanie Biblii zbierają się wioskowi prezbiterianie. Skromny, zbudowany z desek i blach, bardziej przypomina małą stodołę niż świątynię. Dookoła placu, wśród drzew, stoi kilkanaście krytych liśćmi chatki. Wioseczka jest położona w pobliżu wąskiej plaży. W cieniu dwóch czy trzech wielkich mangrowców, których potężne pnie są muskane falami, na piasku leży kilka dłubanek.

Kilkanaście metrów przed budynkiem modlitewnym przechodzimy obok dwóch półkolistych, wysokich i szerokich na około metr wałów z równo i starannie ułożonych ciemnych kamieni. Nie mogłem powstrzymać się od pytania, co to za dziwny obiekt. Na pierwszy rzut oka wydaje się bezsensowny czy raczej nieużyteczny. Dostałem zadziwiającą krótką odpowiedź: te dwa równoległe, mające kształt łuku, wały kamienne przedstawiają skrzela rekina! Joseph od razu dodał, że to miejsce i ten dziwny obiekt są własnością rodziny jego żony.

Przekazy ustne głoszą, że kilkaset lat temu, trudno dokładnie określić datę, jej przodkowie ułożyli te wały. Było to wtedy, kiedy rekin wybawił mieszkańców okolicznych wysp od najeźdźców. Od tamtego czasu na wyspach ułożono w tej formie w wielu miejscach takie obiekty, by okazać wdzięczność wybawcy. Joseph spytał mnie, czy wcześniej na Malekuli nie spotkałem się z takimi wałami. Nie zwróciłem na to uwagi, a wędrując przez wioski, o takiej legendzie nie słyszałem. Podeszło do nas kilku mężczyzn, zaciekawionych moją obecnością. Nie wiem, co Joseph o mnie mówił, ale jeśli ludzie zachowują się w stosunku do mnie z szacunkiem i życzliwością, to chyba dobrze. Uwieczniłem na zdjęciach ciekawe kamienne skrzela rekina, nakręciłem kawałek filmu.

Wkrótce ruszyliśmy z powrotem do domu, a że każda dróżka musi w końcu nas tam doprowadzić, wybraliśmy pierwszą lepszą. Bez pośpiechu szliśmy wydeptaną pośród drzew i krzaków ścieżką. W tropikach żaden mężczyzna nie rozstaje się z maczetą ani na chwilę. Dlatego na Atchin nie potrzeba specjalnie organizować przecinek na ścieżkach, by busz nie opanował przejścia. Procedura jest bardzo prosta. Jak ktoś idzie z maczetą w rękę, to mimowolnie od czasu do czasu usuwa to, co mu zawadza na drodze. Nie z obowiązku, ale z nawyku macha się swoją ostrą maczetą. Wszyscy tak robią, więc dróżki są dobrze utrzymane. Teraz mogłem dowiedzieć co nieco się o historii rekina, który ocalał wyspy.

Nie wiem, czy dobrze to opiszę, bo z opowiadania Josepha nie za wiele zrozumiałem. Byłem zaskoczony, gdy usłyszałem od niego, że morze otaczające wyspy nie jest przyjazne ludziom. Przypomnę, że Vanuatu w języku krajowców oznacza Nasza Ziemia, Nasz Kraj. Są rolnikami, żywi ich ziemia. Od stuleci bardziej interesuje ich wnętrze wyspy niż morze. Według podań świat jest jak ocean, a wyspy to gwiazdy. Przestrzeń ogranicza się do ziemi, którą widzą. Dalej niebo zanurza się w falach i zasłania horyzont, czyli dla nich długość świata jest skończona. Głębokość jest nieskończona i rozciąga się pionowo. Gdzieś na samym dole bytują jarima – duchy morskie. Żyją one w rekinach i budzą wielki strach.

## Legenda o rekinie wybawcy

Trwała wojna, do wysp na łodziach zbliżało się mrowie wrogów. Szykowała się rzeź mieszkańców. Najznacniejsi czarownicy wysp zebrali się na wspólną naradę i postanowili ubłagać ducha rekina o pomoc. W tym celu ścięto wielkie drzewo chlebowe, a najlepsi rzeźbiarze z jego pnia

pośpiesznie wyciosali łódź w kształcie rekina. Gdy łodzie wrogów ukazały się na horyzoncie, czarownicy weszli do środka i wypłynęli na spotkanie z wrogiem. Nagle łódź ożyła i stała się wielkim rekinem, który zaczął niszczyć nieprzyjaciół i ich pożerać! Zginęli wszyscy...

Tak pokrótce wygląda ta historia, przynajmniej tak ją zrozumiałem. Ocean jest wielką tajemnicą, w jego sercu żyją dusze zmarłych. Te, które nie opuściły świata ludzi, dają czarownikom siły pozwalające im czynić cuda. Wielu ludzi czuje obecność duchów przodków, którzy objawiają się im w czasie snu. Najczęściej stare wierzenia praktykują rybacy, kiedy to przez wiele dni nie mogą złapać ryby. Wtedy, mimo że są chrześcijanami, udają się do czarowników i szukają rady. Może się to wydawać dziwne, ale po złożeniu ofiary, którą najczęściej jest świnia, połowy znów są obfite.

Z powodzeniem działają tu czarownicy, którzy wciąż znajdują posłuch wśród zabobonnych mieszkańców, a tych jest jeszcze wielu. W niektórych wioskach Vanuatu wyspiarze powrócili do wierzeń przodków, włącznie z ubieraniem się. Taki sposób życia ma nazwę – to kastom. I nie dziwi, bo ponad piętnaście procent populacji to zagorzali animiści. Po przyjęciu chrześcijaństwa stare zwyczaje jeszcze w wielu miejscach są na porządku dziennym. Tym bardziej że Vanuatu to społeczność kilku tysięcy osad i małych wiosek, gdzie jeszcze z trudem dociera niszcząca cywilizacja.

Na Vanuatu są tylko dwa miasta – stolica Port Vila i małe Luganville na Espiritu Santo. Dzisiaj mieszkańcy wysp są zadowoleni, że przyjęli religię białych, dzięki temu został wypleniony ohydny kanibalizm. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu był tu praktykowany, a w czasach wprowadzania chrześcijaństwa powszechny.

Teraz wchodzimy na ścieżkę, którą szliśmy dwa dni temu. W pewnym miejscu rozszerza się nagle na około dwadzieścia metrów, tworząc oczyszczony z zielska i trawy plac. To ważne miejsce dla wszystkich mieszkańców wyspy. Mniej więcej na środku rośnie ogromne drzewo banian. Jest tak wielkie, że rzuca cień niemal na połowę placu. Gdyby nie podcinano pionowych pędów wyrastających z gałęzi i wrastających potem w ziemię, zarosłoby cały plac. W pobliżu tego olbrzyma, zaraz z brzegu placu, wkopano na sztorc megality. Ich wielkość jest różna, ale te w pobliżu drzewa są największe. Miejsce to zarezerwowano dla wodzów, tych dawnych i tych współczesnych. Dalej wzdłuż placu ciągną się głazy mniejsze rozmiarami i wysokością. Wszystkie stoją niczym żołnierze w szeregu. Kamienie to z grubsza obrobione skały koralowe, jedne bardziej starannie, inne mniej.

Według tradycji to metryka urodzenia. Kamień wkopywany jest w ziemię po narodzeniu dziecka. Wielkość megalitu i miejsce jego ustawienia zależy od pozycji społecznej rodziny, która go wystawiła. Mężczyźni i kobiety mają osobne rzędy. Taki obelisk w grupie stanowi dowód przynależności do tego samego plemienia. Podobno starsi po kamieniach potrafią wyrecytować przodków swojej linii na kilkanaście pokoleń wstecz.

Nie wiem, czy jeszcze dzisiaj, przy urzędowo dokumentowanym życiu, tak skrupulatnie się je ustawia. Mój przewodnik twierdzi, że tak, ale swojego kamienia mi nie pokazał. Plac aktualnie jest miejscem, na którym odbywają się wszystkie uroczystości świeckie i kościelne.

Jednym z ważniejszych tradycyjnych zwyczajów obchodzonych do dzisiaj jest rytuał obrzezania chłopców i związane z tym kilkudniowe świętowanie. To kosztowna impreza, wymagająca zabicia sporej liczby świń do nakarmienia licznej rodziny. Specjalne miejsca oznaczone kilkoma kamieniami znajduje się w pobliżu banianu.

W okolicy placu szczególną uwagę zwracają, ustawione w grupy po kilka sztuk, tradycyjne bębny. Z daleka wyglądają jak wielkie rzeźby postaci ludzkich. To słynne szczelinowe gongi. Takie rzeźby bębny widziałem już w wioskach na Malekuli, ale tu jest ich nieporównywalnie więcej. W pobliżu ścieżek na polankach mija się je dość często. Stoją wkopane w grupach po dwa lub trzy. Wyglądają bardzo interesująco i odgrywają istotną rolę w życiu mieszkańców. Miejsce, gdzie stoją gongi, nazywa się nakamale. Drewniane gongi zawsze są ustawione pionowo, chociaż tak naprawdę są lekko przechylone do tyłu. Górną część wieńczy wyrzeźbiona podłużna, wklęsła twarz z wielkim długim nosem i ślepiami oraz gębą, niektóre mają kły. Pod głową na dekolcie widnieją najczęściej wyrzeźbione starannie krągłe świńskie kły. Reszta tego podłużnego bębna to już sam pień przecięty pionową szparą o szerokości połowy dłoni. Poniżej głowy pień jest pusty, dokładnie wydrążony. Można się zastanowić, ile pracy kosztowało wybranie drewna ze środka przez tak wąską szparę. Rzeźby gongi są pomalowane

na jaskrawe kolory, najczęściej czerwone, zielone, białe i czarne. Gongi nie są jak z matrycy, różnią się od siebie, prawdopodobnie każdy artysta ma swój styl. W pracę nad bębniem nikt mu się nie wtrąca, jest on bowiem rzeźbiony w ukryciu przed ludźmi.

Zrobiłem sporo zdjęć, bo to nic nie kosztuje. Wiem jednak, że gongi są łasym towarem dla muzeów, które zapłacą tysiące dolarów za te prawdziwe dzieła sztuki. Budowa bębna to wielowiekowa tradycja. Kobiety nie mają prawa nawet spojrzeć na pień, z którego będzie gong, gdyż miałoby to ujemny wpływ na jego dźwięk. Praca nad nim odbywa się w buszu. Na gong wybiera się wyłącznie pień drzewa chlebowego. Wszyscy mężczyźni z wioski wspólnie biorą udział w ścinaniu i transportowaniu pnia na przyszły wielki bęben.

Gongi to instrumenty rytmiczne, których dźwięki mają przekazywać zmarłym przodkom modlitwy i prośby żyjących. Przodkowie podadzą je dalej duchom wody, ziemi i nieba. Wykonanie bębna trwa ponad dwa tygodnie. Rzeźbiarz pracuje sam, ukryty przed wzrokiem ciekawskich. Ma na sobie specjalny strój, a w kudłate włosy wetknięte kogucie pióra. Na jego szyi wiszą okazałe świńskie kły – znak dostojności i ważnej roli w wiosce. Gdy gong jest już gotowy, mężczyźni zbierają się i razem go transportują. Wszystko przebiega bardzo uroczysto, przy akompaniamencie wspólnych śpiewów i tańców. Tak zanoszą go na miejsce zwane nakamale i tam wkopują. Następnie czarownik modli się i święci gong. Siła czarownika pozwala mu dogadać się w imieniu ludzi z duchami. Szamani mają wielki wpływ na miejscową społeczność. Całe życie krajowców przenika magia, począwszy od urodzenia aż do śmierci. Dlatego pierwsze brzmienia uderzanego pałami bębna skierowane są do duchów. Potem następują uroczyste tańce samych mężczyzn. Taniec opiera się na rytmie. Mężczyźni tupią, starając się zrobić jak największy hałas. Gong jest instrumentem do przekazywania wiadomości. Głuchy odgłos takiego czterometrowego kolosa niesie się daleko. Przy niezliczonych świętach wybija się na nich rytm do obrzędowych pieśni, tańców i rytualnych ceremonii.

Wydaje się, że coraz mniej wyspiarzy trwa przy obyczajach ojców, chociaż przewodniki turystyczne po tych odległych, mało znanych wyspach mówią co innego. Trzeba dodać, że dawne obyczaje gwarantowały receptę na wszystko, co spotykało krajowca na wyspach. Nowe porządki zaprowadzone przez białych tego nie zapewniały, a jeszcze zniechęcały do życia w symbiozie z naturą. W swych wierzeniach krajowcy kontaktują się z duchami przodków, wierząc, podobnie jak chrześcijanie, w życie pozagrobowe. Jednak dla nich raj znajduje się nie w niebie, a pod powierzchnią morza. Po śmierci dusza wiedzie tam wygodne życie. By się tam dostać, w życiu doczesnym trzeba zachować dobre obyczaje przodków.

Wieczorem wyszedłem na pobliską plażę. Po wietrznych dniach znowu nad wyspą ucichło, a w powietrzu zapanowała duchota zapowiadająca zmianę pogody. Głęboka ciemna noc otuliła wszystko dookoła. Za ledwie kilka leciutko mrugających światełek z ognisk za cieśniną wskazuje, że ktoś tam mieszka. Może akurat pochyla się nad ogniskiem i stawia na nim swój osmolony garnek z jedzeniem? Jakże trudno dzisiaj na świecie znaleźć takie miejsca. Cieszę się, że udało mi się spędzić kilka dni na tym zapomnianym końcu świata. Z drugiej strony trochę mi smutno, że jutro stąd odjadę. Wiem, że prawdopodobnie nigdy już tu nie powrócę.

## Ostatnie dni na Malekuli

Po kilku dniach pobytu na wyspie Atchin wróciłem do mojego skromnego pokoiku w Litzlitz. Zmęczony, ale pełen wrażeń, po trzech tygodniach przemierzania egzotycznej Malekuli, z utęsknieniem czekam powrotu do jakiejś takiej cywilizacji. Naprawdę chce się już tej odmiany. Brakuje mi tego łażenia po zatłoczonym centrum miasta. Chcę się też przespać w czystej pościeli, przynajmniej przez jedną noc, w jakimś hoteliku. Wszystko dobrze, ale muszę jeszcze trochę poczekać na prom, bo na samolot do Port Vila szkoda pieniędzy. Big Sista ma tu przypląć dopiero za trzy dni.

Stoję na brzegu, myśli i wzrok kieruję w stronę zachodnią, na Wyspy Salomona, gdzie dotrę za kilka dni. W tej głuszy przyjemność sprawia nawet oglądanie biletu na samolot z rozpisaniem dokładnie lotem do Honiary. Zdaję sobie sprawę, że czeka mnie tam kolejny miesiąc egzotycznej wędrówki dzikim brzegiem jakiejś wyspy, nawet jeszcze nie wiem której. Studiując godzinami przewodnik, zawsze ma się

wielkie zamiary i plany, ale z praktyki wiem, że ostatecznie dobrze będzie, kiedy zrealizuje się trzydzieści procent zamierzeń.

Do wyjazdu z wyspy zostały trzy dni, niemniej martwię się, bo ostatnio na morzu bardzo niespokojnie. Mocno wieje, oby tylko nic się nie zmieniło w rozkładzie rejsu. Wszyscy dobrze wiedzą, że tu nikt się nie musi tłumaczyć z przestrzegania rozkładu rejsów promów.

Teraz mam sporo czasu, więc nawet po drobnostkę chce mi się iść do odległego sklepu. I tak na przykład robię sześć kilometrów po paczuszkę zupki chińskiej, konserwę czy bułki, które mogę tam kupić. Taka wycieczka zawsze przynosi jakąś korzyść, można spotkać kogoś ciekawego, czegoś się dowiedzieć, pofilmować lub zrobić zdjęcie. Tą drogą wędruje sporo ludzi i zawsze jest okazja, by z kimś pogadać. Prawie nic tu nie jeździ, więc mam relaksującą wycieczkę. Droga prowadzi w znacznej odległości od morza, a w pewnym miejscu oddala się nawet na kilometr od brzegu. Między przystanią w Litzlitz a Lokatoro jest jeszcze jedna wąska dróżka nad samym brzegiem morza. Parę razy z zakupów wracałem tą ścieżyną, ale trzeba było przedzierać się pomiędzy mangrowymi krzakami w zaduchu błotnistych wyziewów i wśród paskudnego robactwa. Mijałem pojedyncze chatki. Aż dziwne, że ludzie mogą żyć w takiej wilgoci i smrodzie po odpływie. Podczas przypływu jest ładnie i woda prawie muska ich domki. Na piasku, w cieniu drzew, leżą wyciągnięte na brzeg dłubanki z bocznymi pływakami. Wybieram tę trasę jedynie przy dobrym słońcu, bo wtedy można zrobić ciekawe zdjęcie plaży i baraszkujących w płytkiej wodzie dzieci. Przy chatkach siedzą ich matki, które zawsze coś pichcą na ogniu. W wolnym czasie z kudłatych główek dzieci iskają wszy. Ludzie tu mieszkający utrzymują się głównie z tego, co dostarcza morze. Łowią ryby, a po odpływie zbierają mięczaki i wyciągają z nerek duże kraby, będące miejscowym rarytasem. Młodzież męska dorabia, handlując kawą, po którą często idzie się kilka kilometrów w trudno dostępny i górzysty busz. Droga brzegiem jest ciekawa, chociaż uciążliwa.

Sporo czasu spędzam na przystani, do której mam bardzo blisko. Lubię tam zachodzić i odwiedzać Rudolfa z kompanem na pokładzie ich dużej motorowej łajby. Zawsze ktoś się tu kręci, więc można pogadać i przy okazji obserwować, co się dzieje na betonowym pomoście. Prawie zawsze stoi tu zacumowany jakaś mały copra boat, z którego rozładowują lub na który załadowują różne towary, dlatego na pirsie stale kręcą się jakieś samochody.

Dzisiaj do pirsu zacumowała dwunastometrowa Marata. Na brzegu czeka grzecznie kilku miejscowych pasażerów ze swoimi tobołkami i kartonami. Obok, z niepewnymi minami, stoi czterech białych turystów z Australii i Wielkiej Brytanii, trzy dziewczyny i jeden chłopak. Wczoraj zatrzymali się na noc w moim hoteliku. Tak jak ja pojutrze chcieli płynąć promem Big Sista na Espiritu Santo do Luganville. Widocznie zmienili plany, bo widzę, że dzisiaj zabierają się tam przepełnioną Maratą. Widać nie do końca są przekonani, czy dobrze robią. Kiedy skończy się załadunek towarów, będą mogli wejść na pokład. Rzadko zdarza się, by kapitan odmówił zabrania kogoś na łódź. Te małe, przeciekające łajby mają chyba gumowe kadłuby. Dziwne, ale jakoś wszystko zawsze się na nich musi zmieścić. Gdy łajba jest za mocno zanurzona, wtedy z zalanej żęzy wypompuje się więcej wody. Jeszcze nie widziałem, by z jakiegoś kutra, który przypłynął do pomostu w Litzlitz, zaraz ktoś nie załączył motopompy do jej wybrania.

Trzeba było widzieć wystraszone miny tych młodych, kiedy ostatni wchodzili na pokład i z powodu ciasnoty kapitan kazał im usadowić się wysoko na worach, na rufie łajby. Jak dobrze pójdzie, mają bitych dziesięć godzin dobrego bujania na dużej fali, i to bez możliwości rozprostowania kości. Na odjazdne pocieszyłem ich, że w razie nieszczęścia mają blisko do blaszanej łodzi ciągniętej za rufą. Długo patrzyłem za oddalającą się na północ łajbą.

Dzisiaj byłem świadkiem ciekawego zdarzenia. Rano poszedłem pogadać z Rudolfem i jego kolegą, którzy czekają na remont stateczku. Nie zawsze są razem, gdyż co pewien czas na zmianę odwiedzają swoje rodziny. Dobroduszny Rudolf mieszka na wyspie Atchin, z której dopiero wróciłem. Chciałem mu przekazać swoje wrażenia z pobytu na niej. W wiosce Adwentystów Dnia Siódmego, gdzie podziwiałem pięknie utrzymany kościół, spotkałem się nawet z jego najbliższymi. Całe zdarzenie nie byłoby warte wspomnienia, gdyby nie...

Rudolf i jego kolega mają zawsze sporo czasu wolnego. Kiedy u nich bywałem, często

widziałem, jak siedzą z wędkami i łapią ryby. Czasami coś złapią na patelnię, ale niekiedy przez kilka godzin pilnowania spławika złapie się tyle, co dla kota. Rzadko jest na haczyku coś większego od męskiej dłoni. Na dużą rybę trzeba wypłynąć daleko w morze, a to nie wchodzi w rachubę. Przy sobocie, wcześniej, tak że jeszcze nikt się w pobliżu nie kręcił, przyszedłem na przystań. Rano zaczął się odpływ, więc woda już zeszła, a na wierzchu były odkryte spore połacie skał koralowych. Tylko w paru głębszych miejscach stała woda, tworząc bajorka. W jednym z takich zagłębień skakała wielka ryba, próbując jeszcze jakoś wydostać się z pułapki. Na oko miała ponad pół metra, gdyż dobrze ją widziałem. Pośpiesznie pobiegłem do zacumowanego przy molo stateczku i niemal krzykiem wyciągnąłem z kajuty zaspanego Rudolfa. Sądziłem, że chętnie wykorzysta taką sytuację i wyłowi miotającą się w pobliżu rybę, która może jeszcze uciec na głębię. Byłem bardzo zaskoczony, że facet nawet nie zamierzał zejść na brzeg i rzucić na nią okiem. Nie wiem, czy wcześniej udało mu się taką złowić, a teraz mógł ją złapać gołymi rękoma! Nie wiem, o co chodzi, więc pytam, dlaczego lekceważy taką wielką zdobycz. Powiedział, że jest wiernym członkiem Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Dla Adwentystów najważniejszym dniem oddawania czci Bogu jest sobota. W tym dniu powstrzymują się od pracy i wszelkich czynności, które mogą wykonać w innym dniu. Czynią tak dlatego, że według nich to właśnie sobota jest właściwym dniem wychwalania Pana Boga. Zamurowało mnie i więcej o nic już nie pytałem. Niedługo też ryba skakała w wodzie, jakiś miejscowy szczęściarz wkrótce ją wygarnął.

Pogadaliśmy sobie o dalekomorskich jachtach, które czasami tu kotwiczą. W zeszłym roku zatrzymał się tu na krótko nawet jakiś z Polski. Być może Rudolf nie zapamiętałby tego faktu, ale była tam ponoć piękna blond dziewczyna, więc utkwilo mu to w głowie. Wieczorem jeszcze raz byłem na przystani. Rudolf zaproponował mi, że jutro mogę wybrać się z nim na przejażdżkę motorówką po zatoce. Jak mógłbym z tego nie skorzystać? Umówiliśmy się na dziesiątą.

Największym utrapieniem kwaterunku w bambusowym domku są szczury... Jeśli ktoś nie lubi towarzystwa tych gryzoni, to niech od razu szuka innego miejsca. W moim jednoizbowym domku jedynymi meblami są trzy łóżka z grubymi materacami. Są bardzo wygodne, a do tego pierwszy raz od wielu dni mogłem spać w pościeli. Nad każdym łóżkiem zawieszona jest solidna moskitiera. Spore utrudnienie stanowi brak krzesła, ale i tak jest super.

Zawsze mam w plecaku kilkumetrowy solidny sznurek i parę innych niezbędnych rzeczy, które nie są wielkim balastem, a mogą się przydać. Do wiedzy o tym, co trzeba zabrać, dochodzi się po wielu latach podróżowania po miejscach, gdzie nie ma lepszych hoteli. Taką przydatną rzeczą jest solidny sznurek. Na moich różnych kwaterach, którymi często bywają przypadkowe pomieszczenia, prawie zawsze go rozciągam. Wieszam na nim w foliowych woreczkach wszystko, co jest do jedzenia, by na drugi dzień nie musieć tego wyrzucić. Wtedy nie tylko mrówki, ale również szczury i myszy tam nie sięgną. Wieszam też na nim koszulę i spodnie, choć te rzeczy raczej z powodu skorpionów i węży, które często się w pobliżu pałętają. Dzięki temu przez wiele lat wędrówek po suchych lub mokrych tropikach jeszcze nigdy żaden wąż ani skorpion mnie nie dźgnął.

Jeśli ktoś nie wie, to powiem, że taki skorpion w nogawce spodni czy rękawie nie ukąsi raz, jak osa. Ten niebezpieczny pajęczak o zadartym do przodu i gotowym zawsze do żądlenia ogonie zadaje błyskawicznie kilkanaście ciosów, podobno niesamowicie bolesnych. Ponoć, bo na szczęście jeszcze nigdy ich nie poczułem. Dodam jeszcze, że samica z małymi na grzbiecie jest o wiele agresywniejsza od chudego samca. Jej jad jest szczególnie bolesny. Często rozciągam sznurek nad posłaniem, aby wykorzystać go do zamocowania swojej moskitiery, ale tu nie muszę, bo moskitiera jest solidna i dobrze zamocowana nad łóżkiem.

Pierwszej nocy w moim bambusowym domku na sznurku powiesiłem tylko zdjęte ubranie i resztę jedzenia. Inne rzeczy jak zwykle położyłem na wolnym łóżku. Plecak i torbę fotograficzną pozostawiłem na cementowej posadzce. Zgasiłem światło i wygodnie położyłem się na łóżku, szczelnie opatulony moskitierą. Jednak coś było nie tak! Nie mogłem zasnąć, nie przez chlupanie fal o podmurówkę chatki, ale przez jakieś dziwne dźwięki. Coś małego przebiegało, chrobotowało, a nieraz słychać było jakiś słaby pisk. Zawsze w podróży mam pod ręką stopery, nawet nie musiałem po nie wstawać. Nie bacząc na zawieszoną moskitierę, zawsze wkładam je do uszu. To najlepszy sposób zabezpieczenia się przed paskudztwem, które lubi tam zaglądać z ciekawości. Gdy się wie, że teraz już



nic po tobie nie będzie łązić i dookoła jest cicho, można spać spokojnie. Tak też było przez całą noc. Rankiem orzeźwienie przynosi polewanie się zimną wodą z mandi, tak jest po indonezyjsku, jak się tu mówi – nie wiem.

Niewiele rzeczy mnie dziwi, ale kiedy sięgnąłem po mydło, osłupiałem! Wieczorem zostawiłem je na wierzchu, by obeschło, a teraz jest prawie całe ponadgryzane! Zaraz wiedziałem, że to robota nie jednego, a kilku szcurów. Każdy chciał sprawdzić, co to jest, ale szybko rezygnował z uczy. Nadżartym mydłem się nie przejąłem, na sznurek też nie weszły. Ominęły również moskitierę, pod którą spałem, więc czym się tu przejmować? Jednak zawsze musi być jakieś „ale”. Nigdy bym się nie spodziewał, że doborą się do torby fotograficznej, a jednak! Ponadgryzały plastikowe fasolki przy zamkach, chociaż są twarde jak kamyki. To już nie żarty. Jeśli z tak twardym tworzywem tak łatwo im poszło, to można się spodziewać innych niespodzianek w plecaku. Po tym zdarzeniu, dla świętego spokoju, zacząłem wieszać na sznurku wszystko.

W niedzielę przed południem, w przedostatni dzień mojego pobytu na Malekuli, dwie godziny spędziłem z Rudolfem na małej łodzi motorowej. Mieliśmy przynętę, żyłkę i haczyki, a do tego wielką ochotę na świeżą rybkę. Rudolf stwierdził, że szkoda pływać tak bez celu. Zawsze jest szansa, że coś się złapie. Pogoda nam dopisała i zadowoleni odbiliśmy od betonowego pomostu.

Wiele słaby wiaterek, więc kołysanie da się wytrzymać. Silnik spokojnie pyrka, nie musimy się nigdzie śpieszyć. Głęboko wcięte w łąd wody i osada Litzlitz z przystanią są dobrze chronione przed falami Oceanu Spokojnego. Jest tu tak płytko, że wpływający prom musi bardzo precyzyjnie kierować się do przystani wyznaczonym szlakiem. Kilka płaskich wysepek urozmaica widok, jest między nimi stale zamieszkała wysepka Uripiv. Inne są bezludne, jedynie co pewien czas ktoś tam popłynie po kokosy. W wielu miejscach z wody wystają niebezpieczne koralowe skały. Przy większym przypływie znikają, więc trzeba dobrze znać akwen, bo można się na nie nadziać i uszkodzić łódź. Teraz właśnie ostrożnie w pobliżu tych miejsc przepływamy.

Od czasu do czasu Rudolf gasi motor, żebyśmy mogli pokołysać się w ciszy, podziwiając wspaniałe widoki. Naprawdę jest na czym zawiesić oko! Jak było do przewidzenia, złapałem tylko kilka małych kolorowych rybek o dziwnym wyglądzie, które później Rudolf wykorzysta jako mięso na haczyk. Dobrze zrobiłem, że zabrałem pentaxa i kamerę, mam teraz piękne ujęcia filmowe i zdjęcia. A z łodzi mogłem przynajmniej nacieszyć oczy zachwycającymi widokami pobliskich zielonych wzgórz. Podziwiałem piękno nieskażonej jeszcze przez człowieka przyrody Malekuli, którą przemierzałem przez cały miesiąc.

## Podróż na Efate

Big Sista powoli odbija od betonowego pomostu w Litzlitz. Omijając płycizny w zatoce, powoli kierujemy się na pełne morze. Po prawej stronie jakaś mała wysepka, a za nią większa – zamieszkała, zielona i płaska Uripiv. Pasażerowie pośpiesznie zajmują najlepsze miejsca na pokładzie. Każdy chce spędzić nocne bujanie jak najwygodniej, chociażby przycupnąwszy na worku z koprą. Bilet ekonomiczny zwalnia przewoźnika od zadbania o komfort podróży, zresztą to jedyna klasa na promie. Tylko nielicznym szczęściarzom udało się zająć twardą pryczę w kabinie pasażerskiej pod pokładem. W zasadzie kapitan powinien zabrać tylu pasażerów, ile jest prycz, ale zabiera kilka razy więcej, czyli wszystkich chętnych.

Na kilkunastometrowym promie krząta się czarna załoga porządkująca pokład, by można się było jakoś przeciskać między towarem. Jest bardzo ciasno, ale nikt nie robi z tego powodu rabanu, chociaż za bilet trzeba było słono zapłacić. Prom jest nadzwyczaj krótki i szeroki, przypomina kształtem raczej wysoką skrzynię niż statek. Zaletą jest duża pojemność, a wadą nieznośne bujanie nawet na małej fali.

Stoję przy burcie i przyglądam się jakby oleistej wodzie, czarnej jak atrament i groźnej. Wiem, że jest tak przez mały kąt padania ostatnich promieni słońca na jej powierzchnię. Wkrótce zapadnie gwiazdzista tropikalna noc. Zawsze w takich chwilach moje myśli biegną do czasu żeglarzy, którzy byli pierwsi na tym zagubionym na Pacyfiku skrawku łądu – Quirósa, Bougainville'a i Cooka. Od czasu tamtych wypraw linia i kształt brzegów się nie zmieniły, więc widzę to samo co oni. Nie wiem dlaczego,

ale jakoś wyjątkowo przeżywam takie chwile, szczególnie teraz, kiedy wkrótce tropikalna noc nad obcym niebem zapali jaskrawe gwiazdy.

Nie jestem astronomem, potrafię jedynie odszukać Krzyż Południa. Przy okazji ciekawostka – jest to najmniejszy gwiazdozbiór nieba południowego. Dłuższe ramię krzyża wskazuje w przybliżeniu południowy biegun, co było bardzo ważnym elementem orientacyjnym dla dawnych żeglarzy. Nie można pominąć emocji, jakie te pięć gwiazd ustawionych w kształcie krzyża łacińskiego wywołuje wśród narodów półkuli południowej. Dodam tylko, że umieszczono je na flagach Australii, Papui-Nowej Gwinei, Nowej Zelandii, Samoa i Brazylii.

Coraz głębsza noc otula nasz mały statek. Nigdzie wokoło najmniejszego światełka. Jedynie światła pozycyjnych lamp kładą na czarnej wodzie mdłe refleksy. Wolno płyniemy na północ. Prawie całą noc nie zmrzyłem oka. Trudno wysiedzieć w dusznej sali pod pokładem, kiedy dookoła tak pięknie rozgwieżdżone niebo.

Nocą za rufą promu oczarował mnie szczególnie rzadki widok, który na zawsze zostanie mi w pamięci. To ognisty Marum na wyspie Ambrym. Nad stożkiem wulkanu świeciła luna, podobna do wiszącego nad nim piekielnego czerwonego jaja. Niewiele jest na świecie wulkanów, które stale tak aktywnie świecą rozgrzaną lawą.

W świetle poranka wprost przed dziobem Big Sista zarysowały się pokryte bujną roślinnością górskie grzbiety Espíritu Santo. Nie są to jakieś Himalaje, ale nie chciałbym się przedzierać przez busz pod górę na 1878 metrów, bo właśnie tyle ma najwyższy szczyt wyspy. Espíritu Santo jest największą z siedemdziesięciu kilku wysp archipelagu Vanuatu. To przy tym brzegu w 1605 roku zakotwiczyły pierwsze wątle okręty Pedra Fernándeza de Quirósa, wykończone czteromiesięczną podróżą.

Big Sista przybił do przystani w Luganville, to drugie największe miasto po stolicy Port Vila. Mieszka tu 14 tysięcy ludzi. O ile jest to prawda, a żadna inna miejscowość na archipelagu nie pretenduje do miana miasta, to jest to drugie i ostatnie miasto na Vanuatu. Miejscowa przystań jest niewiele większa od tej w Litzlitz.

Nasz postój w Santo, bo nikt na Vanuatu nie używa oficjalnej nazwy Luganville, wszyscy mówią Santo, trwa tylko kilka godzin. Wyładunek i załadunek towarów polega na przrzucaniu ich z rąk do rąk przez ludzi ustawionych w rzędzie między promem a samochodami. Nie mam czasu zwiedzić miasteczka, więc robię krótki spacer po najbliższych uliczkach w pobliżu przystani. Chcę kupić coś do zjedzenia, bo chociaż na promie oferują smaczne kanapki, to są stanowczo za drogie. Trochę żałuję, że nie wygospodarowałem kilku dni na zwiedzanie tej ciekawej wyspy. Wcześniej zapoznałem się co nieco z dziejami Espíritu Santo. Jej historia jest bogato udokumentowana, począwszy od pierwszej wizyty Europejczyków, a skończywszy na drugiej wojnie światowej na Pacyfiku. O dziejach niefortunnego założenia Nowej Jerozolimy przez nawiedzonego Quirósa w Big Bay 21 maja 1606 roku napisałem krótko wcześniej. Był to początek penetracji tego archipelagu przez Europejczyków. Mało kto wie, jak dużo działo się tu w czasie ostatniej wojny światowej. Nie zwiedziłem na Espíritu Santo miejsc po wielkiej bazie lotniczej Stanów Zjednoczonych, o której już wspominałem.

U schyłku 1941 roku Morze Koralowe nawiedziła wojna. Amerykanie w ostatniej chwili zdążyli stworzyć tu wielką bazę wsparcia i logistyki dla wszystkich rodzajów sił walczących z Japończykami. Trudno uwierzyć, ale na tej małej wyspie o powierzchni zaledwie 4 tysięcy kilometrów kwadratowych w bazie lotniczej stacjonowało stale około 40 tysięcy żołnierzy. W tym czasie przewinęło się przez nią także pół miliona personelu obsługi. Tutaj, na Espíritu Santo, powstała w 1942 roku zaporą przeciw dalszej ekspansji Japończyków w kierunku Australii. Z tego miejsca przygotowywano później potężne uderzenia na wyspę Guadalcanal w archipelagu Wysp Salomona. Dzisiaj można tu spotkać betonowe konstrukcje. Wielkie lotniska dla ciężkich bombowców, z takim trudem budowane w buszu, już nie istnieją, zarosły je trawa i krzaki, które przemożną siłą swoich wątlých korzonków i gałęzi powoli je kruszą.

Miejsca i pamiątki po wielkiej bazie stały się atrakcją turystyczną i symbolem wielkiej głupoty i chciwości białych. Dziesięć minut drogi taksówką od Luganville jest miejsce zwane Million Dollars Point – Przylądkiem Milionerów. Kiedy skończyła się wojna, tu, na Santo, pozostały nieprawdopodobne ilości różnego sprzętu wojskowego, żywności czy odzieży. Dla Amerykanów koszty zabrania

z powrotem do kraju już niepotrzebnego wyposażenia były zbyt wysokie, więc zaproponowali Anglikom i Francuzom rządzącym kondominium sprzedaż wszystkiego za jeden procent wartości demobilu. Niestety pazerność władz kondominium była tak wielka, że odmówiły zapłaty nawet tak śmiesznie małej sumy. Liczyli po cichu, że Amerykanie i tak tego nie wywożą i zostawią za darmo... Ale się przeliczyli. Zdenerwowani odmową Amerykanie podjęli decyzję zniszczenia wszystkiego, co posiadali w bazie. Najprostszym sposobem było zatopienie całości wyposażenia w morzu. Tę szaleńczą decyzję wykonali... Przez całe dwa dni zwożono na stromy brzeg morza sprzęt wojskowy: amunicję, setki nowiutkich samochodów ciężarowych i terenowych, sprzęt budowlany, żywność, meble, paliwo w beczkach, a nawet hektolitry coca-coli! Gdy już wszystko znalazło się nad głębią, uruchomili kilkanaście spychaczy i całą tę masę wszelakiego dobra zepchnęli do morza...

Przylądek Milionerów jest jednym z najbardziej niesamowitych na świecie przykładów szaleństwa i głupoty władzy – w dwa dni zniszczono majątek wart wiele milionów dolarów.

Nie mogę sobie wyobrazić, co o tym wtedy myśleli biedni mieszkańcy obserwujący to wielkie marnotrawstwo. Zaledwie sześć kilometrów na wschód od przystani znajduje się ten destrukcyjny dla środowiska pomnik ludzkiego opętania i małoduszności. Jestem w stanie zrozumieć mechanizm tego postępowania – po prostu jakiś wojskowy służbista musiał przedstawić wyższej władzy protokół zniszczenia. Nikt nie liczył się z potrzebami i uczuciami wyspiarzy. Nie ma co krytykować, to była wojna i nikt nie liczył się z kosztami.

Przyjrzyjmy się, za ile milionów obecnie wyrzuca się dziennie jedzenia, podczas gdy co dwadzieścia sześć sekund na świecie umiera z głodu jeden człowiek. Kiedy już morze pochłonęło miliony dolarów, po latach znalazły się firmy z Australii, które sporo tego złomu wydobyły i wysłały do hut. Dzisiaj to akwen, na którym zapaleni poszukiwacze przygód mogą zwiedzać podwodne cmentarzysko, a nawet wydobyć coś na pamiątkę. Nie mogłem tam być, ale dobrze jest znać tę historię.

Nie jest to jedyna miejscowa pamiątka z czasu wojny. W przewodniku wyczytałem, że na Espiritu Santo jest jeszcze jedna „atrakcja”. Zaledwie sto metrów od brzegu, w pobliżu Przylądka Milionerów, w 1942 roku zatonął liniowiec pasażerski President Coolidge. Przed wojną ten luksusowy statek pasażerski posiadał trzy poziomy powyżej pokładu oraz pięć poziomów poniżej. Na statku mieściły się dwa baseny, sala gimnastyczna, fryzjer, salon piękności, trzy jadalnie, dwa salony, teatr, trzy elektryczne windy, biblioteka, a nawet ciemnia dla fotografa. Do komfortowych kabin mógł zabrać ponad 1 300 pasażerów. Po wybuchu wojny liniowiec przystosowano do potrzeb wojska i służył jako transportowiec na Pacyfiku. Wykorzystywano go do przewożenia wojska. W czasie katastrofy ten dwustumetrowy statek wiozł na Wyspy Salomona 5 tysięcy żołnierzy! Szczęściem w nieszczęściu było to, że tragedia wydarzyła się na redzie Santo i chyba cud, że zginęło tylko pięciu żołnierzy. Przyczyną katastrofy była seria błędów popełnionych przez załogę – czyjaś nieostrożność doprowadziła do wybuchu własnej amunicji. Dzisiaj chętni do przeżycia silnych podwodnych wrażeń mogą zanurkować do olbrzymiego wraku luksusowego liniowca i jednocześnie wojskowego statku. Podczas nurkowania można poruszać się wśród licznych pokładów wypełnionych działami, pistoletami, jeepami, hełmami, ciężarówkami i innym wojskowym sprzętem. W dość dobrym stanie zachowały się liczne posągi, rzeźby, mozaiki oraz fontanny. Warto to wszystko obejrzeć. Statek obrósł koralami, wokół których unoszą się stada rafowych ryb. Łatwo dostrzec barakudy, skrzydlice, żółwie czy mureny. Jest położony na głębokości 20-70 metrów i podczas nurkowania trzeba uważać na przystanki dekompresyjne. Według rankingu President Coolidge należy do dziesięciu najciekawszych na świecie wraków do nurkowania.

Po kilku godzinach postoju odbijamy od kei. Big Sista powoli kieruje się na południe do następnej przystani w rejsie do Port Vila. Przepływamy w pobliżu laguny, gdzie otaczające ją krystaliczne wody zanieczyściła rdza z zatopionego wraku i inne żelastwa. A teraz pod powierzchnią niezmordowany pracowity polip koralowy stara się przywrócić wszystko do pierwotnego stanu po szaleństwie i głupocie człowieka... Czy mu się to uda? To dopiero przyszłość pokaże...

Następnego dnia rano przywitał nas już w zatoce Port Stanley na południu Malekuli. Nocna podróż z Santo była spokojna, nawet specjalnie nie kołysało. Przybiliśmy do znanej mi przystani w wiosce Lamap. Rozglądam się ciekawie, czy kogoś rozpoznam. Byłem tu pięć dni na początku wędrówki po wyspie i poznałem wielu ludzi. Na pokładzie panuje spory ruch. Sprawnie ląduje tu kilka

drewnianych klatek z utuczonymi świniami, dosiada się również kilku pasażerów ze swoimi tobołami. Wkrótce po cichu, na wolnym biegu, opuszczamy piękną zatokę. Jeszcze długo patrzę, jak na stromym wzgórzu wśród zieleni znika biały punkcik obelisku kapitana Cooka, upamiętniający jego kilkudniowy tu pobyt.

Następny przystanek ma być w pobliżu czarnej plaży wysepki Paama, która leży między Ambrym a wyspą Épi. To rejon niespokojnych wód. I rzeczywiście, po krótkim czasie promem już targa duża fala, ale gorszy jest wiatr, który jak na złość zaczął szaleć. W powietrzu unosi się wodna kurzawa. Już po chwili takiej kąpieli, jeśli nawet szybko wyschniesz, jesteś pokryty białą solą i czujesz się jak solony śledź w beczce. Mało kto przebywa na pokładzie, wszyscy uciekli do kabiny. Ja również musiałem poszukać choć kawałka miejsca do siedzenia w zatłoczonej kabinie pasażerskiej pod pokładem. Męczy mnie nieprzespana noc i to nieustanne bujanie.

Po czterech godzinach rejsu z wioski Lamap przed nami czarny brzeg Paamy. Na wysepce nie ma przystani, więc prom na niespokojnej wodzie musi obrotami śruby i sterem utrzymywać swoją pozycję. Stoimy około 100 metrów od brzegu. Na wodę spuszczone łódź, wkrótce kilka osób opuszcza Big Sista i odpływa do brzegu. Z wysepki zabieramy kilku pasażerów i po czterdziestu minutach prom rusza dalej. Nie pada, ale pogoda jest okropna.

Wielu pasażerów cierpi na chorobę morską. Ja jakoś to znoszę, chociaż też czuję się nieswojo, odczuwam nudności i ból głowy. Choroba morska jest jedną z tych przypadłości, która wcześniej czy później dopada każdego. Nie ma znaczenia wiek ani liczba spędzonych na wodzie godzin – na każdego przyjdzie kolej. Oczywiście osoby oswojone z bujaniem rzadziej i w trudniejszych warunkach pogodowych odczuwają dyskomfort. Dobrze, że od wczoraj nic nie jadłem. Dzisiaj rano Toni, kucharz z promowego barku, zrobił mi dwa duże kubki dobrej kawy z mlekiem po pięćdziesiąt watu każdy.

Do Lamén na wyspie Épi jest tylko dwadzieścia kilometrów, ale z powodu przeciwnego wiatru i nieznośnego kołysania podróż zajmuje nam aż dwie godziny. Tam czeka nas jeszcze godzina bujania na redzie. Kiedy płyniemy, najgorsze są silne uderzenia krótkich fal. W blaszaną burtę wali wtedy jak młotem. Każde zderzenie setek ton wody z kadłubem nieprzyjemnie wstrząsa całym promem. Dziwne uczucie strachu, jakby czekanie na falę, która ma za chwilę roztrzaskać tę łupinę. Nie przypuszczałem, że taki nieprzyjemny będzie ten mój ostatni rejs na wodach Vanuatu. Myślę, że każdy, tak samo jak ja, z niecierpliwością oczekuje końca podróży. Brzegi Efate, gdzie płyniemy, widać już od kilku godzin i stale jakby były tuż-tuż. Niestety ocena odległości na morzu często nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Przy takiej pogodzie jeszcze bardziej wszystko się ciągnie, rejs się dłuży, co potęguje przykrości, tak jak teraz.

W końcu, skołatani bujaniem, dopływamy do stołecznej wyspy Efate. Ta mająca niespełna 900 kilometrów kwadratowych wyspa będzie moim ostatnim przystankiem na Vanuatu. Po ciemku podchodzimy do nabrzeża położonego w centrum Port Vila. To już nie mroczna wioska, do jakich ostatnio przywykłem.

Od razu przy wejściu do zatoki w ciemności wzrok przykuwają światła kilkupokładowego hotelowca turystycznego. Z jego oświetlonych kabin na czarną wodę kładą się setki migających refleksów. Jest noc, dla wielu to problem. Ja się wcale tym nie zmartwiłem, mając w zanadrzu własny plan. W takich sytuacjach przydaje się doświadczenie podróżnicze. Wszystko na spokojnie, bez paniki. Postanowiłem pozostać tu do następnego dnia i przespać się na miękkiej pryczy Big Sista. Kiedy wszyscy pasażerowie z tobołami zeszli z pokładu, podszedłem do kapitana i w kilku słowach załatwiłem sprawę. Teraz mam bezpieczne, wygodne i w dodatku darmowe spanie na promie.

Przed snem wyskoczyłem jeszcze kupić coś do zjedzenia. Nasz prom zacumował dosłownie kilka kroków od hali targowej. Mimo późnej godziny sektor gastronomiczny wciąż czynny, toteż sporo klientów jeszcze siedzi przy stołach, pijąc kawę i jedząc kolację. Obfite kolacje poprzedzone towarzyskim pićm kawy są tu w zwyczaju, i czy to jest Lamap, czy Port Vila – nie ma znaczenia. Na targowisku jest już pusto, wszystkie stragany warzywne są już pozwijane. Jutro, skoro świt, znów będzie tu gwarno, kolorowo i ciekawie – jak zawsze na każdym targowisku.

## W wiosce Mangaliliu

Kiedy następnego ranka wygramoliłem się z legowiska, pierwszą moją myślą było – co robić dalej? Mam jeszcze trochę czasu do mojego lotu na Wyspy Salomona. Szybko jakoś przysły marzenia o czystej pościeli w miastowym hoteliku. Noclegi to zawsze pewne kłopoty, kiedy pustawa kieszeń. Miesiąc pobytu w wiosieczkach, gdzie nie było hoteli, jakoś gładko zleciał niskim kosztem, co takie łatwe w stolicy nie będzie. Co prawda nie zrujnują mnie trzy noclegi, ale czy zniosę aż cztery dni pobytu w zgiełku i hałasie? Ostatnio przecież przywykłem do błogiej ciszy Malekuli. Tam, w głuszy, łatwiej przychodziły myśli o miejskim wygodnym hotelu. Wtedy się tego chciało, jednak czy chce się teraz? Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, ale tak to już jest.

Na kilka godzin zostawiam na promie mój plecak i ruszam do pobliskiego centrum. Dokładnie po miesiącu powróciłem do cywilizacji, między zabieganych ludzi otoczonych ze wszystkich stron mnóstwem kolorowych dóbr. Tego wszystkiego nie było pod palmowymi strzechami na Malekuli czy małej Atchin, ale wydaje mi się, że ludzie tam są chyba szczęśliwsi. Skorupa kokosa wypełnionego kawą być może daje im więcej radości niż butelka reklamowanego tu wszędzie na wielkich billboardach piwa Tusker!

Do hali największego targowiska w Port Vila są dwa kroki. Dopiero teraz widzę, jak wielki panuje tu ruch, jak kolorowo i ciekawie to wszystko wygląda. Przekupki oferują nabywcom swoje, najczęściej spożywcze, dobra. Na straganach i posadce leżą całe stopy zielonych i żółtych bananów oraz melonów. Tuż obok, ułożone w stopy, spoczywają dość tanie arbuzy. Być może są z importu, bo kiedy jest sezon, to wszędzie ich pełno. Nie brakuje brunatnych bulw jamu, kasawy oraz powiązanych w pęki taro i oczywiście korzeni kawy. Są i kokosy, jak to dobrze, że opilem się nimi do syta. Tu za takiego niekoniecznie wprost z palmy musisz dać dolara! Co jeszcze ciekawego? Może to, że doszły fury powiązanego w pęki drewna na opał. Miastowi przecież nie pójną do buszu po gałęzie czy łatwopalne łupiny kokosa. Chyba to niezły interes, bo całe sterty połupanych dREW leżą przed halą.

Długo mógłbym opisywać to moje ulubione miejsce w każdej podróży. Jeśli chodzi o ceny warzyw i owoców, są one wyższe niż na prowincjonalnych wysepkach, ale to zrozumiałe.

Zwiedzając, na dłużej zatrzymuję się przy stoiskach pełnych kolorowych ryb rafowych, jakich nie spotkałem na Malekuli. Zobaczymy tu powiązane łykiem duże brązowe kraby. Na tacach leżą kalmary, a nawet żółwie jaja. Na oddzielnych stoiskach zobaczymy też oszałamiające kształtem i barwą muszle oraz suche rozgwiazdy. Nie wiem, dla kogo ten towar, kiedy nie wolno wywozić go z wysp? Tu i ówdzie można zobaczyć wyroby sztuki ludowej. Jakieś maczugi, prymitywne maski, posążki duchów, bransoletki i naszyjniki z koralami. Te raczej marnej jakości wyroby wyspiarzy i tak przyciągają w to miejsce przybyszy z za morza. Każdy chce mieć jakąś pamiątkę z podróży.

Nie lubię rozgorączkowanego tłumu turystów, więc dobrze, że na mojej drodze po wyspach ich nie spotykałem. W mieście te parę dni jakoś wytrzymam. Pewnie są z wielkiego wycieczkowca, który nie ma dla siebie odpowiedniego pirsu i teraz kotwiczony na redzie w zatoce. Każdy przybyły chce coś kupić na pamiątkę, dlatego handlujący rękodziełem liczą na dobry interes. Już wkrótce miałem dość kręcenia się po uliczkach małego i zatłoczonego centrum. Co tu robić, kiedy w kieszeniach pusto? Masz pieniądze, to dostaniesz tu wszystko, tak jak w każdym większym mieście na całym świecie.

Jak by nie było, to przecież stolica. Fakt, że mała, bo liczy tylko niespełna 50 tysięcy mieszkańców. Nie ma tu wieżowców, ale za to biur różnych zagranicznych firm, a na ulicach luksusowych samochodów, jest bez liku. Ponoć wiele firm występuje tu tylko na szyldach, a w rzeczywistości nie istnieją...

Jak przystało na „bananowy kraik”, bogacze mają tu podatkowy raj. Na tym końcu świata mogą zaszyć się w biurach z lipnymi adresami, skutecznie uciekając od płacenia u siebie podatków. Czy kiedyś w końcu zrobią porządek z tą korupcyjną ośmiornicą, która w swe podstępne macki chwyta również co cwańszych wyspiarzy? Każdy zauważy tu ogromną dysproporcję bogactwa i ubóstwa, a z czego to się bierze, jak nie z korupcji!

Ledwie pół dnia zeszło i już zapragnąłem jak najszybciej od tego ulicznego zgiełku i hałasu

uciec... Te ostatnie cztery dni postanowiłem spędzić gdzieś nad spokojną plażą. Efate, jak i całe Vanuatu, to wyjątkowy kraj setek wiosek. Oprócz stolicy i Santo, gdzie mieszka jedna trzecia populacji, reszta ludzi mieszka w wioskach. W którąkolwiek stronę się udam, na pewno spotkam jakąś wieś. Dla mnie najważniejsze, aby była nad oceanem, ale o to się nie martwię. Jedyna solidna asfaltowa droga wiedzie tylko wzdłuż wybrzeża.

Na prawie 80 tysięcy mieszkańców całej Efate w Port Vila mieszka ich prawie 50 tysięcy. Całe miasto zbudowane jest amfiteatralnie na wzgórzu. Tuż przy brzegu zatoki znajduje się ciasne i hałaśliwe centrum, ale bez okazałych, wielkich domów. Kiedy zejdziemy z centralnej ruchliwej ulicy i podejmiemy pierwszą lepszą uliczką pod górę, znajdziemy się w labiryncie wąskich szutrowych dróg. To właśnie przy takich, podobnych do siebie uliczkach rozbudowała się stolica. Mimo że blisko stąd do centrum, samochodów jeździ tu mało. W małych, prostych i skromnych domkach mieszka trzy czwarte mieszkańców stolicy. Im wyżej podejmiemy, tym ładniejszy widok.

Z góry zobaczymy wąski, najgęściej zabudowany rejon wzdłuż brzegu. Najpiękniej widać stąd rozczłonkowaną zatokę z wysepką Iririki oprawioną w piękną szafirową lagunę. Na spokojnej wodzie zatoki kołyszą się jachty, a wśród nich kotwiczy ogromny biały wycieczkowiec. Zawitał tu na dwa, trzy dni, a dalej pewnie popłynie na Fidzi lub Papuę.

Spojrzałem na mapę Efate, by poszukać jakiegoś ciekawego miejsca na spędzenie ostatnich dni na Vanuatu. Pół dnia spaceru po Port Vila w zupełności mi wystarczyło. Nie chcę już w banku wymieniać moich skromnych zasobów na miejscowe watu, na ten kilkudniowy pobyt w jakiejś wiosce powinno mi wystarczyć to, co zostało w kieszeni.

Od razu zwróciłem uwagę na rejon nadmorski, dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Port Vila. Jest tam mała wioska o miłej dla ucha nazwie – Mangaliliu. Nic więcej o niej nie wiem, oprócz tego, że leży po drodze na lotnisko. Nie bez znaczenia jest też kilka pobliskich wysp, szczególnie Eretoka, z którą są związane legendy o królu Roi Mata i makabrycznych zdarzeniach. Oglądanie pobliskich wysp z brzegu jest zawsze ciekawsze od wpatrywania się w odległy morski horyzont. Z mapy wynika, że to ciekawa okolica i warto tam dotrzeć.

Historia Port Vila nie jest zbyt długa. Pierwszą stałą osadą kolonistów na Nowych Hebrydach była założona przez Anglików na Efate przystań Havannah. Nie wiadomo, czemu ten akurat skrawek archipelagu okazał się znacznie spokojniejszy od sąsiednich miejsc. Na innych wyspach krajowcy za pomocą maczug i włóczni długo dawali do zrozumienia, że nie życzą sobie sąsiedztwa osady czy inwazji obcych. W końcu doznali od nich tyłu cierpień, upokorzeń i wywózek do niewolniczej pracy. W tym czasie, mimo stopniowego wprowadzania stref wpływów przez państwa europejskie, Nowe Hebrydy dalej nie miały właściwie żadnego statusu prawnego, a mieszkańcy byli bezwzględnie wyzyskiwani. Około 1850 roku każdy, kto wpływał do zatoki, mógł zobaczyć trzy lub cztery lice budynki w europejskim stylu oraz kilkanaście chat rozrzuconych wzdłuż głównej „ulicy”, która przypominała bardziej ścieżkę w buszu. To czas, kiedy wyspy ogołocono już z nadzwyczaj dochodowego drzewa sandałowego. Wystarczyło niespełna czterdzieści lat jego rabunkowej wycinki, by całkowicie zniknęło również z krajobrazu wysp Erromango i Espiritu Santo, gdzie miały swoje naturalne siedliska. Ale sytuacja krajowców się nie zmieniła, z raz rozpoczętego biznesu tak łatwo się nie rezygnuje. Sandałowiec był bezwzględnie i bez żadnej kontroli pozyskiwany, dlatego się skończył, a nikomu nie chciało się go sadzić i czekać na drewno kolejne pięćdziesiąt lat.

Trzeba było zająć się inną uprawą. Przyszła kolej na bardziej „uporządkowaną” uprawę palmy kokosowej, kakaowca oraz innych przynoszących zyski drzew, a wszystko to kosztem wyzyskiwanych krajowców. Na kilku wyspach z mniejszym lub większym trudem założono dochodowe plantacje. Przy tym kokosowym biznesie w malutkiej Havannah swoje siedziby otworzyło kilka firm handlowych.

Niewiele czasu upłynęło, jak obok Havannah założonej przez Anglików po sąsiedzku powstała osada Vila, początkowo nazywana France Ville. Francuzi, którzy mocno usadowili się na pobliskiej Nowej Kaledonii, nie mogli spokojnie patrzeć, jak Anglicy panoszą się za miedzą na tym łasym kąsku. Obie nacje patrzyły sobie teraz na ręce. Jedni i drudzy rościli pretensje do wysp. Do kompletu zabrakło Hiszpanów, którzy również by mogli wnosić roszczenie z tytułu odkrycia.

Trzeba było jak najszybciej zrobić z tym porządek i jakoś uregulować sytuację. Aby wszystkich

zadowolici, w ministerialnych gabinetach Europy wymyslono kompromisowe rozwiazanie. Prawie dokladnie po trzystu latach od odkrycia wysp na nie do konca jeszcze poznany archipelagu powstal nowy polityczny twor – kondominium Nowe Hebrydy, administrowane wspolnie przez Wielka Brytanie i Francje.

Nie sposob opisac dziwactw, jakie przez lata spotykaly mieszkancow z tego powodu. W przewodnikach turystycznych sa zadziwiajace przyklady z tego okresu, na przyklad konfliktowa sprawa stron ruchu na drodze... Ten archaiczny twor kolonializmu przestal istniec w 1980 roku, ale jego skutki jeszcze dlugo beda odczuwalne na Vanuatu.

Szybko zniechecilo mnie bezcelowe spacerowanie po zatloczonym centrum Port Vila. Jeszcze za dnia chce dostac sie do wioski na wybrzezu, nie wiem, jak bedzie z noclegiem, a do zmierzchu zostalo tylko pare godzin. Mimo to postanowilem ruszyc pieszo. Chce dojsc chociaz do lotniska, ktore jest po drodze, i sprawdzic przy okazji termin mojego odlotu do Honiary. Mysle, ze nadarzy sie jakaś okazja i dalej do Mangaliliu czymś... podjadę. Na mapce widać, ze za lotniskiem nie ma zartow, bo tam prawie cala droga pnie sie pod gore.

Po polgodzinnym marszu znalazlem sie na lotnisku. Zdziwilo mnie, ze oprócz ochrony w hali odlotow nikt juz nie pracuje. Dopiero wieczorem bedzie jakis lot i przyjdzie ktos z obslugi. Niczego sie nie dowiedzialem, na szczescie lotnisko bylo po drodze. Kawalek za pasem startowym na drodze spotkalem trzech mlodych Czechow. Wlasnie zalatwiali kurs taksowka do slynnych pobliskich wodospadow Mele Cascades. O tym popularnym miejscu wycieczek z pobliskiej stolicy rozpisuja sie wszystkie przewodniki. Krótco porozmawialem z sasiedzami zza między i pomyslam, ze moge zabrac sie z nimi i tych kilka kilometrow podjechać, gdyz to po drodze do Mangaliliu. Namowili mnie tez na wspolne zwiedzenie kaskad.

Dobrze, ze zabralem sie tym samochodem, bo droga za lotniskiem przez kilka kilometrow stale prowadzi pod gore. W kasie przy parkingu zaplacilismy za wstep na wejscie do parku i ruszylismy sciezka w gesty busz. W wielu miejscach bystra rzeczka, splywajac po gladkich i plaskich kamieniach, tworzy male kaskady i wodospadziki. Ta przyrodnicza perełka znajduje sie w otoczeniu niesamowitych ogromnych drzew, w plataninie korzeni, pni i lian. Wszedzie dookolą bardzo dziko, jak w prehistorycznej dzungli. Bylo tak ponuro i ciemno, ze nawet nie wyjalem aparatu fotograficznego. Do tego mokro i straszne bloto, moje sandaly calkiem przemokly. Od poczatku nie bylem zadowolony z wycieczki, wiec postanowilem przerwac te nieprzemyslana eskapade. Za taksowke oddalem 150 vatu (1 dolar amerykanski = 86,84 vatu) i zyczac powodzenia, pozegnalem mlodych turystow z Czech.

Z ponurego mroku wyszedlem na pobliska droge i ruszylem w kierunku Mangaliliu. Za kaskadami droga dalej pnie sie pod gore i ostatecznie dochodzi sie do wysokoosci okolo 300 metrow nad poziomem morza. Z duza trudnościa i wysilkiem idę pod gore, chociaz moglbym cos zatrzymac na drodze. Jak sie mowi w takich sytuacjach: cierp ciało, jeslis chcialo... Ale celowo nie chcialem podjezdzac, bo z kazdego zakretu moglem z gory patrzec z zachwytem na Port Vila.

Natura uczynila to miejsce niesamowicie pieknym. Doskonale widać stąd rozczlonkowaną polwyspami zatoke, a plytkie laguny o szmaragdowym lub turkusowym zabarwieniu dodaja kolorytu ciemnej barwie wody. Z daleka nawet skromna zabudowa okolicznych wiosek i miasta robi korzystne wrazenie. Zapomina sie, ze mieszkaja tam ubodzy ludzie ze swoimi codziennymi troskami i radościami. Wzgorze, przez ktore prowadzi moja drogowa wspinaczka, nazywa sie jakoś dziwne z niemiecka – Hill Klaine. Gdybym nie byl zmeczony, moglbym boczna sciezka podejsc te kilkadziesiat metrow na szczyt. Nie ruszylem nawet ręką, a jednak mijajacy mnie samochod zatrzymal sie kilka metrow dalej. Starszy kierowca ruchem ręki zaprasza do srodka.

Zmeczony i spocony, nawet sie nie zastanawiam, wykorzystujac okazje podwiezienia. Jeszcze troche pod gore i juz po chwili jedziemy ku widocznemu w dole odleglemu wybrzezu. Na lsniających przybrzeżnych wodach dobrze widać ciemne paski wysp. Gdzieś tam jest moje Mangaliliu. Widok bardzo obiecujacy, wiec od razu poczułem sie raźniej, a zmeczenie gdzieś pryslo. Pogadalem troche z uczynnym kierowca. David mieszka w Port Vila, prowadzi jakies interesy i dobrze pamietá czasy kondominium. Krótco opowiedzialem o sobie i juz nie bylo nawet czasu spytac o cos wiecej.

Dojechalismy do bocznej drogi, ktora prowadzi nad brzeg oceanu do Mangaliliu. Pozegnalem

kierowcę, który pojechał dalej, a ja z asfaltówki skręciłem na szutrówkę. Moja nowa droga prowadzi teraz stale w dół, aż do brzegu. Choć przewyższenie ma prawie trzysta metrów, to te dwa kilometry pełnej zakrętów drogi do wioski specjalnie mnie nie zmęczyły. Zastanawiam się, ile będzie sapania, kiedy będę szedł tędy z powrotem za trzy dni...

Przedemną odsłania się piękny widok na wybrzeże, a to dzięki temu, że dookoła, zamiast wysokiego dzikiego buszu, są zadbane plantacje taro, kasawy i innych warzyw. Na lśniącym morzu wzrok bezwiednie biegnie ku wyspie kształtem przypominającej zielony kapelusz. Z mapki wyczytałem, że to Eretoka, czyli wysepka z tajemniczymi miejscami pochówków. Robię sporo zdjęć i filmuję, aby moją podróż dobrze udokumentować i by każdy zainteresowany mógł obejrzeć całą wyprawę na YouTube.

Teraz widzę, że dobrze wybrałem miejsce pobytu na te ostatnie dni, chociaż nie wiem, jak będzie z kwaterunkiem. Przy boisku szkolnym skręcam w lewo i już jestem w centrum wioski. Zaraz też poprosiłem kogoś o zaprowadzenie do szefa wioski. Nie wiedziałem, że osada jest tak mała – mieszka tu nie więcej niż trzydzieści rodzin. Najważniejsze, że będę mógł porozmawiać, bo w szkole uczą języka angielskiego. Szefa wioski i jego rodzinę zastałem w obejściu składającym się z czterech domków i kilku szopek.

Pan Andurson, pełniący zaszczytny tytuł szefa wioski, okazał się bardzo miły i uczynny. Nie zastanawiał się długo i zaraz zaproponował mi gościnę u siebie. W swojej skromnej zagrodzie na uboczu wioski ma jakieś wolne pomieszczenie. Będę mógł tam zamieszkać, muszę tylko poczekać na przygotowanie go. By nie kombinować z posiłkami, uzgodniłem kwaterunek z wyżywieniem za pięć dolarów USA na dzień.

W Mangaliliu nie ma tradycyjnych chat zbudowanych z naturalnych materiałów, takich jak bambus i liście palmy, w których żyją mieszkańcy wioski na Malekuli. Tam tak pięknie wszystko wkomponowane jest w otaczającą przyrodę. Tutejsze zabudowania są nieduże i brzydkie. Szpecą je różne przybudówki i zagrodki dla świń, a całość posklejana jest tym, co było pod ręką. Co zasobniejsi mieszkają w domkach solidniejszych, czasem nawet murowanych. Wszędzie na dachach leży blacha falista marnej jakości, co widać po rdzy. Tak jak kogo stać, tak mieszka, a cała wioska jest mała i nie zajmuje powierzchni większej niż kwadrat 200 na 200 metrów. Ogólne wrażenie jest takie, że ludzie nie przejmują się wyglądem obejścia ani porządkiem. Na szczęście trochę zieleni bananowców, papai i innych drzew ratuje sytuację, maskując niedostatki. Największym budynkiem jest kościół stojący w pobliżu plaży. Prawie wszyscy mieszkańcy wioski to prezbiterianie. Mangaliliu leży dosłownie o rzut kamieniem od skalistego brzegu.

## Zamieszanie spowodowane moim nagłym przybyciem

Miałem szczęście, bo gospodarz z pustym workiem na plecach właśnie wybierał się do ogrodu po warzywa. Gdybym przyszedł kilka minut później, już bym go nie zastał. Po warzywa i tak trzeba iść, a że nie chciałem beczynnie czekać, aż kobiety przygotują mi lokum, postanowiłem przejść się z gospodarzem na plantację. Zaraz za wioską weszliśmy na ścieżkę biegnącą stromo pod górę. Idziemy pośpiesznie przez ogrody pośród zagonów warzyw. Mijamy wyrosnięte krzewy kawy. Są trochę podobne do naszego bzu, jednak ludzie nigdy nie dadzą im do tej wielkości wyrosnąć. Nikt nie będzie czekał dziesięć lat na korzeń ciesząc się tak wielkim popytem. Otaczająca nas zieleń jest wprost oszałamiająca. Gdyby nie wiaterek i ta masa świeżego powietrza znad bezkresnego oceanu, byłoby tu duszno jak w szklarni. Podchodzimy jeszcze kawałek wyżej i jesteśmy na miejscu. Roztacza się stąd szeroki widok na błękitny ocean z zielonymi wyspami. O tej porze niebo zaczyna przebarwiać się w różne desenie czerwieni.

Gospodarz zabrał się do roboty, a ja z ciekawością spaceruję między zagonami dorodnego taro, kasawy, popularnej łądogowej kapusty i batatów. Jestem zadowolony, że wszystko mi się dzisiaj tak ułożyło. Na zboczach rosną wysmukłe papaje i kakaowce oraz ogromne bananowce. Słyszałem, że na Vanuatu osiągają wręcz gigantyczne rozmiary. I chyba jest to prawda, bo nigdzie takich dużych nie spotkałem, a byłem w różnych miejscach na świecie. Przyszliśmy głównie po bulwy jamu.



Łodyga tego smacznego warzywa pnie się jak powój w drodze do słońca, owijając drzewa czy inne podpory. Teraz jest pora zbiorów i wszystkie jego pnące się łodyżki są już suche, choć jeszcze tak niedawno dumnie się zieleniły. Pan Andurson klęka na kolana i metalowym prętem wrusza sypką i czarną ziemię wokół wielkich bulw. Potem sprawnie rękoma rozgarnia puszysty tuf wulkaniczny i odkrywa z wierzchu bulwy. Jeszcze trochę wysiłku i wielki jam jest wyrwany z ziemi. W jednym miejscu znajdują się dwie, trzy bulwy. Największa może mieć do dziesięciu kilogramów, w zależności od odmiany. Do worka trafiają jeszcze papaje i kilka pęków liści miejscowej kapusty.

Prawie o zmroku dochodzimy do domu. Na kolację zjadłem kawałek papai, ale to wcale nie znaczyło, że już pora spać. Wypadało dotrzymać miłemu gospodarzowi towarzystwa i wypić z nim tradycyjną czarkę kawy. Ledwie co zdążyłem schować się przed deszczem. Przy słabiutkim światełku czołówki rozwieszam nad posłaniem moskitierę. W blaszany dach jak w bęben zaczynają walić duże krople deszczu. Mam nadzieję, że przez noc się wypada...

## Wesele na Vanuatu

Nie wiem, jak pod moskitierę wdarły się komary. Nie słyszałem ich brzęczenia, ale teraz widzę je opite moją gorącą krwią. Czy to pierwszy raz, by się przejmować? Choćby nie wiem jak się człowiek pilnował, to i tak cię kiedyś w końcu dopadną. To mój osiemdziesiąty piąty dzień zmagania z nimi. Na razie jestem zdrowy, chociaż były dni, kiedy obserwowałem u siebie objawy, które można by uznać za początki choroby przenoszonej przez moskity. Na szczęście po kilku godzinach wszystko wracało do normy. Na Fidżi oficjalnie nie występuje malaria, ale na Vanuatu jest na porządku dziennym i chyba nie ma tubylca, który by jej nie przechodził. Żadne jednak miejsce na świecie nie przebije Wysp Salomona w zagrożeniu tą chorobą. Sprawdźmy, może mi się uda. Dotychczas miałem szczęście w niejednym niebezpiecznym rejonie występowania tego paskudztwa.

Zaledwie wygramoliłem się z legowiska, a tu ktoś puka do drzwi. Po chwili ukazuje się w nich roześmiana gęba gospodarza niosącego talerz i termos. Nie spodziewałem się, że tak wcześnie ktoś przyniesie mi śniadanie. Na talerzu jest kawałek odgrzanego wczorajszego laplapu nadziewanego jakimiś liśćmi i zamówiony termos gorącej wody, o którą prosiłem. Szczerze mówiąc, strasznie mdłego laplapu z kasawy tylko posmakowałem, a teraz tak kombinuję, aby nikt nie widział, jak będę go wyrzucał gdzieś w pobliskie krzaki. Na otarcie łez załamałem gorącą wodą paczuszkę kawy instant „3 w 1”, zagryzłem krakersem i takie było moje śniadanie.

W nocy długo padało i teraz jest spokój. Wcześnie rano, by nikomu nie przeszkadzać, idę posiedzieć na pobliską plażę. Po drodze trzeba przejść przez prawie całą osadę. Ludzie oglądają się za mną ze zdziwieniem. Widocznie nieczęsto widzą białego szwendającego się rankiem po wiosce. Jestem trochę zawiedziony miejscowym brzegiem. Za dużo ciemnych skał wulkanicznych na wierzchu, gdzieś tam jedynie trochę piaszczystych łąk. Daleko temu miejscu do tego, by nazwać je pięknym. Z tego, co wiem, w pobliżu jest taka plaża, którą można się pochwalić. Andurson obiecał mnie tam zaprowadzić, to że trzy kilometry stąd, dokładnie naprzeciw wysepki Eretoka. Brzegiem, omijając skały, trudno się tam się dostać, łatwiej ścieżką przez busz. Ciekawostką jest jedno wydarzenie z najnowszej historii Mangaliliu. Pięć czy sześć lat temu ta mała, nikomu nieznana wioseczka stała się sławna za przyczyną słynnego programu *Wyprawa Robinson*. Amerykańska stacja telewizyjna CBS nakręciła tu ten popularny survivalowy serial. Może coś więcej powie mi o tym gospodarz? Czy to nie fart, że na koniec dowiedziałem się przypadkowo tytułu ciekawych rzeczy? I to wszystko miało miejsce w okolicach Mangaliliu! Również te makabryczne pochówki na Vanuatu, o których wcześniej coś czytałem, znajdują się właśnie w tym rejonie. Wcale nie zamierzałem ich odwiedzać, same znalazły się na moim szlaku – są na pobliskiej wysypce. Nie mogę powiedzieć, że nie mam szczęścia. Jak to dobrze, że wyjechałem z Port Vila. Jestem tu zaledwie drugi dzień, a odkryłem tyle atrakcji!

Zapewne mój gospodarz nie ma za wiele do roboty, bo wygląda na to, że prawie wszystkie prace spoczywają na barkach kobiet. Tutaj to powszechne, co już dawno stwierdziłem.

Była jeszcze wczesna godzina, kiedy wyszliśmy z wioski w kierunku odległej o trzy kilometry obiecanej plaży. Przy okazji chciałem z bliska zobaczyć tajemniczą wysepkę Eretoka, o której ostatnio

zrobiło się głośno. Zapowiada się duszny i gorący dzień. Na razie jest jeszcze przyjemny poranny chłodek. Idziemy w cieniu drzew i krzaków ścieżką w pobliżu oceanu. W niektórych miejscach trzeba przedzierać się przez wystające na drogę gałęzie, widocznie mało kto tu chodzi. W paru miejscach szlak zbliża się do samego brzegu, z którego podziwiam ciekawy wygląd wysepki Eretoka. To dosłownie zielony kapelusz leżący na wodzie, angielska nazwa to Hat Island. Jego górną część tworzy wyizolowany płaskowyż, a niski brzeg to jakby rondo, stąd ten ciekawy kształt. Doszliśmy do celu. Plaża jak plaża, teraz dla mnie ciekawsza stała się tajemnicza wysepka. Spytałem Andursona, czy był tam i może coś powiedzieć o starych zbiorowych grobach. Niewiele powiedział, jedynie to, że archeolodzy odkryli tam stare szczątki ludzkie. Wiele lat temu był na wysepce, ale po odkryciu ich nie wolno było już tam legalnie pływać. I to wszystko, czyli niczego więcej się nie dowiedziałem ponad to, o czym wcześniej czytałem. Obecnie można tam popłynąć, jednak dla wielu co bardziej przesądnych krajowców wysepka jest nadal tabu.

Historia Roi Mata jest bardzo ciekawa. W nowych przewodnikach po Vanuatu pewnie już jest informacja o tym, że wyspę Eretoka, z miejscem zbiorowych pochówków, w 2008 roku wpisano na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Szczerze powiem, że nie zainteresowałem się wcześniej tą historią. Co innego teraz, gdy stoję na plaży zaledwie cztery kilometry od wysepki. Wypada chociaż coś wspomnieć. Jest ona bardzo malutka, bo ma tylko dwa i pół kilometra długości i pół kilometra szerokości. Nikt nie brał na serio legendy o wodzu Roi Mata przekazywanej ustnie z pokolenia na pokolenie. Przez wiele lat nie podejmowano tematu, nikt nie chciał zbadać tej sprawy, mimo bardzo precyzyjnych informacji z przekazów. Sądzono, że to tylko legendy.

W historii Vanuatu szczególnie ważny jest rok 1967. Francuski archeolog, dr José Garanger, nie zważając na dotychczasowe lekceważenie ustnych przekazów, zawierzył legendzie o wielkim wodzu i postanowił sprawę dokładnie zbadać. Jego ekipa rozpoczęła wykopaliska. Jakież było zdziwienie naukowców, kiedy po odsłonięciu warstw ziemi okazało się, że rozmieszczenie szkieletów i przedmiotów w pochówku było dokładnie takie jak w przekazach. Badania archeologiczne doktora Garangera doprowadziły do rewelacyjnych odkryć. Odsłonięto masowy grób zawierający szczątki pięćdziesięciu osób, wraz z wielką ilością ozdób i sprzętów. Wspólny grobowiec wyglądał dokładnie tak, jak opisywała legenda. Szkielet Roi Mata spoczywał w środku grobu na nieco głębszym poziomie. Przy nim znaleziono szkielet młodej kobiety i młodego mężczyzny oraz pary małżeńskiej. Czas pochówku określono na początek XV wieku. Jak zadziwiająca musiała być przez kilkadziesiąt pokoleń dbałość o szczegóły w opisie!

W owym największym grobie na Pacyfiku ludzie zostali pochowani żywcem. To jedyne takie miejsce w całej Melanezji. Zaczęto analizować i badać zgodność faktów z ustnymi przekazami. Okazało się, że ten legendarny bohater Nowych Hebrydów, po długiej i męczącej podróży między wyspami, wylądował dawno, dawno temu tu, na Efate. Osiadłszy w centrum Archipelagu, panował długo i szczęśliwie. Dla podległych mu plemion był dobrym i sprawiedliwym władcą. Kiedy nadeszła śmierć, ciało wielkiego wodza przeniesiono na małą wysepkę Eretoka. Nad grobem odbyła się wielka uroczystość połączona z obrzędowymi tańcami i składaniem ofiar z ludzi. Roi Mata został pochowany ze swoimi bliskimi i przedstawicielami podległych mu klanów. W czasie uroczystości pogrzebowych ludzie zgłaszali się dobrowolnie, aby towarzyszyć wodzowi w drodze do Krainy Zmarłych. Jak nakazywały ówczesne obyczaje, grzebano ich żywcem. Mężczyźni mogli napić się odurzającego napoju kava, dlatego ułożenie ich ciał wskazuje, że umierali spokojnie. Natomiast kobiety, którym zwyczajowo zabraniano picia kawy, umierały w męczarniach. Świadczą o tym ich ręce próbujące usunąć ziemię – szły na śmierć z pełną przytomnością umysłu. Oprócz tych dobrowolnych ofiar zakopywano żywcem również ludzi, którzy tego nie chcieli. Prezentacja sylwetki wodza, jego życia i śmierci miała szczególny charakter w czasie uroczystości niepodległościowych w 1980 roku. Od tego czasu jest on na wyspach narodowym bohaterem.

Przed drogą powrotną trochę odpoczniemy. Zbliża się południe, czuję się jak w ukropie. Człowiek w tym klimacie i przy tej temperaturze szybko traci zwawość i rozgląda się tylko, gdzie by tu przycupnąć w cieniu. Dzisiaj, po nocnym deszczu, powietrze jest bardzo duszne, wręcz do granic wytrzymałości. Wioskowe psy pewnie już nie mogą wytrzymać i biegają na plażę moczyć się w wodzie

– to nie przesada. Pobliskie wyniosłe palmy, wachlujące się z powagą potężnymi liśćmi, teraz jakoś ucichły. Nawet niezmordowane fale morskie też rozlały się bezwładnie i zastygły w bezruchu.

Na chwilę usiedliśmy w cieniu pobliskiego rozłożystego drzewa. Na drugie śniadanie coś wybornego: piję słodkawą wodę z wnętrza orzecha kokosowego. Dzięki korkowej skorupie i grubej włóknistej łupinie potrafi utrzymać przyjemny naturalny chłód. A jeśli chodzi o sprawy higieniczne, to wspaniały owoc na miejscowe warunki. Nie potrzeba szklanki, najlepiej pić prosto z orzecha. Nie wiem, co powie na to medycyna europejska, ale podobno z braku wody destylowanej można bezpiecznie sokiem przemyć ranę. Nie jestem w stanie opisać zalet tego pożytecznego drzewa, które nie tylko nadaje uroku wybrzeżom, ale jest największym bogactwem nadmorskich osad.

Do wioski przyszedliśmy akurat na czas obiadu. Na stół pod wiatą synowa gospodarza przyniosła dopiero co upieczony laplap. Prawdę powiedziawszy, to nie spodziewałem się niczego innego. Z zawiniętego w bananowy liść pakunku rozchodził się mdławy zapach. Gospodarz odkroił mi kawał upieczonego ciasta nadzianego jakimś warzywem. Przeraziłem się, gdyż nie za bardzo przepadam za tym specjałem. Trudno będzie udawać sytego, ale teraz już za późno, by odwołać pochopną decyzję. Nie należało z góry u sympatycznych ludzi zamawiać noclegów razem z posiłkami. Muszę dodać, że dla miejscowych laplap z jamu to coś lepszego niż z zielonych bananów, choć dla mnie bez różnicy. Gość z daleka w domu, więc nie należy oszczędzać na jedzeniu.

Przy obiedzie dowiedziałem się, że jutro cała rodzina udaje się na wielkie wesele aż do Eton, wioski po drugiej stronie Efate. W Mangaliliu mieszka wielu krewnych pana młodego, więc na uroczystości weselne ma jechać sporo osób. Przed południem przyjadą trzy zamówione półciężarówki, by zabrać zaproszonych gości. Ja mam też oczywiście jechać na prawach członka rodziny. Andurson nie chciał słyszeć o żadnych wykrętach, argumentem dla niego nie było nawet to, że nie mam prezentu weselnego. Nic nie pomogło mi wybrnąć z niespodziewanej i niezręcznej sytuacji. Co miałem robić? Stałem się przypadkowym krewnym pana młodego.

Na drugi dzień od rana w kilku domostwach zaczął się gorączkowy ruch. Na podwórkach rosną fury prezentów wydobywanych gdzieś z komórek. Od rodziny mojego gospodarza na prezenty weselne zabieramy ze dwadzieścia plecionych mat z pandanusa, tworzą sporą stertę, są różne, niektóre nawet kolorowe. Obok znalazła się wielka kiść zielonych bananów, którą miałbym chyba problem unieść. W pobliżu szamoce się związany kogut. Na koniec przyniesiono dwie spętane sznurem czarne świnię. Żal mi tych stworów, bo nikt nie przejmuje się upalnym słońcem, które strasznie przypieka już od rana. Wszyscy odświętnie ubrani czekamy na samochód.

Małżeństwo na Vanuatu to poważna i droga inwestycja. Obecnie niektórzy mieszkańcy miast lub co bardziej wykształceni przyjmują zachodnie pojęcie miłości i odchodzą od tradycyjnych ślubów. Na Vanuatu tradycyjnie zawieranie związków małżeńskich stawiane jest zdecydowanie na pierwszym miejscu. Bardziej liczą się względy i korzyści rodziny niż własny wybór nowożeńców. Liderzy rodzin aranżują małżeństwa dzieci, nie zważając na romantyczną miłość. Na wielu wyspach praktykuje się małżeństwo jako wzajemną wymianę. Tłumacząc na polski, to „wymiana” siostry. Dla przykładu: mężczyzna żeniący się z kobietą z innej rodziny zawdzięcza to na przykład swojej siostrze lub kuzynce, która poślubiła kogoś z rodziny panny młodej wcześniej. Czasem jest to bardzo zawile pokrewieństwo. Przez takie układy małżeńskie powiększa się klan rodzinny. Co ciekawe, od chwili zawarcia związku małżeńskiego prawo pokrewieństwa roztacza się daleko w głąb rodów. Od tej chwili wszyscy stają się jedną wielką rodziną. Nawet przysłowiowa dziesiąta woda po kisielu też ma prawo przyznać się do rodziny, czy to ze strony pana młodego, czy pani młodej. Na tym przykładzie widać, jak silne są związki rodzinne. W porównaniu z nimi nasze są niezwykle ubogie. W naszej współczesnej kulturze krąg pokrewieństwa się zawężił i nie sięga dalej niż najbliższe kuzynostwo. Tutaj przez układy małżeńskie wyraźnie widać, jak wiele rodzin w Mangaliliu jest spokrewnionych.

Około dziesiątej przyjechała półciężarówka. Po zapakowaniu fury prezentów, w tym kwiczących świń, siadamy na rozłożone po bokach paki deski i ruszamy. Do Eton jest około 50 kilometrów. Samochód z wysiłkiem, wolno podjeżdża do szosy. Od wybrzeża musi pokonać prawie 300 metrów przewyższenia, schodziłem tędy dwa dni temu. Za naszym samochodem na wesele jadą jeszcze dwa inne, także wypchane ludźmi i prezentami. Po dwóch kilometrach wspinaczki szutrówką pędzimy

asfaltową drogą do nadbrzeżnej wioski Eton, która leży przy obwodnicy po drugiej stronie wyspy Efate. Przed zjazdem do Port Vila z góry roztacza się piękny widok na zatokę i miasto. Przejeżdżamy przez miasto i zaraz za nim zapuszczamy się w wiejski rejon wyspy. Za nami tłoczne, ruchliwe centrum, dalej już bardzo mały ruch samochodowy. Prujemy pełnym gazem. Przemierzamy rolniczy, nizinny obszar Efate. Po obu stronach szosy stoją pojedyncze zabudowania otoczone ogrodami i uprawami taro i kasawy, przydrożne gaje starych plantacji palmy kokosowej i zagajniki wielkich bananowców. Co kawałek przejeżdżamy przez skrzyżowanie z szutrową dróżką lub ścieżką. Mijamy małe przydrożne osady. Wszystkie są podobne, różnią się tylko placami albo boiskami przylegającymi do niskich budynków szkolnych. Od czasu do czasu mignie w pobliżu wieżyczka kościelna, to w większych wioskach.

Na pace owiewa nas przyjemny wietrzyk, który po pewnym czasie wzmaga się, gdyż zbliżamy się do wybrzeża po przeciwnej stronie wyspy. Co kawałek za zaroślami drzew prześwituje morski brzeg. W niektórych miejscach droga niemal dochodzi do plaży. Fale z tej strony wyspy to nie to samo co spokojna woda w Mangaliliu. Niebo dzisiaj jest zachmurzone, a do tego zaczyna solidnie wiać. Mimo przeszkadzającego wiatru trochę filmuję. Aby mieć szerszy widok, stoję na pace samochodu, trzymając się mocno szoferki.

Po godzinie dojechaliśmy do Eton. Nie była to zbyt przyjemna jazda i teraz, wytrzęsieni, z ulgą opuszczamy twarde ławki. Zatrzymaliśmy się w pobliżu pierwszych zabudowań na początku wioski. Samochód zjechał kilkanaście metrów z drogi i zaparkował na obszernym podwórzu przed jakimś domem, prawdopodobnie kogoś z rodziny pana młodego. Wkrótce po nas dojechali pozostali weselnicy. Stąd wszyscy na piechotę udamy się do odległego o pół kilometra domu panny młodej, gdzie odbędzie się cała impreza. Z samochodów zaczęto zdejmować przywiezione prezenty. Ktoś znaczniejszy z rodziny zajął się prezentacją i wyliczeniem wszystkich podarków, jakie klan pana młodego przekaże rodzinie przyszłej żony. Oficjalne obdarowanie prezentami stanowi najważniejszy punkt ceremonii. Ostatnio coraz częściej zamiast konkretnych prezentów przekazuje się pieniądze. Trudno mi powiedzieć, kto jest kim w tym tłumie odświętnie ubranych ludzi. Pomiędzy dorosłymi biega sporo dzieciaków w różnym wieku.

Nobliwy starszy pan stanął przy stercie hojnych darów i dokładnie je wylicza, sztuka po sztuce. Obok niego stoi z obojętną miną zalekniiony i zmęczony tym wszystkim pan młody. Wygląda na to, że teraz już nic nie ma do powiedzenia. Lawina ruszyła... Jakby na dobrą wróżbę nad Eton rozwiało ciężkie chmury i słońce znów zaczęło robić swoje. W cieniu konarów rozłożystego drzewa rozsiadła się na trawie liczna rodzina. Przybyła na wesele z różnych wiosek i teraz z ciekawością przygląda się prezentacji tego, co kto przywiózł. Dawniej w zwyczaju było również dawanie podarków od rodziny pani młodej dla rodziny narzeczonego. Tych prezentów przekazywano jednak znacznie mniej, wydawanie córek za mąż było o wiele bardziej dochodowe.

W dzisiejszych czasach przygotowanie wielkiej ilości dobrego jedzenia na uroczystości to spory wydatek. Zajmuje się tym rodzina panny młodej, podobnie jak u nas. Przygotowania do uczty trwają kilka dni. Na Vanuatu nie ma zwyczaju rozsyłać zaproszeń weselnych. I tak stawiają się wielkie tłumy krewnych, którzy dobrze wiedzą, że zarżnięto już kilka świń i wołów oraz że przygotowano różne smakowite specjały weselne.

Prezentacja trwa bardzo długo, wszyscy z niecierpliwością oczekujemy jej końca. Wreszcie, na zakończenie tej części, jeszcze co ważniejsze osoby z klanu pana młodego dają ostatnie ogłoszenia i rady zebranim gościom. Po tym wszystkim uczestnicy wesela podchodzą i zabierają swoje podarki. Tak obładowani ruszamy niczym wielka paradna kolumna do domu weselnego. Każdy coś niesie, nawet małe dzieciaki. Weselne podarki zapakowane w worki i kosze goście dźwigają w rękach, a co cięższe targają na plecach. Niektóre dary są tak kłopotliwe w transporcie, że do przeniesienia potrzeba dwóch ludzi. Zawieszane na bambusowych źerdkach bimabają związane za nogi ledwie już żywe świny. Sporo hałasu robią kury i koguty. Bezradnie szamocą skrzydłami, daremnie chcąc się wyrwać.

Nasza procesja z każdą chwilą się powiększa. Do maszerujących krewnych dołączają sąsiedzi i przypadkowi gapie. Każdy chce być świadkiem ceremonii, popatrzeć na prezenty lub chociażby z daleka poczuć zapachy rozchodzące się z misek pełnych smakowitego jedzenia. Dla mnie taka

niespodziewana impreza to szczęśliwe zrzącenie losu i niemała gratka. Pełno mnie wszędzie, biegam z aparatem fotograficznym i kamerą, by jak najwięcej utrwalić z tej barwnej i ciekawej uroczystości. Po dziesięciu minutach marszu nasz głośny, wesoły i kolorowy orszak kończy pochód na placu przed rodzinnym domem panny młodej.

W obejściu, pod obszerną wiatą, stoją stoły uginające pod ciężarem miejscowych przysmaków. Wszyscy patrzą na nie łakomym wzrokiem, ale ich cierpliwość będzie wystawiona na ciężką próbę. To chwila, w której następuje pierwsze oficjalne spotkanie obu klanów. Członkowie rodziny panny młodej z wielką powagą i w ciszy uważnie obserwują przybyłych z prezentami gości. Gdy już wszystkie dary zostały złożone, swat pana młodego w krótkiej przemowie prosi rodziców przyszłej żony o przyjęcie gościńca za wydanie córki. Potem następuje symboliczna akceptacja darów i pieniędzy. Polega to na tym, że do okazałej sterty darów podchodzą wiekowi teściowie pana młodego i wybierają symbolicznie jakiś przedmiot, próbując tym samym wszystkie prezenty. Wręczanie darów jest bardzo widowiskowe.

Rodzina przybyła z panem młodym ustawia się w długi szpaler i teraz każda rzecz z rąk do rąk wędruje do rodziny żony. Wszystko jest uważnie obserwowane przez gości. Nic nie umknie uwagi tak wielu świadków, żeby nie było potem jakichś niedomówień. Tak na oko weselników może być i dwustu! Po przekazaniu prezentów następują oficjalne przemówienia co ważniejszych osób z obu stron. Dla formalności jest też urzędnik, przed którym młodzi składają ślubowanie.

Nie bardzo rozumiałem, co się tu po kolei działo, kto przemawiał i o czym mówił. Nie wypadało ciągle o coś pytać mojego gospodarza. Po tym wszystkim wreszcie zaczęła się uczta, której wszyscy z niecierpliwością od kilku godzin wyczekiwali. Zauważyłem, że kiedy goście rozpoczęli pałaszowanie smakołyków, wszyscy stali się dla siebie jakoś bliscy, już nikt nie patrzył na innych sztywno i bez emocji. To moment kulminacyjny. W jednej chwili wśród weselników zapanowała radosna atmosfera, która udzieliła się również pałętającym się po placu psom. Goście jak na komendę ruszyli w pośpiechu pod obszerną wiatę.

Przy stołach uginających się wprost od pełnych jedzenia mis zapanował wielki ruch i zgiełk. Nie ma bardziej szczerzej miłości niż miłość do jedzenia... Trudno opisać wszystkie przygotowane rarytasy, a tym bardziej z tego różnorodnego menu coś wybrać. Wszystko wygląda apetycznie i kolorowo. Rozglądam się, bo czegoś mi tu brakuje – nie widzę laplapu. Są za to miski kopiato wypełnione różnymi warzywami i mięsiwem oraz sosami w kilku smakach. W szklanych dzbankach mienią się kolorowe napoje, a tuż obok na tacach piętrzą się różne dorodne owoce, których jakoś wcześniej nie spotykałem. Tu wystawia się wszystko naraz na jednym stole. U nas po obiedzie podaje się słodkie, a tutaj całość od razu, dlatego i kolorowych słodkości też nie brakuje. Nie wiem, co powiedzieć...

Przez ponad miesiąc pobytu na wyspach myślałem, że jada się tu tylko laplap w niezliczonych odmianach, a teraz mam przed sobą wybór bogaty jak w restauracji. Za wiatą na zapleczu jest kuchnia pod drzewem. Przy kotłach dyżurują kucharki. Nie do pomyślenia jest, by mogło zabraknąć jedzenia dla weselników. Nad ogniskami stoją kotły, z których wydobywają się kłęby pary. Na całą okolicę roznoszą się zapachy gotowanych i pieczonych na ogniu mięs. Nie wiem, na ile dni przewidziano wesele, ale sądzę, że dzisiaj się nie skończy. Dyndających w pobliżu na gałęzi trzech półtuszy wołowych chyba nie zawieszono do ozdoby. Jak wesele, to są i trunki. Nie wiem jak z tradycyjnym – męską odurzającą kawą – ale co niektórzy mężczyźni są już lekko podchmieleni popularnym na wyspach piwem Tusker.

Andurson wziął dwa puste talerze, jeden włożył mi do rąk i tak zaczęliśmy powoli napełniać je miejscowymi frykasami, po czym te wszystkie specjały polaliśmy obficie smakowitymi sosami. Nie było mi łatwo zdecydować, co wybrać, więc dyskretnie patrzyłem, co nabierają goście, i tak po trochu uzbierałem pełny talerz. Dla gości nie przewidziano jakichkolwiek siedzeń. Każdy ze swoim pełnym talerzem kierował się na boczek i tam, siedząc na trawie, wcinał łyżką albo palcami, jak mu było wygodniej. Nie wiem, czy dla gości na wieczór przewidziano jakąś muzykę lub tańce. Nie mogłem się o tym przekonać, gdyż nasza grupa wkrótce opuściła wesele.

Późnym popołudniem naszymi samochodami ruszyliśmy w drogę powrotną do Mangaliliu, by jeszcze przed zmrokiem dostać się do wioski. Trudno przewidzieć tu pogodę. Miejscowi z przezorności zawsze zabierają w podróż płachtę folii, choć na odkrytej pacy na nic się to zda, gdy trafią na wielką ulewę. W połowie drogi i nas to spotkało. Mnie z szacunku i gościnności upchnięto do kabiny jako

czwartego. I tak, w strugach siekącego o szybę deszczu, suchy, choć wymiętoszony, dojechałem do celu. Biedakom na pace niewiele pomogła trzymana nad głowami folia i mieli niezłą kąpiel. Tutejsi ludzie takimi przygodami się nie przejmują. Taki deszcz jest tylko kolejnym powodem śmiechów i żartów, naśmiewania się jeden z drugiego.

Dzisiaj niedziela, ostatni dzień mojego pobytu w Mangaliliu i na Vanuatu. Jutro przed południem mam samolot do Honiary na Wyspach Salomona. Pogoda jest kiepska i nic nie zapowiada poprawy. Trzeba wiedzieć, że wyspy nie należą do najbardziej słonecznych.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat na Pacyfiku i nie tylko w pogodzie miesza anomalia niewinnie nazywana El Niño. Dni pochmurnych i deszczowych w ciągu roku często jest więcej niż słonecznych. Prąd morski, z hiszpańskiego nazwany El Niño, czyli Dzieciątko, ostatnimi czasy stale sprawia kłopoty klimatyczne, i to bardzo groźne. Najkrócej scharakteryzować to zjawisko można w ten sposób, że polega ono na utrzymywaniu się ponadprzeciętnie wysokiej temperatury na powierzchni wody w strefie równikowej Pacyfiku w rejonie na zachód od Peru. Skutki tego zjawiska odczuwa się jednak na całym globie. Zachodzi ono w okresie świąt Bożego Narodzenia, stąd nazwa El Niño. Zwykle ocieplenie wód występuje przez kilka tygodni lub nieco ponad miesiąc, jednak gdy El Niño trwa dłużej, dochodzi do znaczniejszego ocieplenia wód oceanów. Prądy morskie przemieszczają masy ciepłej wody nawet tam, gdzie jej w ogóle być nie powinno. Efekty przyrodnicze i ekonomicznego tego nieprzewidywalnego zjawiska mogą być katastrofalne.

Podsumowując pobyt na Vanuatu, muszę stwierdzić, że nie było zbyt wielu dni bez deszczu, ale zawsze parę godzin słońca udało mi się złapać. Mam nadzieję, że gdy wkrótce znajdę się tysiąc czterysta kilometrów na północ, pogoda się poprawi.

Przed południem udaliśmy się wszyscy do kościoła. U prezbiterian nie ma, jak u nas, liturgii eucharystycznej. Spotkanie religijne wiernych polega na czytaniu wersetów z Biblii, długich kazaniach i wspólnym głośnym śpiewaniu pieśni. Wysiedziałem ledwo godzinę, nic nie pojmując z nabożeństwa, i wyszedłem na pobliski brzeg morza ostatni raz popatrzeć na zachmurzone dzisiaj wybrzeże.

Jak zapowiedział wcześniej Andurson, pod wieczór ma się odbyć obiecana projekcja filmu survivalowego, w którym zaangażowani byli mieszkańcy Mangaliliu. U nas pokazać film to prosta sprawa, tutaj trzeba zorganizować prąd z agregatu i gdzieś pożyczyć odtwarzacz DVD. Mój gospodarz jest trochę majątniejszy, więc sprawa jest prostsza, bo ma swój telewizor. Z ciekawością popatrzę na fragmenty tego filmu, bo całości nie dam rady obejrzeć, to aż czternaście odcinków! Produkcja dotyczy powstania w plenerach w okolicy wioski Mangaliliu popularnego serialu survivalowego. Kilka lat temu amerykańska stacja telewizyjna CBS nakręciła tu w ciągu czterdziestu dni kilkanaście odcinków *Survivor: Vanuatu*. W kręceniu filmów uczestniczyła większość mieszkańców wioski. W wielu sekwencjach byli nieodzowni jako statyści. Przy okazji tej filmowej przygody zarobili jakieś pieniądze, a do tego stali się sławni na całym Vanuatu, więc do dziś mile wspominają ten czas. Dzięki temu rozrywkowemu serialowi o mało znanych dotąd wysepkach usłyszał świat. Wszystkie seriale tego typu mają podobną treść. Na dziką wyspę wyrzucone są dwie konkurujące ze sobą grupy rozbitków. W dzikim i niebezpiecznym otoczeniu w wymyślnych konkurencjach walczą o przetrwanie. Nagrodą dla zwycięzcy jest bardzo wysoka kwota.

Na projekcję do chaty przyszło sporo ludzi. Zrobiło się ciasno, gdzie tylko się dało, rozsiedli się dorośli i dzieci, nawet na podłodze nie zostało już ani trochę wolnego miejsca. Niecodziennie można oglądać siebie na filmie. Gdy zaczęła się projekcja, zrobiło się głośno jak w ulu. Komentarzom i śmiechom nie było końca, gdy ktoś siebie lub kogoś rozpoznawał na ekranie.

Wytrzymałem godzinę i poszedłem wcześniej spać, bo jutro rano wyruszam z wioski do Port Vila. Przed zaśnięciem myślałem trochę o filmie. Każdy ma prawo ocenić zachowanie się ludzi w wykreowanej sytuacji, jak chce. Moje zdanie jest takie, że to bezsensownie głupi i komercyjny show. To niezdrowy ekshibicjonizm, który ujawnia prawdziwe oblicze człowieka w walce o pieniądze. Ale telewizji chodziło w końcu o zarobienie pieniędzy i utrzymanie w napięciu widzów od pierwszego do ostatniego odcinka. Trzeba jej pogratulować, to jej się udało

[1] L.A. Bougainville, *Podróż Bougainville'a dookoła świata*, Warszawa 1962, s. 149.

[2] Tamże, s. 150.

[3] Tamże, s. 151.

[4] Tamże, s. 153.

[5] Tamże, s. 156.

[6] J. Wolniewicz, *Vanuatu. Czarny archipelag*, Warszawa 1983, s. 114.

[7] Tamże, s. 116.

# CZEŚĆ III



# WYSPY SALOMONA

## Lot z Port Vila do Honiary

Około siódmej rano wyszedłem na drogę, aby złapać jakiś samochód w kierunku Port Vila. O tej porze to nie problem, bo dużo młodzieży każdego dnia jedzie do szkół w stolicy. Autobusy tu nie jeżdżą, ale pikapy owszem. Nie musiałem długo czekać. Po kilkunastu minutach już siedziałem na pace samochodu i ruszyliśmy pod górę. Przedtem pożegnałem się z sympatycznym gospodarzem, który mnie odprowadził na drogę. Dzięki jego gościnności mogłem spędzić ciekawie i przyjemnie ostatnie dni na Vanuatu.

Na drewnianych ławkach obok mnie siedzi kilkoro uczniów w szkolnych mundurkach. W wiosce biegają na bosaka w jakichś byle łaskach, a teraz wszyscy są ładnie ubrani i uczesani. Dziewczynki budzą podziw bardzo starannie uplecionymi warkoczykami. Zastanawiam się, ileż to czasu muszą poświęcić każdego ranka na tak wymyślnie splecenie włosów. Jak to strój zmienia dzieciaka, jak dodaje mu powagi, a brzdąc czuje się od razu ważniejszy. Na razie jest dość pogodnie, za trzy godziny będę mógł spojrzeć na wyspy z góry.

Po dwudziestu minutach wysiadam przy rondzie i kilkaset metrów dalej dochodzę do głównego budynku portu lotniczego Bauerfield.

Lubię takie małe lotniska, gdzie odprawia się i przyjmuje tylko kilka samolotów dziennie. Dzisiaj dla przykładu są tylko dwa loty. Jeden wkrótce do Honiary, to ten, którym lecę, i jeden po południu do Nadi, to ten sam samolot w drodze powrotnej na Fidżi. W tym niewielkim, ale jednak międzynarodowym, porcie lotniczym jest wszystko na miejscu. Nie trzeba jechać kolejką czy autobusem do odległego terminalu, jak na innych, większych lotniskach. Kiedy nie ma lotów, jest tu pusto, ludzie zjawiają się dopiero na odprawę.

Z Port Vila jest tylko kilka połączeń międzynarodowych. Można stąd polecieć tylko do Australii, na Fidżi, na Nową Kaledonię i na Wyspy Salomona. Mój samolot już czeka, zaraz po odprawie wchodzę na pokład fidżyjskich Air Pacific. To solidne linie lotnicze przemierzające cały Pacyfik między Australią a Azją i Ameryką Północną. Jak dotychczas, to mój trzeci lot od Hongkongu.

Już kilka minut po dziesiątej samolot robi krąg nad rozłożoną wokół zatoki stolicą i zaraz kieruje się na północny zachód na Wyspy Salomona. Do Honiary na wyspie Guadalcanal jest 1 300 kilometrów. Jeszcze kilka chwil można podziwiać z góry stolicę, nim samolot znajdzie się w gęstych mgłach zalegających nad wyspą Efate.

Maszyna ostro wznosi się przez kłęby gęstych i ciężkich chmur, by po chwili wpaść w rażący blask słońca. Siedzę z dobrej strony, nie muszę opuszczać plastikowej zasłonki w okienku. Kto leciał ponad chmurami, wie, jak ostre jest tam słońce. Białe pierzaste baranki pod nami uspokajają, czujemy się bezpiecznie. To złudnie poczucie wzmaga oslepiający błękit nieba, na horyzoncie rozjaśniający się prawie do bieli. Nie zobaczymy tu żadnych załamania przestrzeni czy kontrastów.

Nasz lot jest jakiś nierówny i lekko kołyszący. Po pewnym czasie ławica chmur przeredza się. Dopiero jakieś dziesięć kilometrów niżej, gdzie lśni srebrna łuska fal na granatowej toni i cienie chmur kładą się na wodzie, jest Pacyfik. Stąd nie czujemy grozy pieniających się na rafach fal z białymi grzywaczami przybojów. Nie dociera tu głośny, pełny grozy szum spiętrzonej przez świszczący wiatr wody. Większość pasażerów w czasie tego niezbyt długiego lotu spokojnie kima w wygodnych lotniczych fotelach. Spoglądam przez okienko, ale wypatrywanie statków na tym obszarze Morza Koralowego jest bezcelowe. To mało popularny akwen żeglugowy, nawet jachty zapuszczają się tu wyjątkowo rzadko. Nikt nie policzy, ile istnień ludzkich pochłonęły tutejsze zdradliwe rafy, oczywiście nie bez udziału szalejących tu często burz i szkwałów. Istne piekło i zamęt na wodzie, lądzie i w powietrzu były tu w czasie drugiej wojny światowej, ale o tym później. Dzisiaj ten obszar błyskawicznie i bezpiecznie pokonują „srebrzyste ptaki”.

Jak już wspominałam, marzenia o Wyspach Salomona snulem, jeszcze będąc w podstawówce. Już sama nazwa budziła ciekawość i intrygowała. Moje pragnienie, by się tu znaleźć, sycone było przez kolorowe mapy i książki opisujące odkrycia geograficzne na Pacyfiku. Wreszcie będę mógł zobaczyć, jak tam jest, czy rzeczywiście tak, jak piszą i jak sobie wyobrażałem. Nie mogłbym przespać tego krótkiego, dwugodzinnego lotu. Stąd tego nie widać, ale z mapki na monitorze wynika, że przelatujemy obok małego archipelagu Santa Cruz. Te wysepki związane są z tragicznymi losami wypraw dwóch żeglarzy odkrywców Alvara de Mendañy i La Perouse'a. Tysiące mil morskich stąd wśród podbitych Inków w Peru krążyły dziwne informacje o wymyślnym, nieznanym lądzie. Ta tajemnicza ziemia miała jakoby w swoim wnętrzu kryć legendarne skarby. Na poszukiwanie ich wyruszył w 1568 roku wspomniany już przeze mnie wielokrotnie hiszpański żeglarz Alvaro de Mendaña. Skarbu nie znalazł i wyspy poszły w zapomnienie na całe 300 lat. Były to czasy po splądrowaniu Peru, kiedy wyobrażenia chciwych Hiszpanów nie znała granic. Wtedy zakładano, że domniemane wielkie skarby mogły być porównane z bogactwem biblijnego króla Salomona.

Lot powoli dobiega końca. Z góry świetnie widać największe wyspy archipelagu. Ocean chmur tak się rozproszył, że zostały po nim tylko białe kłębiaste baranki, które teraz wiatr pędzi nad granatową tonią w nieznaną. Po miesiącu pobytu na Vanuatu mam dość marudnych i kapryśnych chmur błakających się po niebie.

Samolot leci nad południowym wybrzeżem dobrze widocznej dużej wyspy San Cristobal i kieruje się na stołeczną Guadalcanal. Podobnie dobrze widać stąd Malaite z jej postrzępionymi brzegami. Aż po horyzont widać wiele małych wyseppek otoczonych wiankami raf koralowych, które wyraźnie odznaczają się na granatowej wodzie. Jest tak pięknie, że gdybym przespał ten widok, nie darowałbym sobie tego.

Wyspy Salomona to rozległy archipelag, bo dystans z południowo-wschodniego do północno-zachodniego krańca wynosi 1 500 kilometrów. Trudno zliczyć wszystkie wysepki, podobno jest ich aż 992. W 1978 roku Wyspy Salomona powiększyły listę niepodległych państw. Wyspiarski kraj należy do niewielkich, jego powierzchnia wynosi 28 450 kilometrów kwadratowych, co prawie równa się powierzchni Belgii. Archipelag zamieszkuje ponad pół miliona ludzi.

Czas w samolocie mija ekspresowo, kiedy można z zaciekawieniem obserwować świat koralowych wyseppek i okalające je błękitne laguny. Dobrze jest wiedzieć trochę o historii wydarzeń, jakie działy się na tych mało znanych skrawkach lądu na obrzeżach Morza Koralowego. Po półtorej godzinie samolot powoli obniża lot nad największą wyspą – Guadalcanal. Nie do pomyślenia jest dla mnie tak sobie tylko przelecieć na przełaj nad tą wyspą i nie wspomnieć wydarzeń z drugiej wojny światowej. To właśnie na Guadalcanal od 7 sierpnia 1942 roku do 8 lutego 1943 roku trwały ciężkie walki pomiędzy amerykańską piechotą morską a siłami japońskimi.

Lecimy coraz niżej nad górzystą, w większości porośniętą dżunglą wyspą. To prawdziwe góry, bo wysokość nieczynnego wulkanu Popomanaseu wynosi 2332 m n.p.m. Wyprawa na jego wierzchołek to nie żarty, osobiście nie chciałbym się przedzierać przez tropikalną dżunglę na jego szczyt.

Miły głos stewardesy przerywa moją zadumę:

– Proszę państwa, dolatujemy do Honiary, proszę o zapięcie pasów, temperatura...

Potem ostre schodzenie w dół, nawet nie było czasu dokładniej przypatrzeć się stolicy z góry. Maszyna fidżyjskich linii lotniczych majestatycznie robi ostatni zakręt i lekko osiada na betonowym pasie lotniska Henderson w Honiarze.

Nie spodziewam się tu czegoś nowego czy nieznanego, dlatego jestem spokojny i liczę, że jakoś to będzie. Podróżując samotnie, już nie raz przekonałem się, że nie warto szczegółowo planować dalej niż na kilka dni do przodu. Spokojne lądowanie, kolejka do wyjścia, otwarcie drzwiczek, uginające się przy zejściu dostawione schodki i oto jestem na kolejnym archipelagu. Tak na pierwszy rzut oka wydaje się podobny do poprzedniego, bo czuję takie samo wilgotne powietrze, takie same zapachy i temperaturę. Ludzie też jacyś podobni... A jeśli wszystko przy bliższym poznaniu okaże się inne? Też dobrze, już wkrótce będę to wiedział...

W okienku immigration office otrzymałem pieczętkę wizową na trzydzieści dni. To zbyt mało czasu, by zwiedzić ten egzotyczny archipelag. Jak najprędzej muszę zrobić rozeznanie w transporcie wodnym pomiędzy wyspami. Tak samo jak na Vanuatu i wcześniej na Fidzi, nie zamierzam szastać

pieniężni na drogie samoloty.

Wyszedłem na parking przed budynkiem portu lotniczego, by rozejrzeć się za jakimś transportem. Do centrum Honiary jest około dziesięć kilometrów. W kantorze wymieniłem pieniądze, za jednego dolara amerykańskiego wypłacają 7,135 dolarów Wysp Salomona. Chętnych do podwiezienia taksówką nie brakuje, jak wszędzie przy lotniskach. Zanim wyda się pieniądze na taksówkę, zawsze warto wcześniej popytać o transport publiczny. Rzadko kursuje, ale jest o wiele tańszy od taksówek. Niewiedza zawsze sporo kosztuje. Miejscowi kierowcy proponowali kurs do miasta za 80-100 tutejszych dolarów.

Z natury jestem niecierpliwy, ale tym razem postanowiłem poświęcić godzinkę mojego cennego czasu, czekając na kurs busikiem. Opłaciło się, bo wydałem tylko trzy miejscowe dolary! Przeliczam w myślach. Pewnie trzynaście dolarów amerykańskich nie jest zbyt wygórowaną stawką za taxi na międzynarodowym porcie lotniczym, ale jeśli nie cierpi się na nadmiar waluty, to lepiej wydać pół dolara niż trzynaście!

Poszedłem na przystanek przy drodze do Honiary, wyjąłem przewodnik i wyczytałem ciekawą informację o lotnisku. Pas startowy w błyskawicznym tempie wybudowali Japończycy w 1942 roku, plantując ogromne ilości ziemi. Już w ciągu pół roku budowa utwardzonego pasa została ukończona. W tym czasie Wyspy Salomona były zajęte przez duże siły japońskie. Lotnisko na Guadalcanal było im niezbędne, by mogli kontynuować agresję na Papuę-Nową Gwineę i dalej. Ale Japończycy mieli wyjątkowego pecha, wręcz nieprawdopodobnego! Oficjalnie prace zakończono 6 sierpnia 1942 roku. Na tę okoliczność wszystkim pracownikom i budowląnciom uroczyście wydano dodatkową rację sake, gdyż budowę ukończono przed terminem. Nikt się nie spodziewał, że już nazajutrz, w dniu 7 sierpnia 1942 roku, wylądują w pobliżu potężne siły alianckie, składające się głównie z United States Marine. Głównym celem walk było uniemożliwienie wykorzystania lotniska przez Japończyków. Atak przerwał dalszą japońską ekspansję i odciął linię zaopatrzenia dla ich wojsk. Nie wystartował ani jeden japoński samolot! Rozpoczęła się krwawa, kilkumiesięczna bitwa o Guadalcanal. Zablockowano lotnisko, wokół którego toczyły się zaciekle boje. Wkrótce Amerykanie nazwali rejon walk Henderson Field na cześć majora Hendersona, dowódcy eskadry lotniczej, który jako pierwszy zginął w czasie bitwy o Midway. Po zmodernizowaniu w 1969 roku to wojskowe lotnisko stało się międzynarodowym portem lotniczym.

## Rejs na wyspę Santa Isabel

Wyspy Salomona to archipelag kryjący podobno wiele tajemnic. Musi być coś na rzeczy z tą tajemniczością, gdyż sporo zapaleńców próbuje rozwiązać wiele niewyjaśnionych dotąd zjawisk, z którymi można się tu spotkać. Takie sprawy z pogranicza fantazji na szczęście mało mnie interesują. Chciałbym przede wszystkim zobaczyć te piękne wyspy, pomieszkać wśród uroczych krajobrazów i choć trochę poznać życie na odległych wysepkach. Archipelag należy do rzadko odwiedzanych przez turystów, chociaż do Australii jest dość blisko, bo leży ona tuż za Wielką Rafą Koralową. Lot z Brisbane do Honiary zajmuje dwie godziny.

Przebywam w gorącej strefie klimatu równikowego. Dzisiaj jest piękna pogoda. Okres monsunowych ulewnych deszczów i najwyższych temperatur trwa od listopada do marca i skończył się trzy miesiące temu. Tak przynajmniej mówi teoria, gdyż pacyficzny klimat lubi płać figle. Jest gorszy problem – archipelag bywa ostatnio niepokojony groźnymi trzęsieniami ziemi, które zawsze generują niebezpieczne tsunami. Poza porą monsunową zdarzają się też nieoczekiwane potężne ulewy, powodujące katastrofalne powodzie. Na taką niespodziankę muszę być przygotowany w każdej chwili.

Przed przyjazdem dowiedziałem się o niezbyt dobrych relacjach pomiędzy turystami a miejscowymi. Zaufanie wobec białych nie jest tu takie samo jak na Vanuatu. Po tym, jak na przełomie XIX i XX wieku wielu wyspiarzy wywieziono do przymusowej pracy na plantacjach w Australii i innych krajach, został niezaleczony uraz. Potem jeszcze toczyła się tutaj wojna japońsko-amerykańska. Nikt nie liczył, ilu tubylców ucierpiało podczas konfliktu. Nie ma żadnych statystyk, ale uraz do obcych pozostał. Wydaje się, że tutejszy naród jest bardziej pamiętliwy od innych wyspiarskich nacji. Pamięć o doznanych dawniej krzywdach jest tu jeszcze żywa. Wyspy nie są wolne od niepokojów społecznych. Wszystkie te

czynnikami mogą mieć wpływ na to, że turyści obawiają się podróży na Wyspy Salomona.

Małym busikiem jadę do stolicy za zaledwie pół dolara. Honiara to portowe miasto, jedyne okno na świat mało znanego archipelagu. Miasto o populacji 70 tysięcy ludzi jest dość rozległe. Od lotniska do miasta ciągnie się przy jedynej głównej drodze luźna zabudowa, najczęściej są to niskie, proste i małe domki. Nie mogę powiedzieć, że okolica tonie w zieleni. Im bliżej centrum, tym więcej skrzyżowań, sklepów, restauracyjek, kiosków. W zabudowie przeważają jednopiętrowe domy z balkonami na piętrze.

Przed samym śródmieściem przejeżdżamy mostem nad mętną rzeką. Na jej brzegu stoi jakaś nędzna zabudowa, aż dziwne, że tak blisko centrum są takie slamsy. W jednym miejscu mijamy parę ciekawych, oryginalnych z zewnątrz kościołów i jesteśmy prawie u celu. Nie ma tu typowego dla większości stolic city. Całe śródmieście to kilka okazałych kilkupiętrowych budynków biurowych, banków i sklepów stojących jeden przy drugim, najczęściej chińskich. Za główną ulicą z szeregiem sklepów i bazarem znajduje się nabrzeże pirsowe. Od razu widać, że centrum handlowe Honiary jest większe i nowocześniejsze od tego w Port Vila. Pełno tu knajpek, sklepów, księgarni i agresywnych reklam. Na głównej ulicy panuje spory ruch samochodowy, a chodnikami wzdłuż sklepowych wystaw przewala się barwny tłum.

Jeszcze zanim dojechałem do miasta, dostrzegłem z daleka przy nabrzeżu zacumowany wielki tankowiec. Jest wyjątkowo duży, wysokością góruje nad pobliskimi budynkami. Dowiedziałem się, że ten morski kolos pływający pod singapurską flagą raz w miesiącu dostarcza na Wyspy indonezyjską ropę i benzynę. Cumuje tu przez dwa lub trzy dni. W tym czasie paliwo jest przepompowywane do kilku wielkich okrągłych zbiorników, które swym wyglądem strasznie oszpecają centrum stolicy.

Pierwsze kroki skierowałem do pobliskiego portu. Nie ma tu nic, co można by określić dzielnicą portową. Cała przystań to parę zwykłych betonowych pirsów z pachołkami do cumowania. Pachnie rybą i smarami. W niezbyt mętnej jak na port wodzie między kamieniami pływają kolorowe, pasiaste rybki. Przy nabrzeżu cumuje kilka niedużych stateczków oraz wiele różnych kutrów, łodzi i motorówek. Jak we wszystkich małych portach świata na brzegu w stosach leżą złożone worki, skrzynie, beczki i jakieś materiały budowlane. Przy burtach mających wkrótce odpłynąć statków stoi kilka furgonów, z których na pokład sprawnie przerzuca się towary. Ramiona ludzkie zastępują tu dźwigi portowe. Z rąk do rąk wszystko wędruje do luków ładowni, a co się nie zmieści, zostanie złożone na pokładzie. Nie widziałem jeszcze nigdy, by czegoś nie zabrano. Cały fracht w jakiś zadziwiający sposób zawsze mieści się na tych niewielkich łajbach.

W pobliżu jednego z niewielkich statków kręci się spory tłumek pasażerów ze swoimi torbami i pakami. Sądzę, że ta stara krypa pewnie dziś gdzieś wypłynie, więc się nią zainteresowałem. Muszę się dowiedzieć, gdzie i kiedy płynie ten statek oraz jak się na niego dostać. Nie mam nic do jedzenia, dlatego ważne jest, by zaopatrzyć się odpowiednio na cały rejs.

W rozrzuconym na setki mil archipelagu prawie tysiąca mniejszych i większych wysepek tylko niewiele ponad 100 jest zamieszkałych. Ludzie muszą mieć możliwość jakoś się na nie dostać, chociaż raz w miesiącu. Tylko kilkanaście wysp ma połączenie lotnicze z Honiarą. Między ważniejszymi wyspami kursują małe pasażerskie samoloty, na inne można dotrzeć tylko statkiem lub łodzią. To jedyny sposób, w który zaopatruje się wyspiarzy w niezbędne do życia towary.

Sądząc z nazwy, Wyspy Salomona powinny być zasobne i bogate. I rzeczywiście tak jest. Przeprowadzone w ostatnich latach badania geologiczne odkryły, że pod ziemią wielu wysp występują bardzo rzadkie i cenne minerały, ale wydobycie ich to odległa przyszłość. Państwo dalej bieduje, dlatego jeszcze po wielkim obszarze Morza Salomona między wyspami ciągle muszą pływać stare i wysłużone japońskie, chińskie czy koreańskie małe statki i łajby. A że takiego pochodzenia są, poznać po ich zamalowanych krzaczkowych literach pozostałych po poprzednich armatorach. Wszystkie wydają się łódeczkami w porównaniu z zacumowanym w pobliżu tankowcem.

Rozglądam się za jakimiś biurami administracji portu, gdzie mógłbym spytać o najbliższy rejs dokądkolwiek, aby jak najdalej od stolicy. Wzdłuż nabrzeża stoi tu niekończący się szereg budynków. Bardziej jednak wyglądają na jakieś hurtownie czy magazyny niż biura.

Jest już południe, ostre słońce na bezchmurnym niebie przypieka jakby ostrzej niż na Vanuatu. Od jakiejś osoby dowiedziałem się, że oblegany teraz przez ludzi stateczek Princessa ma dzisiaj popłynąć

w okrężny, kilkudniowy rejs po północnych wyspach archipelagu. Łatwo powiedzieć – północne wyspy – ale jakie? Muszę się szybko zastanowić i podjąć męską decyzję. Albo dzisiaj popłynę, albo będę musiał poszukać jakiegoś hoteliku i tam czekać kilka dni na inny stateczek. Już się dowiedziałem, że nie dotrę do leżących na południu wysp Santa Cruz, gdyż płynie tam coś tylko dwa razy w miesiącu. Szkoda, bo bardzo mi na tym zależało. Gdybym miał czekać, nie zdążyłbym na mój samolot, który mam za trzydzieści dni do Port Moresby na Papui-Nowej Gwinei.

Moje rozmyślenia nagle przerywa mężczyzna, oryginał, chyba w moim wieku. Gdyby ktoś, wcześniej nieobyty z różnymi rasami ludzkimi, pierwszy raz zetknął się z takim indywiduum, przeraziłby się i uciekł.

Swoim wyglądem człowiek ten wywołuje we mnie konsternację, chociaż miesiąc przebywałem wśród czarnych wyspiarzy na Malekuli. Wprowadza trochę zamieszania w moje plany, gdyż niespodziewanie przedstawia mi atrakcyjną ofertę. Tłumaczę, że mam ograniczony czas i wskazuję na cumującą Princessę, którą mam zamiar popłynąć. Statek przygotowuje się właśnie do wyjścia w morze. Czas ucieka, a muszę zrobić niezbędne zakupy na kilkunastodniową podróż. Przy tym jeszcze nawet nie znam trasy prawie gotowej do wypłynięcia łodzi, a tu on robi mi zamieszanie.

Nieznajomy przedstawił się jako Mike i prosi o chwilę rozmowy gdzieś w ustronnym miejscu. Zaraz też uspokaja mnie informacją, że ta łajba ma wypłynąć dopiero przed zmierzchem, czyli mam jeszcze całe cztery godziny czasu do namysłu. Z plastikowej siatki pośpiesznie wyciąga gruby skoroszyt i jakieś dokumenty, by mnie uspokoić. Mimo że od początku swoim wyglądem budzi we mnie niepokój, decyduję się z nim porozmawiać. Jego spocona skóra jest czarna jak smoła. Wcześniej nawet w Ugandzie nie widziałem tak intensywnie czarnych twarzy. Wyspiarze z Vanuatu wyglądaliby przy nim jak opaleni na słońcu. Kolor skóry to jeszcze nic, ale jego wymyślna fryzura trochę mnie szokuje i zastanawia. Jest doprawdy niespotykana! Dziwnie wygląda jego błyszcząca w słońcu czarna głowa – cała wygolona, tylko z boku zwisa długi warkoczyk. Pełen grozy wyraz twarzy też raczej nie budzi zaufania. Nie wiem, co robić, jednak jestem ciekawy, czego ten dziwny gość od mnie oczekuje.

Z przystani idziemy w kierunku centrum. Przy głównej ulicy ciągnie się trochę chaotyczny szereg różnych sklepików, kiosków, knajpek i straganów. Zanim przeszliśmy ten kawałek drogi i usiedliśmy przy stoliku pobliskiej ulicznej knajpki, już poznałem jego intencję. Mike zaproponował mi przyjemny wypoczynek na bardzo dobrych warunkach w swoim nowo powstałym domku turystycznym na Marovo Lagoon. Problem w tym, że to daleko, bo aż w prowincji New Georgia Islands. Trochę zdenerwowany, wyjmuję z teczki prospekty, zdjęcia i dokumenty, które mają potwierdzić posiadanie małego resortu w osadzie Sombiro na wysepce Nggatokae.

Zdjęcia przedstawiają mały drewniany domek na wysokich palach, w ładnym otoczeniu pobliskiej laguny. W środku bardzo zachęcające komfortowe wyposażenie, z jakim od kilku miesięcy nie miałem do czynienia. Trudna sprawa, człowiek dość przekonująco opowiada i jeśli przymknąć oko na jego wygląd, można mu zaufać. Wiedziałem wcześniej, że Marovo Lagoon to jedno z najbardziej atrakcyjnych miejsc na Wyspach Salomona. Tylko w mglistych planach myślałem o dotarciu tam. A teraz podano mi możliwość pobytu jak na tacy, do tego jeszcze tak niezwykle tanio. Nic, tylko jechać.

Ale spokojnie, w podróżach zawsze należy zachować jakiś rozsądek i nie we wszystko od razu wierzyć czy ufać nieznanemu. Reklamy, prospekty i dokumenty nie zawsze muszą być prawdziwe, każdy może przecież takie zdobyć. Nie odrzucam propozycji, bo nie warto stracić takiej atrakcji, jeśli okazała się prawdziwa. Potwierdzić wiarygodność tego człowieka mógłbym w pobliskim biurze turystycznym, ale tam nie idziemy.

Zrzędzeniem losu mogę mój miesięczny pobyt podzielić na dwie części: dwa tygodnie przemierzania wyspy Santa Isabel, dokąd odchodzi za kilka godzin Princessa, a potem, jak proponuje Mike, następne dwa tygodnie spędzić u niego na Marovo Lagoon na wyspie Nggatokae. Nie wiem, jak to wszystko wyjdzie, ale taka propozycja jest nie do odrzucenia. Warunek jest taki, że dokładnie za dwa tygodnie w południe ma tu na mnie czekać. Obiecałem, że jeśli się spotkamy, pojedę do niego na dziesięć dni. Ustaliliśmy też warunki – za dzień pobytu bez jedzenia otrzyma dziesięć dolarów amerykańskich. To niewiele, ale Mike zaledwie od kilku miesięcy prowadzi ten turystyczny interesik i dopiero powoli próbuje go rozkręcić, czyli to taka mała promocja specjalnie dla mnie. Jego biznes nie jest jeszcze

rozreklamowany, więc musi przyjeżdżać do stolicy i wylapywać białych klientów wprost na przystani czy na ulicy. Kiedy powiedział, że w tym czasie mieszka u siostry, nabrałem do niego zaufania i przestałem zwracać uwagę na jego fizjonomię. W dodatku nie prosił o żadną zaliczkę, dlatego mu zaufałem. A co z tego wszystkiego wyniknie, przekonam się za dwa tygodnie.

Znając życie, podchodzę do tego z dystansem, ale wcale nie będę zdziwiony, jeśli Mike dotrzyma obietnicy. Przy okazji spotkania postanowiłem poprosić go o pomoc w załatwieniu kilku spraw. Pierwsza to kupienie mapy wyspy Santa Isabel, bo ta umieszczona w przewodniku kompletnie nie nadaje się do orientacji w terenie, gdyż jest w zbyt małej skali. Szukamy jakiegoś biura z mapami w niepozornej bocznej uliczce, zajmuje to trochę czasu. W końcu trafiamy, jednak na darmo, bo biuro było zamknięte. Potem robię zakupy w kilku zapchanych towarami po sufit chińskich sklepikach.

W centrum Honiary nie widziałem supermarketów, niemal cały handel jest w rękach Chińczyków. Rozpanoszyli się tu na dobre. Sklep nie wygląda tak jak u nas, bo jest to raczej ciemny magazyn, pogrodzony siatkami i dobrze okratowany przed złodziejami. Zaraz za wejściem jest lada, za którą siedzi znudzony Chińczyk czy Chinka. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że zawsze siedzą bardzo wysoko na stołku jak na tronie, mając na oku cały sklep. Ich główne zajęcie to liczenie pieniędzy. Zatrudnieni w tych sklepach Melanezyjczycy są od noszenia towarów, obsługiwanie klientów i wykonywania wszelkich poleceń pryncypałów. Chińczycy wydają im krótkie rozkazy w łamanym solomon pidgin albo nawet po chińsku, bo nie znają angielskiego. Są przy tym bardzo niemili, nie mogą oprzeć się wrażeniu, że chińscy właściciele patrzą na biednych krajowców z pogardą. Poza sklepami chińskie są stacje benzynowe, warsztaty samochodowe, hurtownie i restauracje. Dla pracowników właściciele są okrutni, a przed zasobną klientelą z grubym portfelem płaszczą się usłużnie. W ich składach można dostać wszystko, co niezbędne w odległym buszu.

Kupiłem kilka dobrych chińskich konserw mięsnych, które już wcześniej znałem, do tego sporo pakiecików kawy instant 3 w 1. Dostałem też suchary produkcji papuańskiej, tak samo dobre jak nasze dawne wojskowe. Dobrałem jeszcze jakąś margarynę w pudełku i inne potrzebne drobiazgi, na początek powinno wystarczyć. W piekarni kupiłem dwa chleby, może nie są takie jak nasze, ale też dobre, bo nie tostowe. W drodze na przystań dokupiłem zapasowe baterie do czołówki oraz parę rzeczy, które mi się gdzieś zagubiły. Mike nie ma nic innego do roboty, dlatego chętnie mi pomaga i doradza, udzielając ważnych wskazówek we wszystkich sprawach, włącznie z zagrożeniami. Dowiaduję się, że mam uważać na ludzi z Malaity. Dobrze, ale jak ich poznać? W Honiarze jest ich wielu, a na Malaitę nie płynę, więc jestem spokojny. Samozwąnczy przewodnik okazuje się bardzo miłym i uczynnym informatorem. Dobrze orientuje się, kiedy i dokąd coś wypływa z Honiary.

Łączność między Wyspami Salomona zapewniają małe statki, które mają stałe trasy na poszczególne wyspy, w określone dni tygodnia. Chociaż, jak to bywa na wodzie, wszystko zależy od warunków pogodowych. Tylko kilka tras na największe wyspy zapewniają pasażerskie promy, takie jak MV Pelican. Na większość wysp można się dostać jedynie statkami cargo, np. Kosko, Princessą i innymi. Chociaż nie są przystosowane do transportu ludzi, stanowią dla nich jedyny dostępny i tani transport. Wyspy Salomona mają jedynie około dziesięciu typowych przystani. Do wielu wiosek z zakotwiczonego w pobliżu brzegu statku dopływa się tylko łodzią. Najdalsze wyspy leżące na obrzeżach archipelagu mają nieregularne połączenia, często tylko raz w miesiącu lub rzadziej. Łączność z cywilizacją utrzymują poprzez małe copra boats.

Słońce mocno przygrzewa, mimo że już powoli zbliża się do linii horyzontu. Za dwie godziny zniknie za wysokimi wzgórzami Guadalcanal. Potem na krótko jeszcze zaczerwieni ostatnimi promieniami nieboskłon i robi się ciemno. Dzięki uczynnemu Mike'owi nie muszę już sam pytać o wszystko i latać po próżnicy w upale w poszukiwaniu kasy. Idziemy kupić bilet. Na statek towarowy załatwia się go wprost u armatora. Przekraczamy próg jednej z wielu podobnych do stodoły hurtowni. Przeciskamy się między piętrzącymi się pod ścianami towarami a samochodem, przy którym uwija się kilku spoconych ciemnoskórych pracowników.

W schowanym gdzieś na zapleczu małym kantorku, zawalonym teczkami pełnymi dokumentów i różnymi szpargałami, mogę załatwić bilet i dowiedzieć się czegoś więcej o dzisiejszym rejsie Princessy. Muszę kupić bilet, tylko nie wiem dokąd. Nie mam dokładnej mapy wyspy Santa Isabel,

a nazwy wymienianych przez magazyniera wiosek, gdzie mogę wysiąść na trasie, nic mi nie mówią.

Z dużych wysp Santa Isabel jest najrzadziej odwiedzana przez turystów. Powodów jest kilka, między innymi brak dróg i jakiegokolwiek bazy turystycznej. Wnętrze wyspy jest prawie nie do przebycia. Bardzo zła jest łączność telefoniczna, tylko w kilku miejscach dociera zasięg mobilny. Zaledwie jeden trakt leśny przecina w poprzek górzystą, porośniętą dżunglą wyspę. Między rozmieszczonymi małymi wioskami i osadami wzdłuż brzegu mieszkańcy przemieszczają się na łodziach motorowych lub dłubankami. Informacje w przewodniku są bardzo skąpe i tylko tyle z niego wyczytałem. Przed kupieniem biletu staram się dowiedzieć jak, skąd i dokąd da się przejść brzegiem. Na szczęście Princessa raz w tygodniu zawija do wiosek wzdłuż brzegu i można się wyrwać z wyspy.

Z uzyskanych informacji wyłonił się sielski obraz Malekuli, gdzie łatwo wędrować plażą. Z kolei dzikie i nieprzystępne brzegi Santa Isabel mogą mi sprawić spory problem. Mike i ja próbujemy dowiedzieć się czegoś więcej od ludzi, którzy ponoć znają zachodni brzeg Santa Isabel. Większość potwierdza, że idąc brzegiem z wioski Kalikaka na południe, da się dotrzeć tylko do Susubony. Jednak na kilku odcinkach będzie potrzebna łódź lub pozostanie mi przedzieranie się przez górzysty busz i rzeczki. Na północ od Kalikaki są tylko dwie małe osady i zamieszkała wysepka Furona. Wybrzeże w wielu miejscach jest poszarpane skalnymi klifami pokrytymi buszem, więc nie mam co marzyć o wyprawie w ten niedostępny rejon.

Ostatecznie kupuję bilet do wioski Kalikaka. Chcę stamtąd podjąć próbę dojścia do Susubony. W linii prostej to tylko trzydzieści kilometrów. Brzeg na tym odcinku jest urozmaicony wieloma półwyspami i zatokami, więc trzeba będzie nadłożyć drogi, może nawet pięćdziesiąt kilometrów! Po drodze są tylko trzy wioski i jedna osada leśna. Mam dwa tygodnie na pokonanie trasy tym dzikim brzegiem. Straszą, że plaże przecina kilka krokodylowych rzek i chodzenie tamtędy może być niebezpieczne. Mieszkańcy opływają te miejsca łódkami.

Gdybym w moich podróżach wszystkiego się obawiał, nigdy nie zwiedziłbym tyle świata. Gdy na drodze napotkam jakiś problem, zawsze mówię sobie, że jakoś to będzie... Ważne są terminy, do Honiary muszę wrócić drugim rejssem powrotnym Princessy, by zdążyć spotkać się z Mikiem i popłynąć na Marovo Lagoon w zachodniej prowincji Wysp Salomona.

Gość zza biurka wypisał mi bilet do Kalikaki, zapłaciłem 240 miejscowych dolarów, w przeliczeniu jest to 30 dolarów USA. Jeśli dzisiaj wyjdziemy w morze planowo o siedemnastej, to w Kalikace powinniśmy być jutro w południe, ale kto to wie, co może nas spotkać.

Mike odprowadza mnie na pokład Princessy. Przy burcie ożywiony tłumek, ludzie upychają swoje toboły, worki, paczki i skrzynie na statek. Obok trwa załadunek cementu w workach, zgrzewek napojów, kartonów z makaronem i tym podobnych towarów, głównie spożywczych. Na statku tłok nie do opisania. Nie wiadomo, kto jest pasażerem, a kto odprowadzającym. Jestem pewien, że żegnających kręci się tu kilka razy więcej. Nikt nie sprawdza biletów. Do ostatniej chwili ktoś podjeżdża pod burtę i stale jeszcze coś jest przrzucane na pokład.

Od południa byłem tak zajęty różnymi sprawami, że nie zwracałem specjalnej uwagi na ludzi i otoczenie. Teraz mogę spokojnie z górnego pokładu obserwować kolorowy tłumek i ten cały rozgardiasz. Z zaciekawieniem wyławiam z barwnej ciżby co ciekawsze twarze i dumam, jak długo jeszcze ten egzotyczny świat przetrwa.

Tak jak ludność Fidżi i Vanuatu, mieszkańcy Wysp Salomona to też Melanezyjczycy. Może moje trzy miesiące przebywania wśród nich to mało, ale mogę z grubsza porównać wygląd wyspiarzy z Fidżi i Vanuatu z wyglądem tutejszych ludzi. Honiara to taki zlepek ludzi z całego archipelagu, do stolicy zawsze ciągną tłumy ze wszystkich stron. Istna mozaika ludzkich typów i kolorów skóry, prawdziwy tygiel i przekrój całej wyspiarskiej społeczności. Nie jest wcale tak jednolicie, jak się wcześniej spodziewałem.

Uroda miejscowych jest niesamowicie zróżnicowana. Przed moimi oczami przesuwa się zadziwiający tłum. Widzę ludzi o różnej karnacji skóry, od czarnej jak smoła do jasnej. Ich twarze, nosy, oczy i usta są zupełnie nieszablonowe, każde inne. Widzę pięknych ludzi o szlachetnych rysach twarzy i ładnych ustach, a obok ich ziomków o mniej rzucającej się w oczy urodzie, czyli raczej szpetnych... Włosy to już osobny temat, ale zadziwią każdego. Chyba nigdzie w świecie poza Wyspami Salomona

nie spotkamy czarnych ludzi z włosami w kolorze złocistego blondu! Szczególnie przyglądam się dziecięcym główkom. To coś niezwykłego na skalę światową, kiedy ciemne lub czarne twarzyczki zdobią jasnozłociste kręcone czuprynki.

Z pospolitym tu betelem spotkałem się pierwszy raz w Indonezji, gdzie na wielu wyspach od Timoru do Papui-Nowej Gwinei jest on w powszechnym użyciu. Jednak to, co zobaczyłem tutaj, przerosło moją wyobraźnię. Ludzie cały czas coś przeżuwiają. Żeby to jeszcze dorośli czy choćby młodzież, ale widziałem, że robią to nawet małe dzieci! Chodniki, place, bazyry i ścieżki – wszystko upstrzone krwistymi plamami syrypiny. Tak samo czerwono wyglądają usta i zęby żujących ten owoc palmy arekowej. Trudno się do tego tak od razu przyzwyczaić. Żujący te orzechy strasznie plują, i to byle gdzie, nie zwracając wcale uwagi na miejsce, w którym się znajdują. Niemal na każdym kroku widać powszechny handel uliczny tą używką. Na rozpostartej folii czy gazecie leżą równiutkie kupki owoców betelu. Tak na pierwszy rzut oka są podobne do naszego orzecha włoskiego. W zasadzie są zielone, ale przybierają też barwę brązowoczerwoną.

Trzy krótkie sygnały syreny okrętowej poganiają wszystkich odprowadzających do opuszczenia pokładu. Żegnam się z poczciwym Mikiem. Czy dotrzyma słowa? Coś mi mówi, że chyba się już nie zobaczymy... Ale i tak się cieszę, że go spotkałem na swojej drodze, bo jego pomoc bardzo mi się przydała. Na stateczku zrobiło się pustawo, ludzie porozchodzili się w poszukiwaniu miejsc, gdzie będą mogli spędzić noc.

Nad wyspami błyskawicznie zapada zmierzch. Dwie – trzy minuty po zachodzie to najlepszy czas, by zobaczyć najpiękniejsze widowisko na niebie. Wydobywające się gdzieś zza widnokregu ostatnie promienie słońca malują na obłokach i chmurach baśniowe wzory. Spektakl ten przedstawia jakby fantastyczne góry wyłaniające się gdzieś daleko z morza. Zawsze staram się nie przegapić tej krótkiej chwili i zrobić nastrojowe zdjęcie, zwłaszcza kiedy jest pogoda. Stoję na pokładzie stateczku o bardzo nobliwej nazwie – Księżniczka. Jak zwykle jestem poruszony kolejną podróżą w nieznanie... Już nie wiadomo który raz w moich podróżach, nie wiem, co mnie dalej spotka. Miejsce, do którego płynę tym razem, naprawdę wymaga śmiałości i ufności w powodzenie. Optymistycznie zakładam, że jak zwykle jakoś to będzie, nie ma co się na zapas przejmować...

Princessa powolutku odbija od przystani. Rozproszone po wzgórzach wokół Honiary światełka coraz bardziej zlewają się, tworząc w końcu jeden świetlisty punkt, który wkrótce, pulsując, zniknie w głębinach oceanu. Powoli oddalamy się od Guadalcanal. Jeszcze dobrze widać ciemne zarysy gór przysłonięte jaśniejszymi chmurami. Zdaje się, że zaczynają się zniżać i zlewać z jaśniejszą mgłą rozpościerającą się wzdłuż brzegu. Księżyc rozjaśnił noc i kładł się na powierzchni spokojnych fal jasną smugą.

Ocknąłem się z zamyślenia. Dopiero teraz, gdy całą parą pracuje głośny motor, można poznać, jak stary to gruchot. Nawet na wolnych obrotach w porcie wszystko drżało i trzęsło się okropnie. Najgorszy jest hałas, trudno go znieść. Chociaż Princessę nazywa się statkiem pełnomorskim, to bardziej pasowałoby do niej określenie: większa copra bout. Łajba ma nie więcej jak siedemnaście metrów długości i około siedmiu szerokości.

Nie jest to statek pasażerski, więc nikt nie liczy na wygody. Na wysokości pokładu znajduje się dość obszerne i niskie pomieszczenie dla pasażerów. Jedynym jego wyposażeniem są dwa podwyższone drewniane podesty rozdzielone wąskim przejściem. Można na nich siedzieć lub rozłożyć maty do spania. Jeśli współpasażerowie nie będą się zbyt rozpychali, to po obu stronach zmieści się ze dwadzieścia pięć osób. Po krętych metalowych schodkach można stąd wyjść na niewielki górny pokład otaczający mostek kapitański. Dookoła pokładu jest reling chroniący ludzi przed wypadnięciem za burtę. Jest to dobre miejsce obserwacyjne. Za dnia można podziwiać popisy delfinów i latające ryby, a nocą gwiazdziste niebo. W pobliżu brzegu zawsze największą udręką są insekty. Najgorzej jest o zmroku, kiedy to dziadostwo leci do światła. Już kilkadziesiąt metrów od lądu wiatr robi porządek z tym robactwem. Princessa to mały statek towarowy, więc najważniejszą częścią jednostki jest ładownia pod pokładem.

W czasie swojego kilkudniowego rejsu zawija do rozsianych wzdłuż brzegu wysp wiosek. Stamtąd zabiera suszoną koprę – najważniejszy miejscowy produkt i główny towar eksportowy wysp.



Znormalizowane jutowe worki ważące po siedemdziesiąt kilogramów wrzuca się przez właz w pokładzie do obszernej ładowni.

Wycie silnika miesza się z szumem rozbijanych dziobem i burtami fal. W ciemnościach znikły ostatnie światelka na Guadalcanal. Nie zamierzałem spędzić całej nocy na pokładzie, tym bardziej że po upalnym dniu zacząłem odczuwać nieprzyjemny chłód.

Na rozgwieżdżone niebo napływać zaczęło coraz więcej ciemnych chmur. Delikatna mgiełka przysłoniła półksiężyc. Pełnia zawsze zapowiada lepszą pogodę, ale jeszcze kilku dni do niej brakuje, więc może być deszczowo. Choć nie słychać grzmotów, to gdzieś daleko przed nami co chwilę świecą błyskawice. Miejsce na spoczynek mam zapewnione, jednak nie tak łatwo oderwać się od widoku błyszczącej wody. Zawsze zachwycałem się grą światel migających w morskiej toni. Załamujące się w oddali fale świecą naprawdę! Fosforyzują od milionów drobnych błyszczących żyłatek. W ciepłych morzach, oprócz tych mikroskopijnych świecących stworzonek, żyją zwierzęta o znacznie większej mocy świetlnej. Są to nieduże ryby, świecące o wiele silniej niż ta drobnica. Z pokładu dostrzegam naraz nawet po kilkanaście tych niezwykłych ryb. Gdy obserwuję błyski, zawsze przypomina mi się świecące Morze Celebes.

Płynąłem małym statkiem całą noc z Balikpapan na Borneo do Mamuju na Sulawesi. Nie jestem w stanie tu opisać, jakie wówczas widziałem świecenie morza. Nigdy więcej już podobnego iskrzenia i blasku nie spotkałem. Pamiętam i nie zapomnę, jak w pewnej chwili ze świecącej wody wyskoczyła wielka ryba! Była ogromna, miała przynajmniej trzy lub cztery metry długości. Nie wiem, co to była za ryba, ale zrobiła na mnie takie wrażenie, jak kiedyś wyskakująca niespodziewanie na ekranie przerażająca paszcza rekina w filmie *Szczęki*. Byłem tak blisko, że z przerażenia odruchowo odskoczyłem od burty!

Nie da się porównać tamtych mocnych wrażeń z delikatnym świeceniem fal Morza Salomona. Jestem zmęczony po długim dniu pełnym wrażeń i nasycony seansem pod gołym niebem, więc z czystym sumieniem mogę iść spać. Mike stwierdził, że choć dzisiaj płynie mało podróżnych, to dla pewności lepiej wcześniej zająć miejsce na podeście. Wystarczy obok plecaka położyć swoją matę, co oznacza, że miejsce jest zaklepane. Na moje stare kości zwykła mata jest niewskazana, dlatego we wszystkich podróżach towarzyszy mi zawsze niezastąpiony dmuchany materac.

Rejs Princessy wiedzie wzdłuż zachodniego brzegu Santa Isabel. Po drodze zatrzymuje się w sześciu wioskach i przy wysepce Furona. Zabierze stamtąd do Honiary wysuszoną kopre i ewentualnych pasażerów. Jeszcze przed świtem powinniśmy dopłynąć do wyspy i przycumować do nabrzeża w Kaevanga. To jedyna przystań z betonowym pirssem do cumowania na całym zachodnim wybrzeżu.

Jestem obyty w takich egzotycznych podróżach i gotowy na spotkanie z nową przygodą. Powiem więcej – wśród tak pięknej przyrody najlepiej się czuję. To bezcenne chwile relaksu, jakich można doświadczyć tylko podczas takich podróży na krańce świata. Niezwykle rzadko jacyś turyści płyną statkiem w ten rejon wyspy, więc jako jedyny obcokrajowiec wywołuję niemałe zaskoczenie u wszystkich podróżnych.

Trudno to opisać, ale czuję, że pasażerowie darzą mnie dużą życzliwością i poważaniem. Niektórzy nawet namawiają do zejścia na ląd w swojej wiosce. Lepiej lub gorzej, ale mogę się jakoś dogadać po angielsku, chociaż Wyspy Salomona, podobnie jak Vanuatu, to twardy orzech do zgryzienia dla lingwisty.

Trudno pojąć, jak niespełna 600 tysięcy wyspiarzy może mówić w ponad 120 miejscowych narzeczeniach z grupy melanezyjskiej. W użyciu jest jeszcze pidgin, który jest takim pospolitym tu dialektem utworzonym ze zmieszania języków tubylczych z angielskim. Właśnie takim mogę się dogadać z co bardziej rozgarniętymi pasażerami.

Jeszcze nie jest zbyt późno, chociaż na zewnątrz całkiem ciemno. Zająłem swoje miejsce na podeście i z zaciekawieniem przyglądam się sąsiadom. Statkiem płynie do domu różnicowany tłumek. Ze stolicy do swoich wiosek wracają całe rodziny, starsi, młodzież i dzieci. Ludzie z tych samych wsi siedzą w swoich grupkach. Niektórzy już pokładli się do snu, inni rozmawiają, coś jedzą albo żują betel. Śpiącym nie przeszkadza hałas ani światło czy kręcący się ziomkowie, którzy co rusz wyłażą na pokład,

by wypluć przeżute resztki betelu za burtę. Nie wyobrażam sobie, by czerwoną syrypiną pluli tu w pomieszczeniu. Spotkałem się już kiedyś z takim prymitywnym zachowaniem.

Kilka lat temu płynąłem promem indonezyjskiej linii Pelni z Jayapura w Papui Zachodniej do Makasar na Sulawesii. To kawał drogi, rejs trwał aż siedem dni. Tamtejsi ludzie, podobnie jak mieszkańcy Wysp Salomona, nie mogą obyć się bez tej używki, ale brak im jakiegokolwiek kultury. Co prawda nie wypluwali resztek przeżutego betelu w pomieszczeniach, ale całe pokłady były ubrudzone na czerwono. Trudno im było spluć tak po prostu za burtę, choć stali tuż przy relingu. Trzeba było uważnie patrzeć pod nogi, by nie wdeptać w to świństwo.

Na Princessie jest mały kantorek, w którym można kupić gorącą kawę, jakieś ciastka, cukierki czy chipsy. Jak inni pasażerowie, również korzystam z przyjemności i któryś już raz piję słodką rozpuszczalną kawę cappuccino z torebki, taką 3 w 1. Przez całą noc w pomieszczeniu jasno świecą żarówki. Jestem zmęczony, było zbyt dużo wrażeń jak na jeden dzień. Jeszcze rano byłem w Mangaliliu na Efate, a teraz wieczorem zasypiam kołysany falami Morza Salomona. Znużony tym wszystkim nie mam już chęci na rozmowy i odpowiadanie na wciąż te same pytania. Chociaż jestem im wdzięczny za uzyskane informacje, to nie mogę już dłużej gadać, bo kleją mi się oczy... Planując wędrowkę, zanotowałem sobie na wszelki wypadek nazwiska co bardziej błyskotliwych mieszkańców niektórych wiosek. Zawsze taka przelotna znajomość może się przydać. Kto wie, czy nie będą musiał spędzić nocy w chatce u którejś z tych uczynnych osób. Wkładałem w uszy tłumiące hałas stopery i kładę się na miękkim dmuchanym materacu wciśniętym między pogrążonych we śnie podróżnych. Mam nadzieję, że obudzę się na czas i nie prześlę wschodu słońca na tym prawdziwym krańcu świata. Jesteśmy tak daleko od wrzaskliwej cywilizacji, że śmiało tak mogę powiedzieć.

Jeszcze przed świtem wyszedłem na pokład, spodziewając się, że ujrzę wyspę wolną od obłoków. Trochę się zawiodłem, bo Santa Isabel ukazała się dopiero o świcie i w dodatku zasłana chmurami. Princessa idzie kursem równoległym do południowo-zachodniego brzegu. Wzdłuż wybrzeża ciągnie się pasmo wzgórz. Z mapki wynika, że wysokość ich wynosi do czterystu metrów. Z lewej burty mijamy małą wyspę San Jorge, spowitą jeszcze gęstą mgłą. Po godzinie wpływamy w cieśninę oddzielającą ją od Santa Isabel. Teraz załoga musi być czujna, bo trzeba uważać na podwodne rafy i kilka zdradliwych łańcuch porośniętych mangrowym gąszczem, które jak na złość są na naszym kursie. Wszyscy marynarze tkwią na pokładzie i wyciągają wzrok, by bezpiecznie przeprowadzić statek do pobliskiej przystani.

Kapitan statku jest człowiekiem młodym i ujmująco uprzejmym. Już na początku pozwolił mi na odwiedzanie sterówki, kiedy tylko zechcę. Nie mógłbym przespać takiego cudownego widowiska o poranku wstającym nad południowymi morzami. Mogę powiedzieć, że moje marzenia spełniły się z nawiązką. Płyniemy wśród koralowych wysepek Morza Salomona. Na udane zdjęcia jest jeszcze za mało światła. Uważnie przyglądam się wyspie. Pojedynczych szczytów nie widać, są za to nieprzerwane wzgórza, prawie wszędzie jednakowo wysokie.

O wschodzie słońca szczyty są nadal w powijakach unoszących się chmur. Niżej wzdłuż środkowej ich części ciągną się warstwy białych obłoków mgły. W miarę jak płyniemy dalej, wygląd brzegu powoli się zmienia. Ku podłużnym grzbietom biegną nieregularne, poprzeczne rzędy pagórków, pomiędzy którymi płyną zapewne rzeki. Musi tu być niezwykle bujna roślinność. Już z daleka z niecierpliwością wpatruję się w brzeg, szukając wiosek czy chat, ale nie mogę ich jeszcze dojrzeć. Wkrótce Princessa zbliża się do wyspy na tyle, że mogę dostrzec wyraźnie jaśniejszy pas nadbrzeżnej zieleni. W pierwszych promieniach słonecznych dobrze widać pochylone nad wodą wysmukłe palmy kokosowe. Na wzgórzach powyżej jasnej warstwy porannej mgły wyraźnie odznacza się ciemna barwa gęstego lasu tropikalnego. Na brzegu widać pierwsze pojedyncze chatki.

Za chwilę ukazuje się przystań Kaevanga, do której na krótko przybijamy. Z tego, co się dowiedziałem, to jedyna przystań z solidnym betonowym pirssem po tej stronie Santa Isabel. Koło pomostu na wodzie kołysze się kilka motorowych łodzi, a na brzegu stoi rzędem parę prostych blaszanych składzików na towary i wątych drewnianych budynków. Naszą łajbę opuszcza kilkanaście osób z tobołami. Za obwieszonymi torbami matkami drepczą zaspane maluszki.

W pobliżu na drodze na przybyłych czeka pyrkoczący traktorek z dwukołową przyczepką, na której cała grupa ze swoimi bagażami w pośpiechu zajmuje miejsce. Matki trzymają w objęciach swoje

pociechy, a mężczyźni wyciągają z zawiniątek swój „pierwszy posiłek” – betel. Ludzie na Wyspach Salomona mogą rozpocząć dzień bez śniadania, ale nie bez betelu. Przyczepka jest tak załadowana, że traktorek nie daje rady ruszyć z miejsca. Dopiero gdy kilku miejscowych ją popycha, transport rusza z miejsca. Wkrótce cichnie terkot ciągnika znikającego za ścianą zieleni drzew rosnących na samym skraju skalistego brzegu zatoki.

Jeszcze trwa rozładunek towarów przywiezionych przez miejscowych handlowców z Honiary. Być może są właścicielami wiejskich sklepików w okolicy. Na razie wszystko ładuje na pirsie. W pośpiesznym rozładunku pomagają miejscowi. Przybycie statku zawsze jest okazją do zarobienia paru groszy na betel... Z ładowni na brzeg trafiają podstawowe produkty, głównie spożywcze. Są to: cukier, mąka, olej, sól, suchary, słodczyce i napoje.

Zastanawiam się, jak by zareagował Europejczyk, gdyby pewnego dnia w supermarkecie zobaczył tylko taki skromny asortyment żywności. Nie ma czasu na marudzenie, kapitan popędza załogę. Przed nami jeszcze kilka przybrzeżnych przystanków, ale trudniejszych, bo bez przystani. Teraz na Princessę nie ładuje się żadnego towaru. Suszoną koprę, ziarno kakao, utuczone świnki i inne płody rolne z wyspy będą zabierane w drodze powrotnej do Honiary.

Wreszcie ruszamy dalej, do następnej wioski. Przełamywamy pomiędzy Santa Isabel a San Jorge w najwęższym miejscu cieśniny. Odstęp między wyspami nie jest tu większy niż 300 metrów. Płyniemy tak blisko brzegu, że gałęzie niemal muskają łajbę. Stercę przy burcie i sycę wzrok bujną przyrodą. Mijamy malownicze zatoczki z wąskim plażami. Wyobrażam sobie, że setki lat temu musiało być tu tak samo dziko. Pierwsi odkrywcy widzieli to samo co ja. Uważnie przyglądam się brzegom, bo takimi samymi mam zamiar wkrótce maszerować. Nie wygląda to wszystko zachęcająco, pasek plaży jest tak wąski, że roślinność prawie wchodzi do wody. Przy klifowych odcinkach statek niemal dotyka skał. Nie da się tam przejść brzegiem. Do tego w wielu miejscach plaże porastają bujne mangrowe zarośla.

Zdażyłem już skrętnie zanotować nazwiska kilku współpasażerów, którym obiecałem odwiedzin. Jestem przekonany, że i tak w nie nie wierzą. Są pewni, że po przejściu kawałka dzikiego brzegu za wioską Kalikaka zniechęcony wrócę i będę tydzień czekał tam na copra boat do Honiary. I ja takiej sytuacji nie mogę wykluczyć, chociaż byli też tacy, co optymistycznie mnie pocieszyli, między innymi Barabasz z Hirolegu i Charlton z Kalikaki. Obaj zapewniali, że wiele razy szli tamtędy i można przedostać się brzegiem z Kalikaki aż do Susubony. Na opłynięcie klifowego brzegu radzą wynająć w wiosce łódkę albo poprosić miejscowego, by za małą opłatą przeprowadził mnie przez busz. W ten sposób okrążę miejsce niedostępne od strony plaży. Są i tacy, co straszą mnie, że trzeba przechodzić niebezpieczne rzeki, w których są krokodyle. To ostatnie jest prawdą, ale jak spytałem, kiedy krokodyl ostatni raz kogoś zabił i czy znali takiego, to nie bardzo wiedzieli, co odpowiedzieć, i kręcili...

Po tym wszystkim sam mam dużo różnych wątpliwości. Zmęczony niepotrzebnym gadaniem uciekam od ciekawskich podróży, by podziwiać malownicze brzegi. Robię setki zdjęć i wiele niezwykłych ujęć filmowych dla TV Relax.

Prawą burtą ocieramy się prawie o skalną ścianę, a z lewej mijamy wystające z wody skały z czapami zieleni. Około dwóch do trzech kilometrów dalej leżą otoczone turkusową laguną płaskie niezamieszkałe wysepki. Porasta je wianek zielonych palm kokosowych. Nigdzie tak cudownie nie przyozdabiają krajobrazu, jak na brzegach tropikalnych wysp. Są jakby stworzone, by tutaj rosnąć. Ze swoimi niezliczonymi przymiotami są najcenniejszym darem Stwórcy dla wyspiarzy. Trudno opisać piękno okolicy, powiem tylko tyle, że jestem zauroczony tym wszystkim, co mnie w tej chwili otacza. Czuję się podobnie jak kiedyś w kilkutygodniowym rejsie po Amazonce. Zapamiętam na zawsze trasę między Manaus a Tabatingą. Tam też było tak dziko i pięknie.

Princessa przepływa wzdłuż brzegów z zadziwiającym bogactwem przyrody. Przy wąziutkiej plaży, oprócz palm kokosowych i sagowych, widać dalej drzewa przerastające wszystko. Niektóre z nich to być może potężne samauma o konarach tak rozłożystych, że każde mogłoby ocienić pół niemałej wioski. Słyszałem, i niestety jest to prawda, że także tu, na wyspie, zabierają się do wycinki wiekowych drzew. Bezrozumnie niszczą pierwotne środowisko, którego już nikt nigdy nie odtworzy.

Przed podróżą na Wyspy Salomona na zdjęciach widziałem zwalone pnie drzew o średnicy mierzącej dwa i więcej metra! W Amazonii, w okolicy Pôrto Velho w Brazylii, na własne oczy

oglądałem w transporcie kolosy o średnicy pnia mającej ponad trzy metry! Potężny samochód – trak – przewoził tylko jeden pień i ledwie dawał sobie radę. Z wycięciem olbrzyma wiąże się pogrom całych hektarów innych drzew po drodze do brzegu.

Silnik głośno pracuje i zagłusza odgłosy przyrody. Nie ma na to rady, a szkoda, bo okolica aż dudni i furkocze od krzyku licznych ptactwa. Tu, w pobliżu zielonej ściany zatoczek, gdzie gałęzie, mnóstwo lian i pasożytniczych roślin zwiesza się wprost do samej wody, tętni życie. Niezapomniane wrażenie robią stada po dwadzieścia i więcej krzykliwych kolorowych papug. Ich wrzask jeszcze przebija głośną Princessę. Inne można już tylko obserwować, nie słysząc ich śpiewu. Nad drzewami jak błyskawice latają niezliczone malutkie ptaszki. Czasami, wysoko w górze, ponad tym ptasim rozgardiaszem, można dojrzeć wielkiego ptaka. Te z natury nie lubią towarzystwa ptasiej drobnicy. Zawsze kołują pojedynczo lub parami – samiec i samica. Ich wysoki lot jest majestatyczny, nawet nie widać, by poruszały skrzydłami. Człowiek zawsze jest ciekawy nazwy takiego egzotycznego skrzydlatego szybowca. W przewodniku wyczytałem, że na Wyspach Salomona takie duże mogą być tylko kakadu. Dorosłe mogą mieć ponad metr rozpiętości skrzydeł, szczególnie te czarne.

Ptaki napełniają powietrze ciągłym rozgwarem, lecz ich głosy brzmią tutaj zupełnie inaczej niż u nas, o czym przekonałem się już wcześniej. Nasze ptaki to artyści wielkiej miary, śpiewają sobie, i to nie tylko podczas pory godowej. Zapalają się w swojej twórczości i wydają strumienie przedziwnych tonów łączonych w jedną wielką pieśń miłosną.

Pewnie nie wszyscy wiedzą, że w tropikach jest inaczej. Usłyszemy tu zupełnie inny typ śpiewu. Ptaki wydają tylko szereg dźwięków, łączący się w jeden skrzek. Taki prawie niemodulowany motyw muzyczny, powtarzany ciągle, czasem cały dzień, od świtu do nocy, jest bardzo denerwujący. Przekonałem się o tym kilka razy. Mało tego. Taki ptak, jakby na złość, stale gdzieś za tobą przeskakuje, z drzewa na drzewo, i kilometrami towarzyszy w wędrówce, głośno skrzecząc... Kto nie wierzy, niech przespaceruje się kilka kilometrów, nieważne gdzie, byle lasem tropikalnym.

Zmrok ucisza ptactwo, ale wtedy odzywa się reszta mieszkańców. Brzeg i wewnątrz dziewiczego lasu rozbrzmiewają wieczorem pieśnią zmieszanych głosów. Jednak podkładem całego chóru są odgłosy niezliczonych owadów. Prym wiodą cykady, czyli różne świerszcze, pasikoniki i inne skaczące grajki. Każdego dnia o tej samej porze rozpoczynają i kończą swój głośny koncert. Jeśli ktoś oswoił się z głosami nocy i potrafi je rozpoznawać, to może nawet obyć się bez zegarka...

Statek dopływa do Susubony. Jeśli uda mi się tu dojść w drodze powrotnej, to będzie mój ostatni przystanek. Tego trudnego odcinka wybrzeża, który dotychczas mijaliśmy, nie dałbym rady przejść. Uważnie przyglądam się okolicy, by mieć jakieś rozeznanie w terenie, bo być może tu dojdę. Wioska położona jest na południowym krańcu głęboko wciętej w ląd zatoki. W okolicy nie ma skalistych klifów ani namorzynowych zarośli. Łą od brzegu łagodnie wznosi się w kierunku bujnie zarośniętych lasami wzgórz.

Burta naszego stateczku delikatnie dobija do drewnianego pomostu. W pobliżu stoi kilka, również drewnianych, składów czy magazynów. Pokład opuszcza parę osób, z którymi jakoś nie zdążyłem nawiązać kontaktu. Z przystani ledwie widać zabudowania wioski, bo prawie wszystko przesłaniają kępy palm kokosowych, sagowych i innych drzew. Jestem pod urokiem malowniczej zatoki o kolistym kształcie. Doprawdy sielankowo wygląda plaża z pochylającymi się nad wodą palmami kokosowymi. Nawet wulkaniczny czarny piasek na brzegu nie jest w stanie zmącić harmonijnego piękna okolicy. Wydaje mi się, że z większej odległości ciemne plaże są zdecydowanie bardziej nastrojowe i pełne życia, kiedy rozlewa się na nich biała piana fal. Już się cieszę na dłuższy pobyt tutaj, ale najpierw muszę tu dojść...

Dochodzi dziesiąta, a już jest bardzo upalnie. O tej porze dla ochłody nie wystarcza nawet lekki zefirek. Na nic nie zda się też chwila ulgi w cieniu wolno przesuwających się po błękitnym niebie chmur. Każdy ucieka pod jakąś osłonę przed wibrującym od gorąca powietrzem. Stoję przy burcie, chociaż spływają ze mnie strugi potu. Problem w tym, że tak naprawdę nie ma gdzie się ukryć. Opuszczamy przystań, kierując się w stronę otwartego morza. Już z daleka odróżniam płytkie pasmo raf odcinające się jasnozielonkawą barwą od granatowej głębi morza. Załoga z uwagą śledzi niebezpieczny odcinek rejsu.

Z Susubony wypływamy wąskim kanałem wyznaczonym między podwodnymi rafami. W kilku miejscach widać nawet białe bryzgi piany na wystających z lekka nad wodą skałach koralowych. Nie o każdej porze dnia da się tędy przepłynąć. Nawet taka mała łajba jak nasza musi czekać na przypływ. Opływając dookoła północny cypel zatoki, wyobrażam sobie, jak niewypowiedzianie piękny i różnorodny musi być podwodny świat tej płytczyny. Przed nami, przy ujściu niewielkiej rzeki, kolejna osada – to niewielkie Biluro. Na całej długości wybrzeża jest niezwykle malowniczo, wszędzie podobnie dziko. Niekiedy zza gęstej zieleni na wzgórzu błysnie jak zajaczek z lusterka blaszany dach chatki. W kilku miejscach nad buszem snuje się obłoczek jasnego dymu z suszarni kopry. W okolicy dominują palmy kokosowe. Niewielkie plantacje ciągną się pasem sięgającym od wody po okoliczne wzgórza. Szerokie rozpadliny czy wąwozy, w których wyrzeźbiły sobie drogę ku morzu spływające z wyżyn rzeczki, urozmaicają krajobraz. W Biluro robimy krótki przystanek.

Zatrzymujemy się w odległości stu metrów od brzegu, do płytkiej wody wrzucono kotwicę. Za kilka dni prawdopodobnie będę tędy przechodził. Stoję przy relingu i z zaciekawieniem obserwuję okolicę. Szczególnie interesuje mnie pasemko wąziutkiej plaży. Szkoda, że to nie szeroka brazylijska Copacabana... Nie wiem, czy w czasie przypływu będzie na tyle szeroko, abym mógł iść brzegiem. Może będę musiał przedzierać się przez przybrzeżne zarośla? Kilka osób kręci się po plaży, obok, pod pochylonymi palmami, leżą wyciągnięte na czarny piach łodzie. Princessa ciągnie za sobą własną aluminiową łódź. Zapewnia ona transport ludzi i bagaży na brzeg w wioskach, gdzie nie ma przystani czy pomostu. Przewiezienie ludzi, bagaży, kopry i innych towarów na brzeg i z brzegu należy do obowiązków załogi statku. W Biluro następna grupka ludzi z bagażami zeszła do łodzi i odpłynęła w kierunku brzegu.

Robimy zwrot i płyniemy na północ, do kolejnej wioski – Hirolegu. Tam kończy swoją podróż sympatyczny Barabasz. Ten prostoduszny i wesoły chłopina obiecał mi u siebie kwaterunek, a nawet wspólne połowy ryb w lagunie. Chwalił się przy tym, że jest najlepszym rybakim w okolicy. Może skorzystam z gościny i sprawdzę jego kwalifikacje... Podobnie jak poprzednie osady, Hirolegu również położona jest nad zaciszną zatoką. Wiosieczka nie jest zbyt ludna, ale rozległa. Niezbyt szeroki płaski brzeg dość stromo przechodzi w malownicze wzgórze. Większość mieszkańców ma swoje chatki w dolnej części wioski, w pobliżu brzegu, a część mieszka na wzniesieniu porośniętym rzadkim gajem palmowym. Barabasz pokazuje mi z daleka swój domek na wzgórzu. Jego prosta drewniana chatka prześwituje spośród zieleni. Wyobrażam sobie, jaki z tego miejsca musi być rozległy widok na ocean i pobliskie wysepki, obok których w tej chwili przepływamy. Te małe, płaskie skrawki lądu są całe pokryte bujną roślinnością i prezentują się niezwykle malowniczo. Wręcz zachęcają, aby je odwiedzić. Nie więcej jak dwa kilometry dzieli je od Santa Isabel. Dowiedziałem się, że ludzie z wioski co pewien czas zagląдают na te bezludne wysepki, udając się po koprę. Niekiedy jakiś rybak spędza tam noc na połowach. Barabasz opuścił pokład i pewnie już wita się ze swoją rodziną na brzegu.

Płyniemy dalej, dziób Princessy rozcina spokojne szafirowe wody Santa Isabel i powoli zbliżamy się do Kalikaki. Wokół piękne widoki, a moją głowę zaprzatają myśli, jak spędzić dzisiejszą noc w wiosce. Wczoraj wieczorem poznałem Charltona z Kalikaki. Teraz, kiedy pokład znacznie opustoszał, mam więcej czasu, by z nim porozmawiać o konkretnych sprawach. Wkrótce będziemy na miejscu, dlatego kilka informacji z pierwszej ręki może mi się przydać. Potrzebuję dodatkowej wiedzy o noclegach, jedzeniu i możliwości marszu do wioski na południu. Podobnie jak na Malekuli, liczę na pomoc miejscowych, bez których trudno byłoby zrealizować moje zamierzenia.

Dochodzi południe. Na niebie pojawiły się ciemne chmury i zaczęły nas ścigać. Ciekawy jestem, czy zdążymy przed nimi uciec. Tempa rejsu nie da się przyspieszyć. Pewne jest, że w godzinach popołudniowych te unoszące się nad wyspą kłęby nabrzmieją do gęstych chmur burzowych.

Deszcze tropikalne cechują się gwałtownością i przypominają burze. Nieraz przez parę minut, a w najgorszym razie przez godzinę lub dwie leje z niebios woda, a potem znów świeci słońce. Wtedy oczywiście wszystko paruje, a obniżona temperatura szybko się podnosi. Chmury burzowe „dojrzewają” zwykle w godzinach popołudniowych i wtedy w ciągu paru godzin spada tyle deszczu, ile w Europie w ciągu pół roku!

Dobrze, że do Kalikaki jest blisko. Mamy jeszcze do opłynięcia tylko półwysep o wysokim

skalnym klifie. Princessa przepływa dosłownie kilka metrów od jego pionowych skał. Po chwili znajdujemy w pobliżu ujścia miejscowej rzeki. Nad zielonymi wzgórzami Kalikaki deszcz wisi w powietrzu. Mijana rzeka i półwysep to poważne przeszkody w moim marszu brzegiem. I to już na samym starcie! Charlton pocieszył mnie, że ten odcinek można opłynąć, wynajmując łódź w wiosce, lub przejść ścieżką przez busz, oddalając się trzy kilometry od morza. Zapewnił też, że z wynajęciem przewodnika nie będzie żadnego problemu.

Jeszcze przed deszczem dopływamy do celu. Tej wioski wyjątkowo nie widać z pokładu, gdyż olbrzymie drzewa rosnące na brzegu wokół zatoczki znakomicie ją maskują. Princessa stanęła na kotwicy w odległości około dwustu metrów od plaży małej zatoki utworzonej przez rafę. Stąd do brzegu dopłyniemy już łodzią motorową.

Ostrożnie schodzimy z pokładu do bujającej się przy burcie motorówki. W Kalikace wraz ze mną wysiada sześć osób. Wkrótce stanę na brzegu wyspy, którą odkrył Hiszpan Alvaro de Mendaña w pełnym znoju i trudów rejsie przez Pacyfik. To właśnie ten łód jako pierwszy dostrzeżono z pokładu okrętu. Odkrytą wyspę żeglarz nazwał imieniem swojej żony – Isabel – a cały archipelag Wyspami Salomona.

## W poszukiwaniu biblijnego raju na Pacyfiku

Zdarzało się w historii odkryć geograficznych, że raz odkryte łód albo wyspa zostały przez żeglarzy zapomniane lub zagubione. Dotyczyło to jednak małych skrawków wybrzeża lub też odległych samotnych wysepek. Tym razem, dokładnie na okres dwustu lat, zagubiono rozległy archipelag ciągnący się w zachodniej części Oceanu Spokojnego na przestrzeni około tysiąca pięciuset kilometrów. Archipelag, którego powierzchnia jest większa od Belgii. W połowie XVI wieku Hiszpanie gospodarowali już na dobre w Nowym Świecie. Przemierzali wzdłuż i wszerz ziemie Majów, Azteków i Inków. Obrabowali już dokładnie królewskie pałace i skarbcze świątyń. Ciągłe jednak mało im było złota – tego złota, którego uparcie domagał się madrycki dwór i które było głównym celem ich wypraw. Gdzie go szukać? Na znacznej przestrzeni Hiszpanie doszli do Pacyfiku. Może szukać gdzieś dalej – za oceanem? Może tam, gdzie rozciąga się nieznana, ale na pewno obszerna i bogata Terra Australis Incognita? Dochodziły ich słuchy o dawnych tradycjach Inków, wiążących się z jakąś cywilizacją istniejącą daleko na Pacyfiku. Wskutek tych uporczywych pogłosek uwierzyli, że tam znajduje się „wyspa złota”.

Wielu poszukiwaczy przygód żywo zainteresowało się tą ideą. Kandydatów na dowództwo wyprawy było dwóch. Jednym z nich był doświadczony pilot morski o międzynarodowej sławie Pedro Sarmiento. Młody i obrotny, a zarazem żądny złota żeglarz, interesujący się legendami Inków dotyczących odległych „złotych wysp” na Pacyfiku. To jego poszukiwania, zapewnienia i starania o wyprawę po złoto wywarły wrażenie na wicekrólu Peru. Nawet całą ekspedycję zorganizowano mniej więcej według jego planów. Jednak te wszystkie zalety nie wystarczyły, zwyciężył protekcja i własne interesy. Ostatecznie, by zachować kontrolę rodziny nad wyprawą i spodziewanymi profitami, wicekról powierzył dowództwo swojemu bratankowi, którym był Alvaro de Mendaña de Neyra. Był to młody i niedoświadczony szlachcic, świeżo przybyły z Hiszpanii. Nie był żeglarzem i nie znał się na nawigacji. To on stanął na czele wyprawy, która w listopadzie 1667 roku wyruszyła z peruwiańskiego portu Callao.

Oficjalnym celem ekspedycji na dwóch statkach liczących 250 i 107 ton było nawracanie niewiernych na chrześcijaństwo. W tym celu oprócz marynarzy zaokrętowano pewną liczbę zakonników, siedemdziesięciu żołnierzy i kilku czarnych niewolników. Wyprawa była pierwszą misją katolicką na Morza Południowe. Na ekspedycję przeznaczono dwa nędzne małe statki. Uważano, że dzięki dobrej pogodzie, łagodnym wiatrom i spokojnemu morzu można będzie liczyć na powodzenie odkrywczej podróży. Dzisiejszy marynarz, któremu by kazano przepłynąć Pacyfik na tamtych statkach, zatrząsłby się z przerażenia. W jakiś zadziwiający sposób ekspedycja żeglowała, przemierzając ocean, i lawirując pomiędzy setkami wysp Polinezji, nie natrafiła na żadną! Dzień po dniu i noc po nocy dwa małe peruwiańskie żaglowce pełżyły na zachód, kołyszając się i trzeszcząc złowieszczo.

Tak przez osiemdziesiąt dni de Mendaña wiódł swoją flotę w kierunku zapadającego się w oceanie słońca, posługując się nieporęcznymi astrolabiami. Chociaż piloci starali się nawigować, była

to przeważnie zgadywanka. Dopiero w styczniu dostrzeżono pierwszą wysepkę. Było to ważne wydarzenie, gdyż żołnierze zaczęli się już obawiać, że ogromny ocean nie ma końca i płyną na swoją zgubę. Dopiero teraz ucichł krytyczny głos mającego zastrzeżenia i ciągle buntującego się przeciwko rozkazom kapitana drugiego statku Pedra Sarmienty. Już od początku był poróżniony z dowódcą i głównym pilotem Gallegą. Odkryty mały atol znajdował się najprawdopodobniej w archipelagu Elice – dzisiejsze Tuwalu. Na znalezienie tu złota nie liczone, nie było tam zresztą niczego poza ubogimi rybakami i palmami kokosowymi. Statki przepłynęły obok, nawet się nie zatrzymały. Wyprawa szukała wielkiego wysokiego lądu, nie zaś grupki płaskich atolów. Hiszpanie płynęli dalej na zachód, dowódca liczył, że w najgorszym przypadku dotrze do Filipin. Jeśli nie znajdą złota, to przywiozą chociaż niewolników, za których peruwiańscy plantatorzy dobrze zapłacą. Czarni uchodzili za lepiej nadających się do pracy na plantacjach niż uparci, krnąbrni, a przy tym chorowici i mało wytrzymali Indianie.

Dnia 7 lutego 1568 roku ze statków dostrzeżono na horyzoncie wysokie góry pokryte lasem. Porosły mangrowiem brzeg oddzielało od oceanu pasmo groźnych raf koralowych. De Mendaña doszedł do wniosku, że odkryty ląd jest częścią Tierra Australis, konkretnie zaś biblijną krainą Ofir – tą samą, do której król Salomon posyłał statki po złoto dla ozdobienia świątyni jerozolimskiej. Owego dnia, przed zapadnięciem nocy, oba statki rzuciły kotwice po północnej stronie wyspy, którą kapitan nazwał Santa Isabel. Zapis w dzienniku pokładowym z tego dnia jest potwierdzeniem odkrycia i pierwszego lądowania Europejczyków na Wyspach Salomona. Następnego poranka po przybyciu przed oczyma żeglarzy roztaczał się w pełnej krasie widok urokliwego lądu, którym Mendaña był zachwycony.

Krótko trwała radość, gdyż żeglarzy zawiódł widok wyspiarzy, którzy wydali się podejrzliwi i bynajmniej nie wyglądali na cywilizowanych. Dzicy, ciemnoskórzy i nieufni krajowcy śledzili ich ukryci w lasach, dziwiąc się, co to za najazd spadł na nich od strony morza. Statki kotwiczyły na północno-wschodnim brzegu Santa Isabel. Nieznany ląd należało rozpoznać i zbadać, czy był wyspą, czy częścią lądu stałego, a jeśli wyspą, to jak dużą i jak odległą od sąsiednich wysp. Wiedząc, że możliwości statków są bardzo słabe, a okoliczne rafy niebezpieczne, Mendaña postanowił, za radą żeglarzy, zbudować niewielką brygantynę i użyć jej do celów badawczych – popłynąć na pobliskie wyspy. Zakotwiczone statki miały zaś służyć za mieszkania dla załóg. Zespół ciesli przystąpił do budowy, która trwała dwa miesiące. Zbudowana brygantyna w niewielkim stopniu przypominała nowoczesny okręt tego typu, jednak można było na niej podróżować po okolicznych wodach.

W tym czasie kapitan Sarmiento wraz z innymi przedsięwziął kilka wypraw w głąb górzystej, porośniętej tropikalnym lasem wyspy. Już po kilku dniach, wdrapawszy się na szczyt góry – Kubonitu, mierząc 1 220 metrów – żeglarze stwierdzili, że znajdują się na wyspie. Krajowcy cały czas zachowywali się wrogo, kilka razy usiłowali wciągnąć Hiszpanów w zasadzki. Nie zważając na to, zakonnicy starali się, jak mogli, aby pozyskać pogańskie dusze wyspiarzy dla Kościoła. Chociaż skłonili kilku z nich do śpiewania psalmów oraz uczestniczenia w nabożeństwach, to nie udało się ich nawrócić na chrześcijaństwo. Niezrozumiałe ceremonie wręcz bawiły krajowców, którzy ni w ząb nie rozumieli, o co w tym wszystkim chodzi. Ostatecznie próby podporządkowania sobie wyspiarzy spaliły na panewce, co uniemożliwiło próby skolonizowania wysp.

Z początku, kiedy przybysze ujawnili swe potrzeby, zorganizowano pewnego rodzaju rynek, na który wyspiarze dostarczali owoce, warzywa i ryby. Jak było do przypuszczenia, żądania białych niebawem znacznie nadwyrężyły tubylcze ogrody, gdyż wyspiarze nie nawykli produkować niczego ponad swe bezpośrednie potrzeby. Po cóż więc i teraz mieliby to robić za byle świecidełka? Hiszpanie zaczęli siłą zabierać, co się dało, ze skromnych ogrodów i chat. Pewnego ranka do okrętu podpłynęła tubylcza łódź i na pokład wrzucono z niej tułów dopiero co zabitego chłopca. Nie wiadomo, czy miało to być darem, czy ostrzeżeniem. Krajowcy odpłynęli, nic nie mówiąc. Przerażeni Hiszpanie śpiesznie pogrzebali niedoszłą potrawę, a ich i tak niezbyt miękkie serca utwardziły się jeszcze bardziej w stosunku do mieszkańców wyspy.

W tym czasie na brygantynie dokonano kilku pożytecznych podróży dookoła Santa Isabel i przyległych wysp. Opracowano podstawowy słownik miejscowej mowy, podobno dość udany. Z zapisków wyprawy wynika, że mimo wielu niebezpieczeństw sporo uczestników wyprawy było zachwyconych wyspami. Najdziwniejsze jest to, że de Mendaña nie brał udziału w tych odkrywczych

rejsach brygantyny, chociaż stanowiły one najważniejszy cel jego ekspedycji. Trudno właściwie powiedzieć, czemu poświęcił swój sześciomiesięczny pobyt na Wyspach Salomona. Może w tym czasie chorował, co łatwo mogło się zdarzyć? Pod koniec pobytu w kilku górskich strumieniach natrafiono na małe ilości złota. Uprowadzono kilku krajowców, by nauczyć ich hiszpańskiego i tym sposobem wyciągnąć od nich potrzebne informacje. Nie na wiele się to przydało, Melanezyjczycy byli zbyt prymitywni. Ale i to, czego de Mendaña się od nich dowiedział, musiało wzbudzić w nim przekonanie, że odkryte przez niego wyspy stanowią kraniec jakiegoś wielkiego lądu. Faktycznie wiele lat później okazało się to prawdą. Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego dowódca wyprawy nie rozszerzył zasięgu poszukiwań w kierunku południowo-zachodnim. Na dotarcie do Australii wystarczyłoby tylko tydzień żeglugi. Chociaż Sarmiento błagał go, by tam wysłał brygantynę, nie przedsięwzięto takiej podróży. Mówiono, że kiedy de Mendaña już raz natrafił na ląd, czuł wstręt do tracenia go z oczu... Z Santa Isabel, gdzie statki kotwiczyły pół roku, przeprowadził je wzdłuż Malaity do Guadalcanal. Tam odkryte wyspy oficjalnie wziął w posiadanie hiszpański król. Mając poza sobą prawdziwe trudy podróży przez Pacyfik i znajdując się o kilka dni żeglugi od wielkiego kontynentu, dowódca wyprawy postanowił odplłynąć do Peru. Przed opuszczeniem wysp polecił uprowadzić jeszcze kilku krajowców i spalić brygantynę. Z niemal nienaruszonym stanem osobowym ekspedycja wzięła kurs na wschód.

Z tą chwilą Wyspy Salomona zniknęły z oczu Europejczyków na dwieście lat! Dopiero francuskim żeglarzowi Luisowi Antoine de Bougainville'owi przypadło w udziale ponowne odkrycie archipelagu Wysp Salomona. W drodze powrotnej de Mendaña opłynął jeszcze trzy wyspy – dużą San Cristobal i dwie mniejsze: Santa Anna i Santa Catalina. Podróż na wschód była trudną przeprawą. Ciągłe walczyli z przeciwnymi wiatrami. Marynarze ginęli z głodu, zapadali na szkorbut i cierpieli z powodu chorób tropikalnych, głównie malarii, którą nabyli na Santa Isabel. Dopiero w styczniu 1569 roku de Mendaña, z jednym statkiem i zdziesiątkowaną załogą, dotarł do zachodnich wybrzeży Maksyku. Drugi statek kapitana Sarmienty w drodze powrotnej do Callo w niewyjaśnionych okolicznościach odłączył się i zniknął, dopływając do Peru samotnie. Człowiek ten był osobliwą postacią Mórz Południowych, ale nie zdobył rozgłosu jak de Mendaña. Prawdopodobnie Hiszpanie wiele stracili z tego powodu, że kierownictwa wyprawy nie powierzono temu doświadczonemu żeglarzowi. De Mendaña nie przywiózł ani złota, ani korzeni, a uprowadzeni przez niego krajowcy zmarli w Limie jako „dobrzy chrześcijanie” wkrótce po przybyciu. Po powrocie do Callo de Mendaña zetknął się z nieprzychylną opinią publiczną. Mało kogo interesowały opisy i sprawozdania z odkrytych lądów oraz zapewnienia o możliwości kolonizacji. Nie do końca udana wyprawa wcale nie przeszkadza mu rozpocząć starań o kolejną ekspedycję w ten sam rejon Pacyfiku! Wicekróla, jego wuja i protektora, na kilka miesięcy przed powrotem wyprawy zastąpił już kto inny, więc de Mendaña nie miał już czego szukać w Peru i powrócił do Hiszpanii. Pomimo trudności po dwudziestu sześciu latach udało się mu zorganizować drugą wyprawę! Z wielu względów ta druga podróż stała się głośna... Będzie to próba założenia kolonii w Santa Cruz, ale o tym później.

## W cieniu arekowych palm Kalikaki

Z Princessy rzucono kotwicę. Stoimy w pobliżu brzegu wyspy utworzonego przez wzniesioną rafę koralową, o którą uderzają fale przyboju. Przed nami wioska Kalikaka. Na brzegu kręci się kilkanaście osób, które przyszły przywitać bliskich. Zawsze jest to jakieś ciekawe niecodzienne wydarzenie, kiedy raz w tygodniu przybija do brzegu statek.

Wraz z kilkoma osobami schodzę na chybotałą łódź. Po chwili nasza motorówka powoli odpływa od burty. Ostatnie metry do plaży przepływamy, lawirując na płytkiej wodzie pomiędzy zwapniałymi skałami koralowymi. Po dwóch minutach dopływamy i wyskakujemy z łajby do płytkiej wody kilka metrów od brzegu. Szybkim krokiem za innymi wylazłem z wody na brzeg. Wioska Kalikaka położona jest nad wąską piaszczystą plażą łagodnie opadającą ku wodzie. Mijając pierścień ciekawskich i kilka wyciągniętych na brzeg dłubanek, idę z Charltonem poszukać zwierzchnika wioski. Muszę załatwić zgodę na pobyt.

U stóp palm, w niedalekiej, ale w bezpiecznej odległości od morza, przycupnęły pojedyncze



proste chaty na palach, pokryte liśćmi. Jak było do przewidzenia, z zachmurzonego nieba zaczynają spadać pierwsze krople deszczu. Na szczęście do pierwszych chatek blisko. Charlton prowadzi mnie do swojego domu i nieoczekiwanie, ku mojemu zdziwieniu, proponuje mi kwaterunek pod swoim dachem. Rozmowa z szefem wioski ma być tylko formalnością. To krewniak, jak zapewnia mój dobroczyńca, który również dodaje, że pewnie za chwilę sam się tu zjawi. Już rozniosła się wieść, że do wioski przybył jakiś zagraniczny turysta.

Ledwo zdążyliśmy się schować, gdy od strony łądu nadciągnęła ciemna chmura burzowa i zaraz lunęło niemiłosiernie. Pewnie też tak samo nagle przestanie lać, jak to w tropikach bywa. Zauważyłem, że wszystkie chaty są tu ustawione na palach ponad metr nad ziemią, nie tak jak na Vanuatu – wprost na gruncie. Deszcz leje jak z cebra, spływając strumieniami z pokrytych palmowymi liśćmi dachów. Na tropikalne ulewy takie pokrycie jest najlepsze, bo deszcz nie bębni jak po blasze. Witam się z rodzicami Charltona, jego matką Patrycją i ojcem Franceskiem. Sympatyczna rodzina bez zbędnych ceregieli przyjmuje mnie pod swój dach. To pogodni ludzie, ich wygląd i rysy twarzy wskazują na dużą domieszkę krwi polinezyjskiej. Skórę mają nieco jaśniejszą, a buzie delikatniejsze od typowych Melanezyjczyków. Jak podają antropolodzy, Wyspy Salomona zasiedliła przed wiekami duża grupa ludzi z Samoa. Przybysze wkrótce zasymilowali się z miejscowymi, efektem tego jest pełna wdzięku uroda wielu wyspiarzy.

Czekając końca deszczu, siedzimy wszyscy na werandzie chaty. Moje nagłe przybycie pod ten dach zaciekało najbliższych sąsiadów, którzy zaraz się tu zjawili. Jedząc mały poczęstunek, czuję się trochę nieswojo pod ciekawskimi spojrzeniami miejscowych. W tym czasie Charlton coś sąsiadom wyjaśnia na mój temat. Nie rozumiem słów, być może coś ubarwia. Zanim zdążyłem zjeść i wypić kawę, gwałtowna ulewa ucichła, a zza chmur wyszło słońce. Od razu na polanie zrobiło się weselej.

Nawet się nie obejrzałem, gdy mój sfatygowany plecak powędrował do przeznaczonego dla mnie domku na palach stojącego kilka metrów obok. Chatka, jak wszystkie tutaj, zbudowana jest z tyczek bambusów starannie oplecionych liśćmi pandanusa i pokryta grubą liściastą strzechą. Pomyślałem sobie, czy nas byłoby stać na taki gest. Przecież użyczyli nieznanemu całemu domku! Sprawdza się stara prawda, że ubogi potrafi bardziej dzielić tym, co ma, niż bogaty... Na czas mojego pobytu Charlton oddał mi swoją chatkę.

Do środka wchodzimy po schodkach. Całość to tylko jedno pomieszczenie o wymiarach cztery metry na cztery z jedynym meblem – metalowym składanym łóżkiem. Okno to spory kwadratowy otwór, który można zasłaniać w razie niepogody opuszczaną plecioną matą. Póki jeszcze jasno, zabrałem się do przygotowania spania. Na łóżko położyłem dmuchany materac i nad tym wszystkim szczególnie zawiesiłem niezastąpioną moskitierę. W tym czasie jacyś chłopcy przynieśli mi z innej chaty stół i krzesło, tak że wkrótce miałem swoją bazę gotową do zamieszkania.

Do zachodu zostało trochę czasu, więc postanowiłem pokręcić się w pobliżu i poznać najbliższe otoczenie. O przewodnika nie muszę się martwić, jest ich aż nadto, bo cała gromadka dzieciaków. Trudno się od nich wyzwolić, wszędzie ich pełno. I tak ruszyłem z Charltonem i rozbrykaną dziatwą, by obejść wioseczkę. Jak się okazało, Charlton też jest ostatnio rzadkim gościem w wiosce. Nie powiedział mi wcześniej zbyt wiele o sobie, dopiero jego miła i gościnna matka Patrycja zdradziła mi sekret. Otóż syn wkrótce zostanie pastorem Kościoła melanezyjskiego, właśnie kończy seminarium! Miałem szczęście, że płynął do domu na krótki urlop tym samym statkiem co ja. W taki to sposób jestem gościem jego rodziny. Z szefem wioski jeszcze się nie spotkałem, więc nie chcąc z moją sprawą zwlekać, udajemy się do jego domu.

Kalikaka to raczej osada, a nie spora wioska, jak sądziłem wcześniej. Teraz dopiero zobaczyłem, że mieszka tu tylko kilkanaście rodzin. Nie ma nawet szkoły elementarnej. Na lekcje dzieci muszą chodzić ścieżką przez busz do pobliskiej osady drwali. Obejścia wyglądają przyjemnie i schludnie. Wszystkie zabudowania rozmieszczone są nieregularnie w rzadkim mieszanym lesie. Wśród różnych gatunków drzew przeważają palmy. Jestem zachwycony wyglądem wioski, bo nie widzę tu żadnego betonu ani blachy... Wszystkie chatki są posadowione na palach ponad metr nad ziemią. Centralną część wioski stanowi dość mocno udeptana polanka. Wszędzie wokoło rosną krzewy o barwnych liściach i palmy dające cień i chłód w czasie upałów. Zbielące od starości dachy z palmowego liścia pięknie

odcinają się od ciemnego tła otaczającej je zieleni. O tym, że mieszkańcy lubią przebywać w estetycznym otoczeniu, świadczy mnóstwo pięknych roślin. Najwięcej jest ozdobnych krzewów bugenwilli i koleusów o wzorzystym listowiu. Spotygam tu też krzaczaste krotony o niesamowicie barwnych i różnorodnych liściach. Ta piękna roślina u nas pospolicie występuje w miniaturze jako ozdobny kwiat pokojowy, a tu najczęściej tworzy wysokie i gęste żywopłoty. Tymi ozdobnymi roślinami obsadzone są najczęściej fronty domków. Są tam przewiewne werandy, gdzie wspólnie się jada i przyjmuje gości. To najpopularniejsze miejsce odpoczynku i sąsiedzkich spotkań.

Pierwsza rzecz, która uderza przybysza, to to, że ludzie mieszkają tu dosłownie wśród drzew. Najwięcej jest wysmukłych palm arekowych, które rosną przed prawie każdą chatą. Nie brakuje też bananowców, drzew chlebowych o wielkich zielonych palczastych liściach i oczywiście palm kokosowych. Szczególnie moją uwagę zwracają palmy arekowe, które tworzą w wiosce istny gaj. Na cienkim, wysmukłym pniu o wysokości dwunastu do piętnastu metrów rosną owoce – betel.

Zwierzchnika wioski nie zastaliśmy w domu. Jego żona oznajmiła, że poszedł na plantację do buszu i powinien wkrótce wrócić. Nie chciałem dwa razy chodzić, więc powiedziałem, że poczekam na męża. Życzliwa kobieta poszła pichcić jedzenie dla sporej gromadki dzieciaków barszkujących na obszernej werandzie. Ich jasne włosy i ciemne urodziwe twarzyczki są wprost fascynujące. Kiedy zobaczyłem może trzyletniego brzdąca, jak ząbkami dobierał się do orzecha palmy arekowej, chwyciłem się za głowę i własnym oczom nie mogłem uwierzyć! Jak bardzo powszechna jest na wyspach ta szkodliwa używka, kiedy już nawet małe dzieci próbują naśladować dorosłych.

Czekając na gospodarza, przyjrzałem się jego domostwu. Cały dom to właściwie kryta drewniana podłoga o powierzchni cztery na cztery metry, jedynie w głębi przedzielona szczelną plecioną ścianką. To konstrukcja umocowana około dwa metry poniżej więźby dachowej. Chata stoi na czterech narożnych słupach około metr nad ziemią, jak wszystkie. Słupy te podpierają równocześnie konstrukcję dachową pokrytą liśćmi palmowymi. Z boku, na kamiennym podeście, jest małe palenisko. Pod dachem wiszą półki, na które stawia się narzędzia, naczynia i tym podobne rzeczy. W głębi wspomniana ścianka z silnej plecionki bambusowej oddziela całą werandę od małego pokoju – to sypialnia rodziny. Gdy filmowałem i robiłem zdjęcia milutkim dzieciakom, Charlton spokojnie przeżuwał porcję betelu, siarczyście spluwając przy tym na prawo i lewo czerwoną syrypiną. Obaj z niecierpliwością czekaliśmy na szefa, który w końcu zjawił się z plecionym koszem na plecach i maczetą w ręku.

Kiedy wracaliśmy do domu, na piękne liście palm padał już ostatni blask zachodzącego słońca. Dookoła w lesie rozlegały się krzyki nieznanym mi ptaków. Jakoś dziwne, że w dzień ich nie słyszałem.

## Smutek tropików

Życie ludzi poznajemy najlepiej, przypatrując się ich codziennym czynnościom – nie tym na pokaz, ale takim, które wykonują każdego powszedniego dnia. Mieszkam w wiosce, gdzie domy z dachami krytymi liśćmi palmowymi i wsparte na palach nie mają wszystkich ścian, więc łatwo mogę obserwować, co dzieje się w środku. Wystarczy tylko zatrzymać się w pobliżu chaty. W Kalikace dzień rozpoczyna się bardzo wcześnie. Zaledwie można rozróżnić kontury chat w pierwszej szarzyźnie ranka, już słychać krzątanie.

Było jeszcze ciemno, kiedy leżąc pod moskitierą, poczułem charakterystyczny słodkawy swąd dymu z palonej włóknistej łupiny kokosa. Dzisiejszej nocy nie miałem dobrego snu, cały czas ktoś kaszlał, nieraz jakiś ptak rozdarł się skrzekiem na cały głos, tak że prawie nie spałem. Wyspy Salomona to najbardziej malaryczny obszar świata. Często nadużywa się słowa „najbardziej”. Dlatego dodam, że na liście światowego zagrożenia malarią naprawdę zajmują pierwszą pozycję! Stąd pewnie te nocne głośne kaszle i zasmarkane buzie maluchów, które z taką pasją wczoraj fotografowałem. Ludzie śpią tu pod moskitierami. Chociaż są stare i często z dziurami, jednak jakoś tam chronią przed latającą zarazą.

W skrócie opiszę, jak zaczyna się przeciętny dzień. Już przed świtem ludzie wychodzą spod moskitier ochraniających nocą ich maty do spania. Pierwszą czynnością jest rozniecenie ogniska pod wiatką kuchenną w pobliżu chaty. Jest jeszcze szarawy świt, kiedy kobiety idą po wodę do pobliskiej rzeczki. Ujęcie wody znajduje się w pobliżu miejsca, gdzie wszyscy chodzą się kąpać. Przy okazji

wspomnę, jak ludzie dbają tu o higienę. Mogę stwierdzić, że mają trzy w jednym! Kuchnię, łazienką i wychodkiem jest pobliska rzeczka. Rano nie widziałem, by ktoś szedł się kąpać, wychodzą tylko za potrzebą. Wieczorna toaleta zawsze rozpoczyna się po zmierzchu. To najlepszy sposób na zachowanie dyskrecji. Najpierw nad rzeczka chodzą kobiety, a dopiero potem mężczyźni.

Kiedy Charlton zaprowadził mnie wczoraj wieczorem do kąpieli, bez namysłu zrezygnowałem – z kilku powodów. Było zupełnie ciemno, a do wody schodziła bardzo błotnista i niebezpiecznie śliska ścieżka. Na miejscu nie było nawet gdzie złożyć ubrania, no i trochę się krępowalem. Miejscowi kąpią się tu od urodzenia, więc to dla nich normalne. Do rzeczki maszerują z szamponem lub mydłem, obuci w klapki lub boso, mając na sobie tylko ręcznik lub gacie. Jak już jestem przy higienie, to dodam, że kawałek dalej w górę strumienia jest wioskowa pralnia i miejsce mycia naczyń. Co zaś tyczy się ubicacji, to sprawa jest równie prosta. Nikt nie śmie załatwiać żadnych swoich potrzeb fizjologicznych w pobliżu domu, dlatego wszyscy chodzą w wyznaczone miejsce w dole strumienia. Byłem mocno zdziwiony, że to aż tak daleko!

Rankiem, kiedy kobiety pichcą coś do przekazania i wyprawiają dzieciaki do szkoły, mężczyźni rozkoszują się miejscową używką. Przykucnięci przy chatach wyjmują z zawiątek swoje nieodłączne skarby. Są to orzechy, kawałki liści palmy arekowej i szczypta wapna z pudełka.

Betel to „towarzyska używka”, dlatego w tym czasie nierzadko z pobliskiej chaty przysiada się sąsiad lub przyjdzie jakiś kolega. Towarzystwo zawsze wzajemnie się wspomaga i dzieli betelem – dzisiaj ty, jutro ja. Najważniejsze jest to, żeby zażyć używkę wcześniej rano, kiedy organizm domaga się jej najbardziej... Są tacy, którzy specjalnie wstają już pół godziny wcześniej, by rozkoszować się betelem. Obwinięci w koce czy kawałki materiału, siadają w kucki przed chatą i oddają się swemu ulubionemu zajęciu. W ten sposób potrafią przesiedzieć i godzinę bez ruchu! Nawet po miesiącu nie doszedłem do „naukowych wniosków”, czy oni w tym czasie myślą, czy raczej tylko drzemią. A może dumają nad swym losem...

Słońce przedarło się poprzez rzadkie korony gaju palm arekowych i oświetliło dachy chat na polance. Niskie słońce to moja ulubiona pora na zdjęcia. Mam dobry humor, bo zapowiada się pogodny dzień. Zabrałem aparat fotograficzny, saszetkę kawy 3 w 1 i udałem się po wrzątek do Patrycji. Już od pewnego czasu widziałem, jak krzątała się przy ogniu pod wiatą. W pobliżu dostrzegłem Charltona i jakiegoś kolegę. Trzymając kubek gorącej kawy, podszedłem do siedzących na ławce mężczyzn. Trafiłem akurat w chwili, gdy dzielili się betelem.

Z zaciekawieniem przyglądam się przygotowaniom do żucia. Pośród wszystkich używek chyba na czwartym miejscu w świecie, po tytoniu, alkoholu i kawie, trzeba by wymienić betel. Jak widać, używki są różne. Trzymam w ręku moją, czyli kawę, miejscowi zaś, jak widać, preferują betel. Z tą egzotyczną używką pierwszy raz zetknąłem się wiele lat temu na Timorze w Indonezji. Wtedy też spróbowałem tego orzecha pierwszy raz, a nawet chwilę miałem go w zębach. Efektu nie poczułem, gdyż pośpiesznie wyplułem to obrzydlistwo i na tym skończył się mój kontakt z tym owocem. Możemy być zszokowani, kiedy po raz pierwszy zobaczymy czarne zęby i czerwone usta tubylców. Dlatego pewnie też zaciekawi każdego, co też to jest ten cały betel. Jest to zielony orzech wielkości dużej śliwki. Żeby się dostać do środka, trzeba oddzielić jego zewnętrzną skórkę od białego, miękkiego owocu. Tubylcy używają do tej operacji zębów. Zielona, a czasami czerwono-brunatna skórkę przypomina w miniaturze włóknistą łupinę orzecha palmy kokosowej. W środku jest miękkie jądro wielkości dużej czereśni. Miejscowi rozgryzają je i żują.

Nie pamiętałem już właściwości tej używki, więc teraz dla przypomnienia poprosiłem na próbę jeden owoc. Zębami rozłupałem orzech i po oddzieleniu od łupiny rozgryzłem i zacząłem żuć. Już przy rozgryzieniu czuć drętwy zapach świeżej kory zeszkrobanej z gałęzi drzewa. Sam miąższ jest gorzkawy, cierpki i lekko kwaśny. Trudno jest określić smak i zapach. Najbardziej przypomina anyż zmieszany z imbirem, czuć troszkę powiewu cynamonu, a wszystko jest przemieszane z wonią starych wypełniaczy dziur w zębach, które zawsze czułem w ustach przez kilka dni po wizycie u dentysty. Żucie powoduje nieprzyjemne drętwienie ust i języka. Na tym etapie zakończyłem swój test. Brak jakichkolwiek walorów smakowych zdecydował, że nie miałem ochoty na więcej. Po kilku minutach żucia postanowiłem nie męczyć się dłużej i z ulgą wyplułem to świństwo.

Aby uzyskać większy efekt działania, niektórzy żują dodatkowo zieloną, piętnastocentymetrową „bazię” lub chociaż kawałek liścia z tego drzewa. To nie wszystko – aby uzyskać pełny efekt działania owocu, dodaje się jeszcze szczyptę wapna. Trzyma się je zawsze w pudełeczku czy jakimś zawiniątku. Dodatek wapna ma ułatwić przedostanie się substancji stymulujących do krwiobiegu. Jeśli owoc betelu jeszcze da się pogryźć, to rozgryzienie bazi z palmy arekowej jest obrzydliwe. Kwadrans żucia orzeszka i szczypty wapna powoduje, że wypluwka przybiera kolor pomarańczowy, a po godzinie staje się krwistoczerwona. Aby swobodnie zażywać betel, trzeba się do tego przyzwyczaić. Poza działaniem pobudzającym jego żucie orzeźwia i podobno ma właściwości lecznicze – likwiduje pasożyty i odkaża przewód pokarmowy.

Mówiąc o żuciu orzechów areki, często wspomina się o skutkach ubocznych ich długotrwałego zażywania. Zwiększa ono ryzyko zachorowań na raka jamy ustnej, astmę i prawdopodobieństwo ataku serca. Powoduje również sztywnienie szczęk i nadmierne ścieranie zębów. Żucie betelu jest jednak tak głęboko zakorzenione w świadomości, zwyczajach i kulturze mieszkańców Melanezji, że groźnie brzmiące skutki uboczne nie robią na nich wrażenia.

Mężczyźni wybierają się do pracy dopiero wtedy, gdy nabiorą werwy po zażyciu betelu. Idą na swoje plantacje suszyć koprę lub łowić ryby. Kobiety mają dużo więcej obowiązków, szczególnie w obejściu. Już od świtu z maluchami w zawojach na plecach lub z boku rozpoczynają domowe prace. Gotują, piorą, zbierają gałęzie na opał. Trzeba też nakarmić świnię, które nie biegają swobodnie po wiosce jak na Vanuatu. Tu są trzymane i tuczone w małych klatkach ustawionych na palach pół metra nad ziemią, coś jak u nas króliki. Kobiety pracują też ciężko na ogrodach w buszu, co też zajmuje im dużo czasu. Dzieci, które nie chodzą jeszcze do szkoły, pilnują młodszego rodzeństwa.

Przed chatami na sznurkach suszą się pieluchy. Czy gdzieś jeszcze można spotkać taki widok? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem bawełniane pieluszki łopoczące na wietrze... Z miejscowymi dziećmi jest inaczej niż u nas. Już od początku mają pod górkę. Przy porodach przeważnie nie ma akuszerki, nie ma czystej wody do obmycia, nie ma buteleczki z ciepłym mleczkiem, nie ma kołyski czy wózka. Tutejsze kobiety często rodzą w chatach, przy porodzie nie boją się brudu. Dzieciaki karmione są piersią bardzo długo, aż do pojawienia się następnego dziecka, przeważnie dwa, trzy lata. Zamiast wózka jest kawał materiału przewiązanego przez szyję, w którym dzieciak siedzi okrakiem na biodrze matki albo często starszego, choć jeszcze małego rodzeństwa. Gdy brzdąc zaczyna się samodzielnie ruszać, bawi się pod domem z psami, przeważnie na golasa. Jeśli ma coś na sobie, to kusą koszulinę. Gdy mu się urodzi braciszek lub siostrzyczka, musi nosić maluszka w zawoju, choć sam ledwie chodzi. Ulubionym miejscem zabaw jest pobliska plaża. Do przedszkola nie chodzą, bo go nie ma. Większość dzieci jest permanentnie przeziębionych, wystarczy tylko spojrzeć na zasmarkane buzie i posłuchać, jak kaszlą w nocy.

Wszystkie rodziny są wielodzietne. Dzieciaki są rozbrykane i cieszą się dużą swobodą. Rodzice otaczają je miłością i obsypują pieścizotami, pozwalając na wszystko. Wczoraj widziałem brzdąca, który ledwie chodził, a już w buzi obgryzał orzeszek betelu... Dzieci nikt nie karci. Młodzież chętnie towarzyszy starszym w ich pracach, ale nie traktuje tych zajęć jako obowiązku. W zasadzie na razie nie muszą jeszcze pracować, bo rodzice podsuwają im wszystko pod nos. Kiedyś sytuacja się odwróci, bo w biednych krajach starzy rodzice zdani są tylko na pomoc i opiekę dzieci.

W Kalikace nie zamierzam spędzić więcej niż trzy dni. Jutro lub pojutrze muszę wyruszyć na południe, do Hirolegu, ale zawsze jest jakieś „ale”... Kilka kilometrów od wioski w morze wybiega klifowy półwysep, którego nie da się obejść brzegiem. Wysoką ścianę skalną stale atakują fale. Miejscowi pokonują ten odcinek wybrzeża łodziami lub okrążają ścieżką przez bagienny busz. Po drodze jest mała leśna osada Galili. Moje rozeznanie możliwości pokonania tego odcinka nie trwało zbyt długo, wszyscy znają swoją okolicę. W wiosce jest kilka łodzi z silnikiem i nie ma problemu z wynajęciem jednej. Rozmawiałem z właścicielami, jednak żaden nie chciał zejść z ceny poniżej 200 miejscowych dolarów. Jest to prawie tyle, ile kosztował mnie rejs do Kalikaki. Charlton poradził wynająć przewodnika i iść pieszo. Weźmie on za to nie więcej jak pięćdziesiąt dolarów, co w przeliczeniu wyniesie jakieś siedem dolarów USA, i jeszcze poniesie plecak, jeśli poproszę. Nie zastanawiałem się długo i zdecydowałem się właśnie tak pokonać pierwszą przeszkodę.

Mimo że niebo się zachmurzyło, postanawiam rozejrzeć się po okolicy i zrobić rekonesans przed jutrzejszą wędrówką. Chcę dojść brzegiem morza do półwyspu i wrócić. Jak większość wysp archipelagu, także Santa Isabel w wielu miejscach jest trudno dostępna. Tylko kilkukilometrowy pas łagodniejszych wzgórz na brzegu jest zagospodarowany, reszta powierzchni praktycznie nie nadaje się do wykorzystania rolniczego. Nie ma tutaj wielkoobszarowych plantacji palmy kokosowej i większych upraw warzywnych. O braku dróg wspominałem wcześniej.

Przy okazji spaceru chcę zobaczyć, jak dewastuje się przyrodę. Od dłuższego czasu na wyspie trwa wyrąb cennych drzew. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu pozyskanie drewna w górzystym terenie nie było łatwe. Dzisiaj profesjonalnym buldożerem, piłom i maszynom żadne drzewo się nie oprze. Dojadą wszędzie tam, gdzie dawniej było to nie do pomyślenia. Każdy wiekowy olbrzym jest zagrożony. Dzisiaj pierwotna dżungla nie ma żadnych szans w starciu z ludzką zachłannością. Wielkie lasy tropikalne na Borneo i pobliskiej Papui-Nowej Gwinei bezwzględnie przetrzebiono. Wystarczy zobaczyć na mapie satelitarnej Google, jak dzisiaj wygląda tam dżungla.

Kilka lat temu byłem trzy dni nad rzeką Kinabatangan na Borneo. Jeszcze niedawno była to rzeka otoczona trudną do przebycia dżunglą. Przez dwa dni z przewodnikiem płynąłem tamtędy małą łodzią motorową. Pamiętam, że w wielu miejscach trudno było uniknąć na filmie ujęcia, w którym w tle nie byłoby widać kawałka plantacji palmy olejowej zamiast prawdziwego lasu tropikalnego. Smutne jest to, że nienasycony człowiek najpierw wycina rabunkowo szlachetne drzewa z dżungli, potem zaś buldożerami oczyszcza teren i zakłada ogromne plantacje palmy olejowej. Najgorsze w tym jest to, że oleju z olejowca gwinejskiego nie wykorzystuje się w branży spożywczej, a jako dodatek do paliw! Takie plantacje równiutko pod sznureczek rosnących drzew zajmują już tysiące kilometrów kwadratowych i dalej są rozszerzane. Można je zobaczyć w Sabahu na Borneo. Powiem nawet, że nie warto tam jechać, bo i po co? Wystarczy zobaczyć w Internecie na mapie, jak wygląda teren z góry. Byłem załamany, kiedy przejeżdżałem przez ten kraj z Tawau do Sandakan. Z obu stron drogi ciągnęły się wielkie plantacje olejowca gwinejskiego. To dzieło chińskiego biznesu, który trzęsie malezyjską gospodarką i robi, co chce, ze środowiskiem naturalnym. Kawałeczki lasów tropikalnych zostawiono tam chyba tylko dla ostatnich orangutanów, nosaczy i makaków. Może tylko dla zobaczenia tych zwierząt warto tam pojechać.

Na szczęście jeszcze trochę prawdziwej dżungli widziałem. Było to na południe od Sabahu, w sąsiednim Kalimantanie nad Sungai Kayan. Ale dzisiaj i tam, w sercu Borneo, może już też być tragicznie z lasami. Popłynąłem wtedy długą łodzią z Tanjung Selor w górę rzeki i kilka dni przebywałem w Long Bia. Było to w 2008 roku.

Wtedy widziałem, jak rzeką Kayan wolno spływały ogromne tratwy. Zbudowane były z kilkadziesiątu pni drzew egzotycznych powiązanych linami. Każdy taki pień miał powyżej metra średnicy. Szpary między kłocami zatyka się gałęziami i mchem. Na takim zaimprovizowanym kawałku ładu buduje się szałas. W czasie kilkunastodniowego spływu jest to mieszkanie obsługi, która przez kilka dni asekuruje w dół rzeki powiązane drewno. Na takiej ruchomej wyspie nieraz płyną całe rodziny. Mało tego, wieczorami widać na tratwach płonące ogniska. W dzień przy kociołku ktoś pichci posiłek, a ktoś inny łowi ryby. Tak mijają dni w otoczeniu bujnej nadbrzeżnej przyrody. Kiedy rzeka nabiera szerokości, otwierając się do morza, zjawiają się trudności. Przyptyw wdziera się w głąb ładu tak daleko (może to być nawet kilkadziesiąt kilometrów), że zmienia się kierunek prądu. Dawniej był to poważny problem, ale i z nim się uporano. W czasie przyptywu rzucano przed siebie kotwice i tak czekano, dopóki nie przyszedł odpływ i nie zaczął ciągnąć tratwy ze sobą. Dzisiaj, chociaż rzeka pozostała nadal tradycyjną drogą, przy ujściu łaskę i niełaskę prądów zastąpiły silne motorówki.

W pobliżu ujść rzek znajdują się tartaki, które z wielkich pni drzew wycinają wymiarowe tarcice, deski i belki. Ogromne hałdy trocin, kory i nierównych końcówek pni gromadzących się przy tartaku zabierze wzbierająca rzeka i poniesie do oceanu, zacierając ślady rabunkowego gospodarowania człowieka. Te góry odpadów widziałem przy tartakach nad rzeką Barito na południu Borneo. Świadczyły o masowej skali wyrębów w dżungli. Byłem przerażony i mam nadzieję, że tego tu nie zobaczę.

Po dobrej godzinie spaceru wąską plażą doszliśmy do rzeczki szeroko rozlanej przy ujściu. Nie jestem sam, idzie ze mną dwóch chłopców, zawsze to raźniej. Mało co możemy się ze sobą porozumieć,

ale nam to nie przeszkadza i jest weselej, poza tym nie muszę martwić się o drogę. Przed rzeczka skręcamy w las i po kilkudziesięciu krokach dochodzimy do obszernej polany, na której składowane są wielkie pnie ściętych drzew. Prawie wszystkie mają średnicę przekraczającą metr, a są i takie, które mają do półtora metra średnicy! Robię tym olbrzymom zdjęcia. Pnie pocięte są na długość najwyżej czterech i pół metra. Nie wiem, jakie to gatunki, ale korę mają gładką, a drewno jasne. Przykro patrzeć na kilka porzuconych olbrzymich pni leżących na skraju polany. Mają średnicę na przynajmniej dwa metry i są na wpół spróchniałe. Myślę sobie, ile takich drzew pozostawiono na zmarnowanie w lesie. Zostaną tam na zawsze, z powodu nieprzemyślanego dalszego transportu. Wygląda na to, że i tu ktoś przeliczył się z możliwością załadowania wielkich pni na statek. Teraz marnieją, jako ukryte w lesie pomniki ludzkiej głupoty i chciwości.

Na świecie naliczono 2 500 gatunków drzew, a tylko dla około 180 znaleziono zastosowanie w gospodarce. Niedawno dowiedziałem się, że kolor drewna zależy od tego, na jakiej glebie rośnie drzewo. Drewno z wilgotnych lasów tropikalnych, z drzew rosnących na glebach laterytowych z dużą zawartością związku glinu i żelaza, ma zabarwienie czerwone (Amazonia, Afryka). Na mniejszych wyspach pochodzenia wulkanicznego drewno ma kolor jasny, żółtawy. Takie właśnie zabarwienie mają pnie leżące na polanie. Najcenniejsze i najbardziej poszukiwane przez przemysł gatunki drzew występują w lesie w wielkim rozproszeniu.

Od kilkunastu lat trwa rabunkowa wycinka cennych drzew na Wyspach Salomona. Dawniej znalezienie cennych drzew wymagało poszukiwań w terenie. Obecnie dokładne zdjęcia satelitarne precyzyjnie pokazują, co jest w lesie i gdzie się znajduje z dokładnością do kilku metrów. Takie metody rozpoznania stały się dramatem lasów i ułatwiły ich rabunkową eksploatację, przez co w błyskawicznym tempie wyczerpują zasoby. Dżungla nie może nadążyć z wypełnieniem luk stworzonych przez nienasyconego człowieka. Nikt nie myśli o nasadzeniach. Skorumpowani urzędnicy rozdzielają koncesje firmom dysponującym sprzętem, którym można obecnie wszędzie dotrzeć. Tak też jest na Santa Isabel. Jeszcze niedawno nikt nie sądził, że w dziki górzysty busz może wjechać jakiś sprzęt i zagrozić drzewom. Idę przez osadę drwali, która powstała nagle i wkrótce tak samo nagle zniknie, kiedy wytną ostatnie drzewo. Zniknie tu, ale pojawi się gdzie indziej, tam gdzie jeszcze są drzewa nadające się do wyrębu. Wkrótce zapadnie zmrok i pograży w ciemności baraki drwali, dlatego pośpiesznie wracamy drogą przez las do Kalikaki.

Wieczorem poszedłem na pobliską plażę. W ciemności łatwiej uwolnić myśli od przykrej prawdy o dewastacji przyrody. Panuje tu cisza, którą tak bardzo lubię. Nie słychać ludzkiej mowy i sporów. Ogólny spokój zakłóca tylko jednostajny szum morza i wiatr, a czasem głośny wrzask jakiegoś ptaka. Takie otoczenie wywiera na mnie dobry wpływ. Wieczorna łagodna temperatura, roślinność i piękno okolicy każą zapomnieć o kłopotach. W takim miejscu i czasie nie myśli się o przyszłości, a raduje teraźniejszością. Czegoż mi więcej potrzeba? Z jednej strony mam morze z rafami koralowymi, z drugiej zaś las z tropikalną roślinnością. Siedzę na grubym pniu wywróconego drzewa i jestem zadowolony, że tak daleko dotarłem na mało komu znaną wysepkę Santa Isabel. Spoglądam na południowe niebo. Gwiazdy przemiłe mrugają w różnych konstelacjach. Widzę Krzyż – ten południowy, który tak pysznie dekoruje niebo tu, pod równikiem.

## Wędrowka do Hirolegu

Kiedy się czyta relacje podróżnicze o trudnych do przebycia dżunglach i gorącym dusznym klimacie, a do tego o niebezpiecznych wężach, pijawkach i mrowiu insektów, wyobrażnia zbyt mocno działa. W rzeczywistości nie jest tak strasznie. Ale i inne niemiłe przygody mogą się zdarzyć.

Wieczorem wpadł mi do oka jakiś maleńki owad i choć zdołałem go wyjąć, bardzo mnie bolało. Zmartwiony tym, co będzie jutro, jakoś zasnąłem. Chociaż byłem zmęczony, nie miałem dobrej nocy. Z zewnątrz dochodziły również jakieś jęki, głośny kaszel i inne odgłosy, które często mnie budziły. Było jeszcze ciemno, kiedy jak na złość koguty zaczęły popisywać się swoim krzykliwym pianiem. To był już koniec mojego krótkiego spania. Na szczęście z okiem było już wszystko w porządku. Ucieszyłem się, bo czasem z takiego głupstwa mogą być poważne kłopoty. Zdrowie jest zawsze najcenniejsze, tym

bardziej że jestem tak daleko od jakiegokolwiek medycznej pomocy.

Leżałem pod moskitierą i wsłuchiwałem się w jednostajny szum fal pobliskiego brzegu. Dzisiaj po śniadaniu wyruszam do Hirolegu. Moim przewodnikiem będzie Fodi, młody, może siedemnastoletni chłopak. Jego powierzchowność szczególnie odpowiada rysom Melanezyjczyka. To nie jakiś pędrak, a dobrze zbudowany i silny młodzieniec. Nie przeszkadzają mi jego czerwone usta i czarne od żucia orzechów areki zęby. Jak na swój wiek musi być już dobrze zaprawiony w tej używce! Betel, który tak często krytykuję, ma kilka zalet. Z zapaskudzonych ust żujących go ludzi czuć świeży oddech, to już wiem. Mówią jaszce, że zaletą żucia betelu są zdrowe zęby, chociaż przerażają wyglądem. Jakoś nie mogę się do tego przyzwyczać, szczególnie kiedy widzę ładne buzie dziewczyn z krwistoczerwonymi ustami.

Po śniadaniu, składającym się ze smacznej chińskiej konserwy mięsnej, sucharów i kawy cappuccino 3 w 1, spakowałem plecak i byłem gotowy do drogi. Przez dwa dni w Kalikace niestety nie udało mi się naładować akumulatorów do kamery i aparatu. Liczę, że w Hirolegu to się uda. Jak tak dalej pójdzie, to blado widzę filmowanie, gdyż mam tylko jeden słaby akumulator... Przed wymarszem siedzimy jeszcze trochę na werandzie i rozmawiamy. Ale tylko z Charltonem i jego dobroduszną matką Patrycją mogę porozmawiać, bo dobrze znają angielski, u innych jest to problem. Z głową domu Franceskiem w ciągu dwóch dni nie zamieniłem ani jednego słowa! Już pierwszego dnia zwróciłem uwagę na urodę tutejszych ludzi. Ciekawym, jak piękna musiała być za młodu matka Charltona, bo i teraz jest ładną kobietą.

Było miło, ale trzeba ruszać. Na drogę dostałem jeszcze papaję, którą z trudem włożyłem do plecaka. Charlton daje ostatnie wytyczne Fodiemu, który ma mnie przeprowadzić przez busz do brzegu za niedostępnym półwyspem. Po przejściu rzeki po drodze będziemy mijali małą osadę leśną Galileu. Dalej pójdę już sam. Za przeprowadzenie do tego miejsca przy świadkach wypłacam chłopcu ustalone pięćdziesiąt tutejszych dolarów. Jest to co prawda cztery razy mniej niż za wynajęcie łodzi, ale drogę muszę pokonać pieszo...

Żegnaj się z dobrymi i uczynnymi ludźmi, których już nigdy nie zobaczę. Ten moment rozstania jest trudną chwilą. Może dlatego, że zbyt szybko i łatwo nawiązuję kontakty. Skromne życie i bezinteresowność mieszkańców rozbijają mnie. Kalikaka leży na krańcu Santa Isabel. Tu nawet nie kończą się drogi, bo ich nie ma. Zaczyna się gęsty i wilgotny las tropikalny. Ze wzgórz w głąbi wyspy spływa wiele rzeczek i strumyków, liczne są też bagna. Dla mnie jednak ten świat zabity deskami jest wyjątkowo atrakcyjny, bo mam bezpośredni kontakt z wyspiarzami z przybrzeżnych wiosek i osad oraz czuję bliskość przyrody. Miałem szczęście zobaczyć to wszystko na własne oczy i poczuć na swojej skórze, zanim ten świat zginie.

Zarzucam mój sterany plecak na grzbiet i ruszamy w drogę, a raczej na bezdroża... Spory kawał idziemy wąską plażą pod pochyłymi palmami. Mijamy też wiele palm wywróconych, które zagradzają drogę. Nikt ich tu nie usuwa. Po kilku sztormach fale uniosą je w bezkres oceanu. Niebo jest błękitne, a trochę pierzastych chmur nie zapowiada deszczu przed południem. Około godziny piętnastej powinienem dojść do Hirolegu, a tam już bez kłopotu odszukać Barabasa, który pewnie będzie zdziwiony moim rychłym przybyciem.

Kilkaset metrów przed ujściem pierwszej rzeki ścieżka skręca i wchodzimy w gęsty bagnisty las. Idziemy na przełaj przez gąszcz leśny, mokradła i błoto. Musiałem oddać swój plecak Fodiemu, by mi się łatwiej szło i żebym mógł swobodnie filmować. Czasami najłatwiejsza droga prowadzi krętymi łożyskami potoków, chociaż zimna i brudna woda sięga kolan. Już nie zważam na moje spodnie i sandały, prę jak czołg, aby do przodu! Z niecierpliwością wyglądam osady Galileu, ale jeszcze trzeba przejść brodem rzeczki, bo tam woda jest płytsza niż przy ujściu. Nieustannie potykam się o zbutwiałe pnie zwalonych drzew i splątane gałęzie leżące na ziemi. Jest duszno i parno, pot przykleja koszulę do skóry. Na głowę i za kołnierz bez przerwy spadają mi krople wody ociekające z liści. Posuwamy się wolno i ostrożnie. Fodi idzie z przodu, ja kilka kroków za nim. Teraz wiem, dlaczego tak drogi jest transport łodzią.

Z każdym krokiem coraz bardziej żałuję mojej pochopnej decyzji. Wprawdzie zaoszczędziłem parę dolarów, ale nie było warto. Tędy chyba nikt nie chodzi, bo nie widzę żadnej ścieżki. Kilka razy

przechodzimy przez bagno po zwalonych wielkich pniach. To najgorsze odcinki drogi, bo pnie są niebezpiecznie śliskie. Przed każdym krokiem trzeba po omacku szukać pewnego oparcia dla stopy. Nie mogłem ryzykować utraty lub zniszczenia mojego cennego sprzętu. Fodi idzie na bosaka, swoje japonki trzyma w ręku. Sądzę, że mój trzynastokilowy plecak wcale mu nie ciąży. Co pewien czas przystaje i czeka, aż dojdę, a potem szczyrzy czarne zęby, uśmiechając się szeroko rozwartą czerwoną gębą.

Niebo zagląda do nas z góry. Ze wszystkich stron zamyka nas tropikalny gąszcz, nad którym wznoszą się kilkudziesięciometrowej wysokości ogromne drzewa oplecione lianami. Wielobarwne korony drzew są tak gęste, że ledwo przedziera się przez nie światło. Ciszę lasu co pewien czas przerywa skrzek jakichś dużych ptaków. Co chwilę twarz nieprzyjemnie oblepiają zwisające z krzaków pajęczyny. Muszki i inne drobne fruwające tałatajstwo też mnie denerwują.

Kilka lat temu wędrowałem przez siedem dni przez dżunglę w Boliwii nad górną Ríó Beni. Nie było tam tak dziko jak tutaj, jedynie robactwo było bardziej wredne. Być może osiem minionych lat sprawiło, że stałem się zbyt ociężały na takie klimaty. Teraz mi jakoś trudniej pokonać podobne przeszkody. Na szczęście zbliżamy się do końca zielonej udręki. Przed nami leśny przysiółek Galileu. Przechodzimy jeszcze płytką, ale dość szeroką rzeczka, ponoć krokodylową. Prawie do pasa jestem upaprany błotem, tu oplukuję zabłocone spodnie. Bliskość osady można stwierdzić po swądzie palonych włóknistych łupin kokosa.

Wychodzimy na zaciszną polanę i zatrzymujemy się na krótki odpoczynek. Osada składa się z paru bambusowych chat na palach, podobnych jak w Kalikace. Przysiółek wygląda na wymarły, tylko po zapachu dymu znać, że ktoś tu mieszka.

Z jednej z chat wychodzi cudny chłopaczek, może dziesięcioletek, o białozłotawej cerze i kędzierzawych jasnych włosach. Po chwili zjawia się drugi, młodszy. Ten ma cerę nieco ciemniejszą i jasnozłociste kręcone włosy. Na każdym kroku widać, że rysy twarzy i ogólny wygląd mieszkańców Wysp Salomona wskazują na dużą domieszkę krwi polinezyjskiej. Ich skóra jest jaśniejsza, a twarze są delikatniejsze niż u sąsiadów z bardziej południowego archipelagu Vanuatu. Wyrostki bacznie mi się przyglądają. Gdyby nie Fodi, wątpię, czy byliby tak śmiali, by podejść.

Nie zatrzymujemy się. Do plaży zostały ze dwa kilometry. Dobrze udeptaną ścieżką dochodzimy w pobliże ujścia płytkiej i szerokiej rzeki. Przechodzimy ją, zapadając się po łydki w mulistym dnie. Na drugim brzegu nie trafiamy na szlak, gdzieś się zgubił. Ostatnich kilkaset metrów Fodi prze do przodu, kierując się tylko szumem morza. Końcówka to przedzieranie się jakimś mało uczęszczanym szlakiem. Brniemy w tunelu krzaków po śliskiej, pełnej korzeni, patyków i zgniłych liści ścieżce.

W końcu wydostajemy się z mrocznego buszu na otwartą plażę za skalistym półwyspem, którego obejście tak dało mi dzisiaj w kość! Podziękowałem mojemu przewodnikowi, szczególnie wdzięczny byłem mu za targanie plecaka. Fodi zniknął w buszu, a ja na chwilę usiadłem na powalonym pniu palmy. Obok, na brzegu, leżą dwie solidne dłubane łodzie. Tu, za półwyspem, w kilku miejscach piaszczysty brzeg jest poprzerywany wysadzonym na wierzch przez erozję wapieniem koralowym. Patrząc na wąski, ozdobiony palmami kokosowymi pasek plaży, nie szerszy niż dziesięć metrów. Z początku będę musiał kluczyć pomiędzy niewysokimi skałami koralowymi obmywanymi falami i łachami piaszczystej plaży. Trzeba uważać, bo taka wygładzona skała jest bardzo śliska, na szczęście dalej mam już gładką piaszczystą plażę.

Santa Isabel, jak i pozostałe wyspy archipelagu, jest pochodzenia wulkanicznego, dlatego piasek jest ciemny, co mi wcale nie przeszkadza. Wulkany na Vanuatu są dalej aktywne, tu zaś już od dawna nieczynne. Na ich wygasłych podmorskich krawędziach miliardy stworzonek, wprost niezliczone maleńkie polipy koralowe, zbudowały i dalej budują warstwy wapienne. Polip może żyć tylko tuż pod powierzchnią wody. Po obumarciu na jego wapiennym szkieleciku rozwija się nowy. I tak w ciągu setek, tysięcy lat powstaje skała wapienna. Koralotwórcze zwierzęta potrzebują ciepła, światła i stosunkowo płytkich wód. Jednak skały koralowe znajdują się również na dużych głębokościach lub na wierzchu, tak jak tu. Nawet w czasie przyływu sterczą ponad wodą. Wyjaśnienie jest proste – sprawcą podnoszenia i opadania skał koralowych są trzęsienia ziemi i ruchy tektoniczne.

Moja marszruta do Hirolegu teraz, gdy mam za sobą mroczny busz, to prawdziwa przyjemność. Byłoby rażniej, gdyby mi ktoś towarzyszył, ale z drugiej strony nie zwracałbym tak bardzo uwagi na



otaczającą przyrodę. Rozmowa w czasie wędrówki to dla mnie zwykle i niepotrzebne blubranie, czyli pieprzenie bez sensu. Poznawanie obcych krajów i obcowanie z dziką przyrodą w pojedynkę jest dużo owocniejsze. W samotności mogę zatopić się w swoich myślach.

Idę sobie pomału i wspominam historię rejsu brygantyny, którą kazał zbudować de Mendaña. Mogła ona gdzieś tu w pobliżu przepływać. Może właśnie na tej plaży obozowała lub wpadła w zasadzkę wyspiarzy załoga statku? Niewykluczone, że to tutaj rozgniewani wyspiarze wrzucili do łodzi niedojedzony do końca tors chłopca.

Po lewej ręce mam stale gęsty busz, nad którym strzeliście wybijają się palmy kokosowe, są ich setki. Ktoś je tu musiał zasadzić i stale dosadza, co jakiś czas przechodzę obok wywróconych gołych pni bez koron. Gdyby człowiek chciał, aby same się rozmnożyły, toby się nie doczekał. Pod wielkimi liśćmi, o ile cyklon ich nie zrzuci, wisi zawsze kilkanaście wielkich orzechów.

Zaczynam myśleć, jakżeż teraz przydałby się tu jakiś miejscowy! Mógłbym się napić orzeźwiającego soku, zawsze chłodnego, nawet w najgorsze upały.

Setki krabików umykają mi spod nóg. Nie muszę się martwić, że któregoś nadepnę. Tych bystrych zwierzątek nie jesteśmy w stanie nawet dogonić. Krabików pustelników z muszelkowym domkiem jest tutaj znacznie mniej. Najciekawsze, że każdy ma inną muszelkę.

Przeszedłem już kilka kilometrów plażą i nie spotkałem żywej duszy. Palma kokosowa uznana jest za błogosławieństwo tropików. Nikt jeszcze nie zliczył dokładnie wszystkich sposobów jej wykorzystania. Jednak najważniejsza jest kopra, z jej pozyskiwania utrzymują się setki milionów ludzi na całym świecie. Sam wyraz kopra pochodzi z języków południowoindyjskich – koppera – i oznacza orzecha kokosowego.

Przekraczam kilka wąskich strumieni, nawet nie zdejmując sandałów. Sądzę, że trochę przesadzają z tymi miejscowymi krokodylami. Przy wąskim strumieniu można rozejrzeć się, czy aby takiego gada nie ma w pobliżu. Nie ulega wątpliwości, że krokodyle na Wyspach Salomona żyją. Wczoraj nawet kawałek poszedłem śladem, który prowadził od wody w busz. Dowodem na to jest mój film, który z tego miejsca nagrałem dla niedowiarków. Żałuję tylko, że z przejścia nie zrobiłem zdjęcia, które mógłbym zamieścić w książce. Dochodzę do piaszczystej ławicy częściowo zamykającej ujście sporego strumienia. Za ławicą jest duże i dość głębokie rozlewisko. Kawałek dalej, na piasku, krokodyl zostawił swój niezgrabny ślad! Ślad nie wygląda na całkiem świeży, więc nie ma co panikować. Pocięszam się tym, że nikt w okolicy nie zna przypadku, by kogoś te bestie zżarły, czy choćby pokiereszowały, więc i mnie nie powinno nic złego spotkać. Nie mam zamiaru wchodzić w busz, dlatego szukam płycizny.

Przed wejściem do wody jeszcze dokładnie się rozglądam i ruszam naprzód. Rozlana szerokim korytem chłodna woda spokojnie płynie do morza. Wkrótce jestem po drugiej stronie. Nie wyjąłem z kieszeni spodni banknotów i teraz będę musiał je suszyć. Najważniejsze, że nie spotkałem krokodyla. Gadzina musi gdzieś tu mieć swoją siedzibę. Może tak być, bo unika ludzi, a miejsce, w którym się znajduję, jest z dala od Galileu i Hirolegu.

Dawniej na Wyspach Salomona ponoć było ich dużo. Przynajmniej tak pisał polski etnograf Borys Małkin, gdy pięćdziesiąt lat temu zapuszczał się w te odległe zakątki Pacyfiku. Z przewodnika wiem, że to krokodyl słonowodny jest potężnym gadem i doskonałym pływakiem. Rozprzestrzenił się z Azji Południowo-Wschodniej, po całym zachodnim Pacyfiku. Jest w pobliskiej Nowej Gwinei i w północnej Australii. Na początku ubiegłego wieku znaleziono go dwa razy nawet na Fidżi! Niewątpliwie krokodyle te przedostawały się z wyspy na wyspę, tak jak ciągną się łańcuchy archipelagów i wysepek. By to zrozumieć, wystarczy spojrzeć na mapę Morza Koralewego.

Idąc dalej, również nikogo nie spotkałem, chociaż nie ulega wątpliwości, że od czasu do czasu po orzechy muszą przypląwać tu właściciele palm. Naprawdę można się upajać widokiem okolicy. Malowniczo wygląda plaża z szeroko rozlaną przy ujściu rzeczką. Pogoda mnie rozpieszcza. Jest słonecznie i ciepło, ale nie upalnie. Lekki wiaterek przyjemnie chłodzi rozgrzane ciało. Dobrze się idzie w cieniu pierzastych liści przybrzeżnych palm. Rozpoczął się odpływ, coraz bardziej cichnie szum fal. Nie śpieszę się, robię sporo zdjęć dzikiej okolicy. Z brzegu wyraźnie widać kilka zielonych skrawków ładu na granicy błękitnego nieba i granatowej toni morza. To te same wysepki, które opisywałem

wcześniej. Stąd prezentują się mniej okazałe niż z pokładu statku.

Po drugiej stronie rozlewiska są zarośla mangrowe, co mnie trochę smuci, bo to kolejna nieprzyjemna przeszkoda. Mimo odpływu nawet nie próbuję obejść ich od strony wody. Wchodzę w to środowisko mieszkańców błotnistych zakątków. To tylko kilkaset metrów, więc dam radę. Roi się tu od wszelkiego niegroźnego, ale niezbyt przyjemnego zwierza. Słonorośla porastają zawsze ciche i spokojne ujścia rzek na tropikalnych wybrzeżach. Od strony morza i podczas przypływu roślinność ta ma postać ciemnozielonej ściany gęsto obok siebie skupionych koron drzew, wyrastających jakby wprost z wody.

Z daleka namorzynowe brzegi wyglądają pięknie. Całkiem inaczej z bliska, gdy już jest się wśród nich, mogą przerazić. Dopiero przy odpływie i z bliska widoczne są pnie i skłębione ośliżłe korzenie. Wszystkie przystosowane są do życia w gruncie słonym lub słonawym, błotnistym i okresowo zalewanym wodą. Najbardziej wysunięte w wodę są niewysokie drzewa z kłębiastymi korzeniami. Te mogą być zanurzone niemal przez całą dobę w błotnistej, słonej wodzie. Dalej od wody, zalewane przypływami, rosną gatunki wyższych drzew, które mają szczudłowate powietrzne korzenie. Wyrastają one ukośnie wprost z pnia i szeroko się rozchodzą. Pozwalają drzewom utrzymać się na grząskim gruncie oraz chronią je od silnych uderzeń fal. Właśnie przez taki gąszcz z mozołem się przedzieram. Drzew z korzeniami szczudłowymi jest kilka gatunków. Mijam właśnie takie, które mają dodatkowo tępawe kolce i bardzo nieprzyjemnie wyglądają. Ich korony tworzą pióropusze liści długich jak u pandanusa. Dla mnie wygląda to nawet jak jakaś jego odmiana. Liście mają na brzegach ostre ząbki. Mógłbym wejść głębiej w las, ale tam wcale lepiej nie będzie, wiem to po dzisiejszej wędrówce wokół półwyspu. Tam jednak tak paskudnie nie śmierdziało. Dobrze, że jest już kilka godzin po odpływie i nogi mi się nie zapadają w tej błotnistej brei.

Drepczę w sandałach po prawie czarnym, cuchnącym i wydzielającym niezdrowe wycieki szlamie. Wśród nagromadzonego w ogromnych masach korzeni mułu roi się od wszelkiego zwierza. Ustawicznie słychać pluski, szmery i odgłosy uciekających istot. Tylko po tym poznać, jak liczni są mieszkańcy tych błotnistych zakątków, bo trudno ich dostrzec. Zresztą nie przyszedłem tu jako przyrodnik, by przyglądać się przyrodzie, tylko chcę jak najprędzej stąd się wydostać! Za tym namorzynowym piekłem czeka mnie przyjemniejszy marsz piaszczystym brzegiem zatoki, i to mnie pociesza.

Moje przedzieranie się wywołuje popłoch wśród żyjących tu stworzeń, wszystko ucieka. Zmykają niezliczone gatunki krabów, zwłaszcza te gramolące się po gałęziach. Z pluskiem spadają do płytkiej wody, w której wygrzewają się i żerują kolorowe rybki. Najciekawsza jest mała rybka – poskoczek błotny. Wyjmuję kamerę i filmuję tego płochliwego dziwoląga. Jest ich dużo, dlatego udaje mi się za którymś razem sfilmować rybkę na gałązce. Z gałęzi skakały one na piasek lub do płytkiej wody i natychmiast w cudacznych podskokach dążyły ku lądowi. Tuż przed brzegiem zatrzymywały się, podtrzymując się na dnem swymi płetwami. Wybałuszały wtedy ciekawskie żabie ślepie, wpatrując się we mnie. Przy najmniejszym ruchu, spłoszone, uciekały w głąb wody, aby po chwili zawrócić znów w podskokach ku brzegowi. Poskoczek błotny to śmieszna rybka. Najciekawiej wyglądają jej peryskopowe, wysunięte ponad głowę oczy. Wystają one z wody podczas pływania tuż pod powierzchnią. W czasie odpływu ten dziwny stworek, za pomocą przednich płetw przemienionych w niezgrabne łapki, wspina się na korzenie i gałęzie namorzyn. Rybka poluje tam sobie na obficie latające owady i inne insekty. Jej dziwaczne łapopłetwy pozwalają nawet dość bystro biegać po wysuszonym szlamie. Mądre, ruchliwe oczka bacznie obserwują teren, zawsze chciwe zdobyczy. Rybka ma silnie unaczynioną płetwę ogonową, która spełnia dodatkową rolę oddechową. Poza różnymi krabikami to najbardziej interesujące, przynajmniej mnie, zwierzątko.

Kiedy idę po plaży, spod stóp błyskawicznie umykają niezliczone kraby. Jedynie te, które niosą na sobie ochronną muszelkę, wolno gramolą się po piasku. Jeśli na chwilę staniemy i z uwagą zacniemy przypatrywać się z bliska plaży, to zobaczymy wiele maszerujących po piasku muszelek. To krabiki w swoich różnych ochronnych domkach o rozmiarach od pół do kilku centymetrów. Nadeptanie takiego pełzającego stworka wcale mu nie szkodzi, bo wraz z twardą muszlą wciska się w piach. Jego odnóże kleszczowe zawsze tak zamyka otwór, że aby się do niego dostać, trzeba by użyć śrubokręta. Bez pancerza z małża krab jest całkowicie bezbronny.

Na Malekuli widziałem, jak dzieciaki kamieniem rozbijały twardą muszelkę i miękkie krabiki wykorzystywały jako najlepszą przynętę na haczyk. Po osiągnięciu pewnego wzrostu krab przestaje chować się w muszlę, bo jego grzbiet staje się twardym chitynowym pancerzem, który jest równocześnie jego szkieletem. Teraz kryjówką kraba będzie wykopana głęboka norka – loch. Dorosłe kraby są bardzo cennym owocem morza. Nie jadłem jeszcze tego specjału, ale gotowane w mleku kokosowym są ponoć najlepszą potrawą na wyspach.

Zarośla mangrowe odgrywają ważną rolę, są bowiem pionierami życia na niskich brzegach morskich. Tworzą zaciszną ostoję, wyrównując niszczycielskie działanie fal na ląd, tak wyraźnie zaznaczające się wśród niezarośniętych brzegów. Dzięki szczudłowym korzeniom, na których z łatwością gromadzą się szlam i wszelkie szczątki organiczne wyrzucone przez morze, namorzyny prędko się rozrastają i opanowują teren. Zacisne, płytkie i zamulone środowisko stwarza niezwykle dogodne warunki do życia dla wielu gatunków zwierząt. Mangrowce, które muszą tu pokonać, na szczęście nie ciągną się typowym dla nich zwartym zespołem całymi kilometrami. Tu co kawałek namorzyny są przerzedzone i poprzerywane łachami piasku, szlamu i mułu. Wygląda na to, że dalsza trasa przeplatana jest dość wyraźnie otwartymi przestrzeniami piaszczystego lub piaszczysto-szlamowego brzegu. Niestety dla wędrującego przez namorzyny są wredne muszki. Wieczorem to raj dla komarów, i to malarycznych!

Z ulgą wychodzę z tych nieprzyjemnych błotnych chaszcz. Wioski Hirolegu stąd nie widać, bo zasłonięta jest jeszcze jednym niewielkim półwyspem na końcu łukowatej zatoki. Z przyjemnością idę plażą, a rozlewające się ciepłe fale przyjemnie moczą mi nogi. Tyle już przeszedłem i dziwi mnie, że jak dotychczas nie spotkałem człowieka! Po jakimś czasie dochodzę do miejsca, w którym muszę obejść wysunięty w morze niewielki skalisty półwysp. Odpływ odsłonił zwapniałe skały. Wystające ponad wodę ostre i poszarpane grzbiety koralowca z rzadka porastają namorzyny, które skutecznie zasłaniają wioskę.

Chwilę odpoczywam w cieniu drzewa. Zastanawiam się, jak dalej iść. Czy obejść cypel, brodząc w wodzie do pasa po ostrych skałach? Czy może lepiej wejść w błotnisty i śmierdzący las, by przeciąć nasadę półwyspu? Miejscowy busz to nie polski las, tu trzeba przedzierać się przez gęste zarośla. Decyzja jest trudna! Do przejścia brzegiem jest około kilometra po przybrzeżnych rafach. To pora największego odpływu, więc woda nie powinna sięgać mi powyżej kolan. Najlepiej będzie, jak spróbuję najpierw iść przez wodę. Jeśli nie dam rady, wrócę i będę przedzierał się przez busz. Otaczające to miejsce rify koralowe wynurzają się z wody, ale przejść suchą nogą nie dam rady.

Jestem bardzo spragniony. Przed tą ryzykowną drogą spoglądam jeszcze łakomie na dorodne orzechy pod pióropuszcami palm kokosowych. Niestety nikt mi nie zerwie kokosa, chociaż już jednym mógłbym ugasić pragnienie... Rzucanie kamieniami czy kijami nic nie da, bo trzeba wejść na palmę i porządnie przekręcić orzech, by przerwać ogonek. Na czekanie, aż sam spadnie, nie mam czasu, a stare, które leżą na ziemi, mają sok już sfermentowany i są niesmaczne. Mogłem napić się mętnej wody ze strumienia, ale nie chciałem ryzykować bliskiego spotkania z jakąś amebą czy innym świństwem.

Do ręki biorę długi kij i brodząc w wodzie po kolana, powoli ruszam w koralową lagunę. Woda jest nadzwyczaj ciepła i przezroczysta. Doskonale widać podwodny świat, obraz jest jak z bajki. Nie trzeba schodzić z maską pod wodę, by dojrzeć kłębiące się roje żywych stworzeń. Można wpaść w podziw i zachwyt, a nawet przerażenie! Czasem moje nogi muskają nieprzyjemnie różne wodorosty, glony i inne oślizłe paskudztwa, masowo tu występujące. Nieprzyjemne jest też nadeptanie na miękkie strzykwki. Jak już wcześniej wspominałem, nazywa się je trepangami, ogórkami morskimi lub morską kielbasą, chociaż w smaku tych potraw nie przypominają. Mimo że wstrętne wyglądają, są bardzo poszukiwane. Ich gastronomiczne zalety potrafią docenić zwłaszcza Chińczycy. Trepanga obrośniętego glonami trudno dostrzec na poszarpanym koralowym dnie. Staniesz na coś takiego, a on wyrzuci z siebie swoje wnętrzności! Wystarczy go spłoszyć, by pozbył się narządów, które mu podobno odrastają. Sądzę, że napastnik zadowolona się zjedzeniem wnętrzności, a okaleczony morski ogórek może się w spokoju regenerować.

W wodzie swoimi czułkami delikatnie wachlują ukwiały, a po dnie pełzną rozgwiazdy i jeżowce. Obok mojego kolana przepłynęła galaretowata, różowoliliowa meduza z długimi parzydełkami.

Na chwilę podnoszę wzrok i z zaskoczeniem dostrzegam popychaną wiosłami przez brązowego krajowca dłubankę. Łódka ślizga się bez szmeru po gładkiej powierzchni morza w odległości jakichś stu metrów od brzegu. Dodaje mi to otuchy i upewnia, że dam radę przebrnąć przez lagunę. Człowiek ten pomachał mi wiosłem i popłynął w przeciwną stronę, zapewne bardzo zdziwiony niecodziennym widokiem.

Dno wcale nie jest piaszczyste, cały czas stąпам po niebezpiecznie ostrych skałach koralowych. Jestem już do pasa mokry, gdyż podłoże jest nierówne. Z uwagą obchodzę niebezpieczne szczeliny o ostrych ścianach i krawędziach. Gdyby noga zakleszczyła się gdzieś tu i przyszła wysoka woda przyływu, byłby to niechybnie koniec mojej podróży... Dopiero później zdałem sobie sprawę, jak nierozsądnie postąpiłem, przepławiając się tędy w pojedynkę!

Szczególnie rozglądam się za olbrzymimi dwuskorupowymi przydaczniami – wielkimi jadalnymi mięczakami, których okazy mają do półtora metra średnicy i ciężar do trzystu kilogramów! Ludzie brodzący lub nurkujący na płycznach muszą strzec się, by noga nie dostała się między dwie skorupy tych olbrzymów, gdyż zamknięcie ich potwornych warg może zmiażdżyć nogę, a człowieka unieruchomić na zawsze. Muszle są białe, ale pokrywają się różnymi glonami i skorupiakami, przez co do złudzenia przypominają zwykłą skałę. Takie muszle o wielkich rozmiarach z zaciekawieniem oglądałem na Molukach w Indonezji. Leżały przed domami jako ozdoba. Tu jeszcze nie zdążyłem ich spotkać, być może nie mają wartości estetycznej?

Najpierw z uwagą przesuwam kijem powoli po dnie i dopiero potem stawiam ostrożnie stopę obutą w sandał. Przed nogami umykają małe kolorowe rybki o niespotykanych kształtach i barwach, trzymają się pojedynczo lub całymi stadkami. Czasem przepływa majestatycznie większa sztuka. Choć jestem skoncentrowany na szukaniu najlepszego przejścia, to brodząc, mimowolnie podziwiam te cuda natury.

Wkrótce bezpiecznie dochodzę do suchego brzegu. Mam pokaleczone przez potknięcia nogi i kilka kolejnych rozdarć spodni, co dokumentuję na zdjęciach. Inaczej nikt by mi nie uwierzył, jak trudna i ryzykowna jest wędrówka brzegami ostatnich dzikich wysp. Zdążyłem na czas, bo właśnie rozpoczął się przyływ. To ciekawe zjawisko wygląda w ten sposób, że z każdą falą woda o kilka centymetrów coraz bardziej wdziera się w ład. W tym czasie przed falą uciekają różne stworzonka.

Wychodząc na plażę, staram się uważać, żeby nie nadepnąć na maleńkie złotawobrazowe jaszczurki z niebieskimi gardełkami. Nie wiem dlaczego, ale akurat tutaj jest ich wyjątkowo dużo. Uciekając przed wodą, wdrapują się pośpiesznie na pnie drzew. Zatrzymują się nagle, szybko poruszają główką w dół i w górę, jakby dziwiąc się mojemu najściu. Przed wodą zmiatają też różne kraby. Te z muszelkami na odwłoku pełzną powoli, jeszcze przed zalaniem wyczuwając zagrożenie. Inne, których setki kopały norki w wilgotnym piasku, czekają do ostatniej chwili, potem w te pędy uciekają. Ileż to razy, przesiadując godzinami na plaży, robiłem różne, niezbyt naukowe doświadczenia z tymi ciekawymi stawonogami. Nierzadko były to pewnie nieprzyjemne dla nich eksperymenty...

Dużych krabów też jest sporo, poznać to po ilości nor, ale trudno je wypatrzeć. Te zajmują swoje lochy zawsze inteligentnie wykopane w bezpiecznej odległości od fal w pobliżu drzew, gdzie spędzają w ukryciu upalny dzień. Są przysmakiem wyspiarzy, ale trzeba je wygrzebać z nory, potem łykiem powiązać wielkie niebezpieczne kleszcze i odnóża.

Moim pragnieniem jest zobaczyć już bardzo rzadkiego wielkiego kraba kokosowego. Podobno można go jeszcze spotkać na Santa Isabel. Ten kilkukilogramowy olbrzym jest tak przetrzebiony z powodu polowań, że bardzo trudno go spotkać. Przyczyną zguby tego dziwoląga jest niezwykle smaczne mięso z jego odwłoka.

Idę dalej coraz węższą plażą. Nad palmami i w koronach drzew świergolą rezolutne papużki i inne kolorowe ptaszki. Bez tego barwnego i gwarne go towarzystwa ten zielony świat byłby smutny i martwy. Wyspy Salomona są ostatnim ptasim rajem na świecie. Dla ornitologa to prawdziwe eldorado. Niestety różne znaki na ziemi i niebie wskazują, że nie potrwa to już długo. Miłośników ptaszków przeraża masowy wywóz rzadkich gatunków za granicę. Światowy czarny rynek bezmyślnych wielbicieli ptasich kolekcji dyktuje wysokie ceny, którym miejscowi nielegalni łowcy nie mogą się oprzeć. Podniebne cudaki są naprawdę bardzo pięknie ubarwione, przez co ich byt jest zagrożony.

Nagle moją uwagę zwrócił snujący się w oddali nad drzewami siwy dym. Już z daleka poczułem znajomą woń palonych włóknistych łupin kokosów. Jestem zdziwiony, bo spodziewałem się tu wioski, ale jej nie ma... Po dwudziestu minutach kłapania nasiąkniętymi wodą ciężkimi sandałami, wyłonił się przede mną maleńki przysiółek. Pod gęstymi koronami drzew stoją dwie prymitywne chatki i wiata do suszarnia kopry. Podeszedłem do młodego mężczyzny zajętego podsycaniem ognia pod rozsypaną na blaszanym ruszcie koprą. Moje niespodziewane pojawienie się tutaj bardzo go zaskoczyło. Z krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że do wioski już bardzo blisko, wystarczy przejść przez zagajnik na końcu zatoki.

Po kilkunastu minutach marszu wydeptaną ścieżką przez rzadki las palmowy dotarłem wreszcie do celu. Zbliżyłem się do kilku plotkujących głośno kobiet, które siedziały w cieniu drzewa na plaży. Ich gołe dzieciaki bawiły się nad wodą, a gdy tylko mnie zobaczyły, wnet przybiegły z krzykiem do mamusynich kolan.

Nie dziwię się, musiałem cudacznie wyglądać. Pewnie przedstawiałem sobą obraz nędzy i rozpacz... Nie dość, że biały, to w dodatku obdartus. Spodni nie było już nawet jak zszywać, a zarośnięta gęba, czerwony plecak i kostur w ręku musiały wywołać popłoch u dzieciaków i zaskoczenie kobiet. Chyba nie tylko ich, bo w pewnym momencie z pobliskiego drzewa w powietrze z wielkim wrzaskiem zerwało się stadko niebiesko-żółtych ar. Grzecznie się ukloniłem i zapytałem te miłe niewiasty o pana Barabasa. Przypomnę, że poznałem go na statku cztery dni temu. Ten sympatyczny facet obiecał mi gościć w swoim domu, jeśli faktycznie zawitam w wiosce.

Po chwili idziemy ścieżką blisko brzegu. Wszędzie dużo palm, podobnie jak w Kalikace. Rozproszone zabudowania ciągną się spory kawał wzdłuż ciemnej plaży. Na końcu trzeba podejść jeszcze dróżką pod górę, gdzie stoi kilkanaście domków. Właśnie w jednym z nich mieszka rodzina Barabasa. Wiedziałem o tym, bo z Princessy pokazywał mi z dumą swoją chatę z nowym blaszanym dachem. Wśród ciemnej zieleni błyszczał on w słońcu jak lusterko. Padając z pragnienia, ostatkiem sił znalazłem się przed domkiem, w którym zamierzałem spędzić trzy dni.

## W wiosce Hirolegu

W Hirolegu rozpoczął się kolejny dzień. Wylegiwałem się pod moskitierą, rozmyślając o zagrożeniach nawiedzających ten rajski zakątek. Tu jestem spokojny, chata stoi wysoko nad brzegiem morza, a nie jak w Kalikace, kilkanaście metrów od morskich fal. Myśli o niebezpiecznym tsunami, które by mnie mogło nagle zmieść z powierzchni, zawsze gdzieś krążą po głowie, a szczególnie w pobliżu niebezpiecznych brzegów.

W 2006 roku mieszkałem kilka dni w Pandangaran na Jawie. To przepiękne miasteczko i urocza plaża nad Oceanem Indyjskim, a do tego rezerwat przyrody na odciętym od cywilizacji półwyspie. Wkrótce po moim wyjeździe to pięćdziesięciotysięczne miasto zalała wielka fala tsunami wywołana silnym wstrząsem podmorskim. To trzęsienie ziemi pod dnem morskim miało prawie osiem stopni w skali Richtera! Mieszkałem wtedy kilkadziesiąt metrów od brzegu oceanu. W kilka chwil zginęło około tysiąca ludzi!

Podobny przypadek spotkał Pisco na peruwiańskim wybrzeżu. Zaraz po moim wyjeździe trzęsienie ziemi pogrzebało całe miasto.

Innym razem, w czasie pobytu na wyspie Mindanao na Filipinach, w nocy chciałem już uciekać z budynku, bo tak zatrzęsło, że aż lampa zabujała się pod sufitem! Wtedy nic złego mnie nie spotkało, ale strachu się najadłem... Z tymi sprawami na Wyspach Salomona nie ma żartów.

Dom mojego gospodarza jest zupełnie bezpieczny. Z kilkudziesięciometrowego wzgórza roztacza się fantastyczny widok na Morze Salomona. Gościnnie rodzina na nocleg dała mi najlepsze pomieszczenie z oknem, przez które można obserwować bezkresny ocean. Czuję się tu jak marynarz w bocianim gnieździe!

Kiedy cała czwórka, czyli Barabasz z żoną i dwójką dzieci, przenosiła się do mniejszego pokoju obok, nie czułem się zbyt komfortowo. Usiłowałem oponować, nie godząc się na takie ustępstwa, ale próżne były moje zabiegi. Nie posłuchali mnie wcale i postawili na swoim.

Dom Barabasza stoi na palach, a zbudowany jest z solidnych desek. Podobny do naszych najprostszych działkowych altanek, ale tu do chatki trzeba wchodzić po schodach. W mojej kwaterze wszystko czuć świeżością. Widać, że dom ledwo co został zbudowany, jednak do zakończenia prac jeszcze sporo brakuje. W środku nie ma prawie żadnych sprzętów. Okna to na razie same otwory w ścianach, mają wymiary półtora na metr.

Biedny Barabasz nie może dokończyć prac w chacie. Narzeka, że nie ma pieniędzy i nie wiadomo, jak długo będzie jeszcze musiał poczekać z dokończeniem roboty. Na co dzień para się produkcją kopry, ale to mało dochodowa fucha. Gospodarz jest jeszcze młody i tak bardzo wszystkim się nie przejmuje, nie ma jeszcze czterdziestu lat... Mówi, że na razie musi mu starczyć to, co ma, a domek jakoś powoli wykończy. Najważniejsze, że ściany chaty są z solidnych tekowych desek. To drewno trudne do zgryzienia, nawet dla termita – największego domowego szkodnika tropików. Dach jest solidny, blacha jeszcze błyszczy nowością i też parę lat powinna poleżeć. Zawsze jest jakieś „ale”, na które nie ma się wpływu. Chociaż tu na wzgórzu fala tsunami nie dojdzie, ale niszczycielski cyklon i owszem!

W przydzielonym mi pomieszczeniu jest tylko pleciana mata, nad którą mam rozwieszoną solidną moskitierę. Okno wychodzi na zachód, jest lepsze od kina i telewizora razem wziętych!

Wczoraj mogłem podziwiać uroczy zachód słońca i szafirowe morze. W okolicach równika zachodzące słońce zadziwia swoją wielkością. U nas latem o zachodzie też jest jakoś większe, ale tu wydaje się olbrzymie! Nie wiem, dlaczego wieczorem jest większe niż rano. Sprawdzałem w encyklopedii i wyszło na to, że jego odległość od Ziemi jest prawie niezmienna. Tak naprawdę wyjaśnienie tego zjawiska jest proste. To tylko złudzenie wywołane przez nasze widzenie słońca poprzez warstwy atmosfery. Ale zostawmy „mędrca szkiełko i oko”... I tak warto to cudowne zjawisko natury podziwiać. Szkoda tylko, że tak szybko ta ogromna ognista kula zapada w ocean. Z mojego okna samej plaży nie widać, bo dokładnie zasłaniają ją pióropusze nadbrzeżnych palm.

Dzisiejszej nocy prawie nie słyszałem odległego szumu fal. Wszystko przez biedne dzieci, strasznie kaszlące przez całą noc. Kaszel nie dawał też spokoju żonie gospodarza, która wygląda na porządnie chorą. To malaria, największe utrapienie całego archipelagu. Już wczoraj widziałem, że kobiecina źle wygląda. Powinna parę dni poleżeć, a nie brać się do roboty. Łatwo to powiedzieć przecież głodne dzieci czekają.

Kiedy rankiem wyszedłem przed dom, zastałem ją pod wiatą kuchenną przy dymiącym nieznośnie ognisku. Zamiast siedzieć opatulona kocem pod moskitierą, musiała szykować śniadanie. Gotowała pełny garnek małży nabieranych wczoraj wśród skał na plaży. Biedną tak trzęsło, że niewiele mogłem z nią pogadać. W pobliżu dającego ciepło ogniska grzały się przycupnięte w kucki niewyspane dzieciaki. Siedmioletnia córka oraz młodszy chłopiec Bene, adoptowany sierota z najbliższej rodziny, z niecierpliwością czekali na ciepły posiłek. Tutaj faceci nie mieszają się do garów.

W tym czasie Barabasz zwyczajowo poprawiał sobie nastrój – z błogim uśmiechem żuł betel w pierwszych ciepłych promieniach słońca. Dla towarzystwa dosiadło się dwóch sąsiadów. Podeszedłem i z bliska sfilmowałem ich roześmiane krwistoczerwone gęby. Myślałem jednak o czymś innym. Co będzie, jeśli zarażę się jakąś chorobą? Przecież dookoła spotykam stale jakby zaziębionych ludzi. Czy nie złapię malarii?

W podróż nie zabrałem żadnych antymalaryków, sadząc, że nie zachoruję. Tylko raz w życiu, w Afryce, w trzymiesięcznej podróży z Maroka do Zatoki Gwinejskiej, stosowałem lariam. Wtedy jednak nierozsądnie przestałem zażywać pigułki już po miesiącu. W tym samym czasie na malarię w Ghanie umarła znajoma z travelbitowych spotkań w Szczyrku. Przypadkowo podróżowaliśmy w tym samym czasie i rejonie. Ja wtedy zwiedziłem dziesięć krajów. Udało mi się nie zachorować. Dzielna dziewczyna miała pecha. Ta tragedia mnie widocznie nie przeraziła, bo dalej nie stosuję antymalaryków. Później była długa podróż z RPA do Etiopii. Następnie podróżowałem po Amazonii i po Azji, i też nie brałem nic przeciw malarii. Ale dopóty dzban wodę nosi...

Teraz, z perspektywy czasu, mogę się do czegoś przyznać. Nie wiem gdzie, czy na Wyspach Salomona, czy może później, na Wyspach Trobrianda w Papui, dopadła mnie ta mała gnida malaria. Jednak nie miałem od razu podejrzanych objawów. Wprawdzie cały czas coś mnie gnębiło, ale sprawę

załatwiałem antybiotykami. Minęły cztery tygodnie i zachorowałem. Na szczęście w Indonezji mają skuteczne miejscowe leki, które w kilka dni postawiły mnie na nogi. Było to na Sumatrze, na dwa tygodnie przed powrotem do domu po siedmiu miesiącach podróży.

Na Wyspach Salomona malaria jest wszechobecna, tak jak wszechobecny jest komar widliszek, który znajduje tu potrzebną mu do szczęścia wodę i odpowiednią temperaturę powietrza. Powiem jedno – my, zakażeni malarią, nie damy rady funkcjonować. Dla miejscowych malaria to bardzo duży problem, umierają dzieci i starsi. Ale też są na swój sposób uodpornieni i dość łagodnie przechodzą chorobę. Dzieci urodzone w strefie malarycznej z matek, które są zakażone malarią, naturalnie zaopatrzone są w przeciwciała matczyne na kilka pierwszych tygodni życia. Jednak pręcej czy później dochodzi do zakażenia, które objawia się najcięższymi atakami, kiedy dziecko osiąga wiek dwa – trzy lata. Wtedy jest najwięcej zgonów. Gdy dziecko szczęśliwie przeżyje ten okres, staje się częściowo odporne. Mimo obecności zarodźców malarii we krwi, ataki gorączkowe stają się coraz łagodniejsze. Niestety równowaga między zarodźcami a odpornością organizmu jest bardzo chwiejna. Naruszenie jej może nastąpić z byle przyczyny: przeziębienia, przemęczenia, a nawet urazu fizycznego. Cechą tej częściowej odporności jest to, że jest wytworzona tylko przeciw lokalnie panującemu szczepowi malarii. Ten sam wyspiarz, gdy uda się na inną wyspę, staje się nieodporny na zarodźce występujące w nowym miejscu. Ostatnie wiadomości są bardzo pocieszające dla setek milionów ludzi strefy malarycznej: podobno jest już skuteczna szczepionka przeciw tej chorobie, która zabija rocznie dziesiątki milionów ludzi na całym świecie. Przyglądając się z bliska dzieciom Barabasza i obserwując dzieci w wiosce, rzadko widzę takie, które nie są zasmarkane i nie kaszlą czy nie gorączkują.

Jednak to nie objawy chorobowe przyciągają mój wzrok, lecz ich fantastyczne włosy. Wywołują szokujące wrażenie na każdym, kto przybędzie na Wyspy Salomona. Wszystkim wydaje się, że włosy blond przypisane są wyłącznie do rasy białej, i to nie do wszystkich ludów. Tu, na Wyspach Salomona, ciemnoskórzy blondyni, i to nie sztucznie tlenieni, nie należą do wyjątków.

Skąd się wzięli jasnowłosi w Melanezji? Włosy blond nie są domeną wyłącznie Europejczyków. Jasnogłowi rozsiani są po całym świecie, nawet tam, gdzie można się ich najmniej spodziewać. Genetycy starali się rozwiązać tę zagadkę. Czy jest to podstępny wyczyn i „roboty” Europejczyków? A jeśli nie, to czyje geny mają w tym swój udział? Zaintrygowała ich dość spora populacja jasnowłosych „Murzynów” zamieszkujących Wyspy Salomona, gdzie generalnie mieszkają ludzie o pigmentie skóry niemal tak ciemnym jak w Afryce.

Po badaniach genetycznych okazało się, że genów odpowiedzialnych za włosy blond nie przywlekli tu biali odkrywcy. Wykształciły się one samoczynnie. To właśnie na Wyspach Salomona – w małym wyspiarskim państwie w południowo-zachodniej Oceanii – znajduje się największa po Europie populacja jasnowłosych ludzi. Liczy się, że ponad dziesięć procent z około 600 tysięcy mieszkańców tego państwa to blondyni. Genetyczne podstawy jasnych włosów na przykład w Skandynawii są zupełnie inne od tych na Pacyfiku. Naukowcy uważają, że ta mutacja u mieszkańców Wysp Salomona i niektórych pobliskich wysp południowego Pacyfiku pojawiła się kilka tysięcy lat temu.

Obecnie całkowicie odrzuca się dawne poglądy, jakoby mieszkańcy tych wysp byli dalekimi potomkami białych odkrywców, żołnierzy czy przemytników odwiedzających dawniej tamte rejony. Większość dzieci ma kędzierzawe, złociste włosy, które z wiekiem bardziej lub mniej ciemnieją. U dorosłych, a już szczególnie u kobiet, stają się lekko rudawe.

Byłem trochę zawiedziony, gdyż blefem okazały się zdolności rybackie gospodarza. Ryby, jakie jada rodzina, pewnie dostają lub kupują od starszego brata Barabasza. Ponoć to bardzo pracowity człowiek, oprócz uprawy palmy kokosowej zajmuje się łowieniem ryb. Nawet Barabasz u niego czasami pracuje. Stąd też przypuszczam, że gospodarz, mówiąc o sobie, chwalił się swoim bratem, zapewniając mnie, że to u niego mogę kupić ryby.

Po śniadaniu z małym Benem udaliśmy się po zamówione ryby. Ze wzgórza trzeba zejść wygodną, ale dość stromą ścieżką, która dalej prowadzi przez rzadki gaj palmowy. Podeszliśmy pod rozłożyste drzewo, w pobliżu którego leżało kilka wyciągniętych na brzeg dłubanek. Bez trudu znaleźliśmy rybaka. Siedział na worku z suszoną koprą i czekał na stateczek Princessa, który ma dzisiaj przypląć. Miejsce trochę odurzało smrodem. To wszędobylski zapach dymu z suszarni kopry,

gnijących liści i innych świństw pozostałych na piasku po odpływie. Szczególnie kiedy przypali słońce, powietrze staje się nieznośne. W cieniu wielkiego drzewa leżał stos trzynastu wielkich worów z wysuszoną koprą. Każdy ważył ponoć 70 – 80 kilogramów. Nie musiałem się przedstawiać, starszy brat Barabasa był o mnie dobrze poinformowany. Zapytałem o ryby. Niestety dzisiaj jest już za późno, mam przyjść jutro rano.

Ciekawi mnie, ile kosztuje koprą wprost z plaży. Mam świetną okazję, by uzyskać informacje z pierwszej ręki... Mężczyzna powiedział mi, że za jeden kilogram otrzyma siedem „solomon dolarów” (dolarów Wysp Salomona, czyli SBD), to jest około jednego dolara USA. Zysk trzeba też pomniejszyć o koszt transportu do Honiary. Za każdy worek potrąca ponad trzy dolary USA. Łatwo obliczyć, że za całą leżącą tu koprą właściciel otrzyma około tysiąca dolarów USA. To naprawdę bardzo mało za niewiarygodnie duży wkład własnej pracy.

Jak wielka musiała być fura orzechów na koprą w tych workach? Rocznie z jednej palmy otrzymuje się od pięciu do piętnastu kilogramów suszonej kopry. Na 100 kilogramów suszu potrzeba 1 200 do 1 400 orzechów kokosowych! Orzechy zbiera się przez cały rok. Gdy uzbiera się odpowiednią ilość, rozpoczyna się suszenie w suszarniach – to przy dużych plantacjach. Przy małych ilościach koprą suszy się sukcesywnie na słońcu.

Dzisiaj przyplynie koprą boat, co zawsze wzbudza wielkie zainteresowanie mieszkańców wioski. Niewykluczone, że ktoś przy okazji przybędzie lub wypłynie, więc sporo ludzi kręci się po plaży. Dla mnie to dobra okazja do fotografowania maluchów z ich pięknymi kręconymi włosami. Wszędzie ich pełno, hałasują i popisują się, jak to dzieci.

Spokojna woda po odpływie pozwala dostrzec wystające skały koralowe. Statek w Hirolegu zawsze rzuca kotwicę bezpiecznie za rafą. Nie będziemy jednak na niego czekali i wracamy do domu. Wybrałem spacer wąską plażą w cieniu palm. Brodziliśmy w spokojnej wodzie wśród poprzerrywanych skał zwapnionego koralu i lach ciemnego piasku. Płytką woda była tak ciepła, że już nie chłodziła nóg.

Za ostatnimi zabudowaniami Bene zwrócił mi uwagę na meduzy, których wyjątkowo dużo przygnała tu pewnie wczorajsza wysoka fala. Te dziwne i prymitywne zwierzęta głębin teraz bujają na spokojnej płytkiej wodzie. Bene wlaź w wodę powyżej kolan i zaczął je wyciągać na kij nad powierzchnię, ale mu ciągle spadały. Potem zaczął wbijać kij w ich ciało i podciągał do powierzchni wody. Meduza rozlewała się jak kolorowa galareta. Najwyraźniej nie podobało się jej nowe otoczenie. Z zainteresowaniem podszedłem przyjrzeć się zwierzęciu. Kiedy szedłem do wioski przez koralową lagunę, też jakieś meduzy widziałem, ale nie było ich tak dużo jak tutaj. Te trzydziestocentymetrowe liliowe dziwadła są piękną ozdobą głębokich wód morskich, zwłaszcza w spokojnych zatokach tropikalnych. Powolne fale lekko przerzucają ich ruchliwe barwne parasole czy dzwony z miejsca na miejsce, przekazując dalej przybrzeżnym prądom. Meduzy potrafią też poruszać się same. Są wśród nich gatunki świecące w nocy, to jakby pływające latarnie morskie. Niektóre z nich są drapieżne. Do chwytania zdobyczy i do obrony używają parzydełek. Są gatunki bardzo niebezpieczne, których długie parzydełka wydzielają śluz parzący jak wrzątek. Ciało meduzy ma w sobie aż dziewięćdziesiąt sześć procent wody! W niektórych miejscach, na przykład w Chinach i w Japonii, ludzie jedzą tę niezwykłą galaretę, robią z niej nawet konserwy! Meduzę posypaną mieszanką soli i ałunu układają między młode listki dębu i spożywają jako sałatkę... To podobno dla nich psychotka...

Wróciliśmy do domu, ale nikogo nie zastaliśmy. Barabasz z żoną jeszcze nie wrócili z ogrodu w buszu. Nie miałem zamiaru siedzieć w chacie, dlatego postanowiłem rozejrzeć się po okolicy. Bene dobrze zna teren i chętnie mi towarzyszy, więc rażno ruszyliśmy z powrotem stromą dróżką w kierunku zatoki.

Doszliśmy do miejsca, gdzie na rozstaju w busz odchodzi dobrze wydeptana ścieżka, która wcześniej mnie zainteresowała. Po kilkudziesięciu metrach wchodzimy w nieprawdopodobną gęstwinę. Nie jest to może dżungla z jej mroczną wilgocią, ale bogactwo roślinności wprawia w zdumienie! Taka zadziwiająca różnorodność gatunków mogła powstać tylko na styku morza i lądu.

Otacza nas intensywna i bujna zieleń, czasami przybrana czerwonym kwieciem hibiskusa lub barwnymi storczykami przyczepionymi do pogiętych pni drzew. Gdzie tylko znajdują oparcie, długie liany pną się w górę, czepiając się konarów. Pasożytnicze epifity otulają smukłe pnie palm i innych drzew. To



szaleństwo przyrody wywołuje mój podziw. Jeśli ktoś liczy tu na ciszę, to się zawiedzie.

Co jakiś czas krzyk pojedynczego ptaka rozdziera powietrze, może to kakadu? Inne ptaki też nie próżnują... To nie wszystko, stale słychać głośnie cykady. Nie wiem dlaczego, ale zawsze przed deszczem wszelkie wredne, latające robactwo staje się szczególnie agresywne! Czyżby na coś się zanosilo? Mimo że po rannej mgle cały czas nad gęstym zielonym buszem świeci słońce, jest bardzo parno i wilgotno.

W lesie nigdy nie jest tak zupełnie cicho, ale jeśli się zastanowić i przyjąć, że wszelkie głosy zwierząt, od tych najmniejszych do największych, nagle by zamilkły, to w swojej ciszy las stałby się straszny, nie do wytrzymania. Dziwne myśli przychodzą mi do głowy. Nie odbieram tego zielonego świata tak jak przyrodnik czy biolog, którzy mieliby tu pole do popisu. Ja tylko dziwuję się temu, co mnie otacza. Prawdą jest, że wszechobecna zielona gęstwina dość szybko staje się męcząca, więc po godzinie wracamy.

By nie błędzić, z powrotem idziemy tą sama ścieżką. Robię tylko zdjęcia, bo nie mam gdzie naładować akumulatorków do kamery. Zostało mi tylko energii na dwadzieścia cztery minuty nagrywania filmu, więc trzymam to na specjalną okazję... Stale martwię się, czy mój sprzęt fotograficzny wytrzyma te warunki. Wczoraj już po raz drugi od trzech miesięcy musiałem dla zabezpieczenia szczelnie okleić taśmą izolacyjną kamerę i aparat fotograficzny. Po pewnym czasie od gorąca i wilgoci stara taśma rozkleja się i złazi. Dzięki temu zabiegowi jak na razie sprzęt mam sprawny. Dawniej martwiło się bardziej o stan filmów, a teraz o zawodną często elektronikę i ograniczoną możliwość ładowania akumulatorków. Nie wszędzie w wioskach ludzie mają chociażby agregaty prądotwórcze. Tak właśnie było w Kalikace, która została za mną. Tutaj również nie mogę naładować akumulatorków!

Po powrocie do domu zamiast gospodarzy zastaliśmy Francesca, krewniaka z Biluro, wioski na południu. Przyszedł w jakiejś sprawie do kuzyna i czeka na niego. Biluro to kolejna wioska na moim szlaku brzegiem Santa Isabel. Pomyślałem, że facet spadł mi jak z nieba. Zanim gospodarze wrócili z pola, o mojej przyszłej trasie wiedziałem już wszystko, co potrzeba. Francesco zdziwił się, że do Biluro chcę iść pieszo. Mówił, że łatwiej byłoby wynająć motorówkę, a nie przedzierać się plażą i buszem. Skończyliśmy rozmowę, bo zjawił się Barabasz. Gościowi obiecałem, że za dwa dni odwiedzę go w wiosce.

Byłem zadowolony, że jak na razie wszystko dobrze się układa. Po kolejnym etapie wędrówki znowu będę miał do kogo zapukać i gdzie przenocować. Jednak najbardziej ucieszyłem się informacją, że w domu Francesca jest agregat prądotwórczy. Do Biluro można dojść ścieżką przez busz i potem, wzdłuż brzegu, wąską plażą. Przed wioską będę musiał jeszcze przedrzeć się kilkaset metrów przez mangrowe zarośla. Francesco przeszedł dzisiaj tę trasę w trzy godziny! Jedyńm utrudnieniem może być pokonanie dwóch stromych leśnych wzgórz, z których roztacza się podobno piękny widok na morze.

Krewniacy nie mieli zbyt dużo czasu na pogawędkę i przeżucie betelu. Gość śpieszył się, by jeszcze przed zmrokiem wrócić do domu. Nadchodzące z południa coraz gęściejsze chmury też nie wróżyły niczego dobrego. Zamiast rybek na kolację zjadłem chińską konserwę mięsna. O dziwo, była całkiem smaczna! Mięso zagryzałem sucharami produkcji papuańskiej. Wszystko popiłem gorącą i słodką kawą 3 w 1 sprowadzoną z Indonezji. Zastanawia mnie, czy w chińskich sklepach na Wyspach Salomona można kupić do jedzenia cokolwiek niesprowadzonego z zagranicy.

Wykąpać się w wiosce to nie mały problem. Do dyspozycji jest strumień w lesie, do którego prowadzi błotnista ścieżyna. Chodzą tam wszyscy i trzeba pilnować „kolejki”, by uniknąć najścia kogoś akurat się kąpiącego. Powiem jedno – największą udręką w tej mojej wędrówce po wyspie jest właśnie problem z kąpielą! Do tak prymitywnych warunków nie potrafię się dostosować. Nie miałem jednak wyjścia i jeszcze przed burzą zdażyłem się wykapać. Było już ciemno, a woda w wartkim strumieniu była zimna jak lód! Po omacku błotnistą ścieżką zaprowadził mnie tam Barabasz. Myłem się przy światełku czołówki zawieszona na gałęzi obok gaci.

W chacie nie ma elektryczności, dlatego po zmroku wszyscy krótko siedzieliśmy przy płomyku lampy naftowej. Zawsze pogodny i uśmiechnięty Barabasz rozkoszował się betelem. Nie sądzę, żeby specjalnie przejmował się tym, że błada i przygaszona chorobą żona, a także dzieci przeraźliwie kaszlą.

Rozmowa też się jakoś nie kleiła.

Jak było do przewidzenia, w nowy blaszany dach chaty zaczęły uderzać pierwsze wielkie krople deszczu. Chmury na ciemnym niebie rozświetlały odległe, bezgłośnie błyski zbliżającej się burzy. Coś za często pada, chociaż czas monsunowych szkwałów minął dwa miesiące temu.

Położyłem się na materacu. Poczułem jakiś denerwujący niepokój, choć jeszcze nie wiało, dopiero się „szykowało”. Nagle szarpnęło wszystkimi blachami na dachu. Pewnie wszystkie drzewa przechyliło do granic pęknięcia. Biedne wysokie palmy muszą robić gimnastyczne skłony aż do ziemi, ale tego nie widzę. To dopiero pierwszy wybuch wietrznego szału! Na krótko się uspokoiło, lecz za chwilę nadleciał niewidoczny, ale wyraźnie słyszalny drugi dziki podmuch, z innej strony. Przyznam, że serce mi szybciej zabiło, bo to nie żarty! Nikt się nie spodziewał takiej wichury. Kto wie, czy nagle nie zerwie całego dachu. Barabasz uspokaja mnie, że to nie cyklon i wkrótce powinno się uspokoić. Rzeczywiście, jeszcze kilka mniejszych, a raczej krótszych, szarpnięć i wicher poleciał gdzieś dalej. Jednak to nie koniec burzy, znowu zawiało, choć jakoś inaczej. Teraz przyszła kolej na deszcz, nie padał kroplami, lecz spływał cienkimi strumieniami. Zerwała się gwałtowna burza. Kto nie widział tego na własne oczy, nie może wyobrazić sobie tych piorunów i prawie bezustannych błyskawic, które przez dwie godziny ogłuszały nas i oślepiały. Już straciłem nadzieję zaśnięcia w takich okolicznościach.

Dzięki Bogu wszystko się uspokoiło i nagle na zewnątrz zapanowała cisza absolutna, przerywana jedynie kaszlem mieszkańców. Nie było słyhać nawet cykad, tak zawsze głośnych nocą, ani żadnego innego głosu. Po tym wszystkim Barabasz powiedział, że po takiej burzy jutro będzie piękna pogoda. Dla miejscowych ludzi taka nawałnica to zwyczajna rzecz, dla mnie raczej nie.

Wioska budzi się do życia zwykle o szóstej rano. Ranek po takiej nocnej burzy był wyjątkowo świeży, a powietrze nadzwyczaj przeźroczyste. Dzień zapowiadał się wspaniale. Stałem przy oknie i długo wpatrywałem się w daleki horyzont na styku błękitnego nieba i granatowego morza.

Z góry podziwiałem zielony dywan z pióropuszy palm oddzielający szczelnie brzeg wyspy od otchłani morza. Widok z położonej na wzgórzu chaty dosłownie zapierał dech w piersiach! Nigdy go nie zapomnę... Pierwsze promyki słońca zaczęły już przygrzewać.

Muszę iść po zamówioną rybę. Między domami braci można przejść łatwiej na skrót, trzeba tylko pokonać kilkadziesiąt metrów krzewiastego gąszczu po stromym zboczu, w którym wycięto ścieżkę. Nad drzewami z szybkim trzepotem skrzydeł i głośnym jazgotem przeleciało stadko czerwonych papug. Widać, że to całe wystraszone wczorajszą nawałnicą fruujące towarzystwo wróciło do życia.

Błotnistą ścieżką, przeoraną w wielu miejscach gwałtownymi potokami ulewy, schodzę w kierunku wioski. Po wczorajszej nocy pod drzewami leży dużo zerwanych liści i gałęzi, ale jakichś strat nie dostrzegam. Mijam pierwsze solidne chaty na palach, w ich pobliżu, nad liściastymi dachami prostych kuchennych wiatek snuje się siwy dym. Kobiety przygotowują coś ciepłego dla dzieci na śniadanie.

Nawet podczas krótkiego pobytu zdążyłem zauważyć, że mieszkańcy Wysp Salomona doceniają ryby i owoce morza bardziej niż ich sąsiedzi z Vanuatu. Poznać to można po rozwieszonych dookoła sieciach i dużej liczbie solidnych dłubanek, które spotykam co krok na plaży. Są tu też tak wielkie dłubanki, jakich nigdzie wcześniej na świecie nie spotkałem. Te leżą często przy chatach w cieniu drzew, nieraz dość daleko od brzegu. Najistotniejszą różnicą między łodziami z Wysp Salomona i tymi z Vanuatu jest brak bocznego pływaka. Świadczy to o dużych zdolnościach żeglarskich i odwadze tutejszych ludzi. Kto płynął taką niestabilną łódką, z pewnością będzie wiedział, jak łatwo w niej o wywrotkę.

Od czasu wywrotki podczas rejsu na Molukach nikt mnie nie zmusi, bym wsiadł do takiej chybotliwej łódki, chyba że będzie z bocznym pływakiem. Gdy pływa się po falach, trudno nie podziwiać zręczności wyspiarzy. Nie pamiętam, czy na Vanuatu kiedykolwiek spotkałem łódkę bez bocznego pływaka. Pisałem zresztą o tym, że w ich tradycji okalający ocean jest bytem wrogim. Żeglowanie nie jest ich pasją, są raczej rolnikami. I wszystko się zgadza, bo tam kobiety dużo czasu spędzają przy „garach”, gotując potrawy warzywne.

Miejscowi jedzą o wiele więcej ryb i mięczaków. Wielką różnorodność ryb i owoców morza

zobaczyłem na bazarze rybnym w Honiarze. Wystarczyło mi to, by się przekonać, że ocean jest ważnym żywicielem mieszkańców Wysp. Wędrowałem po sześciu archipelagach Pacyfiku i wszędzie interesowały mnie bazy rybne i połowy. Bardzo lubię ryby i często je kupuję. Wiem, że są podstawowym pożywieniem mieszkańców wysp Pacyfiku. I to z prostej przyczyny: powierzchnia wysp jest mała w stosunku do zaludnienia, więc ani uprawa roślin, ani hodowla zwierząt nie zapewniają żywienia ludności. Z drugiej strony w Pacyfiku żyje ogromna ilość ryb i połowy nie są uciążliwe. Rybacy wyławiają z wód otaczających ten archipelag przynajmniej 150 gatunków jadalnych ryb! Populacja poszczególnych gatunków jest różna, jedne częściej wpadają w sieci, inne bardzo rzadko. Na targowiskach rybnych nie widziałem nigdy tylu gatunków naraz, gdyż aby skompletować taką kolekcję, trzeba by przebywać tu miesiącami i codziennie zaglądać do sieci rybaka. Najwięcej różnorodnych i najbardziej kolorowych ryb widziałem na stoiskach bazaru Apii na Samoa.

Każdy rybak wie, kiedy jest najlepszy czas na połowy. Łowienie ryb zawsze było i jest uzależnione od faz księżyca. Korzystny połów przypada na określone dni, a raczej noce, które są najlepszym czasem w lagunach i ich pobliżu. Rybacy z wysp do dzisiaj korzystają ze starych kalendarzy, w których określano kolejne noce nazwami odnoszącymi się do życia ryb morskich. Tak na przykład siódmą noc księżycowego kalendarza (pierwsza kwadra) nazywano „nie ma ryb”, noc dziesiątą – „ryba jest niewidoczna”. Korzystne natomiast dla rybaków były noce siedemnasta – „ryby i kraby są widoczne”, dwudziesta – „ryby wychodzą z głębin” i dwudziesta trzecia – „noc obfita w ryby”. To nie wszystko.

W społecznościach wyspiarskich wiara w potęgę bóstw oraz magia miały wielkie zastosowanie w życiu codziennym. Stąd też z rybołówstwem związane są nakazy i zakazy o ukrytym znaczeniu praktycznym. Na przykład w pewne dni nie wolno było wypływać na połów, bo wtedy morze pełne jest złych duchów. Miało to sens, bo w tym okresie niektóre gatunki ryb były trujące wskutek zjedania planktonu i roślin zawierających toksyny o właściwościach strychniny.

Bene przez cały czas pobytu prawie mnie nie odstępował. Miejscowy chłopak to zawsze najlepszy przewodnik i pomocnik. Taki huncwot wszystkich zna i o wszystkim wie, a do tego młoda dusza jest zawsze szczerą. Od razu odszukał wuja rybaka. Niestety, jak było przewidziane, z ryb nic nie wyszło przez wczorajszą nawałnicę.

W drodze powrotnej na wzgórze przechodzimy pomiędzy chatami na palach. Domy zbudowane są z dobrze obrobionych desek. Różnią się od siebie pokryciem dachu. Stare najczęściej odnawia się liśćmi palmowymi, a nowe już tanią blachą falistą. W Kalikace nie widziałem ani jednego dachu blaszanego, tu już idą z „postępem”. Czy słusznym, to inna sprawa... Jak widziałem na Fidżi, nieuniknione jest, że za kilka lat wszędzie zapanuje blacha. Może z wyjątkiem wiat gospodarczych, kuchennych czy suszarni kopry.

Nie mogłem przejść obok unikatu, by nie utrwalić go na zdjęciu. Jeśli na Vanuatu świnie biegały po wioskach jak domowe psy, to tutaj zdziwiło mnie bardzo tuczenie ich w klatkach na palach, wieprzki chowa jak u nas króliki. Dziwne, ale jest wytłumaczenie – jeśli ludzie tak mieszkają, to dlaczego nie mogą podobnie tuczyć swoich zwierząt... Ekonomicznie to właściwe, bo taka świnia rośnie szybciej, nie tracąc energii na łążegowanie po okolicy.

Dochodząc do domu, mam jeszcze przygodę ze scynkiem nadrzewnym. Wcześniej sądziłem, że to jakiś gekon, ale później odszukałem w przewodniku i okazało się, że to endemiczne zwierzątko żyjące tylko na Wyspach Salomona. Tym niewielkim stworzkiem bawiła się nadobna dziewczyna z pięknymi i grubymi warkoczami.

Chciałem wykonać kilka zdjęć pięknemu zwierzątku i ładnej dziewczynie. W pewnej chwili scynk wyrwał się z rąk dziewczęcia i błyskawicznie wdrapał jej na głowę. Wplątał się paskudnie w bujne włosy. Śmiesznie to wyglądało, ale wyciągnąć wczepionego ostrymi pazurkami scynka nie było łatwo. Długo trwały zmagania ze sprytnym zwierzątkiem, zanim wspólnie udało się je uwolnić wraz z garścią wyrwanych włosów! Teraz to ja trzymałem je w ręku. Później tak samo ten około trzydziestocentymetrowy potworek wczepił się w moją koszulę, aż poczułem na skórze jego ostre pazurki! Nawet stąd trudno było go oderwać, a cóż dopiero z gęstych włosów biednej dziewczyny.

Ta rzadko występująca jaszczurka z Wysp Salomona przebywa w najwyższych partiach koron

drzew. Prowadzi wyłącznie nadrzewny i nocny tryb życia. Jej chwytny ogon ułatwia poruszanie się wśród gałęzi. Drugą typową cechą scynka nadrzewnego jest roślinożerność. Żywi się wyłącznie pokarmem roślinnym – liśćmi, kwiatami, owocami i grzybami. Jest to gatunek jajożyworodny, samica rodzi najczęściej jedno, bardzo rzadko dwa młode.

Dookoła ciągle to samo – gorąco, dziki tropikalny brzeg i wszędybylska bujna przyroda. Brak mi tego, co miałem w domu – wygody i bezpieczeństwa. A tu trudne warunki i stałe zagrożenie malarią na pewno nie pomagają. Samotna wędrówka to nie to samo co zorganizowane wczasy, czasem bywa naprawdę ciężko. Jednak jeśli nie będziemy tylko biernymi obserwatorami, a zbliżymy się do zwykłych ludzi i poznamy ich problemy, to utrudzenie i niewygody nie będą takie dokuczliwe. Zawsze coś ciekawego się dzieje w tym jakże innym świecie, jest zupełnie inaczej niż na naszym podwórku.

Jeszcze przed obiadem wróciłem z przechadzki i nie byłbym sobą, gdybym nie zajął pod wiatę, spod której bokami wylatywały kłęby duszącego dymu. Po każdej ulewie zawsze jest kłopot z ogniem i nadmiernym dymem, więc kobieta dmucha i wachluje, by rozpałił się ogień. Jedzenie to ważna sprawa, dlatego lubię się przy tym kręcić, chociaż niekiedy lepiej się w to nie wgłębiać i za bardzo temu nie przyglądać, o czym pisałem już wcześniej. Na dzisiejszy obiad będzie podany świeżutki maniok, wczoraj przyniesiony z ogrodu. To druga po bananie roślina najczęściej spożywana na świecie. Pod osmolonym garnkiem już lekko zapaliły się płomienie, rozpędzając dym.

Na świecie są różne przepisy na potrawę z manioku, czyli kasawy lub tapioki, bo tyle nazw ma to warzywo. W Ameryce Południowej słyszy się tylko o tapioce, tu, na Wyspach Salomona, to zawsze maniok.

Z zainteresowaniem przyglądam się pracy gospodyni. Wyciągnięte z koszyka korzenie w kształcie kiełbasy pobudzają mój apetyt na ten nieosiągalny tu swojski przysmak. Ach, jakbym chętnie zjadł pęto świeżo uwędzonej, polskiej kiełbasy! Obrane i umyte korzenie są krajane w grube, okrągłe plastry, a następnie dość długo gotowane. Po odsączeniu ugotowane krążki przekłada się na rozgrzany olej kokosowy i przyrumienia. Pierwszy taki gorący złocisty kotlecik dostałem na talerzyk. Co tu dużo gadać, frytki nie umywają się do tego egzotycznego dania... Mógłbym ten prosty sposób przyrządzania tej potrawy zalecić naszym paniom domu, ale wiem, że na nic się to nie zda, gdyż maniok i dobry olej kokosowy to u nas artykuły prawie nieosiągalne.

Dodatkiem do przysmażonego manioku są gotowane w wodzie pokrojone młode liście papai. Smakują trochę mdławo, podobnie jak szpinak. Dopiero polane mlekiem kokosowym stają się rarytasem.

Nie mogę narzekać, jedzenie jest smaczne, ale jak dla mnie za mało słone. Rozglądam się za solą i dochodzę do wniosku, że na Melanezji sól dodają chyba tylko do mięs! Na wysepce Lifuka w archipelagu Tonga jadłem zupę rybną gotowaną na wodzie prosto z oceanu... Musicie uwierzyć, że gotowana razem z jakimś zielskiem dała się zjeść, ale jak dla mnie była stanowczo za słona.

Woda w oceanach jest bardzo słona. W jednym jej litrze jest trzydziestu pięciu gramów soli! Przy okazji kąpieli każdy łyknął niechcący wody z naszego Bałtyku i zaraz wypluł słoną breję, chociaż soli jest tam średnio tylko od siedmiu do dwunastu gramów w litrze. To wszystko nic przy Morzu Martwym, gdzie w litrze wody jest jej aż dwadzieścia siedem dekagramów!!! To taki słony przeskok bez złych intencji z niedosolonego plastra manioku w Hirolegu nad Morze Martwe.

Przypadkowo tak wyszło, ale nie bez przyczyny, ponieważ siedząc na brzegu nieogarniętego ogromu oceanu, niejednym razem zastanawiałem się, jak gigantyczne ilości soli znajdują się na powierzchni naszej ziemi! Smażony maniok i zielone warzywo były smaczne, jednak nie był to koniec, bo pani domu zaskoczyła nas poobiednim deserem. W kubkach dostaliśmy pokrojoną w kostkę papaję wymieszaną z plasterkami banana, a wszystko polane jakimś słodkim syropem.

Papaja, często nazywana dynią rodzącą się na drzewie, jest tu bardzo popularnym owocem. Ale niełatwo doczekać się dojrzałych owoców. Szczególnie te rosnące w ogrodach w buszu są marnowane przez różnych nieproszonych amatorów, jak ptaki, nietoperze czy gryzonie. Stąd tutaj owoc jest delikatesem. Tak naprawdę papaja to nie drzewo, a drzewiasta bylina o miękkim pniu wysokim na dziesięć metrów. Zielona skórka owocu po dojrzeniu żółknie. Smaczny żółtawy lub czerwony miąższ przypomina wnętrze kawona i zawiera mnóstwo galaretowatych czarnych pestek.

Po południu Barabasz wybiera się do lasu po betel. Około dwóch kilometrów od domu razem

z bratem uprawia kilkanaście palm arekowych. Spytał mnie, czy nie chcę dotrzymać mu towarzystwa, zawsze to raźniej i weselej. Spojrzałem na pobliskie areki, które rosną za wiatą gospodarza, i spytałem, dlaczego to z nich nie zerwie orzechów, które według mnie są dojrzałe. Dziwne to, ale usłyszałem, że to nie jego drzewa, lecz sąsiada... Na polanie między wiatą gospodarczą a domem stoi jeszcze kilka wysmukłych palm kokosowych, dwie wysokie papaje, chyba już nieowocujące – poznać to po wysokich bezlistnych pniach. Tylko na samych wierzchołkach zachowały się niewielkie wiechcie nędznych liści. Przy okazji wspomnę, że tę wielką drzewiastą bylinę użytkuje się tylko przez kilka lat. Blisko wiaty rosną jeszcze trzy wysmukłe palmy sagowe i wielki bananowiec.

Od kiedy Barabasz ma blaszany dach, liście sagowców nie będą mu już potrzebne. Powiedział, że teraz będzie sprzedawał sąsiadom gotowe maty z tych twardych, ostro zakończonych liści. Od razu pomyślałem, że to błąd, bo jest zbyt leniwy do takich interesów. Nie sądzę, by chciało mu się zająć żmudnym wyplataniem szerokich na pół metra i długich na ponad metr płacht.

Zaraz za polaną weszliśmy na błotnistą ścieżkę pokrytą gnijącymi liśćmi. Gdziekolwiek rzuciłem okiem z leśnej ścieżki, wszędzie widziałem zaciętą walkę na śmierć i życie. To już nie tylko wyścig o słońce i światło. W takim gąszczu walka o przeżycie odbywa się nie tylko między zwierzętami. Jeszcze bardziej widać ją wśród flory. Rośliny nie mniej niż zwierzęta wzajemnie się zatruwają, zadławiają i pożerają, wysysając soki jedne z drugich. To nie przytulny, przewiewny i pachnący las europejski. Tutaj toczy się zaciekle bitwa. Tu nie ma liryki, tylko rozgrywa się okrutny dramat roślin.

Barabasz macha mimochodem solidną maczetą. Nie po to, by torować przejście, ale by skrócić co bardziej dyndający przed twarzą pęd czy gałązkę. Idę kilka kroków za nim.

Nie znam się na kwiatach, ale storczyka potrafię wyłowić z zielonego listowia, który w takich warunkach, czyli przy braku ostrego słońca, ma się najlepiej. Podczas pobytu na Fidżi spotkałem się z tymi pięknymi kwiatami w ogrodach. Były pomysłowo przeniesione z lasu, niekiedy z kawałem pniaka, na którym spokojnie sobie rosły. Były ulubionymi kwiatami tamtejszych ludzi i dlatego mogłem podziwiać różne odmiany. Tutaj nigdzie nie widziałem, by ktokolwiek zajmował się tymi pięknymi roślinami i uprawiał je przy chacie. Miejscowi wybierają na ozdoby wielkie rośliny o pięknych liściach, jak różnobarwne krotony albo wielkie krzewy bugenwili o różowych kwiatkach.

Na Wyspach Salomona można spotkać wiele odmian orchidei. Tylko specjalista przyrodnik może zająć się poszukiwaniem tych niezwykłych roślin. Przeważnie po drodze mimochodem spotyka się takie o kwiatkach skromnych, szarych lub żółtawych. Czasem, nagle, gdy człowiek się najmniej spodziewa, wzrok trafia na wspaniały okaz. Kilka metrów nad ziemią pomiędzy gałęziami drzewa sterczy cała rodzinna storczyków. Piękne kwiaty ukryte w zieleni drzewa-gospodarza zadziwiają fantastycznym kształtem i subtelnym kolorem.

Po trzech kilometrach wychodzimy z zarośli na ogrody mieszkańców. Droga nie była długa, ale dość mroczna do chwili, kiedy nagle ukazało się trochę otwartej przestrzeni.

To prawda, co ktoś kiedyś powiedział – że człowiek idący w puszczy ma tylko dwa przyjemne dni: pierwszy dzień, gdy olśniony jej czarującym przepychem i potęgą sądzi, że wkracza do raju, i ostatni, gdy bliski obłędu ucieka z „zielonego piekła” do cywilizacji.

Takich sytuacji na Santa Isabel nie przeżywam, bo w moich wędrówkach stale asekuruję się pobliskim brzegiem. Byłoby inaczej, jeśli chciałbym przejść w poprzek tę wyspę. Mieszkańcy bez sprzętu mechanicznego nie mogą za wiele zdziałać. Największe nieszczęście to chwasty, które wręcz eksplodują wzrostem i są bardzo ekspansywne w porównaniu z roślinami użytkowymi. Na szczęście, z wyjątkiem drobnych roślin użytkowych, takich jak ogórki, pomidory, bakłażany, bataty, arbuzy i paru innych drobnych, te podstawowe i najważniejsze w diecie wyspiarzy rośliny są duże, wręcz wielkie. Wystarczy zadbać o nie i na początku ochronić je przed chwastami. Później już im zielsko nie zagraża.

Dla przykładu: taki wyrosnięty krzew jak maniok ma powyżej trzech metrów wysokości! Liście kalo wyrastają na półtora metra. Jest też warzywo z tego samego gatunku o podobnych do taro liściach. To prawdziwy olbrzym o korzeniach długich i potężnych jak noga dorosłego człowieka. Rozeta jego soczystozielonych liści przekracza trzy metry wysokości, a każdy liść jest wielki jak parasol! Nie pamiętam, jak na Wyspach Salomona nazywają to warzywo, ale na Tonga mówili na nie „kalo”, tutaj też jest uprawiane.

Powoli zbliżamy się do działki Barabasza. Rośnie tam po kilkanaście palm arekowych i kokosowych oraz kilka wielkich kęp bananowców i papai. Wśród tych drzew rosną dość chaotycznie posadzone warzywa.

Nie jesteśmy tu sami, inni sąsiedzi z wioski też coś robią w pobliżu. Nie ma granic czy płotków. Zapewne każdy wie, co do niego należy. Chociaż słyszałem, że dojrzałe orzechy betelu niekiedy tajemniczo znikają...

Długo nie byliśmy sami, wkrótce podeszło dwóch kompanów Barabasza i przystąpili do pracy. By nabrać siły i werwy, podzielili się betelem. Pomyślałem, że przecież ci sympatyczni ludzie zachowują się dokładnie jak my, którzy też często rozpoczynamy pracę czy spotkanie od kawy czy papierosa. Po godzinie biesiadnicy z animuszem zabrali się do zrywania kiści orzechów betelu. Podeszliśmy pod niezbyt grube, ale wysmukłe palmy.

Kolektywna praca ekipy wyglądała w ten sposób, że Barabasz spiął łydki paskiem od spodni i przy jego pomocy sprawnie wspiął się na siedem – osiem metrów pod pióropusz palmy. Po przekręceniu łodygi kiści zrzucił ją na ziemię i zszedł. To samo zrobił na drugim drzewie. Koledzy z dołu wspierali mojego gospodarza instruktążem, która kiść będzie najlepsza. Taka kiść, podobna do winogronowej, może mieć od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu orzechów i ważyć kilka kilogramów.

Sądziłem, że przeszliśmy taki kawał drogi tylko po kiście orzechów, jednak nie, bo do kosza trafiło jeszcze kilkanaście wyszperanych w gęstym zielsku batatów, czyli słodkich ziemniaków. Nie lubię ich! Niespokrewnione z normalnymi ziemniakami, a jednak łudzaco do nich podobne. Różnią się od naszych jedynie tym, że jadalne są również ich liście. Szczególnie popularne są te fioletowe. Superśłodkie i sycące, ale dla mnie wstrętne... Chyba da się je czasami dostać w Polsce.

Wracaliśmy do domu, kiedy w pewnym momencie uśmiechnięty i zawsze życzliwy Barabasz sprawił mi niespodziankę. Oznajmił, że jutro razem ze mną wybiera się do Biluro, tak po prostu, bez ważniejszej przyczyny. Przy okazji chce odwiedzić kuzyna Francesca.

Kończył się mój trzydniowy pobyt w wiosce. Nadchodziła magiczna godzina czaru tropikalnego zachodu słońca. Wyszedłem przed domek, by zażyć trochę ciszy, którą tak lubię. Spokój zakłóca tylko lekki wiatr. Nie słyhać zupełnie ludzkiej mowy, chociaż powinno być, bo to nie odludzie. Dzisiaj nie słyhać nawet morza. Na pobliskim drzewie siedzi ptak. Czarny i duży. To kakadu – o olbrzymim dziobie i charakterystycznym sierpowym czubie na głowie. Wielka skrzydlata papuga głośno i przenikliwie, wręcz nieprzyjemnie, zakrakała i po chwili, jakby niechętnie, odleciała do pobliskiego lasu.

## Kolonia na Santa Cruz, czyli wyprawa szaleńców

Pomimo trudności Alvaro de Mendaña odbył drugą podróż na Wyspy Salomona. Z wielu względów ta wyprawa stała się bardzo głośna. Była to pierwsza próba założenia osady na jakiegokolwiek wyspie południowego Pacyfiku, w związku z czym wzięła w niej udział znaczna liczba kobiet. Zastępcą dowódcy ekspedycji i głównym pilotem był dziwny portugalski mistyk i żeglarz Fernández de Quirós – późniejszy odkrywca archipelagu Vanuatu. Realia dotyczące tej wyprawy są zadziwiające.

Po długich zabiegach w 1574 roku de Mendaña uzyskał od króla Hiszpanii zezwolenie na kolonizację odkrytych przez siebie wiele lat temu wysp. Miał zabrać ze sobą pięciuset ludzi, w tym pięćdziesięciu mężczyzn z żonami i dziećmi. Statki wiozły konie, bydło, kozy, owce, świnie i drób oraz nasiona różnych warzyw. Z całym tym kramem miał on w ciągu sześciu lat pierwszej wyprawy założyć trzy ufortyfikowane miasta. Sam miał piastować dożywotnio godność gubernatora wszystkich wysp. Stanowisko to miało pozostać w jego rodzinie również w ciągu dwóch następnych pokoleń. Miał otrzymać tytuł markiza i korzystać z wyłącznych praw do pobierania opłat celnych. Ciężył też na nim obowiązek zorganizowania i utrzymania komunikacji z Callao i Filipinami.

Po uzyskaniu królewskiej zgody de Mendaña przystąpił do organizowania ekspedycji, jednak zdołał wypłynąć z Callao dopiero w 1595 roku, czyli aż dwadzieścia siedem lat od chwili powrotu z pierwszej wyprawy na Wyspy Salomona! Wraz z nim udali się w podróż jego żona doña Isabel de Barreto oraz aż nazbyt wielu jej krewniaków, w tym trzech braci zajmujących uprzywilejowane

stanowiska oficerskie. Druga ekspedycja nie spotkała się z entuzjazmem. Uważano ją za śmietnik dla niepożądanych ludzi, a niewiasty uciekały na widok jej uczestników. Cztery niewielkie okręty nie miały najlepszych właściwości morskich i były w marnym stanie. Jeden z nich był tak nędzny, że zanim zdołał przepłynąć sto mil wzdłuż wybrzeża Peru, załoga wywierciła poniżej linii wodnej parę otworów, by przyspieszyć zatonięcie statku. Tym desperackim czynem chciano zmusić dowódcę do postarania się o inny okręt i pozostawienia tej starej krypy. Udało się dostać inny statek, ale dopiero po usunięciu zeń prawowitych właścicieli. Na ich protesty odpowiedziano, że w swoim czasie Bóg dostarczy pieniędzy na zapłatę za statek, jako że cała ekspedycja i rekwizycja statku odbyła się z Jego woli. Zapasy uzupełniono prawdopodobnie w ten sam sposób.

Cała flotylla wypłynęła z Callao z wieloma brakami w zaopatrzeniu. Przez całą drogę wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej trwały kłótnie i burdy, niekiedy dochodziło niemal do rozpustnych orgii. Dla każdego, kto umiał spojrzeć na sprawę rozsądnie, stało się oczywiste, że cała ekspedycja była źle pomyślana i miała niewielkie szanse powodzenia. Doña Isabel wkrótce stała się szarą eminencją działającą za plecami męża. Na komendanta przysłanego obozu lądowego został mianowany don Pedro de Meriro, sześćdziesięcioletni były wojskowy. Jak podaje kronikarz, był człowiekiem wyniosłym, nietaktownym i głupim, lecz prawdopodobnie uczciwym. Zaczął natychmiast zakłócać dyscyplinę na statku, wtrącając się do spraw marynarskich, chociaż do jego funkcji należało wyłącznie kierowanie sprawami na lądzie po dokonaniu lądowania. Część zabranej na okręty hołoty okazała się osobnikami tak rozpasanymi i o tak zszarganej opinii, że wielu porządnych ludzi odmówiło uczestnictwa w wyprawie. Sam de Quirós tak się zniechęcił do nieustannych kłótni i złowrogich machinacji kliki możnych krewniaków Isabel, że poprosił o pozwolenie złożenia rezygnacji ze swych funkcji. Ponadto nie mógł znieść dziwnego zachowania i wyraźnego braku energii ze strony dowódcy. De Mendaña błagał go, by pozostał. Dziś trudno zrozumieć, dlaczego ktokolwiek zgodził się brać udział w takiej ekspedycji. Z naszej perspektywy wszystko można łatwiej wytłumaczyć – po prostu kusił ich miraż bogactwa. Lecz de Quirós nie szukał złota.

Po oficjalnym wyjściu z Callao, 7 czerwca 1595 roku, aż sześćdziesiąt dni trwały przybrzeżne przepychanki, zanim wreszcie udało się opuścić wody Peru i wziąć kurs w kierunku zachodzącego słońca. Zgodnie z obyczajem owych czasów, dwa najlepsze okręty nosiły nazwy: Capitana i Almirante, ponieważ płynęli na nich dowódca floty i admirał. Na pierwszym płynęli de Mendaña z żoną i jej przemądrzali krewniacy, ponadto główny pilot de Quirós, komendant obozu, dwaj księża, dość liczna załoga i część przyszłych osadników wraz z dziećmi. Na Almirante płynął Lopez de Vega, o którym niewiele wiadomo, ponieważ historia tego galeonu była krótka. Wraz z całą załogą przepadł bez wieści zaraz po dopłynięciu do wysp Santa Cruz. Pozostałe statki to galeon San Filipe oraz fregata Santa Catalina. Na obu statkach znajdowało się 378 ludzi, z których 280 było zdolnych do noszenia broni. Resztę musiało stanowić około stu kobiet i dzieci. Zapisy nie podają, w jaki sposób rozmieszczono na tych małych statkach kobiety i pary małżeńskie. Ciekawie musiało wyglądać wspólne życie owej niesfornej gromady uczestniczącej w tak niecodziennym przedsięwzięciu! Życie i los istot płci żeńskiej na statkach zdawał się zupełnie nie obchodzić kronikarzy wyprawy. Wspomina się, że w pierwszym miesiącu na statkach zawarto około piętnastu związków małżeńskich i „prawie nie było dnia, aby ktoś nie chciał żenić się zaraz następnego dnia”[1], wskutek czego księża mieli pełne ręce roboty. O kobiety nie troszczono w owych czasach zbyt wiele, zarówno na lądzie, jak i na morzu.

Przez pierwszych sześć tygodni wszystko zdawało się iść dość dobrze. Cztery małe statki wiozące tę dziwną zbieraninę ludzi i bydła płynęły ku zachodowi pod stałym wschodnim wiatrem. Licznym weselom towarzyszyły zabawy. De Mendaña zdał się w prowadzeniu nawigacji na de Quirósa, sam oddając się być może marzeniom o swojej przyszłej wielkości, kiedy zostanie władcą Wysp Salomona i wszystkich wysp aż do bieguna południowego. Jeśli przyjdzie mu organizować rząd, pod którym ma powstać wielka kolonia, to roboty nie zabraknie. Każdego wieczora przed szybkim zapadnięciem nocy pozostałe trzy statki zbliżały się do Capitany i obwoływały ją w celu otrzymania dalszych rozkazów. W nocy, pod rozgwieżdżonym niebem, cztery wielkie latarnie rufowe dziwnie podskakiwały na opustoszałym oceanie. Flota trzymała się razem. Każdego ranka znów stawiały żagle i podpływały, by jeszcze raz okrzyknąć Capitanę i zameldować, że wszystko w porządku. Przy tej okazji piloci

wykrzykiwali sobie wzajemnie obliczone przez nich przybliżone pozycje statków, które tym bardziej stawały się przybliżone, im bardziej posuwano się na zachód.

Dni płynęły przyjemnie, pogoda dopisywała. Żywności było pod dostatkiem i na razie dość słodkiej wody. Na niskie śródokręcia statków przeskakiwały przez nadburcie latające ryby, stanowiące pożądaną odmianę jadłospisu. W ciągu dnia na wszystkich statkach pełniono podwójną wachtę na oku, czyli na topach i na dziobach. W nocy zdejmowano oko z dziobu. Minęły dwa miesiące. Rankiem sześćdziesiątego dnia od opuszczenia Peru dostrzeżono ląd. Był wysoki i gdy statki wolno się do niego zbliżały przy akompaniamencie intonowanego przez zakonników *Te Deum*, jego piękny widok rysował się coraz wyraźniej. Były to obecne wyspy Hiva Oa, Tahuata, Mohotane i Fatu Hiva z archipelagu Markizów. Po ujrzeniu Markizów statki płynęły dalej na zachód. Dzień po dniu płynęły jednakowo – pogoda nadal sprzyjała, a małe przepełnione statki stale tak samo posuwały się naprzód. Szemrania zaczęły się wśród co bardziej bojaźliwych i wśród żołnierzy, którzy nigdy nie wyobrażali sobie, że ocean może być tak ogromny! Ci ostatni, niemający zbyt wiele do roboty, znajdowali dość czasu na sarkanie. Wśród kliki oficerskiej niewiele się zmieniło na lepsze. Komendant obozu był osamotniony wobec doñi Isabel i jej krewniaków. Trzydziestoletni pilot de Quirós trzymał się na uboczu. De Mendaña nie wykazywał siły charakteru ani autorytetu dowódcy, a tylko te cechy mogły utrzymać w porządku ową niezdatną do żeglugi flotę.

Po trzech miesiącach Wyspy Salomona nadal znajdowały się gdzieś daleko, poniżej zachodzącego za widnokretem słońca. Dzień po dniu i tydzień po tygodniu wiatr wiał ze wschodu. Żołnierze zaczęli sarkać, że już nigdy najłżejszy powiew wiatru nie nadejdzie z innego kierunku, a statki będą płynąć wiecznie, póki się nie rozpadną lub nie dopłyną do Chin czy też nie ześlizną się z krawędzi morza... Zaczęli podawać w wątpliwość istnienie Wysp Salomona. Badano gorączkowo kompas, by się przekonać, czy statki nie płyną całym dniami w koło. Jednak kierunek przesuwającego się ponad głowami słońca był ciągle ten sam, i co do kursu nie mogło być wątpliwości. Wciąż na zachód i na zachód, a żadnego zachodniego wiatru. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu błękitny ocean otwierał się łagodnie coraz dalej przed małymi statkami, podczas gdy ich nikłe ślady torowe rychło się gubiły w nieskończonych bezmiarach wód za rufą. W dniu 7 września 1595 roku żeglarze ujrzeli wulkan Tinakula na małej wysepce w pobliżu Santa Cruz. Wyłonił się nagle z mgły, która zalegała przez cały dzień i rozproszyła się dopiero w ostatnich godzinach przed zmrokiem. W ową mgłę wpłynęły cztery statki, ale wynurzyły się z niej tylko trzy! Była to miejscowa mgła o niewielkim zasięgu, niegrożąca żadnym niebezpieczeństwem, jednak Almirante nie ujrano już nigdy... Wydaje się, że korzystając ze złej widoczności, zdezerterował umyślnie, by zawrócić do Peru. Na statku nie było wykwalifikowanego pilota. Jeśli znajdujący się na pokładzie ludzie próbowaliby żeglować z powrotem pod wiatr pasatowy, wówczas po niedługim czasie musiałyby zabraknąć żywności i wody. Na krętym szlaku halsującego pod wiatr statku znajdowały się liczne rafy. Statki płynące prawidłowym kursem i popychane przychylnym wiatrem mogły je szczęśliwie ominąć, ale domniemany uciekinier szanse na przeżycie miał raczej marne... Było jednak dziwne, że ten przepełniony mężczyznami, kobietami i dziećmi statek potrafił zniknąć w ciągu kilku godzin. Pozostałe trzy okręty przebywały w tej okolicy jeszcze trzy miesiące, lecz o Almirante słuch zupełnie zaginął. Los jego pozostał jedną z tajemnic Pacyfiku.

Widok wulkanicznej Tinakuli i sąsiednich wysp, których de Mendaña wcześniej nie oglądał, zdawał mu się w zupełności wystarczać. Kazał zakonnikom śpiewać, żołnierzom wypowiedać się, a de Quirósowi skierować statki na kotwicowisko u najbliższego brzegu. Była nim duża wyspa Santa Cruz, którą w jasny dzień można dostrzec równocześnie z Tinakulą. De Quirós skierował flotę do zatoki po północnej stronie wyspy. Zatoce tej nadano nazwę Graciosa.

Na pełnomorskich łodziach wypłynęła statkom na spotkanie gromada wyspiarzy. Zbliżyli się do okrętów tak licznie i z taką ostrożnością, iż wydawało się, iż już musieli zasłyszeć o groźnych strzelbach białych ludzi. Było tam przynajmniej pięćdziesiąt łodzi obsadzonych przez wełnistowłosych wyspiarzy o ciałach pomalowanych na barwy wojenne. Na zbliżające się do kotwicowiska statki wypuścili chmurę strzał! W odpowiedzi Hiszpanie otworzyli ogień, zabijając kilku krajowców i jeszcze więcej raniąc. Flota weszła na kotwicowisko, żołnierze zaś, podniesieni na duchu tym, że w końcu mają do kogo strzelać,



stali w pogotowiu ze swoimi arkebuzami.

Jednak krajowcy z zatoki nie okazali po tej pierwszej awanturze niechęci do współpracy i dałoby się z nimi dojść do porozumienia w sprawie założenia osady. Przyjemne brzegi zatoki były gęsto zaludnione. Mieszkańcy wyspy umieli budować dobre łodzie, łowić ryby i hodować słodko pachnące czerwone kwiaty, którymi lubili się przystrajać. Mieli dobrze utrzymane ogrody warzywne i nie najgorsze domy. Wódz krajowców, krzepki Melanezyjczyk zwący się Malope i noszący we włosach jaskrawe pióra, przybył do kapitana z powitaniem. Może to nie był szczyry gest, ale wyglądał na pojednawczy. Malope zorganizował rynek, na który wyspiarze dostarczali żywność na wymianę.

Ale pokojowe współżycie nie odpowiadało żołnierzom. Zaczęli umyślnie zabijać krajowców, by wywołać zamieszki i uniemożliwić założenie osady. Jak to opisał hiszpański kronikarz, krajowcy „okazali się waleczni i widać było, że natknęliśmy się na ludzi, którzy umieli bronić swoich pieleszy”[2]. Broniąc się, na grad strzał Hiszpanie wybuchali śmiechem i odpowiadali nań ogniem z arkebuzów. Szydlerczo podnosili strzały w górę, a potem uderzali ich grotami o twardą skórę chroniącą ich od uderzenia i łamali je o pancerze.

Natknąwszy się przypadkowo na zatokę Graciosa, de Mendaña postanowił, że nada się ona na miejsce założenia pierwszego z jego trzech miast. Pod kierunkiem komendanta obozu żołnierze zabrali się bez entuzjazmu do oczyszczania i karczowania terenu pod ogrody i domy. Nie oczekiwali tego rodzaju pracy, toteż okazywali wyraźne niezadowolenie. Mówili, że w Peru jest dość ziemi do upraw i nie trzeba przebywać oceanu, by szukać jej więcej. Gdzie złoto i perły, o których rozpowiadali przywódcy? Czy to są Wyspy Salomona? De Mendaña popełnił błąd, pozostając na statku i powierzając dowództwo na lądzie komendantowi obozu. Oficjalnym powodem, dla którego pozostawał w swej pływającej rezydencji było to, że nie zbudowano mu domu na lądzie. Naturalnym tego następstwem, było dalsze podsycanie rozdrźwień między żołnierzami a marynarzami i sianie niezgody. Żołnierze, którzy – jak trafnie zauważa kronikarz – „rzadko, o ile w ogóle, uznają jakiegokolwiek ograniczenia dla swych poczynań”,[3] zaczęli wywoływać poważne zamieszki.

Na żyznym gruncie dżungla rychło znów porastała miejsca dopiero co przetrzebione, a ogrody wymagały stałej pielęgnacji, oni zaś nie byli ogrodnikami. Ekspedycja nie przywozła nikogo, kto by znał się na uprawie warzyw na tropikalnym gruncie. Tak samo w ogóle nie przemyślano właściwej organizacji, jeśli chodzi o założenie osady. Za to wszystko miał odpowiadać komendant obozu. Tak czy inaczej, ów rozgoryczony stary żołnierz wziął na swoje barki cały ciężar odpowiedzialności za to, co się działo na lądzie. Żołnierze nie chcieli pracować, bo bali się, by statki nie odpłynęły, pozostawiając ich na brzegu. Nawet wtedy, gdy de Mendaña kazał odwiązać wszystkie żagle od rej i złożyć je w zamkniętym pomieszczeniu pod uzbrojoną strażą. W rejs nie zabrano planów budowy małej brygantyny, na której można by było dokonywać podróży badawczych po niebezpiecznych okolicznych wodach ze zdradliwymi rafami. To spowodowało, że dla wielu marynarzy zabrakło zajęcia. Na początku dwa mniejsze statki większość czasu spędzały na bezskutecznym poszukiwaniu Almirante.

Wyspa była bogata w żyzne gleby zapewniające obfite plody rolne. Na Santa Cruz napotkano świnie i kury. Jak pisał kronikarz: „podobne do tych, jakie były w Kastylii, wiele było białych, zwierzęta w wielkiej obfitości biegały w stanie dzikim. Było także pod dostatkiem jadalnych korzeni i orzechów kokosowych. Zatoka roiła się od ryb”[4]. Można tam było założyć doskonałą niewielką kolonię. Jednak część ludzi chciała płynąć do Manili i miała dosyć zarówno tego miejsca, jak i całych Wysp Salomona. Inni żądali, aby płynąć na poszukiwanie wysp obfitujących w perły i złoto. Jeszcze inni chcieli wracać do Peru.

W tym rozprężeniu i zamęcie, pozostawiony bez żadnej pomocy, osamotniony i bezradny, komendant przestał panować nad sytuacją. Trudno zorientować się z kronik, jaką ostatecznie formę przybrały rozruchy, bo pisarz owych czasów musiał wystrzegać się jakiegokolwiek istotnej lub ukrytej krytyki członków arystokracji. Jest jednak oczywiste, że doña Isabela brała w tym fermentie czynny udział. Żądała kary śmierci dla komendanta obozu. De Mendaña grał na zwłokę i wysłał de Quirósa, aby przemówił na zebraniu do żołnierzy i osadników. Główny pilot nie cieszył się w tym czasie popularnością, ponieważ żołnierze zdawali sobie sprawę z tego, że Santa Cruz była lądem nowo odkrytym. Niesłusznie potępiali głównego pilota za to, że nie trafił na Wyspy Salomona. Zawiniły tu

błędne pozycje naniesione na mapie w czasie wyprawy dwadzieścia siedem lat wcześniej. Różnica w szerokości geograficznej wyniosła aż 170 mil za daleko na południe! To dlatego flota nie mogła trafić na Santa Isabel. Dopiero dwieście lat później wyspy ponownie odkryje wyprawa Bougainville'a!

Rozległy się okrzyki niezadowolenia – gdzie są te wszystkie wspaniałości, o których opowiadano w Limie i Callao? De Quirós, odpowiadając niedowiarkom, powołał się na przykład Kolumba. Mówił, że gdy Kolumb po raz pierwszy odkrył Nowy Świat, zdarzało się z początku, że osiągnięto niewiele, gdyż „znaleziono tylko kilka małych wysp prawie bez żadnej wartości. Lecz dzięki uporowi odkrywców natrafiono potem na wielkie i bogate prowincje, jak Nowa Hiszpania i Peru”. Ale żołnierze, którzy słyszeli być może o losie Kolumba i większości pionierów, niełatwo dali się przekonać. Zakrzyczeli de Quirósa, że jeśli mu się podoba, to sam może bawić się w Kolumba, oni zaś chcą płynąć do Manili lub Peru, jeśli de Quirós potrafi ich tam zaprowadzić. Od tej chwili istniał spisek na życie głównego pilota. Krajowcom sprzykrzyło się dostarczać owoce i warzywa na zasadzie nieuczciwej wymiany proponowanej przez kolonistów. Żołnierze oddziałów lądowych zazdrościli pozostającym na statkach marynarzom ich względnej wolności. W całym obozie panował buntowniczy nastrój. Żona kapitana nie przestawała nalegać na chorującego małżonka, by kazał uśmiercić komendanta obozu. De Mendaña zwłókł się wreszcie z łoża boleści i przystał na jej prośbę. Komendanta obozu zamordowano z zimną krwią, gdy nieuzbrojony przybył powitać swego zwierzchnika. Odzienie ze skrwawionego ciała skradł dobosz. Głowę starca odcięto i osadzono na palisadzie u wejścia do obozu. Lecz jego śmierć nie dała żadnych pozytywnych rezultatów. Kilku żołnierzy wyruszyło zaraz, by zamordować przyjaźnie nastawionego wodza Malope. W swoich pustych łepetynach wykombinowali, że skoro go zabiją, to trzeba będzie opuścić osadę i powrócić do Peru. Bezmyślne morderstwo wodza Malope postawiło na nogi całą wyspę! Młodszego oficera, który przewodził zabójcom, oddano pod sąd doraźny i skazano na śmierć, a jego głowa znalazła się na ostrzu palisady obok głowy komendanta obozu. Gdy Isabel zesłała na ląd i ujrziała ścięte głowy, jeszcze nie było jej dosyć! Rodzina jej zainwestowała przecież w ekspedycję mnóstwo pieniędzy. W obozie nastąpiły dalsze egzekucje, aż w końcu i sam wikary zaczął drzeć o własną skórę. Schorowany de Mendaña przeniósł się wreszcie na ląd i zamieszkał w domu komendanta obozu. Było już jednak za późno na ratowanie zdrowia i całego przedsięwzięcia. Czuł się śmiertelnie chory i równie beznadziejnie przedstawiał się stan jego osady.

Przepadła nadzieja, by udało się utrzymać w garści żołnierzy i osadników. De Mendaña zmarł po kilku dniach, pozostawiając dowództwo w rękach Isabel i jej starszego brata don Lorenza. Biali przybysze zaczęli masowo chorować, malaria stała się śmiertelnym zagrożeniem. Wtedy jeszcze nie znano jej przyczyn. Krajowcy zaczęli zuchwale atakować żołnierzy, biorąc odwet za krzywdy wyrządzone przez najeźdźców. Nękali białych po deszczach, bo już zdążyli się dowiedzieć, że w tym czasie strzelby Hiszpanów nie nadają się do użytku. Teraz śmiali się wyspiarze. Ich celne strzały, wypuszczane przez ukrytych na wierzchołkach drzew łuczników, ugadzały żołnierzy w odsłonięte kolana, nogi, ręce i szyje. Celowali dobrze, a strzały były zatrute. Żaden z mieszkańców obozu nie był pewny, z którego drzewa czy krzaka może nadlecieć złowroga śmierć. Nikt nie miał odwagi opuszczać obozu. Krajowcy zaprzestali dostarczać żywności.

Niedługo po kapitanie zmarli, również na malarię, don Lorenzo oraz kilku zakonników. Jedyny pozostały przy życiu kapłan wniósł w imieniu wszystkich prośbę do Isabel, by opuścić Santa Cruz. Ale jej rodzina wyłożyła dziesięć tysięcy dukatów na pomyślne ukończenie podróży i nie chciała o tym nawet myśleć. Był to dopiero początek wydatków. Niechaj więc kapłan błaga, a żołnierze sarkają – Isabel postanowiła pozostać! Prośbę o opuszczenie wyspy poparł z kolei swym autorytetem de Quirós, ale z nie lepszym skutkiem. Fuknęła na niego z wyższością: „Czyś to ty płacił za statki?!”. Tej samej nocy przetarły się trzy spośród czterech lin trzymających Capitanę na kotwicy, toteż rankiem w głowie dumnej pani zaświtała myśl, że mimo wszystko ostatnie słowo nie będzie należało do niej... Ociągając się, postanowiła zezwolić na opuszczenie osady, co – jak sądziła – będzie tylko chwilowe.

Dnia 7 listopada 1595 roku flota wycofała się z zatoki Graciosa, pozostawiając na lądzie zmarłych. Ale nawet i wtedy Isabel nie miała ochoty zrezygnować z całego przedsięwzięcia. Zamierzała szukać wyspy Santa Isabel wśród archipelagu Wysp Salomona, by się przekonać, czy nie ma tam przypadkiem Almirante. Jeśli nie odnajdą statku, wówczas zgodzi się płynąć do Manili, by zaokrętować

tam kapłanów w celu powrotu i dalszych poszukiwań zagubionych Wysp. W tych ambitnych zamiarach była jednak osamotniona. Należy dodać, że wraz ze swoim najbliższym otoczeniem była w wyjątkowo uprzywilejowanej sytuacji. Miała wszystkiego pod dostatkiem, szczególnie żywności. Owa samolubna pani dbała o to, by nie zabrakło jej jedzenia, chociaż wszyscy inni głodowali. Zapasy jej żywności i innych niezbędnych dla wygody rzeczy stanowiły jej prywatną własność, w której znajdujący się na statku ludzie nie mieli udziału. Była tak okrutna, że nie chciała udzielić nawet kropli oliwy, także wtedy, gdy ludzie umierali na szkorbut. Fakt, że Isabel mniej dbała o potrzeby statków niż o swoje własne, był nieszczęściem zarówno dla niej, jak i dla całej ekspedycji. Opuszczając nieszczęsną Santa Cruz, żeglarze wybrali jedyną ocalałą linę kotwiczną, podnieśli łodzie, postawili zniszczone żagle i odpłynęli. Osprzęt znajdował się w tak marnym stanie, że fały rwały się trzykrotnie, zanim zdołano na nich podnieść łódź z wody na pokład.

Przebywając na Santa Cruz, Hiszpanie nie wiedzieli, że znajdowali się tak blisko Wysp Salomona. Wystarczyło popłynąć 216 mil na zachód! Lecz flota wzięła kurs na północny zachód i przepłynęła tuż obok wschodnich wybrzeży Wysp Salomona... Nie widząc ani lądu, ani śladu zaginionego statku, popłynęli dalej na północny zachód, kierując się w stronę Filipin. Kilkadziesiąt lat po odkryciu ich przez Magellana wyspy były dobrze prosperującą kolonią Hiszpanii. Podróż na ledwie trzymających się kupy trzech statkach stała się dla marynarzy koszmarem i gehenną, o jakiej świat nie słyszał! Tylko w ciągu miesiąca od opuszczenia Santa Cruz zmarło czterdzieści siedem osób! Nieliczni zdolni jeszcze do służby marynarze zaklinali Quirósa, by pozwolił skierować statki na najbliższe napotkane wyspy czy nawet rafy. Było im już obojętne, czy pozostaną przy życiu, czy pomrą. Pragnęli tylko końca swych cierpień, które nie ustawały przez cały czas i były już nie do zniesienia. Przegniłe statki wlekły się po zielonobłękitnych wodach oceanu. Teraz często napotykali ciszę.

Pewnej nocy znikł galeon San Felipe. Największy okręt, Capitana, płynął z pękniętym grotmasztem. Dzienna racja żywności dla całej załogi, z wyjątkiem Isabel i uprzywilejowanej garstki jej świty, wynosiła pół funta mąki rozrobionej wodą morską na papkę, którą pieczono w popiele. Jak stwierdza z mistrzowskim niedomówieniem kronikarz, „nie było zbyt wielkiego koleżeństwa”[5]. Co dzień umierało po dwóch, trzech ludzi. Kronikarz dodaje: „natomiast kobiety, na ogół biorąc, zdawały się trzymać lepiej niż mężczyźni”[6]. Cztery razy dziennie wypompowywano wodę ze statków, gdyż podczas postoju na Santa Cruz świdraki dokładnie przeżarły kadłuby, do naprawy zaś nikt się nie garnał, gdyż wszyscy zajęci byli kłótniami i awanturami. Okręty były brudne. Wyczerpane chorobami i głodem załogi nie miały sił, by dbać jeszcze o czystość. Takielunek i żagle, które nigdy nie były w najlepszym stanie, teraz nie nadawały się zupełnie do użytku. Tymczasem żeglarze mieli do przepłynięcia jeszcze z górą tysiąc mil, zanim zaświeciłaby nadzieja dotarcia do Filipin.

Najgorsza sytuacja była na małej fregacie Santa Catalina. Wynędzniała i chorująca załoga ostatkiem sił naprawiała pękające szwy przegniłych żagli. Wszystkie liny były zużyte, a takielunek stały zaczął się rozpadać. Pękały maszty i rwały się najważniejsze liny. Nikt nie miał już siły, by związać żagle, ani ochoty na powrót spletać lin. Statek mógł już nieść tylko dwa dolne żagle – grotżagiel i fokżagiel. Z przegniłych klepek poszycia zwisały długie wodorosty. Ohydny fetor w ładowni przyprawiał o mdłości nawet ludzi od dawna do niego przywykłych. Nikt nie kwapił się, by zejść tam i wyciągnąć ciała tych, co zmarli. Nieraz całymi dniami leżały tam niepogrzebane trupy. Statek dosłownie ledwie trzymał się na wodzie, która przelewała się w nim przez liczne otwory w wypaczonym poszyciu kadłuba. Kronikarz wyprawy wspomina: „Marynarze, wyczerpani ciężką pracą, osłabieni chorobami i przygnębieni widokiem marnego stanu fregaty, nie przywiązywali już wagi do życia. Woleli umrzeć od razu niż powoli”[7].

Na Capitanie też nie było lepiej. Tymczasem doña Isabel, przebywając w obszernym, przewiewnym pomieszczeniu na rufie, gdzie przez otwarte okna rzadko tylko dochodził fetor z pozostałej części okrętu, wiodła życie odosobnione. Ciągle miała jeszcze wszystkiego pod dostatkiem. Z jej rozkazu służebnice zużywały znaczną część pozostałej wody do prania jej odzieży. De Quirós zaprotestował przeciwko temu, lecz otrzymał odpowiedź, że ze swoją własnością wolno jej czynić, co jej się podoba! Nic jej to nie obchodziło, że innym brakowało wody do picia. Radziła, by nałapano wody podczas deszczu, a jeśli będą zanadto szemrać, to paru się powiesi dla przykładu i będzie spokój... De

Quirós zwrócił uwagę, że jeśli sama chce żyć, to marynarze muszą otrzymać swoją rację wody, gdyż w przeciwnym wypadku zabraknie ludzi do obsługi statku. Na to wyniosła pani niechętnie oddała do rozdziału dwa słoje oleju... Potem zabrała klucz od składu zapasów. Nic sobie nie robiła ze straszego głodu panującego wśród załogi. Nie chciała nawet słyszeć o zabiciu kilku świń i innych zwierząt, wiezionych jako żywy inwentarz przyszłej kolonii...

Przed odpłynięciem z Santa Cruz ciało męża Isabel ekshumowano z tymczasowego grobu i przeniesiono na małą fregatę Santa Catalina w celu przewiezienia do Manili. De Quirós nie przestawał jej błagać, by przeokrętować załogę z tego niemal tonącego statku na Capitaneę, lecz nie uzyskał na to zgody. Nie chciała ona nawet przenieść ciała swego męża. Ponadto ostrzegał i stale informował o możliwości utraty fregaty, gdyby się od nich oddaliła, gdyż pilot na fregacie nie miał mapy, a nawet biedak nie potrafił czytać. Krótco po tym, pewnej nocy, niedaleko archipelagu Marianów, fregata znikła i nigdy już jej nie zobaczono. Mimo licznych wysepek na horyzoncie nie znaleźli pomocy i w godnym pożałowania stanie osamotniona Capitana płynęła dalej do Manili. Wstrętnie brudny i zalany wodą okręt prawie bez żagli robił zaledwie dwa węzły, znacząc swój kurs wyrzucanymi za burtę obrzękłymi zwłokami.

Wreszcie, w dniu 11 lutego 1596 roku, po dziewięćdziesięciu sześciu dniach żeglugi z Santa Cruz, nędzny i zmaltretowany mały statek jakoś dotarł do zatoki przed Manilą. Jak tam się często zdarza, spory wiatr dał wprost w twarz żeglarzom, którzy ani nie mogli do zatoki wpłynąć, ani utrzymać statku przed wejściem. Kronikarz zanotował: „Na miłość boską, wrzuc teraz na skały ten przeklęty statek” – błagali Quirósa pozostali przy życiu ludzie, ale główny pilot odmówił. Wiedział dobrze, że przy pierwszym dotknięciu skał przegniły kadłub rozpadnie się na stos przeżartych klepek, topiąc wszystkich wraz z sobą. Toteż statek pozostał na morzu.

Długo czekano, zanim na odległość głosu podpłynęła łódź, przez którą doña Isabel przesłała wiadomość swym krewniakom zajmującym w porcie ważne stanowiska. Aby uroczystie przywitać dostojną krewniaczkę, wysłali okazalszą łódź z wystrojoną w jedwabie delegacją, by wprowadziła do portu statek śmierci. Wspinając się na pokład, strojni marynarze z Manili zatykali nosy i w zdumieniu przyglądali się nieszczęsnym, wstrząsanym malarią szkieletom. Przerazały ich te marne resztki pozostałej przy życiu załogi i osadników z dumnego ongiś statku, przeznaczonego do wielkich czynów. Wszyscy ci ludzie byli chorzy, odziani w podarte łachmany. Ich wygląd był koszmarny. Z krwawiących, nabrzmiątych i owrzodzonych dziąseł ohydnie cuchnęło i wypadały z nich zęby. Od ciągłego pompowania z zęb wody skóra na ich dłoniach była popękana i cała w ranach. Wionął od nich przerażający odór choroby i śmierci.

Wysoko, na pochylonej nadbudówce rufy, stała przybrana w jedwabie doña Isabel, wesoła jak sami mieszkańcy Manili. Jej dumna i surowa twarz kwitła świeżością jak wówczas, gdy wyruszała z Peru. Przed nią wesoło igrały na pokładzie dwa wieprze, którym manilczycy przyglądali się ze zdumieniem, widząc na całym okręcie objawy śmiertelnego głodu. Na pytanie, dlaczego ich nie zjedzono, skoro brak było żywności, odpowiedziano, że stanowią własność doña Isabel. „Do diabła – krzyknął jeden z nich – nie pora teraz cackać się z wieprzami!” Po chwili zarżnięto je wreszcie na ucztę dla sytych mieszczuchów, którzy przyprowadzili statek do nabrzeża. Wkrótce Isabel wyszła powtórnie za mąż. W portowych tawernach opowiadano, że jej statek przebył drogę z Peru do Wysp Salomona, by przywieźć stamtąd królową Sabę, lecz zabłądził... Pozostałe przy życiu wdowy, które wyjechały przed dziewięćmiu miesiącami z Peru, „przyjęto w domach czołowych miejscowych rezydentów, a później dobrze wydano je wszystkie za mąż ku ich zadowoleniu”. Sam de Quirós pozostał w służbie Isabel i jej drugiego męża don Fernanda de Castra. Z nimi odbył podróż powrotną do Meksyku. W dniu 11 grudnia 1597 roku dotarli do Acapulco, skąd de Quirós powrócił do Peru jako pasażer. Przybywszy tam, zgłosił się natychmiast do wicekróla i przedstawił mu plan następnej swojej wyprawy na siedemdziesięcotonowym statku z załogą czterdziestu ludzi. Ekspedycja miała powrócić na Morze Salomona i odkryć dalsze ziemie, które według domysłów Quirósa musiały znajdować się w tej części Pacyfiku. To już następna historia – dzieje poszukiwania Tierra Australis i odkrycia czarnego archipelagu – Vanuatu.

Nie wiadomo, w którym miejscu Pacyfiku spoczywają doczesne szczątki kapitana wyprawy.

Wielki ocean jest odpowiednim grobem dla tego niezwykłego wędrowca, który mógłby stanąć w jednym rzędzie z wielkimi odkrywcami, gdyby miał na tyle siły charakteru, by opanować stworzone przez siebie sytuacje. Wśród ludzi morza mówiło się, że nad wyspami Santa Cruz wisiała jakaś klątwa rzucona na żeglarzy odkrywców. Dwieście lat po kapitanie zaginięcie na Pacyfiku wielkiego francuskiego odkrywcy La Perouse'a wiązało się ponownie z archipelagiem Santa Cruz – tajemnicą wyspy Vanikoro.

## Wędrowka do Biluro

Obudziłem się wcześniej, bo z jakiegoś powodu nie mogłem spać. Z okna spojrzałem na odległy horyzont. Delikatna mgła jeszcze zakrywała oddalony brzeg morski w Hirolegu. Na wzgórzach pociętych rozpadlinami i wąwozami po drugiej stronie chaty z oparów mgły wyłaniały się wierzchołki drzew. Za palmami, w gęstych krzakach, budziły się pierwsze ptaki. Na razie słychać było tylko dyskretne ćwierkanie małych wróblowatych i jeszcze ospałe krzyki papug. Wszystko wskazywało na to, że na dzisiejszą wędrowkę będzie dobra pogoda. Tym razem jestem całkowicie spokojny, bo mam towarzystwo Barabasa.

Do Biluro wychodzimy dość późno. Dzisiaj nie zależy mi specjalnie na czasie, gdyż nie martwię się o drogę. Późniejszą porą będzie pewnie gorąco i aura da mi w kość przy niesieniu plecaka. Zaraz za wioską wchodzimy do lasu. Idziemy ścieżką, w której co kawałek odchodzą dróżki prowadzące na pobliskie poletka. Ścieżka stale lekko pnie się pod górkę, a ja z coraz bardziej ciężącym mi plecakiem ledwo podążam za moim kamratem. Z początkowego półmroku zasłoniętego przez splecione konary drzew dość szybko wchodzimy w dużą plantację palmy kokosowej.

Kiedy płynąłem do Kalikaki na Princessie, właśnie one ozdabiały wzgórze. Jasnozieloną barwą swoich pióropuszy wyróżniały się na tle ciemnego, niemal czarnego gęstego lasu. Te pocięte rozpadlinami wzgórze ładnie wyglądały z pokładu statku, ale teraz jestem wśród nich i muszę wspinać się po nierównym terenie.

Barabasz niesie tylko przewieszony przez ramię woreczek na sznurku, nawet nie zabrał maczety. Ja muszę targać swój niewielki, ale kłopotliwy plecak z całym dobytkiem.

Denerwujące są muszki, kiedy przechodzimy w pobliżu jakiegoś ich gniazda. Czatuja gdzieś w zielsku i jak tylko poczują pot zmęczonego człowieka, zawzięcie atakują, podobnie jak nasze meszki. Na szczęście po kilkudziesięciu metrach kończą rajd, odpuszczając sobie pościg. Na głowie mam kapelusik i przez to jakąś ochronę przed spadającymi z gałęzi insektami.

Wyspy Salomona to nie miejsce dla tych, co czują wstręt do robactwa. Pomijając już niebezpieczne moskity, nie będą się tu zbyt komfortowo czuli. Wszędzie dookoła pełno kleszczyków, muszek, wijów, pajaków i wszędobylskich mrówek. Wystarczy tylko przejść się przez trawę dookoła tutejszej chaty, a widać, ile się tego robactwa wypłoszy spod nóg. Dobra rada – najlepiej o nich wcale nie myśleć i nie zwracać na nie uwagi, najwyżej poczujemy nieprzyjemnie łaskotanie, kiedy takie coś łązi po skórze twarzy czy karku. Łatwo powiedzieć, jednak nierzadko zgniatam jakieś małe paskudztwo po piekącym ukłuciu. W podróży stosuję repelent Mugga, który się doskonale sprawdza. Przez pewien czas ma się spokój z wszelkimi insektami.

Że tu robactwo jest wredne, widać to po skórze u dzieci, które są bezbronne przed różnymi krwio pijcami. Są najbardziej narażone, bo najczęściej biegają na bosaka i półnago. Na ich skórze widać liczne wypukłości po ukłuciu i wrzody przykre dla oka. Jak wszędzie na świecie, tak i tu różnie bywa. Jedni rodzice bardziej uważają na swoje pociechy, inni ledwie co przejmują się maluchami.

Spotkamy tu latające, pełzające i pływające diabelstwo, co lubi znosić na plecach lub gdzie indziej jajka, z których pod skórą wylęgają się paskudne larwy. Na te trzeba uważać, ale najgorzej sprawa wygląda z pasożytami, które żerują w jelitach, pęcherzu i w wątrobie. Warunki, w jakich ludzie tu żyją, i brak dbałości o higienę jedzenia są idealne do ich rozwoju.

Dalej idziemy pod górę. Moja mokra od potu koszula przylepiła się do ciała jak plaster. Jest piekielnie gorąco i duszno. Na dodatek to czas, kiedy wokół panoszy się najwięcej owadów. Nie zatrzymujemy się, pajączyny i inne przeszkody rozgarnia sobą pracy do przodu Barabasz.

W najwyższym miejscu wzniesienia dochodzimy do odkrytej polany, na której stoi

niezamieszkała, dawno opuszczona chata. Zatrzymujemy się tu na krótki odpoczynek. Patrząc z podziwem na odległy morski horyzont. Nie trzeba być bardzo wysoko, wystarczy wejść na takie wzgórze jak tu. Jesteśmy nie wyżej niż 150 metrów nad poziomem morza, a już przed nami roztacza się wspaniały widok na Morze Salomona.

Nagle ostre przenikliwe wrzaski przeszły powietrze. Taki jazgot może być tylko robotą lecących papug. Stado musiało splosnąć się wtargnięciem intruzów na swój teren i teraz całą zgrają przeleciało, zataczając koła nad naszymi głowami. W locie papugi nie robią większego wrażenia, za to z bliska wyglądają pięknie, wtedy ich pióra mieniają się najpiękniejszymi barwami. To najbardziej inteligentne ptaki, pod tym względem przewyższają wszystkie inne. Szkoda, że los ich jest poważnie zagrożony!

Na wzgórzu nie ma nawet gdzie się schować przed słońcem, więc po paru minutach ruszamy dalej. Schodzimy dość stromo w kierunku brzegu, by dalej już plażą dojść do Biluro. Zboczyliśmy ze ścieżki, bo Barabasz wybrał drogę na skróty.

Schodząc, pośliznąłem się. W utrzymaniu równowagi przeszkodził mi plecak, który pociągnął mnie do tyłu, tak że zjechałem kilka metrów na tyłku. Nic mi się nie stało, ale spodnie porządnie rozdarłem. Były już w złym stanie przez wędrowkę buszem i ledwie trzymały się kupy. Teraz muszę szczególnie uważać, by jeszcze tych kilka dni do Honiary wytrzymały.

Jakoś doszliśmy do plaży. Brzeg był tak wąski, że trzeba było brodzić w płytkiej wodzie, na szczęście był odpływ. Liczne przeszkody w postaci powalonych palm kokosowych utrudniały marsz.

Zmęczony i spragniony spoglądałem na dorodne kiście orzechów kokosowych dyndające pod liściastymi pióropuszcami palm. Zagadnąłem Barabasza, czy da radę zerwać orzech z tak wysokiego drzewa. Tylko taki wprost zerwany ma orzeźwiający, chłodnawy sok, bez względu na upał.

Było południe, nawet najmniejszy wiaterek nie muskał wody. Przeszliśmy jeszcze kawałek, rozglądając się za miejscem, gdzie można by na chwilę spocząć. Oprócz kęp palm, które dzielnie bronią się przed podmywającą je wodą swoimi skołtunionymi drobnymi korzeniami, rosną tu wielkie drzewa mangrowe. Wcale im nie szkodzi, że ich wystające nad powierzchnię ziemi potężne i rozłożyste korzenie podmywa słona fala morska.

Usiadłem na takim częściowo podmytym korzeniu. W tym czasie Barabasz spiął nogi paskiem i sprawnie wdrapał się na pobliski wysmukły pień pochylonej palmy. Po chwili na piasek spadły trzy orzechy, którymi obaj ugasiliśmy pragnienie. Można było ruszać dalej w drogę. W oddali, nad wyraźnym morskim widnokręgiem, powoli zbierały się chmury. Przez pobliską rafę powoli przewalały się pierwsze fale przyboju.

Przeszliśmy już kawałek brzegiem w kierunku pobliskiego Biluro, kiedy wśród małych fal załamujących się na pobliskich koralowych skałach spostrzegłem dziwacznie wystający spory fragment żelastwa. Nie mogło to być nic innego jak nadżarta rdzą pogięta gruba blacha z jakiegoś wraku okrętu. Kawałek dalej na brzegu natrafiliśmy na wystający z piasku inny kawałek żelastwa – pamiątki po krwawych walkach w rejonie środkowych wysp archipelagu.

Tu, na krętych, obrzeżonych rafami kanałach w pobliżu wyspy Savo i Santa Cruz, rozegrała się jedna z największych i najważniejszych bitew morskich. Stoczono ją nocą z 8 na 9 sierpnia 1942 roku pomiędzy flotami japońską i amerykańsko-australijską. Wiceadmirał Mikawa przeprowadził udany atak na siły alianckie. W efekcie zaskakującej akcji alianci stracili w nocnym boju cztery ciężkie krążowniki i 1 023 marynarzy, przy znikomych uszkodzeniach po stronie japońskiej! Była to pierwsza z wielkich bitew morskich podczas walk o wyspę Guadalcanal.

Zbliżamy się do Biluro, po drodze przechodzimy jeszcze przez mały przysiółek z kilkoma chatkami. Wśród nich wyróżnia się jeden większy, to prosty, podobny do baraku skromny kościółek. Za ostatnimi zabudowaniami dochodzimy do wielkiego, rozłożystego drzewa. W niewielkiej od niego odległości do morza uchodzi szerokim rozlewiskiem rzeczka.

Zainteresowałem się dziecięcą wrzawą i harcami przy jej ujściu. Zdjąłem plecak i położyłem przy jednej z dłubanek wyciągniętych na brzeg. Z kamerą i aparatem podszedłem bliżej, by popatrzeć, co się tu dzieje.

Przed szerokim na kilkanaście metrów rozlewiskiem spora gromada dzieciaków bawiła się i popisywała zręcznością. Nawet na moment nie przerwały bieżące i wrzawy, kiedy podszedłem

i zacząłem filmować ich niezwykle zawody zręcznościowe. Od razu wiedziałem, że to miejscowy sposób połowu ryb i podniecająca zabawa. Były tu chyba wszystkie dzieciaki z wioski, a nawet i dorośli. To nietypowa rozrywka z maczetami w ręku. Śmigają na prawo i lewo niebezpiecznym żelastwem! Łapanie ryb polega na trafieniu w nią ostrzem. Młodociani rybacy ustawili się w trzy tyraliery, by nie przepuścić bystrych ryb i krewetek umykających do morza. Pomiędzy wymachującymi niebezpiecznie maczetami podrostkami biegały maluchy. W pośpiechu z wartkiej wody rękoma łapały ogłupiałe od zamętu słodkowodne krewetki niezgrabnie uciekające do morza. Złapana rybka czy krewetka natychmiast łądowała na piaszczystym brzegu, a tam zbieraniem połowu zajmowała się najmniejsza dzieciarnia. Zaglądam do wiadra i z politowaniem patrzę na pokancerowane ostrzami ryby. Wiele jest bez ogonów czy głów i takich przeciętych w połowie. Wszystko to wymieszane ze skręcającymi się krewetkami wygląda na niezłą jatkę! W tej niezwyklej i pożytecznej zabawie dziewczyny są o wiele bystrzejsze od chłopaków, prawie każde ich cięcie maczetą w wodę jest celne.

Kiedy już nagrałem film i zrobiłem sporo ciekawych zdjęć, zacząłem się zastanawiać się, o co w tym wszystkim chodzi. Pierwszy raz spotkałem się z takim czymś, więc z zainteresowaniem posłuchałem Barabasa, który krótko wyjaśnił mi, na czym polegają te połowy.

Wpływająca z głębi buszu do morza słabym nurtem rzeczka każdego dnia jest tamowana przez naniesiony piasek. Fale przyływu nanoszą do ujścia tyle piachu, że powodują zatrzymanie jej nurtu. Zatamowana woda gromadzi się w pobliskiej niecce i tworzy płytki zalew szeroki na kilkadziesiąt metrów. Po dużych opadach deszczu zgromadzona woda przerywa dość łatwo tę naturalną tamę, ale jeśli nie pada, to woda w pobliskim zalewie może stać dłużej. W tym czasie z głębi wyspy nurt niesie do ujścia sporo różnych ryb i krewetek. Trudno zrozumieć naturę, ponieważ te słodkowodne stworzenia w słonej wodzie prawie natychmiast giną. Tylko nieliczne gatunki są dwuśrodowiskowe. Ja znam tylko łososie i węgorze.

Zabawa starszych i dzieci polega na przekopaniu kilkunastometrowej długości wąskiego rowu w naniesionym przez przyływ piasku. Przerwanie w ten sposób tamy powoduje uwolnienie wody, która gwałtownie rozmywa wykopany rów i już szerokim, wartkim strumieniem płynie do morza. Ten moment powoduje, że zgromadzone ryby bystro pędzą do oceanu. Są zupełnie nieświadome zbliżającej się śmierci. Po drodze do zabójczej słonej wody czyha na nie jeszcze bystre oko polujących i ostrze maczety. Pomyślałem o przerzuconej między brzegami sieci, tak jak widziałem na Fidżi, ale tam nie było takiego podniecenia i okrutnej zabawy z ostrymi maczetami jak tutaj.

Do Biluro musimy wspiąć się ścieżką po stromej skarpie na końcu zatoki. To koniec przejścia brzegiem. Las tropikalny schodzi tu nie tylko do samej wody, lecz wkracza w morze, tworząc nieprzebyte zarośla mangrowe. Jeszcze tylko ostatnie pięćdziesięciometrowe podejście szeroką ścieżką przez gęstwinę i jesteśmy na obszernej, trawiastej polanie. Nie musimy szukać chaty Francesca, stoi przed nami na polanie otoczonej drzewami tak szczelnie, że nie widać ani nie słychać stąd morza.

Po drodze dowiedziałem się od Barabasa, że Francesco jest wiejskim pastorem Kościoła melanezyjskiego. W domu nikogo nie zastaliśmy. Nie różni się on od tych, które wcześniej widziałem na wyspie. Do środka wchodzi się po schodkach. Prowadzą one do obszernej werandy, z której można wejść do trzech innych pomieszczeń. Dom pastora nie jest nowy, ale jest solidny. Można to poznać po łagodnym dwuspadowym dachu pokrytym jeszcze grubo liśćmi palmowymi. Obecnie rzadko się zdarza, by ktokolwiek bawił się w krycie dachów nowych domów starymi sposobami. Wiaty gospodarcze, kuchenne – to co innego.

Plecak postawiłem na ziemi przy ścianie. Nie było gospodarza, więc nie śmiałem wejść nawet na werandę. Co innego Barabas, który bez ceregieli położył się w rozwieszonym tam hamaku i ku mojemu zdziwieniu natychmiast zasnął!

Poszedłem do pobliskiej, ledwie trzymającej się kupy wiaty kuchennej. Całe jej wyposażenie to palenisko, dwa lub trzy osmolone garnki i wąski podest czy stół kuchenny z klepek bambusa. Na półce wiszącej na jedynej ścianie stoi jeszcze kilka garnuszków i miseczek, to już właściwie wszystko. W palenisku zostało trochę żarzącego się drewna. Nie namyślając się długo, zagrzałem w czajniku wodę na kawę. Po dwóch kubkach takiej rozpuszczalnej 3 w 1 pragnienie ugasilem, ale poczułem głód, w końcu od rana nic nie jadłem.

Minęły już dwie godziny, a nikt się jeszcze nie zjawił. Barabasz w hamaku nadal smacznie chrapał. Musiałem go obudzić, bo zrobiło się dość późno. Zdawałem sobie sprawę, że jeszcze dzisiaj musi kawał wracać do domu. W tym czasie przyszedł młody krewniak Francesca, w samą porę, bo już zęgnąłem się z poczciwym Barabaszem, który tyle mi pomógł. Na odchodne dałem mu 120 tutejszych dolarów. Był zadowolony, a ja smutny z powodu naszego rozstania. Świat jest tak wielki, a życie takie krótkie, że nie ma szans, byśmy się jeszcze spotkali... Uśmiechnięty Barabasz na odchodne wsadził dwa orzechy betelu w usta i przewiesiwszy swój tobolek przez ramię, podreptał stromą skarpą w dół, do swojej wioski. Może zdąży przed deszczem?

Znaki na niebie i ziemi wskazują na zmianę pogody. Chociaż tak naprawdę do końca nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie. Gospodarz długo nie nadchodził, czekaliśmy z Vincentem przed domem. Młody na szczęście już o mnie słyszał, więc znajomość jest ułatwiona. Kiszki grały mi marsza tak głośno, że myślałem, iż Vincent to słyszy. Widząc dzisiaj tyle ryb, zapytałem go, gdzie mógłbym kupić kilka sztuk. Usłyszałem, że sam może mi je sprzedać, o ile coś zapłatało się w sieć. Właśnie zamierzał pójść i sprawdzić, co się złapało. Vincent schował mój plecak do chaty i zaraz udaliśmy się nad pobliski brzeg. Trzeba było wybrać zastawione na lagunie sieci.

Stromą ścieżką pośpiesznie dochodzimy prawie na cypel półwyspu, ograniczającego od zachodu bajecznie piękną zatokę. Vincent ściągnął z brzegu jedną z dłubanek i odpłynął pod rafy. Z zaciekawieniem czekałem na ryby. Wiedziałem, że w pobliżu raf zawsze żyją ciekawe i kolorowe okazy. Nie zawiodłem się – po pół godzinie zobaczyłem na dnie łodzi kilkanaście kolorowych ryb różnych gatunków. Po chwili Vincent nanizał sprawnie wszystkie na cienką witeczkę, by łatwiej było je nieść. Może nie były za wielkie, ale różne, piękne i kolorowe. Zrobiłem zdjęcie ślicznym rybkom.

Byłem zaskoczony, kiedy dotarliśmy do domu, bo do tej pory jeszcze nie wrócił Francesco. By przestać się niecierpliwic i zająć czymś ręce, zabrałem się do czyszczenia ryb. Nie targowałem się z Vincentem. W końcu nie było ich tak dużo, więc wziąłem wszystkie, jakie były na kij, za dziesięć dolarów – to w przeliczeniu jakieś pięć złotych.

Nie miałem patelni ani oleju, dlatego poprosiłem Vincenta o rozpalenie ogniska. W tym czasie oczyściłem ryby. Kiedy piecze się je nad żarem, to nie trzeba przejmować się łuskami. Ogień je stopi i staną się chrupką skórka. A tak przy okazji – większość tych rafowych klejnotów nie ma łusek, a tylko twardą skórę, która się spieczą. My też nie skrobiemy smacznej flądry na patelnię...

Piekłem już trzecią rybę nadzianą na długi kij, kiedy z koszami warzyw wrócił z plantacji Francesco z żoną, córką i synem. Gospodarz spodziewał się mnie. Gościnnie rodzina na czas mojego pobytu chciała odstąpić swój pokój, ale się na to zgodziłem. Powiedziałem, że zupełnie wystarczy mi kawałek miejsca na werandzie, i na tym ostatecznie stanęło.

W Biluro zaplanowałem zatrzymać się tylko na dwa noclegi, a potem iść dalej do Susubony. Wyczyszczone rybki przekazałem gospodyni i zająłem się przygotowaniem spania, czyli rozwieszeniem moskitiery i nadmuchianiem materaca. Nie sprawdziła się moja deszczowa prognoza.

Jeszcze przed zachodem udałem się na nad zatokę. O ile nie pada, wieczory są niezwykle piękne, wprost bajeczne. Prawie co dzień, z dziwną regularnością, na godzinę przed zachodem słońca nad odległym horyzontem skłębiają się malownicze obłoki. Lśnią ciepłymi, czerwonymi barwami. W czystym jak kryształ wieczornym powietrzu latają jeszcze ptaki. Około szóstej wieczorem zachodzi słońce, nadchodzi czas zmierzchu, to trwa ze trzy kwadransy.

Jest nieprawdą, jakoby w tropikach dzień w kilka zaledwie minut przechodził w noc. W tym czasie wieczorne niebo ożywiają popisy nietoperzy. Są to stworzy owadożerne lub roślinożerne.

Jak byłem mały, u nas na wsi straszili mrozącymi krew w żyłach opowiadaniem, choćby takim, że wkręcają się we włosy i potem ani rusz! Ale gdyby bojący się naszych małych nietoperzyków zobaczyli tutejsze olbrzymy, gwarantuję, że w nocy czy pod wieczór nie ruszyliby się z domu, bo takie monstrum według nich nie tylko wyssałoby żywcem krew, ale i obgryzłoby głowę!

Tu, na wyspach, po których już kilka miesięcy się przemierzam, są małe gacki, takie jak u nas. Tak samo sprawnie uwijają się za muszkami i komarami. A wiadomo – komary kręcą się koło człowieka, a szczególnie koło głowy, więc jest powód dla gacka, który śmiga tuż przy niej... Są tu też nieco większe, powiedzmy jak gołębie, i jeszcze jedne – prawdziwe olbrzymy. Te z daleka wyglądają na ciężko lecące



czaple. Podobno niektórzy miejscowi uwielbiają ich mięso, mówią: czego się brzydzić, kiedy one są roślinożerne. Wypiarzom najbardziej zachodzi za skórę ten średniak. Należy do wyrafinowanych złodziei owoców, i to nie byle jakich, ale tych najlepszych. Gdy ludzie błogo śpią nocami, rękoskrzydłe, bo tak na polski można przetłumaczyć łacińską ich nazwę, obgryzają dojrzewające papaje. Zgrabnie zdzierają bardzo gorzką skórkę i zjadają słodki miąższ, w smaku lepszy od najwyborniejszego melona.

Oprócz owoców mango i innych słodkich fruktów kradnie dojrzewające banany. W ten sposób zmusza właścicieli do przedwczesnego ścinania kiści bananowych, by bezpiecznie dojrzały w kuchni przy ogniu, a raczej przy dymie. Smak jest do przewidzenia...

W Indonezji poważne szkody robią na poletkach rolników w młodej kukurydzy. W nocnych wyprawach całymi stadami ściągają znad morza daleko w góry na ten smakołyk. Ale ludzie na Flores się im odgryzają. Może nie lecą stadami, ale schodzą gromadnie nad morze i w miejscach stadnego przebywania nietoperzy złodziei robią wielkie polowania. Nietoperze przeważnie śpią zawieszane na gałęziach. Lubują się w drzewach rosnących na małych przybrzeżnych wysepkach, by mieć spokój.

Sierpień to najlepszy czas do polowań na nie. Ludzie podchodzą pod drzewa z koszykami i siatkami nie do łapania, ale do ładowania złapanego towaru. Co zgrabniejszy wdrapuje się na drzewo i kijem lub parangiem wali w zwisające, smacznie śpiące nietoperze. Potem obładowani wracają w góry do swoich domów. Część zdobyczy zaraz idzie do garnka jako najwyborniejszy przysmak, resztę suszą na słońcu, by było na potem. Na pociechę pozostaje świadomość, że choć część owoców i kukurydzy zjedzą nietoperze, to jednak coś zwraca się rolnikom w postaci utuczonych sztuk...

Leżałem pod moskitierą, wyspa bezgłośnie zapadała w mrok. W miarę jak ciemność stawała się gęstsza, wzbogacał się świat dźwięków ogarniający niewidoczny pobliski las. Najpierw cykady, których natrętny głos z minuty na minutę stawał się coraz mocniejszy, do tego w pobliżu coś ciągle skwierczało, trzaskało czy trzepotało. Słysząc było pojedyncze wrzaski jakichś ptaków. Pod przewiewną altaną ta symfonia tropikalnej nocy nie była moim pierwszym koncertem, lecz jak zawsze było to fascynujące. Długo nie mogłem zasnąć...

Było jeszcze przed świtem, słońce weszło, lecz jego tarcza wciąż ukrywała się za ścianą pobliskiego lasu. Przenikliwy wrzask przeszył powietrze, aż poderwałem się z materaca. Ten charakterystyczny krzyk, przenikający do kości, oczywiście wydało stado papug przelatujących nad chatą. Po chwili pokazało się słońce i zaraz zrobiło się weselej.

Dzisiaj jest niedziela. Mało kto idzie pracować w ogrodzie czy na plantacji. To dzień odpoczynku. Tutaj, na końcu świata, na mało komu znanej Santa Isabel, ludzie żyją na luzie. Nie ma tu wszechobecnego pośpiechu, jaki u nas widzimy na każdym kroku.

Rozmawiając z Franceskiem, dowiedziałem się, że w tej małej wiosce jest aż pięć różnych wspólnot chrześcijańskich, a wszystkie są protestanckie.

By niedziela nie była nudna, po śniadaniu zamierzałem wybrać się na spacer w okolicę pobliskiej zatoki. Gospodarz jest nie tylko pastorem i drobnym plantatorem palmy kokosowej, ale prowadzi jeszcze małe sklepienie z najbardziej niezbędnymi artykułami spożywczymi.

Na śniadanie gospodyni przyniosła mi trzy usmażone ryby i do tego sweet potatoes. Nie wiedziała, że nie lubię słodkich pyrek ze słonymi rybami. Z ziemniakami nie było problemu, kiedy nikt nie widział, rzuciłem je stale głodnym psom. Po skromnym posiłku przewiesiłem torbę fotograficzną przez ramię i ruszyłem w kierunku wioski.

Biały przybysz to tutaj egzotykiem, więc o przewodnika nie trzeba się starać, bo sam się znajdzie. Miejscowe dzieciaki, gdyby pozwolić, towarzyszyłyby mi jak szkolna wycieczka. Trudno je odpędzać, po drodze same się wykruszą...

Nie wiem, jak to jest, dzieciaki w szkole niby uczą się angielskiego, jednak w praktyce nie potrafią skłecić żadnego zdania. Chociaż o dziwo całkiem dobrze mnie rozumieją, a to najważniejsze. Dziwna to wioska czy osada, bo jest tyle wspólnot protestanckich, a nie ma tu szkoły. Dzieciaki muszą uczyć się w Susubonie.

W odległości dwóch minut drogi od chaty Francesca zaczyna się wioska. Trzeba zejść ze wzgórza w kierunku Susubony, ostatniej wioski na trasie mojego marszu. Przez Biluro ciągnie się dość szeroka ni to przecinka leśna, ni to droga. Po obu jej stronach stoją chaty, za tymi po lewej teren lekko się wznosi.

Pokryty dość gęstą zielenią stok przechodzi w ogrody czy plantacje. Między domami i za nimi rosną liczne palmy kokosowe i arekowe. Te ostatnie są tak dorodne, że mogą budzić zazdrość w sąsiednich wioskach. Dobrze wiem, jak ważna jest ta roślina dla wyspiarzy.

Zetknąłem się z informacją, że popularny betel w zamierzczłych czasach przybył z Malajów i stał się tu powszechną używką. Natomiast tam przerażająco popularne stały się papierosy. Można się o tym przekonać, odwiedzając Indonezję.

Minęliśmy ostatnie chatki i weszliśmy w las. Zewsząd słychać głosy wielu ptaków. Na pniu grubego drzewa spostrzegłem czarnego ptaka. Jego nagły głośny i przeraźliwy skrzek może przerazić. Wszystkie te odgłosy mają zawsze w tle głośnie cykanie. Zadziwia mnie, że aż tyle hałasu potrafią zrobić małe cykady! Skąd mają tyle niespożytych sił? Ich głośnie cykanie zawsze słychać w moich filmach.

Poszliśmy drogą prowadzącą do Susubony, by po chwili skręcić w dróżkę biegnącą w kierunku pobliskiego brzegu. Jak przypuszczałem, z całej gromady przewodników została tylko trójka. Towarzyszy mi bystra córka Francesca z bratem i chłopiec z ich sąsiedztwa.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Od ziemi, krzewów i pni drzew z dołu i z góry zaczęło ziać gorąco. Chciałem uniknąć tej spiekoty i zdecydowałem się zakończyć spacer w buszu. Przyczyniły się do tego także wredne muszki, które jak na złość zawsze usiłują sięść na spoconej twarzy.

Idziemy dróżką, która prowadzi do samotnej chaty nad brzegiem. Przedzierając się na skrót między chatą a lasem, musieliśmy przebyć kilkadziesiąt metrów krzewiastego gąszczu, przez który wycięto ścieżkę.

Nagle na skręcie ścieżki jedno z dzieci zauważyło grzejącego się na słońcu jaszczura. Stwór mógł mieć nieco poniżej metra długości! Takie trzydziesto–czterdziestocentymetrowe to nic wielkiego, ale ten gad to już spory kawał mięsa.

Nieoczekiwane spotkanie przeraziło go, pomimo krótkich nóg zerwał się i w te pędy zaczął uciekać ścieżką! Chcąc ratować skórę, nagle skręcił w busz. Dzieciaki puściły się w pogoń za gadziną. Jaszczur miotał się pomiędzy gęstymi gałęziami i krzakami, a one, poruszając się z zadziwiającą zręcznością i szybkością, nie przestawały ścigać wystraszonego zwierzęcia. Już go prawie schwytały, ale w ostatniej chwili jaszczur wspiał się wysoko na drzewo, gdzie czuł się bezpiecznie. Teraz, nieruchomy, z zaciekawieniem przyglądał się nam z góry. Mogłem spokojnie podejść i zrobić mu zdjęcie. Gad i tak miał dużo szczęścia, bo gdyby byli tu starsi, jego ucieczka skończyłaby się w kotle lub na rożnie. Mała przygoda, a jakie urozmaicenie wędrówki!

Za chatką ścieżyna doprowadziła nas w pobliże ujścia sporej rzeczki, bardzo podobnej do tej mijanej wczoraj. W czasie przechodzenia przez bród, dzieciaki zauważyły mnóstwo kolorowych rybek mknących do ujścia. Moi młodzi towarzysze pośpiesznie chwycili w ręce kamienie, kije oraz to, co się dało, i w jednej chwili cała ta podręczna amunicja poleciała do wody, trafiając często w cel. Mogłem tylko z boku przyglądać się tym harcom. To nie była zwykła zabawa – w dzieciach odezwał się odwieczny instynkt łowcy.

Patrzę w stronę sporej wyspy San Jorge leżącej blisko południowego brzegu Santa Isabel. Jutro będę szedł w jej kierunku. Słyszeli o niej chyba wszyscy wyspiarze, gdyż tam zamordowano pierwszego biskupa Melanezji.

W niewielkiej odległości od brzegu cudownie prezentują się dwie małe i płaskie wysepki. Można odnieść wrażenie, jakby ciemne masy palm kokosowych i dżungla wyrastały wprost z morza. Otaczają je wianuszki białej piany. To fale przyboju, które roztrzaskują się na lekko wystających z wody rafach koralowych. Widać też dalsze wysepki, wyglądające stąd jak czarne niteczki na horyzoncie. Są niezamieszkałe, tylko od czasu do czasu odwiedzają je właściciele, którzy mają tam plantacje palm kokosowych.

Czas wracać do domu. Na moją prośbę Francisco uruchomi dziś wieczorem na trzy godziny agregat prądotwórczy. Już wcześniej uzgodniłem cenę i zapłaciłem z góry za pobyt i ładowanie akumulatorów 105 miejscowych dolarów, czyli jakieś 50 złotych.

Około godziny szóstej chmury zniżyły się i zakryły zachodzące słońce. Po tak upalnym dniu zrobiło się wilgotno i chłodnawo, wkrótce ściemniło się zupełnie.

Francesco ledwie uruchomił agregat. Było z nim trochę kłopotu, już myślałem, że nie ruszy, ale

w końcu zaskoczył. Gospodarz przeciągnął pod werandę kabel ze świecą żarówką. Agregat głośno pykał, a my siedzieliśmy na ławeczce i rozmawialiśmy.

Martwiłem się o jutrzejszą pogodę. Coś niepokojącego wisi w powietrzu. Tym razem naprawdę następowała zmiana pogody. Ale to nic, byłem zadowolony, że będę mógł dalej kręcić film.

W wiosce Susubona, do której się wybieram, zwierzchnikiem jest Mr Patison. Francesco zapewnia mnie, nie będę miał tam kłopotu z zakwaterowaniem, to dobra wiadomość. Ponadto dowiedziałem się, że dzieci z Biluro, w tym dwunastoletnia córka Francesca, codziennie płyną do szkoły wydrążonym canoe wzdłuż brzegu. Dopłynięcie do Susubony zajmuje im aż dwie godziny, i to jeśli szybko machają wiosłami. W takiej dłubance płyną najczęściej we trójkę. Można też iść bagnistą drogą przez busz, ale to ponad trzy godziny marszu. Francesco obiecał wyprowadzić mnie jutro z rana przez busz na plażę. Powiedział mi, że marsz wąską plażą jest niewygodny, jednak nie powinien zająć mi więcej jak trzy godziny. Pod koniec dnia przyszedł młodszy brat Francesca, by pogadać i pograć karty. W Melanezji bratem nazywa się nawet dalszego kuzyna, ale nie wnikiem w szczególności.

Słabe światelko mrugającej żarówki nikłym blaskiem oświetlało twarze grających. Mężczyźni w milczeniu żuli betel. Mnie czekała ostatnia noc przed jutrzejszą wędrówką. W myślach podróżowałem już na kolejną wyspę – Nggatokae. Liczyłem na to, że Mike Charli będzie na mnie czekał w Honiarze, tak jak się umówiliśmy. Być może razem popłyniemy na słynną Marovo Lagoon w Prowincji Zachodniej Wysp Salomona?

## Morze Koralowe nawiedza wojna

Łuk wysp melanezyjskich wokół Morza Koralowego oraz samo morze mają dla Australii i Nowej Zelandii znaczenie strategiczne. Do grudnia 1941 roku w obu tych krajach wyrażano ogólny pogląd, że ostatnią rzeczą, jaka mogłaby się zdarzyć w tym zakątku Pacyfiku, byłyby rzeczywiste działania wojenne. Któż mógłby być agresorem? Może Japonia, gdyby ją było na to stać. Ale Japończycy byli uwikłani w przewlekłą i nierozstrzygniętą wojnę w olbrzymiej czeluści Chin, gdzie można im było spokojnie pozwolić trwonić siły i zużywać broń. Jeżeli Japończycy nie potrafili zająć Chin, jakże mogliby prowadzić ogólną wojnę na Pacyfiku? W każdym razie tamę dla ich ataku stanowiłyby brytyjskie bazy w Hongkongu i Singapurze, bazy Stanów Zjednoczonych na wyspach Guam i Wake oraz sama flota amerykańska stacjonująca na Hawajach. Filipiny trzymane w rękę. Japońskie siły lądowe dzieliły od Morza Koralowego francuskie Indochiny i całe Holenderskie Indie Wschodnie.

Co prawda krążyły uporczywe pogłoski o fortyfikacjach na Karolinach i Wyspach Marshalla. Prawdą było także i to, że od 1935 roku na morzach otaczających Melanezję i wyspy mikronezyjskie zaczęło się roić od japońskich małych statków rybackich. W tym czasie na tych lądach wzrastała coraz bardziej penetracja „handlowa”, wzrastała coraz to bardziej i gruntowniej. Japońskie Towarzystwo Rozwoju Mórz Południowych sięgało swymi mackami wszędzie, a produkty japońskie poczęły wdierać się na zyskowne rynki. Słyszano, jak oficerowie marynarki wojennej wyrażali opinię, że warto by znaleźć dostęp do japońskiej informacji kartograficznej o zachodnim Pacyfiku. Lecz gdy w 1939 roku wybuchła druga wojna światowa, zarówno Australia, jak i Nowa Zelandia odesłały tak szybko, jak tylko się dało, swe najlepsze wojska z terenu Pacyfiku. Oddziały te powędrowały do północnej Afryki i do Grecji. Było nie do pomyślenia, że mogą się przydać bliżej, we własnym kraju. Wojny to były sprawy toczące się hen, daleko!

Wtem nagle, pewnego dnia o schyłku 1941 roku, grzęznący po uszy w Chinach Japończycy zerwali się ze swych wysp i niemal w okamgnieniu rzucili cały zachodni Pacyfik w wir gwałtownych działań wojennych. Skośnoocy ludzie, o których mówiono, że nie umieją latać, zwalili się z hukiem na amerykańską flotę w Pearl Harbour i po kilku chwilach doprowadzili ją do stanu niezdolności bojowej. Małego wzrostu żołnierze, nieumiejący pokonać Chińczyków, rzucili się na Malaje i Filipiny. „Niezdobyty” Singapur padł po kilku tygodniach. Dalej przyszła kolej na Holenderskie Indie Wschodnie. Po osiemdziesięciu dniach nieprzerwanych sukcesów od dawna z obawą oczekiwane „żółte niebezpieczeństwo” przeniknęło na archipelagi Morza Salomona i Morza Koralowego o tysiące mil od Japonii. Japończycy robili wszystko to, czego się po nich nie spodziewano. Wielka lądowo-wodna wojna,

która nagle wybuchła na Pacyfiku, była czymś, czego świat wcześniej nie widział. Lądujące oddziały japońskie, składające się w większości z odważnej i świetnie wyszkolonej piechoty morskiej, wdarły się aż do Guadalcanal na Wyspach Salomona, przy znakomitej współpracy wojsk lądowych, morskich i powietrznych. Cała północna i wschodnia Nowa Gwinea, oprócz końca południowo-wschodniego Archipelagu Bismarcka, dostała się w ręce Japończyków. Nie dysponowano wystarczającymi siłami, by powstrzymać dalszą penetrację nieprzyjaciela. Północna Australia, Nowe Hebrydy, Nowa Kaledonia, a nawet Nowa Zelandia – wszystko to mogło wkrótce znaleźć się pod okupacją wroga. Żółtoskórzy ludzie w gumowych sprężystych butach i zielonych panterkach, niosący w chlebakach ryż i suszone ryby, siali dookoła śmierć. Wyposażeni w automatyczną broń mogli uderzyć w każdej chwili i w każdym miejscu. Flota japońska miała chwilową przewagę morską, siły lądowe zaś były niezwykłe!

Jednak mimo początkowych dobrze przygotowanych operacji powstrzymały ich zmasowane działania aliantów w rejonie wysp Melanezji i pobliskiego Morza Koralowego. Tu, na jego wodach, rozpoczęła się powolna klęska Japończyków, pogrzebały się ich nadzieje podboju Pacyfiku. Sprzymierzeńcem obrońców okazały się bujne, zielone i dyszące malarią wyspy. Japońskie doborowe oddziały natknęły się na coś, czemu nie potrafiły sprostać. Ukryci w swych lisich norach najeźdźcy ginęli tysiącami. Żaden japoński but nie dotknął brzegu australijskiego czy nowozelandzkiego, chociaż bomby japońskie spadły na kilka portów północnoaustralijskich. A miasto Sydney było nawet raz ostrzeliwane z morza! Japończykom nie udało się nigdy zająć południowo-wschodniej części Nowej Gwinei czy też posunąć się poza środkowe Wyspy Salomona. Po niespełna roku od chwili ich pierwszego wdarcia się na Guadalcanal zostali stamtąd z powrotem wyparci po krwawej, kilkumiesięcznej zacieklej kampanii. Na Papui, mimo że dotarli do przełęczy Kokoda leżącej tuż za Port Moresby, nigdy nie udało im się przebyć całkowicie Gór Owena Stanleya.

To niepowodzenie przypieczętowało ich ostateczną klęskę. A jak do tego doszło? To długa historia, której należy szukać w innych książkach. Tu ograniczę się tylko do wysp Melanezji oraz przyległych wód Morza Salomona i Morza Koralowego. Toczone tam bitwy miały zasadnicze znaczenie dla klęski Japonii.

Już 20 lutego 1942 roku, trzy miesiące po klęsce Pearl Harbor, jeszcze zanim Japończycy wylądowali na Wyspach Salomona, zorganizowana amerykańska flota na Pacyfiku zaatakowała bazy japońskie na Nowej Brytanii. Zamierzony morsko-powietrzny rajd na Rabaul skończył się chwilowym niepowodzeniem, gdyż lotnictwo japońskie dostrzegło i zaatakowało siły uderzeniowe. Niemniej zestrzelono szesnaście nieprzyjacielskich bombowców. Jeszcze wcześniej inne siły uderzeniowe z powodzeniem zaatakowały japońskie punkty oporu na Wyspach Marshalla i Gilberta. Dnia 10 marca lotniskowce Lexington i Yorktown wraz z okrętami wspierającymi wykonały atak na porty Salamaua i Lae, gdzie Japończycy wylądowali ze swymi siłami kilka dni wcześniej.

Powietrznego rajdu dokonały samoloty startujące z dwóch lotniskowców pozostających na Morzu Koralowym, gdzie od nieprzyjaciela dzieliły je łańcuchy górskie Nowej Gwinei. Dwadzieścia dziewięć bombowców, dwadzieścia cztery samoloty torpedowe i pięćdziesiąt myśliwców osłony przeleciało nad przełęczą w Górach Owena Stanleya na wysokości 2 300 metrów. Nadleciały niby stado dzikich orłów z nieba nad Nową Gwineą i znalazły się nad Japończykami tak nagle, że ci, nieprzygotowani na tego rodzaju atak, nie zdążyli nawet obsadzić załogami stanowisk broni przeciwlotniczej. W kilka sekund wokół wzgórz otaczających Lae nad zatoką Huon rozległy się straszliwe wybuchy potężnych bomb. Ciężkim, parnym powietrzem wstrząsnęły wybuchy kilkudziesięciu torped. Zakotwiczone nieopodal brzegu japońskie okręty otrzymały jeden po drugim mordercze ciosy. Już w ciągu paru sekund pięć transportowców tonęło, a kilka innych stało w ogniu lub doznało poważnych uszkodzeń. W chwili gdy atakujące samoloty zaroily się nad przełęczą, zespół japoński składający się z krążownika, pięciu niszczycieli i sześciu transportowców wchodził właśnie do zatoki, by połączyć się z flotą, która dokonywała tam rozładunku. Amerykańscy piloci, uradowani tym nieoczekiwanym celem, spadli nań natychmiast lotem nurkowym. Żaden okręt nie uniknął ciężkich uszkodzeń, wiele zostało zatopionych. Ogień przeciwlotniczy, zarówno z atakowanych okrętów, jak i baterii lądowych, był słaby. Japończycy nie docenili przeciwnika, za górami o wysokości 4 000 metrów czuli się bezpieczni.

Tę interesującą akcję można uważać za początek morsko-powietrznej bitwy na wyspach Melanezji. Na jej wodach odbyły się trzy wielkie kampanie. Bitwa o Wyspy Salomona, o bazy, z których zagrażali nie tylko Melanezji, ale i samej Australii. Japończycy szybko rozbudowywali system lotnisk na wyspach, z których w trakcie pomyślnie przebiegającej inwazji rzucali do walki kolejne fale samolotów. Następnym zamierzonym krokiem było przejście kontroli nad ważną linią komunikacyjną łączącą Stany Zjednoczone z Australią. W dniu 3 maja 1942 roku Japończycy zaczęli zajmować Tulagi, stolicę brytyjskiego protektoratu Wysp Salomona. Na interwencję był najwyższy czas. Do akcji weszły bezzwłocznie siły Stanów Zjednoczonych, które w niespodziewanym ataku na Nowej Gwinei pokazały już, co potrafią. Pod dowództwem admirała Franka Fletchera krążył po Morzu Koralowym lotniskowiec Yorktown wraz z osłaniającymi okrętami, wypatrując japońskich transportowców i okrętów wojennych pod Guadalcanal. Gdy tylko wykryto nieprzyjaciela, samoloty z rykiem silników startowały z pokładu lotniskowca, uzyskując i tym razem zupełne zaskoczenie. Samoloty te zatopiły lub uszkodziły niemal wszystkie znajdujące się u brzegów Guadalcanal okręty. W tym pierwszym rajdzie Amerykanie utracili tylko jeden samolot! Atak powtórzony tego samego popołudnia poczynił jeszcze większe szkody, przy stracie dwóch samolotów atakujących. Yorktown znajdował się w odległości ponad stu mil na południowy zachód od Guadalcanal. Był to nowy rodzaj wojny, gdzie rolę dział i torped okrętów wojennych przejęły samoloty, podczas gdy same okręty nie oddały w bitwie toczącej się między flotami ani jednego strzału.

Atak Yorktown na Guadalcanal rozpoczął się 4 maja. Niepowodzenia nieprzyjaciela były tylko chwilowe i cały południowo-zachodni Pacyfik nadal był w niebezpieczeństwie. Wywiad donosił, że w pobliskim Rabaulu i innych miejscach gromadzą się do nowej inwazji potężne siły japońskie. W rejon Melanezji pośpiesznie zbliżały się trzy lotniskowce – Shoho, Shokau i Zuikaku, które wyszły z japońskiej bazy Turk na Karolinach. Zgromadzone w Rabaulu japońskie transportowce były wypełnione wojskami i wyglądały bardzo groźnie. Niebawem dalekosiężne samoloty japońskie zaczęły patrolować wschodnie rejony Morza Koralowego, wypatrując amerykańskich lotniskowców i innych sił morskich.

Około 6 maja było już pewne, że wielkie siły japońskie, stacjonujące w obszarze Archipelagu Bismarcka i Nowej Gwinei, osłaniane przez lotniskowce, zespoły krążowników i niszczycieli, zamierzają dokonać ataku na Port Moresby lub północno-wschodnie wybrzeża Queenslandu. Należało je zatrzymać. W tym celu z baz australijskich skierowano na południe od wysp Luizjad trzy krążowniki i dwa niszczyciele australijsko-brytyjskich sił morskich. Zadaniem ich miało być przechwycenie wszelkich sił nieprzyjacielskich pragnących przerwać marsz na tym kierunku. Sprzymierzone siły amerykańskie niemal w całości poszły na północ i wschód, by wydać bitwę japońskim siłom osłony i zatopić transportowce zdążające w rejon Morza Koralowego.

Rankiem w dniu 7 maja 1942 roku zespół admirała Fletchera z lotniskowców Yorktown i Lexington wykrył i zaatakował wielkie zgrupowanie japońskich transportowców. Dwa duże krążowniki i lotniskowiec Shoho zbliżały się do północnych wysp archipelagu Luizjad w celu zaatakowania stacjonujących w pobliżu okrętów amerykańskich. Atak amerykański nastąpił natychmiast. Samoloty runęły z wyciem motorów na Shoho w chwili, gdy okręt wykręcał pełną prędkością pod wiatr, by umożliwić start fali swych samolotów. Zanim jednak zdołał wykonać zwrot, otrzymał ciosy, po których żaden samolot nie wystartował już nigdy z jego pokładu. Bomby rozdarły pokład startowy, roztrzaskały i spaliły stojące na nim samoloty. Trzy dalsze poważniejsze trafienia otwały pokład startowy, po czym z wnętrza lotniskowca buchnęły pomarańczowe płomienie. Ziejący ogniem i dymem okręt wił się w ostrych zwrotach w celu uniknięcia gradu bomb. Samoloty torpedowe, lecące falą tuż nad powierzchnią morza pod bombowcami nurkującymi, wystrzeliły torpedy z bliskiej odległości od celu. Prawdopodobnie nikt się nigdy nie dowie, ile torped trafiło w Shoho. Przypisano sobie piętnaście trafień, ale mogło ich być więcej. Buchający dymem jak płonący szyb naftowy okręt zatoczył trzy niesterowne kręgi, po czym zatonął z resztką samolotów na pokładzie.

Strata Shoho była dla Japończyków bolesnym ciosem, ale nie miało się na tym skończyć. Za lotniskowcem poszedł wkrótce na dno jeden z ich ciężkich krążowników. Japończycy odpowiedzieli gwałtownie. Do bitwy włączyły się samoloty japońskie z dwóch innych lotniskowców przebywających

w strefie walk, choć nie w tym zespole okrętów. Ponadto wystartowały samoloty stacjonujące w Rabaulu. W tym samym czasie ze strony sprzymierzonych do akcji dodatkowo weszły bombowce z sił lądowych, stacjonujące w Nowej Gwinei i północnym Queenslandzie. Zaciekła bitwa morsko-powietrzna szalała przez cały dzień. Samoloty z japońskich lotniskowców zatopiły amerykański zbiornikowiec Neosho i towarzyszącego mu niszczyciela, stwarzając tym niemały problem sprzymierzonym.

W tym czasie radio tokijskie chwaliło się zatopieniem amerykańskiego liniowca California i lotniskowca Saratoga oraz innych okrętów znajdujących się w odległości pięciu tysięcy mil od miejsca opisywanej akcji. Niektóre błędne meldunki japońscy piloci złożyli niewątpliwie w dobrej wierze. Nie byli wyszkoleni jak należy w rozpoznaniu okrętów. Niemniej trzeba było dużo dobrych chęci, by wziąć zbiornikowiec za okręt liniowy, a niszczyciela za lotniskowiec.

Następnego ranka, 8 maja, bitwa rozgorzała na nowo, tocząc się nadal w powietrzu. Fale amerykańskich samolotów tropiły i atakowały lotniskowce japońskie, ale równocześnie eskadry japońskie tropiły i atakowały lotniskowce amerykańskie. Zaistniała realna możliwość, że żadna z eskadr powietrznych nie znajdzie macierzystego lotniskowca, na który by mogła powrócić z akcji. Zatonęły amerykański Lexington i jeden z japońskich lotniskowców. Potem ciężkich uszkodzeń doznał Yorktown i parę lotniskowców japońskich. Kilka godzin po głównym ataku lotniskowcem Lexington wstrząsnął straszliwy wybuch! Okręt doznał tak ciężkich uszkodzeń, że stracił zdolność manewrowania i w końcu zatonął. Uszkodzenia Yorktowna były lżejsze. W bitwie siły sprzymierzonych straciły po jednym lotniskowcu, niszczycielu i zbiornikowcu oraz sześćdziesiąt samolotów. Straty Japończyków były znacznie cięższe. Nie osiągnęli swego celu i musieli uciekać. Po tej ciężkiej tygodniowej bitwie losy powoli się odwracały. Japończycy poznali gorzki smak porażki, a ich zdecydowany pochód na południe został powstrzymany.

Mimo tego nie zrezygnowali z marszu na południe i nie pogodzili się z klęską tak łatwo. Wylądowali na Guadalcanal i trzeba było sześciu długich krwawych miesięcy, by ich stamtąd wypędzić. Reakcją na niepowodzenia po stracie lotniskowców i innych okrętów było przejście do budowy lotnisk lądowych. W dalszym planie miały służyć do kontynuowania walk w tym rejonie. Do tego celu wybrali wyspę Guadalcanal. W tym czasie siły Stanów Zjednoczonych usadawiały się na Nowych Hebrydach i Nowej Kaledonii. Espiritu Santo de Quirósa doczekała się wreszcie roli wielkiej osady, gdyż w pewnym okresie na wyspie stacjonowało trzysta tysięcy Amerykanów, Numea na Nowej Kaledonii zaś stała się ważną bazą morską.

Japończycy zamierzali dokonać ataku zarówno na Espiritu Santo, jak i na Numeę. Do ofensywy w ogóle nie doszło, natomiast sami zostali zaatakowani.

W dniu 7 sierpnia 1942 roku siły składające się prawie wyłącznie z amerykańskiej piechoty morskiej wylądowały na Guadalcanal. Trzeba przyznać Japończykom, że w wojnie tej pokazali, czego w morsko-lądowych akcjach przeciwdesantowych potrafiła dokonać dobrze wyszkolona i znajdująca się pod dobrym dowództwem piechota morska. Żołnierze amerykańscy nie byli nowicjuszami w twardych i zaciekłych walkach. Ale nawet i dla nich bitwa na Guadalcanal była jedną z najcięższych, jaką kiedykolwiek stoczyli.

Przez osiem tygodni jej wynik niebezpiecznie się wahał. Chociaż sam desant przebiegał pomyślnie, to Japończycy zareagowali szybko i ani przez chwilę nie zdradzali skłonności do łatwego oddania czegokolwiek. Zarówno na Nowej Gwinei, jak i na Wyspach Salomona okazali się dobrymi żołnierzami, przygotowani na męzną śmierć w swych lisich norach. Inni ludzie staraliby się choć w minimalnym stopniu zachować jakieś przyzwoite formy bytowania, nawet w tym zielonym i wilgotnym piekle Guadalcanal. Ale nie Japończycy. Walczyli z ukrycia, gdy się już zagrzebali w swoich norach, żywcem nie dało się ich stamtąd wyciągnąć. Kiedy raz usadowili się na wierzchołkach drzew, pozostawali tam tak długo, dopóki ich nie zestrzelono lub nie spalono. Bili się mężnie i zaciekle z wielką wprawą, nigdy się nie poddając. Jedyнным nieszkodliwym Japończykiem był Japończyk martwy, a na Guadalcanal trzeba było czasu na to, by ich zabić.

O Guadalcanal stoczono właściwie dwie bitwy. Pierwszą były mordercze zmagania w dżungli i na parnych bagnach. Druga toczyła się na morzu, na krętych, obrzeżonych rafami kanałach środkowych Wysp Salomona, w pobliżu wyspy Savo i Santa Isabel. Potężne śruby niszczycieli, a wśród tropikalnych

nocy przemykały się smukłe i zwrotne, uzbrojone po zęby krążowniki. Niekiedy siły sprzymierzonych i Japończyków natrafiały na siebie niespodziewanie, po czym następowały gwałtowne pojedynki artyleryjskie.

Jedna z takich bitew wybuchła nagle pewnej ciemnej nocy, nazajutrz po amerykańskim desancie. Zespół aliancki, zaskoczony zniemacka podczas okrążania wyspy Savo, został zdziśiatkowany szybkim i celnym ogniem Japończyków. Owej nocy dwie morskie floty sprzymierzonych pełniły straż w rejonie środkowych Wysp Salomona, by zapobiec próbie lądowania japońskich posiłków. O godzinie pierwszej czterdzieści pięć oba zespoły zostały jaskrawo oświetlone rakietami świetlnymi rzuconymi przez samoloty. W jednej chwili okręty znalazły się pod równoczesnym morderczym ogniem nieprzyjacielskich krążowników i niszczycieli, które nadpłynęły niepostrzeżenie z północnego zachodu. Rozpoczęło się prawdziwe piekło! Przez pół godziny posłano na dno cztery krążowniki sprzymierzonych. Siły japońskie, nie upewniwszy się o wielkości wyrządzonych przez siebie szkód, wykreśliły wokół wyspy Savo i natychmiast odpłynęły na północny wschód. Zdaje się, że Japończycy nigdy nie ocenili właściwie tej akcji, co dla aliantów okazało się bardzo szczęśliwe. Strata wkrótce po tym dwóch amerykańskich lotniskowców dała Japończykom przewagę. Siły morskie aliantów na południowo-zachodnim Pacyfiku były osłabione do ostatecznych granic, ale Japończycy o tym nie wiedzieli i nie starali się wykorzystać swej przewagi na morzu. Siły, które zatopiły pod Savo krążowniki Quincy, Vincennes, Astoria i Canberra, były w stanie dokonać spustoszenia w amerykańskich pozycjach na Guadalcanal. Mogły nawet ze zgubnym dla Amerykanów skutkiem przeszkodzić w dostarczeniu na brzeg zaopatrzenia i posiłków potrzebnych do kontynuowania walk, ale na szczęście odpłynęły.

Noc po nocy na wodach Wysp Salomona toczyły się zaciekle bitwy morskie. Japończycy usiłowali dostarczać broniącym się na wyspach oddziałom zaopatrzenie i posiłki przy użyciu niszczycieli i płaskodennych barek, mogących prześlizgiwać się ponad rafami. Wskutek intensywnej koncentracji sił alianckich oraz ożywionej działalności okrętów podwodnych i lotnictwa obu stron konfliktu wody Morza Salomona stały się terenem niemal conocnych starć i strat. W dzień walki toczyły się głównie między samolotami startującymi z lotniskowców. W nocy następowały krótkie, raptowne i mordercze pojedynki artyleryjskie między okrętami. W miejsce utraconych lotniskowców Lexington i Yorktown trzonem nowych sił uderzeniowych aliantów stały się Saratoga i Enterprise. Również Japończycy rzucili do walki dalsze lotniskowce. W dniu 23 sierpnia stracili jeden z nich w akcji na północ od Guadalcanal, ponadto przechwycono i zdziśiatkowano im starannie osłanianą grupę transportowców.

W kolejnej walce, w nocy 11 października, japoński zespół okrętów nawodnych został gwałtownie zaatakowany koło przylądka Esperance przez siły admirała Scotta składające się z krążowników Salt Lake City i San Francisco. Flota admirała Scotta z nadwyżką wyrównała straty poniesione przedtem przez aliantów pod Savo i Santa Cruz. Tym razem on zaskoczył nieprzygotowanego nieprzyjaciela, wskutek czego przez dziesięć minut Japończycy nie zdołali odpowiedzieć ogniem. W ciągu tego czasu większość najważniejszych pływających celów wroga znikła pod powierzchnią morza.

Inną godną uwagi akcją była bitwa w pobliżu wysp Santa Cruz, których Japończycy nigdy nie zdołali zająć. Bitwa ta cechowała się obustronnymi atakami przy użyciu samolotów. I tym razem zarówno Japończycy, jak i Amerykanie dokonywali zaciekłych ataków na lotniskowce, niemal je wzajemnie eliminując. Amerykański Hornet zatonął po ciężkich uszkodzeniach doznanym wskutek samobójczych ataków samolotów japońskich, Enterprise zaś został uszkodzony. Dwa japońskie lotniskowce musiały się wycofać.

Tej nocy wielu pilotów ratujących się na gumowych tratawkach obserwowało walki toczące się dookoła na mrocznych wodach Morza Salomona. Wielu amerykańskich pilotów musiało ratować się, płynąc ku wyspom zajęтым przez Japończyków. Na szczęście przyszła im tam z pomocą służba ratownicza, zorganizowana na frontowym zapleczu przez wyspiarzy. Dzięki niej, mimo wielkich niebezpieczeństw, ocalało wielu rozbitków. Wyspiarze o kędzierzawych włosach, którzy przed niewielu laty z równym zapałem mordowali handlarzy niewolników, poborców podatkowych i misjonarzy, teraz narażali się na śmierć i tortury dla ratowania ludzi przybyłych z odległości dziesięciu tysięcy mil, by toczyć nad ich wyspami walki powietrzne. Tą morską służbą ratowniczą kierowali brytyjscy urzędnicy

i administratorzy okręgowi. Akcjami sterowali z górskich kryjówek, z bagnistych zakątków i koralowych lagun, daleko za liniami japońskimi. Miejscowa ludność nie opuściła wysp, gdy zwały się na nią hordy żółtych najeźdźców.

Tymczasem trwała nadal zawzięta, męcząca i przygnębiająca bitwa o Guadalcanal, w której wszystkie te morskie potyczki były tylko marginesem. Budowane w pośpiechu przez Japończyków lotnisko w Honiarze zostało szybko zdobyte i przemianowane przez Amerykanów na lotnisko Henderson, ale utrzymanie jego potem okazało się bardzo kosztowne. Stało się ono niebawem najgłośniejszą bazą lotniczą na całym Pacyfiku. Jeśli żołnierze z oddziałów alianckich czy japońskich zdążające ku tym malarycznym wybrzeżom wyobrażały sobie, że znajdują się w tropikalnym raju, to ich złudzenia rozwiały się szybko i brutalnie. Kiedy we dnie płynęło się wzdłuż długiej linii wulkanicznych i wysokich Wysp Salomona, oczom przedstawiał się zachwycający widok. W dali rysowały się słoneczne laguny i złociste plaże. Błękitnozielone morze otaczały licznie rozsiane, obrosłe palmami wysepki. Na brzegach kwitły bajecznej piękności orchidee, wokół których fruwały pysznie ubarwione motyle o prawie stopowej rozpiętości skrzydeł.

Dla walczących o przeżycie żołnierzy nie był to jednak kraj kwiatów i piękna! Cicha za dnia dżungla w nocy rozbrzmiewała wrzawą, którą nieprzyjaciel wykorzystywał do osłony swych ruchów. Wojna polegała tam na nieustannych groźnych, zawziętych i bezlitosnych atakach. Ostry koral tych pięknych lagun był jadowity, groźna była także sama dżungla. Najłżejsza ranka szybko przemieniała się w zgorzel. Choroby nie wybierały ofiar. Wilgotna ściana straszliwej zielonej płataniny była wroga dla obu stron. Mundury szybko zamieniały się w ubłocone, pokrwawione i przepecone łachmany. Broń wymagała dziesięciokrotnie troskliwszej konserwacji niż w normalnym klimacie i była tylko w połowie użyteczna. Choroby tropikalne atakowały gwałtownie ze skutkiem śmiertelnym. W tym otoczeniu egzystencja człowieka stanowiła upiorną próbę fizycznej i psychicznej wytrzymałości. Jedyną kampanią zbliżoną do walk o Guadalcanal i pobliskie wyspy archipelagu była kampania w Birmie.

Trzeba było aż sześciu miesięcy, aby wyrzucić Japończyków z Guadalcanal! W tym czasie dwukrotnie udało im się wysadzić na brzeg świeże dywizje wzmacniające obronę. By wyprzeć całkowicie wroga, równoległe krwawe walki toczyły się na innych wyspach środkowego i północnego archipelagu. Wyspy o romantycznych nazwach, takich jak Russell, Nowa Georgia, Bougainville i inne, dla wielu żołnierzy stały się grobem. Jednak najbardziej zdżiczale walki toczyły się na Guadalcanal. Sporo jeszcze czasu zajęło wypędzanie fanatycznego wroga z punktów oporu na archipelagu prawie 1 000 wysp i wysepek. Po zdobyciu Guadalcanal walki na Wyspach Salomona w zasadzie już się skończyły.

Tymczasem kampania na Nowej Gwinei, prowadzona przez Australijczyków, a potem przez Amerykanów, przebiegała pomyślnie, choć powoli. Walki lądowe na Nowej Gwinei to osobny temat i tu nie ma nań ani czasu, ani miejsca. Podobnie jak na Wyspach Salomona, na Nowej Gwinei działania napotykały straszliwe przeszkody, z tym że teren był tam jeszcze trudniejszy, a choroby były liczniejsze. Krok za krokiem, z wielkim trudem trzeba było wypierać Japończyków znajdujących się w odległości zaledwie trzydziestu mil od Port Moresby. I tu także Japończycy nie poddawali się, ginąc do ostatniego. Ale w miarę przebiegu kampanii duch w nich słabł. Urósł on na fałszywym przeświadczeniu o pewnym zwycięstwie, a podtrzymywało go zbyt łatwe zdobycie Malajów i Indii Wschodnich. Teraz Japończykom zabrakło sił, pozostała śmierć. Walka była beznadziejna i koniec mógł być tylko jeden. Potem przysłała jeszcze klęska floty japońskiej pod Midway na północnym Pacyfiku. Dopiero ta akcja położyła ostateczny kres długiej japońskiej ofensywie na Pacyfiku.

We wrześniu 1944 roku Amerykanie wylądowali na Morotai, o trzysta mil od Filipin. Wojna przeniosła się z Malenezji na zachodni Pacyfik, a stamtąd na Morze Południowochińskie. Ostateczne zwycięstwo było już prawie pewne. Szybko rosnąca dżungla znów zaczęła pokrywać brzegi Wysp Salomona, Archipelagu Bismarcka, Nowej Brytanii i Nowej Gwinei. Zwycięskie floty stalowych okrętów desantowych produkcji amerykańskiej posuwały się ku Okinawie i samej Japonii. Brytyjska flota miała swą bazę na Manus w Archipelagu Admiralicji. Za flotami bojowymi płynął olbrzymi tabor wielkich statków transportowych wiozących warsztaty remontowe, zaopatrzenie, pływające browary oraz wszelkiego rodzaju urządzenia rozrywkowe. Do połowy 1945 roku wojna zakończyła się na całym



Pacyfiku. W sierpniu tego roku Japończycy skapitulowali.

Wreszcie skończyła się wojna. Z wolna zaczęto wycofywać z wysp zbyteczny sprzęt i nadliczbowych urzędników administracji. W 1949 roku zarosły dżunglą już nawet ostatnie pozostałości wielkiej bazy na Espiritu Santo. Znow zaczęły prosperować zniszczone plantacje na Guadalcanal i innych wyspach. Ostatnią wojnę przypominają widoczne tu i ówdzie poskręcane szczątki barek desantowych i porzewiałe wraki zbombardowanych okrętów. Wojna pozostawiła za sobą na południowo-zachodnim Pacyfiku coś więcej. Zakłóciła poważnie życie i obyczaje krajowców. Nikt nie przeprowadził dokładnych analiz, ilu z nich zginęło w czasie działań bojowych. Napływające raporty donosiły o wielkim poświęceniu i bohaterstwie wojowników oraz wodzów i pomniejszych kacyków na Wyspach Salomona. Krajowcy byli chętnymi i pożytecznymi sprzymierzeńcami w walce z Japończykami. Zaangażowanie i udział w oporze przeciw najeźdźcom był zasługą brytyjskiej administracji.

Tragiczna wojna nie była wystarczającą nauką dla ludzkości. Zaraz po jej zakończeniu biały człowiek przystąpił w 1946 roku do doświadczeń z bombą atomową na atolach błękitnego Pacyfiku. Francuzi i Amerykanie na atolu Mururoa, Bikini i Eniwetok dokonali ponad dwustu podwodnych eksplozji nuklearnych!

## Ostatnie dni na Santa Isabel

Moja wczorajsza prognoza niestety sprawdziła się. W nocy była „wspaniała burza”, jeśli można ją tak nazwać. Błyskawice prawie bez ustanku oświetlały drzewa i chmury. Burza obejmowała ogromną przestrzeń, prawie jednocześnie słyszałem grzmoty w oddali i huk piorunu dosłownie nad swoją głową. Częste błyskawice zupełnie oslepiły, a najdalszy horyzont był jasny jak w dzień.

Przez przewiewną werandę wpadały krople deszczu. Pośpiesznie przesunąłem swoje spanie bardziej do środka. Zaledwie zdołałem trochę się uspokoić, gdy przez dziurkę w dachu połała się ciurkiem strużka wody wprost na moją głowę. Musiałem jeszcze trochę przesunąć się z materacem bliżej ściany. Tam w końcu jakoś zasnąłem, chociaż nie od razu.

Rankiem nadal lekko popadywało. Z wcześniejszych doświadczeń z wędrówek po wyspach wiem, że około południa często pogoda się zmienia. Kiedy słońce znajdzie się wyżej i zacznie przygrzewać, najczęściej wypogadza się. Dlatego ze spokojem potraktowałem sprawę wyjścia w dalszą trasę. Nawet jeśli wyruszę dopiero w południe, będę miał wystarczająco dużo czasu na dojście do Susubony. Jak mogłem się przejmować deszczem, kiedy nie stanowił przeszkody dla dzieci z wioski? Francesco powiedział, że już po szóstej rano odpłynęły na chybotających się wążiutkich dłubankach do szkoły. Dzieci na drogę zabierają tylko małe plastikowe wiaderka ze śniadaniem. Zdumiałem się wiadomością, że takie małe grzdyle z odwagą pokonują codziennie niebezpieczną trasę. By dopłynąć do Susubony, muszą dobre dwie godziny ostro machać wiosłami. Płyną w swoich małych canoe po dwie lub trzy osoby, równomiernie zanurzając swoje wiosła w niezwykle szybkim tempie, i to prawie bez przerwy. Udało mi się tę scenę sfilmować i traktuję ją jako jedno z najlepszych swoich ujęć.

Sprawdziło się, już przed południem przestało padać, ale niebo dalej pozostało całe w niskich i gęstych chmurach. Nikt mnie nie wyganiał i mogłem na dłużej zatrzymać się u Francesca. Tylko jaką miałbym pewność, że przez kolejne dni taka pogoda się nie utrzyma?

Wyszedłem przed chatę z gospodarzem, popatrzył na horyzont zasnuty chmurami i powiedział, że może jeszcze popadać, ale tylko przelotnie. Dlatego nie myśląc dłużej o aurze, poprosiłem, by mnie wyprowadził najkrótszą ścieżką do brzegu za wioską. Do kieszeni włożyłem mój niezawodny, użyteczny składany parasol i wyruszyliśmy. Po dwudziestu minutach dreptania błotnistą ścieżką doszliśmy do bardzo wążiutkiej plaży i tam się pożegnaliśmy.

Wędrówka brzegiem przy brzydkiej pogodzie nie zapowiadała się dobrze. Czekala mnie trudna przeprawa. Jest czas odpływu, ale wiatr powoduje, że fale dochodzą prawie pod drzewa. Idę w fali stale zalewającej nogi. Aby nie być zbyt zamoczonym, muszę pilnować, by w czasie nadbiegającej fali pośpiesznie uciec przed nią pod same drzewa. Dodatkowo marsz utrudnia pochylona skarpa brzegowa. Nogi zapadają w miałki, ciemny i ostry piasek na kilkanaście centymetrów. Co kawałek przeszkodą są

mocno pochylone lub przewrócone drzewa i ich konary. Kilka razy nadciągają czarne chmury i doświadczam przyjemności drobnego deszczu. Pada i pada, kiedy zacina mocniej, szukam schronienia pod wielkimi konarami pochylonych drzew. W kilku miejscach i tak nie mogę przejść, bo woda sięga drzew, więc muszę wejść w ciemne i gęste chaszczce. To istna płatanina gałęzi i korzeni oraz wywróconych drzew. Mało tego, na dokładkę jest też kilka strumieni i kawał trudnego do przejścia grzędzawiska. Nie ma tu szans, by zabłądzić, bo stale słychać szum pobliskich fal. Tak wyglądała prawie cała moja trasa z Biluro do Susubony.

W końcu zobaczyłem pierwsze wyciągnięte na brzeg łodzie, więc zacząłem rozglądać się za jakąś drogą czy ścieżką. Jeszcze chwila, a po trzech godzinach uciążliwego marszu będę mógł wreszcie oddalić się od brzegu. Byłem umęczony i przemoczony, miałem już dość łażenia grząską plażą w deszczu. Nie bez trudu natrafiłem na ścieżkę.

Myśląc, że może wpadnę z deszczu pod rynnę, jednak z jakąś ulgą wszedłem w chaszczce.

Przestałem słyszeć szum morza. Po kilkunastu minutach kłapania w błocie znalazłem się w rzadkim zagajniku palmowym. Stały tam dwie lub trzy proste wiaty – suszarnie kopry. Obok jednej z nich piętrzyła się hałda orzechów kokosowych i lupin. Z boków wiaty wydobywały się kłęby jasnego, gęstego dymu. Wiedziałem, że ktoś tam jest i pilnuje suszenia. Podeszedłem bliżej, ale nikogo nie zastałem. Chwilę poczekałem i wolno ruszyłem dalej. Miałem nadzieję, że już za chwilę wejdę do wioski. Ale tak łatwo nie poszło, chociaż już od godziny jej wyglądałem. Widocznie źle obliczyłem liczbę przebytych kilometrów. Szedłem dalej, na dużej przestrzeni porośniętej niezbyt wysoką trawą i z rzadka sterczącymi palmami odróżniały się półka manioku, batatów, a nawet kukurydzy.

Tymczasem wiatr rozwiął gdzieś chmury i się wypogodziło. Zawiedziony pomyślałem: dlaczego dopiero pod koniec dnia? Cały czas było tak ponuro, a teraz, na koniec drogi, pokazało się słońce. Co z tego, kiedy już powoli zaczęło zniżać się ku linii lasu. Miałem jeszcze kawał do Susubony. Wyspa jakby bezлюдna, nikogo nie spotkałem na ścieżce, nie było kogo spytać o wioskę. Ale dało się to wyjaśnić – komu w taką pogodę chciałoby się iść do pracy w polu? Mimo trudności jakoś doszedłem do celu i znowu znalazłem się wśród ludzi. Ale tak naprawdę jeszcze nie wiedziałem, jak będzie dzisiaj z moim zakwaterowaniem. Nie miałem pojęcia, gdzie i u kogo będę spał i czy czasem nie będę musiał rozstawić namiotu. Już za chwilę powinienem wszystko wiedzieć.

Idę za dwiema dziewczynami, które spotkałem w pobliżu pierwszych chat i poprosiłem o zaprowadzenie do szefa wioski. Byłem zadowolony, że to już koniec mojej wędrówki. Po dzisiejszym dniu miałem już dosyć przedzierania się dalej brzegiem i ciągle tej samej egzotyki. Teraz chciałbym odpocząć, będę tu oczekiwał na statek do Honiary. Parę dni słodkiego lenistwa dobrze mi zrobi. Susubona to najważniejsza wioska na mojej trasie. Jest położona na sporej przestrzeni porośniętej trawą oraz z rzadka rosnącymi dorodnymi palmami i innymi drzewami. Ciekawe, czy dają więcej cienia, czy owoców. Tu i ówdzie z rzadka stoją pojedyncze domy na palach. Pierwsze pozytywne wrażenie – nie widzę blachy na dachach. Podobnie jak poprzednie, tak i ta wioska ulokowana jest w pobliżu płaskiego brzegu, który dopiero kilkaset metrów dalej przechodzi w porośnięte buszem góry.

Hoże dziewczyny idą szybko, a ja, stary i zmęczony, ledwo za nimi nadążam. Mijamy drewniane pomosty przystani i kilka szop stojących w pobliżu. Dalej przechodzimy przez obszerny plac ubity jak klepisko. Na jego końcu wyróżnia się spory budynek otoczony kilkoma wysmukłymi palmami o pięknych wachlarzowatych liściach. To bardzo rzadko spotykany gatunek, który ostatnio widziałem w ogrodzie botanicznym w Bogorze w Indonezji. Z tego, co pamiętam, to palma podróżników. Pewności nie mam, bo palm są setki gatunków. Ciekawe, skąd te piękne drzewa się tu wzięły. Od razu poznać, że to kościół. Duży drewniany budynek z dwuspadowym dachem jest większy od innych. Idąc przez wioskę, nie robię na ludziach specjalnego wrażenia, widocznie biali bywają tu częściej. Tylko co niektórzy przyglądali mi się uważnie, być może ze zdziwieniem. Doszliśmy w końcu do domu szefa wioski, nie różnił się prawie niczym od pozostałych. Na oko jest trochę większy od innych i znać, że to stara chata.

Szefa znaleźliśmy w pobliżu. Zrobił na mnie dobre wrażenie. Gruby i potężnej postury mężczyzna o czarnej barwie skóry był w szortach i w rozpiętej koszuli. Zezował to na mnie, to na dwie kobiety. Wymieniali między sobą jakieś krótkie informacje, pewnie o mnie. Dziewczyny z naszej

rozmowy wiedziały już, że chcę się tu zatrzymać, stąd ta krótka wymiana zdań. Gdy zostaliśmy sami, spytałem o możliwość zamieszkania w Susubonie i zaczekania tu na statek płynący do Honiary. Byłem tak przemoczony i wymęczony, że Mr Patison bez namysłu się zgodził. Przypuszczałem, że tak będzie, gdyż dotychczas nie spotkałem się z odmową.

Mieszkańcy wysp Melanezji są tak gościnni, że jakakolwiek odmowa jest nie do pomyślenia. Największą tragedią wyspiarza jest brak odwiedzin ze strony rodziny i znajomych. Z mojego punktu widzenia wydaje się, że takim niespodziewanym najściem zawsze stwarza się kłopot. Niełatwo tak od razu poszukać miejsca na nocleg w ubogich wiejskich progach. Ale w tamtych stronach nie wypada odmówić gościny przybyszowi.

Mr Patison chwilę pomyślał, po czym kazał mi zabrać plecak i wejść do chaty. Powiedział, że będę mieszkać u niego. Znajac gościnność miejscowych, wiedziałem, że zaraz będzie chciał opróżnić dla mnie jakieś pomieszczenie. Od razu zapowiedziałem, że wolałbym spać na werandzie, dzięki czemu nikomu nie będę przeszkadzał.

Nad oceanem powoli zapadał zmierzch. Ponieważ byłem zmęczony, nigdzie już nie wychodziłem. Trochę porozmawialiśmy, potem gospodarz zapalił lampę naftową i powiesił ją pod sufitem werandy. Jego cicha żona zajęta była babskimi sprawami i nie była zbyt rozmowna, a dziesięcioletni syn poszedł spać. Mrugający płomyk przyciągnął sporo różnych nocnych ciem, chrząszczy i muszek, które oblepiły szklany klosz. Lampa naftowa nie była konieczna, bo miałem czołówkę, więc zgasilem ją wkrótce.

Nie wszyscy wiedzą, że moskitiera nie tak do końca chroni od owadów. Niektóre są tak małe, że przełazą przez nawet drobną siatkę, ale najczęściej wtedy, kiedy zapalimy pod nią światło. Prawie niewidoczne, malutkie i wredne robaczki obleżą całego człowieka i nie dadzą spokoju, póki nie wyłączymy lampy. Jak widać, lasy tropikalne na każdym niemal kroku mogą zgotować nieprzewidziane atrakcje...

Mimo zmęczenia nie miałem dobrego snu, cały czas ktoś kaszlał, nieraz jakiś ptak rozdarł się przeraźliwym skrzekiem na cały głos. Jeszcze przed świtem rozbudziły mnie do końca piejące głośno koguty. Gdy się dokładnie wsłuchać w ich głosy, to słyhać, że jest to prawdziwa kogucia rozmowa, istne ptasie radio. I to na cały regulator!

Nie mogłem już dłużej wyleżeć pod siatką moskitiery. Wstałem po cichu, aby nikogo nie zbudzić. Nad oceanicznym horyzontem w miejscu wschodu słońca powoli rozjaśniało się niebo. Zachód słońca jest zjawiskiem pięknym, ale wschód wydaje się zawsze inny. Ten magiczny czas to jakby oczekiwanie z nadzieją na coś nowego... W powietrzu było już czuć charakterystyczny, słodkawy swąd dymu z palonej włóknistej łupiny kokosa. W chatkach i kuchennych przybudówkach zaczęły się krzątać kobiety. Przez siwy dym rozpalonych ognisk przebijały się z trudem płomyki ognia.

Poszedłem na pobliski brzeg. Nad gładką jak lustro wodą unosiła się jeszcze lekka mgiełka. Piaszczysta koralowa plaża opadała łagodnie ku morzu, była niemal płaska. Rzadki las palm kokosowych rozpoczynał się tuż na granicy przyboju. Widać, że pierwsze z brzegu drzewa są mocno podmyte, ale ich skołtunione korzenie dzielnie trzymają się podłoża, choć to tylko kwestia czasu, kiedy runą. Takich leżących pni widziałem setki, żal na to patrzeć. W pobliżu, na ciemnej wstędze plaży, spoczywają łodzie – prymitywne i piękne, jakich nigdy nie używali żeglarze Europy lub Ameryki. W wielu miejscach na świecie widziałem dłubane łodzie, jednak skutnicy z Wysp Salomona to prawdziwi artyści. Ich dłubanki są bardzo kunsztownie i starannie wykonane. To palma kokosowa, która, uznana za błogosławieństwo tropików, ma niewątpliwie największe zasługi w rozwoju żeglugi, transportu i rybołówstwa na wodach mórz południowych. Jest najważniejszym drzewem, z którego wyrabia się łodzie. Do zbudowania dłubanej pirogi nie potrzeba skomplikowanych urządzeń czy narzędzi.

Trzy lub cztery dni muszę czekać na statek. Dobrze się składa, bo właśnie na plaży rozpoczęto pracę nad nową łodzią, i to sporą. Na piasku leżał potężny pniak palmy, jeszcze nie do końca okorowany. Nie chciałem stracić takiej okazji i postanowiłem bliżej przypatrzeć się pracy skutników. W dzisiejszych czasach technika z jej negatywnymi skutkami powoduje zmiany w życiu wyspiarzy i niemal do szczytu rujnuje ich tradycję w różnych dziedzinach, pewnie też wyprze dłubane łodzie. Już niedługo będą w użyciu tylko blaszane czy plastikowe z silnikami Yamahy.

Prawie do południa dotrzymałem towarzystwa gospodarzowi, który nie miał zbyt dużo roboty, ale nie będę w to wnikał. Dowiedziałem się, że jego pożyteczną pasją jest mała radiostacja, z której codziennie przez godzinę nadaje komunikaty i przekazuje informacje, a dla rozrywki puszcza muzykę. Jak twierdzi, zasięg jego radia obejmuje ponoć całą Santa Isabel.

W południe poszedłem na plażę i mogłem przyjrzeć się pracy nad łodzią. Głównym urządzeniem stoczniovym miejscowych szkutników są dwa pieńki służące jako podkładki, na których leży pień palmy długi na pięć do sześciu metrów. Drewno jest już dobrze wysuszone. Przypatruję się, jak dwóch szkutników kończy korowanie. Po ociosaniu pnia z kory i nadaniu mu pożądanego kształtu następuje staranna obróbka przysłego dna łodzi i burt. Ma to na celu uzyskanie niezbędnej gładkości, aby był jak najlepszy poślizg. Narzędzie jest tylko jedno – dłuto w kształcie dziabki. Wcześniej nie wiedziałem, że najpierw łódź musi mieć dokładnie symetryczny kształt z zewnątrz. Po ukończeniu zewnętrznej, dennej strony szkutnicy odwracają łódź w pozycję pływania i przystępują do drażenia wnętrza, usuwając ze środka drewno. Na początku praca przebiega bardzo szybko. Pod pewnymi uderzeniami ostrych dłut odpadają spore wióry. Gdy ścianki łodzi stają się cienkie, struga się je dalej bardzo ostrożnie. Wtedy trzeba się pilnować, mała nieuwaga i można zmarnować kilka dni pracy.

Po południu bezskutecznie szukałem kogoś na jutro, z kim mógłbym wejść w busz. Nie szło to łatwo, mimo pomocy Patisona nie znalazłem chętnego. Zapowiadała się ładna pogoda. W ostatni dzień pobytu w wiosce chciałem odbyć porządny spacer po okolicy. Po cichu myślałem, że być może przypadkiem spotkam wielkiego kraba. Ten niezwykły zwierzak, o którym już tyle słyszałem, występuje na Santa Isabel. Chociaż bardzo rzadko, ale od czasu do czasu trafia do kotła miejscowych. Kraba palmowego znam tylko ze zdjęć. To najbardziej bazylijskowaty zwierzak lądowy, w dodatku ogromny! Wyspy Salomona dają ostatnią szansę na spotkanie tego największego stawonoga świata. Niejednokrotnie rozglądałem się za nim na bazarach, ale nigdy go nie widziałem. Delikatne mięso z jego odwłoka to podobno największy przysmak, z tego powodu jest tak wytrzebiony. O rzadkim występowaniu tego zwierzaka w okolicy dowiedziałem się przypadkowo od Patisona, który mówił, że czasami komuś udaje się złapać tego dziwoląga. Co z tego, gdy miałem problem z przewodnikiem.

Do wieczora zostało jeszcze trochę czasu. Nie miałem nic do roboty i Patison wyciągnął mnie na kilkukilometrową przechadzkę. Powodem spaceru było wykonanie telefonu. Pewnie samemu nie chciało mu się iść, więc dla towarzystwa zaproponował mi spacer do miejscowej budki telefonicznej... W Susubonie nie ma zasięgu łączności telefonicznej... Niedawno jednak mieszkańcy zlokalizowali taki punkt, gdzie dochodzi sygnał. Od tego czasu ludzie kupują telefony i każdego dnia plaża w tym miejscu jest oblegana przez gadających. W jedną stronę są trzy kilometry. Właśnie tam wybiera się Patison. Słońce chyliło się ku zachodowi, klimat w sam raz na taką przechadzkę. Nie szedłem tak całkiem bezinteresownie, z szefem należało trzymać sztamę... Zależało mi na człowieku, z którym bym mógł pochodzić jutro po okolicy. Patison obiecał, że postara się kogoś znaleźć na tę eskapadę. Cały dzień pogoda była szczególnie przyjemna. Lekkie zachmurzenie, ciepło i kompletnie bez wiatru.

Do domu wróciliśmy w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Na koniec została mi jeszcze do napisania stronka notatek z dzisiejszego dnia. Dni są tak podobne, że gdy na bieżąco nie spiszę wrażeń, to trudno sobie przypomnieć zaległe zdarzenia nawet z dwóch poprzednich dni. Coraz bardziej podziwiam pisarzy. Oni tworzyli nie jakieś małe dzieła, ale grube tomy powieści, i to z sensem. Ile nocy musiał zarwać pisarz, by te piękne rzeczy stworzyć. A nam się nieraz nie chce napisać krótkiej notatki.

Następnego dnia było już dość późno, gdy Patison przyprowadził mężczyznę, z którym uzgodniłem cenę za kilkugodzinny spacer po okolicy. Trochę się zdziwiłem, gdy zobaczyłem dziadka w szortach i klapkach na nogach. Był średniego wzrostu, miał pocziwe lico o czekoladowoczarnej barwie skóry. Powagi dodawały mu krótkie kędzierzawe włosy i siwy zarost na nieogolonej twarzy. Cały jego ekwipunek to maczeta i woreczek na pasku, pewnie z betelem. Mr Patison zapewnił, że człowiek ten zna w dżungli prawie każde drzewo i niejednego kraba złapał.

Wyruszyliśmy w drogę późno, bo dopiero przed południem, gdy słońce podniosło się już wysoko. Do lasu weszliśmy ścieżką, która prowadzi ku ogrodom i małym plantacjom. Przechodząc w pobliżu poletka trzciny cukrowej, spotkaliśmy kilka pochylonych kobiet. Oczyszczały z zielska jakieś niskie warzywo, uprawiane wśród rosnących tu swobodnie drzew. Zaciekał mnie płot, wzdłuż którego

szliśmy. Pierwszy raz spotykam ogrodzenia wysokości wzrostu człowieka. Płot jest oryginalny i zrobiony bardzo solidnie. Składa się z kijów, a właściwie z grubych łodyg trzciny cukrowej, wetkniętych w ziemię blisko obok siebie. Tworzą dwa rzędy w odległości dwudziestu centymetrów jeden od drugiego. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniona jest gałązkami i oplatającym je łykiem. Pewnie z biegiem czasu płot staje się coraz mocniejszy, bo trzcina puszcza korzenie i z każdym miesiącem mocniej trzyma się gruntu. Furtkę zastępuje wycięcie w ogrodzeniu. Chcąc się dostać do środka, trzeba przejść przez wysoki próg. Mój przewodnik wyjaśnił, że to zabezpieczenie przed dzikami, które mogłyby zniszczyć uprawy. Na starannie uprawionej ziemi dostrzegam czerwono-fioletowe liście słodkich ziemniaków.

Ścieżka ciągle wiodła lekko pod górę. Gdybym był sam, pewnie już bym zabłądził. Zaczęła się najtrudniejsza część drogi. Na łagodnym stoku z obu stron ścieżki rosną palmy kokosowe. Teraz żałuję, że zachciało mi się szukać kraba kokosowego. Przechodzimy przez gęstą i szorstką trawę mojego wzrostu. By się uchronić przed kluciem i zadraśnięciami, jako tarcze trzymamy przed sobą grube kije. Mój przewodnik chyba specjalnie chce mi dać w kość. Ścieżki nie było widać. Czuję ją jedynie pod nogami, bo nie potykałem się o przeszkody. Zaraz po naszym przejściu gąszcz traw za nami zamykał się ponownie. Na zboczu z wysokiej trawy wystrzeliwały kępy tyczek bambusowych i pojedyncze palmy kokosowe. Idąc wciąż pod górkę, dotarliśmy do niewielkiej plantacji tych drzew. W pewnej chwili na ścieżce spotkaliśmy dwóch mężczyzn z wioski, którzy po przywitaniu zaczęli częstować się betelem. W czasie tego krótkiego odpoczynku wypilem sok z podanego mi kokosa, co mnie trochę orzeźwiło. Szczerze mówiąc, miałem już dosyć i chciałem wracać z nimi z powrotem do wioski. Jednak by nie wypaść głupio względem dzielnego dziadka, jeszcze nie zrezygnowałem z wycieczki. Przez to nieoczekiwane spotkanie upewniłem się, że mój przewodnik poważnie podszedł do sprawy, bo wcześniej, miałem już wątpliwości, czy aby nie kluczy bez sensu.

Po krótkiej chwili wytchnienia ruszyliśmy w dalszą drogę. Ścieżka przeszła w schodki zbudowane z niedbale ułożonych kamieni i korzeni. Miejscami było tak stromo, że musiałem podierać się grubym kijem. Wiedziałem, że niektórzy wyspiarze mają swoje plantacje daleko i wysoko w buszu. Jest nieznośnie parno, pot zalewa mi oczy. Mam już dosyć, to nie dla mnie. Spodnie, a raczej to, co z nich zostało, to same strzępy! W pobliżu jednej z bocznych, ledwie widocznych ścieżek nie dają już rady i zarządzam odwrót. Dojście stąd do wioski to dobre dwie godziny marszu, na szczęście już tylko w dół. Szkoda, że z tego miejsca nie można dojrzeć oceanu, bo widok byłby kapitalny. Skręcamy w lewo i ścieżyną trawersującą łagodne zbocze zaczynamy powoli kierować się w stronę wioski. Przekraczamy wąski potok i krocymy wzdłuż jego brzegu, zagłębiając się coraz bardziej w gęsty busz. Dzielny dziadek prowadzi mnie przez jakieś chaszczki. Ze wszystkich stron otacza nas tropikalny gąszcz. Wielobarwne korony drzew są tak gęste, że ledwie przedziera się przez nie światło. Bogata wilgotna roślinność otula ziemię jak zielony płaszcz. Po drodze płoszymy dużą zieloną jaszczurkę. Mogła mieć z pół metra długości. Niezadowolona czmychnęła w krzaki. Otoczenie byłoby nawet dość przyjemne, gdyby nasza ścieżka była choć trochę wygodniejsza.

Nagle mój przewodnik przystanął i wtedy usłyszałem dziwny ostry głos. Spytałem, co tak skrzeczy. Odpowiedział, że to heaven bird, czyli rajski ptak. Nareszcie będę mógł zobaczyć go żywego! Wypchane okazy spotykałem już wcześniej na Molukach. Skradaliśmy się cicho, byliśmy już tuż-tuż... Skrzekliwe, przeraźliwie dźwięki „ech-ech” słyszeliśmy już z bliska. Jak ptak o takim fantastycznym upierzeniu może mieć tak szpetny i odrażający głos? Nie miałem jednak szczęścia, by go zobaczyć. Nie dało się dalej przedzierać przez chaszczki, a ptak pewnie uciekł, bo już więcej nie słyszeliśmy jego dziwnego skrzeku. Nie mieliśmy czasu, by czekać dłużej i nasłuchiwać. Musieliśmy jeszcze za dnia dojść do wioski. O mały włos, a natknęlibyśmy się na rajskiego ptaka, zamiast poszukiwanego kraba.

Wyspy Salomona jeszcze do niedawna były niezwykle bogate w liczne gatunki pięknych ptaków. Niestety obecnie już wiele z nich prawie zniknęło przez kłusownictwo. Czy był to skrzek rajskiego ptaka, tego tak do końca nie wiem, ale że to nadzwyczaj ładny i najstrojniejszy przedstawiciel ptasiego rodu, to pewne. Nie mogę być zawiedziony, bo rajskiego ptaka czy kraba palmowego dzisiaj niezwykle trudno spotkać. Być może jeszcze na wyspie Nggatokae w Prowincji Zachodniej uda mi się spotkać z wielkim krabem i tymi ptakami? Z lasu wyszliśmy na brzeg w pobliżu wioski. Całe szczęście, że to już koniec,

bo byłem całkiem padnięty. Jutro rano ma przypląć statek, którym dostanę się do Honiary.

## Biali na Wyspach Salomona, czyli reporter Jack London donosi...

Jest spokojnie, ranne słońce oblewa gładkie, lśniące morze. Płyniemy w odległości kilkuset metrów od brzegu. Wczoraj zakończyłem moją wędrówkę. Zastanawiam się nad tym wszystkim, co mnie spotkało przez te dwa tygodnie na wyspie. Zapamiętam na zawsze mieszkańców, których żywią ocean i uprawy w buszu. Jak mógłbym zapomnieć ludzi, którzy służyli mi bezcenną pomocą?

Z Susubony wypłynąłem nocą. Princessa przybyła do przystani o drugiej! Płynęła jeszcze dalej na północ, aż na małą wysepkę Furonę. Mogłem odpłynąć znacznie później, gdy będzie w drodze powrotnej, ale chciałem już być na statku i podziwiać fascynujący brzeg, którego nie widziałem.

Na statek odprowadził mnie Patison, poświęcając mi kawał swojego snu. Przy pożegnaniu podał mi adres swojego brata Ediego w Honiarze. Na wypadek, gdybym chciał się tam zatrzymać, miałem zapewniony kwaterunek. Rejs do Honiary kosztował mnie 230 tutejszych dolarów, a za dodatkową rundkę na północ nie musiałem nic dopłacać. To piękna całodzienna wycieczka. Z pokładu statku patrzyłem na wszystko jak widz w teatrze. Wiele poznano dotychczas na świecie, natomiast w tej wyspiarskiej głuszy wciąż jeszcze został do odkrycia cały wielki świat! Jest to wymarzony raj dla przyrodnika. Gdyby zagłębił się w tej głuszy, odkryłby najwspanialsze cuda przyrody!

Susubona została daleko za rufą. Płynęliśmy przeważnie tuż przy brzegu. Po prawej burcie mur bujnej roślinności lasu wtłaczał się i wciskał w wodę. Mijaliśmy różne gatunki wysokich drzew. Strzeliste palmy wznosiły ku niebu swe wspaniałe pióropusze. Płynąc tak blisko brzegu, można było oglądać liczne ptactwo, świadczące o bogactwie skrzydlatego świata. Duże i małe ptaki harcowały w powietrzu i nad samą wodą. Szkoda, że wszystkie głosy zagłuszał przeraźliwy warkot wydobywający się z maszynowni. Lekkie zachmurzenie i słabiutki wiaterek powodowały, że pogoda była szczególnie przyjemna. Od czasu do czasu zza chmur przebijały się promienie słońca. W takich chwilach, gdy statek oddalał się od brzegu, odległe wzgórza pod słońce wydawały się bardziej niebieskie i srebrzyste od ponętnej zieleni bliskiego brzegu.

Pięknie wyglądają malownicze iglice skalne wyrastające wprost z granatowej toni. Uderzające w nie z impetem fale tworzą imponujące rozbryzgi białej piany. Między tymi miniwysepkami rozsianymi wzdłuż brzegu przepływa Princessa.

Po południu na horyzoncie pojawiła się mała i płaska Furona. Zbliżyliśmy się do wysepki otoczonej rafami koralowymi, na których wyraźnie odznaczał biały przybój. Tylko w jednym miejscu między palmami przeświecały liściaste dachy kilku chatek.

W pobliżu raf ze statku rzucono kotwicę, po czym łodzią motorową na ład odpłynęło kilka osób. Powrotnym kursem łódź zabrała z plaży worki z suszoną koprą. Wkrótce Princessa zrobiła zwrot i kierując dziób na Honiarę, ruszyła na południe. W powrotnej drodze będzie zabierała z wiosek koprę, ziarno kakaowców i inne płody rolne.

Większość czasu spędzam na pokładzie. Wpatruję się w umykające za statkiem łagodne, ciepłe fale Morza Salomona. Z uwagą przyglądam się miejscom wzdłuż brzegu, gdzie kilka dni temu wędrowałem. Nie jest tam tak gładziutko, jak to wygląda ze statku. Jestem zadowolony, że udało mi się zrealizować to, co zamierzałem. Z zadumy wyrывa mnie pełen podniecenia okrzyk: „Fysz!”. Łajba idzie na wolnych obrotach. Wszyscy skoczyli na rufę.

Ryba ciągnie mocno. Nie pozwala łatwo wyrwać się z granatowej wody. Tęgi marynarz średniego wzrostu, o czarnej jak smoła twarzy, powoli wybiera naprężoną cienką linkę. Z boku na odpowiedni moment czeka kolega z grubą pałą. Krępe łapy marynarza podciągają i utrzymują przez chwilę trzepoczącą się przy burcie rybę. Potężne uderzenie w wydłużony spiczasty łeb i w sekundę ryba jest na pokładzie! Przeszło metr długości i około piętnaście kilogramów wagi, ładny okaz! Tego dnia złowiono jeszcze trzy. Łowienie ryb w czasie rejsu to dodatkowy zarobek załogi, a dla nudzących się podróżnych zawsze podniecająca rozrywka.

Pod wieczór niebo na północnym zachodzie zaciąga się niskimi chmurami, zapada zmrok. Zrywa się lekka bryza i robi się przyjemnie chłodno. Zza jednej z wysepek wytacza się bladoczerwona kula

księżycą. Panująca od pewnego czasu cisza zmacona zostaje lekkim powiewem, który wzbudza niewielką falę. Oprócz tego, co się widzi, trzeba się nieraz zatrzymać i nad historią.

Dwieście lat po odkryciu zagubiony i zapomniany archipeląg został odkryty ponownie. Europejczycy powtórnie pojawili się na Wyspach Salomona. Kiedy w latach osiemdziesiątych XIX wieku dobiegł końca podział Oceanii między mocarstwa kolonialne, przyszła kolej na Wyspy Salomona. Podzieliły się nimi mniej więcej po połowie Anglia i Niemcy. Anglia oficjalnie rozciągnęła swój protektorat nad wschodnią częścią Wysp Salomona i Santa Cruz, natomiast wyspy Bougainville i Buka dostały się pod zwierzchnictwo Niemiec. Na wodach archipelagu zjawiły się okręty angielskie i niemieckie. Pod ich osłoną zaczęły powstawać pierwsze osiedla białych. Popyt na koprę zachęcił plantatorów do zainteresowania się archipelagiem – wszak wybrzeża wszystkich nieomal wysp porastała palma kokosowa. Pod koniec XIX wieku zaczęło się wydzieranie skrawków wybrzeża pod plantacje oraz zdobywanie siły roboczej. Biali działali rozmaicie, w użyciu były karabiny, alkohol i tytoń, a niekiedy misje protestanckie... Na porządku dziennym było przekupywanie wodzów plemiennych i palenie wiosek. Wypiarze byli bitni, uparci i niepokorni. Nie było z nimi łatwo, mimo różnych szachrajstw. Sprawy szły powoli i jeszcze w 1904 roku plantacje na Wyspach Salomona zajmowały obszar zaledwie 1 300 hektarów. Plantatorów nęciły sylwetki palm kokosowych na wybrzeżu, ale zaraz dalej rozciągała się dżungla, a w niej panowali Melanezyjczycy. Byli już zbrojni nie tylko w łuki i dzidy, ale i w prymitywne karabiny dostarczone przez handlarzy bronią.

Jak wyglądała ta sytuacja, opisuje amerykański pisarz Jack London, który własnym jachtem o nazwie *Snark* popłynął na Wyspy Salomona. Wysłał stąd do amerykańskich gazet reportaże, wydając je później w formie książki *Syn słońca*. Pisarz znalazł się na pokładzie statku *Minota*, którego kapitan zamierzał zwerbować nowych robotników... Wszyscy, którzy zajmowali się podejrzanym procederem pozyskiwania wypiarzy do pracy na plantacjach, nazywali siebie niewinnie werbownikami, ale tak naprawdę byli łowcami niewolników. W rzeczywistości był to haniebnny proceder, w którym najohydniejsze chwytły były dozwolone. Przedstawię tu kilka fragmentów z reportażu Londona.

„[...] Naszym pierwszym miejscem postoju było Suu na zachodnim wybrzeżu Malaity. Archipeląg Salomona leży na krańcach świata. Żegluga w ciemną noc przez najeżone rafami kanały i na przekór kapryśnym prądom, bez wskazujących drogę świateł, jest nie lada sztuką. Żeglugę utrudnia ponadto fakt, że lądy nie są dokładnie naniesione na mapy. Na mapie Admiralicji wybrzeże Malaity ciągnie się w tym miejscu prostą nieprzerwaną linią, mającą dwadzieścia sążni wody pod kilem. W miejscu, gdzie rzekomo był ląd, znajdowała się głęboka zatoczka porośnięta dookoła gąszczem drzew mangrowych. Wpłynęliśmy w nią i rzuciliśmy kotwicę na wodzie gładkiej jak tafla lustrzana. Kapitanowi Jansenowi nie odpowiadała ta przystań. Był tam po raz pierwszy, a Suu cieszyło się złą sławą. W razie napaści brak wiatru uniemożliwiał wydostanie się z zatoki, a przy holowaniu jachtu welbotem tubylcy mogliby z krzaków wymordować co do jednego całą załogę. W razie ataku znajdowalibyśmy się w niezłej pułapce”.

„[...] Welbot na próżno krążył wzdłuż wybrzeży w poszukiwaniu robotników. W dżungli pełno było uzbrojonych tubylców, którzy chętnie nawiązywali rozmowę z werbownikiem, lecz ani jeden nie zgodził się wyjechać na trzy lata do pracy na plantacji za sześć funtów rocznie”.

„[...] W Suu spędziliśmy trzy bezowocne dni. *Minota* nie dostał robotników z dżungli, tubylcy zaś nie zdobyli ani jednej naszej głowy... Welbot wyholował jacht z zatoki i popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża do Langa Langa, sporej wioski zamieszkałej przez żyjących z morza tubylców”.

„[...] Przy pomocy przekupionych tytoniem i perkalem kacyków kapitan Jansen zdołał wreszcie wziąć na pokład zwerbowanych robotników. Ale w drodze powrotnej w zdradliwej cieśninie między Santa Isabel a Malaitą *Minota* nadział się na rafę. Trzeba było czekać na pomoc innego szkunera werbowniczego. A tymczasem...”

„[...] Gdy *Minota* uderzył w rafę, nie widzieliśmy ani jednej pirogi, lecz potem zjawiły się ze wszystkich stron jak sępy z jasnego nieba. Załoga z welbotu z karabinami w pogotowiu nie dopuściła ich bliżej jak na sto stóp, grożąc otwarciem ognia. Czarne i złowrogie, pełne męczyzn utrzymujących je wiosłami na niebezpiecznym skraju przyboju, pirogi czyhały opodal jachtu”[8].

Okrucieństwa białych na złowrogich Wyspach Salomona wywarły silny wpływ na twórczość

Londona, łatwo to dostrzec przy lekturze takich książek jak *Syn słońca* czy *Jerry z wysp*.

Tropikalna noc zapaliła jaskrawe gwiazdy na niebie. Wilgotne i duszne powietrze nie pozwala zasnąć. Nigdzie wokół najmniejszego światełka. Dopiero o drugiej w nocy na czarnej oleistej wodzie kładą się mdłe refleksy pozycyjnych portowych latarni w Honiarze. Jeszcze przed świtem Princessa przybija do przystani.

Czas do rana spędziłem bezpiecznie na pokładzie. Mogłem rozważać w myślach kolejną podróż – rejs na wyspę Nggatokae w zachodniej części Wysp Salomona. Za cel obrałem pobliską Marovo Lagoon, na którą skusił mnie oryginał Mike dwa tygodnie temu. Po cichu liczyłem na obiecany pobyt u niego. Byłem ciekawy, czy okaże się słowny i będzie na mnie czekał w Honiarze.

## Podróż na Marovo Lagoon

Po dwóch tygodniach przebywania w buszu, znów znalazłem się w „metropolii” niedającej się w porównać z wioskami. Pierwsze kroki skierowałem do hurtowni, gdzie wcześniej kupowałem bilet do Kalikaki. Chciałem dowiedzieć się, kiedy będzie statek na Marovo Lagoon. Uzyskana informacja nie jest najgorsza, ponieważ już za dwa dni do wioski Mbunikalo na wyspie Nggatokae płynie statek Kosko. Problem w tym, że muszę załatwić nocleg. Odszukałem karteczkę z telefonem do Ediego, brata Patisona z Susubony. Wystarczy zatelefonować i sprawa zakwaterowania będzie załatwiona, ale w mieście sprawa wygląda inaczej niż w wiosce. Trudniej uzasadnić wpychanie się komuś do domu, bo są hotele i pensjonaty. Trochę głupawo stwarzać komuś niespodziewany kłopot. Tak więc poszedłem rozejrzeć się za jakimś tanim miejscem, ale okazało się to nie lada problemem. Z kilku miejsc najtaniej było w motelu katechetów Chester Motel Kościoła melanezyjskiego. Jednak i tutaj za najtańszy nocleg w trzyosobowym pokoju chcą około trzydziestu dolarów USA! To strasznie dużo, więc szukam najbliższej budki telefonicznej i dzwonię do Ediego.

Po niespełna piętnastu minutach zajechała taksówka, z której wysiadł człowieczek drobnej postury. To Edi, totalne przeciwieństwo grubego i wielkiego Patisona. Sympatyczny gość potraktował mnie od razu jak swojego bliskiego, widocznie dostał wiadomość z Susubony. Zaraz też pojechaliśmy do biurowca Oil Pacific Company, gdzie Edi pracuje jako księgowy. W biurze zostawiłem swój plecak i aby nie robić zamieszania, umówiliśmy się, że przyjdę, gdy będzie już wychodził do domu. Przez dwa tygodnie w buszu nabierało się trochę spraw do załatwienia.

Prosto z biura poszedłem do Wysokiego Komisarza Konsulatu Papui-Nowej Gwinei, by załatwić wizę. Potem musiałem kupić spodnie, bo te podarte wyrzuciłem już na Princessie, wciągając na krótko zapasowe, takie bardziej „odsświętne”. Wcale nie było tak łatwo coś sensownego kupić. Od biedy udało mi się dostać jakieś nędzne chińskie portki, które jeszcze musiałem przerobić u krawca. Mając trochę czasu do umówionego spotkania z Mikiem, zrobiłem zakupy u Chińczyka. Potem poszukałem Internetu, którym ledwo co udało mi się wysłać wieści do domu.

O ustalonej godzinie poszedłem do portu. Nie musiałem nawet długo czekać, kiedy za plecami dobiegło mnie wołanie:

– Kris, Kris!

Mike nie zawiódł, spotkaliśmy się dokładnie o ustalonej porze. Jak na razie wszystko układa się pomyślnie, czyli pojutrze płyniemy do Mbunikalo na wyspę Nggatokae. Wizę do Papui-Nowej Gwinei mam do odebrania jutro w południe. Na hotelu zaoszczędziłem 400 miejscowych dolarów, więc stać mnie na zaproszenie Mike’a do restauracji na dobry obiad. W końcu trzeba to wszystko uczcić!

Przy rozstaniu ustaliliśmy, że za dwa dni spotkamy się na przystani przed zacumowanym statkiem Kosko. Z restauracji udałem się na pobliski przylądek Point Cruz. Chciałem być w historycznym miejscu, gdzie podczas pierwszej wyprawy w 1568 roku kapitan Alvaro de Mendaña ustawił krzyż. Tu w imieniu hiszpańskiego króla objął odkryty ląd w posiadanie. Trafiłem tam na podstawie mapki Honiary w moim starym wydaniu przewodnika Lonely Planet. Myślałem, że to jakaś pomyłka, ale nie. W tym wydaniu przewodnika był tam zaznaczony jakiś pomnik czy obelisk. Dzisiaj w tym miejscu znajduje się plac manewrowy portowych hurtowni.

Zagarnięcie wysp przez Hiszpanię spowodowało pasmo nieszczęść i tragedii wyspiarzy, więc nic



dziwnego, że usunęli pomnik z pobliskiego nabrzeża. Została tylko nazwa nadana przez odkrywcę – Point Cruz.

W domu Ediego zatrzymałem się przez dwa dni. Jak na warunki miejscowe Edi i jego żona z trójką dzieci są dobrze sytuowani finansowo. Oboje pracują w księgowości Oil Pacific Company – jedyne go koncernu zajmującego się importem i dystrybucją paliw na Wyspach Salomona. Do prowadzenia domu zatrudnili dwie kobiety – kucharkę i nianię do opieki nad dziećmi. Mili i gościnni gospodarze na mój krótki pobyt opróżnili mały pokoik. Ich solidny dom, niski i dość obszerny, niczym specjalnie nie wyróżniał się wśród innych. Co najciekawsze, usytuowany był na stoku wzgórza w pobliżu Memoriału – pomnika walk o Guadalcanal. Miejsce to było dosłownie o rzut beretem.

Następnego dnia udałem się pod pomnik. Musiałem jeszcze kawałek podejść pod górę. Memoriał upamiętniający kilkumiesięczne krwawe walki o Guadalcanal wybudowali Amerykanie na pamiątkę pięć tysięcy amerykańskich żołnierzy poległych w zacieklej walkach. Japończycy stracili tu aż 25 000 żołnierzy! Ze wzgórza roztaczał się rozległy widok na miasto i morze.

Byłem zdziwiony, jak dużo ludzi przewinęło się podczas mojego pobytu przez domostwo Ediego. Większość z nich to podobno bliższa czy dalsza rodzinka. Najciekawszym gościem był ojciec żony Ediego, biskup Kościoła melanezyjskiego, który wpadł na chwilę odwiedzić wnuki. Nawet krótko rozmawialiśmy. Dowiedziałem się, że jest zwierzchnikiem Kościoła archipelagów, po których podróżowałem, i jeszcze Nowej Kaledonii!

Raz-dwa minął mój pobyt u serdecznej rodziny. Do portu idę pieszo. Przechodzę wzdłuż rzędu niskich sklepów w pobliżu bazaru i dochodzę do uliczki przylegającej do portu. Między drewnianymi, krytymi blachą szopami czuć, jak wibruje gorące powietrze. To najgorętsza pora, szczególnie w bezwietrzny dzień. Szedłem na spotkanie z Mikiem, za dwie godziny nasz statek ma wyjść w morze.

Tym razem bilet kupiłem nie w hurtowni, a na statku. Kosztował 320 miejscowych dolarów, co wychodzi na nasze około 140 złotych. Statek Kosko jest większy od Princessy, ale tak samo nie ma żadnych wygod. Brak nawet siedzeń czy jakichś ławek. Podróżni rozkładają swoje maty czy koce wprost na podłodze dość obszernej sali. Tym, dla których nie starczyło miejsca w środku, zostaje koczowanie na odkrytym pokładzie. Na deku od słońca czy deszczu lekko chroni niebieska brezentowa płachta, nikt się zbytnio nie przejmując pasażerami. Tak podróżować można tylko po tropikalnych wodach Pacyfiku. Płacisz za bilet, to płyniesz, a miejsca dla siebie poszukaj gdziekolwiek... Na dość odległą Nową Georgię zawsze płynie dużo ludzi. Statek utrzymuje komunikację z północnymi wyspami Archipelagu Salomona, gdzie zawija do kilkunastu wiosek leżących na trasie.

Gdy weszliśmy na pokład, statek był już gotowy do wyjścia w morze. Do załadunku większych gabarytowo towarów wykorzystuje się tu dźwigi pokładowe. Jednak drobnicę ładuje się ręcznie.

Jak zwykle przed rejssem na statku panował straszny rozgardiasz. Po pokładzie do samego końca kręcili się handlarze betelem, napojami i miejscowymi kanapkami. Wszyscy prześcigali się w oferowaniu podróznym swojego towaru. Dopiero ostatni sygnał do wyjścia skłonił odprowadzających, krewnych i handlarzy do pośpiesznego opuszczenia statku. Ostatnie uściski i pożegnania to smutna chwila. Wielu podróznym udaje się na odległe wyspy, to tak samo jak u nas wyjazd za granicę, stąd wiele smutku i wylanych łez. Nieraz taki łzawy nsatrój i stojącemu z boku się udziela...

Odbijamy, większość pasażerów tłoczy się przy burtach. Inni wyciągają z zawiniątek cenny betel i zanurzają się w błogi stan. Marynarze zwalniają cumy. Kosko wolno opuszcza pirs, ostrożnie manewrując wśród cumujących wysłużonych kutrów. Głośno terkocze motor w maszynowni. Kierując dziób na północny zachód, powoli oddalamy się od portu.

Czytałem, że na dnie w pobliżu Guadalcanal znajduje się największe cmentarzysko wraków z walk na Pacyfiku, spoczywa ich tam aż siedemdziesiąt! Przed naszymi oczami w odległości pół mili przesuwają się piękne sceny wyspy. Przeplływamy wzdłuż jej zielonych wzgórz. Jeszcze z tej odległości widać pojedyncze palmy kokosowe rosnące na wąskich piaszczystych plażach. Za chwilę wszystko zleje się w jedną zieloną plamę. Wieczorem jesteśmy już poza północno-zachodnim krańcem wyspy Guadalcanal.

## Z notatnika podróżnika Drugi dzień rejsu do Mbunikalo

Spałem do piątej rano. Dmuchany materacyk jest niezastąpiony. Statek to stary, przeraźliwie głośny japoński grat, ale sunie okej... Bez stoperów nie dałbym rady... Pogoda piękna, ale nieznosnie gorąco. Guadalcanal już za nami, długo płyniemy w pobliżu kilkudziesięciu płaskich, przepięknych wysepek Russell. Kosko zatrzymuje się kilka razy w ich pobliżu. Nigdy wcześniej nie widziałem tak pięknych turkusowych lagun. Nagrałem z dziesięć minut filmu, trudno będzie coś wyciąć, wszystko mi się podoba. Tak samo zdjęcia, zrobiłem ich ponad 200, dużo jest nieostrych z latającymi rybami, te będzie łatwiej wywalić... O dziesiątej obaj zjedliśmy chińską czterystugramową konserwę mięsna z chlebem, zapijając kawą. W czasie postojów w pobliżu wiosek i osad efektownie podpływają małe łodzie motorowe i zabierają pasażerów. Dopływają całym pędem, tak jakby się ścięły, zostawiając za sobą długie białe rozbryzgi piany. Z brzegu pod burtę z ciekawości podpływają dzieciaki na małych dłubankach bez bocznych pływaków – szok! Mijamy sporo koralowych wysepek mikrusów otoczonych pięknymi turkusowymi lagunami. Przepływamy pomiędzy płaskimi bezludnymi wysepkami otoczonymi całkowicie mangrowymi zaroślami. Większe płaskie wysepki całe zajmują gaje palmowe. Mike powiedział, że jest właścicielem kilku takich wysepek. Gorąco, nie ma gdzie się schować, wszystkie zacienione miejsca na statku zajęte. Rozmawiam tylko z Mikiem, przy okazji wyciągam, ile się da, wiadomości o Marovo Lagoon i okolicy, gdzie mieszka. Gdyby potem nie chciał mnie w te miejsca zaprowadzić, to mu przypomnę, co opowiadał o atrakcjach wyspy. Jestem cały czas na pokładzie w różnych miejscach. Przez całą godzinę towarzyszą nam przy burcie delfiny! Skaczą wysoko, i to za darmo, jak w cyrku. Ludzie są bardzo podnieceni ich występami. Robię sporo minut filmu i zdjęć. Gorąco nie do wytrzymania. Za wysepkami Russell widać już w oddali Nggatokae Island, tam gdzieś w pobliżu jest słynna największa laguna świata. Zrywa się wiatr, łagodząc wreszcie dopiekające dzisiejszego dnia słońce. Przepiękny zachód słońca w czerwonych barwach, dokładnie nad laguną Marovo. Wygląda, że jest niedaleko, na wyciągnięcie ręki, a to jeszcze taki kawał! W Mbunikalo mamy być o osiemnastej, ale przyplwamy w ciemnościach z dwugodzinnym opóźnieniem. Jest ciemno. Kosko rzuca kotwicę przed rafą. Do brzegu dowożą nas motorówką. Statek płynie dalej. Wszędzie ciemno, nic się nie świeci. Do domu Mike'a w Sombiro jest sześć kilometrów ścieżką przez busz... Na szczęście nie idziemy pieszo. Nie bez trudu Mike załatwia motorówkę. W końcu szwagier Mike'a wiezie nas za 100 tutejszych dolarów! Bardzo drogo, a to tylko pięć kilometrów wzdłuż brzegu. Wprost z wody stromo pod górkę przedzieramy się śliską ścieżką. Jesteśmy obładowani, ja targam plecak, Mike tacha jeszcze więcej ciężkich kłopotów. Mimo światełka czołówki zaliczam kilka potknięć. Już dwudziesta druga. Nareszcie w domu, miałem dosyć. Żona Mike'a Olga (ciekawe imię jak na Wyspy Salomona) otwiera nam furtkę. Jestem zaskoczony. Świetne warunki zakwaterowania i spania w nowej drewnianej chacie na palach. I to w dżungli na końcu świata! By Mike się jutro nie rozmyślił, zapłaciłem 1 200 miejscowych dolarów z góry za dziesięć noclegów, paliwo i owoce. W kasie zostało 600 dolarów, powinno starczyć do końca pobytu na Wyspach Salomona.

### 13 czerwca – wioska Sombiro

Tutaj mogę odpocząć po wędrówkach. Jest dokładnie tak, jak widziałem wcześniej w reklamówce Mike'a, a nawet lepiej. Mieszkam w drewnianym domku stojącym wysoko na palach, wszystko jest prawie nowe. Są tu dwa pokoje z wygodnymi łózkami wyposażonymi w dobre moskitiery, razem sześć miejsc do spania, nawet dla wybrednego turysty. Mam pokój, gdzie jest duża sofa, ławostół i stolik z krzesłem. Domek oświetla prąd z kolektora słonecznego zamontowanego na dachu. Światelko słabe, ale dla mnie wystarcza. Od rana jest piękna słoneczna pogoda. Gdy tylko pokazałem się na zewnątrz, zjawiła się Olga. Przyniosła duży termos z gorącą wodą i kiść żółtych malutkich bananów, które są najsmaczniejsze. Po wypiciu podwójnej kawy 3 w 1 zabrałem się do wielkiego prania wszystkich rzeczy z plecaka. Wodę mam z wielkiego plastikowego zbiornika stojącego obok domu. Zbierana z dachu jest bardzo miękka i prawie nie trzeba mydła. Od rana jest gorąco, nie do wytrzymania.

Wszystkie rzeczy są pokryte solą. Wyprałem też plecak i torbę fotograficzną. Otoczenie domku jest wyjątkowo piękne. Parcele ogradzają płoty z siatki obsadzone młodymi palmami i ozdobnymi krzewami. Naprzeciw mojego gościnnego domku stoi podobny mieszkalny Mike'a. Dzieli je plac z trawnikiem i rosnącymi na nim kilkoma drzewami owocowymi. Zabrałem się do czyszczenia sprzętu fotograficznego, przeczyszcilem, jak się dało, zaśniedziałe styki.

Przyszedł Mike. Pilna sprawa, muszę gdzieś naładować akumulatorów do kamery. Sombiro leży na wzgórzu z rozległym widokiem na Morze Salomona, to raczej osada niż wioska. Dwa kilometry stąd jest mały budynek tuż przy trawiastym pasie startowym. To najbliższe miejsce, gdzie mogę naładować akumulatory do kamery. Na wzgórzu jest kawałek płaskiego terenu, który przystosowano na lądowisko małych samolotów. Lot z Honiary jest ponoć rewelacyjny widokowo, ale prawie trzy razy droższy od statku. Akurat byliśmy na miejscu, jak lądował mały samolot. Zrobiłem piękne ujęcie ostatnim tchnieniem baterii. W kanciapie lądowiska zostawiłem akumulatory, mam przyjść po nie jutro. W pobliskim skromnym sklepiku robię zakupy na cały pobyt. Biorę suchary, konserwy rybne, zupki chińskie, dzem i kawę. Dobrze, że jest tu taki sklepik. Wracamy do domu ścieżką wśród zarosłych zielonymi ogrodów. Bujna roślinność okolicy niczym się nie różni od tej z Santa Isabel. Mike powiedział, że do Honiary lata często samolotem za pół ceny. Przez mnie musiał płynąć statkiem, inaczej by leciał. Okazało się, że pracuje dla linii lotniczej jako telegrafista zapasowy czy awaryjny. Teraz wiem, skąd ta radiostacja w moim pokoju i okazałe anteny na zewnątrz.

O piętnastej wybraliśmy się do pobliskich jaskiń. Mike chciał pokazać mi miejsce, gdzie ukrywało się w czasie wojny kilku Japończyków. Przez parę dni nie można było ich w żaden sposób wykryć z jaskini. W końcu sprawę zakończono, wysadzając wszystkich w powietrze. Zeszliśmy do jaru w pobliżu wysokiego skalistego brzegu. Miejscami musieliśmy przedzierać się przez gęstwinę krzaków. Mike nie mógł wiedzieć, że takich wędrówek mam już po dziurki w nosie, więc nic nie mówiłem i pokornie szedłem dalej.

To bardzo ponure miejsce. W suchych szczelinach skalnych trafiamy na małe nietoperze. Wiszą przyczepione pazurami do poszarpanych skał koralowych. Dochodzimy do wysadzonej i zawalanej skałami jaskini. To strata czasu, na próżno się męczyłem... Mike chce mi jeszcze pokazać dużą pieczarę. Idziemy trudnym i niebezpiecznym przejściem po ostrych skałach koralowych. Puścił mi pasek od sandała, więc będzie problem. Schodzimy prawie do brzegu i docieramy na miejsce. Oglądam z brzegu pieczarę. Morskie fale wyłobiły ją na wysokości około sześciu metrów w jasnym wapieniu koralowym. Widać, że brzeg wyspy musiał się podnieść lub obniżyć się poziom wody. Nie chcę tam wchodzić. Na przedniej części skalnego stropu ociekająca woda utworzyła powierzchniowe formy stalaktytowe. I tak to nic w porównaniu do naszej jaskini Raj pod Kielcami. Wracamy do domu, nie daję po sobie poznać, że jestem zawiedziony.

Po zmierzchu trochę rozmawiam z Olgą i Mikiem o ich biznesie i założeniu strony WWW. Dysponują tylko adresem e-mail. Komputera nie mają, ale czasami korzystają z niego u kogoś... Wieczorem z czołówką idę wykąpać się do szopki obok domu. Coś nie czuję się najlepiej. Witaminy Centrum skończą się za 19 dni, a B compositum za dwa tygodnie. Chyba będę musiał dokupić. Kupione w Honiarze grube chińskie spodnie wytrzymają, ale sandały są rozsypce. Muszę je skleić, tylko gdzie tu dostać butapren? Jutro zrobię Mike'owi kilka zdjęć do strony WWW. Może zamieszczą je na stronie informacji turystycznej Wysp Salomona, ponoć jest tam krótka notatka o jego pensjonacie.

## 14 czerwca – wioska Sombiro

To już połowa czasu mojej podróży po Melanezji. Dzisiaj również piękna pogoda. Niebo całkowicie bez chmur. Za dwa dni pełnia Księżycy, więc tuż przed nią jest dobra pogoda. Powinienem dobrze się czuć, a jestem jakiś wypluty. Przydałaby się prawdziwa mocna kawa, ale jej nie mam. 3 w 1 to cienizna. Po kilku sekundach pracy padła mi golarka. Nie wiem, co się stało. U Ediego naładowałem baterie na full. Poszedłem do „portu lotniczego” dokończyć golenie i przy okazji odebrać akumulatory do kamery. Golarkę zostawiłem do naładowania. Dzisiaj mam w planie rejs łodzią po pobliskich wodach Marovo Lagoon. Dałem Mike'owi 200 tutejszych dolarów na dziesięć litrów benzyny.

Czekając na niego, obliczyłem na kalkulatorku wydatki. Ciekawy byłem, ile poszło kasy za dotychczasowy pobyt na Wyspach Salomona. Razem wydałem 729 dolarów amerykańskich, ale odejmując koszt wizy do Papui-Nowej Gwinei, to jest 112 dolarów, wychodzi mi 617. Dzieląc 617 przez dwadzieścia pięć dni pobytu, otrzymałem 24,68 dolarów amerykańskich na dzień. Ogólnie pobyt na Wyspach Salomona wyszedł dość tanio. Obliczyłem też, ile wydałem do dzisiaj od wyjazdu z domu, czyli przez 102 dni. I tak – z karty Visa pobrałem 1022 dolary USA, 800 miałem z wymiany w banku, to daje razem 1822 dolary. Podzieliłem to przez 102 dni i wyszło mi 17,86 dolarów na dzień, czyli nieźle, mieszczą się w limicie. Przede mną jest Papua-Nowa Gwinea. Jedna kina to jeden złoty, a wszystko jest dwa-trzy razy droższe niż w Polsce! Nie przejmuję się jednak, bo w Papui nie mam ograniczenia czasu pobytu tak jak tutaj lotem z Honiary do Port Moresby. Nie będzie kasy, to wyjadę wcześniej do tańszej Indonezji.

Aby wypłynąć na lagunę, trzeba byłoby opłynąć dookoła długi na 20 kilometrów, wąski półwysep. Rzeką jest znacznie krócej. Byłem zdziwiony, że taka rzeka z okolicy Sombiro wpływa przez busz do laguny. Tym szlakiem popłyniemy. Najpierw musimy dojść do rzeki, tam Mike ma swoją łódź. Silnik jest w domu i trzeba go tam zawieźć. Ładujemy yamahę z paliwem na taczki i ruszamy ścieżką przez ogrody w buszu do rzeki. Przechodzimy w poprzek pas startowy i potem bardzo trudną ścieżką przedzieramy się przez gęstwiny ze dwa kilometry! Żał mi było Mike'a, kiedy tak męczył się z taczką. W kilku miejscach przeciągaliśmy ją razem.

Strome i trudne zejście do brzegu. Jest niesamowicie dziko i ponuro. Na szczęście przez mrok docierają promyki słońca. Nawet w Amazonii nie byłem w takich klimatach. Brzegi rzeczki od początku do ujścia to płatanina mangrowych zarośli i strzelistych pióropuszy jakichś pandanusów wyrastających na szczudłowatych korzeniach. Tę rzeczną dzicz mogą ukazać tylko zdjęcia i film. Mike uruchamia silnik, wolno płyniemy w tunelu płataniny gałęzi i korzeni powalonych pni. Co chwilę trzeba zatrzymywać motor i podnosić silnik, by nie zawadził o korzenie.

Po godzinie ślamazarnego przedzierania się wypływamy w inny świat. Cudowna pogoda, lazurowa woda i przed nami otwarta przestrzeń z dziesiątkami płaskich wysepek. Maleńkie wysepki są całkowicie opanowane zaroślami mangrowymi. Nie ma szans, by na nich wylądować. Większe mają piaszczyste, wąziutkie brzegi. Wreszcie widzę pierwsze plaże z białym piaskiem. Gdzie się tylko da, ludzie uprawiają palmy kokosowe. W okolicy Sombiro tylko jedna wysepka ma stałych mieszkańców i tam płyniemy. Z łodzi doskonale widać ukwiecone koralami dno. Przybijamy do brzegu, gdzie widać kilka chat. Na białej piaszczystej plaży w cieniu palm siedzi kilka osób. Na wysepce żyją tylko trzy rodziny. Nie bez powodu tutaj jesteśmy. Mieszka tu siostra Olgi, z którą po chwili się witamy. Spaceruję po tym mikrusie. Całe wnętrze wysepki o rozmiarach 300 na 500 metrów porasta busz. Jest tu nawet mała chata Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Idąc na przelaj ścieżką na drugi brzeg, trafiłem na cmentarzyk z kamiennymi nagrobkami. Kobiety poczęstowały nas chłodnymi kokosami i orzeszkami butu. Robię zdjęcia i kilka minut filmu. Naszym kolejnym celem jest wysepka, na której stoi domek rekreacyjny krewnego Mike'a. Płyniemy turkusową wodą wśród rozsypanych po lagunie wysepek. Cukierkowa chatka na skrawku łądy wygląda bajkowo. Na krótko wychodzimy na pomost. Niestety domek jest zamknięty, a po wysepce nie ma co chodzić, bo w dwie minuty można ją opłynąć dookoła. Kilkakrotnie stajemy w miejscu, by w ciszy podziwiać lagunę. Na koniec płyniemy na prywatną wyspę Mike'a. Nie wychodzimy na łąd, tylko opływamy ją wzdłuż mangrowych zarośli. Nie sądzę, by wyspa przynosiła jakieś korzyści, chociaż z daleka widać sporo palm. Nie pytałem go, czy zbiera orzechy, ale dowiedziałem się, że nie płaci od niej podatku.

Późnym południem wracamy do domu. Znów targanie taczki, jeszcze trudniej, bo pod górę. Na obiad zupka chińska, suchary i kawa 3 w 1. Przed zmrokiem idę z Mikiem po maszynkę do strzyżenia brody i przy okazji w sklepiku dokupuję zupki chińskie. Dołożyłem Mike'owi jeszcze 100 tutejszych dolarów za dzisiejszy dzień. Facet naprawdę się starał, abym był zadowolony z wycieczki. Czuję się trochę podziębiony – może to malaria?! Miejscowi ludzie, z którymi mam styczność, są stale podziębieni. Sądzę, że przechodzą po swojemu malarię. Stale kaszlą, kichają i smarkają. Łykam rutinoscobin i doxycylinę 100. Nie jest tak, jak powinno być. Zobaczmy, co będzie jutro.

Tragedia – mrówki dostały się do sucharów i do zupek chińskich. Włazły nawet do zalanej

wrzątkiem zupy! Na szczęście do saszetek z kawą i kilku konserw nie dały rady się dostać. Od dzisiaj prowiant wstawiam do miski z wodą, to załatwia sprawę. Zmierzchem i wieczorem po ścianach i suficie buszują małe jaszczurki. Jedna w pogoni za mrówkami wpadła mi do kubka z kawą i nie mogła wyjść. To gekko, niezwykle pospolita w każdym domu, od najędźniejszej bambusowej budy do pałacu prezydenta i od zadymionego biura do eleganckiego hotelu. Cztery nóżki jaszczurki tak idealnie przylegają do najgładszej powierzchni, że biega ona bezpiecznie po gładkim przedmiocie nie tylko pionowo, ale i do góry nogami, choćby nawet pod spodem szklanej płyty. W ciągu dnia śpi lub znudzona spaceruje sobie po ścianach domu, natomiast wieczorem zabiera się do dzieła. Czatuje w pobliżu lamp, bo wie, że komary i inne owady latające lgną do światła. W momencie gdy owad siądzie na ścianie, jaszczurka ostrożnie skrada się ku niemu i lśniącymi dużymi oczami jakby urzekła swą ofiarę. Nieraz przez parę minut wpatruje się w nią z odległości dwóch, trzech centymetrów. Potem jeden błyskawiczny ruch i widać już tylko, jak jaszczurka pożera owada. Nie żałuję czasu na przyglądanie się tym polowaniom. Jaszczurce zdarza się czasem dużo większy łup, na przykład motyl. Wówczas toczy się długa walka. Małutkie zwierzątko z całej siły gruchocze ciało owada, ten natomiast rozpaczliwie trzepocze skrzydłami i stara się dzielnego łowcę strącić z sufitu. Wokół walczących zbiera się nieraz gromada okolicznych jaszczurek, ale nie wtrącają się do walki. Prawie zawsze zwycięstwo odnosi gekko. Tak jak wszyscy mieszkańcy bardzo lubią te małe zwierzątka, tak i ja je już dawno polubiłem. Nieraz cały wieczór potrafię przyglądać się im i kibicować w starciach z robactwem. Gdy taka jaszczurka pożre tyle owadów, że ma pełny brzuszek, dopisuje jej humor i nawet po swoim śpiewa cieniutkim, skrzeczącym głosikiem.

## 15 czerwca – wioska Sombiro

Piękny dzień, a ja muszę brać doxę. Wyraźnie czuję, że coś się przyczepiło. Zarządziłem jakieś świeżutkie ryby na dzisiaj, ale na razie konserwa mięsna i sucharki, też dobre. Olga przyniosła misę na wodę przeciw robactwu. Mrówki to nic, gorsze są ogromne karaluchy. Rano taki wielki siedział w moim kubku, jak on się tam dostał? Wlazł, ale nie potrafił wyleźć. Zniechęcił mnie do zalania kawy. Nie wiem, co będę dzisiaj robił. Chyba najlepszy będzie odpoczynek, by mnie opuściło przeziębienie. Za dużo wszystkiego naraz, miałem odpoczywać, a tu stale coś się dzieje. Z utęsknieniem wspominam labę na Fidzi.

Maszynka do strzyżenia działa. Później muszę odebrać akumulator od panasonica. Wczoraj na lagunie wykorzystałem go do zera. Mike ma tu sporo najbliższej rodziny. Idziemy do wioski, po drodze odwiedzamy jego starą matkę. Mike w rysach twarzy jest bardzo do niej podobny. Jej siwiutkie włosy nadzwyczajnie kontrastują z twarzą czarną jak smoła. Nie mogę uwierzyć, że ma prawie sto lat! Zatrzymaliśmy się na krótko przy dwóch głębokich lejach o średnicy kilku metrów. Były zarośnięte chaszczami. Dziadek, który mieszkał w pobliżu, podszedł i opowiedział historię tych nienaturalnych dziur. Staruszek był małym chłopcem, kiedy w 1943 roku dwa potężne wybuchy bomb wstrząsnęły okolicą. W pobliżu, w wykopanym schronie, ukrywali się japońscy żołnierze z radiostacją. Wybuch bomb zabił wszystkich. Namiar na cel przekazali aliantom miejscowi.

Wracamy do domu, jest bardzo gorąco. Dach z blachy rozgrzewa się, w środku jest jak w piekarniku. Idę się wykapać, chociaż nie powinienem, bo woda zimna jak lód. Nie wiem, czy dobrze robię, żeby mi czasem nie zaszkodziło. O szesnastej przyszli koledzy Mike'a ze swoimi rzeźbami. Nie wiem, co im o mnie powiedział, ale liczyli na to, że może coś kupię. Niestety nic nie kupiłem, chociaż rzeźby mi się podobały. Trochę głupio mi było robić zdjęcia tak za darmo. Przynieśli też piękne muszle, podobno rzadkie i cenne. Gdyby to był koniec mojej podróży, kupiłbym jedną. Najwyżej na granicy by mi ją odebrali, gdyby grzebali w plecaku. W wielu mieszkaniach widziałem na kredensie podobne morskie muszle. Dla wielu to obiekt zachwyty. Zwykle bierze się je w rękę, by obejrzeć, a potem przykładając ucho do otworu, żeby sprawdzić, czy szumi w środku. Potem mówi się dzieciom, że w muszli słychać szum morza... Mężczyzna przyniósł kilka dużych rozkolców, widziałem podobne na zdjęciu w prospekcie turystycznym. Jest ich kilka setek gatunków o niezwykle kształtach. To drapieżniki, najczęściej zabijają inne mięczaki. Taki, przywarłszy do innego małża, przewierca w nim dziurkę za

pomocą tarki na języku i dobiera się do niego. Na trawie rozłożył jeszcze kilka muszli, zwanych popularnie porcelankami. Są dużo mniejsze, mają gładką i szklistą powierzchnię. Ich muszle nie są stożkami jak rozkolce, ale rulonikami z podłużną szparką. Jednak nie robią takiego wrażenia jak duże rozkolce. Chociaż były tanie, nie kupiłem żadnej.

Mike lubi podłubać w drewnie i nadzwyczaj dobrze mu to wychodzi. Pokazał mi swoje rzeźby. Specjalizuje się w rzeźbieniu półmisków i walking sticks, to takie długie, ciężkie i grube laski. Zawozi je do Honiary i oddaje do sprzedania w biurze turystycznym, podobno dobrze się sprzedają. Miałem okazję zobaczyć go przy pracy, już od kilku dni rzeźbił taką grubą laskę.

Pod wieczór znad morza zbliżają się kłębiaste, ciemne chmury. O dwudziestej drugiej idę spać, przedtem długo przyglądam się kilku jaszczureczkom gekko, które w pobliżu zawieszonych pod sufitem żarówki polują na owady.

## 16 czerwca – wioska Sombiro

W nocy padał deszcz. Teraz przez chmury przedziera się słońce, powinno być pogodnie. Po śniadaniu wyruszyliśmy na północ. Mamy zamiar przejść wąski półwysep położony pięć kilometrów za Mbunikalo i dojść do wraku amerykańskiego samolotu z czasów wojny. W sumie to z dziesięć kilometrów, bo do Mbunikalo też będzie z pięć. Najpierw idziemy ścieżką przez ogrody mieszkańców. Dalej przedzieramy się prawie nieuczęszczaną ścieżką wśród potężnych paproci. Są bardzo podobne do naszych, ale wysokie na dwa metry! Nigdy wcześniej tak wielkich nie spotkałem. W pewnym miejscu rósł krzak z niebieskimi, niejadalnymi owocami wielkości mirabelki. Ich kolor zadziwia.

Wchodzimy w busz, gdzie rośnie dużo wielkich drzew. Widać jeszcze tu nie dotarły wielkie piły... Takie drzewa dla miejscowych są nieprzydatne, gdyż nie ma możliwości ich wykorzystania. Po drodze przechodzimy w pobliżu potężnego drzewa, obok którego się zatrzymujemy. Ma korzenie deskowe, silnie spłaszczone. Rosną one ku górze, tworząc w efekcie wąskie, prostopadłe do pnia i rozszerzające się ku dołowi listwy. Drzewo ma przynajmniej ponad pięć metrów średnicy, więc jak się do niego dostać? Chyba tylko ze zbudowanego dziesięć metrów nad ziemią pomostu.

Dwa kilometry dalej Mike pokazuje mi miejsce, gdzie ktoś tnie pień na deski, pewnie na budowę domu. Obok, na stojaku, leży nie do końca jeszcze przetarty pniak. Mike mówi, że na wyspie każdy, kto potrzebuje desek, może je samodzielnie zrobić. Za drzewo nie trzeba płacić, ale ciężka ręczna praca kosztuje sporo wysiłku. Tu i ówdzie na ścieżce napotykamy deszczowe kałuże. Mike pokazuje mi grube liany, które oplótły wielkie drzewo. Maczetą odcina kawał grubej na cztery centymetry łodygi i przechyla do pozycji pionowej. Z giętkiej łodygi ciurkiem cieknie woda. Mike mówi, że to liana rotangu i proponuje mi jej spróbować. Piję łyk chłodnego soku bez smaku. Łodyga wyglądem przypomina młody bambus, ale nie jest pusta jak on, tylko ma w środku sporo cieniutkich kanalików. Gdy się ją trzyma poziomo, woda nie cieknie.

Kończy się nędzna ścieżka i wchodzimy na plantację palmy kokosowej, której właścicielem jest ponoć wuj Mike'a. Chwilę odpoczywamy, popijając chłodny sok z kokosów, potem idziemy dalej. Za plantacją wchodzimy na wąski półwysep, szeroki na 200 metrów, idziemy błotnistą ścieżką przez paskudne zarośla mangrowe. W kilku miejscach mijamy małe plaże. W pobliżu jednej ktoś mieszka. Pod wiatką z ogniskiem kręci się mężczyzna i mały dzieciak. Idziemy dalej w ponurym otoczeniu drzew na szczudłowatych korzeniach. Dochodzimy do rozpadającego się budynku. Kilka lat temu ktoś zbudował tu pensjonat. Interes nie szedł i wszystko się rozleciało.

Na końcu półwyspu mieszka krewniak Mike'a Milton, z żoną i gromadką dzieci. Zastaliśmy go pracującego nad rzeźbą. Mężczyzna robi dłutkiem naprawdę piękne rzeczy. Zrobiłem kilka zdjęć i kawałek filmu. Zastanawiam się, jak można żyć na tych słonych mokradłach wśród moskitów. Rzeźby trudno sprzedać, więc rodzina żyje bardzo ubogo. W pobliżu jego domu leży strącony samolot – cel naszej wycieczki. Idziemy z Miltonem do dłubanki, którą przepławiamy się kilkadziesiąt metrów przez wodę. Dopływamy do miejsca, gdzie na granicy ładu i wody leżą szczątki samolotu. Na kadłubie odczytałem: AF B24D. Wśród gąszczy sterczą aluminiowy kokpit, kupa blach i koła z dobrze zachowanym ogumieniem. Sfotografowałem i sfilmowałem to niecodzienne znalezisko. Samolot został

zestrzelony w 1943 roku przez Japończyków z bazy Munda na sąsiedniej wyspie i w tym miejscu spadł. Trzyosobowa załoga zdołała się uratować.

Wracamy, za fatygę i łódkę dałem Miltonowi trzydzieści tutejszych dolarów. W drodze powrotnej znów opróżniamy kilka kokosów. W sumie wypilem dziś chyba z pięć! W chatce zasłużony odpoczynek. Czytam Lonely Planet – już Papua-Nowa Gwinea. Jutro planuję popłynąć do odległej wioski Penjuku na przeciwległym brzegu Nggatokae. Wieczorem podziwiam gwiazdne niebo. Przyjemnie mi na sercu, gdy na północnym niebie jaśnieje Wielki Wóz. Małego Wozu nie widać tu w całości, to na końcu jego dyszla jest Gwiazda Polarna.

## 17 czerwca, sobota – wioska Sombiro

Na wyspie świąteczny dzień, gdyż większość mieszkańców wioski to Adwentyści Dnia Siódmego. W ten dzień nie gotują nawet jedzenia. W nocy padało, a teraz już tylko siąpi. Już od czwartej durne koguty nie dają spać, a potem natrętnie ujadają psy. W tej głuszy to naprawdę denerwujące. Dopiero stopery pomogły. W taką pogodę nie ma co się ruszać z chaty, więc studiuje przewodnik i rozpracowuję podróż na Trobriandy. Niby dookoła w morzu dużo ryb, a ja dopiero raz je jadłem. Mike każdą wolną chwilę wykorzystuje na dłubanie drewnianych lasek, ma zrobione cztery sztuki. Przy okazji prania wyprałem zegarek, na szczęście dobry, wodoszczelny.

Przejaśniło się, około jedenastej ruszamy z silnikiem na taczkach nad rzeczkę. Wybieramy się do Penjuku. Na niebie trochę niegroźnych chmur. Do wioski płynie z nami Olga. Na wyprawę zabieramy 10 litrów paliwa. Tak jak poprzednio, do laguny przedieramy się tunelem wśród chaszczy i mangrowych zarośli. Przed nami rozległa laguna. Z łodzi widać dokładnie barwne skały koralowe, czasami w toni pod nami przepływają kolorowe ryby. Nie jesteśmy tu sami, na płytkiej wodzie jacyś krewniacy Mike'a polują harpunem na co większe okazy. Mike zapewnia, że niektóre z nich będą na naszą kolację. Gdyby nasza łódź była cicha, byłoby przyjemniej. Niestety motor ryczy przeraźliwie! Po drodze spotykamy starszą kobietę zasuwaną na dłubance. Zatrzymujemy się na krótką rozmowę, to też ktoś z rodziny. Olga przeładowuje jakieś warzywa na naszą łódź i płyniemy dalej. Najwyższym punktem na wyspie jest góra wysoka na 807 metrów. By na nią wejść i z niej zejść, trzeba przeznaczyć dwa dni! Może to żadna wysokość, ale to nie nasze skałki tatrzańskie, tylko dziki busz. Mike już kilka razy prowadził na szczyt turystów, podobno widok na okolicę i lagunę piękny. Teraz wierzchołek skrył się w chmurach.

Penjuku to zapomniana przez świat malutka wioska, do której dotrzeć można tylko łodzią. Na szczęście nie pada. Nie widać słońca, ale jest parno i gorąco. Mijamy płaskie wysepki zarośnięte od brzegu mangrowiem, w głębi ozdabiają je pióropusze palm. Marovo to wielka laguna otoczona podwójnym wianuszkiem setek wysepek. Po trzech godzinach od wyjścia z domu dopływamy do wioski na zachodnim brzegu Nggatokae. Na ciemnym piasku plaży harcuje gromada dzieciaków. Chaty muszą stać głębiej, bo przy ujściu rzeki wśród palm kokosowych widać tylko dwa czy trzy dachy z liści palmowych. Podeszliśmy do miejscowych rybaków. Ochoczo pokazują nam kilka wielkich ryb złapanych dzisiaj rano. Były już obłożone lodem i czekały na transport do Honiary.

We trójkę idziemy do centrum wioski. Po drodze przechodzimy obok kilku drzew kolosów. Takich już nikt nie ruszy, same kiedyś padną. Przed chatkami siedzą dorośli z baraszkującymi maluchami. Czuję się jak w przedszkolu, dzieci jest tu wyjątkowo dużo. Pewnie dlatego, że dzisiaj sobota i nie ma lekcji. Filmuję i fotografuję piękne twarzyczki i główki o jasnozłocistych włosach. Mike i Olga rozmawiają ze znajomymi, tu się wszyscy znają. Uważnie przyglądam się rzeźbieniu wiosła, tutaj mieszkają prawdziwi artyści szkutnicy.

Zaczyna siąpić. Wraz z dziećmi, które nie odstępują mnie ani na krok, chowamy się pod dach. Nieprawdopodobną radość wywołują wśród nich scenki, które obserwują na monitoru kamery. Nagrałem je przed chwilą i teraz im to odtwarzam. Po dwóch godzinach wracamy na lagunę. Spotykamy jeszcze rybaków, od których Mike dostał kilka sporych ryb. Olga powiada, że na kolację przyrządzi je w mleku kokosowym i poda z taro. Po powrocie krótki wypoczynek, bo do zmroku już niedaleko. Czekając na wieczorną wyzerkę, resztę czasu spędzam w kuchennej wiacie, gdzie Olga przygotowuje ze

trzy dania z ryb. Nie wtrącam się, bo kobieta chce jak najlepiej przyrządzić ryby na miejscowe sposoby. Skąd może wiedzieć, że ja najbardziej lubię te podane tak najprościej – usmażone na oleju. Pod nogami kręci się stary ślepy kot, ulubieniec gospodarzy. Długo siedzimy pod wiatą, jemy smaczne ryby i rozmawiamy.

## Pożegnanie z Melanezją

Na naszym zmniejszonym dzięki odrzutowcom globie niewiele już zostało zakątków tak ciekawych jak Melanezja.

Podróżując po wyspach trzech archipelagów, zebrałem niezliczone dowody gościnności i bezinteresownej serdeczności wyspiarzy. Wszystko, o co prosiłem, otrzymywałem albo przynajmniej przyrzekali mi to zapewnić, ale nie to jest najważniejsze, lecz kryjące się za tym dobre chęci.

Piękna przyroda, która mnie oczarowała, i ci dobrzy, prości ludzie na zawsze zostaną mi w pamięci. Bez nich nie dałbym sobie w dalekim świecie rady.

W książce zamieściłem wszystko, co wydało mi się ważne. Pokazałem, jak można z bardzo cienkim portfelem przeżyć tak niesamowitą przygodę na krańcach świata.

Mam nadzieję, że ta książka będzie niebanalnym przewodnikiem i wskaże, jak można podróżować w nietypowy sposób. Cieszyłbym się, gdyby jeszcze przy okazji w przystępny sposób przybliżyła ten mało znany w Polsce rejon świata. Jak tylko potrafiłem, opisywałem przyrodę, codzienne życie, pracę i zwyczaje ludzi. By nie zanudzić, od czasu do czasu tekst urozmaicałem mało znanymi, lecz ciekawymi historiami.

PS

Po dziewięciu dniach pobytu w Sombiro razem z Mikiem wróciłem statkiem Kosko do Honiary. Wkrótce miałem lot do Port Moresby na Papui-Nowej Gwinei i udałem się na niezwykle Wyspy Trobrianda.

Wszystkie opisane w książce sytuacje i wydarzenia oraz spotkania z ludźmi w czasie moich długich wędrówek są autentyczne. Moje przygody można obejrzeć na filmach. Jak tylko mogłem, starałem się wszystko dokładnie utrwalac. Z siedmiomiesięcznej podróży udało mi się zrobić pięćdziesiąt osiem odcinków. Tekst książki obejmuje odcinki od pierwszego do dwudziestego ósmego. Wszystko można zobaczyć na kanale YouTube – Krzysztof Kryza.

## Bibliografia

Książki:

Baker J.L., *Odkrycia i wyprawy geograficzne*, Warszawa 1959.

Bougainville L.A., *Podróż Bougainville'a dookoła świata*, Warszawa 1962.

Demel K., *Życie morza*, Gdańsk 1974.

Forster J., *Podróż naokoło świata*, Warszawa 1977.

Stanley D., *South Pacific Moon Travel*, [b.m.] 2004.

Thomas N., *Odkrycia. Podróże kapitana Cooka*, Poznań 2007.

Wolniewicz J., *Vanuatu. Czarny archipelag*, Warszawa 1983.

Villiers A., *Morze Koralowe*, Gdańsk 1970.

Artykuły:

Borówka A., *Kapitan Blight wypełnił obowiązek*, „Poznaj Świat” 1968/III/13.

Budrewicz O., *Fidzi. Opowieści Mórza Południowych*, „Kontynenty” 1972/X/16.

Dzięgiel L., *Kanacy*, „Poznaj Świat” 1965/II/42.

Dzięgiel L., *Synowie największego oceanu*, „Poznaj Świat” 1977/III/14.

Godlewski A., *Z Azji na Pacyfik*, „Poznaj Świat” 1956/VII/7.

Karłowicz E., *Zaginiony archipelag*, „Poznaj Świat” 1964/I/28.



- Kubiatowicz L., *Chlebowiec*, „Poznaj Świat” 1972/VII/22.  
Kubiatowicz L., *Taro i bulwy andyjskie*, „Poznaj Świat” 1972/VII/26.  
Romańska H., *Kuchnia ludów Oceanii*, „Poznaj Świat” 1967/X/17.  
Roniewicz E., *Rafy i ich budowniczy*, „Poznaj Świat” 1984/VI/19.  
Sanecy L. i M., *Gorączka lasu tropikalnego*, „Poznaj Świat” 1973/IX/29.  
Siadek B., *Jak powstaje plaża*, „Poznaj Świat” 1977/VI/19.  
Wolak E., *Fidżi. Dziś ty dasz mnie, jutro ja dam tobie*, „Kontynenty” 1774/II/13.
- [1] A. Villiers, *Morze Koralowe*, Gdańsk 1970, s. 70.  
[2] Tamże, s. 73.  
[3] Tamże.  
[4] Tamże.  
[5] Tamże, s. 76.  
[6] Tamże.  
[7] Tamże, s. 77.  
[8] Wszystkie cytaty tu za: E. Karłowicz, *Zaginiony archipelag*, „Poznaj Świat” 1964/I/28.

## FOTOGRAFIE Z PODRÓŻY



*Dziewczynki z Taveuni zabawiają się schwytanym na plaży krabem. W miejscowej kuchni takie okazy są rarytasem.*



*Bazar rybny w Suvie. Nie sposób opisać piękna i różnorodności ryb, które żyją w pobliżu raf koralowych.*



Zdjęcie zrobiłem po skończonej Mszy Świętej w Wairiki. To jedyny murowany kościół katolicki na Taveuni.



Uczące się na Fidżi dzieci i młodzież noszą obowiązkowo jednolity strój. Chłopcy zamiast spodni noszą tradycyjne sulu.



Widok na plażę, przy której mieszkałem. Widoczna w głębi wyspa to Vanua Levu.



Suszenie liści pandanusa to powszechny widok. Służą do wyrobu mat używanych na posłanie, stół czy miejsce do siedzenia.



Raz w tygodniu do betonowego molo w Somosomo na Taveuni przy pływa z Suvy niewielki prom Sofi.



Północno-wschodni brzeg Taveuni. Czarne bazaltowe skały świadczą o wulkanicznym pochodzeniu wyspy.





W tym domku tuż przy plaży mieszkałem przez kilka tygodni. Było to dogodne miejsce do zwiedzania uroczej Taveuni i pobliskiej Vanua Levu.



Co pewien czas w niewielkiej odległości od brzegu kotwiczyły niewielkie żaglowce.



Plaża w Lovenie należy do najpiękniejszych na Fidżi. W jej plenerach kręcono znany film Błękitna laguna.



Kamienne grzyby na plaży w Lovenie.



Południowo-wschodni brzeg Taveuni. Na zdjęciu bazaltowa, kamienista plaża pochodzenia wulkanicznego.



Wiele kilometrów wędrowałem takimi szutrowymi drogami wzdłuż brzegu. Wnętrze wyspy Taveuni jest górzyste, pokryte tropikalnym lasem i niezamieszkałe.



Plaža na Vanua Levu o poranku.



Widok na piękną zatokę Savusavu na wyspie Vanua Levu.



Suszenie kopry w Lamap na Malekuli.



Uroczystość w Lamap – Dzień Patrona Misji Katolickiej. Eribert i Jeanette przygotowują jedzenie. Okładają gorącymi kamieniami świnkę i abunię.



Odpust w Lamap. Występy artystyczne parafian.



Idę z rodziną Eriberta do ogrodu w buszu. Po obu stronach drogi plantacje palmy kokosowej.





Wioska Burbar na Malekuli. Ojciec Nalsina przygotowuje tradycyjny halucynogeny napój – kawę.



Na długo zapamiętam pobyt w pełnej bugenwilli i krotonów wiosce Burbar.



Widok na Banam Bay w Fartavo. Szef wioski Sam przyplłynął w sprawie mojego zakwaterowania w wiosce.



Fartavo. żona Sama, w ziemnym piecu piecze pyszny chleb, którym raczyłem się przez kilka dni.



Idylliczny poranek w Fartavo na Malekuli.



Połów na lagunie.



Górzysta Malekula dosłownie tonie w zieleni. Wszędzie spotkamy tradycyjne chatki i przesympatycznych ludzi.



Tak mieszkalem, wędrując po wyspach Melanezji. Zawsze korzystałem z niezwyklej gošcinności mieszkańców.



Zwiedziłem sześć pacyficznych archipelagów. Najwięcej czasu na przygotowanie jedzenia poświęcają kobiety z Vanuatu.



Dzień Matki w Fartavo. Kobiety przygotowały tradycyjne laplapy.



Po pięciu dniach w Fartavo wędruję do następnej wioski. Przez część drogi towarzyszą mi dzieci idące do szkoły.



Przez trzy dni pobytu u rybaka w Tisman objadałem się pysznymi rybami z laguny.





Picie kawy przez mężczyzn to odwieczny melanezyjski rytuał. Synowie rybaka z Tisman przygotowują ulubiony napój.



W oczekiwaniu na przyływ. Wnuki na krok nie odstępują dziadka, za kilka lat go zastąpią.



Czós wypływa na lagunę rozstawić sieci.



Żona Czosa Anna z synową przygotowują laplap. W bananowe ciasto trafiają kawałki kalmara.



Świńska szczeka. Zakręcone kły znajdują się nawet na fladze Vanuatu.



Łupanie orzechów kokosowych i suszenie bielma w celu uzyskania kopry to powszechnie spotykany widok na wyspach Pacyfiku.



Plaża na wyspie Atchin, w głębi widoczna Malekula.



Często miałem „obstawę” z dzieciaków, byłem dla nich niecodziennym obiektem zainteresowania.



Na przystani w Litzlitz. Takie małe jednostki nazywane copra boats zapewniają transport między wysepkami w archipelagach na Pacyfiku.



Na Efate byłem zaproszony na wesele w Eton. Krewni pana młodego niosą dary dla rodziny panny młodej.





Wyspy Salomona. Dzieci z wioski Kalikaka na Santa Isabel.



Dziewczyna z Wysp Salomona.



Plaża w Hirolegu na Santa Isabel. W oczekiwaniu na copra boat, który zabierze worki z kopra..



Na górzystych wyspach prawie wszystkie wioski leżą blisko brzegu. Plaża to ulubione miejsce zabaw dzieciaków.



Raz w tygodniu do wiosek wzdłuż brzegu Santa Isabel zawija niewielka „Princessa”, która zapewnia transport ludzi i towarów między wyspami.



Mężczyźni rozpoczynają dzień od żucia betelu. Barabasz z Hirolegu częstuje mnie używką.



Dziewczyna ze scynkiem nadrzewnym. Często małe jaszczurki i barwne ptaki są żywymi zabawkami dzieci.



Brzeg w czasie odpływu. Te okresowo zalewane obszary są siedliskiem bujnych zarośli mangrowych.



Dom Francesca w Biluro. U gościnnej rodziny mieszkałem trzy dni.



W Biluro mogłem przyglądać się nietypowemu połowowi ryb umykających rzeczką do morza. Ta forma polowania jest dla dzieci wielką frajdą



Zięć Francesca ze swoim połowem. Kupiłem te piękne rafowe rybki, były bardzo smaczne.





Dzieci przed szkółką w Susubonie. Dziewczynka w żółtej bluzeczce to córka Francesca z Biluro. Uczniowie z tej wioski przyplływają na łódkach.



Dłubanka do dziś jest powszechnym środkiem transportu.



Czas przed zachodem słońca to najlepsza pora na spacer.



Wracam „Princessą” do Honiary. Załadunek kopyry.



Na bazarze w Honiarze.



Rejs na Marovo Lagoon. To prześliczna laguna jednej z wielu wysepek Russella.



Brzegi jednej z wysp grupy Nowa Georgia.



Wiele czasu spędziłem na łodzi, pływając z Mikiem po Marovo Lagoon.



Jedna z bajkowych wysepek Marovo Lagoon.



Uroczą dziewczynką o złotych włosach z wioseczki Penjuku.



Chłopiec z Malekuli w ciekawej masce z liścia.